

VIA  
VANCOUVER

LYONNESSSE



**Jack Vance**

**Lyonesse**

**Księga I**

**OGRÓD SULDRUN**

Przełożyła Agnieszka Dłużak

Tytuł oryginału:  
Lyonesse. Suldrun's Garden

# Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Wstęp](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

*Dla Nory, Żony i koleżanki*



*Traktuje o wyspach Elder i ich mieszkańcach i mimo iż w całości nie jest nużący, może znużyć czytelnika, który nie lubi wyliczania faktów. Czytelnik ów może zatem wstęp pominąć.*

Wyspy Elder, zatopione dziś pod powierzchnią Atlantyku, w zamierzchłych czasach rozciągały się od Starej Galii przez Zatokę Kanta-bryjską (dzisiejsza Zatoka Biskajska).

Kroniki chrześcijańskie niewiele mówią o wyspach Elder. Gildas i Nennius wspominają tylko w swych opisach o Hybrydach, a Bede milczy zupełnie. Geoffrey z Monmouth napomyka o Lyonesse, Avallonie i kilku innych krainach, których położenia nie udało się ustalić. Chr-etien z Troyes rozwodzi się nad Ys i jego przyjemnościami; jest także Ys elementem często występującym we wczesnych, armorykańskich przypowieściach ludowych. Opisy irlandzkie są co prawda liczne, lecz pogmatwane i sprzeczne. Święty Bresabius z Cardiff przedstawia dość dowolnie ułożony poczet królów Lyonesse; święty Kolumb występuje przeciwko „heretykom, wiedźmom, bałwochwalcom i Druidom” na wyspie, którą nazywa „Hy Brasili”, co było średniowieczną nazwą Hybrydów. Innych przypadków zapiski nie odnotowują.

Z wyspami Elder handlowali Grecy i Fenicjanie. Wielu Rzymian odwiedziło je i osiedliło się na Hybrydach, pozostawiając po sobie akwedukty, wille, drogi i świątynie. W mrocznych dniach Imperium chrześcijańscy dostojnicy przybywali na Avallon wśród wielkiej pompy i w pełnym rynsztunku. Zakładali biskupstwa, mianowali odpowiednich przedstawicieli i trwonili dobre, rzymskie złoto na nie przynoszące żadnego zysku bazyliki. Biskupi sprzeciwiali się ostro wierze w starych bogów, szarlatanów i magików, ale tylko niewielu ważyło się wejść do Puszczy Tantrevalles. Kropidło, kadzielnice i klątwy dowiodły swej bezużyteczności w walce z takimi magikami\* \* Zob. Glosariusz I. ze Wzgórza Pithpenny, jak: Dankvin Gigant czy Taudry Sprytny. Tuziny misjonarzy, zapatrzonych ślepo we własną wiarę, zapłaciły straszną cenę za swą gorliwość. Św. Elric przemaszerował bosy aż do Smoorish Rock, gdzie miał zamiar ujarzmić i nawrócić na wiarę znanego wilkołaka, Magre. Zgodnie z późniejszymi opowieściami pieśniarzy Św. Elric zjawił się na miejscu w południe, a Magre zgodził się wysłuchać jego mowy. Elric wygłosił wspaniałe kazanie, zaś Magre rozpoczął wprowadzanie w życie podjętego wcześniej zamiaru. Elric przekonywał, cytował Pismo święte i śpiewał hymny chwalcące wiarę. Gdy dotarł do końca i zaintonował swe ostatnie „Alleluja”, Magre dał mu kielich piwa, by zwilżył sobie gardło. Ostrząc nóż, komplementował żarliwość słów Elrica. Potem odciął mu głowę, poćwiartował go, oczyścił, nadział na szpikulec, upiekł i pożarł ten święty kąsek przybrany porami oraz liśćmi kapusty. Św. Uldina próbowała ochrzcić w wodach Stawu Czarnej Meiry trolla. Była niezmordowana. W czasie próby troll zgwałcił ją cztery razy i dopiero wtedy się poddała. W oznaczonym czasie dała życie czterem skrzatom. Pierwszy z nich, Ignaldus, został ojcem groźnego rycerza — Sir Sacrontine'a, który nie mógł zasnąć w nocy, dopóki nie zabił jakiegoś chrześcijanina. Pozostała trójka dzieci Św. Uldiny to: Drathe, Alleia i Bazill\*\*\*\* Czyny tej czwórki zostały spisane w rzadkim już teraz woluminie *Dzieci świętej Uldiny*. W Godelii Druidzi nigdy nie ustawiali w okazywaniu szacunku Lugowi-Słońcu, Księżycowej Matronie, Adonisowi Pięknemu, Kernuunowi Jeleniowi, Mokousowi Knurowi, Kai Ciemnej, Sheach Wdzięcznej i niezliczonym miejscowym półbogom.

W tym czasie Olam Magnus z Lyonesse, wspierany siłami swego Magicznego Lustra, Persiliana, rozwinął władzę na całe wyspy Elder (z wyłączeniem Skaghane i Godelii). Ukoronowawszy się na króla Olama I, panował długo i z powodzeniem. Jego następcą został Rordec I, później Olam II, a potem na krótko „Galijskie Kukułki”, reprezentowane przez Quarnitza I i Niffitha I. Następnie Fafhion Długonosy przywrócił linię starej krwi. Spłodził on Olama III, który przeniósł tron Evandig i wielki stół, znany pod nazwą Cairbry an Meadhan, „Ławy Notabli” \* \* Cairbra an Meadhan była inspiracją dla Okrągłego Stołu króla Artura. z miasta Lyonesse do Avallonu w księstwie Dahaut. Gdy wnuk Olama III uciekł do Brytanii (by spłodzić tam Uthera Pendragona, ojca Artura, króla Kornwalii), kraj rozpadł się na kilka części, tworząc królestwa: Dahau-tu, Lyonesse, Północnego Ulflandu, Południowego Ulflandu, Godelii, Blalocu, Caduzu, Pomperolu, Dascinetu i Troicinetu.

Nowi królowie znaleźli wiele powodów do kłótni. Wyspy Elder weszły w okres kłopotów. Północny i Południowy Ulfland, narażone na ataki Skalradów\*\*\*\* Zob. Glosariusz III., stały się terenami bezprawia, rządzonymi przez rozbójników i przerażające bestie. Tylko Dolina Evander, broniona od wschodu przez zamek Tintzin Fyral, a z zachodniej strony osłaniana miastem Ys, pozostała strefą spokoju.

I w końcu król Dahautu, Audry I, zrobił fatalny w skutkach krok. Ogłosił, iż dopóki on siedzi na tronie Evandig, musi być uznawany za króla wysp Elder.

Król Lyonesse wyzwał go do walki. Audry, zebrawszy wielką armię, przemaszerował drogą przez Pomperol, aż do Lyonesse. Król Phristan poprowadził swe wojska na północ. Armie walczyły w bitwie o Wzgórze Orm przez dwa dni i ostatecznie — z powodu wyczerpania każdej ze stron — rozdzieliły się. Phristan i Audry zginęli w walce, ich żołnierze przeszli w stan spoczynku. Audry II zawiódł i nie dokończył dzieła swego ojca. W końcowym rozrachunku wygrał Phristan.

Minęło dwadzieścia lat. Skalradzi zapuścili się na obszar Północnego Ulflandu, przywłaszczając sobie teren znany jako Północny Odległy Brzeg. Król Gax, bezradny i na wpół ślepy, ukrył się. Skalradzi nie trudzili się nawet, by go odnaleźć. Królem Południowego Ulflandu jest Oriante, rezydujący w Zamku Sfan Sfeg, niedaleko miasteczka Oaldes. Jego jedyny syn, książę Quilcy, jest ociężały umysłowo i spędza dni na zabawie dziwacznymi lalkami i domkami dla lalek. Audry II jest królem Dahautu, a Casmir króluje w Lyonesse. Obaj chcą zostać władcami wysp Elder i zasiąść na tronie Evandig.





## Rozdział 1

Pewnego ponurego, zimowego dnia, gdy nad miastem Lyonesse rozciągała się zasłona deszczu, królowa Sollace weszła do pokoju narodzin i została poprowadzona w stronę leżanki. Towarzyszyły jej dwie akuszerki, cztery służące, fizyk Balhamel i starucha Dyltra, obeznana z ziołami i przez niektórych uważana za czarownicę. Jej obecność spowodowana była życzeniem królowej Sollace, której bliższa była wiara niż logika.

Nadszedł też król Casmir. Piski Sollace przeszły w jęki i królowa zacisnęła kurczowo palce na swych gęstych, jasnych włosach. Casmir obserwował ją z daleka, stojąc w progu. Nosił prostą, szkarłatną szatę z purpurową szarfą; jego jasnorude włosy okolone były złotym diademem.

– Jakie są oznaki? – zapytał Balhamela.

– Nie ma jeszcze żadnych, sir.

– A czy można by ustalić już płęć?

– Nie ma takiego sposobu, sir.

Stając w drzwiach w lekkim rozkroku, z rękoma założonymi na plecy, Casmir wydawał się uosobieniem srogości i królewskiego dostojęstwa. I rzeczywiście, wrażenie to, towarzyszące mu wszędzie, sprawiało, iż chichoczące ciągle kuchenne służki zastanawiały się często, czy Casmir nosi swą koronę także w małżeńskim łóżu. Król lustrował Sollace spod zmarszczonych brwi.

– Wydaje się, że odczuwa ból – rzekł.

– Ale bóle nie są jeszcze tak silne, jak być powinny, sir. W każdym razie nie w tym momencie. Proszę pamiętać, że strach zwielokrotnia odczuwane cierpienie.

Casmir nie odpowiedział. Wśród cienia, skrywającego boczną część pokoju, zauważył schyloną nad koszem z opałem staruchę Dyldrę. Wskazał na nią palcem i zapytał:

– Dlaczego jest tu czarownica?

– Sir – wyszeptała główna akuszerka – ona przyszła na żądanie królowej Sollace!

– Przyniesie dziecku nieszczęście – mruknął Casmir. Dyltra przykucnęła, schylając się jeszcze niżej nad koszem. Wrzuciła na żarzące się węgle garść ziół; smuga gryzącego dymu poszybowała przez pokój i dotknęła twarzy Casmira. Król kaszlnął, cofnął się i opuścił pomieszczenie.

Służąca zaciągnęła kotary, odcinając pokój od mokrego krajobrazu, i zapaliła wykonane z brązu lampy. Na kanapce leżała wyprężona Sollace. Nogi odwiedzione miała na boki, głowę odrzuconą do tyłu. Jej królewskie ciało przyciągało uwagę tych, którzy się nią opiekowali.

Parcie wzmogło się. Sollace krzyknęła; najpierw z bólu, a potem z wściekłości, że musi cierpieć jak zwykła kobieta.

Dwie godziny później urodziło się dziecko. Małeńka dziewczynka. Sollace zaniknęła oczy i odprężyła się. Gdy przyniesiono jej noworodka, machnęła tylko ręką, dając znak, by go zabrać, i popadła w odrętwienie.

Obchody towarzyszące narodzinom księżniczki Suldrun były ciche. Król Casmir nie proklamował żadnego radosnego obwieszczenia, a królowa Sollace odmówiła audiencji wszystkim poza jednym Ewaldo Idry, który był Adeptem Kaukaskich Misteriów. W końcu jednak, by nie przekreślać wszystkich zwyczajów, król Casmir zarządził uroczystą procesję.

W dniu, gdy z nieba sphywały tylko pojedyncze, krucho promienie słońca, a zimny wiatr gonił skłębione chmury, otworzyły się bramy przed zamkiem Haidion. Majestatycznie, w rytmie „krok,

zatrzymanie, krok" wymaszerowało przez nie czterech, odzianych w biały atlas, heroldów. W rękę trzymali rogi, z których zwieszały się białe, atlasowe proporczyki z wyhaftowanym herbem Lyonesse: czarnym Drzewem Życia z dwunastoma owocami granatu. Heroldzi przemaszerowali czterdzieści jardów, zatrzymali się, podnieśli rogi i zagrali fanfarę „Radosne wiadomości”. Z pałacowego podwórca, na parszających białych koniach wyjechało czterech szlachciców: Garnel, rycerz Banneret Zamku Swange, siostrzeniec króla; Cypris, księżę Skroy; Bannoy, księżę Tremblance; Odo, księżę Folize. Jako następny nadjechał królewski powóz, ciągnięty przez cztery białe jednorożce. Królowa Sollace siedziała spowita w zielone szaty, trzymając Suldrun na karmazynowej poduszce. Król Casmir jechał obok powozu na swym wielkim czarnym rumaku, Sheuwanie. Za nim maszerowała gwardia królewska. W żyłach każdego jej żołnierza płynęła szlachecka krew. Każdy z gwardzistów nioś srebrną halabardę. Z tyłu toczył się wóz, z którego para służących rzuciła w tłum garście jednopensówek.

Procesja opuściła Sfer Arct, główną aleję miasta Lyonesse, i podążała dalej przez Chale, drogą biegnącą półkolem nad zatoką. Orszak okrążył targ rybny i powrócił w górę Sfer Arct do Haidionu. Za bramą stragany oferowały głodnym królewskie, marynowane ryby i ciasta oraz piwo tym, którzy chcieli wypić zdrowie nowej księżniczki.

W czasie zimowych i wiosennych miesięcy król Casmir tylko dwa razy spojrzał na małą księżniczkę, kryjąc się za każdym razem za zasłoną chłodnej obojętności. Suldrun pokrzyżowała królewskie plany, ukazując się światu jako kobieta, a Casmir nie mógł jej ukarać za ten fakt od razu. Nie okazywał jej jednak swej dobroci.

Sollace źle znosiła niezadowolenie Casmira i pod pretekstem rozdrażnienia usunęła dziecko sprzed swoich oczu.

Ehirme, koścista chłopka, siostrzenica ogrodnika, której synek umarł na żółty dur, miała wiele pokarmu i niezaspokojone uczucia macierzyńskie. Tak więc ona została mamką Suldrun.

Wieki temu, w odległych czasach, gdy historia i legendy zaczynają się zlewać w jedno, pirat Blausreddin zbudował w głębi skalnej zatoki fortecę. Nie zagrażały mu więc tak mocno napady od strony morza, groźniejsze mogły być nagłe ataki ze szczytów i wąwozów gór, rozciągających się na północ od zatoki.

Sto lat później król Danaanu, Tabbro, zamknął zatokę wielkim falochronem i dobudował do fortecy Stary Hall, w którym mieściły się nowe kuchnie i komnaty sypialne. Jego syn, Zoltra Wspaniały, skonstruował masywne kamienne molo i pogłębił zatokę tak, by do mola mógł przycumować każdy statek świata.

Zoltra powiększył poza tym starą fortecę, dodając do niej Wielki Hall i zachodnią wieżę, zmarł jednak przed zakończeniem pracy. Kontynuowana ona była za panowania Palaemona I, Edvariusa I i Pala-emonu II.

Zamek Haidion króla Casmira strzelał w górę pięcioma głównymi wieżami: wschodnią, królewską, wysoką (znaną także jako Eyrie), wieżą Palaemona i zachodnią. Było pięć głównych halli; Wielki Hall, Hall Honorów, Stary Hall, hall zwany Clod an Dach Nair oraz Hall Przyjęć. Był też mały refektarz. Z tych pięciu sal Wielki Hall wyróżniał się swym niezwykłym, przygniatającym majestatem, wykraczającym jakby poza ramy ludzkiego pojmowania. Proporcje, przestrzenie wolne i bryły, kontrast cienia i światła, które zmieniało się od poranka do wieczora, i refleksy pochodzące z witraży, wszystko to współgrało i oddziaływało na zmysły. Drzwi były swego rodzaju budowlanym kunsztem i w żadnym razie nikt nie mógł gwałtownie wtargnąć do Wielkiego Hallu. Na jednym jego końcu portal otwierał się nad wąskim podium, z którego sześć szerokich stopni wiodło w dół do

hallu, omijając kolumny tak masywne, że dwóch mężczyzn nie zdołałoby ich objąć rozciągniętymi ramionami. Umieszczony na ścianie rząd wysokich okien, ze zmatowiałym ze starości szkłem, przepuszczał rozmyte półświatło. W nocy witraże w żelaznych ramkach przepuszczały tyle samo czarnego cienia ile światła. Dwanaście mauretańskich dywanów łagodziło szorstkość kamiennej podłogi.

Dwuskrzydłowe żelazne drzwi wiodły do Hallu Honorów, który w swojej okazałości przypominał katedralną nawę. Ciężki, ciemnoczerwony dywan biegł przez środek, od wejścia do królewskiego tronu. Wzdłuż ścian ustawiony był rząd pięćdziesięciu czterech masywnych krzeseł, zwieńczonych wiszącymi nad nimi szlacheckimi herbami. Na krzesłach tych, przy okazji ceremonii, zasiadała starszyzna Lyonesse, każdy pod herbem swych przodków. Królewskim tronem był Evandig, dopóki Olam III nie przeniósł go na Avallon wraz z okrągłym stołem Cairbrą an Meadhan. Miejsce w centrum hallu zajmował stół, gdzie najszlachetniejsi z szlachetnych mogli odnaleźć podpisane ich imionami miejsca.

Hall Honorów został zbudowany przez króla Karola, ostatniego z dynastii Metheven. Chlowod Czerwony, pierwszy z Tyrchenian, rozszerzył granicę Haidionu do zachodniej części muru Zoltry. Wybrukował Urquial, stary plac parad Zoltry, i z tyłu dobudował masywny Pe-inhador, w którym mieściły się: szpital, koszary i więzienie. Lochy pod starą zbrojownią popadły w zapomnienie. Wraz ze swymi zabytkowymi klatkami, kozłami, rożnami, kołami, linami do podciągania, pasami, zgniataczami i maszynami do wykręcania członków, zostawiono je, by zgniły pod wpływem wilgoci.

Królowie zmieniali się, jeden następował po drugim. Każdy z nich poszerzał halle Haidionu, jego korytarze, tarasy, galerie, wieże i wieżyczki. Każdy z nich, rozmyślając o swej nieśmiertelności, próbował uczynić się częścią ponad wiekowego Haidionu.

Dla tych, którzy tam żyli, Haidion był małym wszechświatem, obojętnym na wydarzenia zewnętrzne, mimo iż przegroda dzieląca go od świata zewnętrznego nie była nieprzenikniona. Dochodziły tu pogłoski zza granicy, rejestrowano zmiany związane z porami roku, przejazdy i wyprawy, okazjonalną nowinę czy alarm. Były to jednak tylko echa, pokątne szepty, które nie wywoływały żadnych emocji u władców pałacu. A co z kometą, która przeleciała przez niebo? Wspaniale! Cudownie... ale zapomniano o tym już w chwili, gdy kuchcik Shilk kopnął kota kucharza. A wieść o tym, że Skalradzi spustoszyli Północny Ul-fland? Owszem, Skalradzi są jak dzikie zwierzęta, ale ważniejsze to, że dzisiaj rano, po zjedzeniu kremu z owsianki, księżna Skroy znalazła w pucharze martwą mysz. I tu nastąpiły prawdziwe przeżycia, gdy zaczęła krzyczeć i rzucać pantoflami w służki.

Prawa rządzące małym wszechświatem były ścisłe. Status podzielony był, z zachowaniem doskonałej hierarchii, od stopnia najwyższego do najniższego z niskich. Każdy znał swoją wartość i rozumiał delikatne różnice pomiędzy następnym najwyższym (by być minimalistą) i następnym najniższym (by lekko przesadzić). Niektórzy wykraczali poza swoją rolę i wyzwałoby to swego rodzaju niesnaski. Burza wisiała wtedy w powietrzu. Każdy badał zachowanie tych, którzy w hierarchii byli nad nim, ukrywając jednocześnie swe postęпки przed podwładnymi. Królewskie osobistości obserwowane były ze szczególną uwagą; ich zwyczaje były dyskutowane i analizowane po wielekroć dziennie. Królowa Sollace okazywała wielką serdeczność religijnym zagorzalcem i księżom, i znajdowała w ich naukach wiele interesujących rzeczy. Wpojono jej, by była oziębła seksualnie i nie brała sobie kochanków. Król Casmir odwiedzał ją w łóżku regularnie raz w miesiącu. Kopulo-wali wtedy ze stateczną ociężałością, jak parzące się słonie.

Księżniczka Suldrun zajmowała w społecznej strukturze pałacu miejsce specjalne. Wszyscy wokół odnotowali obojętność króla Casmi-ra i królowej Sollace w stosunku do niej i dlatego

bezkarnie przechodziły małe psikusy, które jej wyrządzano.

Przeminęły lata i nikt nie zauważył, że Suldrun z dziecka wyrosła na cichą dziewczynkę. Miała długie, jedwabiste, jasne włosy. Nikt też nie miał pomysłu, co teraz zrobić z Ehirme. Awansowała więc z roli mamki do pozycji osobistej służącej księżniczki.

Ehirme była prostą kobietą, nie znała się na etykiecie dworskiej i nie posiadała też jakichś szczególnych talentów. Posiadała jednak wiedzę, którą przekazał jej celtycki dziadek, i tę przez lata całe przekazywała Suldrun. Opowiadała jej baśnie i bajki, mówiła o czyhających gdzieś w oddali niebezpieczeństwach, o naprawianiu szkód wyrządzonych przez czarodziejów, o języku kwiatów, o unikaniu duchów o północy, przekazywała wiedzę o dobrych i złych drzewach.

Suldrun dowiadywała się o krainach leżących poza zamkiem.

– Z miasta Lyonesse wychodzą dwie drogi – mówiła Ehirme. – Możesz pójść na północ, przez góry wzdłuż Sfer Arct, albo na wschód przez bramę Zoltry i przez Urquial. Po jakimś czasie dojdiesz do małej chatki, w której mieszkam, i naszych trzech pól, na których uprawiamy kapustę, rzepę i trawę na siano dla zwierząt. Potem droga się rozwidla. Ta na prawo biegnie brzegiem Lir, aż do Slute Skeme. Lewa zdąża na północ i łączy się ze Starym Traktem, który biegnie obok Puszczy Tantrevalles, gdzie żyją czarodzieje. Przez las zdążają dwie drogi: jedna przecina go z północy na południe, druga ze wschodu na zachód.

– Opowiedz mi o tym miejscu, w którym się spotykają! – prosiła Suldrun, choć już to wiedziała, ale uwielbiała opowieści Ehirme.

Na to Ehirme głosem pełnym przestrogi rzekła:

– Nigdy nie zapuszczałam się tak daleko i nie wiem. Mogę ci jedynie powtórzyć opowieść mojego dziadka. W zamierzchnych czasach skrzyżowanie dróg było ruchome, bo urok został rzucony na całą tę dolinę i nie zaznała ona spokoju. Dla zwykłego podróżnika, wędrowca, nie miało to większego znaczenia, bo stawiając krok po kroku i tak w końcu doszedł tam, gdzie trzeba. Nakładając drogi zobaczył jedynie dwa razy więcej lasu. Najbardziej zakłopotani byli ludzie, którzy zwykli sprzedawać swe towary na dorocznym Targu Goblinów. Przecież targ odbywał się na rozdrożach! Gdy przyjechali jednak na miejsce w noc świętojańską, skrzyżowanie przemieściło się o dwie i pół mili i nigdzie nie było widać śladu targowiska.

Mniej więcej w tym samym czasie magicy rozpętali straszny konflikt. Murgen dowiódł swej siły i pokonał Twittena, którego ojciec był półczłowiekiem, a matka łysą kapłanką w Kai Kang pod górami Atlas. Ale co miał zrobić z pokonanym magikiem, który ział nienawiścią i kipiał złością? Murgen zwinął jego ciało w kłębek i zakuł je w mocnej, żelaznej tubie, długiej na dziesięć stóp, o grubych – jak moja noga – ścianach. Potem Murgen zabrał swą zaczarowaną tubę na skrzyżowanie dróg i poczekał, aż przesuną się one na odpowiednie miejsce.

Następnie głęboko zakopał pojemnik na samym środku rozdroża i tym samym sprawił, że skrzyżowanie nigdy więcej już się nie przemieszczało. Wszyscy uczestnicy Targu Goblinów byli bardzo wdzięczni Murge-nowi i wysławiali jego imię.

– Opowiedz, proszę, o Targu Goblinów.

– Dobrze. Odbywa się wówczas, kiedy spotykają się pół-ludzie i ludzie i jeden drugiemu nie wyrządza krzywdy, tolerują się i szanują. Ludzie wystawiają wtedy stragany i sprzedają wszelkiego rodzaju wyroby: ubrania z pajęczej nici, wino w fioletowych i srebrnych butelkach, książki pełne zagadek, napisane słowami trudnymi do usunięcia z głowy, jeśli raz się tam dostaną. Na targu możesz też dostrzec wszelkiego rodzaju półludzi: wróżki i gobliny, trolle i drewnice, a nawet kropłobłoki, chociaż te, mimo że są z wszystkich najpiękniejsze, pokazują się rzadko. Usłyszysz pieśni i muzykę i często brzęczenie fałszywego złota, które wyciskają z kwiatów jaskra. Och, to niezwykle ludzie ci

czarodziejce!

– Powiedz, jak ich spotkałaś!

– Och, doprawdy! Zdarzyło się to pięć lat temu, gdy byłam u siostry, która poślubiła szewca w Żabich Błotach. Był zmrok, usiadłam sobie na progu, by dać odpocząć strudzonym członkom ciała i jednocześnie popatrzeć na nadciągający nad łąkę wieczór. Usłyszałam wtedy coś jakby „dzyń, dzyń”. Po chwili znowu. Spojrzałam i zobaczyłam małego człowieczka z latarnią w ręku, która rzucała zielonkawe światło. Człowieczek ów stał nie dalej niż ze dwadzieścia kroków ode mnie. Z rozka jego czapki zwieszał się srebrny dzwoneczek, który dzwonił w rytm podskoków ludka. Siedziałam cichutko jak myszka, aż zniknął wraz ze swym dzwoneczkiem i zieloną latarenką. I to wszystko, co mogę ci opowiedzieć.

– A opowiedz o ograch!

– Nie, na dziś to chyba wystarczy.

– Opowiedz, proszę.

– Cóż, tak naprawdę nie wiem o nich wiele. W świecie półludzi też istnieje duże zróżnicowanie. Tak jak na przykład w świecie zwierzęcym istnieją różnice między lisem i niedźwiedziem, tak istnieje też różnica między czarodziejem i ogrem, goblinem i satyrakiem. Są do siebie wrogo nastawieni i jedynie podczas Targów Goblinów nie wchodzą z sobą w konflikt. Ogry żyją w głębi lasu i prawdą jest, że porywają dzieci i pieką je na rożnie. Nigdy więc nie wybiegaj zbyt daleko w las po jagody, pamiętaj. Możesz się zgubić.

– Będę ostrożna. A teraz powiedz mi ...

– Czas na twoją owsiankę. No, no, kto wie, może dzisiaj w mojej torbie znajdzie się ładne, czerwone jabłuszko ...

Suldrun zwykła jadać swą owsiankę w małym dziecięcym saloniku albo, jeśli pogoda była ładna, w oranżerii. Z podawanej przez Ehirme łyżki ostrożnie sęczyła i lizała. We właściwym czasie zaczęła jeść sama. Czyniła to powolnymi ruchami i z wielkim skupieniem, jakby najważniejszą rzeczą na świecie było zręczne jedzenie.

Ehirme uważała ten zwyczaj za absurdalny i czasami podchodziła do Suldrun, stawała za jej plecami i, w chwili gdy dziewczynka otwierała usta, by zjeść łyżkę zupy, krzyczała „buu” do jej ucha. Suldrun udawała obrażoną i upominała Ehirme, mówiąc, że to jest brzydka sztuczka. Ale już po chwili znowu zaczynała jeść, obserwując Ehirme kątem oka.

Ehirme zważała na to, by poza komnatami Suldrun być jak najmniej zauważaną. Stopniowo jednak okazało się, że skromna wieśniaczka Ehirme nie zjednała sobie sympatii szlachetnie urodzonych. Sprawa została przedstawiona damie dworu, pani Boudecie, surowej, bezkompromisowej i zrodzonej w rodzinie niskiej szlachty. Pani Bou-detta miała różnorakie obowiązki: nadzorowała żeńską służbę, strzegła cnoty służek, osądzała stosowność zadawanych pytań. Znała zwyczaje pałacu. Była skarbnicą, z której czerpać można było wszelkiego rodzaju informacje genealogiczne i skandaliczne.

Bianca, służka z górnych komnat, jako pierwsza przyszła ze skargą na Ehirme.

– Ona jest przecież osobą z zewnątrz, nie należy do pałacu, nawet nie mieszka w nim. Niesie się za nią zapach świń i jest proszona do wszystkich spraw tylko dlatego, że zmiata w sypialni małej Suldrun.

– Tak, tak – powiedziała pani Boudetta, mówiąc przez swój długi, garbaty nos. – Wiem o tym.

– Inna sprawa – Bianca mówiła teraz z lekką emfazą – to, jak wszyscy wiemy, iż księżniczka Suldrun nie ma wiele do powiedzenia i może być lekko zadowolona.

– Bianco! Starczy już tego!

– ...ale kiedy mówi, to jej akcent jest okropny! Co będzie, jeśli król Casmir zdecyduje się porozmawiać z księżniczką i usłyszy głos stajennego chłopca?

– Dobrze to wyraziłaś – odrzekła wyniośle pani Boudetta. – Już o tym myślałam.

– Proszę sobie spamiętać, że ja jestem dobrze przyuczona do stanowiska osobistej służącej, mam doskonały akcent i zaznajomiona jestem z zasadami dobrych manier oraz kompletowania ubioru.

– Zapamiętam to.

W końcu pani Boudetta wyznaczyła na stanowisko zajmowane przez Ehirme szlachciankę ze średniego rodu, swą kuzynkę, panią Maugelin, której winna była przysługę. Ehirme została niezwłocznie odprawiona i ze zwieszoną głową powlokła się do domu.

Suldrun miała wtedy cztery lata. Była posłuszna, łatwa w kierowaniu, ale jakby odległa i zamyślona. Zmiana ta wywołała u niej duży szok. Ehirme była jedyną istotą, którą Suldrun kochała.

Suldrun nie urządziła jednak lamentów. Wspięła się do swojej komnaty i przez dziesięć minut stała, patrząc w dół, ponad miastem. Potem zwinęła w chustę swą lalkę, włożyła zrobiony z owczej wełny płaszcz i cicho opuściła pałac.

Pobiegła w górę drogą, która okręzała wschodnie skrzydło Haidionu, i prześlizgnęła się przejściem pod murem Zoltry. Przebiegła przez Urquial, ignorując groźny Peinhador i szubienice ze zwieszającymi się z nich zwłokami na jego dachu.

Zostawiając za sobą Urquial Suldrun ruszyła truchtem wzdłuż drogi.

Gdy się zmęczyła, zwolniła nieco kroku. Znała trasę dość dobrze: wzdłuż szlaku do pierwszej bocznej dróżki, a potem w lewo do pierwszej chaty.

Nieśmiało popchnęła drzwi i zobaczyła zasępioną Ehirme siedzącą przy stole i obierającą rzepy na zupę. Ehirme spojrzała ze zdziwieniem.

– A co ty tu robisz?

– Nie lubię pani Maugelin. Przyszłam, by zamieszkać z tobą.

– Och, moja mała księżniczko! To niemożliwe. Chodź, musimy cię odprowadzić, zanim ktoś podniesie alarm. Kto widział cię wychodzącą?

– Nikt.

– Chodź więc szybko. Jeśli ktoś spyta, gdzie byliśmy, powiemy, że wyszliśmy, by się przewietrzyć.

– Nie chcę zostać tam sama!

– Suldrun, najdroższa, musisz! Jesteś królewską córką, księżniczką i nigdy o tym nie zapominaj! Oznacza to, że musisz robić, co ci mówią. Teraz chodź!

– Ale ja nie chcę robić tego, co mi każą, jeśli to znaczy, że ty musisz odejść.

– Cóż, zobaczymy! Pospieszmy się, może uda nam się wślizgnąć bez zauważenia.

Tymczasem nieobecność Suldrun już została zauważona. Zwykle w Haidionie nikt się specjalnie nią nie przejmował. Teraz jednak stanęła w centrum uwagi. Pani Maugelin przeszukała całą Wschodnią Wieżę, od poddasza, gdzie często widywano Suldrun („ucieka i kryje się to małe diable", myślała pani Maugelin), w dół przez obserwatorium, gdzie król Casmir schodził, by popatrzeć na zatokę, aż do komnat na następnym piętrze, gdzie był pokój Suldrun. W końcu spocona, zmęczona i zniecierpliwiona zeszła na główne piętro, by zatrzymać się przy płaskorzeźbie i zobaczyć, jak Suldrun z Ehirme otwierają ciężkie drzwi i wchodzi cicho do foyer na końcu głównej galerii. Z impetem, że aż suknie furkotały, pani Maugelin zbiegła z trzech ostatnich stopni i wysunęła się przed wchodzące.

– Gdzie byłaś? Wszyscy jesteśmy straszliwie zaniepokojeni! Chodź, musimy znaleźć panią Boudette, ona tu dowodzi!

Pani Maugelin zeszła galerią i pomaszerowała bocznym korytarzem do biura pani Boudetty, z Suldrun i Ehirme drepczącymi z tyłu.

Pani Boudetta wysłuchiwała pełnej napięcia relacji pani Maugelin i spojrzała na nią, a potem podniosła wzrok na Suldrun i Ehirme. Sprawa wydawała się niepoważna, a w rzeczywistości nawet trywialna i nudna. Był to jednakowoż objaw niesubordynacji i jako taki powinien zostać potraktowany energicznie i stanowczo. Pytanie o winę było nie na miejscu. Pani Boudetta nie oceniała inteligencji Suldrun zbyt wysoko, owszem, mogła stać na równi z naiwną, prostacką Ehirme. I mowy nie było o tym, by Suldrun ukarać. Sollace mogłaby unieść się gniewem, by w ten sposób okazać, że skarcono istotę królewską.

– Pani Boudetta poradziła sobie ze swoim zadaniem w sposób bardzo praktyczny. Spojrzała zimno na Ehirme.

– Coś ty narobiła, kobieto?

Ehirme, której umysł faktycznie nie był lotny, spojrzała bezmyślnie na panią Boudettę.

– Nic nie zrobiłam, moja pani. – Potem jednak, mając na względzie dobro Suldrun, dodała: – To był po prostu jeden z naszych zwykłych, krótkich spacerów. Czyż nie, księżniczko, kochanie?

Suldrun, spoglądając najpierw na podobną do jastrzębia panią Boudettę, potem na dostojną panią Maugelin, odczytała w ich oczach jedynie uczucie niechęci i chłodnego dystansu.

– Wyszłam na spacer, to prawda – powiedziała.

Teraz pani Boudetta obróciła się w stronę Ehirme i rzekła:

– Jak śmiesz przyznawać sobie takie przywileje? Czyż nie zostałam zdjęta ze swego stanowiska?

– Tak, pani, ale to wcale nie było w ten ...

– Nie zwracaj mi głowy. Nie będę słuchała żadnych wymówek. -Boudetta dała znak lokajowi.

– Zabierz tę kobietę na dziedziniec i zawołaj służbę.

Zrozpaczona, szlochająca Ehirme została poprowadzona na przylegający do kuchni dziedziniec dla służby, a z Peinhadoru wezwany został więzienny dozorca. Służbie pałacowej nakazano przyglądać się. Ehirme została ujęta przez dwóch lokajów w liberiach Haidionu i przełożona przez koziół. Z tłumu wystąpił teraz dozorca. Był to tęgi mężczyzna z czarną brodą i bladą skórą w kolorze lawendy. Stał w wyczekującej postawie, patrząc na służki i potrząsał pękiem wierzbowych różg.

Pani Boudetta stała na balkonie wraz z panią Maugelin i Suldrun. Donośnym głosem zawołała:

– Uwaga, służba! Wezwałam tę kobietę, Ehirme, z powodu wykroczenia, jakiego się dopuściła! Powodował ją kaprys i brak odpowiedzialności, gdy zabrała nam naszą kochaną księżniczkę Suldrun, a nas wpędziła w smutek i konsternację. Kobieto, czy okazujesz skruchę?

– Ona nic złego nie zrobiła! Przyproceedziła mnie do domu! Pochłonięta szczególną atmosferą, jaka towarzyszy wymierzeniu

kary, pani Maugelin posunęła się teraz do tego, że uszczypnęła Suldrun w ramię i pociągnęła ją gwałtownie do tyłu.

– Cisza! – syknęła.

– Byłoby mi przykro, gdybym uczyniła coś złego! Ja tylko odprowadziłam księżniczkę do domu.

Pani Boudetta teraz naprawdę uświadomiła sobie, co się stało. Jej usta wykrzywiły się. Postąpiła naprzód. Wypadki zaszły za daleko i jej urząd został narażony na szwank. Ehirme mogła niewątpliwie uniknąć kary za to znieważenie pani Boudetty, ale musiała dostać zapłatę za aroganckie zachowanie.

Pani Boudetta podniosła rękę i rzekła:

– Oto lekcja dla wszystkich! Zapamiętajcie to sobie! Pracujcie sumiennie! Nigdy nie spoufalajcie się! Szanujcie swoich przełożonych! Bądźcie czujni i ostrożni! Dozorco! Osiem batów,



surowych, ale zasłużonych.

Dozorca stanął z tyłu, na twarz opuścił czarną maskę kata i podszedł do Ehirme. Uniósł jej brązowa suknię i zarzucił ją na jej ramiona.

Oczom wszystkich ukazały się teraz pulchne, białe pośladki. Podniósł wysoko różgi i w następnej chwili rozległ się świst, urywany okrzyk Ehirme i coś, co przypominało zachłyśnięcie się i chichot tłumu.

Pani Boudetta patrzyła na to wszystko z zimną obojętnością, a pani Maugelin prezentowała bezmyślny uśmiech. Suldrun stała cicho, skubiąc dolną wargę. Dozorca wykazywał dziś jakąś powściągliwość i doskonale panował nad różgami. Mimo iż nie był łagodnym człowiekiem, nie znajdował dziś przyjemności w zadawaniu bólu i można powiedzieć, że tego dnia był w dobrym humorze. Pozorował cały czas ogromny wysiłek i napięcie, kołysał się w ramionach, pochylał się, stękał, ale przykładał małą uwagę do swoich uderzeń; nie zdierał też skóry. Niemniej jednak Ehirme ryczała przy każdym razie i wszyscy przestraszeni byli surowością jej kary.

– ...siedem ...osiem, wystarczy – oświadczyła pani Boudetta. – Trin-the, Molotta podnieście kobietę; natrzyjcie jej ciało dobrym olejkiem i wyślijcie do domu. Pozostali z powrotem do pracy!

Pani Boudetta obróciła się i zeszła z balkonu do pokoju służby ustawionej najwyżej w hierarchii pałacowej, takiej jak ona. Tu spotkać można było zarządcę, skarbnika, sierżanta pałacowej straży i głównego lokaja; odpoczywali w tym pomieszczeniu i naradzali się. Pani Maugelin i Suldrun podążyły za nią.

Pani Boudetta rozejrzała się, szukając wzrokiem Suldrun, i dostrzegła ją w połowie drogi do drzwi.

– Dziecko! Księżniczko Suldrun! Dokąd idziesz?

Pani Maugelin, tocząc się ociężale, podbiegła do niej i zagroziła jej drogę. Suldrun zatrzymała się i spojrzała na jedną kobietę, a potem na drugą. W jej oczach błyszczały łzy.

– Proszę, posłuchaj mnie, księżniczko – powiedziała pani Boudetta. – Mamy zamiar poświęcić się czemuś nowemu, co być może zbyt długo było odsuwane. Chodzi mianowicie o twoją edukację. Musisz nauczyć się być damą, szanowaną i dystygowaną. Pani Maugelin będzie twoją nauczycielką.

– Nie chcę jej.

– Trudno, ale będziesz ją miała, a to ze względu na specjalne polecenie miłościwej królowej Sollace.

Suldrun spojrzała w twarz pani Boudetty i rzekła:

– Którego dnia ja będę królową. Wtedy ty zostaniesz wy-chłostana.

Pani Boudetta otworzyła usta, a następnie je zamknęła. Zrobiła szybki krok w stronę Suldrun, która trwała w postawie wyzywającej do walki. Pani Boudetta zatrzymała się. A pani Maugelin tymczasem uśmiechnęła się smutno, rzucając spojrzeniami w różne strony.

– Księżniczko Suldrun, robię to tylko dla twego dobra – rzekła pani Boudetta ochrypłym głosem, płaszcząc się prawie z uprzejmości. – To niespotykane, by królowa czy księżniczka okazywała taką złość i mściwość.

– W rzeczy samej, ja też tak twierdzę – przytaknęła obłudnie pani Maugelin.

– Kara została wymierzona – stwierdziła pani Boudetta, wciąż ostrożnie cedząc słowa. – Wszystkim to na pewno wyszło na dobre. Ale teraz musimy o tym zapomnieć i usunąć to z naszych umysłów. Od tej chwili jesteś znów naszą drogą księżniczką Suldrun i czcigodna pani Maugelin będzie odtąd uczyć cię dobrych manier.

– Nie chcę jej. Chcę Ehirme.

– Sza! Bądź grzeczna.

Zaprowadzono teraz Suldrun do jej komnaty. Pani Maugelin usadowiła się na krześle i zaczęła haftować. Suldrun podeszła do okna i zapatrzyła się na zatokę.

Pani Maugelin człapała ociężale w górę spiralnych schodów do apartamentów pani Boudetty. Jej biodra kołysały się pod ciemnobrązową suknią i mozolnie przemieszczały przy kolejnym kroku. Na drugim piętrze zatrzymała się, łapiąc pospiesznie oddech, a następnie podeszła do drzwi w kształcie łuku, które zwieńczone były belką ozdobioną kutym żelazem. Drzwi były uchylone. Pani Maugelin popchnęła je trochę i teraz ze skrzypnięciem żelaznych zawiasów otworzyły się na taką szerokość, że mogła przecisnąć przez nie swe obfite kształty. Stała na progu, lustrując wszystkie kąty naraz.

Pani Boudetta siedziała przy stole i podawała na opuszku długiego, chudego palca ziarno rzepaku zamkniętej w klatce sikorce.

– Dziobnij, Dicco, dziobnij! Wspaniały ptak! Ach! To było dobre, co?

Pani Maugelin poczłapała dwa kroki do przodu, wreszcie pani Boudetta podniosła wzrok.

– Cóż znowu?

Pani Maugelin kręciła głową, załamywała ręce i oblizywała ściągnięte usta.

– Dziecko jest jak głaz – rzekła. – Nic nie mogę z nią zrobić. Pani Boudetta wydała z siebie krótki, ostry dźwięk.

– Musisz być zdecydowana! Sporządź program dnia! Wymagaj posłuszeństwa!

Pani Maugelin rozwarła szeroko ramiona i wypowiedziała jedno jedyne zgryźliwe słowo:

– Jak?

Pani Boudetta cmoknęła nerwowo językiem o zęby i odwróciła się ku ptasiej klatce.

– Dicco? Ćwir, ćwir, Dicco! Jeszcze jedno dziobnięcie i to wszystko... Nie więcej! – powiedziała, po czym wstała i wraz z panią Maugelin, podążającą za nią krok w krok, poszła schodami na dół i w górę, do komnat Suldrun. Otworzyła drzwi i spojrzała na salon.

– Księżniczko?

Suldrun nie odpowiedziała i nie było jej też nigdzie widać. Kobiety weszły do pokoju.

– Księżniczko! -zawołała pani Boudetta. – Ukrywasz się przed nami? Chodź tutaj, nie bądź niegrzeczna.

Pani Maugelin jęknęła smutnym kontraltem:

– Gdzie jest ta przewrotna mała istota? Wydałam jasne polecenie, że ma nie ruszać się z krzesła.

Pani Boudetta zajrzała do komnaty sypialnej i zawołała:

– Księżniczko Suldrun! Gdzie jesteś? – Przechyliła głowę, by posłuchać, ale niczego nie usłyszała.

Komnaty były puste.

– Znowu poszła do tej wieśniaczki – zamruczała pani Maugelin. Pani Boudetta podeszła do okna, chcąc prześledzić drogę biegnącą

na wschód, ale widok całkowicie zasłonił pochyły, kryty dachówkami dach nad arkadą i rozwalający się Mur Zoltry. Poniżej znajdowała się oranżeria. Tutaj Boudetta dostrzegła ukrytą do połowy pod ciemnozieloną folią białą sukienkę Suldrun. Cicho i ostrożnie, w towarzystwie mrużącej coś pod nosem pani Maugelin, wyszła z pokoju. Zeszła schodami i wyszła na zewnątrz, do oranżerii.

Suldrun siedziała na ławce, bawiąc się kępką trawy. Bez żadnych emocji przyjęła pojawienie

się dwóch kobiet i znów zwróciła swą uwagę na trawę.

Pani Boudetta zatrzymała się i spoglądała w dół na jasnowłosą główkę. W jej wnętrzu falował gniew, ale była zbyt sprytna i zbyt ostrożna, by pozwolić małej to odczuć. Z tyłu stała pani Maugelin, której napięcie zasznurowało usta. Miała jednak nadzieję, że pani Boudetta obejdzie się z księżniczką odpowiednio ostro, że potrząśnie, uszczypnie albo da klapsa na jędrne, małe pośladki.

Głos pani Boudetty zgrzytał z napięcia, gdy wreszcie przemówiła, a księżniczka Suldrun podniosła oczy i przez moment patrzyła na nią. Potem, jakby w znudzeniu czy apatii, odwróciła wzrok i pani Boudetta nie mogła oprzeć się wrażeniu, że dziecko patrzy w przyszłość, wybiega wzrokiem wiele lat do przodu.

– Księżniczko Suldrun, czy jesteś niezadowolona z poleceń pani Maugelin? – zapytała ostrożnie.

– Nie lubię jej.

– Ale lubisz Ehirme?

W odpowiedzi na to Suldrun szarpnęła tylko źdźbło trawy.

– Bardzo dobrze – powiedziała z powagą w głosie pani Boudetta. -Więc tak będzie. Nie możemy pozwolić, by nasza droga księżniczka była nieszczęśliwa.

Suldrun na moment poderwała wzrok, który przejrzał panią Boude-ttę na wylot. A rozczarowana pani Boudetta pomyślała: „Jeśli tak to jest, niech będzie. Przynajmniej się rozumiemy”.

Aby jednak uratować twarz, powiedziała srogo:

– Ehirme powróci, ale ty musisz słuchać pani Maugelin, która będzie instruować cię w sprawach manier.



## Rozdział 2

Ehirme wróciła, a pani Maugelin kontynuowała swe próby edukacji Suldrun z powodzeniem nie większym niż przedtem. Suldrun nie była właściwie niesubordynowana, była raczej nieobecna myślami. Nie można też powiedzieć, że sprzeciwiała się pani Maugelin, po prostu ją ignorowała.

Pani Maugelin znajdowała się w przykrym położeniu. Jeśli przyznałaby się do swej nieudolności, pani Boudetta mogła przydzielić ją do mniej przyjemnego zajęcia. Pojawiała się więc codziennie w komnatach Suldrun i zastawała tam już Ehirme.

Dwójka ta czasami zauważała jej przybycie lub też nie. Wtedy pani Maugelin, uśmiechając się histerycznie i rzucając wzrokiem na wszystkie strony, zaczynała przechadzać się po pokoju, dotykając najróżniejszych przedmiotów pod pozorem porządkowania i właściwego ustawienia. W końcu podchodziła do Suldrun z jowialną i niefrasobliwą ufnością, mówiąc:

– Księżniczko, musimy dziś pomyśleć o tym, jak zrobić z ciebie prawdziwą damę dworu. Na początek pokaż mi swój najpiękniejszy ukłon.

Suldrun została już częściowo wprowadzona w tajniki etykiety dworskiej i przećwiczyła sporo ukłonów, głównie demonstrowanych jej przez ociążałą i niezdarną panią Maugelin. Były to wciąż te same, wyraźnie skrzypiące skręty, które Suldrun z litości tylko zaczęła ćwiczyć.

Po południowym posiłku, który czasem był podawany w komnatach Suldrun, a czasami w oranżerii – w zależności od pogody – Ehirme wracała do domu, by zająć się swoim gospodarstwem. Pani Maugelin tymczasem udawała się na popołudniową drzemkę. Snu oczekiwano także od Suldrun, ale gdy tylko w gardle pani Maugelin zaczynały rozlegać się chrapliwe dźwięki, Suldrun wymykała się z łóżka, wkładała buty, biegła do hallu, a stamtąd schodami w dół, by zapoznać się z zakamarkami starożytnego pałacu.

Czas w południe upływał powoli i cały pałac był jakby uśpiony, gdy wąty cień małej dziewczynki poruszał się po galeriach i przez wysokie komnaty, podobny do sennej zjawy.

Przy słonecznej pogodzie mogła odwiedzać oranżerię, by bawić się w wymyślone gry w cieniu szesnastu starych drzew pomarańczowych. O wiele częściej jednak wędrowała nikłymi ścieżkami w stronę Wielkiego Hallu, a stamtąd wyżej, do Hallu Honorów, gdzie pięćdziesiąt cztery krzesła ciągnęły się rzędem pod ścianami z prawej i lewej strony, na których zasiadali reprezentanci pięćdziesięciu czterech najszlachetniejszych domów Lyonese.

Herb nad każdym krzesłem zdradzał Suldrun wewnętrzną naturę poszczególnego mebla, wskazywał na charakterystyczne właściwości. Przez jedno krzesło jakby bokiem przesuwiał się jakiś obcy akcent, coś fałszywego, co jednocześnie miało w sobie coś powabnego. Inne z kolei emanowało śmiałością i odwagą. Suldrun odczytywała wiele cech, które odzwierciedlały najróżniejsze uczucia i nawet nie zawsze mogły być opisane czy wyrażone słowem, które powodowały u niej skręty jelit albo dreszcze przebiegające przez skórę, lub doznania erotyczne, przelotne, przyjemne, ale bardzo dziwne. Niektóre krzesła były miłe i przyjazne dla Suldrun i ofiarowywały jej ochronę; inne były po brzegi wypełnione grozą. Poruszając się pomiędzy tymi masywnymi przedmiotami, Suldrun czuła się wyciszona i swobodna. Spacerowała wolnymi krokami, nasłuchując niesłyszalnych dźwięków i przyglądając się grze kolorów. Siedząc – pół śpiąc, pół czuwając – w ramionach przyjaznego jej krzesła, Suldrun otworzyła się zupełnie na otoczenie. Mruczące, niesłyszalne głosy zmieniły się teraz w możliwe do wychwycenia, brzmiały jak opowieść o porażkach i zwycięstwach, słyszała mowę krzesła.

W końcu pokoju ciemnoczerwona płachta, ozdobiona Drzewem Życia, zwieszała się od stropu do podłogi. Przerwa w materiale udostępniała wejście do lamusa: ciemnego i obskurnego

pomieszczenia pachnącego starym kurzem. W pokoju tym składowane były odświętne rupiecie: wyrzeźbiona z alabastru waza, kielichy, zawiniątko ubrań. Suldrun nie lubiła tego pokoju; wydawał się obrzydliwym miejscem, gdzie były planowane i może realizowane okrutne czyny, wywołujące podświadome drżenie.

Istniały też halle, które nie miały nic interesującego do ukazania. Wtedy Suldrun szła wzdłuż barierek i starej twierdzy do Sfer Arct, gdzie zawsze były ciekawe widoki: przyjeżdżający i odjeżdżający podróżni, wozy wysoko załadowane beczkami, balami i koszami; błędni rycerze w powgniatanych zbrojach; grandowie ze swymi świtami; podróżujący czeladnicy, księża i pielgrzymi tuzina sekt, wieśniacy przybywający na targ, by kupić dobre ubranie, przyprawy, trochę tego i tamtego.

Na północy Sfer Arct przechodziła pomiędzy Maegherem i Yaxem: skamieniałymi gigantami, którzy pomagali królowi Zoltrze Wspaniałemu pogłębić Zatokę Lyonesse. Za karę, za swój opór, zostali zamienieni w kamień przez Ambera czarodzieja i tak powstała legenda.

Z galerii Suldrun miała widok na Zatokę i cudowne statki z dalekich ziem, skrzypiące przy cumowaniu. Były one jednak nieosiągalne; zapuszczanie się tak daleko mogłoby wywołać sztorm wymówek ze strony pani Maugelin. Suldrun mogłaby popaść w niełaskę królowej Sollace albo nawet być postawiona przed groźne oblicze króla Casmira. Nie życzyła sobie ich zobaczyć: królowa Sollace była niczym więcej niż władczym głosem, dobywającym się z fali wspaniałych szat. Król Casmir oznaczał dla Suldrun surową twarz ze szlachetnymi, niebieskimi oczyma, złote loki i złotą koronę oraz bujną złotą brodę.

Konfrontacja z królową Sollace lub z królem Casmirem była czymś zbyt ryzykownym i dlatego Suldrun ograniczała swe przygody do granic Haidionu.

Kiedy Suldrun miała siedem lat, królowa Sollace zaszła ponownie w ciążę i tym razem powiła syna. Sollace nie bała się już tak bardzo i w konsekwencji nie cierpiała tak, jak rodząc Suldrun. Niemowlęciu nadano imię Cassander; w odpowiednim czasie miał zostać Cassandrem V. Urodził się latem i pogoda była tak piękna, że uroczystości z tej okazji ciągnęły się przez cały tydzień.

Wielu szlachetnych gości z całych wysp Elder odwiedziło Haidion. Z Dascinetu przybył książę Othmar z akwitańską małżonką, księżną Eu-linette, książęta Athebanas, Helingas i Outrimadax ze swoimi orszakami. Król Granice z Troicinetu przysłał książęcych braci, Arbameta i Ospera, oraz syna Arbameta – Trewana i syna Ospera – Aillasa. Z Południowych Ulflandów przyjechał Wielki Książę Erwig, ofiarowując dar urodzinowy: prześwietną mahoniową szkatułę wysadzaną czerwonym rogowcem i niebieskim turkusem. Nikt nie reprezentował króla Gaxa z Północnych Ulflandów, napastowanego przez Skalradów. Król Audry z Dahautu przysłał delegację szlachciców i dwanaście słoni wyrzeźbionych z kości słoniowej... i tak dalej.

Podczas ceremonii nadania imienia, która odbywała się w Wielkim Hallu, księżniczka Suldrun siedziała skromnie wraz z sześcioma córkami wyższej szlachty. Naprzeciwko nich posadzono książąt Trewana i Aillasa z Troicinetu, Bellatha z Caduzu i trzech młodych książąt z Dascinetu. Na tę okazję Suldrun włożyła suknię z pastelowego, błękitnego aksamitu, a opaska, ozdobiona kamieniami księżycowymi, spinała jej miękkie, jasne włosy. Nietrudno było zauważyć, jaką urodą była obdarzona, co przyciągało uwagę wielu osób, które wcześniej nie okazywały jej większego zainteresowania, włączając w to samego króla Casmira. Pomyślał: „Jest śliczna, to oczywiste, jeśli nawet trochę chuda i koścista. Wygląda nieco na odludka, być może jest zbyt zamknięta w sobie... Cóż, znajdzie się na to jakaś rada. Jak dorośnie, będzie doskonałą partią”. Casmir, który coraz żarliwiej pragnął przywrócić Lyonesse jego starożytny splendor, rozważał dalej: „Z pewnością nie jest zbyt wcześnie, by zacząć o tym myśleć”.

Pobieżnie zastanowił się nad możliwościami. Dahaut stanowił oczywiście wielką przeszkodę w jego planach, a król Audry był jego zaprzysiężonym, choć skrytym wrogiem. Któregoś dnia stara wojna wybuchnie na nowo, ale bardziej niż atakować Dahaut w kierunku wschodnim, przez Pomperol, gdzie linie operacyjne Audry'ego były ograniczone (co było wielkim błędem króla Phristana), Casmir zdecydowałby się na atak przez Południowe Ulflandy, aby zdusić wysunięte zachodnie flanki Dahautu. I tu król Casmir zamyślił się nad Południowymi Ulflandami.

Król Oriante, blady, okrągłogłowy mały mężczyzna, był nieudolny, drażliwy i zjadliwy jak osa. Rządził na swoim zamku Sfan Sfeg niedaleko miasta Oaldes, ale nie był w stanie narzucić swej władzy porywczym i niezależnym baronom z gór i wrzosowisk. Jego żona, Behus, wysoka i korpulentna zarazem, urodziła mu jednego syna. Quilcy miał teraz pięć lat, był odrobinę niedorozwinięty i nie był w stanie powstrzymać śliny ciekącej mu ciągle z ust. Skojarzenie Quilcy'ego z Suldrun mogło się okazać wyjątkowo korzystne. Dużo zależałoby od tego, jaki wpływ potrafiłaby Suldrun wywrzeć na małżonka o słabym umyśle. Jeśli Quilcy był tak uległy, jak donosiły raporty na jego temat, bystra kobieta nie powinna mieć z nim większych trudności.

Tak właśnie rozważał król Casmir, stojąc w Wielkim Hallu w dzień nadania imienia swemu synowi Cassandrowi.

Suldrun poczuła na sobie spojrzenie ojca. Intensywność tego spojrzenia zaniepokoiła ją i przez moment obawiała się, że mogła czymś wywołać jego niezadowolenie. Ale on wkrótce odwrócił się i, ku jej uldze, nie zwracał na nią więcej uwagi.

Dokładnie naprzeciwko siedzieli książęta z Troicinetu. Trewan miał czternaście lat, był silny i wysoki jak na swój wiek. Jego ciemne włosy były podcięte prosto i krótko nad czołem i sięgały mu gęstymi kosmykami aż za uszy. Jego rysy były może odrobinę toporne, ale w żadnym razie nie brakowało mu urody; w rzeczy samej dał już odczuć swą obecność pomiędzy służkami w Zarcone, siedzibie swego ojca, księcia Arbameta.

Przyglądał się Suldrun w taki sposób, który wprawiał ją w zakłopotanie.

Drugim księciem był Aillas, dwa lub trzy lata młodszy od Trewana. Był szczupły w biodrach i potężny w barkach. Jego proste, jasnobrzo-we włosy były obcięte krótko, na pazia, zakrywając czubki uszu. Nos miał krótki i prosty, czyste i wyraźne rysy. Zdawał się nie zauważać Suldrun, którą w dziwny sposób to odrobinę irytowało, choć nie odpowiadała jej śmiałość drugiego księcia... Jej uwagę odwróciło wejście czterech posępnych druidzkich kapłanów.

Ubrani byli w długie brązowe szaty utkane z janowca, ściągnięte w pasie, a obszerne kaptury zakrywały ich twarze. Każdy trzymał dębową gałąź ze świętego gaju. Podeszli do przodu, ich długie białe stopy raz pojawiały się, raz znikwały pod tunikami, po czym ustawili się po wschodniej, zachodniej, północnej i południowej stronie kołyski.

Druid, stojący z północnej strony, uniósł dębową gałąź nad dzieckiem, dotknął jego czoła drewnianą różdżką i przemówił: – Dagda cię błogosławi i obdarza cię imieniem Cassander.

Druid, stojący z zachodniej strony, wyciągnął gałąź i rzekł:

– Brigit, pierwsza córka Dagdy, błogosławi cię i przekazuje dar poezji, i nazywa cię Cassander.

Druid, ustawiony z południowej strony, wyciągnął gałąź i rzekł:

– Brigit, druga córka Dagdy, błogosławi cię i obdarza dobrym zdrowiem i mocą uzdrawiania, i nazywa cię Cassander.

Druid, stojący po wschodniej stronie, wyciągnął gałąź i powiedział:

– Brigit, trzecia córka Dagdy, błogosławi cię i przekazuje dar żelaza w mieczu i tarczy, sierpie i pługu, i nazywa cię Cassander.

Wszyscy razem unieśli swe gałęzie, tworząc nad dzieckiem liściaste sklepienie.

– Niechaj światło Luga ogrzewa twoje ciało; niechaj ciemności Ogmy będą dobrą wróżbą na przyszłość; niechaj Lir wspomaga twoje statki; niechaj Dagda na zawsze otacza cię swą łaską.

Odwrócili się i powoli, boso wyszli z komnaty.

Giermkowie w szkarłatnych bufiastych pantalonach unieśli rogi i zagrali hejnał „Honor królowej”. Wszyscy wstali i w niemal zupełnej ciszy królowa Sollace oddaliła się, oparta na ramieniu damy Lenore, podczas gdy pani Desdea nadzorowała wynoszenie małego księcia.

Na górnej galerii pojawili się muzycy z cymbałami, piszczałkami, lutnią i kadwalem (są to jednostrunowe skrzypce do grania skocznych tańców). Przygotowano miejsce na środku hallu, a giermkowie zagrali drugą fanfarę: „Lo! Wesoly król!”

Król Casmir skłonił się przed damą Arresme, księżną Slahanu; muzycy zagrali stateczny akord i król Casmir powiódł damę Arresme do pawany. Za nimi podążyli lordowie i damy królestwa w korowodzie wspaniałych kostiumów we wszystkich kolorach, gdzie każdy gest, każdy krok, każdy ukłon i ruch głowy, ręki i nadgarstka wyznaczony był przez dworską etykietę. Suldrun przyglądała się zafascynowana: wolny krok, przerwa, mały ukłon i zatoczenie ramionami we wdzięcznym stylu, potem kolejny krok, szelest jedwabiu i szmer koronek, zdobiących suknie, na tle dźwięczącej, harmonijnej melodii. Jakże poważny i stateczny zdawał się jej ojciec, nawet podczas tańczenia frywolnej pawany!

Pawana się zakończyła i towarzystwo przeniosło się na Clod an Dach Nair, gdzie zajęto miejsca przy bankietowych stołach. Również tutaj rządziły sztywne zasady pierwszeństwa. Główny herold i jego pomocnik byli w nie lada opałach, gdy starali się usadzić gości tak, by oddać najmniejsze między nimi różnice. Suldrun została posadzona tuż po prawej stronie króla Casmira, na krześle zwykle zajmowanym przez królową. Tego wieczoru królowa Sollace nie czuła się dobrze i leżała w łóżku, gdzie objadała się słodkimi serowymi torcikami, podczas gdy Suldrun po raz pierwszy jadła przy tym samym stole z królem, swoim ojcem.

Trzy miesiące po narodzinach księcia Cassandra życie Suldrun odmieniło się. Ehirme, która była już matką dwóch synów, urodziła bliźniaki. Jej siostra, która opiekowała się domem, gdy Ehirme była w pałacu, wyszła za rybaka i w ten sposób nie mogła już dłużej służyć Suldrun.

Niemal w tym samym czasie pani Boudetta oznajmiła, że – zgodnie z życzeniem króla Casmira – Suldrun ma pobierać nauki manier, tańca i wszystkich innych umiejętności odpowiednich dla królewskiej księżniczki. Suldrun poddała się z rezygnacją temu programowi, który prowadzony był przez rozmaite damy dworu. Jednak, tak jak uprzednio, podczas sennych godzin wczesnego popołudnia wymykała się cicho z zamku: do oranżerii, biblioteki lub Hallu Honorów. Z oranżerii droga wiodła wzdłuż arkady, aż do muru Zoltry i dalej podziemnym tunelem na Urquial. Suldrun wędrowała do końca tunelu i stała w cieniu, obserwując zbrojnych rycerzy, ćwiczących posługiwanie się mieczami i pikami. Stanowili dla niej doskonałe przedstawienie, stąpając, pokrzykując, nacierając w przód, cofając się... Na prawo obiegał Urquial stary, rozsypujący się mur. Prawie niewidoczne za starym, powalonym modrzewiem spróchniałe ze starości drzwi prowadziły na drugą stronę.

Suldrun wymknęła się z tunelu i skryła w cieniu za modrzewiem. Spojrzała przez pęknięcie w drzwiach, potem pociągnęła za zasuwę podtrzymującą wypaczone belki. Użyła całej swojej siły, daremnie. Znalazła kamień i uderzyła nim zamiast młotkiem. Nity puściły, zasuwa zwiesiła się na bok. Suldrun pchnęła, drzwi zatrzeszczały i drgnęły. Odwróciła się i uderzyła w nie małymi krągłymi pośladkami. Drzwi zaprotestowały niemal ludzkim głosem i uchyliły się. Suldrun przecisnęła się przez szparę i znalazła się u wejścia do wąwozu, który zdawał się ciągnąć aż na dół do samego



morza. Zbierając odwagę przeszła w dół parę kroków starą ścieżką. Zatrzymała się i nasłuchiwała... żadnego dźwięku. Była sama. Przeszła pięćdziesiąt stóp i dotarła do małej budowli ze zwietrzałych kamieni, teraz zniszczonej i opustoszałej, najwyraźniej była to starożytna świątynia.

Suldrun nie ośmieliła się pójść dalej. Zaczęto by jej szukać i pani Boudetta zbeształaby ją. Wyciągnęła szyję, spoglądając w dół wąwozu, i dostrzegła korony drzew. Z ociąganiem odwróciła się i wróciła tą samą drogą, którą przyszła.

Jesienna burza przyniosła cztery dni deszczu i mgły do miasta Lyo-nesse i Suldrun była zmuszona przebywać na Haidionie. Piątego dnia chmury przerzedziły się, a promienie słońca przeświecały przez nie pod różnymi kątami. Do południa niebo było na poły niebieskie, na poły przesłonięte pędzącymi chmurami.

Korzystając z pierwszej okazji, Suldrun pobiegła arkadą, tunelem pod murem Zoltry, a potem, po ostrożnym spojrzeniu na Urquial, przeszła pod modrzewiem i przez stare drewniane drzwi. Zamknęła je za sobą, stanęła i zadrżała, czując się nagle oddzielona od reszty świata.

Zeszła starą ścieżką do świątyni. Była to ośmiokątna konstrukcja, umieszczona na skalnej półce, za którą stromo wznosiła się grań wąwozu. Suldrun zajrzała przez niskie, sklepione łukiem drzwi. Do tylnej ściany prowadziły cztery długie stopnie, gdzie nad niskim kamiennym ołtarzem znajdował się wizerunek Mithry. Światło dostawało się do środka przez umieszczone po obu stronach wąskie okna. Łupkowe płytki pokrywały dach. Powiew wiatru przyniósł od wejścia trochę suchych liści, a poza tym świątynia była pusta. Unosił się tam jednak przejmująco wilgotny, słodkawy zapach, wprawdzie delikatny, ale nieprzyjemny. Suldrun skrzywiła nos i cofnęła się.

Wąwóz schodził stromo w stronę morza. Skarpy po obu stronach przypominały niskie, nieregularne urwiska. Ścieżka skręcała raz w jedną, raz w drugą stronę, wiodąc między kamieniami, kępkami dzikiego tymianku, złotogłowu i ostów, to znów wychodziła na pokryte ziemią tarasy. Dwa potężne dęby, prawie wypełniające sobą całą szerokość wąwozu, stały na straży starożytnego ogrodu i Suldrun poczuła się jak poszukiwacz odkrywający nową ziemię.

Z lewej strony urwisko wznosiło się wysoko. Nieregularny zagajnik cisów, wawrzynów, grabów i mirtów ocieniał rosnące poniżej krzewy i kwiaty: fiołki, paprocie, dzwonki, niezapominajki, zawilce i kępy to-miłków, napełniających powietrze swymi zapachami. Z prawej strony urwisko niemal tak samo wysokie zatrzymywało światło słoneczne. Poniżej rósł rozmaryn, złotogłów, naparstnica, dzikie geranium, cytrynowa werbena. Smukłe czarno-zielone cyprysy i kilkanaście olbrzymich drzew oliwkowych o pozwijanych i powykrzywianych gałęziach tworzyło piękne tło świeżego szarozielonego listowia i kontrastującą z nim czerń starych pni.

W miejscu, gdzie wąwóz się rozszerzał, Suldrun doszła do ruin starej rzymskiej willi. Nie pozostało z niej nic poza spękaną marmurową posadzką, obaloną do połowy kolumnadą i chaosem marmurowych bloków pomiędzy chwastami i ostami. Na krawędzi tarasu rosło samotne drzewo cytrynowe o grubym pniu i poskręcanych konarach. Poniżej, ścieżka wiodła na wąską kamienistą plażę, pomiędzy dwoma przylądkami, tam gdzie urwiska po obu stronach wcinały się w morze.

Wiatr się uspokoił, prawie ustał, ale bałwany sztormowe nadal obmywały przylądki i rozbijały się na kamiennej plaży. Przez chwilę Suldrun przyglądała się, jak promienie słoneczne odbijają się w morzu, potem odwróciła się i spojrzała w głąb wąwozu. Stary ogród był bez wątpienia zaczarowany, pomyślała, ale były to dobre czary. Czowała tylko spokój. Drzewa kąpały się w słońcu, nie zwracając na nią uwagi. Wszystkie kwiaty ją kochały, z wyjątkiem dumnego złotogłowu, który kochał tylko samego siebie. Ruiny przemówiły na chwilę melancholijnymi wspomnieniami, ale były one bezdźwięczne i bardziej ulotne niż babie lato.

Słońce przesunęło się na niebie. Suldrun niechętnie ruszyła z powrotem. Zaczęto by jej szukać, gdyby została dłużej. Przeszła przez ogród, pod górę, przez stare drzwi i wróciła arkadą do Haidionu.



### Rozdział 3

Kiedy Suldrun obudziła się, jej pokój spowity był szarym, ponurym, wręcz wilgotnym światłem, wpadającym przez okna. Deszcze powróciły, a jej służka zapomniała rozpałić na kominku. Suldrun czekała przez chwilę, a potem zrezygnowana zsunęła się z łóżka, i trzęsąc się z zimna, ubrała się i uczesała włosy.

Służka pojawiła się w końcu i pośpiesznie rozpałiła na kominku, obawiając się, że Suldrun poskarży się pani Boudetcie, ale jej zaniedbanie już umknęło myślom Suldrun.

Podeszła do okna. Deszcz rozmazywał krajobraz, z zatoki zrobiła się deszczowa kałuża, a dachy miasta były tysiącami kształtów w wielu odcieniach szarości. Gdzie podziały się kolory? Kolory! Cóż za dziwne zjawisko! Błyszczą w świetle słonecznym, ale podczas szarego deszczu znikają: nad wyraz zastanawiające. Podano jej śniadanie i jedząc nadal zastanawiała się nad paradoksem kolorów. Czerwony i niebieski, zielony i purpurowy, żółty i pomarańczowy, brązowy i czarny: każdy z nich miał swój charakter i szczególną wartość, a były tak niematerialne...

Suldrun zeszła do biblioteki na lekcje. Jej nauczycielem był teraz mistrz James – archiwista, uczony i bibliotekarz na dworze króla Ca-smira. Na początku wydawał się jej zniechęcającą osobą, surową i pedantyczną, jako że był wysoki i chudy, a jego długi, wąski, spiczasty nos przypominał drapieżnego ptaka. Tymczasem mistrz James zaledwie kilka lat temu skończył z pierwszymi dzikimi popędami młodości, nie był stary, nie był nawet w średnim wieku. Jego gęste czarne włosy obcięte były w połowie czoła i równo dookoła głowy, tuż nad uszami. Skórę miał pergaminowo bladą. Jego ręce i nogi były długie i chude jak całe ciało. Mimo to poruszał się z godnością, w jego niezgrabnych gestach była nawet przedziwna gracia. Był szóstym synem Sir Crinseya z Hredec, posiadłości, na którą składało się trzydzieści akrów kamienistych wzgórz, i nie otrzymał od swego ojca nic poza darem narodzin. Ucząc księżniczkę Suldrun, starał się zachowywać formalnie i obojętnie, ale Suldrun szybko nauczyła się, jak go oczarować i zbałamucić. Zakochał się w niej beznadziejnie, chociaż udawał, że nie jest to nic ponad pewną dozę tolerancji. Suldrun natomiast, gdy chciała, była wyjątkowo spostrzegawcza, przejrzała jego wysiłki w udawaniu obojętności i przejęła kontrolę nad procesem nauczania. Mistrz James marszczył brwi, widząc jej pismo, i mówił:

- Te „A” i „G” wyglądają zupełnie tak samo. Trzeba je napisać raz jeszcze, z większą uwagą.
- Ale pióro się złamało.
- To je zaostrz! Tylko ostrożnie, nie zatnij się. Tego też musisz się nauczyć.
- Au, auuu, auuu!
- Przecięłaś się?
- Nie. Tylko próbowałam na wszelki wypadek.
- Tego nie musisz próbować. Z bólu płacze się całkiem łatwo i naturalnie.
- Czy daleko podróżowałaś?
- A co to ma wspólnego z ostrzeniem pióra?
- Zastanawiam się, czy uczniowie w tak odległych miejscach, jak na przykład Afryka, obcinają pióra w inny sposób.
- Nie mogę nic na ten temat powiedzieć.
- Jak daleko podróżowałaś?
- Och, niezbyt daleko. Studiowałam na uniwersytecie w Avallo-nie, a także w Metheglin. Raz byłem w Akwitanii.
- Jakie jest najdalsze miejsce na świecie?
- Hmm... Trudno powiedzieć. Cathay? Odległe krańce Afryki?

- To nie może być właściwa odpowiedź.
- Czyżby? Proszę mnie w takim razie poprawić.

Nie ma takiego miejsca, nawet za tymi najodleglejszymi rozciąga się coś jeszcze dalej.

- Tak. Być może. Pozwól, zaostrzę ci pióro. O, właśnie tak. A teraz wracamy do kaligrafii.

Kiedy w deszczowy poranek Suldrun zeszła do biblioteki na lekcje, zastała tam czekającego już na nią mistrza Jamesa z tuzinem przygotowanych piór.

- Dzisiaj – powiedział – musisz napisać swoje imię, od początku do końca, i tak umiejętnie, żeby mnie zadziwić.

- Będę się starać – powiedziała Suldrun. – Piękne są te pióra.

- Doskonałe, w rzeczy samej.

- Wszystkie są zupełnie białe.

- Tak jest w istocie.

- Natomiast atrament jest czarny. Myślę, że czarne pióra pasowałyby lepiej do czarnego atramentu.

- Nie wydaje mi się, aby ta różnica miała jakieś znaczenie.

- Moglibyśmy wypróbować biały atrament z tymi białymi piórami.

- Nie mam ani białego atramentu, ani czarnego pergaminu. Teraz zaś...

- Mistrzu Jamesie, tego ranka zastanawiałam się nad kolorami. Skąd się biorą? Czym są?

Mistrz James zamrugał powiekami i przechylił głowę.

- Kolory? Po prostu istnieją. Wszędzie widzimy kolory.

- Ale raz są, a raz ich nie ma. Czym więc są?

- Cóż, doprawdy nie wiem. Zadajesz intrygujące pytania. Rzeczy czerwone są czerwone. Zielone są zielone i tak już po prostu jest.

Suldrun z uśmiechem potrząsnęła głową.

- Czasami, mistrzu Jamesie, wydaje mi się, że wiem tyle, co ty.

- Nie rób mi wymówek. Widzisz te książki, tam? Platon, Cnensus, Rohan i Herodot – czytałem ich wszystkich, a dowiedziałem się tylko, jak uboga jest moja wiedza.

- A czarodzieje? Czy oni wiedzą wszystko?

Mistrz James wcisnął z powrotem swe długie zgarbione ciało na krzesło, porzucając wszelkie nadzieje na formalną i prawidłową atmosferę. Spojrzał za okno biblioteki i po chwili powiedział:

- Kiedy jeszcze mieszkałem w Hredec, byłem wtedy wyrostkiem, zaprzyjaźniłem się z pewnym czarodziejem.

Spoglądając na Suldrun zauważył, że udało mu się przyciągnąć jej uwagę.

- Miał na imię Shimrod. Pewnego dnia odwiedziłem go w jego domu, Trudzie, i zupełnie nie zauważyłem, jak szybko minął czas. Nadeszła noc, a byłem daleko od domu. Shimrod złapał mysz i przemienił ją w pięknego konia. „Jedź prędko do domu, powiedział, i nie zsiadaj z niego ani nie dotykaj ziemi, zanim nie dojedziesz do celu, bo gdy to uczynisz, koń z powrotem zamieni się w mysz!”

- Posłuchałem jego słów. Przejechałem całą drogę w pięknym stylu, budząc po drodze zazdrość tych, którzy mnie widzieli. Przezornie też zsiadłem z wierzchowca za stajnią, żeby nikt nie zauważył, że jeździłem na myszy.

- Ale, marnujemy tu czas. – Wyprostował się w krześle. – Weź teraz swoje pióro, zamocz je w atramencie i wykaligrafuj mi śliczne „R”, jako że będziesz wreszcie pisać swoje imię.

- Ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie!

– Czy czarodzieje wiedzą wszystko? Odpowiedź brzmi: nie. A teraz, złap pewnie za pióro.

– Och, mistrzu Jamesie, jestem dziś taka znudzona pisaniem. Poucz mnie trochę magii zamiast tego.

– Ha, czy gdybym się znał na czarach, to tkwiłbym tutaj za dwa floreny tygodniowo? Nie, nie moja księżniczko, mam trochę więcej oleju w głowie! Przemieniłbym dwie tłuste myszy w parę pięknych koni i zostałbym przystojnym księciem, niewiele starszym od ciebie. Pojechalibyśmy przez wzgórza i doliny do cudownego zamku pośród chmur, a tam jedlibyśmy truskawki ze śmietaną i słuchali dźwięków harf i elfo-wych dzwonek. Niestety, nie znam się na czarach. Jestem tylko nieszczęsnym mistrzem Jamesem, a ty jesteś podstępna księżniczką Suldrun, która nie chce się uczyć pisać liter.

– Nie – powiedziała Suldrun. – Będę ciężko pracować i nauczę się czytać i pisać, a wiesz dlaczego? Żeby mogła się nauczyć magii, a ty będziesz tylko musiał łapać myszy.

Mistrz James zaśmiał się gardłowo krótkim, urywanym śmiechem. Sięgnął poprzez stół i złapał ją za obie ręce.

– Suldrun, ty już teraz wiesz, jak czarować.

Przez chwilę uśmiechali się do siebie, a potem nagle zawstydzona Suldrun pochyliła głowę nad zadaniem.

Deszcze nie ustawały. Mistrz James wychodził na zewnątrz, zmarł i zmókł, dostał gorączki i nie mógł uczyć. Nikt nie zadał sobie kłopotu, żeby poinformować o tym Suldrun, która poszła na dół do biblioteki i nie zastała tam nikogo.

Przez pewien czas ćwiczyła pisanie i przeglądała oprawioną w skórę książkę przywiezioną z Northumbrii, ozdobioną ślicznymi wizerunkami świętych pośród krajobrazów namalowanych tuszami o intensywnych kolorach.

W końcu Suldrun odłożyła książkę i wyszła do hallu. Było wczesne przedpołudnie i wszyscy służący zajęci byli w Długiej Galerii. Służebne polerowały kamienną posadzkę pszczelim woskiem i owczymi skórami. Lokaj, stąpając na dziesięciostopowych szrudłach, dolewał oleju z nenufaru do kinkietów na ścianach. Spoza pałacu, stłumiony przez kamienne ściany, dobiegł dźwięk rogów, oznajmiający przybycie trzech szlachciców. Wpatrując się w głąb galerii, Suldrun zobaczyła, jak wchodzi do komnaty audiencyjnej – trzech wysoko urodzeni szlachcice, strzepujący i strząsający z ubrań krople deszczu. Lokaj rzucił się w ich stronę, odbierając od nich peleryny, hełmy i miecze. Z boku herold przemówił swym najgłośniejszym i najwyższym głosem:

– Z królestwa Dahautu, trzech szlachetni goście! Przybywają: Le-nard, książę z Mech! Milliflor, książę z Cadwy i Josselmu! Impfal, markiz z Pogranicza Celtyckiego!

Król Casmir wystąpił do przodu.

– Panowie! Witam was w Haidionie! – rzekł.

Trzej grandowie przyklęknęli zgodnie z rytuałem, kierując prawe kolana w stronę podłogi, po czym powstali, unosząc ręce do powitania, nadal mając pochylone głowy i ramiona. Okoliczności nakazywały trzymać się formuły, lecz nie z tak wielkim ceremoniałem.

Król Casmir z gracją skinął na nich ręką.

– Panowie, proponuję, byście pospieszyli teraz do swoich pokoi, gdzie odpoczniecie w ciepłe ognia i w suchym ubraniu. Później będzie odpowiedni czas na rozmowę.

Odpowiedział sir Milliflor:

– Dziękujemy, królu Casmirze. Doprawdy jesteśmy przemoczeni. Ten przeklęty deszcz nie dał nam ani chwili wytchnienia!

Goście zostali odprowadzeni. Król Casmir skierował się w stronę galerii. Zauważył Suldrun i zatrzymał się.

– Ej tam, cóż to? Dlaczego nie jesteś na lekcjach?

Suldrun nie chciała, żeby dowiedziano się o nieobecności mistrza Jamesa.

– Właśnie skończyłam pracę na dzisiaj. Potrafię napisać ładnie wszystkie litery i układać z nich słowa. Tego ranka czytałam wspólnie książkę o chrześcijanach.

– Czytałaś, tak? Litery i wszystko inne?

– Nie wszystkie litery, ojciec. To była łacina, a znaki były rzymskie. Mam problemy z jednym i drugim. Przyjrzałam się jednak dokładnie ilustracjom, a mistrz James mówi, że robię postępy.

– Miło to słyszeć. Powinnaś jednak uczyć się odpowiedniego zachowania, a nie wałęsać się sama po galerii.

Suldrun odezwała się niepewnie:

– Ojciec, czasami wolę być sama.

Casmir lekko zmarszczył brwi i stanął w rozkroku; ręce trzymał splecione na plecach. Nie znosił, kiedy ktoś mu się sprzeciwiał, szczególnie, jeśli to była dziewczynka tak mała i tak niedoświadczona. Miarowym głosem, zmierzającym do przedstawienia sprawy wyraźnie i ostatecznie, powiedział:

– Twoje upodobania muszą czasami ustąpić miejsca wymaganiom rzeczywistości.

– Tak, ojciec.

– Musisz ciągle pamiętać o swojej pozycji. Jesteś księżniczką Suldrun z Lyonesse! Wkrótce wielcy tego świata będą przyjeżdżać, by prosić o twą rękę, i nie możesz wtedy sprawić wrażenia rozpuszczonej dziewczyny. Pragniemy dokonać wyboru, który będzie najlepszy dla ciebie i całego królestwa!

Suldrun odezwała się niepewnie:

– Ojciec, małżeństwo jest to coś, na czym mi zupełnie nie zależy. Oczy Casmira ściągnęły się w wąskie szparki. Znowu to samo: próba oporu! Odparł pozornie żartobliwym tonem:

– Mam nadzieję, że tak naprawdę nie jest! Jesteś tylko dzieckiem! Nigdy jednak nie jest się za młodym, by być świadomym swej pozycji. Czy rozumiesz słowo „dyplomacja”?

– Nie, ojciec.

– Oznacza ono układanie się z innymi krajami. Dyplomacja jest delikatną grą, tak jak taniec. Troicinet, Dahaut, Lyonesse, Skalradzi i Celtowie, wszyscy wirują w piruetach, wszyscy gotowi łączyć się w trójki lub czwórki i zdusić pozostałych, zmiażdżyć ich bezlitośnie. Muszę być pewien, że Lyonesse nie zostanie wyłączone z tego kadryla. Czy rozumiesz, o co mi chodzi?

Suldrun zastanowiła się.

– Myślę, że tak. Cieszę się, że nie muszę uczestniczyć w tym tańcu. Casmir zrobił krok w tył, zastanawiając się, czy nie pojęła jego słów

aż nazbyt dosłownie. Odparł krótko:

– To wszystko. Wracaj do swych komnat. Porozmawiam z panią Desdeą, ona ci znajdzie odpowiednie towarzystwo.

Suldrun chciała już wyjaśnić, że niepotrzebne jest jej nowe towarzystwo, ale spoglądając w górę na wyraz twarzy króla Casmira ugryzła się w język i odwróciła się.

Chcąc wypełnić polecenie króla najdokładniej i co do joty, Suldrun zeszła do swej komnaty we Wschodniej Wieży. Pani Maugelin siedziała w krześle i chrapała, z głową odchylną do tyłu.

Suldrun wyjrzała przez okno, ale jedyną rzeczą, jaką ujrzała, był padający równomiernie deszcz. Pomyślała przez chwilę, potem przemknęła się obok pani Maugelin do alkierza, gdzie przebrała się

w sukienkę utkaną z ciemnozielonego lnu. Po raz ostatni spojrziała z powagą przez ramię na panią Maugelin i wyszła z komnaty. Polecenie króla Casmira zostało wykonane, gdyby ją przez przypadek zobaczył, mogła to udowodnić innym ubraniem.

Z lekkością, krok po kroku zbiegła schodami na Oktagon. Tam zatrzymała się i nasłuchiwała. Długa Galeria była pusta, nie dochodził stamtąd żaden dźwięk. Wędrowała po zaczarowanym pałacu, w którym wszyscy spali.

Suldrun pobiegła do Wielkiego Hallu. Odrobina szarego światła, której udało się dostać do środka przez wysokie okna, ginęła w cieniach. Cichutko podeszła do wysokiego, wąskiego portalu na długiej ścianie, obejrzała się przez ramię, drżały jej kąciaki ust. Potem pchnęła masywne drzwi i wsunęła się do Hallu Honorów.

Światło, tak jak w Wielkim Hallu, było szare i stłumione, a powaga pomieszczenia przenikała ją do szpiku kości. Jak zawsze, pięćdziesiąt cztery wysokie krzesła stały pod ścianami po lewej i po prawej stronie. Wszystkie w zadumie i z pogardą zdawały się spoglądać na stół, który wraz z dodatkowymi mniejszymi krzesłami został umieszczony na środku pomieszczenia.

Suldrun przyjrzała się obcemu meblowi z równą dezaprobatą. Wyraźnie przeszkadzał na środku pomiędzy wysokimi krzesłami, naruszał klasyczny układ sali. Dlaczego ktoś zrobił coś tak niestosownego? Bez wątpienia miało na to wpływ przybycie trzech szlacheckich gości. Na tę myśl Suldrun zatrzymała się. Postanowiła natychmiast opuścić Hall Honorów... Nie była jednak wystarczająco szybka. Spoza drzwi dobiegły ją głosy. Zamarła bez ruchu, jak posąg. Pobiegła raz w jedną, raz w drugą stronę i ostatecznie przycupnęła za tronem.

Za jej plecami wisiała ciemnoczerwona zasłona. Suldrun wsunęła się przez rozcięcie w materiale do małego pomieszczenia. Stojąc blisko zasłony i lekko rozchylając obie części, obserwowała, jak dwóch lokajów wchodzi do komnaty. Byli tego dnia ubrani w odświętną ceremonialną liberię: szkarłatne bufiaste pantalony, pończochy w czerwone i czarne paski, czarne pantofle z zawiniętymi czubkami i ciemnożółte kaftany z wyszytym na nich Drzewem Życia. Obeszli dookoła komnatę, zapalając kinkiety na ścianach. Dwóch innych przyniosło ciężkie kandelabry z czarnego żelaza, które zostały postawione na stole. Zostały również zapalone świece, każda gruba na dwa cale i wytopiona z ciemnego wosku. Suldrun nigdy przedtem nie widziała Hallu Honorów w takim blasku.

Zaczęła być zła na samą siebie. Była przecież księżniczką Suldrun i nie musiała chować się przed lokajami. Pozostała jednak w ukryciu. Wieści szybko roznosiły się po korytarzach Haidionu. Gdyby lokaje ją zobaczyli, wkrótce dowiedziałyby się o tym pani Maugelin, potem pani Boudetta i kto wie, do kogo jeszcze mogłaby dotrzeć ta historia?

Lokaje zakończyli przygotowania i wyszli z komnaty, zostawiając otwarte drzwi.

Suldrun wyszła z kryjówek. Obok tronu zatrzymała się i nasłuchiwała. Przechyliła głowę, jej twarz była delikatna i jasna, ale błyszczała z podniecenia. Nagle ośmieliła się i przebiegła przez komnatę. Usłyszała nowe odgłosy: szcęk metalu, tupot ciężkich butów. W panice zawróciła i pobiegła z powrotem za tron. Spoglądając przez ramię, dostrzegła króla Casmira w całej swej wielkości i majestacie. Wkroczył do Hallu Honorów z głową uniesioną wysoko i wyciągniętą do przodu krótką, jasną brodą. Płomienie z kinkietów odbijały się w jego koronie: prostej, złotej wstędze, zwieńczonej srebrnymi laurowymi liśćmi. Miał na sobie długą czarną pelerynę, sięgającą mu prawie do pięt, czarnobrązowy kubrak, czarne spodnie, czarne buty do kostek. Nie miał przy sobie żadnej broni, nie nosił też żadnych ozdób. Jego twarz była jak zwykle zimna i beznamiętna. Wydał się Suldrun uosobieniem pychy. Upadła na kolana i na czworakach wczołgała się pod zasłoną do tylnego pokoju. Dopiero tam odważyła się stanąć prosto i wyrzeć przez rozcięcie.



Król Casmir nie zauważył poruszenia zasłony. Stał przy stole, odwrócony tyłem do Suldrun, i rękoma oparł się o krzesło przed nim.

Do komnaty weszli heroldowie, para za parą. Było ich ośmiu, każdy niósł proporzec przedstawiający drzewo życia Lyonesse. Ustawili się wzdłuż ścian. Za nimi do komnaty wkroczyli trzej grandowie, którzy przyjechali wcześniej tego dnia.

Król Casmir stał, dopóki grandowie nie znaleźli się przy swoich krzesłach, po czym usiadł, a goście poszli w jego ślady.

Obok każdego z mężczyzn usługujący postawili srebrne kielichy, które główny rządcą napełnił ciemnym, czerwonym winem z alabastrowego dzbana. Potem skłonił się i opuścił komnatę, a za nim wyszli lokaje i heroldowie. Cztery mężczyźni zostali sami przy stole.

Król Casmir uniósł swój kielich.

– Wznoszę toast za radość naszych serc, spełnienie naszych potrzeb i sukces wszystkich zamiarów, które są nam wspólne.

Wypili wino. Król Casmir powiedział:

– Przejdźmy teraz do interesujących nas spraw. Jest to spotkanie nieformalne i prywatne, rozmawiajmy więc szczerze, bez ograniczeń. Taka dyskusja z pewnością przyniesie korzyść nam wszystkim.

– Polegamy na twym słowie – przemówił sir Milliflor, uśmiechając się nieznacznie. – Mam jednak wątpliwości, czy pragnienia naszych serc są rzeczywiście tak zbieżne, jak byś tego pragnął.

– Pozwólcie, że przedstawię sytuację, którą wszyscy musimy mieć na uwadze – powiedział król Casmir. – Przywołuję tu pamięć starych czasów, kiedy jedno władztwo było źródłem błogosławionego pokoju. Od tego czasu doświadczyliśmy najazdów, grabieży, wojen i zdrady. Oba kraje ulflandzkie zostały doszczętnie zrujnowane i grasują tu jedynie Skalradzi, bandyci i dzikie bestie. Celtowie powstrzymywani są jedynie dzięki stałej czujności, co może potwierdzić sir Imphal.

– Potwierdzam to – powiedział sir Imphal.

– Przedstawię więc sprawę w prostych słowach – powiedział król Casmir. – Dahaut i Lyonesse muszą współdziałać. Taką połączoną pod jednym dowództwem siłą możemy przepędzić Skalradów z Ulflandów i pokonać Celtów. Następnie Dascinet i Troicinet, a potem wyspy Elder raz jeszcze staną się całością. Najpierw jednak musimy zjednoczyć nasze dwa kraje.

Odezwał się sir Milliflor:

– Twoje stwierdzenie nie podlega dyspacie. Przed nami jednak sarta pytań. Kto zostanie najwyższym władcą? Kto poprowadzi armie? Kto będzie rządzić królestwem?

– Pytania te na razie pozostają bez odpowiedzi. Na nie musimy poczekać, dopóki nie uzgodnimy podstaw, a potem będziemy rozważać także możliwości.

Przemówił sir Milliflor:

– Doszliśmy już do zgody, jeśli chodzi o podstawy. Zajmijmy się teraz tym, co rzeczywiście stanowi problem. Król Audry zasiada na starożytnym tronie Evandig, czy uznasz jego wyższość?

– Tego uczynić nie mogę. Możemy jednak władać we dwójkę, jak równi sobie. Ani król Audry, ani książę Dorcas nie są wybitnymi żołnierzami. Ja będę dowodził armiami. Król Audry zajmie się dyplomacją.

Sir Lenard zaśmiał się ponuro.

– Przy pierwszej różnicy zdań armie mogą z łatwością poradzić sobie z dyplomatami.

Król Casmir zaśmiał się również.

– Taka sytuacja nie musi mieć miejsca. Niech król Audry panuje aż do śmierci. Następnie ja przejmę władzę i będę na tronie aż do mojej śmierci. Tron obejmie po mnie książę Dorcas. Gdyby

nie miał żadnych synów, kolejny po nim będzie książę Cassander.

– Nader to interesujący pomysł – rzekł z przekazem sir Milliflor. -Król Audry jest stary, a ty zaś stosunkowo młody, czyż muszę ci o tym przypominać? Książę Dorcas mógłby równie dobrze czekać ze trzydzieści lat na koronę.

– Bardzo możliwe – odparł król Casmir bez zainteresowania.

– Król Audry poinstruował nas – ciągnął sir Milliflor -by ci przekazać, że jego pragnienia zbliżone są do twoich, jest on jednak świadomy twych niebezpiecznych ambicji. Sugerował, że chciałbyś, aby Dahaut zaatakował Ska, co umożliwiłoby ci atak na Troicinet.

Król Casmir przez chwilę siedział w milczeniu, potem ruszył się i przemówił:

– Czy Audry zgodzi się na połączenie sił przeciwko Skalradom?

– Zgodzi się, rzeczywiście, jeśli armie będą pod jego dowództwem.

– Nie ma żadnych alternatywnych propozycji?

– Zauważa tylko, że księżniczka Suldrun będzie wkrótce w odpowiednim wieku na zamążpójście. Sugeruje możliwość skojarzenia księżniczki Suldrun z księciem Whemusem z Dahautu.

Casmir oparł się wygodniej w krzesło.

– Czy Whemus jest jego trzecim synem?

– To prawda, Wasza Wysokość.

Król Casmir uśmiechnął się i dotknął krótkiej jasnej brody.

– Połączmy raczej jego pierwszą córkę, księżniczkę Cloire, z moim siostrzeńcem, sir Nonusem Romanem.

– Dokładnie przekazemy twoją sugestię na dwór w Avallonie. Król Casmir upił łyk z kielicha.

Emisariusze kurtuazyjnie poszli w

jego ślady. Casmir przyglądał się im uważnie, obserwując ich twarze.

– Jesteście więc zaledwie posłannikami? Czy rzeczywiście możecie prowadzić negocjacje?

Sir Milliflor powiedział:

– Możemy negocjować w granicach, jakie wyznaczają nam reguły. Czy zechciałbyś powtórzyć twoją propozycję w jak najprostszy sposób, bez zbędnych ozdobników?

Król Casmir ujął kielich w obie ręce, uniósł go na wysokość brody i spojrzał na niego swymi jasnoniebieskimi oczami.

– Proponuję, aby połączone siły Dahautu i Lyonesse, pod moim dowództwem, zaatakowały Skalradów i zepchnęły ich z powrotem za Atlantykę, następnie pokonamy Celtów. Proponuję aby nasze królestwa nie tylko razem walczyły, ale również zostały połączone poprzez małżeństwo. Jest tylko król Audry i ja, któryś z nas umrze pierwszy. Ten, który pozostanie, będzie odtąd władał zjednoczonym królestwem, zwanym królestwem wysp Elder, jak to było dawniej. Moja córka, księżniczka Suldrun, poślubi księcia Dorcasa. Mój syn, książę Cassander, ożeni się... stosownie. Takie są moje propozycje.

– Mają one wiele wspólnego z naszym stanowiskiem – powiedział sir Lenard. – Król Audry wolałby jednak sam dowodzić operacjami wojskowymi przeprowadzanymi na terytorium Dahautu. Po drugie...

Negocjacje ciągnęły się przez następną godzinę, ale uwydatniły jedynie wzajemną nieustępliwość obu stron. Jako że niczego więcej nie oczekiwano, zakończono konwersację uprzejmymi frazesami. Wysłannicy opuścili Hall Honorów i udali się na odpoczynek przed wieczornym bankietem, podczas gdy król Casmir siedział zamyślony przy stole. Za jego plecami Suldrun obserwowała go najpierw z fascynacją, która przerodziła się powoli w panikę, gdy król wziął jeden ze świeczników, odwrócił się i ciężko stąpając podszedł do tylnej komnaty.

Suldrun stała sparaliżowana. Jej obecność została odkryta! Odwróciła się, rzuciła się w bok i przykucnęła w kącie obok skrzyni, przykrywając swe błyszczące włosy kawałkiem jakiejś szmaty.

Zasłona rozchyliła się. W pomieszczeniu zamigotało światło świecy. Suldrun skuliła się, wyczekując grzmiącego głosu króla Casmira. Ale on stał w milczeniu, z rozszerzonymi nozdrzami, być może wyczuwając zapach lawendy, którymi przepojone były szaty Suldrun. Obejrzał się przez ramię, potem podszedł do tylnej ściany. Wyjął ze szpary cienki żelazny pręt, który wsunął w mały otwór na wysokości kolan, potem w jeszcze jeden, odrobinę wyżej. Otworzyły się drzwi, wpadł drżący, prawie namacalny promyk światła, mieniący się kolorami purpury i zieleni.

Podniósł się wrzask i bezładna paplanina dwóch piskliwych głosów. -Cisza – powiedział król Casmir. Wszedł do małego pokoju i zamknął drzwi.

Suldrun wyskoczyła z kąta i wybiegła z komnaty. Przebiegła przez Hall Honorów, czmychnęła do Wielkiego Hallu i dalej do Długiej Galerii. Ze spokojem, raz jeszcze, udała się do swojej komnaty, gdzie pani Maugelin zbeształa ją za powalane ubranie i brudną twarz.

Suldrun wykąpała się i ubrała w długą, ciepłą tunikę. Usiadła przy oknie i udawała, że ćwiczy grę na lutni, fałszując przy tym z takim zapałem, że pani Maugelin załamała ręce i poszła sobie gdzie indziej.

Suldrun została sama. Odłożyła lutnię i zaczęła przyglądać się krajobrazowi. Było późne popołudnie. Pogoda zaczynała się zmieniać. Na mokrych dachach miasta Lyonesse zabłyszczało słońce.

Powoli, w myślach, Suldrun zaczęła odtwarzać sobie, co wydarzyło się tego dnia.

Trzej wysłannicy z Dahautu niewiele ją interesowali, poza tym, że chcieli zabrać ją do Avallonu i wydać za obcego mężczyznę. Nigdy! Prędzej uciekłyby, zostałyby wieśniaczką, dołączyłyby do minstreli albo zbierałyby grzyby w lesie!

Pani Maugelin powróciła do komnaty, dysząc z wysiłku i podniecenia.

– Twój ojciec polecił, byś była obecna na bankiecie. Życzy sobie, byś zachowywała się tak, jak powinna zachowywać się piękna księżniczka Lyonesse. Czy mnie słyszysz? Możesz założyć tę jasnoblękitną suknię i kamienie księżycowe. Przez cały czas pamiętaj o dworskiej etykiecie! Nie rozrzucaj jedzenia, pij niewiele wina. Odzywaj się tylko zapytana, a odpowiadaj z kurtuazją, wyraźnie wypowiadając słowa. Nie chichocz, nie drap się, nie kręć się na krześle, jakby cię swędziło siedzenie. Nie czkaj, nie gulgocz i nie przełykaj głośno. Jeśli ktoś puści wiatry, nie gap się, nie pokazuj palcem ani nie próbuj wskazać winowajcy. Sama oczywiście też będziesz się musiała pilnować; nic się bardziej nie rzuca w oczy niż pierdząca księżniczka. Chodź! Wyszczotkuję ci włosy.

Rankiem Suldrun poszła na lekcje do biblioteki, ale mistrz James był znowu nieobecny, następnego dnia również i kolejnego też. Suldrun lekko się zirytowała. Mistrz James mógł przecież przesłać jej jakąś wiadomość, pomimo swej niedyspozycji. Przez cały tydzień ostentacyjnie nie pojawiła się w bibliotece, ale w dalszym ciągu nie było żadnego znaku od mistrza Jamesa! Nagle zaniepokojona tym Suldrun poszukała pani Boudetty, która wysłała lokaja do małej, zimnej celi mistrza Jamesa w Zachodniej Wieży. Lokaj znalazł go martwego, rozciągniętego na sienniku. Gorączka musiała przejść w zapalenie płuc i mistrz James zmarł bez niczyjej wiedzy.



## Rozdział 4

Pewnego letniego poranka przed swoimi dziesiątymi urodzinami Suldrun poszła na lekcje tańca do sali znajdującej się na trzeciej kondygnacji w przysadzistej Wieży Sów. Komnata ta wydawała się jej najpiękniejsza spośród wszystkich w całym Haidionie. Dobrze nawoskowany brzozyowy parkiet odbijał światło wpadające przez trzy okna przysłonięte perłowoszarą jedwabiami. Pod ścianami ustawione były meble obite w jasnoszare i szkarłatne materiały, a na stołach stały bukiety świeżych kwiatów, o które zawsze starała się pani Laletta. Grupa uczniów składała się z ośmiu chłopców i ośmiu dziewczynek z wysokich rodów. Byli w wieku od ośmiu do dwunastu lat. Suldrun oceniała ich rozmaicie, niektórzy byli do zaakceptowania, inni za to męczący i tępi.

Pani Laletta była młodą, smukłą, ciemnooką kobietą pochodzącą ze szlacheckiego rodu, ale z niewidoma perspektywami na przyszłość. Uczyła ich kompetentnie i nikogo nie faworyzowała. Suldrun ani jej nie lubiła, ani nie darzyła antypatią.

Tego ranka pani Laletta nie czuła się dobrze i nie mogła uczyć. Suldrun wróciła do swojej komnaty i odkryła tam panią Maugelin leżącą na jej łóżku, zupełnie nagą i nakrytą krzepkim, młodym lokajem o imieniu Lopus.

Suldrun, zaskoczona, przyglądała się im z fascynacją, dopóki pani Maugelin nie zauważyła jej wzroku i wrzasnęła z przerażeniem.

– Obrzydliwe – powiedziała Suldrun. – I to w moim łóżku!

Lopus zakłopotany podniósł się, naciągnął spodnie i uciekł z komnaty. Pani Maugelin ubrała się równie prędko, próbując tymczasem zbyć Suldrun błahymi słówkami.

Tak szybko wróciłaś z lekcji tańca, moja droga księżniczko? Podobała ci się lekcja? To, co widziałaś przed chwilą, to nie było nic takiego, tylko taka zabawa. Lepiej byłoby, znacznie lepiej, gdyby nikt o tym nie wiedział...

Suldrun odezwała się rozdrażniona:

– Zbrukałaś moje łóżko!

– Tak więc, moja droga księżniczko...

– Zmień całą pościel... nie, najpierw idź się umyć, potem przynieś świeżą pościel i dobrze wywietrz komnatę!

– Dobrze, droga księżniczko!

Pani Maugelin ruszyła w pośpiechu wypełnić jej polecenia, a Suldrun zbiegła po schodach, nagle podniesiona na duchu, podskakując i śmiejąc się radośnie. Odtąd pani Maugelin nie będzie już taka surowa i wymagająca, a Suldrun będzie mogła robić, na co jej przyjdzie ochota.

Przebiegła pod arkadą, przed wyjściem na Urquial upewniła się, że nikt jej nie widzi, prześlizgnęła się pod starym modrzewiem i pchnęła starą, trzeszczącą bramę. Przecisnęła się przez szparę, zamknęła bramę za sobą i zeszła na dół starą ścieżką do ogrodu, mijając świątynię po drodze.

Dzień był jasny i słoneczny. Powietrze pachniało słodko heliotropem i świeżymi, zielonymi liśćmi. Suldrun przyjrzała się ogrodowi z satysfakcją. Powyrywała wszystkie te chwasty, które uznała za wstrętne i odrażające, włączając w to pokrzywy i większość ostów. Teraz ogród był niemal zupełnie doprowadzony do porządku. Wymiotła liście i śmiecie z mozaikowej podłogi w starym domku i oczyściła z gałązek, piasku i kamieni koryto małego strumyka, który sączył się w dół po jednej stronie wąwozu. Pozostawało jeszcze wiele do zrobienia, ale już nie dzisiaj. Stała teraz w cieniu kolumny i odpięła sprzączkę na ramieniu, a jej sukienka opadła bezszelestnie na ziemię i owinęła się wokół jej kostek. Naga zrobiła krok do przodu. Światło słoneczne łaskotało jej skórę, a

zimne powietrze cudownie muskało.

Ruszyła przez ogród. Tak właśnie muszą się czuć driady, pomyślała. Tak właśnie się poruszają, w takiej ciszy, bez żadnego dźwięku, poza szeptem wiatru w koronach drzew.

Zatrzymała się w cieniu samotnego cytrynowego drzewa, a potem zeszła aż na plażę, by zobaczyć, co przyniosły fale. Kiedy wiatr wiał z południowego wschodu, jak to najczęściej bywało, prądy opływały przylądek i wtaczały się do małej zatoczki, przynosząc na plażę rozmaite rzeczy, które leżały tam aż do następnego przypływu, kiedy ten sam prąd zabierał wszystko z powrotem ze sobą.

Tego dnia plaża była czysta. Suldrun biegała w tę i z powrotem, uciekając przed falą obmywającą szorstki piasek. Zatrzymała się na moment, chcąc się dokładnie przyjrzeć oddalonej o pięćdziesiąt jardów skale, tuż przy cyplu, gdzie kiedyś odkryła dwie młode syreny. Zauważyły ją wtedy i zawołały, ale posługiwały się dziwnym językiem, niezrozumiałym dla Suldrun. Oliwkowozielone włosy spadały im na blade ramiona, ich usta i sutki piersi były również jasnozielone. Jedna z syren pomachała przyjaźnie i Suldrun zobaczyła błonkę między palcami. Potem obie jak na rozkaz odwróciły się i spojrzały w stronę morza, gdzie brodaty samiec ryczał pośród fal. Zawołał szorstkim jak wiatr głosem i syreny ześlizgnęły się ze skały, znikając w wodzie.

Dzisiaj jednak skała była pusta. Suldrun odwróciła się i ruszyła powoli w górę ogrodu.

Ubrała się w wymiętą sukienkę i wróciła do wlotu wąwozu. Najpierw ostrożnie wyjrzała przez bramę, upewniając się, że nikt jej nie widzi, potem w podskokach zbiegła na dół arkadą, koło oranżerii i raz jeszcze do Haidionu.

Letnia burza znad Atlantyku przyniosła łagodny deszcz do miasta Lyonesse i Suldrun była jakby skazana na pobyt w Haidionie. Pewnego popołudnia zawędrowała jednak do Hallu Honorów.

Haidion spowijała cisza. Zamek jakby wstrzymywał oddech. Suldrun przeszła powoli przez komnatę, uważnie oglądając każde z wielkich krzesel, jakby sprawdzając ich siłę. Krzesła z kolei rozmyślały o niej. Niektóre stały dumne i wyniosłe, inne były wręcz gburowate. Jedne były ciemne i surowe, inne jasne i pogodne. Za tronem króla Casmira Suldrun przyjrzała się czerwonej zasłonie, zakrywającej wejście do tylnej komnaty Nic, przekonywała samą siebie, nie mogłoby jej nakłonić do tego, by wejść do środka. Żadna magia ani nic takiego.

Przesunęła się w bok i w pewnej odległości od tronu poczuła się bardziej ośmielona. Zasłona wisiała nie dalej niż dziesięć stóp od niej. Nie miała naturalnie tak wiele odwagi, by wejść, nawet by się zbliżyć do tylnej komnaty... Ale przecież nie stanie się nic złego, jak tylko sobie popatrzy.

Ostrożnie podeszła z boku do zasłony i delikatnie ją odchyliła. Światło z wysokich okien przemknęło nad jej ramieniem i rozjaśniło tylną, kamienną ścianę. Tam, w szczelinie, znajdował się żelazny pręt. A tam – górne i dolne otwory w ścianie. A za nimi – komnata, do której tylko król Casmir mógł wchodzić... Suldrun opuściła zasłonę. Odwróciła się i w ponurym nastroju wyszła z Hallu Honorów.

Stosunki pomiędzy Lyonesse i Troicinetem, które zresztą nigdy nie były zbyt przyjazne, z wielu różnych powodów, teraz z powodu błahostek, doprowadzone zostały do otwartej wrogości. W swoich ambitnych planach król Casmir wiele uwagi poświęcał Troicinetowi i Dasci-netowi. Jego szpiedzy przenikali każdą warstwę społeczną w Troicine-cie.

Plany króla Casmira kulały trochę ze względu na brak floty wojennej. Pomimo długiej linii brzegowej jego państwu brakowało łatwego dostępu do morza, a głębokie porty znajdowały się jedynie w Slute Skeme, Bulmer Skeme, mieście Lyonesse i w Pargetcie za Przylądkiem Pożegnań.

Urozmaicone wybrzeże Troicinetu tworzyło dziesiątki bezpiecznych zatok, każdą z odpowiednimi nabrzeżami, dokami i drogami dojazdowymi. Był tam dostatek zarówno uzdolnionych budowniczych statków, jak i dobrego budulca: czeremchy i modrzewia na zastrzały, dębu na szkielety statków, pni młodych świerków na maszty i żywicznej sosny na poszycie. Troicyjskie statki handlowe dopływały na północy do Jutlandii, Brytanii i Irlandii, przez Atlantyk na południe do Mauretanii i Królestwa Błękitnych Ludzi i na wschód przez cieśninę Tingis, aż na Morze Śródziemne.

Król Casmir uważał się za mistrza intrygi i nieustannie szukał każdej sposobności, która dałaby mu choćby najmniejszą przewagę nad Troicinetem. Raz ciężko obładowana troicyjska koga, płynąca wzdłuż wybrzeża Dascinetu, dostała się w gęstej mgłę na mieliznę. Yvar Excel-sus, król Dascinetu, człowiek z temperamentem, natychmiast ogłosił statek razem z ładunkiem swoją własnością, powołując się na prawo morskie, i wysłał ludzi z pochodniami do rozładowania statku. Wnet jednak dwa troicyjskie okręty wojenne odparły ataki rojących się pół-pirackich statków Dascyczyków i podczas przyływu ściągnęły kogę na głęboką wodę.

Doprowadzony do furii król Yvar Excelsus przesłał niewybredną notę królowi Granice do Alceinoru, żądając odszkodowania pod groźbą natychmiastowego odwetu.

Król Granice, który dobrze znał gwałtowny temperament Yvara Excelsusa, zignorował notę, doprowadzając go niemal do szału.

W tym momencie król Casmir wysłał tajnego emisariusza do Dascinetu, nagłąc do ataku na Troicinet i obiecując pełną pomoc. Troicyj-scy szpiedzy przechwycili wysłannika i zabrali go razem z dokumentami do Alceinoru.

Tydzień później dostarczono królowi Casmirowi na Haidion beczkę, w której znalazł ciało swego wysłannika z dokumentami wepchniętymi do gardła.

Tymczasem król Yvar Excelsus zajął się zupełnie innymi sprawami i jego groźby pod adresem Troicinetu spełzły na niczym.

Król Granice nie podjął żadnych dalszych kroków wobec króla Casmira, ale poważnie zaczął brać pod uwagę możliwość nie chcianej wojny. Troicinet, którego ludność była o połowę mniej liczna niż w Lyonesse, nie mógł oczekiwać wygrania takiej wojny, a przez to nie miał nic do zyskania, a wszystko do stracenia.

Z Pargetty, leżącej blisko Przylądka Pożegnań, nadeszły złe wieści o grabieżach i masakrach dokonywanych przez Skalradów. Dwa czarne statki nadpłynęły o świcie, wysadziły na brzeg oddziały, które spustoszyły miasto tak doszczętnie, że nie dorówna temu najbardziej prymitywne barbarzyństwo. Wszyscy, którzy próbowali się przeciwstawić, zostali zabici. Skalradzi zabrali garnce z oliwą, szafran, złoto ze świątyni Mithry, cynowe i srebrne sztaby, kolby z rtęcią. Nie brali jeńców, nie podpalili żadnych budynków, nie dopuszczali się gwałtów ani tortur, a zabijali tylko tych, którzy przeciwstawiali się ich rabunkowi.

Gdy w dwa tygodnie później troicyjska koga zawijała do miasta Ly-onesse z ładunkiem irlandzkiego lnu, doniosła o uszkodzonym statku skalradzkim na Morzu Tethry, na wschód od Przylądka Pożegnań. Koga podpłynęła na tyle blisko, że marynarze zobaczyli czterdziestu Skalradów siedzących na ławkach, zbyt słabych na wiosłowanie. Tro-icyjczycy zaoferowali, że pohołują statek, ale Skalradzi sprzeciwili się przywiązaniu liny i koga odpłynęła.

Król Casmir natychmiast wysłał trzy galery wojenne na tamte wody, gdzie znaleziono czarny statek, dryfujący bez masztów po wzburzonym morzu.

Galery podpłynęły bliżej i okazało się, że statek jest przybytkiem nędzy, rozpacz i śmierci. Podczas sztormu złamał się ster, maszt zwałił się na dziób, miażdżąc beczki z wodą, i polowa załogi zdążyła umrzeć z pragnienia.

Dziewiętnastu mężczyzn przetrwało. Byli zbyt słabi, żeby się opierać, zostali więc wzięci na pokład lyoneskiego statku, gdzie dano im wody. Zarzucono linę na dziób czarnego statku, ciała wrzucono do morza i statki zawróciły do miasta Lyonesse. Tutaj Skalradów uwięziono w starym forcie na zachodnim krańcu przystani. Na inspekcję okrętu przyjechał do portu król Casmir na swoim koniu Sheuwanie. Zawartość wszystkich ładowni została przetransportowana na nabrzeże portu. Były tam szkatuły ze złotymi i srebrnymi ozdobami świątynnymi, szklane słoje z szafranem, zebrany z osłoniętych dolin za Przylądkiem Pożegnań, gliniane urny z wytłoczonym symbolem mennicy w Bulmer Skeme.

Król Casmir dokonał oględzin ładunku i samego statku, a potem pojechał na Sheuwanie dookoła Chale, do fortecy. Na jego rozkaz wyprowadzono więźniów i ustawiono ich przed nim. Stali, mrugając oczami w świetle słońca. Byli to wysocy, ciemnowłosi mężczyźni, o bladej cerze, chudzi i, można by rzec, bardziej żyłaści niż masywni. Rozglądali się dookoła ze swobodą i zainteresowaniem, jak goście honorowi, i rozmawiali spokojnie, opanowanymi głosami.

– Który z was jest kapitanem statku? – zwrócił się do nich król Casmir.

Skalradzi spojrzeli na niego z umiarkowaną grzecznością, ale żaden z nich się nie odezwał.

Król Casmir wskazał na mężczyznę w pierwszym szeregu.

– Który z was jest najwyższy rangą? Wskaż go!

– Kapitan nie żyje. Wszyscy jesteśmy „martwi”. Nie ma już żadnej władzy ani niczego innego w życiu.

– Dla mnie wyglądasz na całkiem żywego – odparł król Casmir z zimnym uśmiechem.

– My sami uważamy się za martwych.

– Ponieważ oczekujecie, że zostaniecie zgładzeni? Przypuśćmy, że przyjąłbym okup za wasze życie.

– Kto da okup za martwego mężczyznę? Król Casmir machnął ręką zniecierpliwiony.

– Chcę informacji, nie fałszu i czczych frazesów. – Przyjrzał się grupie i wydało mu się, że jeden z mężczyzn, trochę starszy niż pozostali, mógł być wyższy w randze. – Ty tu pozostaniesz – dodał – a potem skinął na wartowników i rzekł: – Zabrać innych do lochów.

Król Casmir odszedł z wybranym przez siebie mężczyzną na bok.

– Czy ty również jesteś „martwy”?

– Nie należę już do żyjących Skalradów. Dla mojej rodziny, moich towarzyszy, dla mnie samego jestem martwy.

– Powiedz mi jedno. Przypuśćmy, że chciałbym przeprowadzić rozmowę z twoim królem, czy przybyłby do Lyonesse, gdybym zagwarantował mu bezpieczeństwo?

– Oczywiście, że nie. – Skalrad wydawał się rozbawiony.

– Powiedzmy, że chciałbym rozważyć możliwość sojuszu?

– W jakim celu?

– Gdyby skalradzka flota wojenna i siedem lyoneskich armii współdziałało, byłyby niepokonane.

– Niepokonane? Przeciwno komu miałyby walczyć?

Król Casmir darzył niechęcią każdego, kto okazywał się przebiegłym w dyskusji niż on sam.

– Przeciwno wszystkim pozostałym na wyspach Elder! A przeciw komuż?

– Łudzisz się myśląc, że Skalradzi pomagaliby ci w walce przeciwko twoim wrogom. To absurdalny pomysł. Gdybym zaliczał się do grona żywych, to bym się głośno zaśmiał. Skalradzi prowadzą wojnę z całym światem, włączając w to Lyonesse.

– To nie jest usprawiedliwienie. Mam zamiar osądzić cię jako pirata.



Skalrad spojrział w górę, na słońce, przeciągnął spojrzeniem po niebie i po morzu.

– Rób, co chcesz. My i tak jesteśmy martwi. Król Casmir uśmiechnął się ponuro.

– Żywi czy martwi, wasz los posłuży do zniechęcenia innych morderców, a nastąpi to jutro w południe.

Wzdłuż falochronu wzniesiono dziewiętnaście drewnianych konstrukcji. Minęła noc. Świt zapowiadał jasny i pogodny dzień. W późnych godzinach porannych tłumy zgromadziły się wzdłuż Chale, do którego dołączyli ludzie z nadbrzeżnych wiosek, wieśniacy w czystych chałatach i dzwoniastych kapeluszach, sprzedawcy kielbasek i suszonych ryb. Na skałach po zachodniej stronie Chale tłoczyli się kalecy, żebracy i pomyłeńcy, zgodnie ze statutem miasta.

Słońce stanęło w zenicie. Wyprowadzono Skalradów z fortecy. Każdy z nich został rozciągnięty na drewnianym szkielecie i zawieszony do góry nogami, twarzą w stronę morza. Z Peinhadoru nadjechał Zerling, główny kat. Szedł wzdłuż szeregu, zatrzymywał się przy każdym mężczyźnie, rozcinał mu podbrzusze i hakiem wyciągał wnętrzności, tak że spadały skazańcowi przez pierś i głowę. Potem przechodził do następnego. Czarno-żółta flaga została wciągnięta na maszt u wejścia do zatoki, a umierających mężczyzn pozostawiono samym sobie.

Pani Maugelin naciągnęła haftowany czepek i zeszła na dół, na Chale. Suldrun miała nadzieję, że nikt nie będzie jej niepokoił, ale pani Boudetta zabrała ją na balkon przylegający do sypialni królowej, gdzie damy dworu zebrały się na oglądanie egzekucji. W samo południe rozmowy ustały i damy napały na balustradę, oglądając rozgrywające się na dole wydarzenia. Podczas gdy Zerling wykonywał swoją pracę, damy wzdychały i mruczały pod nosem. Suldrun uniesiono nad balustradę, aby mogła na własne oczy zobaczyć, jaki los czeka każdego zbrodniarza. Widok był odpychający. Ale z dziwną fascynacją przyglądała się Zerlingowi, gdy wolno przechodził od mężczyzny do mężczyzny, jakkolwiek odległość tuszowała szczegóły jego poczynań.

Niewiele dam wyraziło się pochlebnie o całym wydarzeniu. Dla pań Duisane i Ermoly, które miały słaby wzrok, odległość była zbyt duża. Pani Spaneis oświadczyła, że wszystko to było po prostu mdłe.

– Jakby rzeźnik oprawiał martwe zwierzęta. Skalradzi nie okazali ani strachu, ani skruchy. Cóż to za egzekucja?

Królowa Sollace burknęła:

– Najgorsze z tego wszystkiego, że wiatr wieje prosto od przystani w nasze okna. Za trzy dni smród wypędzi nas stąd do Sarris.

Suldrun przysłuchiwała się z nadzieją i podekscytowaniem. Sarris był letnią rezydencją, jakieś czterdzieści mil na wschód, nad rzeką Glame.

Nie nastąpiła jednak natychmiastowa przeprowadzka do Sarris, pomimo że królowa Sollace miała na to ochotę. Ciała skazańców zostały szybko rozszarpane przez skrzydlatych padlinożerców, a królowi

Casmirowi znudziły się wnet drewniane konstrukcje z resztkami wiszących kości i chrząstek i nakazał je rozebrać i uprzętać.

Na Haidionie panowała cisza. Pani Maugelin, która cierpiała na opuchliznę w nogach, leżała jęcząc w swojej komnacie, znajdującej się wysoko na Wieży Sów. Suldrun, którą pozostawiono samą sobie, nie mogła spokojnie wysiedzieć w swoich pokojach, ale porywy zimnego i ostrego wiatru zniechęcały ją do wyprawy do tajemnego ogrodu. Stała, wyglądając przez okno, nękana przez

nieprzyjemne, melancholijne samopoczucie. Och! Cóż dałaby za magicznego rumaka, który uniósłby ją daleko w powietrze! Poleciałaby daleko, poprzez białe chmury, nad Krainą Srebrnej Rzeki, aż do gór na krańcu świata.

Przez chwilę aż dech jej zapało, bo pomyślała, jakby to było, gdyby ubrała się w pelerynkę, wymknęła się z pałacu i odeszła: przez Sfer Arct do Starego Traktu, a dzikie ziemie rozciągałyby się przed nią! Westchnęła i na jej twarzy pojawił się nikły uśmiech, gdy pomyślała, jak niedorzeczne są jej fantazje. Przecież nie chciała prowadzić życia włóczęgów, których obserwowała z zamkowych przedmurzy. Byli oni, oględnie mówiąc, podejrzaną gromadą, głodni, brudni, a czasami nawet beznadziejnie głupi w swoich przyzwyczajeniach. Takiemu życiu brakowało polotu i, rozważywszy to teraz dokładnie, Suldrun zdecydowała, że znacznie bardziej odpowiada jej przytulny kąć i dach nad głową, a także ładne, czyste stroje oraz własna godność.

Lecz gdyby tak mieć czarodziejski powóz, który na noc .zmieniałby się w małą chatkę, gdzie mogłaby jeść ulubione potrawy i spać w wygodnym łóżku!

Znowu westchnęła. Do głowy przyszedł jej pewien pomysł. Zwilżyła językiem wargi, bo aż dech jej zapało, tak zuchwały był ten pomysł. Czy się ośmieli? Co złego mogło się stać, jeśli będzie bardzo, ale to bardzo ostrożna? Myślała przez chwilę; ściągnęła usta i głowę przechyliła w bok. Przedstawiała typowy obrazek małej dziewczynki planującej podstęp.

Suldrun odpałała świecę w nocnej lampie od szczap na kominku i naciągnęła kaptur na głowę. Ze świecą w ręku zeszła po schodach.

Hall Honorów był posępny i pogrążony w półmroku. Było tam cicho jak w grobie. Suldrun weszła do komnaty z wyjątkową ostrożnością. Wielkie krzesła nie poświęcały jej dzisiaj zbyt wiele uwagi. Te nieprzyjemne pozostały niewzruszone jak głązy, a te przyjemne zdawały się być pochłonięte swoimi własnymi sprawami. Bardzo dobrze, niech ją sobie ignorują. Ona i tak zignorowałyaby je.

Obchodząc tron dookoła, podeszła do tylnej ściany. Ściągnęła teraz kaptur z głowy, bo przeszkadzał jej. Zamierzała rzucić tylko jedno spojrzenie do wewnątrz, nic więcej. Była dziewczynką zbyt mądrą na to, by narazić się na niebezpieczeństwo. Rozchyliła zasłonę. Płomień świecy rozświetlił pomieszczenie i ścianę po przeciwnej stronie.

Suldrun pospiesznie odnalazła żelazny pręt. Jeśli zaczęłaby się choć przez sekundę wahać, opuściłaby ją śmiałość. Szybko więc! Wsunęła pręt do otworów, dolnych i górnych, i odłożyła go na swoje miejsce.

Drzwi zadrżały i otwarły się, wypuszczając smugę purpu-rowozielonego światła. Suldrun spróbowała zrobić krok w przód, rzuci tylko okiem, jeden raz, najwyżej dwa razy! Ostrożnie teraz, powolutku! Z magią nieodłącznie wiązały się rozmaite zasady, wiedziała o tym.

Otworzyła szerzej drzwi. Pokój spowity był smugami kolorowego światła w odcieniach zieleni, fioletu i ciemnej czernieni. Z jednej strony stał stół, na którym znajdowało się dość niezwykle urządzenie ze szkła i rzeźbionego czarnego drewna. Słoiczki, butelki i pękate kamionkowe dzbanki poustawiane były na półkach razem z książkami, wagami, kamiennymi odważnikami i innymi przedmiotami. Suldrun w skupieniu przesunęła się o krok do przodu. Wtedy miękki, gardłowy głos zawołał:

– Któż to przychodzi nas zobaczyć, cicho jak mysz wściubiając tu nos, z malutkimi białymi paluszkami i zapachem kwiatów?

Drugi głos dodał:

– Wejdz, wejdz! Być może łaskawie się nam przysłużysz, otrzymując w zamian nasze błogosławieństwa i nagrodę.

Suldrun dostrzegła teraz stojącą na stole zieloną szklaną butlę o pojemności co najmniej jednego

galonu. Dwugłowy homunculus miał usta umieszczone tuż nad samą szyją, tak że tylko jego głowy wystawały z butli. Były pękate, nie większe niż kocie, łyse, o pomarszczonej skórze, z mrugającymi czarnymi oczami, nosem i narządem do mówienia w postaci sztywnego brązowego rogu. Ciało za szkłem było niewidoczne, zanurzone w brązowym płynie przypominającym ciemne piwo. Głowy wykręciły się, spojrzały na Suldrun i przemówiły obie na raz:

– Ach, cóż za śliczna dziewczynka! Do tego z dobrym sercem! Tak, to jest księżniczka Suldrun, znana już ze swoich dobrych uczynków. Wiecie zapewne, że wypielegnowała małą jaskółkę i przywróciła ją do zdrowia? Podejdź bliżej, moja droga, chcę dokładniej przyjrzeć się twojej urodzie.

Suldrun nie ruszyła się z miejsca. Jej uwagę przyciągały również inne przedmioty, ale wszystkie zdawały się swoistymi kuriozami, mającymi raczej zadziwiać użytkownika, niż spełniać jakieś bardziej praktyczne funkcje. Z jednej urny dobywało się kolorowe światło, wylewało się z niej niczym gęsty płyn i snuło nisko nad podłogą. Na ścianie wisiało ośmiokątne zwierciadło w ramie z matowego drewna. Jeszcze dalej na klamrach wisiał człekopodobny szkielet z czarnych kości, wiotki jak gałązki łożyny. Z łopatek wyrastały dwa zakrzywione wyrostki, pokryte dziesiątkami zagłębień, z których sterczały jakieś pióra albo łuski. Czyżby to był szkielet demona? Spoglądając w oczodoły, Suldrun nie mogła oprzeć się wrażeniu, że istota ta nigdy nie latała w ziemskim powietrzu.

Skrzat zawołał rubasznym tonem:

– Suldrun, piękna księżniczko! Podejdź bliżej! Niech spłynie na nas łaska twojej obecności!

Suldrun zrobiła jeszcze jeden krok w głąb pokoju. Pochyliła się aby przyjrzeć się dokładnie wahadłu zawieszonemu nad misą migoczącej rtęci. Na ścianie, nad ołowianą tablicą widniały pokrętne, czarne litery, które zmieniały się nieustannie, podczas gdy kierowała na nie wzrok. Doprawdy zadziwiające! Suldrun zastanawiała się, czy jest w nich ukryte jakieś tajemne przesłanie. Nie przypominały one jej żadnych liter, jakie dotychczas widziała.

Od strony lustra dobiegł ją głos i wtedy zwróciła uwagę na to, że dolna część ramy została wyrzeźbiona na kształt szerokich, zakręconych w kącikach ust.

– Czarne litery należy odczytać tak: „Suldrun, słodka Suldrun, opuść tą komnatę, zanim spadnie na ciebie jakieś nieszczęście!”

Suldrun rozejrzała się wokół siebie.

– Cóż mogłoby mnie tu skrzywdzić?

– Niech tylko skrzat z zielonej butli pochwyci kosmyk twoich włosów albo złapie cię za palec, a dowiesz się, co znaczy cierpienie.

Dwie głowy odezwały się jednocześnie:

– Co za bzdura! Mamy gołębie serce, nie ma w nas ani odrobiny zdrady. Och, gorzko jest być oczernianym, kiedy nie można oczekiwać zadośćuczynienia za zło!

Suldrun jeszcze bardziej odsunęła się w bok. Zwróciła się do lustra:

– Kto tu do mnie mówi?

– Persilian.

– To bardzo miło z twojej strony, że mnie ostrzegłeś.

– Być może. Moja natura skłania mnie do takich wylewności od czasu do czasu.

Suldrun ostrożnie podeszła do przodu.

– Czy mogę spojrzeć w lustro?

– Tak, ale ostrzegam cię, może ci się nie spodobać to, co tam zobaczysz.

Suldrun przystanęła na chwilę i pomyślała. Czy jest coś, czego nie chciałyby zobaczyć? Wszystko jedno, rozbudzona ciekawość pchała ją teraz do działania. Przyciągnęła trójnożny taboret i stanęła na nim, tak że mogła spojrzeć w lustro.

– Persilianie, nic nie widzę. Zupełnie jakbym patrzyła w niebo.

Powierzchnia lustra poruszyła się. Przez moment w jej twarz spoglądała inna – twarz mężczyzny. Ciemne włosy opadały w lokach, okalając ładną buzię. Mocno zaznaczone brwi zwieńczały bystro spoglądające ciemne oczy. Obrazek uzupełniał prosty nos, nad pełnymi, miękkimi ustami... Wtem czar prysł. Suldrun znowu wpatrywała się w pustkę. Zamyślonym głosem zapytała:

– Kto to był?

– Jeśli go kiedykolwiek spotkasz, powie ci swoje imię. Jeśli natomiast nie miałabyś go już nigdy więcej zobaczyć, jego imię na nic ci się nie przyda.

– Persilianie, zwodzisz mnie.

– Być może. Od czasu do czasu kpię sobie z niewinnych albo ukazuję im rzeczy niepojęte, objawiam kłamcom prawdę lub zachowuję się wyjątkowo cnotliwie, a wszystko zależy od tego, w jakim nastroju się właśnie znajduję. Teraz natomiast zamilknę, w takim bowiem właśnie znajduję się nastroju.

Suldrun zeszła ze stołka, mrugała oczami, do których napłynęły łzy. Czowała się zmieszana i przygnębiona... Dwugłowy goblin wyciągnął nagle jedną ze swych szyi i dziobem złapał kosmyk jej włosów. Było ich niewiele i wyrwał je. Suldrun, potykając się, wyszła z komnaty. Zaczęła zamykać drzwi, kiedy przypomniała sobie o świecy. Wbiegła z powrotem do środka, złapała świecę i wyszła. Drwiące okrzyki dwugłowego goblina zostały stłumione przez zamykające się drzwi.



## Rozdział 5

Wiosną, w dzień Beltana, kiedy Suldrun skończyła jedenaście lat, odbył się starożytny obrządek znany jako Blodfadh lub „Wejście w kwiat życia”. Z dwudziestoma trzema innymi dziewczynkami ze szlacheckich rodów Suldrun przeszła przez krąg białych róż, a potem razem z księciem Bellathem z Caduzu poprowadziła pawanę. Bellath w wieku lat szesnastu był raczej szczupły niż dobrze zbudowany. Miał wyraźne ostre rysy, piękne, jeśli nie odrobinę zbyt srogie. Zachowywał się nienagannie, zgodnie z etykietą. Pewnymi cechami przypominał Suldrun kogoś, kogo już kiedyś знаła. Kto to mógł być? Na próżno szukała w pamięci. Podczas gdy stawiali dokładne kroki, tańcząc pawanę, przyglądała się jego twarzy i odkryła, że on również obserwował ją z uwagą.

Suldrun stwierdziła, że lubi Bellatha i uśmiechnęła się zażenowana.

– Dlaczego mi się tak przyglądasz? Bellath, jakby przepraszając, odparł pytaniem:

– Mam powiedzieć ci prawdę?

– Oczywiście.

– Dobrze więc, ale musisz zapanować nad sobą, jeśli cię to zrani. Powiedziano mi, że prawdopodobnie zostaniemy sobie poślubieni.

Suldrun nie wiedziała, co powiedzieć. W milczeniu prowadzili dalej stateczny taniec.

Bellath w końcu odezwał się z obawą w głosie:

– Mam nadzieję, że nie uraziłem cię tym, co ci powiedziałem?

– Nie... muszę wyjść za mąż pewnego dnia... tak podejrzewam. Tylko nie jestem jeszcze gotowa, żeby o tym myśleć.

Później tego samego dnia, kiedy leżała w łóżku, rozmyślając o tym, co się wydarzyło, nareszcie doszła do tego, kogo przypominał jej książę Bellath – nikogo innego tylko mistrza Jamesa.

Blodfadh wniosło wiele zmian w życie Suldrun. Wbrew jej upodobaniom została przeniesiona ze swoich ukochanych, znanych komnat we Wschodniej Wieży do bardziej przestrzennych pokoi piętro niżej, a książę Cassander przeprowadził się do tych, które zajmowała uprzednio.

Dwa miesiące wcześniej pani Maugelin umarła na puchlinę wodną. Jej miejsce objęła szwaczka i dwie służki.

Pani Boudetta objęła się opieką i wychowaniem księcia Cassandra. Nowy archiwista, mały, pomarszczony, pedantyczny człowieczek o imieniu Julias Sagamundus, został instruktorem Suldrun w ortografii, historii i rachunkach. W celu osiągnięcia doskonałych manier i pełnego gracji zachowania, Suldrun została oddana pod opiekę pani Desdei, wdowy po bracie królowej Sollace, która zamieszkiwała na stałe w Haidionie i na rozkazy królowej spełniała rozmaite wydumane obowiązki. Czterdziestoletnia, bez żadnego majątku, grubokoścista, wysoka, ze zbyt grubymi rysami i nieświeżym oddechem, pani Desdea nie miała już żadnych widoków na przyszłość. Mimo tego miała się niemożliwymi do spełnienia fantazjami. Stroiła się, pudrowała i perfumowała. Kasztanowe włosy upinała wysoko w skomplikowany kok z tyłu głowy, pozostawiając kręcone kosmyki spięte w siateczkach ponad uszami.

Świeżość, młodzieńcza uroda i beztrioskie, niefrasobliwe zachowanie Suldrun drażniło najbardziej czułe struny usposobienia pani Desdei. Wyprawy Suldrun do starego ogrodu stały się teraz powszechnie znane i pani Desdea od razu wyraziła swoją dezaprobatę. Dla wysoko urodzonej panny, dla jakiegokolwiek panny, pragnienie prywatności i odosobnienia było nie tylko ekscentryczne, było absolutnie podejrzane. Jakkolwiek Suldrun była trochę za młoda na to, by wziąć sobie kochanka. A jednak... Nie, to był absurdalny pomysł. Jej piersi nie były jeszcze dobrze ukształtowane. Mogła jednak zostać uwiedziona przez jakiegoś fauna, a ci znani byli ze swych upodobań do młodzieńców,

nie w pełni dojrzałych panien.

Takie myśli snuły się po głowie pani Desdei i pewnego dnia dobrotliwie zaproponowała, aby Suldrun oprowadziła ją po ogrodzie. Suldrun próbowała odwieść panią Desdeę od tego pomysłu.

– Nie spodobałoby ci się to miejsce. Ścieżka ciągnie się po skałach i nie ma tam zbyt wiele do oglądania.

– Mimo tego chciałabym odwiedzić to miejsce.

Suldrun przezornie nic nie odpowiedziała, ale pani Desdea była uparta i kontynuowała zaczęłą myśl.

– Pogoda jest odpowiednia, mogłybyśmy się teraz przejść na mały spacer.

– Proszę mi wybaczyć, moja pani – grzecznie odparła Suldrun – ale jest to miejsce, do którego chodzę tylko, kiedy jestem sama.

– Sama? – zdziwiła się pani Desdea, unosząc cienko zarysowane kasztanowe brwi. – Nie wydaje mi się, by młoda panna twego stanu powinna przechadzać się sama po odległych miejscach.

Suldrun odezwała się bezceremonialnie, ale spokojnie, jakby oznajmiała oczywistą prawdę:

– Nie ma nic złego w tym, że ktoś chce cieszyć się swym prywatnym ogrodem.

Pani Desdea nie wiedziała, co odpowiedzieć. Później zdała relację o uporze Suldrun królowej Sollace, która w tym momencie właśnie testowała nową pomadę z liliowego wosku.

– Coś o tym słyszałam – powiedziała królowa, wcierając odrobinę białego kremu w nadgarstek. – Ona jest dziwną istotą. W jej wieku zwracałam już uwagę na przystojnych chłopców, ale Suldrun takie myśli nigdy nie przychodzą do jej małej, dziwnej główki... Ha! To dopiero intensywna woń! Zobacz, jak pachnie!

Następnego dnia jasno świeciło słońce, a na niebie wysoko mknęły tylko małe kłębki chmur. Suldrun ubrana w wyszukaną, dopasowaną sukienkę w biało-lawendowe pasy, ściągniętą pod biustem i wykończoną na brzegach i kołnierzu koronką, niechętnie zeszła na lekcje z Juhasem Sagamundusem.

Siedząc na wysokim stołku, pilnie wypisywała ozdobne lyonesskie litery szarym gęsim piórem, tak długim i wspaniałym, że końcówka podrygiwała wysoko nad jej głową. Po pewnym czasie złapała się jednak na coraz częstszym wyglądaniu za okno i litery zaczęły się robić coraz bardziej nierówne.

Julias Sagamundus, widząc jak się sprawy mają, westchnął raz czy dwa, ale nie gniewał się specjalnie. Wyjął Suldrun pióro spomiędzy palców, złożył książki z ćwiczeniami, pióra, atrament i pergaminy i wyszedł zająć się własnymi sprawami. Suldrun zeszła ze stołka i, pochłonięta czymś, stanęła przy oknie, jakby słuchając odległej muzyki. Odwróciła się i wyszła z biblioteki.

Pani Desdea wkroczyła właśnie do galerii z Zielonego Salonu, gdzie król Casmir udzielał jej szczegółowych rozważnych instrukcji. Wychodząc z salonu, zdążyła jeszcze zauważyć lawendowobiały skraj sukienki Suldrun, znikającej w Oktagonie. Pospieszyła za nią, pamiętając cały czas o poleceniach króla Casmira. Weszła do Oktagonu, rozejrzała się w prawo i w lewo, potem wyszła na zewnątrz, ale Suldrun ujrzała już na drugim końcu arkady.

– Ach, moja ty panno w tajemniczych butkach! – powiedziała pani Desdea sama do siebie. – Teraz zobaczymy. Już niedługo, niedługo!

Przyłożyła palec do ust, potem poszła na górę do komnat Suldrun i wypytała służki. Żadna z nich nie wiedziała, gdzie podziewa się Suldrun.

– Nie szkodzi – powiedziała pani Desdea. – Wiem, gdzie ją znaleźć. A teraz, wyciągnijcie jej jasnoblękitną popołudniową suknię z koronkowym gorsetem i inne części garderoby, a potem przygotujcie jej kąpiel.

Pani Desdea zeszła do galerii i przez pół godziny przechadzała się tu i tam. W końcu zawróciła

do Długiej Galerii.

– A teraz – rzekła sama do siebie – zobaczymy.

Przeszła arkadą i tunelem wyszła na dziedziniec paradowy. Z prawej strony dzika śliwa i modrzew ocieniały stary kamienny mur, w którym wysłedziła zniszczone drewniane drzwi. Ruszyła przed siebie, schyliła się, przechodząc pod modrzewiem, i pchnęła drzwi. Ścieżka prowadziła na dół przez skalne ustępy i wysoki. Podciągając spódnicę ponad kostki, zaczęła schodzić po nieregularnych kamiennych schodkach, które zakręcały najpierw w prawo, potem w lewo i mijały starą świątynię. Szła dalej, uważając, by się nie potknąć i nie upaść, co z pewnością byłoby wielce kompromitujące dla tak zacnej osoby.

Ściany wąwozu rozchyliły się. Pani Desdea znalazła się nad ogrodem. Krok po kroku schodziła ścieżką na dół i gdyby nie była tak gorliwie zajęta skradaniem się i intrygą, zauważyłaby klomby kwiatów i cudownych ziół, mały strumyczek spływający od jednego do drugiego malowniczego stawku i sączącej się z kamienia na kamień do jeszcze jednego stawku poniżej. Pani Desdea widziała jedynie skaliste rumowisko, do którego trudno było dobrnąć, przejmująco wilgotne i odrażające. Potknęła się, zraniła się w stopę i zakląła, zła na samą siebie, że dała się wywieść tak daleko od Haidionu. Po chwili zobaczyła Suldrun, trzydzieści stóp w dół ścieżki, zupełnie samą (czego zresztą spodziewała się pani Desdea, choć miała cichą nadzieję na skandal). Suldrun usłyszała kroki i uniosła głowę. Jej oczy pałały na jasnej i rozgniewanej twarzy.

Pani Desdea odezwała się rozdrażniona:

– Skaleczyłam się w stopę na tych kamieniach, to doprawdy okropne.

Suldrun poruszyła ustami, ale nie mogła znaleźć słów, które wyraziłyby jej uczucia.

Pani Desdea westchnęła zrezygnowana i udała, że rozgląda się dookoła. Odezwała się dziwnie przymilnym tonem.

– Tak więc, moja droga księżniczko, to jest to twoje ustronne miejsce? – Przesadnie wzduszyła ramionami. – Nie jesteś wrażliwa na to powietrze? Czuję tu taki wyjątkowo wilgotny wiatr. To zapewne od strony morza. – Raz jeszcze rozejrzała się dookoła, ściągając usta w wyrazie lekkiej dezaprobaty – Ten dziki zakątek wygląda tak, jak musiał wyglądać świat, zanim pojawił się na nim człowiek. Chodź, dziecko, oprowadź mnie po tym ogrodzie.

Twarz Suldrun wykrzywiła się od gniewu, zza ściśniętych ust ukazały się zęby. Uniosła rękę i rozkazała: Idź! Idź sobie stąd!

Pani Desdea przybrała wyniosłą pozę.

– Moje drogie dziecko, zachowujesz się nieuprzejmie. Troszczę się jedynie o twoje dobro i nie zasługuję na takie traktowanie.

– Nie chcę cię tutaj! – prychnęła Suldrun. – Nie chcę, żebyś się w ogóle przy mnie kręciła! Idź sobie!

Pani Desdea cofnęła się, a jej twarz przypominała ohydną maskę. Kotłowały się w niej przeciwstawne pragnienia. Najbardziej pragnęła znaleźć jakąś różgę, unieść spódnicę opornego dzieciaka i kilkanaście razy dobrze przyłożyć mu na tyłek. Tego jednak nie śmiała uczynić. Cofając się jeszcze kilka kroków, zawziętym głosem rzuciła:

– Jesteś najbardziej niewdzięcznym dzieckiem, jakie znam. Czy myślisz, że to przyjemność, uczyć cię wszystkich tych nadwornych, dobrych obyczajów oraz chronić twoją niewinność pośród wszystkich pułapek na dworze, kiedy ty mnie zupełnie nie szanujesz? Szukam miłości i zaufania, a znajduję złośliwość. Taka ma być moja nagroda? Staram się, żeby wypełnić swoje obowiązki, a mówi mi się, że bym sobie poszła.

Jej głos zaczął uderzać w nutę monotonii. Suldrun odwróciła się od niej i jej uwagę



przyciągnęły powietrzne akrobacje skalnej jaskółki, najpierw jednej, potem drugiej. Przyglądała się, jak morskie bałwany rozbijają się na przybrzeżnych skałach, a potem, drżąc i pieniać się, spływają na plażę.

– Chcę wyrazić się jasno – mówiła pani Desdea dalej – nie dla własnej korzyści drapałam się tutaj przez skały i osty, ale żeby poinformować cię o dzisiejszym ważnym przyjęciu, co niniejszym uczyniłam. Jest to, niestety, rola wścibskiej pani Desdei. Zostałaś pouczona i nic więcej nie mogę zrobić.

Pani Desdea zakręciła biodrami, z trudem ruszyła w górę ścieżki i opuściła ogród. Suldrun przyglądała się, jak odchodzi z zamyślnym spojrzeniem. Było jakieś poczucie satysfakcji w ruchu jej ramion i sposobie trzymania głowy. Suldrun zastanawiała się, co to mogło znaczyć.

Na wielkim dziedzińcu w Haidionie został wzniesiony baldachim w żółtych i czerwonych kolorach, barwach Pomperolu, miał on stanowić dla króla Deuela z Pomperolu i jego świty zabezpieczenie przed promieniami słonecznymi. Pod baldachimem król Casmir, król Deuel i różne inne osoby z wysokich rodów miały zabawić się na nieformalnym bankiecie.

Król Deuel, chudy, żylasty mężczyzna w średnim wieku, nosił się dumnie, pełen energii i animuszu. Przywiódł ze sobą niewielki orszak -swojego jedyne go syna, księcia Kestrela, czterech rycerzy, rozmaitych przybocznych i lokai. Sam określił swoich ludzi tak:

– Jesteśmy wolni jak ptaki, owe błogosławione istoty, które przemierzają przestworza, i możemy wędrować tam, gdzie dusza zapagnie, nie spiesząc się, i ku własnej przyjemności!

Książę Kestrel skończył właśnie lat piętnaście i poza rudymi włosami w niczym nie przypominał swojego ojca. Był powolny i flegmatyczny, rozrośnięty i o beznamiętnym wyrazie twarzy. Mimo tego król Casmir myślał o nim jako o możliwej partii dla księżniczki Suldrun, gdyby inne, bardziej korzystne rozwiązania nie były osiągalne. Zaaranżował więc całą sprawę tak, by znalazło się dla Suldrun miejsce przy bankietowym stole.

Kiedy miejsce pozostawało puste, król Casmir odezwał się ostrym tonem do siedzącej obok królowej Sollace:

– Gdzie jest Suldrun?

Królowa Sollace wyniośle i powolnie wzruszyła ramionami. – Skąd mam to wiedzieć? – odparła. – Po niej wszystkiego można się spodziewać. Najlepiej zostawić ją w spokoju.

– Wszystko bardzo dobrze, ale poleciłem przecież, aby była obecna przy stole!

Królowa Sollace raz jeszcze wzruszyła ramionami i sięgnęła po śliwkę w lukrze.

– W takim razie pani Desdea musi nam coś na ten temat powiedzieć.

Król Casmir skinął przez ramię na lokaja.

– Sprowadź tu panią Desdeę.

Tymczasem król Deuel podziwiał sztuczki tresowanych zwierząt, które król Casmir przygotował, aby zabawić gości. Niedźwiedzie w niebieskich trójgraniastych kapeluszach toczyły między sobą piłki, cztery wilki w jedwabnych różowo-żółtych kostiumach tańczyły kadryla, sześć czapli i drugie tyle kruków maszerowało w równych szeregach.

Król Deuel nagroził pokaz gorącymi brawami, a szczególnie zachwycony był ptakami.

– Doskonałe! Czyż nie są to wartościowe stworzenia, stateczne i mądre? Zauważcie, z jaką gracją maszerują! Jeden krok, o właśnie, i następny, tak właśnie!

Król Casmir przyjął pochwały z uprzejmością.

– Widzę, że jesteś, panie, wyjątkowo zainteresowany ptakami?

– Uważam, że są wspaniałe i niezwykle. Latają lekko i odważnie, z gracją, która daleko

przewyższa nasze ludzkie zdolności!

– Jest to z pewnością prawda... Proszę mi wybaczyć, muszę zamienić słowo z panią Desdeą. – Król Casmir odwrócił się i spytał: – Gdzie jest Suldrun?

Pani Desdea udała zdziwienie:

– A nie ma jej tutaj? Nadzwyczaj zastanawiające! Jest uparta i może odrobinę lekkomyślna, ale nie mogę uwierzyć, by była tak rozmyślnie nieposłuszna.

– Gdzież więc ona jest?

Pani Desdea wykrzywiła się żartobliwie i pomachała palcami. – Jak mówię, jest zawziętym dzieckiem, łatwo ulegającym różnym fanaberiom. Upodobała sobie teraz stary ogród pod Urquialem. Próbowałam jej to wyperswadować, ale dla niej jest to ostatnio ulubione miejsce i ciągle tam przesiaduje.

I ona jest tam teraz? Bez niczyjej opieki? – spytał szorstko król Casmir.

– Wasza Wysokość, ona nie pozwala nikomu tam z sobą wchodzić, tak to wygląda. Rozmawiałam z nią i przekazałam jej życzenia Waszej Królewskiej Mości. Nie chciała mnie słuchać i odesłała mnie. Podejrzewam, że ciągle jest w ogrodzie.

Król Deuel siedział oczarowany wystąpieniem tresowanej małpki, chodzącej po linie. Król Casmir bąknął jakieś słowa przeprosin i oddalił się. Pani Desdea natomiast zajęła się własnymi sprawami, z przyjemnym poczuciem osiągnięcia celu.

Król Casmir nie postawił nogi w starym ogrodzie od dwudziestu lat. Zszedł ścieżką wyłożoną kamykami i wysypaną piaskiem, pomiędzy drzewami, klombami kwiatów i ziół. W połowie drogi do plaży natknął się na Suldrun. Klęczała na ścieżce, układając w piasku kamyki.

Suldrun zaskoczona uniosła wzrok. Król Casmir w milczeniu obejrzał ogród, potem spojrzał na Suldrun, która powoli wstała. Król odezwał się beznamiętnym tonem:

– Dlaczego nie spełniasz moich poleceń? Suldrun zaskoczona rozchyliła usta.

– Jakich poleceń?

– Zażądałem twej obecności na bankiecie wydanym na cześć króla Deuela i jego syna, księcia Kestrela.

Suldrun zaczęła szperać w pamięci i zabrzmiało jej w głowie echo słów pani Desdei. Ukradkiem spoglądając w stronę morza, powiedziała:

– Być może pani Desdea coś wspomniała. Ona mówi tak wiele, że rzadko jej słucham.

Król Casmir pozwolił sobie na niewielki chłodny uśmiezek. On także miał wrażenie, że pani Desdea przemawiała wyjątkowo rozwlekle. Ponownie rozejrzał się po ogrodzie.

– Dlaczego tu przychodzisz? Suldrun z wahaniem odpowiedziała:

– Jestem tu sama i nikt mnie nie niepokoi.

– Nie czujesz się samotna?

– Nie, udaję, że kwiaty ze mną rozmawiają.

Król Casmir chrząknął. Nie rozumiał tego rodzaju fantazji i nie podzielał zainteresowań księżniczki. Być może ona rzeczywiście była trochę ekscentryczna.

Czy nie powinnaś zabawiać się z pannami godnymi twojego stanu?

– Ojczy, czynię to podczas lekcji tańca.

Król Casmir przyglądał się jej. W jej błyszczących, złocistych włosach tkwił mały biały kwiatek; miała delikatne i regularne rysy. Król Casmir po raz pierwszy ujrzał w swojej córce coś innego niż piękne, roztargnione dziecko.

– Chodź ze mną – powiedział burkliwie. – Pójdziemy zaraz na przyjęcie. Twój strój daleki jest od odpowiedniego, ale ani król Deuel, ani Kestrel nie pomyślą o tobie źle. – Zauważył melancholijny

wyraz twarzy Suldrun i dodał: – Cóż to, nie masz ochoty pójść na bankiet?

– Ojcze, to są obcy ludzie. Dlaczego muszę się dzisiaj z nimi zobaczyć?

– Ponieważ w swoim czasie będziesz musiała wyjść za mąż, a Ke-strel może być całkiem korzystną partią.

Suldrun zatroskała się jeszcze bardziej.

– Myślałam, że mam poślubić księcia Bellatha z Caduzu. Twarz króla ściągnęła się.

– Gdzie to usłyszałaś?

– Książę Bellath sam mi powiedział. Król Casmir zaśmiał się chrapliwie.

– Trzy tygodnie temu Bellath został zaręczony z księżniczką Maha-eve z Dahautu.

Suldrun zrobiła smutną minę.

– Czy ona nie jest już dorosłą kobietą?

– Ma dziewiętnaście lat i jest brzydka jak noc. Nie ma to jednak żadnego znaczenia, gdyż spełnia on polecenia swego ojca, króla, który wolał Dahaut od Lyonesse, co okaże się największym głupstwem, jakie popełnił, sam się o tym przekona. Cóż więc, spodobał ci się książę Bellath?

– Lubiłam go trochę.

– Teraz nie ma to już znaczenia. Potrzebujemy zarówno Pompero-lu, jak i Caduzu, jeśli ułożymy się z Deuelem, będziemy mieć je oba.

Chodź teraz i uważaj na swoje zachowanie, traktuj uprzejmie księcia Kestrela.

Zrobił obrót na pięcie. Suldrun ruszyła za nim opieszale.

Na przyjęciu została posadzona obok księcia Kestrela, który wysilał się na wyniosłość. Suldrun nawet tego nie zauważyła. Zarówno Kestrel, jak i cała sytuacja nudziły ją niezmiernie.

Jesienią tego samego roku król Quairt z Caduzu i książę Bellath wybrali się na polowanie na Długie Wzgórza. Zostali tam napadnięci przez zamaskowanych bandytów i zabici. Wywołało to w Caduzie wielkie zamieszanie, wiele wątpliwości i domysłów.

Król Casmir z Lyonesse odkrył przy tej okazji swoje prawo do tronu w Caduzie, pochodzące od jego dziadka, księcia Cassandra, brata królowej Lidii z Caduzu.

Prawo to, oparte na kontynuacji rodu, przechodzące z siostry na brata, dotyczyło potomka pominiętego wcześniej dwukrotnie i było legalne (z odpowiednimi zastrzeżeniami) w Lyonesse, jak również w Ulflandach. Natomiast w Dahaucie rządziło zupełnie odwrotne prawo, nakazujące dziedziczenie ściśle w obrębie rodu ojcowskiego. Prawo samego Caduzu było niejednoznaczne.

Chcąc skuteczniej zabezpieczyć swoje żądanie, Casmir pojechał do Montroc, stolicy Caduzu, wiodąc ze sobą setkę rycerzy, co natychmiast wzburzyło króla Audry'ego z Dahautu. Ostrzegł on, że w żadnym wypadku nie uda się Casmirowi tak łatwo przyłączyć Caduzu do swojej korony, i zaczął mobilizować wielką armię.

Ośmieleni w ten sposób książęta i hrabiowie z Caduzu zaczęli okazywać swą niechęć Casmirowi, a wielu zastanawiało się coraz bardziej usilnie nad tożsamością szybkich, śmiercionośnych i bezimiennych bandytów, którzy ujeżdżali po dotychczas spokojnej okolicy.

Casmir szybko zorientował się, jak się sprawy mają. W pewne burzliwe popołudnie, kiedy książęta Caduzu zebrali się na tajnym spotkaniu, przedziwna kobieta w bieli wkroczyła do zajmowanej przez nich komnaty, dzierżąc w dłoni wysoki szklany kielich, z którego dobywały się kolorowe smugi, kłębiące się za nią jak dym. Jak gdyby w transie ujęła w dłonie koronę i włożyła ją na głowę księcia Thirlacha, męża Etaine, młodszej siostry Casmira. Potem kobieta w bieli opuściła komnatę i nikt już jej więcej nie widział. Po krótkiej sprzeczce przyjęto to zdarzenie za dobry znak i Thirlach wstąpił na tron jako nowy król. Casmir odjechał do domu ze swoimi rycerzami,

usatysfakcjonowany, że udało mu się osiągnąć wszystko, co mogło stanowić dla niego określoną korzyść. Istotnie, jego siostra Etaine, obecnie królowa Caduzu, była kobietą o niepowtarzalnej osobowości.

Suldrun miała czternaście lat. Była w wieku odpowiednim do za-mążpójścia. Pogłoski o jej piękności rozeszły się hen, daleko i do Ha-idionu zaczęli przybywać młodzi panicze, a również inni, nie tak już młodzi, aby osobiście przekonać się o jej urodzie.

Król Casmir przyjmował wszystkich jednakowo gościnnie, ale nie spieszył się z wyborem, dopóki nie ocenił odpowiednio wszystkich możliwości.

Życie Suldrun stało się odtąd jakby bardziej złożone, spędzała czas na balach, bankietach, ucztach i zabawach. Niektórzy z gości wydawali się jej nawet całkiem mili, inni mniej. Król Casmir jednak nigdy nie zapytał jej o zdanie, które zresztą zupełnie go nie obchodziło.

Do miasta Lyonesse przybył również gość w zupełnie innej misji. Był to brat Umphred, jowialny, okrągłutki kaznodzieja, pochodzący z Akwitanii. Przybył do miasta Lyonesse przez wyspę Whanish i diecezję w Skro. Wiedziony pewnie instynktem, jak fretka dopadająca gardła królika, brat Umphred znalazł wdzięcznego słuchacza w osobie królowej Sollace. Przemawiał słodkim głosem i królowa nawróciła się na chrześcijaństwo.

Brat Umphred urządził kaplicę w Wieży Palaemona, zaledwie kilka kroków od komnat królowej Sollace. Na jego sugestię Cassander i Suldrun zostali ochrzczeni i odtąd domagano się ich obecności na codziennej porannej mszy w kaplicy.

Brat Umphred próbował też nawrócić króla Casmira, ale posunął się za daleko.

– Co jest tutaj dokładnie twoim celem? – dopytywał się król Ca-smir. – Jesteś szpiegiem Rzymu?

– Jestem pokornym sługą jedyne go i wszechmogącego Boga – powiedział brat Umphred. – Niosę dobrą nowinę o nadziei i miłości do wszystkich ludzi, nie zwracając uwagi na trudności i cierpienia. Nic więcej.

Król Casmir roześmiał się drwiąco.

– A co powiesz o wielkich katedrach w Avallonie i Tacielu? Czyżby sam Bóg dostarczył pieniędzy na ich budowę? Skądże znowu! Wyduszono je z wieśniaków.

– Wasza Wysokość, jałmużnę przyjmujemy z pokorą.

– Wydawałoby się, że dla wszechmogącego Boga o wiele łatwiej byłoby stworzyć te pieniądze... Koniec z nawracaniem! Jeśli przyjmiesz najmniejszy datek od kogokolwiek w Lyonesse, zostaniesz wychłosta-ny, zaciągnięty do portu Fader i odesłany w worku z powrotem do Rzymu.

Brat Umphred skinął głową bez widocznej urazy.

– Stanie się, jak sobie życzysz.

Dla Suldrun nauki brata Umphreda były niezrozumiałe, a jego zachowanie zbyt poufale. Przestała uczyć się na msze, czym wywołała niezadowolenie matki.

Suldrun miała teraz niewiele czasu dla samej siebie. Wysoko urodzone panny towarzyszyły jej w ciągu całego dnia, gawędząc i plotkując, planując małe intrygi, rozprawiając o sukniach i obyczajach, a także o wszystkich osobach przebywających na zamku. Suldrun miała niewiele okazji na samotne wyprawy do starego ogrodu.

Pewnego wczesnego poranka słońce świeciło tak pięknie, a drozd w oranżerii śpiewał tak płaczliwe pieśni, że Suldrun poczuła się zmuszona do wyjścia na zewnątrz. Udała złe samopoczucie, unikając w ten sposób towarzystwa panien, i ukradkiem, żeby jej nikt nie zauważył i nie posądził o schadzki z kochankiem, przebiegła pod arkadą, przez stare drzwi i do starego ogrodu.

Coś się tu zmieniło. Miała wrażenie, jakby widziała ogród po raz pierwszy, chociaż każdy szczegół, każdy kwiat i drzewo były tak bardzo znane i drogie jej. Rozejrzała się ze smutkiem za straconymi wizjami z dzieciństwa. Zauważyła ślady zaniedbania. Dzwonki, anemony i fiołki, rosnące skromnie w cieniu, zostały przytłumione przez kępy bujnej trawy. Po przeciwnej stronie, pomiędzy cyprysami i drzewami oliwnymi, pokrzywy wyrastały dumniej niż złotogłów. Ścieżka, którą tak pracowicie wyłożyła białymi kamykami z plaży, została rozmyta przez deszcze.

Suldrun podeszła do starego cytrynowego drzewa, pod którym spędziła tyle rozmarzonych godzin... Ogród wydawał się mniejszy. Kiedyś zakątek ten spowijał mroczny urok i czar, dziś rozjaśniało zwykłe światło słoneczne. A i dzikie róże na pewno pachniały intensywniej, kiedy po raz pierwszy weszła do ogrodu. Na chrzęst kroków odwróciła się i ujrzała rozpromienioną twarz brata Umphreda. Miał na sobie brązową sutannę przewiazaną czarnym sznurem. Kaptur zwieszał się pomiędzy jego pulchnymi ramionami i różowo świeciła tonsura.

Brat Umphred rzucił spojrzenie na prawo i lewo, potem skłonił się i zatarł rękę.

– Czcigodna księżniczko, nie przywędrowałaś z pewnością tak daleko bez towarzystwa?

– Dokładnie tak, bracie Umphredzie, jako że przyszedłam tu nacieszyć się samotnością. – Głos Suldrun nie miał w sobie ani odrobiny życzliwości. – To dla mnie przyjemność, kiedy mogę być trochę sama.

Brat Umphred, ciągle się uśmiechając, raz jeszcze rozejrzał się po ogrodzie.

– To wyjątkowo spokojny zakątek. Ja także doceniam samotność. Czy to możliwe, byśmy byli zrobieni z tej samej gliny? – zrobił krok do przodu, zatrzymując się bardzo blisko Suldrun. – To wielka przyjemność, móc cię tutaj spotkać. Od dawna już wyczekiwałem na rozmowę z tobą.

Suldrun odezwała się jeszcze chłodniejszym tonem:

– A ja nie mam zamiaru rozmawiać ani z tobą, ani z kimkolwiek innym. Przyszedłam tu, aby być sama.

Brat Umphred zrobił obrażoną minę.

– Pójdę sobie zaraz. Ale czy wydaje ci się to właściwe, wędrować samotnie do tak odległego miejsca? Jak strzępiono by sobie na tobie języki, gdyby się o tym dowiedziano. Wszyscy zastanawialiby się, kogo obdarzyłaś spotkaniem w tak intymnym miejscu.

Suldrun odwróciła się od niego w lodowatym milczeniu. Brat Umphred zrobił komiczną minę, wzruszył ramionami i spokojnym krokiem ruszył w górę wąwozu.

Suldrun usiadła pod cytrynowym drzewem. Podejrzewała, że brat Umphred schowa się gdzieś wyżej za skałami, aby odkryć, kto miałby przyjść na spotkanie.

Po pewnym czasie wstała i zaczęła wchodzić pod górę. Oburzenie na obecność brata Umphreda przywróciło coś z czarodziejskiej atmosfery ogrodu i zapachu Suldrun. Zatrzymała się, by powyrywać chwasty. Może przyszlaby jutro rano i powyrywała pozostałe pokrzywy?

Brat Umphred porozmawiał z królową Sollace i przedstawił jej kilka propozycji. Sollace zastanowiła się, a potem z zimną i wyrachowaną złośliwością – dawno już zresztą doszła do wniosku, że Suldrun niezbyt ją obchodzi – wydała odpowiednie rozkazy.

Minęło kilka tygodni, zanim Suldrun, mimo swojego postanowienia, powróciła do ogrodu. Gdy weszła przez stare drzwi, odkryła w środku grupę murarzy pracujących przy starej świątyni. Powiększyli okna, wstawili drzwi i wyburzyli tylną ścianę, aby powiększyć całe pomieszczenie, a także dobudowali ołtarz. Zbita z tropu Suldrun zapytała mistrza murarzy:

– Co tu budujecie?

– Wasza Wysokość, budujemy kościółek albo, jakby to powiedzieć, kaplicę, żeby ten ksiądz

mógł tu odprawiać nabożeństwa.

Suldrun nie mogła z siebie wykrztusić słowa.

– Ale... kto wydał takie rozkazy?

– Królowa Sollace we własnej osobie, Wasza Wysokość, dla spokoju i wygody podczas jej modlitw.



## Rozdział 6

Pomiędzy Dascinetem a Troicinetem znajdowała się Scola, skalista wyspa ze stromym, urwistym wybrzeżem, rozciągająca się na jakieś dwadzieścia mil. Zamieszkiwali ją Skylowie. W centrum wyspy wznosił się wulkaniczny szczyt Kro, który sporadycznie dawał o sobie znać wewnętrznymi grzmotami, wypuszczając ze świstem parę lub grudy siarki. Ze szczytu rozchodziły się cztery strome pasma górskie, dzielące wyspę na cztery hrabstwa: Sadaracx na północy, Corso na wschodzie, Rhamnanthus na południu i Malvang na zachodzie, rządzone nominalnie przez hrabiów, którzy byli wasalami króla Yvara Excelsusa z Dascinetu.

W praktyce nikt nie był w stanie zapanować nad Skylami, ludźmi o ciemniejszym ubarwieniu skóry, nieznanego pochodzenia, wielce przebiegłymi. Zamieszkiwali odizolowane górskie doliny i pojawiali się jedynie wówczas, gdy nadchodził czas na straszliwe czyny. Ich życiem rządziła wendeta i ponure zbrodnie. Cnotami Skyla były podstępność, zapamiętanie i zapalczywość, krwawa namiętność i stoicyzm w czasie tortur. Jego słowo, czy to w formie obietnicy, gwarancji lub groźby, można było traktować jak pewnik. Czasami nawet dokładność, z jaką Skylowie dotrzymywali danego słowa, graniczyła z absurdem. Od narodzin aż do śmierci ich życie było pasmem kolejnych morderstw, niewoli, ucieczek, dzikich najazdów, śmiałych odsieczy, a wszystkie te czyny tak wyraźnie klóciły się z pięknem arkadyjskiego krajobrazu.

Podczas określonych świąt ogłaszano rozejm. Wtedy zabawy i hulanki wykraczały daleko poza rozsądne granice. Wszystkiego było w nadmiarze. Stoły ugięły się pod ciężarem rozmaitego jadła. Dokonywano niezwykłych wyczynów podczas picia wina. W nagłych przyływach sentymentu pradawne waśnie bywały zapominane, krwawe wojny, które pochłonęły wiele istnień, odsuwano w niepamięć. Przywołując wspomnienia i wylewając rzewne łzy, wracano do dawnych przyjaźni. Piękne panny i przystojni młodzianie spotykali się i zakochiwali się w sobie lub spotykali się i rozstawali. Były chwile pełne uniesienia i chwile rozpacz, uwodzono i porzucano, pościgi, wypadki tragicznej śmierci i straconej cnoty, wszystko było tylko wstępem do nowych wendet.

Członkowie klanu, zamieszkujący wschodnie wybrzeże, w przyływach butnego nastroju przeprawiali się przez kanał do Troicinetu, gdzie dopuszczali się różnych występków, nie pomijając grabieży, gwałtów, morderstw i porwań.

Król Granice długo i uporczywie protestował przeciwko tym poczynaniom, informując o tym króla Yvara Excelsusa. Ten natomiast usprawiedliwiał wypadki Skylów jako zaledwie młodzieńcze wybryki. Dawał do zrozumienia, że w jego odczuciu poniżej godności leżało przejmowanie się takimi sprawami, należało po prostu takie zajścia ignorować, a także, że on sam nie zna praktycznego sposobu na ucieszenie Skylów.

W Port Mei, na wschodnim krańcu Troicinetu, co roku świętowano dzień letniego przesilenia. Działo się to podczas trzydniowego festiwalu i organizowano z tej okazji wielki korowód. Retherd, młody i głupi hrabia Malvangu, przybył na festiwal incognito w towarzystwie trzech awanturniczych przyjaciół. Doszli oni podczas trwania wielkiego korowodu do wniosku, że panny przebrane za Siedem Gracji były wyjątkowo czarujące, ale nie mogli dojść do zgody, która była z nich najpiękniejsza. Dyskutowali o tym przez cały wieczór, siedząc przy winie, i w końcu, chcąc rozwiązać problem w praktyczny sposób, porwali wszystkie siedem panien i zabrali je ze sobą do Malvangu.

Rozpoznano jednak hrabiego Retherda i wiadomości szybko dotarły do króla Granice'a.

Nie tracąc czasu na kolejne skargi u króla Yvara Excelsusa, król Granice przybył na Scolę z armią tysiąca wojowników, zniszczył zamek Retherda, odbił panny, wykastrował hrabiego i jego



szlachetków, a potem na znak ostrzeżenia spalił kilka nadbrzeżnych wsi.

Trzej pozostali hrabiowie zebrali trzytysięczną armię i zaatakowali troicyjski obóz. Król Granice wzmocnił w sekrecie swoją armię dwoma setkami rycerzy i czterema setkami ciężkiej jazdy. Niezdyscyplinowane wojska Skylów zostały rozgromione, hrabiowie wzięci do niewoli, a król Granice rozciągnął swą władzę na Scolę.

Yvar Excelsus gwałtownie się oburzył i wystosował swoje ultimatum. Król Granice miał wycofać wszystkie wojska, zapłacić odszkodowanie w postaci stu funtów w złocie, odbudować zamek w Malvangu i złożyć kolejne sto funtów w złocie, które miały być zabezpieczeniem przed dalszymi ewentualnymi wystąpieniami przeciwko królestwu Dascinetu.

Król Granice nie tylko odrzucił ultimatum, ale na dodatek ogłosił przyłączenie Scoli do Troicinetu. Król Yvar Excelsus wpadł w szał, zrzucił całą winę na przeciwnika i wypowiedział wojnę. Nie poczyniłby może tak zdecydowanych kroków, gdyby trochę wcześniej nie podpisał traktatu o wzajemnej pomocy z królem Casmirem z Lyonesse.

W tym samym czasie król Casmir przemyślał o przygotowaniu się do możliwej wojny z Dahautem, zupełnie nie oczekując, że może zostać wplątany w kłopoty, których sam nie zaplanował, szczególnie w wojnę z Troicinetem.

Mógł wycofać się z udziału w wojnie pod takim czy innym pretekstem, ale po dłuższym zastanowieniu doszedł do wniosku, że może mieć z tego jakieś korzyści.

Rozważył wszystkie aspekty całej sprawy. W sojuszu z Dascinetem mógłby ulokować własne armie na jego terytorium, a potem całą siłą uderzyć przez Scolę na Troicinet, unieszkodliwiając w ten sposób tro-icyjską potęgę morską, która była tak doskonale zabezpieczona przed atakiem, że w inny sposób nie można było jej pokonać.

Król Casmir podjął rozstrzygającą decyzję. Rozkazał siedmiu ze swoich dwunastu armii stawić się w Bulmer Skeme. Następnie, powołując się na dawne władztwo, obecne roszczenia i traktat z królem Yva-rem Excelsusem wypowiedział wojnę królowi Granice z Troicinetu.

Król Yvar Excelsus działał w porywie furii i pijackiej brawury. Kiedy otrzeźwiał, zdał sobie sprawę z błędu w strategii, okazało się bowiem, że nie wziął pod uwagę tak elementarnego faktu, jak to, iż Troicyjczycy górowali nad nim pod każdym względem. Mieli więcej wojska, statków, lepsze wyszkolenie i ducha bojowego. Polegać mógł więc teraz jedynie na traktacie z Lyonesse, podbudował się wobec tego na duchu, kiedy król Casmir oznajmił gotowość przystąpienia do wojny.

Lyonesskie wojska, mające się przeprawić do Dascinetu, zebrały się w Bulmer Skeme. O północy żołnierze wsiedli na statki i odpłynęli do Dascinetu. Najpierw natknęli się na przeciwny wiatr, a później, o świcie na flotę troicyjskich statków wojennych.

W przeciągu dwóch godzin połowa lyonesskich i dascineckich przeładowanych statków została albo zatopiona, albo rozbita na skałach, a zginęło przy tym około dwóch tysięcy ludzi. Pozostała, nie tak pechowa, połowa uciekła z powrotem do Bulmer Skeme i wylądowała na plaży.

Tymczasem wojska troicyjskie, płynące na rozmaitych troicyjskich statkach handlowych, kutrach rybackich i przybrzeżnych kogach, zawinęły do Arquensio, gdzie zostały powitane jako oddziały lyonesskie. Zanim odkryto pomyłkę, zamek został zdobyty, a król Yvar Excelsus pojmany.

Wojna z Dascinetem skończyła się. Król Granice obwieścił się władcą Wysp Zewnętrznych, które nie były może tak ludne jak Lyonesse czy Dahaut, ale trzymały pod kontrolą Lir i Zatokę Kantabryjską.

Wojna pomiędzy Troicinetem a Lyonesse była teraz dla króla Casmira źródłem zakłopotania. Zaproponował więc zakończenie wrogich wypraw i król Granice zgodził się pod następującymi

warunkami:

Lyonesse miało oddać hrabstwo w Tremblancji, położone poza Troagh, na jego odległych zachodnich krańcach, i zobowiązać się, że nie będzie prowadzić budowy statków wojennych, które mogłyby stanowić zagrożenie dla Troicinetu.

Jak można było przewidzieć, król Casmir odrzucił tak surowe warunki i ostrzegł króla Granice'a przed konsekwencjami, jeśli nadal będzie trwał przy wrogich zamiarach...

Król Granice udzielił na to następującej odpowiedzi: „Pozwól, że przypomnę, iż ja, Granice, nie wypowiadałem ci żadnej wojny. Ty natomiast, Casmirze, rozpoczęłeś niczym nie uzasadnioną wojnę ze mną. Zostałeś pokonany w otwartej i sprawiedliwej walce. Teraz musisz ponieść konsekwencje swojej klęski. Znasz moje warunki. Przyjmij je albo prowadź dalej wojnę, której nie możesz wygrać, a która będzie cię kosztować cenne życie twych ludzi, wiele nakładów i upokorzenia. Moje warunki są nader rzeczowe. Żądam hrabstwa Tremblancji, gdyż posiadając je, będę mógł chronić moje statki przed Skalradami. Ostrzegam cię, mogę zawsze wylądować z potężną armią na Przylądku Pożegnań, jeśli tylko taka będzie moja wola”.

Król Casmir odparł na to również groźbą: „Ośmielasz się wyzwać potęgę Lyonesse na podstawie jednego, niepozornego i tymczasowego zwycięstwa. Technie to głupotą i arogancją. Czy wydaje ci się, że mógłbyś przewyższyć naszą potęgę? Wyłączę spod prawa ciebie i cały twój ród. Będziecie jak przestępcy ścigani i zabijani. Nie mam ci nic więcej do powiedzenia”.

Król Granice odpowiedział na taką wiadomość potęgą swojej floty. Całe wybrzeże Lyonesse zostało objęte tak ścisłą blokadą, że nawet małe łodzie rybackie nie mogły bezpiecznie wypływać na Lir. Lyonesse głównie utrzymywało się z lądu, tak więc blokada była jedynie pewną uciążliwością, stanowiła jednak nieustanną zniewagę dla króla Casmi-ra. Był bowiem wobec niej bezsilny.

Król Granice z kolei nie był w stanie wyrządzić dotkliwszej szkody Lyonesse. Zatok na wybrzeżu było niewiele i były dobrze strzeżone. Dodatkowo Casmir utrzymywał na brzegu czujne warty i wynajmował szpiegów, zarówno w Dascinecie jak i Troicinecie. Zebrał też tymczasem budowniczych i nakazał im sprawną i szybką budowę statków wojennych, za pomocą których chciał pokonać Troicinet.

U ujścia rzeki Sime, które stanowiło najlepszą naturalną przystań w całym Lyonesse, rozpoczęto konstrukcję dwunastu drewnianych kadłubów, a drugie tyle w mniejszych przystaniach u wybrzeży zatoki Baltu w hrabstwie Fetz.

Kiedy już statki były prawie wykończone i gotowe do spuszczenia na wodę, w bezksiężycową noc do ujścia rzeki Sime wpłynęło ukradkiem sześć troicyjskich galer i, pomimo umocnień, garnizonów i wart, spaliło doki. Dokładnie w tym samym czasie Troicyjczycy dokonali wypadu w małych łodziach na wybrzeże zatoki Balt, spalili doki, zwodowane już łodzie i olbrzymi zapas drewna do budowy. Plany Casmira, dotyczące szybkiej armady, legły w gruzach.

W Zielonym Salonie na Haidionie król Casmir jadł samotnie śniadanie składające się z marynowanego węgorza, gotowanych jajek i bułeczek, a potem rozsiadł się wygodnie w fotelu i zaczął przemyśliwać nad swymi rozlicznymi problemami. Klęska pod Bulmer Skeme nie dręczyła go już tak bardzo, żal osłabł. Mógł teraz rozważać wszystkie jej następstwa, nie angażując się w to zbyt emocjonalnie.

Wziąwszy wszystko pod uwagę, wyglądało na to, że mógł pozwolić sobie na odrobinę ostrożnego optymizmu. Blokada wybrzeża była prowokacją i zniewagą, którą musiał na razie biernie akceptować w imię swej godności. Kiedy nadejdzie odpowiednia chwila, surowo się odpłaci, ale obecnie musi pracować nad wcieleniem w życie najważniejszego planu, krótko rzecz ujmując, nad pokonaniem króla Audry'-ego i restauracją tronu Evanding w Haidionie.

Zaatakowanie Dahautu było najłatwiejsze od zachodu, gdyż omijało się w ten sposób linię warownych fortów wzdłuż granicy z Pompero-lem. Droga do takiej inwazji wiodła na północ od Nolsby Sevan, przez zamek Tintzin Fyral, potem na północ szlakiem znanym jako Trompa-da i dalej do Dahautu. Na przeszkodzie, po drodze, znajdowały się potężne fortece: Kaul Bocach na przesmyku zwanym Wrotami Cerbera i sam Tintzin Fyral. Kaul Bocach strzeżone było przez południowoułflandzki garnizon, ale król Oriante z Południowych Ulflandów, w obawie przed niezadowolaniem Casmira, zapewnił już jego armiom swobodne przejście.

Tak więc jeden tylko Tintzin Fyral stał na drodze ambicjom Casmira. Zamek ten wznosił się na krańcu stromego pasma górskiego i utrzymywał pod swoją kontrolą zarówno Trompadę, jak i trasę przez Dolinę Evander, prowadzącą do Południowych Ulflandów. Faude Car-filhiot, który rządził Doliną Evander ze swego niezdożytego orlego gniazda, nie uznawał nad sobą żadnego suwerena, nie wspominając o nominalnym władcy królu Oriante.

Do Zielonego Salonu wkroczył szambelan. Skłonił się przed królem Casmirem i rzekł:

– Sir, pewna osoba oczekuje na spotkanie z tobą. Mówi, iż nazywa się Shimrod, oraz że przybywa tu na rozkaz Waszej Królewskiej Mości.

Casmir wyprostował się w fotelu.

– Wprowadź go.

Szambelan wycofał się, a po chwili wrócił z wysokim, młodym mężczyzną szczupłej postawy, ubranym w koszulę i spodnie z dobrego sukna, niskie buty i ciemnozieloną czapkę. Zdjął ją teraz i widać było, że ma płowe włosy, przycięte nad uszami na aktualną modłę. Jego rysy były trochę nieregularne, może nawet odrobinę toporne. Miał chudy nos, kościstą szczękę i brodę, szerokie, wygięte usta i jasne, szare oczy, w których czaił się radosny błysk, co jednak nie ujmowało nic jego pewnej i pełnej opanowania postawie. Brakowało w niej jednak czci i oddania, by zadowolić króla Casmira.

– Sir – powiedział Shimrod – przybywam na twą usilną prośbę. Casmir przyglądał się Shimrodowi badawczo i sceptycznie, ze ściągniętymi ustami i lekko przechyloną głową.

– Prawdę mówiąc, nie wyglądasz tak, jak tego oczekiwałem. – Shimrod skłonił się grzecznie, dając do zrozumienia, że nie bierze odpowiedzialności za rozczarowanie króla Casmira. Ten zaś wskazał na krzesło.

– Spocznij, jeśli łaska. – Sam z kolei wstał i podszedł do ognia płonącego na kominku. – Mówiono mi, że szkoliłeś się w sztukach czarodziejskich.

Shimrod pokiwał głową.

– Ludzie strzepią języki, jeśli coś tylko odrobinę odbiega od normalności.

Casmir słabo się uśmiechnął.

– W takim razie, czy informacje te są prawidłowe? ,

– Wasza Wysokość, magia to wielce skomplikowana dyscyplina. Niektóre osoby posiadają wrodzone i naturalne zdolności, ja do nich nie należę. Studiuję pilnie rozmaite techniki, jednak nie jest to miernikiem mojej znajomości rzeczy.

– Do jakiego stopnia wobec tego znasz się na rzeczy?

– W porównaniu z innymi adeptami tej sztuki, powiedzmy, orientuję się dobrze w jednej trzydziestej.

– Czy znasz Murgena?

– Znam go dobrze.

– Czy on był twoim nauczycielem?

– W pewnym stopniu.

Król Casmir opanował narastającą niecierpliwość. Swobodne zachowanie Shimroda balansowało bezpiecznie na granicy bezczelności. Mimo tego, dla Casmira było to irytujące, a precyzyjne, choć niosące jedynie minimum informacji, odpowiedzi czyniły całą konwersację wyjątkowo męczącą. Casmir przemówił opanowanym głosem:

– Jak ci zapewne wiadomo, Troicyjczycy utrzymują blokadę wzdłuż naszego wybrzeża. Czy mógłbyś zasugerować, w jaki sposób przerwać tę blokadę?

Shimrod zastanowił się przez chwilę.

– Biorąc wszystko pod uwagę, najprostszym sposobem byłoby zawarcie pokoju.

– Bez wątpienia. – Casmir pogładził się po brodzie. Czarodzieje byli dziwnym ludem. – Wolałbym jednak metodę, która może nieco bardziej skomplikowana, ale pozwoliłaby na korzystne rozwiązanie interesów Lyonesse.

– Musiałbyś w takim razie przeciwstawić się wrogiej flocie siłą o znacznej przewadze.

– Dokładnie. W tym sedno całej sprawy. Myślałem o sojuszu ze Skalradami i życzyłbym sobie, abyś przepowiedział konsekwencje takiego pociągnięcia.

Shimrod z uśmiechem potrząsnął głową.

– Wasza Wysokość, niewielu czarodziei potrafi przepowiadać przyszłość. Ja nie jestem jednym z nich. Aczkolwiek, jako człowiek o przeciętnym zdrowym rozsądku, odradzałbym ci taki ruch. Skalradzi od dziesiątków tysięcy lat walczą z przeciwnościami, to srogi lud. Zamierzają zapanować nad wyspami Elder, podobnie jak ty. Wprowadź ich na wody Liru, oddaj im przystanie, a nigdy już ich nie opuszczą. To jest oczywiste.

Oczy króla Casmira ściągnęły się w wąskie szparki. Bardzo rzadko rozprawiano z nim w tak bystry sposób. Jednakowoż, rozumował, zachowanie Shimroda mogło równie dobrze być miarą jego bezstronności i szczerości. Nikt, kto próbowałby udawać, nie przemawiałby tak swobodnym tonem. Kolejne pytanie zadał wyważonym, neutralnym tonem:

– Co wiesz na temat zamku Tintzin Fyral?

– Nigdy nie widziałem tego miejsca. Powiadają, że jest nie do zdobycia, to jednak z pewnością już wiesz.

Król Casmir sztywno skinął głową.

– Słyszałem również, że czary mają poniekąd wpływ na potęgę tego zamku.

– Nie mogę nic na ten temat powiedzieć. Został zbudowany przez pomniejszego czarodzieja, Ugo Goliasa, który miał stamtąd władać Doliną Evander, w bezpiecznej odległości od rządców z Ys.

– W jaki sposób więc wszedł w posiadanie Carfilhiota?

– Jeśli o to chodzi, mogę jedynie powtórzyć krążące plotki.

Król Casmir beznamytnym gestem nakazał Shimrodowi, aby mówił dalej.

– Sprawą nader wątpliwą jest pochodzenie Carfilhiota. – powiedział Shimrod. – Całkiem możliwe, że został spłodzony przez czarodzieja Tamurella i wiedźmę Desmei. Nic jednak na pewno nie wiadomo, poza tym że najpierw zniknęła Desmei, a następnie Ugo Golias z całą swoją służbą, jak gdyby porwani przez złe moce. Zamek natomiast stał pusty, dopóki Carfilhiot nie pojawił się z oddziałem żołnierzy i nie wziął go w posiadanie.

– Wyglądałoby na to, że sam również jest czarodziejem.

– Myślę, że nie. Czarodziej z pewnością zachowywałby się zupełnie inaczej.

– Znasz go w takim razie?

– Zupełnie nie. Nigdy go nie widziałem.

– Sprawiasz jednak wrażenie obeznanego z jego pochodzeniem i osobowością.

– Czarodzieje mają skłonności do plotek, jak wszyscy inni ludzie, szczególnie, jeśli ich

przedmiot jest tak głośny jak Carfilhiot.

Król Casmir pociągnął za sznurek od dzwonka. Do salonu weszli dwaj lokaje, niosąc wino, orzeszki i słodycze, które rozstawili na stole. Król usiadł po przeciwnej stronie stołu. Napełnił winem dwa kielichy i podał jeden z nich Shimrodowi.

– Składam Waszej Królewskiej Mości wyrazy najwyższego szacunku. – powiedział Shimrod.

Casmir siedział, wpatrując się w ogień. Odezwał się zamyślony:

– Shimrodzie, moje ambicje nie stanowią zapewne żadnej tajemnicy. Czarodziej taki jak ty, mógłby okazać się dla mnie nieocenioną pomocą. Zostałbyś oczywiście sowicie nagrodzony.

Shimrod zakręcił kielichem i przyglądał się, jak wiruje ciemny płyn.

– Król Audry przedstawił taką samą propozycję Tamurello. Król Yvar Excelsus szukał pomocy u Noumique'a. Wszyscy odmówili z powodu wielkiego edyktu wydanego przez Murgena, który w nie mniejszym stopniu odnosi się również do mnie.

– Ba! – zachnął się król Casmir. – Czy Murgen góruje autorytetem nad wszystkimi innymi?

– W tej kwestii tak! Casmir burknął:

– A jednak rozmawiałeś ze mną bez żadnego specjalnego skrępowania.

– Radziłem ci jedynie, jak zrobiłby każdy rozsądny człowiek. Król Casmir wstał gwałtownie. Rzucił na stół sakiewkę.

– To wynagrodzenie za twoje usługi.

Shimrod otworzył sakiewkę. Pięć złotych koron potoczyło się po stole. Zamieniły się w złote motyle, które zaczęły krążyć po salonie. Z pięciu zrobiło się dziesięć, dwadzieścia, pięćdziesiąt i sto. Nagle wszystkie razem upadły na stół, gdzie stały się stoma złotymi monetami.

Shimrod zabrał pięć z nich, włożył je do sakiewki, którą włożył do kieszeni.

– Dziękuję, Wasza Wysokość. Skłonił się i opuścił komnatę.

Odo, księżę z Folize, pojechał z niewielkim oddziałem na północ przez Troagh, posępną krainę turni i przepaści, do Południowych Ulflandów i dalej przez Kaul Bocach, gdzie urwiste ściany wąwozu schodziły się tak blisko, że trzech jeźdźców nie mogło przejechać bok w bok.

Liczne małe wodospady spływały do wąwozu, gdzie zasilaly południowe odgałęzienie rzeki Evander. Od tego miejsca rzeka i droga biegły obok siebie. W przodzie wznosił się masywny szczyt nazywany Zębem Kronusa albo Tac Tor. Północne odgałęzienie rzeki spływało z górskich zboczy. Oba łączyły się i razem przepływały pomiędzy Tac Tor a zboczem góry, na której wznosił się zamek Tintzin Fyral.

Księżę Odo oznajmił swe przybycie przy bramie i został poprowadzony zygzakowatą drogą przed oblicze Faude Carfilhiota.

Dwa dni później opuścił zamek i powrócił tą samą drogą, którą przybył, do miasta Lyonesse. Przed zbrojownią zsiadł z konia, strzepnął pył z płaszcza i udał się bezpośrednio na audiencję do króla Casmi-ra.

A jako że plotki rozchodziły się po Haidionie z niesamowitą prędkością, natychmiast też zaczęto rozprawiać o zbliżającej się wizycie znacznej osobistości, niezwykłego lorda, otoczonego tysiącem tajemnic – Faude Carfilhiota z Tintzin Fyral.



## Rozdział 7

Suldrun siedziała w oranżerii z dwoma ulubionymi pannami do towarzystwa. Była to Lia, córka księcia Tandre z Sondbeharu, i Tuissany, córka lorda z Merce. Lia słyszała już co nieco o Carfilhiocie.

– Jest wysoki i silny, a wyniosły jak półbóg! Powiadają, że jego spojrzenie fascynuje wszystkich, którzy na niego spoglądają!

– Wygląda na to, że jest imponującym mężczyzną – powiedziała Tuissany i obie dziewczyny spojrzęły na Suldrun, która zacisnęła ręce.

– Imponujący mężczyźni traktują siebie zbyt poważnie – powiedziała. – Jeśli już się odezwą, to zazwyczaj są to tylko rozkazy albo narzekania.

– Ale to nie wszystko – oświadczyła Lia. – Dowiedziałam się tego od mojej szwaczki, która posłyszała rozmowę pani Pedrei. Wygląda również na to, że Faude Carfilhiot jest najbardziej romantycznym z mężczyzn. Co wieczór siada na wysokiej wieży, wpatrując się w gwiazdy i usychając z tęsknoty.

– Usychając z tęsknoty? Za czym?

– Za miłością.

– A kim jest ta wyniosła dziewczyna, przez którą tak cierpi?

– To jest właśnie najciekawsze. On ją sobie wyobraził. Darzy uwielbieniem pannę ze swoich marzeń.

Jakoś trudno w to uwierzyć – powiedziała Tuissany. Podejrzewam, że znacznie więcej czasu spędza w łóżku z prawdziwymi pannami.

– Nie wiem nic na ten temat. A poza tym, te opowieści mogą być przesadzone.

– Może dowiemy się prawdy – powiedziała Tuissany. – Ale oto nadchodzi twój ojciec, nasz król.

Lia podniosła się, tak samo jak Tuissany, Suldrun również, ale z ociąganiem. Wszystkie skłoniły się z kurtuazją. Król Casmir zbliżył się dostojnym krokiem.

– Panie, chciałbym porozmawiać z księżniczką na osobności. Proszę, zostawcie nas samych na kilka chwil.

Lia i Tuissany wycofały się. Król Casmir przez moment przyglądał się Suldrun, która odwróciła się w bok, by zapanować nad dreszczami niepokoju i skurczami żołądka.

Król Casmir powoli skinął głową, jak gdyby potwierdzając własne nie wypowiedziane przemyślenia. Odezwał się nie wróżącym nic dobrego tonem:

– Musisz wiedzieć, że oczekujemy wizyty ważnej osoby, księcia Carfilhiota z Doliny Evander.

– Tak, słyszałam o tym.

– Jesteś w odpowiednim wieku do zamążpójścia i jeśli spodobaś się księciu Carfilhiotowi, będę przychylnym okiem patrzył na taki związek, co również dam mu do zrozumienia.

Suldrun podniosła wzrok i spojrzała na złotobrodą twarz.

– Ojczy, nie jestem jeszcze przygotowana do małżeństwa. Zupełnie nie pragnę dzielić łóża z mężczyzną.

Król Casmir skinął głową.

– Tego właśnie oczekuje się od cnotliwej i niewinnej panny. Nie jestem niezadowolony. Takie skrupuły muszą jednak ustąpić przed racją stanu. Przyjaźń z księciem Carfilhiotem jest nieoceniona dla naszych interesów. Szybko przyzwyczaisz się do tej myśli. W związku z tym, twoje zachowanie w stosunku do księcia Carfilhiota ma być uprzejme i pełne gracji, ale nie przesadne i nazbyt poufale.

Nie narzucaj mu swego towarzystwa. Człowiek taki jak Carfilhiot ceni sobie dystans i rezerwę. Pamiętaj jednak, aby nie zachowywać się chłodno lub bojaźliwie.

Suldrun krzyknęła przygnębiona:

– Ojczy, nie będę musiała udawać niechęci! Nie jestem gotowa do małżeństwa! Być może nigdy nie będę!

– Cicho teraz! – głos króla Casmira stał się ostrzejszy. – Skromność jest odpowiednia, nawet ujmująca, ale w umiarkowaniu. Natomiast praktykowana do przesady, staje się uciążliwa. Carfilhiot nie powinien pomyśleć, że jesteś zarozumiała. Takie są moje życzenia, czy są one wystarczająco jasne?

– Ojczy, rozumiem twe życzenia bardzo dobrze.

– Dobrze. Postaraj się tylko, aby miały wpływ na twoje zachowanie.

Kawalkada dwudziestu rycerzy i zbrojnych jeźdźców nadjechała przez Sfer Arct do miasta Lyonesse. Na czele jechał książę Carfilhiot, wyprostowany, swobodny, mężczyzna o czarnych kręconych włosach, przyciętych krótko nad uszami, jasnej cerze, o regularnych i urodziwych rysach, które być może były trochę surowe, wyjąwszy usta sentymentalnego poety.

Jeźdźcy zatrzymali się przy zbrojowni. Carfilhiot zeskoczył z siodła, a jego koń został odprowadzony przez dwóch chłopców stajennych ubranych w kolory Haidionu, zieleni i lawendy. Ludzie ze świty Carfilhiota również zsiadli z koni i ustawili się za nim w dwóch szeregach.

Król Casmir zstąpił z górnego tarasu i przeszedł przez dziedziniec. Książę Carfilhiot wykonał należny kurtuazyjny ukłon, a w ślad za nim skłonili się jego ludzie.

– Witaj! – przemówił król Casmir. – Witaj w Haidionie!

– Jestem zaszczycony twoją gościnnością. – Głos Carfilhiota był stanowczy, głęboki i dobrze modulowany, ale brakowało mu dźwięczności.

– Przedstawiam ci mojego senesza, sir Munga. Zaprowadzi cię do twoich pokoi. Zarządziłem już posiłek i kiedy się odświeżysz, zasiądziemy na tarasie.

Godzinę później Carfilhiot wyszedł na taras. Przebrał się w tunikę z jedwabiu w szaro-czarne paski, czarne spodnie i czarne buty. Ten nietypowy strój podkreślał jeszcze bardziej dramatyzm jego postawy.

Król Casmir oczekiwał go przy balustradzie. Carfilhiot zbliżył się i ukłonił.

– Królu Casmirze, od pierwszej chwili wizyta tutaj jest dla mnie wielką przyjemnością. Haidion jest najwspanialszy ze wszystkich pałacy na wyspach Elder. Roztaczająca się z niego panorama na miasto i morze nie ma sobie równych.

Król Casmir, wielce kontent, odpowiedział:

– Mam nadzieję, że nie jest to twoja ostatnia tutaj wizyta. Jakkolwiek by było, jesteśmy najbliższymi sąsiadami.

– Właśnie! – powiedział Carfilhiot. – Niestety wiele problemów zatrzymuje mnie w domu przez znaczną część roku. Problemy, którymi Lyonesse szczęśliwie nie musi się przejmować.

Król Casmir uniósł brwi.

– Problemy? Jesteśmy na nie narażeni w równym stopniu! Mam tyle problemów, ilu Troicyjczyków mieszka w Troicinecie!

Carfilhiot zaśmiał się uprzejmie.

– W odpowiednim czasie musimy złożyć sobie wzajemne wyrazy współczucia.

– Rad bym również zamienić się problemami.

– Moi bandyci, rozbójnicy i zbuntowani baronowie za twoje wybrzeże blokowane przez statki



wojenne? Niezły interes dla nas obu.

– Mógłbyś dołożyć tysiąc twoich Skalradów.

– Z wielką chęcią, gdyby tylko byli moimi Skalradami. Z niewiadomych powodów unikają Południowych Ulflandów, chociaż kręcą się po Północnych i panoszą się tam.

Powietrze przeszła miła dla ucha fanfara, odegrana przez dwóch heroldów, obwieszczająca pojawienie się królowej Sollace i towarzyszących jej dam.

Król Casmir i Carfilhiot odwrócili się, aby ją przywitać. Król przedstawił swego gościa. Królowa Sollace przyjęła komplementy Carfilhiota łaskawym spojrzeniem, które jednak Carfilhiot z gracją zignorował.

Czas płynął i król Casmir zaczął się niepokoić. Coraz częściej spoglądał przez ramię w stronę pałacu. W końcu mruknął kilka słów do lokaja, ale nadal nic się nie działo i minęło kolejne pięć minut.

Wtem heroldowie unieśli rogi i zagrali następną fanfarę. Na taras wbiegła teraz Suldrun, pochylona, jakby ją ktoś popchnął. W cieniu za jej plecami pokazała się też na chwilę wykrzywiona twarz pani Desdei.

Suldrun zbliżyła się do stołu. Miała grobową minę. Dopasowana sukienka, z miękkiego różowego materiału, podkreślała jej figurę, a spod okrągłego białego czepeczka na ramiona spływały jej złociste loki.

Powoli podeszła do przodu, za nią podążały Lia i Tuissany. Zatrzymała się i rozejrzała po tarasie, przemykając spojrzeniem po Carfilhio-cie. Podszedł do niej sługa z tacą. Suldrun i towarzyszące jej panny wzięły kielichy z winem, potem skromnie odeszły na bok, gdzie zaczęły rozmawiać ściszymi głosami.

Król Casmir obserwował całą scenę spod przymkniętych powiek, aż w końcu zwrócił się do seneszala Munga:

– Powiadom księżniczkę, iż oczekujemy, aby do nas dołączyła.

Sir Mungo przekazał wiadomość. Suldrun słuchała go z rozchylonymi ustami. Wydawało się, że westchnęła, potem przeszła przez taras, zatrzymała się przed ojcem i dygnęła z ponurą miną.

Sir Mungo tymczasem donośnym głosem obwieścił:

– Księżniczko Suldrun, mam zaszczyt przedstawić ci księcia Faude Carfilhiota z Doliny Evander!

Suldrun pochyliła głowę. Carfilhiot skłonił się z uśmiechem i pocałował ją w rękę. Potem, unosząc głowę i spoglądając na jej twarz, powiedział:

– Wieści o pięknie i gracji księżniczki Suldrun dotarły przez góry do Tintzin Fyral. Jak widzę, nie były one przesadzone.

Suldrun odparła bezbarwnym głosem:

– Mam nadzieję, że nie przykładałeś zbytnej uwagi do tych plotek. Zresztą, nie chcę tego słyszeć.

Król Casmir nasrożył się i chciał coś powiedzieć, ale Carfilhiot odezwał się pierwszy:

– Czyżby, a dlaczegoż to?

Suldrun uparcie unikała wzrokiem spojrzenia swego ojca.

– Los uczynił ze mnie kogoś, kim wcale nie chciałabym być.

– Czy podziw ze strony mężczyzn nie sprawia ci przyjemności?

– Nie zrobiłam nic godnego podziwu.

– Podobnie jak róża lub oszlifowany szafir.

– To są jedynie ozdoby, nie mają w sobie życia.

– Piękno nie zasługuje na potępienie – odezwał się król Casmir z powagą w głosie. – To dar, którym obdarzonych zostało niewielu. Czy ktokolwiek, nawet księżniczka Suldrun, chciałby być brzydki?

Suldrun już otwierała usta, chcąc powiedzieć: „Ja przede wszystkim wolałabym być gdziekolwiek indziej, byle nie tutaj”, ale zastanowiła się nad tą uwagą i zamknęła usta.

– Piękno jest najprzedziwniejszym z przymiotów – oświadczył Car-filhiot. – Kto był pierwszym poetą? Był nim ten, który stworzył koncepcję piękna.

Król Casmir wzruszył obojętnie ramionami i wypił łyk z purpurowego szklanego kielicha.

Carfilhiot ciągnął dalej, swobodnym i śpiewnym tonem:

– Nasz świat jest miejscem strasznych i cudownych rzeczy, gdzie prawie zawsze coś pokrzyżuje plany natchnionemu poecie, który pragnie zgłębić ideał piękna.

Suldrun ze złożonymi rękami przyglądała się koniuszkom swoich palców. Carfilhiot powiedział:

– Mam wrażenie, że masz jakieś zastrzeżenia.

– Wydaje mi się, że ten twój natchniony poeta łatwo mógłby stać się nader uciążliwym towarzyszem.

Carfilhiot uniósł ręce, udając rozgniewanie.

– Jesteś bez serca, jak sama Diana. Nie żywisz ani odrobiny sympatii dla natchnionego poety, biednego księżycowego poszukiwacza przygód?

– Raczej nie. Sprawia on wrażenie co najmniej zbyt uczuciowego i egocentrycznego. Cesarz Rzymu, Neron, który tańczył w płomieniach palącego się miasta, był prawdopodobnie takim „natchnionym poetą”.

Król Casmir poruszył się niespokojnie. Tego typu rozmowa zakrawała na zuchwałość... A jednak Carfilhiot wydawał się dobrze bawić. Czy to możliwe, by nieśmiała, zamknięta w sobie Suldrun była bardziej inteligentna niż przypuszczał?

Carfilhiot rzekł teraz do Suldrun:

– Była to dla mnie nader interesująca rozmowa. Mam nadzieję, że będziemy mogli kontynuować ją w bardziej odpowiedniej chwili?

Suldrun odparła jak najbardziej oficjalnie:

– Doprawdy, księżę Carfilhiocie, moje spostrzeżenia wcale nie zasługują na uwagę. Czułabym się zakłopotana, dyskutując z osobą o twoim doświadczeniu.

– Będzie, jak sobie życzysz – powiedział Carfilhiot. – Pozwól mi jednak na przyjemność przebywania w twoim towarzystwie.

Król Casmir pospieszył z interwencją, zanim nieobliczalna w słowach Suldrun uraziłaby gościa odmową.

– Księżę Carfilhiocie, oto paru dostojników królestwa, którzy czekają, by zostać tobie przedstawieni.

Później król Casmir wziął Suldrun na stronę:

– Jestem zaskoczony twoim zachowaniem w stosunku do księcia Carfilhiota! Wyrządzasz tym więcej szkody, niż możesz sobie wyobrazić. Jego dobra wola jest niezbędna do przeprowadzenia moich planów!

Wobec majestatu ojca Suldrun czuła się słaba i bezradna. Głosem błagalnym zawołała więc tylko:

– Ojcze, nie zmuszaj mnie do poślubienia księcia Carfilhiota! On mnie przeraża!

Król Casmir przygotowany był na lamenty i próby wzbudzenia jego litości. Był jednak nieubłagany i odpowiedział:

– Ba! Jesteś głupiotka i brak ci rozsądku. Są znacznie gorsze partie niż księżę Carfilhiot, zapewniam cię. Będzie tak, jak ja zdecyduję.

Suldrun stała z pochyloną głową. Najwyraźniej nie miała nic więcej do powiedzenia. Wobec tego król Casmir zrobił zwrot i odmaszerował przez długą galerię, a potem po schodach w górę do swoich komnat. Suldrun spoglądała za nim z zaciśniętymi pięściami, które przyciskała do boków. Odwróciła się i wybiegła przez galerię na zewnątrz, pod arkadą, przez starą bramę i na dół do ogrodu. Słońce, wiszące nisko na niebie, wysłało smętne promienie przez grubą warstwę chmur. Ogród wydawał się jej zimny i obcy.

Zeszła ścieżką na dół, mijając po drodze ruiny, i usiadła pod starym drzewem cytrynowym. Oplotła ramiona kolanami i zaczęła przemyślać nad losem, który zdawał się jej przeznaczony. Bez wątpienia, tak jej się wydawało, Carfilhiot zdecydowałby się na poślubienie jej. Zapewne zabierze ją do Tintzin Fyral, gdzie w swoim czasie będzie chciał zgłębić tajemnice jej ciała i umysłu... Słońce zaszło za chmury. Zaczął wiać zimny wiatr. Suldrun zadrżała. Wstała i ze spuszczonego wzrokiem, powoli wróciła tą samą drogą. Gdy weszła do swojej komnaty, została zbesztana przez rozdrażnioną panią Desdeę.

– Gdzie byłaś? Na rozkaz królowej mam cię ubrać w piękny strój, bo będzie bankiet i tańce. Kąpiel jest już gotowa.

Suldrun nie stawiała oporu i pozwoliła się rozebrać, a potem weszła do obszernej marmurowej wanny, wypełnionej po brzegi ciepłą wodą. Służki namydliły ją mydłem z oliwek i aloesu, następnie splukały wodą o zapachu cytrynowej werbeny i wytarły miękkimi bawełnianymi ręcznikami. Wyszczotkowano jej włosy, aż zaczęły lśnić. Została ubrana w ciemnoniebieską suknię, a na głowę założono jej srebrną opaskę ozdobioną lazurytowymi krążkami.

– To wszystko, co mogę z tobą zrobić – rzekła pani Desdea. – Jesteś bez wątpienia urodziwa. Ale czegoś ci brak. Musisz odrobinę poflirtować, tylko uważaj, bez przesady! Daj mu do zrozumienia, że wiesz, co mu chodzi po głowie. Odrobina figlarności dodaje dziewczynie smaczku, jak sól mięsu... A teraz odrobina napaństwa, roziskrzy ci oczy!

Suldrun odskoczyła do tyłu i zawołała:

– Nie chcę tego!

Pani Desdea zdążyła się już nauczyć, jak bezcelowe było dyskusowanie z Suldrun.

– Jesteś najbardziej upartą istotą, jaką znam! Jak zwykle, zrobisz, co zechcesz.

Suldrun zaśmiała się gorzko.

– Gdybym mogła robić to, na co mam ochotę, nie poszłabym na ten bal.

– Cóż, tak to jest, moja ślicznotko. – Pani Desdea ucałowała Suldrun w czoło. – Mam nadzieję, że w życiu wszystko będzie się układało po twojej myśli... A teraz chodźmy na bankiet. Usilnie cię proszę, bądź uprzejma dla księcia Carfilhiota, ponieważ twój ojciec ma nadzieję, że poprosi on o twoją rękę. Podczas bankietu król Casmir i królowa Solla-ce siedzieli na honorowych miejscach przy wielkim stole, Suldrun siedziała z prawej strony ojca, a Carfilhiot po lewej stronie królowej.

Suldrun ukradkiem przyglądała się Carfilhiotowi. Z tą jasną cerą, gęstymi czarnymi włosami i przenikliwym spojrzeniem był niezaprzeczalnie przystojny, niemal do przesady. Jadł i pił z wdziękiem. Prowadził kurtuazyjne rozmowy. Prawdopodobnie jego jedyną sztuczną pozą była skromność. Niewiele mówił o sobie. Mimo tego Suldrun nie była w stanie wytrzymać jego spojrzenia, a kiedy z nim rozmawiała, zmuszona przez okoliczności, z trudnością wydobywała z siebie słowa.

Carfilhiot wyczuwał jej niechęć, była o tym przekonana, ale to jedynie zdawało się pobudzać jego zainteresowanie. Zrobił się jeszcze bardziej uprzejmy, jak gdyby zamierzał poradzić sobie z jej

antypatią poprzez rycerskość. Przez cały czas Suldrun czuła też na sobie badawcze spojrzenie ojca, jak chłodne poddmuchy powietrza, tak intensywne, że zaczęła się czuć nieswojo. Pochyliła głowę nad talerzem, ale nie była w stanie nic przełknąć.

Sięgnęła po kielich i natknęła się na spojrzenie Carfilhiota. Przez chwilę wpatrywała się jak sparaliżowana w jego oczy. On wie, o czym myślę. Wie, a teraz uśmiecha się, jak gdyby już mnie posiadał... Suldrun gwałtownie spuściła wzrok. Ciągłe się uśmiechając, Carfilhiot odwrócił się i zaczął konwersować z królową Sollace.

Suldrun myślała, że podczas balu uda się jej zniknąć pomiędzy towarzyszącymi jej pannami, ale nic z tego nie wyszło! Sir Eschar, drugi seneszał, przyszedł i odszukał ją, po czym odprowadził przed oblicze króla Casmira, królowej Sollace, księcia Carfilhiota i innych dygnitarzy. Kiedy zabrzmiała muzyka, została ustawiona w parze z księciem Carfilhiotem i nie ośmieliła się odmówić.

W milczeniu wykonywali stateczne kroki, do przodu i do tyłu, kłaniając się, obracając z gracją. Mieniły się kolorowe jedwabie i szeleściły atłasy. Tysiąc świec w masywnych kandelabrach łagodnym światłem rozjaśniało komnatę.

Kiedy muzyka ucichła, Carfilhiot poprowadził Suldrun na stronę, gdzie znaleźli się przez chwilę sami.

– Już wiem, co mam ci powiedzieć – stwierdził. – Twoje zachowanie jest tak odpychające, jakbyś chciała mnie przed czymś przestrzec.

Suldrun odparła na to tonem bardzo poważnym:

– Sir, nie nawykłam do tak oficjalnych uroczystości i, mówiąc prawdę, wcale mnie one nie bawią.

– Wolałabyś więc być teraz w zupełnie innym miejscu?

Suldrun spojrzała na drugi koniec sali, gdzie stał Casmir w otoczeniu dostojników dworu.

– Moje upodobania, jakiegokolwiek one są, zdają się mieć znaczenie tylko dla mnie samej. Przynajmniej tyle dano mi do zrozumienia.

– Mylisz się, z całą pewnością! Mnie, na przykład, bardzo interesują twoje upodobania. Doprawdy, jesteś dla mnie wyjątkowo niezwykłą osobą.

Jedyną reakcją Suldrun było obojętne wzruszenie ramion, co beztroskiego Carfilhiota na chwilę zbiło z tropu.

– Podejrzewam jednak, że ty tymczasem wyrobiłaś sobie o mnie opinię jako o osobie przeciętnej, gburowatej, może nawet nieco nudnej? – Powiedział to w nadziei, że sprowokuje ją do gwałtownych, pełnych zażenowania zaprzeczeń.

Suldrun, spoglądając na salę, odparła na to roztargnionym głosem: – Sir, jesteś gościem mojego ojca. Nie pozwoliłabym sobie na wyrażenie takiej opinii, czy w ogóle jakiegokolwiek innej.

Carfilhiot zaśmiał się szczerze i tak niesamowicie, aż Suldrun odwróciła się, próbując przez tę szczelinę, która utworzyła się w jego masce, zajrzeć mu w duszę. Carfilhiot jednak natychmiast przybrał zwykłą pozę. Znowu swobodny i beztroski rozłożył ręce, demonstrując grzeczne i pełne rozbawienia rozczarowanie.

– Dlaczego jesteś taka nieprzystępna? Czyżbym naprawdę był tak godny ubolewania?

Suldrun raz jeszcze odparła z chłodną formalnością:

– Sir, z pewnością nie przyczyniłeś się w najmniejszym stopniu do tego, abym cię osądziła w ten sposób.

– Ale, czy nie jest to jedynie poza? Musisz wiedzieć o tym, że jesteś podziwiana. Należę do tych, którzy pragną cieszyć się twoją przychylną opinią.

– Sir, mój ojciec pragnie wydać mnie za męża. Wszyscy o tym wiedzą. Wymaga ode mnie

znacznie więcej, niż jestem w stanie z siebie dać. Nic nie wiem o miłości czy kochaniu.

Carfilhiot ujął ją za ręce i przymusił, by na niego spojrzała.

– Wyjawię ci pewną tajemnicę. Księżniczki rzadko poślubiają swoich kochanków. A jeśli chodzi o sztukę miłości, to z chęcią nauczyłbym tak niewinną i piękną uczennicę. Posiadłabyś całą wiedzę w ciągu jednej nocy, jeśli mogę tak to ująć.

Suldrun cofnęła ręce i rzekła:

– Przyłączmy się do pozostałych.

Carfilhiot odprowadził Suldrun na jej miejsce. Parę minut później powiadomiła ona królową Sollace, że nie czuje się najlepiej i cicho wymknęła się z komnaty. Król Casmir, na którego zaczynało działać wypite wino, nic nie zauważył.

Na błoniach Derfwy, dwie mile na południe od miasta Lyonesse, Król Casmir zarządził pokazy i festyn dla uczczenia swego honorowego gościa – Faude Carfilhiota, księcia Doliny Evander i pana na Tintzin

Fyral. Wszystko zostało przygotowane starannie i z wielkim przepychem. Na roznach już od poprzedniego dnia obracały się woły podlane dobrze oliwą, sokiem z cebuli i czosnku, i zaprawione syropem z rozmarynu. Teraz były już dobrze wypieczone, a przez łąkę niósł się oszałamiający zapach. W pobliżu na wielkich tacach poukładano kopiasto bochenki chleba, a z boku sześć beczek z winem czekało tylko na wyciągnięcie szpuntów.

Z okolicznych wsi nadciągali młodzi mężczyźni i kobiety w odświętnych strojach. Przy akompaniamencie bębenków i piszczałek tańczyli wesołe i skoczne tańce, dopóki pot nie zrosił im czoła. W południe kłowni walczyli na drewniane miecze i dmuchane pęcherze. Trochę później rycerze dworu królewskiego potykali się na lance zakończone skórzanymi poduszczkami.\*

\* Nie organizowano jeszcze wtedy turniejów, w których rycerze walczyli na kopie lub staczali pozorowane bitwy. Zawody w tamtych czasach były stosunkowo łagodne. Ograniczały się do zapasów, wyścigów konnych i skoków o tyczce. W takich wydarzeniach szlachta rzadko, jeśli w ogóle, brała udział.

Tymczasem pieczyście zostało przeniesione na stoły, gdzie krojono je na plastry i podawano na połówkach chleba wszystkim tym, którzy zechcieli skorzystać z hojności króla Casmira, a wino spuszczone z beczek radośnie bulgotało.

Król Casmir i książę Carfilhiot przyglądali się potyczkom rycerzy ze specjalnie zbudowanego podwyższenia. Byli w towarzystwie królowej Sollace, księżniczki Suldrun, księcia Cassandra i kilkunastu innych osobistości. Potem król Casmir i Carfilhiot udali się na przechadzkę po łągach, gdzie obserwowali zawody łucznicze i prowadzili rozmowę przy świeście strzał. Dwóch ludzi ze świty Carfilhiota przystąpiło do zawodów i strzelało z taką precyzją, że król Casmir to skomentował.

Carfilhiot odpowiedział:

– Dowodzę stosunkowo niewielką siłą, wobec tego wszyscy muszą być doskonali we władaniu każdą bronią. Sądzę, że jeden z moich żołnierzy wystarczy za dziesięciu innych. Dla każdego z nich broń jest życiem i śmiercią. Mimo to zazdroszczę ci twoich wspaniałych dwunastu armii. Król Casmir mruknął ponuro:

– Dowodzenie dwunastoma armiami to świetna rzecz, zresztą z tego powodu król Audry słabo sypia. Dwanaście armii jest jednak nieskutecznych przeciwko Troicyjczykom. Pływają sobie wzdłuż moich wybrzeży, śmieją się i wykpiwają mnie, podpływają do moich przystani i pokazują mi gołe tyłki.

– Zapewne poza zasięgiem strzału z łuku.

– Pięćdziesiąt j ardów dalej.

– Wielce irytujące.

– Moje ambicje nie są tajemnicą – odparł na to król Casmir, ważąc słowa. – Muszę zdławić Dahaut, ujarzmić Skalradów i pokonać Troicinet. Przywrócę tron Evadnig i stół Cairbra an Meadhan na ich prawe miejsce i wyspy Elder znowu będą pod władzą jednego króla.

– To szlachetne ambicje – z wdziękiem podkreślił Carfilhiot. – Gdybym był królem Lyonesse, nie postąpiłbym inaczej.

– Nie jest to łatwa strategia. Mogę działać na południu przeciwko Troicyjczykom w sojuszu ze Skalradami albo na terytorium Ulflandów, zakładając, że książę Doliny Evander umożliwi mi przejście przez Tint-zin Fyral. Potem moje armie zepchną Skalradów z Dalekiego Wybrzeża, zastraszą Godelian i skierują się na wschód, do Dahautu, gdzie przeprowadzę ostateczną rozgrywkę. Z flotą tysiąca statków zmiążdżę Troicinet, a wtedy wyspy Elder ponownie będą jednolitym królestwem, natomiast książę Doliny Evander zostanie księciem Południowych Ulflandów.

– To śmiały pomysł i myślę, że jest wykonalny. Nie ucierpią na tym moje własne ambicje, w zasadzie Dolina Evander mi wystarcza. Moje pragnienia skłaniają się w zupełnie innym kierunku. Z całą szczerością przyznaję, że zakochałem się w księżniczce Suldrun. Jest dla mnie najpiękniejszą z żyjących istot. Czy uznałbyś mnie za zbyt zarozumiałego, gdybym poprosił o jej rękę?

– Uznałbym to za jak najbardziej odpowiedni i pomyślny związek.

– Szczęśliwy jestem, słysząc twoją aprobatę. A co z księżniczką Suldrun? Wyraźnie nie darzy mnie przychylnością.

– Jest trochę kapryśna. Porozmawiam z nią. Jutro złożycie przysięgę narzeczeńską podczas odpowiedniej ceremonii, a ślub odbędzie się w późniejszym czasie.

– To nader radosna dla mnie wizja, a mam nadzieję, że również dla księżniczki Suldrun.

Późnym popołudniem powóz królewski powracał do Haidionu, wioząc króla Casmira, królową Sollace i księżniczkę Suldrun. Młody książę Cassander jechał konno obok Carfilhiota.

Król Casmir rzekł wówczas do Suldrun poważnym głosem:

– Rozmawiałem dzisiaj z księciem Carfilhiotem i oświadczył on, że jest w tobie zakochany. To nader korzystna partia i wyraziłem zgodę na wasz ślub.

Suldrun wpatrywała się w niego z przerażeniem, spełniły się jej najgorsze przeczucia. Wreszcie wykrztusiła:

– Sir, dlaczego nie możesz mi uwierzyć? Nie chcę teraz wychodzić za mąż, a już w pełni nie za Carfilhiota! On mi wcale nie odpowiada!

Król Casmira utkwiał w Suldrun głębokie i pełne powagi spojrzenie swych niebieskich oczu.

– Nie będę tolerował takiego afektowanego rozdrażnienia. Carfilhiot jest szlachetnym i przystojnym mężczyzną! Twoje niepokoje są znacznie przesadzone. Jutro w południe zostaniesz oficjalnie przyrzeczona Carfilhiotowi. Pobierzecie się za trzy miesiące. Nie mam nic więcej do powiedzenia.

Suldrun opadła na poduszki. Powóz toczył się po drodze, kołysząc się na resorach z grabowego drewna. Topole, rosnące wzdłuż drogi, migotały w świetle słońca. Przez łzy Suldrun obserwowała grę światła i cieni na twarzy ojca. Miękkim, drżącym głosem wydusiła z siebie raz jeszcze błaganie:

– Ojczy, nie zmuszaj mnie do tego małżeństwa!

Król Casmir był jednak niewzruszony, odwrócił się od niej i nie odpowiedział.

Zrozpaczona Suldrun próbowała znaleźć wsparcie w osobie matki, ale ujrzała jedynie woskową, pełną niechęci twarz. Królowa Sollace powiedziała uszczypliwie:

– Jesteś w dobrym wieku do zamążpójścia, co każdy, kto ma oczy, zauważy. Już czas, byś opuściła Haidion. Nie przysporzyłaś nam radości twoimi kapryсами i bzdurnymi upodobaniami.

Wtedy też król Casmir rzekł:

– Jako księżniczka Lyonesse nie doznałaś nigdy trosk ani kłopotów. Ubierasz się w miękkie jedwabie i korzystasz z przywilejów niedostępnych dla zwykłych kobiet. I jako księżniczka Lyonesse musisz również dostosować się do wymogów polityki, tak jak ja. Ślub się odbędzie. Skończ z tą małostkową nieśmiałością i przyjmij księcia Carfilhiota z uprzejmością. Nie chcę nic więcej słyszeć na ten temat.

Po przybyciu do Haidionu Suldrun udała się wprost do swoich komnat. Godzinę później pani Desdea zastała ją wpatrującą się w ogień.

– Przestań już – powiedziała pani Desdea. – Od przygnębienia ciało człowieka wiotczeje i żółknie skóra. Niech ci się lepiej poprawi nastrój! Król zażądał, abys za godzinę była obecna na wieczornym posiłku.

– Wolałabym nie iść.

– Ale musisz. Król dał taki rozkaz. Dalej więc! Pójdziemy sobie na kolację. Ubierzesz się w tą ciemnozieloną aksamitną suknię, w której tak ci do twarzy, że każda inna kobieta wygląda przy tobie jak śnięta ryba. Gdybym była młodsza, zgrzytałabym zębami z zazdrości. Nie mogę zrozumieć, dlaczego się dąsas.

– Książę Carfilhiot mi nie odpowiada.

– Sza... W małżeństwie wszystko wygląda inaczej. Jeszcze możesz się w nim szalenie zakochać, a wtedy będziesz się śmiać na myśl o swoich głupich kapryсах. A teraz... ściągaj te rzeczy! Hej ho! Pomyśl, jak to będzie, kiedy książę Carfilhiot rzuci takie polecenie! Sosia! Gdzie jest ta trzpiotowata służka? Sosia! Wyszczotkuj księżniczce włosy, sto pociągnieć z każdej strony. Dziś wieczorem mają lśnić jak rzeka złota!

Podczas kolacji Suldrun próbowała zachować obojętną postawę. Posmakowała kawałka duszonego gołębia, wypila pół kielicha białego wina. Kiedy się do niej zwracano, odpowiadała uprzejmie, ale widać było, że myślami błądziła zupełnie gdzie indziej. Raz, unosząc wzrok, napotkała spojrzenie Carfilhiota i przez moment wpatrywała się jak urzeczona w jego lśniące łagodnym blaskiem oczy.

Odwróciła jednak czym prędzej spojrzenie i zamyślona wbiła wzrok w talerz. Carfilhiot był niezaprzeczalnie szarmancki, odważny i urodziwy. Skąd więc brała się jej niechęć? Wiedziała, że może polegać na swej intuicji. Carfilhiot był tajemniczą i skomplikowaną postacią. Przepelniała go jakaś dziwna zgorzkniałość, a w jego umyśle roiło się od niezrozumiałych upodobań. Jakby przez kogoś podpowiedziane, przyszły jej na myśl słowa: *Dla Carfilhiota piękno nie istniało po to, by je wielbić i kochać, ale by je zniszczyć i zranić.*

Po kolacji damy wyszły z królową do jej salonu, a Suldrun szybko pobiegła do własnej komnaty.

Wczesnym rankiem od strony morza nadciągnęła krótka ulewa, która opłukała wszystko z kurzu i przywróciła świeżość zieleni. Do godzin południowych słońce przebiło się przez chmury, rozjaśniając niebo ponad miastem. Pani Desdea wystroiła Suldrun w białą suknię i białą pelerynkę haftowaną różową, zieloną i żółtą nitką, a na głowę włożyła jej mały biały czepek ze złotym diademem wysadzany granatami.

Na tarasie rozłożono cztery drogocenne dywany, które pokrywały podłogę od głównej, reprezentacyjnej bramy Haidionu do stołu nakrytego białym grubym płótnem. Ogromne, stare srebrne

wazy wypełniono różami. Na stole ustawiono święty kielich królów Lyonesse. Było to wysokie, srebrne naczynie, przyozdobione ornamentem dziś już nie rozumiałym w Lyonesse.

Kiedy słońce zbliżało się do zenitu, zaczęli pojawiać się dygnitarze ubrani w ceremonialne szaty ze starożytnymi emblematami.

W południe przybyła królowa Sollace, która w asyście króla Casmira podeszła do tronu. Za nimi podążał książę Carfilhiot prowadzony przez księcia Tander z Sondbeharu.

Minęło parę chwil. Król Casmir spojrział w stronę drzwi, gdzie powinna się teraz pojawić księżniczka Suldrun, wprowadzona przez ciotkę, panią Desdeę. Zamiast tego dostrzegł jedynie jakieś oznaki zamieszania, a wkrótce potem zobaczył przywołujące ramię pani Desdei.

Król powstał z tronu i wolnym krokiem podszedł do drzwi pałacu, gdzie pani Desdea stała, gestykulując w zakłopotaniu i oszołomieniu.

– Gdzie jest księżniczka Suldrun? Nie przystoi, aby się spóźnić! Pani Desdea zaczęła się gwałtownie tłumaczyć:

– Była gotowa! Stała tam piękna jak anioł. Schodziłam pierwsza po schodach, ona szła za mną. Przeszłam przez galerię i nagle poczułam coś dziwnego! Zatrzymałam się i spojrzałam za siebie, a ona stała tam blada jak lilia. Zawołała coś, ale nie dosłyszałam co. Myślę, że mówiła: „Nie mogę! Nie mogę!”. A potem zniknęła, wybiegła przez boczne drzwi pod arkadę! Wołałam za nią, ale na próżno. Nawet się nie obejrzała!

Król Casmir odwrócił się i wyszedł z powrotem na taras. Zatrzymał się, rozejrzał po półokręgu pytających twarzy. Przemówił jednostajnym, chrapliwym głosem:

– Błagam o wyrozumiałość wszystkich zebranych. Księżniczka Suldrun uległa nagłej niedyspozycji. Ceremonia się nie odbędzie. Podano kolację, zapraszam, jeśli łaska.

Król Casmir ponownie zawrócił i wszedł do pałacu. Pani Desdea stała tam na uboczu, jej włosy były w nieładzie, a ramiona zwisały niczym postronki.

Król Casmir przyglądał się jej przez kilka sekund, potem majestatycznym krokiem wyszedł z pałacu. Przeszedł pod arkadą, pod murem Zoltry Wspaniałego, przez drewnianą bramę i na dół do starego ogrodu.

Na zwalonej kolumnie siedziała tam Suldrun, wsparła głowę na dłoniach, a ramiona na kolanach.

Król Casmir zatrzymał się dwadzieścia stóp za nią. Suldrun powoli rozejrzała się dookoła, a ujrawszy go, rozchyliła usta i rozszerzyła oczy ze zdziwienia.

Król Casmir powiedział:

– Przyszłaś tutaj wbrew moim rozkazom.

– Tak – odparła Suldrun i skinęła głową.

– W sposób, dla którego nie znajduję żadnego usprawiedliwienia, wystawiłaś na pośmiewisko godność księcia Carfilhiota.

Suldrun poruszyła ustami, ale nie wy dobyła z siebie żadnego słowa. Król Casmir mówił dalej:

– W swojej lekkomyślności przyszłaś tutaj, zamiast posłuszenie zjawić się w miejscu, w którym ci poleciłem. Dlatego też pozostaniesz tutaj, nie opuszczając tego miejsca ani w ciągu dnia, ani w nocy, dopóki wielka boleść, jakiej mi przysporzyłaś, nie zostanie uśmierzona lub do chwili swej śmierci. Jeśli stąd wyjdiesz, czy to przez zuchwałość, czy też ukradkiem, zostaniesz niewolnicą tego, kto pierwszy ciebie zażąda, obojętnie, czy będzie to rycerz albo wieśniak, handlarz lub włóczęga, to bez znaczenia! Zostaniesz jego własnością.

Król Casmir odwrócił się, wspiął po ścieżce i wyszedł przez bramę, która głucho się za nim zamknęła.



Suldrun odwróciła się powoli, spokojnie, niemal z pogodnym wyrazem na twarzy. Spojrzała w stronę morza, gdzie promienie słońca przeświecały pomiędzy chmurami, i wróciła spojrzeniem ku wodzie.

Król Casmir, wróciwszy na taras, zastał tam oczekującą go w milczeniu gromadkę. Rozejrzał się na wszystkie strony i zapytał: – Gdzie jest książę Carfilhiot?

Książę Tandre z Sondbeharu wystąpił do przodu i odparł:

– Sir, po twoim odejściu czekał około minuty. Następnie zażądał swojego konia i razem ze swiątą odjechał z Haidionu.

– Powiedział coś? – krzyknął król Casmir. – Dał cokolwiek po sobie znać?

Książę Tandre odparł:

– Sir, nie odezwał się ani słowem.

Król Casmir objął raz jeszcze ponurym wzrokiem taras, potem odwrócił się i długimi krokami poszedł z powrotem do Haidionu.

Król Casmir rozmyślał przez cały tydzień, wreszcie zaklął gniewnie i zabrał się do układania listu. Ostateczna wersja brzmiała następująco:

*Do Szlachetnego*

*Księcia Faude Carfilhiota*

*W Jego Zamku Tintzin Fyral*

*Szlachetny Panie,*

*Z trudnością przychodzi mi pisanie tych słów, w związku z incydem, który przysporzył mi wiele przykrości i wstydu. Nie jestem w stanie wyrazić odpowiednich przeprosin, jako że sam również jestem ofiarą całej tej sytuacji, może nawet w większym stopniu niż ty. Spotkała cię zniewaga, która, zrozumiałe, przyczyniła się do twego rozdrażnienia. Nie mam jednak wątpliwości co do tego, że osoba tak zacna i szlachetna zrozumie humory głupiej panny. Ja ze swej strony ubolewam, że straciłem przywilej połączenia naszych domów węzłem małżeństwa.*

*Pomimo tego wszystkiego, przyjmij proszę szczere wyrazy ubolewania z powodu tego, co się wydarzyło na Haidionie, a co w tak haniebny sposób przyniosło ujmę mnie jako gospodarzowi.*

*Pokładam nadzieję, iż w swej wielkoduszności będziesz mnie nadal uważał za przyjaciela i sojusznika w naszych wzajemnych przedsięwzięciach w przyszłości.*

*Z wyrazami szacunku*

*Casmir Król Lyonesse*

Posłaniec zawiózł list do Tintzin Fyral. Po pewnym czasie powrócił z odpowiedzią.

*Do Jego Wysokości, Casmira, Króla Lyonesse*

*Wielmożny Panie,*

*Zapewniam cię, że emocje, które wzbudził we mnie incydent przez ciebie opisywany, tak samo jak nagle się pojawiły – zrozumiałe, mam nadzieję – równie szybko ucichły, pozostawiając jedynie uczucie zażenowania z powodu mej gwałtowności i braku cierpliwości. Zgadzam się, iż nasze prywatne układy w żadnym razie nie powinny zostać zniweczone przez kaprysy nieokrzesanej*

*młodej panny. Jak zawsze darzę cię najgłębszym szacunkiem i mam nadzieję, że twe znamienite i prawe ambicje zostaną zrealizowane. Kiedy tylko zechcesz przybyć, aby rozejrzeć się po Dolinie Evander, zapewniam cię, iż z radością powitam okazję, by przyjąć cię w Tintzin Fyral z równą gościnnością, z jaką byłem podejmowany na Haidionie.*

*Z wyrazami uznania Twój przyjaciel Carfilhiot*

Król Casmir przestudiował list z wielką uwagą. Carfilhiot najwyraźniej nie żywił do niego uprzedzenia. Jednakże jego zapewnienia o dobrej woli, skądinąd szczerze, mogłyby wybiegać nieco dalej i być bardziej precyzyjne.



Król Granice z Troicinetu był człowiekiem chudym, można by rzec kościstym, i posiwiiałym. W obejściu był raczej szorstki, choć zachowywał się dosyć powściągliwie, dopóki sprawy nie zaczynały układać się wbrew jego myśli, wtedy bowiem powietrze przeszywały gromy i przekleństwa. Pragnął bardzo mieć syna i dziedzica, ale królowa Bau-dille urodziła mu kolejno cztery córki, każdą przy wtórze narzekań i wściekłych wybuchów Granice'a. Pierwszą córką była Lorissa, drugą Aethel, trzecią Ferniste, czwartą Byrin. Potem Baudille stała się nieplodna i brat Granice'a – książę Arbamet – szykował się na następcę tronu. Drugi brat Granice'a – książę Ospero – człowiek o skomplikowanej osobowości i trochę niepewny w swych poczynaniach, nie tylko nie miał ambicji do tronu, ale również nie znosił dworskiej atmosfery z całą jej formalnością i sztucznością, tak że prawie wyłącznie przebywał w swej posiadłości Watersshade, na samym środku rozlewisk Ceald, położonych na równinie Troicinetu. Małżonka Ospera – Aenor – umarła, rodząc mu jedyne go syna, Aillasa, który w późniejszym czasie wyrósł na silnego, barczystego chłopaka.

Watersshade położone było w ustronnym miejscu tuż nad Janglin Water, małym jeziorkiem otoczonym od południa i północy wzgórzami i równiną Ceald rozciągającą się na zachód. Początkowo Watersshade służyło jako forteca, broniąca równiny, ale trzysta lat minęło od kiedy z jej bram wyruszyła ostatnia wyprawa zbrojna, a umocnienia obronne znalazły się w stanie rozpadu i zniszczenia. W zbrojowni panowała cisza, przerywana jedynie dźwiękami używanych szufli i stukotem końskich podków. Most zwodzony nie był wciągany jak daleko sięgnąć pamięcią. Przysadziste okrągłe wieże Watersshade stały częściowo w wodzie, a częściowo na brzegu, gdzie drzewa zwieszały swe gałęzie nad pokrytymi gontem dachami.

Wiosną nad rozlewiskami gromadziły się kosy, a powietrze przecinały kruki z nieustannym, niosącym się daleko wołaniem: „Kra! Kra! Kra!”. Latem pszczoły brzęczały wśród morwowych drzew, a powietrze przesycone było zapachem trzciny i zroszonych wodą wierzb. Nocą w lesie odzywały się krzykliwe kukułki, a rankiem pstrągi i łososie brały przynętę niemal w tej samej chwili, w której dotykała wody. Ospero, Aillas i odwiedzający ich goście spożywali zazwyczaj kolację na dworze; siedzieli na tarasie i podziwiali przewspaniałe zachody słońca nad Jan-glin Water. O tej porze łososie i pstrągi żerowały blisko dna i nie dawały się złapać na przynętę.

Ospero miał usposobienie bardziej romantyczne niż praktyczne. Nie interesowały go ani wielkie wydarzenia, mające miejsce w pałacu królewskim Miraldrze, ani wojna z Lyonesse. Miał bardziej cechy uczonego i antykwariusza. Mając na względzie edukację Aillasa, sprowadził do Watersshade uczonych o znamienitej reputacji. Aillas szkolony był w matematyce, astronomii, muzyce, geografii, historii i literaturze. Książę Ospero niewiele wiedział na temat sztuk walki i technik wojennych, scedował więc tę część edukacji Aillasa na swego rządcę, Ta-uncy'ego, weterana wielu kampanii wojennych. Aillas uczył się strzelać z łuku, walczyć mieczem i mało znanej sztuki galicyjskich bandytów -rzucania sztyletem.

– Używanie noża w ten sposób – oświadczył Tauncy – nie jest ani chwalebne, ani rycerskie. Jest to raczej desperacki środek, posunięcie człowieka, który musi zabić, aby przetrwać. Rzut nożem jest skuteczny w zasięgu dziesięciu jardów, na większą odległość znacznie lepsza jest strzała z łuku. Ale w sytuacji bez wyjścia zapas noży może okazać się czymś zbawiennym. Wolę też krótki miecz od ciężkiej broni, ulubionej przez konnych rycerzy. Moim krótkim mieczem powalę rycerza w pełnej zbroi w ciągu minuty albo nawet zabiję go, jeśli zechcę. To jest przewaga zręczności nad brutalną masą. A teraz uważaj! Unieś dwoma rękoma ten ciężki miecz i zaatakuj mnie.

Aillas pełen wątpliwości wywinął mieczem.

– Boję się, że mógłbym przeciąć cię na pół.

– Silniejsi od ciebie tego próbowali i, zobacz, stoję tu przed tobą! Zamachnij się więc z całej siły!

Aillas uderzył. Ostrze zostało odbite. Spróbował raz jeszcze. Tauncy skręcił się gwałtownie i miecz wyleciał Aillasowi z rąk.

– Jeszcze raz – powiedział Tauncy. – Widzisz, jak to się robi? Odbicie, pociągnięcie i miecz leci daleko! Możesz uderzyć taką bronią, napierając całym swoim ciężarem. Odpieram, okręcam się! Miecz wypada ci z ręki. Uderzam w miejsce, którego nie zasłania zbroja, miecz wchodzi głęboko, a twoje życie uchodzi szybko.

– To bardzo pożyteczna umiejętność – powiedział Aillas. – Szczególnie przeciwko złodziejom naszych kurczaków.

– Ha! Nie będziesz przez całe życie siedział w Watershade, na pewno nie, kiedy twój kraj prowadzić będzie wojnę. Zostaw złodziei kurczaków mnie! A teraz, ćwiczmy dalej. Kroczysz sobie wolno bocznymi uliczkami Avallonu. Wchodzisz do tawerny na kubek wina. Jakiś łobuz twierdzi, że molestowałeś jego żonę. Łapie za swój sztylet i rusza na ciebie. Teraz uważaj! Dobądź noża! Rzuć! Wszystko jednym błyskawicznym ruchem! Podchodzisz, wyciągasz nóż z szyi drania, wycierasz go w jego rękaw. Jeśli rzeczywiście molestowałeś jego żonę, każ się jej wynieść! No cóż, całe to zajście niezbyt dobrze wpłynęło na twoje samopoczucie. Ale oto już z innej strony atakuje cię kto inny. Szybko!

I w ten sposób lekcja ciągnęła się dalej, aż w końcu Tauncy powiedział:

– Uważam, że sztylet to najbardziej elegancka broń. Poza tym jest skuteczna, no i jest jeszcze piękno lotu, kiedy wbija się pewnie w cel. Kiedy uderza precyzyjnie i głęboko, wtedy przenika cię dreszcz przyjemności.

Wiosną, kiedy Aillas skończył osiemnaście lat, opuścił Watershade. Odjeżdżał w ponurym nastroju i nie oglądał się za siebie. Droga wiodła go obok bagien, które schodziły do samego brzegu jeziora, przez Ceald i na wzgórze do Przesmyku Zielonego Człowieka. Dopiero tam Aillas odwrócił się i rozejrzał po Ceald. W oddali, nad migoczącymi wodami jeziora, ciemna plama drzew zakrywała przysadziste wieże Watersha-de. Aillas siedział przez chwilę, rozmyślając o drogich, znanych mu miejscach, które zostawiał za sobą, i łzy napłynęły mu do oczu. Gwałtownie zawrócił konia i przez zarośnięty drzewami przesmyk zjechał do doliny rzeki Rundle.

Późnym popołudniem zauważył przed sobą Lir i niedługo przed zachodem słońca dotarł do przystani Hag na Przylądku Haze. Udał się prosto do zajazdu „Pod Morskim Koralem”, gdzie był dobrze znany gospodarzowi, tak że zapewniono mu tam godziwy posiłek i wygodny pokój na noc.

Rankiem pojechał na zachód drogą wzdłuż wybrzeża i wczesnym popołudniem dotarł do miasta Domeris. Zatrzymał się na wzgórzach, z których rozciągał się widok na miasto. Był wietrzny dzień, powietrze zdawało się bardziej przezroczyste, tak że najdrobniejsze szczegóły widać było wyjątkowo wyraźnie. Przystań osłaniał cypel Hob Hook, na którego zewnętrznej krawędzi załamywały się morskie fale. U jego nasady wznosił się zamek Miraldra, siedziba króla Granice'a. Długi mur obronny ciągnął się aż do latarni morskiej na końcu cypla. Zamek początkowo był jedynie wieżą obserwacyjną, dopiero w przeciągu wieków został powiększony, stając się zadziwiającym kompleksem kolejnych, dobudowywanych elementów, na który składały się przestronne halle, galerie i kilkanaście wież o najrozmaitszych kształtach, wysokości i wielkości.

Aillas zjechał ze wzgórz drogą obok Palaeosu, świątyni poświęconej Gai, gdzie dwie dwunastoletnie panny w białych tunikach czuwały przy świętym ogniu. Przejechał przez miasto, na brukowanej drodze rozbrzmiewał stukot kopyt jego konia. Minał przystań, gdzie cumowało

kilkanaście statków, minął wąskie kamienice ze sklepami i tawernami i wyjechał na drogę wiodącą do zamku Miraldra.

Zewnętrzne mury sięgały wysoko ponad głowę Aillasa. Były jakby przesadnie masywne, a główna brama wjazdowa pomiędzy dwoma barbakanami sprawiała wrażenie nieproporcjonalnie małej. Dwaj wartownicy w kasztanowych i szarych kolorach Miraldry stali z halabardami i strzegli dostępu do zamku. Aillas został rozpoznany z barbakanu i heroldzi zagrali fanfarę. Kiedy przejeżdżał pomiędzy wartownikami, wyprostowali halabardy do honorowej pozycji.

Na dziedzińcu Aillas zsiadł z konia i oddał go chłopcu stajennemu. Sir Este, korpulentny dworzanin, wyszedł na jego spotkanie i, gdy go spostrzegł bez świty, zawołał:

– Książę Aillasie, cóż to, przyjechałeś sam, bez orszaku?

– Sir Este, wolałem podróżować samotnie.

Sir Este, który znany był z cytowania aforyzmów, teraz zaprezentował złotą myśl na temat ludzkiej natury.

– Niezwykłe to doprawdy, jak ci, którym przysługują przywileje, są skłonni do ich ignorowania! Jak gdyby Opatrzność błogosławiła im hojnie i szlachetnie tylko wtedy, kiedy z nich nie korzystają. Cóż jednak, nie będę snuł domysłów.

– Wierzę, że ty masz się dobrze i w pełni korzystasz ze swoich własnych przywilejów?

– W całej pełni! Głęboko bowiem gdzieś we mnie tkwi obawa, że gdybym zaniedbał moich przywilejów, Opatrzność mogłaby się zniecierpliwic i sprzątnąć mi je sprzed nosa. Chodźmy, muszę zadbać o twoją wygodę. Król wyjechał do Ardlemouth na cały dzień. Ma obejrzeć nowy statek, o którym mówią, że jest szybki i bystry jak ptak. -Skinął na lokaja. – Zaprowadź księcia Aillasa do jego komnaty, zadbaj o jego kąpiel i dostarcz mu odpowiednich dworskich strojów.

Późnym popołudniem król Granice wrócił do Miraldry. Aillas spotkał się z nim w wielkim hallu, padli sobie w ramiona.

– A jak tam ze zdrowiem u mojego brata Ospero?

– Rzadko ostatnio opuszcza Watershade. Powietrze na równinach zdaje się szkodzić jego gardłu. Łatwo się męczy i ciężko mu się oddycha, czasami obawiam się o jego życie.

– Zawsze był taki delikatny i wrażliwy. W każdym razie ty, jak widzę, miewasz się nieźle.

– Sir, ty również wydajesz się cieszyć jak najlepszym zdrowiem.

– To prawda, chłopcze, i podzielę się z tobą moją małą tajemnicą. Codziennie o tej porze wypijam kielich lub dwa dobrego, czerwonego wina. To wzbogaca krew, rozjaśnia spojrzenie, uprzyjemnia oddech i wpływa na erekcję członka. Czarodzieje szukają zapamiętałe eliksiru życia, a od dawna już mają go w swych rękach, gdyby tylko znali nasz mały sekret. Co, chłopcze? – Granice poklepał Aillasa po plecach. -Chodźmy się wzmocnić.

– Z przyjemnością, sir.

Granice zaprowadził go do salonu obwieszonego chorągwiami, tarczami herbowymi i trofeami wojennymi. Ogień płonął na kominku. Granice ogrzewał się, podczas gdy służący nalewał wina do srebrnych kubków.

Granice wskazał Aillasowi krzesło, sam usiadł na innym, przy kominku.

– Wezwałem cię tu z określonego powodu. Najwyższy czas, byś, jako księżę z rodu królewskiego, zapoznał się ze sprawami dotyczącymi państwa. W naszej sytuacji nie można trwać beczynnie. Trzeba się ruszać, przemieszczać, być stale w ruchu, inaczej traci się kontrolę. Trzeba walczyć lub umrzeć! Płynąć lub utonąć! Biec lub zostać zdeptanym! – Granice jednym haustem opróżnił cały kubek wina.

– Więc ten spokój, tu w Miraldrze, jest niczym więcej jak tylko złudzeniem? – zasugerował

Aillas.

Granice zachichotał ponuro.

– Spokój? Nie wiem, co to jest. Prowadzimy wojnę z Lyonesse i podstępny król Casmirem. Siedzimy tu jak na beczce prochu. Nie będę przytaczał, ile statków patroluje wybrzeże Lyonesse, gdyż jest to tajemnica wojenna, którą z przyjemnością chcieliby poznać szpiegzy Casmira, tak samo zresztą, jak ja z przyjemnością poznałbym liczbę szpiegów Casmira. Oni są dosłownie wszędzie, jak muchy w oborze. Zaledwie wczoraj powiesiłem dwóch i ich trupy dyndają wysoko na wzgórzu Semaphore. Oczywiście i ja wynajmuję własnych szpiegów. Jeśli tylko Casmir chce zwodować nowy statek, wiem o tym natychmiast i moi ludzie zamieniają go w popiół, zanim zdąży opuścić dok, a Casmir zgrzyta zębami ze złości. Tak właśnie toczy się wojna, utknęliśmy w martwym punkcie i będziemy tak tkwić, dopóki leniwy król Audry nie postanowi interweniować.

– A wtedy?

– Wtedy? Bitwa i krew, zatapianie statków, palenie zamków. Casmir jest przebiegły i przystosowuje się do nowej sytuacji łatwiej, niż mogłoby się wydawać. Nie podejmuje dużego ryzyka, jeśli nie może wiele zyskać. Kiedy nie mógł zaatakować nas, zajął się Ulflandami. Próbował nakłonić do współpracy księcia Doliny Evander. Intryga się nie udała. W chwili obecnej układy pomiędzy Casmirem i Carfilhiotem są jak najbardziej prawidłowe.

– Jaki będzie jego następny ruch? Granice zrobił zagadkową minę.

– W ostateczności, jeśli przetrzymamy go wystarczająco długo, będzie musiał zawrzeć z nami pokój, i to na naszych warunkach. Na razie robi, co może, i wije jak wąż, a my próbujemy odgadnąć jego myśli. Składamy mozaikę z fragmentów informacji przekazywanych przez szpiegów. Patrzymy na świat tak, jakbyśmy wyglądali z okien Haidio-nu. Ale cóż, wystarczy nam na razie tych spisków i intryg. Gdzieś tu w pobliżu jest twój kuzyn Trewan. To zapalczywy młody człowiek, ale wartościowy, taką przynajmniej mam nadzieję, jako że pewnego dnia, jeśli wszystko potoczy się tak jak powinno, zostanie królem. Przejdźmy do jadalni, gdzie bez wątplenia spotkamy paru innych członków mej dostojnej rady.

Podczas kolacji Aillas siedział obok księcia Trewana. Trewan wyrósł na krzepkiego, przystojnego młodzieńca, no, może o nieco topornych rysach twarzy, ale z ciemnymi, dużymi oczami, osadzonymi równomiernie po obu stronach patrycjuszowskiego nosa. Ubierał się starannie, w stylu odpowiednim do swojej pozycji. Sprawiał wrażenie, jakby już teraz przygotowywał się do chwili, kiedy zostanie królem, co miałyby nastąpić po śmierci jego ojca Abrameta, jeżeli Abramet rzeczywiście wstąpiłby na tron po Granisie.

Zazwyczaj Aillas nie traktował Trewana poważnie, denerwując go tym i wywołując jego niezadowolenie. Tym razem Aillas zachowywał się powściągliwie, chcąc dowiedzieć się najwięcej jak tylko możliwe, a Trewan był więcej niż chętny do pouczenia nie obeznanego ze sprawami dworu kuzyna.

– Doprawdy – powiedział – miło cię tutaj widzieć. Jest tu inaczej niż w Watersshade, gdzie czas upływa w sennym spokoju.

– Niewiele rzeczy nas tam zaskakuje. W zeszłym tygodniu dziewczka kuchenna wyrwała chwasty w ogrodzie i została użądlna przez pszczołę. Stało się to wydarzeniem tygodnia.

– Zapewniam cię, w Miraldrze jest zupełnie inaczej. Dzisiaj oglądaliśmy nowy statek, który, jak mamy nadzieję, utwierdzi naszą potęgę i przyprawi Casmirowi kolejnych zmartwień. Czy wiedziałeś, że on chce sprzymierzyć się przeciwko nam ze Skalradami?

– Wygląda to na desperackie pociągnięcie.

– Otóż to. I Casmir może się na to nie odważyć. Musimy mimo to przygotować się na każdą

ewentualność i właśnie taki był mój punkt widzenia podczas narad.

– Opowiedz mi o tym nowym statku.

– No tak, zbudowany jest na wzór statków pływających po morzach arabskich. Część kadłuba znajdująca się ponad wodą jest szeroka, część podwodna jest wąska, tak że statek jest bardzo zwrotny i stabilny zarazem. Ma dwa krótkie maszty. Do każdego z nich na środku przymocowana jest bardzo długa reja. Jeden z jej końców dociągnięty jest do pokładu, drugi pnie się wysoko, co umożliwia łapanie górnego wiatru. Statek powinien płynąć ze znaczną prędkością i w dowolnym kierunku, nawet przy słabym wietrze. Na rufie i na dziobie będą umieszczone katapulty oraz inne mechanizmy skuteczne chociażby przeciwko Skalradom. Jak tylko statek zostanie zwodowany – podkreślam, że to tajna informacja – mam z polecenia króla udać się na wielce ważną misję dyplomatyczną. Na razie nic więcej nie mogę ci powiedzieć. Co sprowadza cię do Miraldry?

– Jestem tu z rozkazu króla Granice'a.

– W jakim celu?

– Tego nie jestem pewien.

– Cóż, zobaczymy – wyniośle powiedział Trewan. – Wstawię się za tobą podczas następnej rozmowy z królem Granice'em. Może wpłynie to jakoś na twoje perspektywy, a z pewnością nie zaszkodzi.

– To miło z twojej strony – powiedział Aillas.

Następnego dnia Granice, Trewan i Aillas wraz z kilkoma innymi osobami wyjechali z Miraldry i drogą przez Domeris, a potem dalej wzdłuż wybrzeża udali się na północ do oddalonej o dwie mile stoczni u ujścia rzeki Tumbling. Przejechali przez strzeżoną bramę, a potem udali się pieszo do doku w małej zatoczce, niewidocznej od strony morza, gdyż ukrytej za zakolem rzeki.

Granice zwrócił się do Aillasa:

– Próbujemy utrzymać to w tajemnicy, ale szpiedzy są nie do ujarznienia. Przybywają tu od strony gór i kręcą się pomiędzy budowniczymi. Niektórzy przyplływają tu łodziami, inni wpław. Wiemy tylko o tych, których udaje się nam pojmać, ale dobrym znakiem jest to, że nadal się pojawiają, co wiele nam mówi o nie zaspokojonej ciekawości Casmira... Ale oto i sam statek. Saraceni nazywają podobne do niego felukami. Zauważ, jak jest głęboko zanurzona! Rufa wycięta jest na kształt rybiego brzucha i mknie w wodzie bez wzniesienia fali. Cieśle właśnie zamocowują maszty. – Granice wskazał na belkę wiszącą na żurawiu. – Maszt wykonany jest ze świerku, który zapewni lekkość i elastyczność. Reje, które tam leżą, też zrobione są z pni świerkowych, złączonych ze sobą, sklejonych i zabezpieczonych żelaznym drutem oraz smołą. Powstaje z nich bardzo długie drzewce, zwężające się na końcach. Nie ma na świecie lepszych masztów lub rei, a za tydzień wypróbujemy je. Statek zostanie nazwany *Smaadra*, tak jak bogini morza Bithne-Schasian.\* Wejźmy na pokład.

Jeden z ludów zamieszkujących wyspy Elder w trzeciej erze. Granice zaprowadził ich do kabiny na rufie.

– Nie jest tu tak przestrzennie jak na statkach handlowych, ale kwatery są wystarczające. A teraz, usiądźcie tu obaj. – Granice wskazał ławkę Aillasowi i Trewanowi. – Steward, sprowadź tu sir Fameta, możesz nam również podać chłodne napoje. – Usiadł przy stole i przyjrzał się dwóm młodym mężczyznom. – Trewanie, Aillasie, posłuchajcie teraz bardzo uważnie. Wkrótce wyruszyacie w podróż na pokładzie *Smaadry*. Zwykle poddaje się nowy statek szczegółowym i długotrwałym testom na morzu, tak, by sprawdzić wszystkie jego części. Uczynimy to, ale pośpiesznie.

Do kabiny wszedł sir Famet – postawny siwobrody mężczyzna o twarzy jakby wyciosanej z chropowatego kamienia. Lakonicznie przywitał się z Granice'em i usiadł za stołem.



Granice kontynuował wypowiedź:

– Otrzymałem ostatnio wiadomości z Lyonesse. Wygląda na to, że król Casmir, wijąc się i kłając jak zraniony wąż, wysłał sekretną misję do Skaghane. Ma nadzieję, że skalradzka flota pomoże mu przynajmniej w przeprowadzeniu wojsk lyoneskich do Troicinetu. Skalradzi, jak na razie, do niczego się nie zobowiązali. Żadna ze stron nie ufa drugiej, a każda chciałaby z tego wyciągnąć korzyści dla siebie. Jasnym jednak jest, że Troicinetowi grozi śmiertelne niebezpieczeństwo. Gdybyśmy zostali pokonani, to całe wyspy Elder dostaną się pod władanie Casmira albo, co gorsze – Skalradów.

Trewan oznajmił złowieszczym głosem:

– To może okazać się niebezpieczne.

– Tak rzeczywiście jest i musimy wobec tego przedsięwziąć odpowiednie środki. Jeśli *Smaadra* spełni nasze oczekiwania, natychmiast rozpoczniemy budowę sześciu kolejnych. Po drugie, będę usiłował przeciwstawić się Casmirowi zarówno militarnie, jak i dyplomatycznie, choć nie jestem tu zbyt wielkim optymistą. Nie zaszkodzi jednak spróbować. W tym właśnie celu, tak szybko jak tylko to będzie możliwe, moi wysłannicy na *Smaadrze* udadzą się do Dahautu, Blalocu i Pomperolu, następnie do Godelii, a na końcu do Południowych Ulflandów. Sir Famet będzie dowódcą tej wyprawy. Ty, Aillasie, i ty, Trewanie staniecie u jego boku. Nie posyłam was w tę podróż w celach zdrowotnych ani dla osobistej satysfakcji, ani dla zaspokojenia waszej próżności, ale byście się czegoś nauczyli. Ty, Trewanie, jesteś w prostej linii następcą tronu. Będziesz musiał się wiele nauczyć o morskiej sztuce wojennej, dyplomacji i życiu na wyspach Elder. To samo dotyczy Ailla-sa, którego pozycja i przywileje zobowiązują do służby Troicinetowi.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy – powiedział Aillas.

– Ja również, w nie mniejszym stopniu! – zadeklarował Trewan. Granice skinął głową.

– Bardzo dobrze. Niczego innego nie oczekiwałem. Zapamiętajcie sobie dobrze, że podczas tej podróży będziecie pod rozkazami sir Fa-meta. Słuchajcie go z uwagą i korzystajcie z jego mądrości. Nie będzie on potrzebował waszych rad, proszę więc, zachowajcie swoje uwagi i teorie dla siebie, chyba że zostaniecie poproszeni o ich przedstawienie. Podczas tej podróży zapomnijcie o tym, że jesteście książętami i zachowujcie się jak zwykli kadeci, niewyszkoleni i niedoświadczeni, ale chętni do nauki. Czy wyrażam się wystarczająco jasno? Trewan?

Trewan odezwał się szorstkim głosem:

– Będę posłuszny, oczywiście. Miałem jednak wrażenie...

– Zrewiduj swoje wrażenia. A ty, Aillasie? Aillas nie mógł opanować uśmiechu.

– Rozumiem doskonale, sir. Będę starał się nauczyć jak najwięcej.

– Doskonale. Rozejrzyjcie się teraz obaj po statku, ja zaś Porozmawiam z sir Fаметem.



## Rozdział 9

Powietrze przed świtem było chłodne i spokojne. Niebo zaczęło się zabarwiać na żółto, perłowo i brzoskwińowo, a morze mieniło się wszystkimi tymi barwami. Z ujścia rzeki Tumbling wypłynął wolno czarny statek *Smaadra*. Poruszał się przy pomocy wiosł, które zostały wciągnięte do środka w odległości mili od brzegu. Wzniesiono reje, wciągnięto płótna żagli i ustawiono stery. Przy wschodzie słońca, wraz z pierwszą bryzą statek pożegłował szybko i cicho na wschód, tak że wkrótce Troicinet stał się jedynie cieniem na horyzoncie.

Aillas, zmęczony towarzysztwem Trewana, poszedł na dziób, ale Trewan wnet podążył za nim i wykorzystał okazję, aby wyjaśnić mu działanie katapult dziobowych. Aillas słuchał z grzeczną obojętnością. Rozdrażnienie i niecierpliwość nie dawały pożądanego skutku w obcowaniu z Trewanem.

– W zasadzie nie są niczym więcej jak monstrualnymi kuszami. – Trewan mówił tak, jakby dzielił się tajemną wiedzą z darzącym go szacunkiem dzieckiem. – Mają zasięg około dwustu jardów, choć tracą nieco na precyzji ze względu na ruch statku. Element naciągający wykonany jest warstwowo, z połączenia stali, jesionu i grabu, a wszystko jest sklezione ze sobą specjalną, tajemną metodą. Urządzenie to będzie miotać harpuni, kamienie i płonące pociski, a do tego jest wysoce skuteczne. Wybudujemy flotę stu statków takich jak ten, sam się tym zajmę, jeśli zajdzie potrzeba, i wyposażymy je w dziesięć większych i cięższych katapult. W skład floty wejdą statki zaopatrzeniowe i admirałski statek flagowy, z odpowiednimi wygodami. Nie jestem zbyt zadowolony ze swojej obecnej kwatery. To śmiesznie małe pomieszczenie dla kogoś w mojej randze. – Trewan miał na myśli swą maleńką kabinę obok kabiny na rufie. Aillas zajmował podobne pomieszczenie po przeciwnej stronie, a sir Famet miał przyjemność korzystać z dość przestronnej kabiny rufowej. Aillas powiedział z pełną powagą:

– Być może sir Famet mógłby rozważyć zamianę koi z tobą, jeśli przedstawiś mu to w rozsądny sposób.

Trewan jedynie splunął za burtę. Czasami poczucie humoru Aillasa i jego uwagi były dla Trewana zbyt uszczypliwe i przez resztę dnia nie miał nic do powiedzenia.

O zachodzie słońca wiatr prawie ustał. Sir Famet, Aillas i Trewan jedli kolację na tylnym pokładzie przy świetle zawieszanej wysoko, zrobionej z brązu latarni rufowej. Nad pucharem czerwonego wina sir Famet przestał być małomówny.

– A więc, jak wam się podoba podróż? – zapytał tonem niemal wylewnym.

Trewan od razu zaczął od irytujących zażaleń, podczas gdy Aillas słuchał go z ustami rozchylonymi ze zdziwienia. Czy Trewan mógł być aż tak pozbawiony wyczucia?

– Nie jest tak źle, tak mi się wydaje – powiedział Trewan. – Ale mogłoby być lepiej.

– Czyżby? – spytał sir Famet bez większego zainteresowania. – A o co chodzi?

– Przede wszystkim moja kabina jest tak ciasna, że jest to nie do przyjęcia. Projektant statku mógł z pewnością spisać się lepiej. Dodając dziesięć lub piętnaście stóp do długości statku, mógł go wyposażać w dwie wygodne kabiny, zamiast jednej, i oczywiście, w dwa wygodne klozety.

– Prawda – powiedział sir Famet, mrużąc oczy nad winem. – Gdyby statek był o jeszcze trzydzieści stóp dłuższy, moglibyśmy zabrać ze sobą służących, fryzjerów i konkubiny. Cóż jeszcze cię kłopotuje?

Trewan, zaabsorbowany wyżalaniem się, nie zwrócił uwagi na ton jego głosu i ciągnął dalej:

– Załoga zachowuje się zbyt swobodnie. Ubierają się jak im się podoba, brakuje im szyku. Zupełnie nie znają się na etykietach, nie traktują mnie odpowiednio do mojej rangi... Kiedy dzisiaj

byłem na pokładzie, powiedziano mi: „Odsuń się, sir, stoisz nam na drodze”. – Jak gdybym był zwykłym giermkim.

Na kamiennej twarzy sir Fameta nie drgnął ani jeden mięsień. Myślał przez chwilę, potem powiedział:

– Na morzu, tak samo jak na polu bitwy, nie zdobywa się szacunku automatycznie. Trzeba na niego zapracować. Będiesz oceniany raczej poprzez swoje umiejętności i kompetencję niż urodzenie. Takie właśnie panują tu zasady, które mnie osobiście satysfakcjonują. Jeszcze się przekonasz, że służalczy marynarz, podobnie jak przesadnie uniżony żołnierz, nie jest akurat tym, kogo chciałbyś mieć u swego boku w czasie bitwy albo sztormu.

Odrobinę zniechęcony tą wypowiedzią, Trewan starał się mimo to uargumentować swój punkt widzenia.

– Jednakże szacunek dla wyższych rangą jest równie ważny! W przeciwnym wypadku nie byłoby porządku i poważania dla władzy i żylibyśmy jak dzikie zwierzęta.

– To jest specjalnie dobrana załoga. Przekonasz się, że potrafią być posłuszni rozkazom, kiedy przyjdzie na to pora. – Sir Famet usiadł wygodnie na krześle. – Chyba powinienem powiedzieć wam coś o naszej misji. Zasadniczym celem jest wynegocjowanie szeregu korzystnych dla nas układów. Zarówno ja, jak i król Granice bylibyśmy zaskoczeni, gdyby nam się to w pełni udało. Będziemy mieć do czynienia z osobami o znacznie wyższym statusie niż nasz, o przeróżnych usposobieniach, a wszystkie one będą się uparcie trzymać swoich własnych koncepcji. Król Deuel z Pomperolu jest zapalonym ornitologiem, król Milo z Blalocu zazwyczaj codziennie rano, zanim wstanie z łóżka, wypija ćwierć kwarty mocnego słodkiego likieru. Na dworze w Avallonie aż roi się od intryg erotycznych, a faworyt króla Audry'ego, jego kochanek, jest znacznie bardziej wpływowy niż lord Ermice Propyrogeros. Dlatego też, układając się z nimi, będziemy bardzo elastyczni. Pragniemy co najmniej uzyskać uprzejme zainteresowanie dla naszej sprawy i dostrzeżenie naszej potęgi.

Trewan zmarszczył brwi i ściągnął usta.

– Dlaczego zadowalać się skromnie półśrodkami? Podczas tych negocjacji należy osiągnąć wszystko, co się da, maksimum. Proponuję, byśmy przygotowali naszą strategię pod tym właśnie kątem.

Sir Famet odchylił głowę do tyłu, a na jego twarzy pojawił się chłodny uśmiech, którym obdarzył wieczorne niebo. Upił wina z pucharu, a potem głośno, zdecydowanym ruchem postawił go na stole.

– Król Granice i ja ustaliliśmy zarówno strategię, jak i taktykę postępowania, i będziemy działać zgodnie z nimi.

– Oczywiście. A jednak, co dwa umysły to nie jeden. – Trewan pominął Aillasa, jakby go tam nie było. – Ale przewidziano chyba jakąś swobodę działania...

– Jeśli okoliczności na to pozwolą, będę się konsultował z księciem Aillasem i z tobą. Król Granice przewidział szkolenie dla was obu. Możecie być obecni podczas niektórych rozmów, ale wtedy będziecie jedynie słuchać i nie będziecie się odzywać, chyba że sam was o to wyraźnie poproszę. Czy to jest jasne, książę Aillasie?

– Absolutnie, sir.

– Książę Trewanie?

Trewan skłonił się niedbale, co zaraz próbował naprawić pełnym uprzejmości gestem.

– Naturalnie, sir, jesteśmy pod twoimi rozkazami. Nie będę prezentował moich własnych opinii. Mam mimo to nadzieję, że będziesz mnie informował o przebiegu wszystkich negocjacji i podjętych zobowiązań, jako że w końcu to ja będę musiał radzić sobie z ich następstwami.

Sir Famet odpowiedział z chłodnym uśmiechem na twarzy:

– Zrobię wszystko, książę Trewanie, aby cię usatysfakcjonować.

– Wobec tego – oświadczył serdecznie Trewan – nie ma tu już nic więcej do powiedzenia.

Rankiem, na horyzoncie z lewej burty pokazała się wysepka. W chwilę później spuszczone żagle i statek zaczął tracić na prędkości. Aillas podszedł do bosmana, który stał przy burcie i zapytał:

– Dlaczego się zatrzymujemy?

– Tam jest Mlia, wyspa syren. Przyjrzyj się uważnie, czasami można je dostrzec na skałach, a nawet na plaży.

Nad ładownię wciągnięto tratwę zbitą ze starych, połamanych desek. Załadowano ją dzbanami z miodem, workami rodzynek i suszonych moreli. Opuszczono ją na wodę i tam dryfowała na falach. Aillas spoglądał w głębie morza i w czystej toni mignęły mu blade sylwetki, twarze okolone długimi włosami unoszonymi przez wodę. Jaka dziwna, wąska twarz, o przejrzystych czarnych oczach, z długim nosem. Twarz wyrażająca jednocześnie dzikość i zaborczość, ekscytację i radość. Aillas nie był w stanie pojąć, co to naprawdę miało znaczyć.

Przez kilka dalszych minut *Smaadra* swobodnie unosiła się na wodzie. Tratwa dryfowała początkowo powoli, potem bardziej pewnie, jakby popychana ruszyła w kierunku wyspy.

Aillas zadał bosmanowi następne pytanie:

– Co by się stało, gdybyśmy sami udali się na wyspę z takimi darami?

– Któż to wie, sir? Gdybyś się ośmielił podpłynąć tam w małej wiosłowej łodzi bez takich podarunków, z pewnością spotkałoby cię jakieś nieszczęście. Mądrzej jest roztropnie postępować z ludem morza. Co by powiedzieć, morze należy do nich. A teraz już czas ruszać w drogę. Hej, hej tam! Wciągać żagle! Ustawić ster! Niech woda się spieni za kilem!

Mijały dni. Przybijali do portów i odpływali z nich. Później cała podróż odmalowała się w pamięci Aillasa jako mieszanka dźwięków, głosów, muzyki, twarzy i sylwetek, hełmów, zbroi, kapeluszy i rozmaitych ubrań, zapachu perfum, smrodów i zmiennych nastrojów, osobowości i wyniosłych póz, portów, nabrzeży, red i miejsc, gdzie spuszczały kotwicę. Wszędzie odbywały się przyjęcia, audiencje, bankiety i bale.

Aillas nie potrafił ocenić skutków, jakie odnosiły ich wizyty. Sprawiali, tak mu się przynajmniej wydawało, dobre wrażenie. Siła i pewność siebie sir Fameta nie mogła być błędnie oceniana, a Trewan przez większość czasu trzymał język za zębami.

Królowie byli wszyscy tak samo dyplomatyczni i nie byli skłonni do podejmowania jakichkolwiek zobowiązań. Pijany król Milo z Blalocu był jednak na tyle trzeźwy, żeby zauważyć:

– Tam wznoszą się wysokie forty Lyonesse, gdzie na nic nie przyda się potęga troicyjskiej floty!

– Sir, naszą nadzieją jest to, byśmy jako sojusznicy mogli przeciwstawić się płynącemu stamtąd zagrożeniu.

Król Milo odparł jedynie melancholijnym wzruszeniem ramion i uniósł kielich z likierem do ust.

Szalony król Deuel z Pomperolu był równie niezdecydowany. Żeby dostać się do niego na audiencję, troicyjska delegacja udała się do letniego pałacu Alcantade. Jechali przez przyjemny i dostatni kraj. Ludność Pomperolu daleka była od potępienia obsesji swego monarchy, a nawet lubowała się w jego zabawach. Nie tylko tolerowano jego wybryki, ale nawet go do nich zachęcano.

Szaleństwo króla Deuela było raczej nieszkodliwe. Odczuwał on przesadną słabość do ptaków i oddawał się absurdalnym wymysłom, a niektóre z nich dzięki swej władzy był w stanie wcielić w życie. Obdarzał swych ministrów takimi tytułami jak: lord Szczygieł, lord Bekas, lord Czajka, lord Śpiewak, lord Skowronek. Jego książęta zwali się: Sójka, Kulik, Czarna Mewa oraz Słowik. Wydał

edykty, w których zakazał jedzenia jajek, jako „okrutnego i zbrodniczego przestępstwa, podlegającego bezlitosnej i surowej karze”.

Alcantade, pałac letni, ukazał się królowi Deuelowi we śnie. Kiedy się obudził, wezwał architektów i nakazał wcielenie swej wizji w życie. Jak można było przypuszczać, Alcantade było niezwykle konstrukcją, tym niemniej pałac miał w sobie szczególny czar. Wyglądał lekko, zgrabnie, pomalowany na jasne, radosne kolory, z dachami wznoszącymi się wysoko na różnych poziomach.

Przybywszy do Alcantade sir Famet, Aillas i Trewan zastali króla Deuela wypoczywającego na wycieczkowej łodzi w kształcie łabędzia, którą poruszało po jeziorze kilkanaście młodych dziewcząt przybranych w białe pióra.

Po pewnym czasie król Deuel zszedł na brzeg. Był niskiej postury, w średnim wieku, o ziemistej cerze. Przywitał wysłanników nader serdecznie:

– Witajcie! Witajcie! To przyjemność spotkać się z obywatelami Troicinetu, kraju, o którym słyszałem wspaniałe rzeczy. Perkoz szero-kodzioby gnieździ się tysiącami wzdłuż skalistych wybrzeży, a kowalik żywi się do syta pośród waszych dorodnych dębów. Wspaniałe troicyjskie sowy uszate znane są wszędzie ze swego dostojęstwa. Przyznaję, mam wielką słabość do ptaków, zachwycają mnie wdziękiem i odwagą. Powściągnąć jednak muszę mój entuzjazm. Cóż sprowadza was do Alcantade?

– Wasza Wysokość, jesteśmy wysłannikami króla Granice'a i przynosimy ci pilną wiadomość od niego. Przedstawię ci ją, kiedy wyrazisz gotowość.

– Kiedy może być lepszy czas po temu niż teraz? Sługa, podaj nam napoje chłodzące! Usiądziemy przy tamtym stole. Więc proszę, przekaż mi tę wiadomość.

Sir Famet spojrział w prawo i w lewo na dworzaków, którzy stali w nieznacznej odległości.

– Sir, czy nie wolałbyś wysłuchać mnie na osobności?

– Ależ skąd! – oświadczył król Deuel. – W Alcantade nie mamy żadnych tajemnic. Jesteśmy jak ptaki w sadzie pełnym dojrzałych owoców, gdzie każdy wyśpiewuje jak najradośniejszą pieśń. Mów więc, sir Famacie.

– Zatem dobrze, sir. Przedstawię parę faktów, które niepokoją króla Granice'a z Troicinetu.

Sir Famet mówił, król Deuel słuchał uważnie, z głową przechyloną na bok. Sir Famet zakończył wypowiedź słowami:

– Niebezpieczeństwa te, sir, wiszą nad nami wszystkimi i zagrażają nam w niedalekiej przyszłości.

Król Deuel wykrzywił się.

– Niebezpieczeństwa, wszędzie niebezpieczeństwa! Otaczają mnie ze wszystkich stron, przez co często nie mogę w nocy spać. – Zaczął mówić nosowym głosem i wiercił się przy tym na krześle. – Codziennie wysłuchuję żalonych błagań o protekcję. Strzeżemy całej północnej granicy przeciwko kotom, gronostajom i łasicom wynajętym przez króla Audry'ego. Godelianie są równie niebezpieczni, choć zamieszkują sto mil stąd. Hodują i szkolą sokoły, z których każdy jest kanibalem i zdrajcą własnego rodzaju. Na zachodzie czyha na nas coś znacznie jeszcze gorszego, a mówię tu o księciu Faude Carfilhocie, który oddycha zielonymi oparami. Podobnie jak Godelianie poluje z sokołami, wykorzystując ptaki przeciwko ptakom.

Sir Famet zaprotestował napiętym głosem:

– Nie musisz się jednak obawiać rzeczywistej napaści! Tintzin Fyral znajduje się daleko za wielką puszcza!

Król Deuel wzruszył ramionami.

– Przyznaję, byłby to całodzienny długi lot. Ale musimy stawić czoła rzeczywistości. Nazwałem

Carfilhiota łotrem, a on nie ośmielił się na to odpowiedzieć, ze strachu przed moimi mocarnymi pazurami. Ukrywa się w swoim ropuszym błocku i planuje najgorszą ze zbrodni.

Książę Trewan, ignorując zimne, ostrzegawcze spojrzenia rzucone mu przez sir Fameta, powiedział zapalczywie:

– Dlaczego nie połączysz potęgi twych pazurów z przyjaznymi tobie ptakami? Jest nas wielu i podzielamy twoje zdanie, jeśli chodzi o Carfilhiota i jego sprzymierzeńca, króla Casmira. Razem możemy powstrzymać ich atak potężnymi uderzeniami dzioba i pazurów!

– Prawda. Kiedyś będziemy świadkami stworzenia wielkiej potęgi. A tymczasem musimy podejmować działania tam, gdzie możemy sobie na to pozwolić. Zastraszyłem łuskowatego Carfilhiota i odparłem Go-delian, nie mam również miłosierdzia dla mordercy ptaków, Audr-y'ego. Wy macie wobec tego wolną rękę i możecie pomóc nam przeciwko Skalradom, przepędzając ich ze wszystkich mórz. Każdy robi swoje. Ja będę działał w powietrzu, wy pośród fal oceanu.

*Smaadra* dopłynęła do Avallonu, największego i najstarszego miasta na wyspach Elder. Były tam wielkie pałace, uniwersytet, teatry i olbrzymia łaźnia miejska. Było również kilkanaście świątyń, wzniesionych ku chwale Mitry, Dis, Jowisza, Jehowy, Luga, Gai, Enlil, Dagon, Baala, Cronusa i trójgłowego Diona ze starożytnego hybrazyjskiego panteonu. Znajdowały się tam też święty tron Evandig i stół Cairbra an Meadhan, przedmioty, nad którymi sprawowanie pieczy sankcjonowało władzę królów hybryjskich.\*

\* Stół Cairbra an Meadhan był podzielony na dwadzieścia trzy segmenty, a na każdym z nich wyrzeźbione były nieczytelne już teraz glify, przypuszczalnie imiona dwudziestu dwóch rycerzy będących na służbie u wspaniałego króla Mahadiona. W późniejszych latach stół podobny do Cairbry an Meadhan nazwany został Okrągłym Stołem Króla Artura.

Król Audry powrócił właśnie z letniego pałacu w swym szkarłatno-złotym powozie ciągniętym przez sześć białych jednorożców. Tego samego popołudnia udzielił audiencji emisariuszom z Troicinetu. Król Audry, wysoki, ponury człowiek, miał twarz o fascynującej wręcz brzydocie. Znany był ze swoich amorów i mówiono, że jest drażliwy, pobłażliwy dla samego siebie, próżny, a czasami okrutny. Przywitał gości z wielką wytwornością i kazał im spocząć. Podczas gdy sir Famet przekazywał mu wiadomość, król Audry leżał na poduszkach z pół przymkniętymi oczami, głaszcząc białego kota, który wskoczył mu na kolana.

Sir Famet zakończył swoje poselstwo słowami:

– Sir, taką właśnie wiadomość miałem przekazać ci od króla Gran-ice'a.

Król Audry wolno skinął głową.

– Jest to nader złożona propozycja. Tak! Oczywiście! Gorąco pragnę pokonania Casmira i położenia kresu jego ambicjom. Zanim jednak poświęcę zawartość mego skarbcza, wojska i krew moich ludzi na realizację tego przedsięwzięcia, muszę zabezpieczyć sobie tyły. Gdybym tylko na chwilę odwrócił uwagę od Godelian, zaraz rzuciliby się na mnie, rabując, paląc, biorąc niewolników. Północne Ulflandy to dzikie rejony, które Skalradzi upodobali sobie jako przedpole do dalszych wypadów. Gdybym zajął się Północnymi Ulflandami, walcząc przeciwko Skalradom, Casmir natychmiast rzuciłby się na mnie. – Król Audry zastanowił się przez chwilę, potem ciągnął dalej:

– Bezstronność to nędzna polityka i nikt nie chce mówić prawdy. W tym przypadku równie dobrze możecie jednak poznać prawdę. Dla dobra mych własnych interesów zależy mi na tym, aby Troicinet i Lyonesse trwały w martwym punkcie.

– Z dnia na dzień Skalradzi stają się coraz silniejsi w Północnych Ulflandach. Oni także mają ambicje.

- Trzymam ich w szachu twierdzą Poelitetz. Najpierw zajmę się Godelianami, potem Skalradami, a na końcu Casmirem.
- A co się stanie, jeśli tymczasem Casmir przy pomocy Skalradów zajmie Troicinet?
- Będzie to klęska dla was i dla nas. Walczcie mężnie!

Dartweg, król Celtów godelijskich, słuchał sir Fameta znudzony, ale z uprzejmością. Sir Famet dotarł do końca wypowiedzi.

- Tak prezentuje się sytuacja z punktu widzenia Troicinetu. Jeśli wydarzenia potoczą się po myśli króla Casmira, ostatecznie wkroczy on również do Godelii i zniszczy was.

Król Dartweg pogładził się po rudej brodzie. Stojący przy nim Druid schylił się i przez chwilę mruczał mu coś do ucha, a król skinął głową. Powstał i rzekł:

- Nie możemy oszczędzać Dautów, aby mogli podbić Lyonesse. Wtedy bowiem zaatakowałyby nas ze zwiększoną siłą. Nie! Musimy strzec własnych interesów!

*Smaadra* płynęła dalej poprzez piękne słoneczne dni i noce rozjaśnione gwiazdami. Żeglowali przez zatokę Dafdilly, dookoła przylądka Tawgy, przez Morze Wąskie. Wiatr im sprzyjał, a statek zostawiał na wodzie pienisty ślad. Potem płynęli na południe obok Skaghane i Fre-hane i kilkudziesięciu innych mniejszych wysepek. Były to miejsca skaliste, o stromych wybrzeżach, porośnięte lasami, wrzosowiskami lub po prostu będące jedynie zwałiskiem głazów, wystawione na działanie wichrów atlantyckich, zamieszkane przez mnóstwo morskich ptaków i Skalradów. Parę razy widywali statki skalradzkie, a także małe kogi należące do kupców irlandzkich, kornwalijskich, troicyjskich lub akwitańskich. Kursowały po Morzu Wąskim, Skalradzi bowiem tolerowali statki kupieckie. Statki skalradzkie nie próbowały się nawet zbliżyć, być może dlatego, że *Smaadra* była w stanie swobodnie je zdystansować przy każdym wietrze.

Oaldes, gdzie król Oriante utrzymywał coś na kształt dworu, ominięto podczas podróży. Ostatnim portem, gdzie mieli się zatrzymać, było Ys u ujścia rzeki Evander. Miastem tym rządziło niezależnie czterdziestu rajców, nie ulegając Carfilhietowi.

Sześć godzin przed dotarciem do Ys wiatr ustał i wtedy w zasięgu pola widzenia pokazał się czerwono-czarny kwadratowy żagiel długiego skalradzkiego statku, poruszającego się przy pomocy wiosł. Zauważono z niego *Smaadrę* i statek zmienił kurs. *Smaadra*, która tym razem nie była w stanie poruszać się szybciej niż statek Skalradów, przygotowała się do bitwy. Katapulty zostały naciągnięte i uzbrojone. Przygotowano pociski ogniowe i zaczepiono je na bomach. Ponad re-lingami ustawiono siatki chroniące przed ostrzałem z łuków.

Bitwa przebiegła szybko. Po kilku seriach strzałów z łuku Skalradzi podpłynęli bliżej i próbowali zarzucić haki.

Troicyjczycy odpowiedzieli również strzałami z łuków, potem zakręcono bomem i pocisk ogniowy został wyrzucony dokładnie na pokład wrogiego statku, gdzie eksplodował żółtym płomieniem, straszliwie zaskakując przeciwnika. Z odległości trzydziestu jardów katapulty *Smaadry*, bez zbyteńnego wysiłku załogi, przełamały długi statek. *Smaadra* nie odpływała, gotowa była wziąć rozbitków na pokład, ale Skalradzi nie próbowali wydostać się z rozbitego kadłuba niegdyś dumnego statku, który wkrótce zatonął pod ciężarem łupów znajdujących się na jego pokładzie.

Skalradzki dowódca, wysoki, czarnowłosy mężczyzna w trójzębnym hełmie i białej pelerynie na błyszczącej łuskowej zbroi stał nieruchomo na najwyższym pokładzie i w ten sposób zatonął razem ze swym statkiem.

Straty na pokładzie *Smaadry* były nieznaczne. Nieszczęśliwie jednak zaliczał się do nich sir



Famet, który został trafiony strzałą w oko i leżał teraz martwy na pokładzie, z drzewcem strzały sterczącym dwie stopy nad jego głową.

Księżę Trewan, uważając się za drugiego w hierarchii członka delegacji, objął dowództwo statku.

– Pochowamy naszego szacownego zmarłego w morzu – powiedział kapitanowi. – Ceremonia żałobna musi poczekać do naszego powrotu do Domeris. Płyniemy, zgodnie z uprzednim planem, do Ys.

*Smaadra* podpłynęła do Ys od strony morza. Początkowo nie było widać nic poza pasmem niskich wzgórz, biegnących równolegle do linii brzegowej, potem, jak cienie majaczące we mgle, pokazały się zarysy Teach tac Teach\*.

\* Znaczy to dosłownie „szczyt na szczycie” w jednym z pradawnych języków.

Szeroka, jasna plaża jaśniała w słońcu, migotała na niej fala przyływu. Wkrótce w zasięgu pola widzenia pojawiło się ujście rzeki Evander, przy którym na plaży stał samotny biały pałac. Uwagę Aillasa przyciągnęła otaczająca go atmosfera odosobnienia i tajemniczości oraz niezwykła architektura, która nie przypominała niczego, co widział dotychczas.

*Smaadra* wpłynęła na rozlewisko rzeki i teraz, w przerwach pomiędzy drzewami, można było dostrzec znacznie więcej białych pałaców, wybudowanych na tarasach, wznoszących się jeden ponad drugim. Nietrudno było zauważyć, że Ys było bogatym i starożytnym miastem. Zobaczyli kamienne molo, wzdłuż którego cumowały statki, a za nim szereg sklepów, tawern, straganów z warzywami i stoisk, na których sprzedawano ryby.

*Smaadra* lekko podpłynęła do mola i zarzuciła cumy na kołki wyrzeźbione na kształt syren. Trewan, Aillas i dwóch oficerów pokładowych zeskoczyło na brzeg. Nikt nie zwrócił uwagi na ich przybycie.

Trewan od dłuższego czasu uznawał siebie za najwyższego dowódcę na statku. Za pomocą rozmaitych wskazówek i znaków dał Aillasowi do zrozumienia, że w obecnej sytuacji Aillas i oficerowie na statku zajmują pozycję dokładnie taką, jak jego świta. Aillas, nieprzyjemnie zdziwiony, zaakceptował to bez komentarza. Podróż miała się ku końcowi, a Trewan, według wszelkiego prawdopodobieństwa, na dobre czy na złe, miał być przyszłym królem Troicinetu.

Na rozkaz Trewana Aillas zasięgnął informacji i skierowano ich do pałacu lorda Sheina, pierwszego rajcy w Ys. Musieli przejść około ćwierć mili pochyłymi zboczami, z tarasu na taras, w cieniu wysokich cyprysów.

Lord Shein przyjął czterech Troicyjczyków bez szczególnej wylewności, nie był również zaskoczony ich wizytą. Trewan przedstawił siebie i towarzyszy.

– Sir, jestem Trewan, księżę na dworze w Miraldrze i bratanek króla Granice'a z Troicinetu. To są sir Leves i sir Elmoret, a to mój kuzyn Aillas z Watershade.

Lord odparł w raczej nieformalny sposób.

– Proszę, usiądźcie. – Wskazał im wygodne, wyściełane fotele i skinął na służących, aby przynieśli napoje chłodzące. Sam nadal stał. Był smukłym mężczyzną, dochodzącym właśnie pełni dojrzałych lat. Miał oliwkową karnację i czarne włosy. Nosił się z elegancją mitycznego tancerza. Od razu widać było też, że jest człowiekiem inteligentnym. Zachowywał się z kurtuazją.

Trewan wyjaśnił cel ich podróży, tak samo jak uprzednio robił to sir Famet. Aillas odniósł jednak wrażenie, że pominął szczególną sytuację miasta Ys, nie wspomniał o Faude Carfilhiocie, władającym Doliną Evander zaledwie dwadzieścia mil na wschód, i statkach skalradzkich, widywanych codziennie z nabrzeża.

Shein z półuśmiechem potrząsnął głową i krótko rozprawił się z propozycją Trewana.

– Zrozum, jeśli łaska, że Ys jest szczególnym przypadkiem. Normalnie jesteśmy poddani księcia Doliny Evander, który w równej mierze jest wiernym wasalem króla Oriante. Znaczy to mniej więcej tyle, że stosujemy się do rozkazów Carfilhiota w jeszcze mniejszym stopniu, niż on do rozkazów króla Oriante. Czyli wcale, w rzeczy samej. Nie dotyczą nas polityczne rozgrywki na wyspach Elder. Król Casmir, król Audry czy król Granice – wszyscy oni nie mieszczą się w kręgu naszych zainteresowań.

Pełen niedowierzania Trewan zaczął robić wymówki:

– Wygląda jednak na to, że jesteście bezbronni z obu stron, zarówno wobec Skalradów jak i Carfilhiota.

Shein, nadal się uśmiechając, obalił koncepcję Trewana:

– Jak cały lud tej doliny, jesteśmy Trevenami. Carfilhiot ma tylko stu żołnierzy pod swymi rozkazami. Mógłby zebrać tysiąc, nawet dwa tysiące ludzi z doliny, gdyby pojawiła się taka potrzeba, ale nigdy do ataku na Ys.

– A Skalradzi? W jednej krótkiej chwili mogliby zawładnąć miastem.

Shein raz jeszcze sprzeciwił się:

– My, Treveni, jesteśmy starą rasą, tak starą jak Skalradzi. Oni nigdy nas nie zaatakują.

– Nie rozumiem tego – zamruczał Trewan. – Jesteście czarodziejami?

– Porozmawiajmy o innych sprawach. Wracacie do Troicinetu?

– Natychmiast.

Shein spojrział na nich nieco pobłaźliwie.

– Proszę, nie obrażcie się, ale zdumiony jestem, że król Granice wysyła ludzi, którzy sprawiają wrażenie tak młodych, na wyprawę o takim znaczeniu. Szczególnie, iż wiem o zainteresowaniu, jakim darzy Południowe Ulflandy.

– Cóż jest tam tak interesującego?

– Czyż to nie jest oczywiste? Jeżeli księżę Quilcy umrze, nie zostawiając następcy, Granice jest następny w sukcesji do tronu, zgodnie z prawem, jako że jego linia zaczyna się od Danglisha, księcia Południowych

Ulflandów, który był dziadkiem ojca Granice'a, a również dziadkiem króla Oriante. Z pewnością jednak dobrze o tym wiedzieliście?

– Tak, oczywiście – powiedział Trewan. – Wiemy na bieżąco o wszystkich takich sprawach.

Shein uśmiechał się teraz otwarcie.

– I oczywiście jesteście świadomi nowych okoliczności, które mają miejsce w Troiciniecie?

– Naturalnie – powiedział Trewan. – Natychmiast wracamy do Domeris. – Wstał i sztywno się uklonił. – Żałuję, że nie możesz bardziej pozytywnie potraktować naszej propozycji.

– Będzie to musiało wam jednak wystarczyć. Życzę wam przyjemnej podróży do domu.

Emisariusze wrócili przez Ys do przystani. Trewan zamruczał:

– Co on miał na myśli mówiąc: „nowe okoliczności w Troiciniecie”?

– Dlaczego go nie zapytałeś? – zapytał Aillas wyważonym i neutralnym głosem.

– Bo taka była moja wola – uciął Trewan.

Po dotarciu do przystani zauważyli troicyjską kogę, która przybiła do brzegu i właśnie zarzucała cumy. Trewan nagle się zatrzymał.

– Zamienię tylko jedno słowo z kapitanem. Wy przygotujcie *Sma-adrę* do natychmiastowego wypłynięcia.

Wrócili we trójkę na *Smaadrę*. Dziesięć minut później Trewan zszedł z kogi i ruszył wzdłuż

nabrzeża wolnym krokiem. Zanim wszedł na pokład, odwrócił się i spojrzął w stronę Doliny Evander. Potem powoli odwrócił się i wszedł na statek.

Aillas zapytał:

- I co to za nowe okoliczności?
- Kapitan nic mi nie umiał powiedzieć.
- Wyglądasz nagle jakoś bardzo ponuro.

Trewan zacisnął usta i nic nie powiedział. Przejechał spojrzeniem po horyzoncie.

– Załoga kogi dostrzegła statek piracki. Musimy się mieć na baczności. – Odwrócił się, – Nie czuję się zbyt dobrze. Muszę odpocząć. – Zostawił ich i udał się do kabiny na rufie, którą zajmował od śmierci sir Fameta.

*Smaadra* wypłynęła z przystani. Kiedy mijali biały pałac na plaży, Aillas z górnego pokładu zauważył młodą kobietę, która wyszła na taras. Odległość rozmywała jej rysy, ale Aillas mógł dostrzec jej długie czarne włosy i po sposobie, w jaki się poruszała lub innych trudnych do określenia cechach, doszedł do wniosku, że jest obdarzona urodą, może nawet jest piękna. Uniósł rękę i pomachał do niej, ale nie odpowiedziała mu i zniknęła w pałacu.

*Smaadra* wypłynęła na pełne morze. Obserwatorzy przeszukiwali horyzont, ale nie dostrzegli żadnego innego statku. Pirackiego okrętu nie było nigdzie widać.

Trewan nie pojawił się na pokładzie aż do południa następnego dnia. Jego niedyspozycja, czymkolwiek spowodowana, zniknęła i ponownie wydawał się w dobrym zdrowiu, nawet jeśli był trochę blady i wymizerowany. Nie odezwał się do nikogo, poza paroma słowami zamienionymi z kapitanem na temat przebiegu podróży, wkrótce też wrócił do kabiny, gdzie steward zaniósł mu garnek gotowanej wołowiny z cebulą.

Godzinę przed zachodem słońca Trewan raz jeszcze wyszedł na pokład. Spojrzął na wiszące nisko nad horyzontem słońce i zapytał kapitana:

- Dlaczego płyniemy tym kursem?
- Sir, zbyt szybko odbiliśmy na wschód. Gdyby wiatr się wzmógł lub zmienił kierunek, zbliżylibyśmy się niebezpiecznie do Tarku, które znajduje się tam, tuż za horyzontem.
- Nadkładamy więc trochę drogi.
- Odrobinę, sir, ale za to płyniemy bezpiecznym szlakiem. Nie ma potrzeby, by posłać ludzi do wiosła.
- Dobrze.

Aillas zjadł kolację w towarzystwie Trewana, który nagle zrobił się bardzo gadatliwy i zaczął zasypywać go wydumanymi planami.

– Kiedy zostanę królem, dam się poznać jako „Monarcha Mórz”! Wybuduję trzydzieści statków wojennych, każdy z setką marynarzy na pokładzie. – W szczegółach opisywał projekty statków. – Nie będziemy się przejmowali tym, czy Casmir sprzymierzy się ze Skalradami czy z Tatarami, czy Mamelukami z Arabii.

– To szlachetny plan.

Trewan przedstawiał coraz bardziej złożone koncepcje.

– Casmir zamierza zostać królem wysp Elder. Powołuje się na pokrewieństwo z pierwszym Olamem. Król Audry również pretenduje do tego samego tronu. Ma w swym ręku Evandig, co ma uzasadnić jego roszczenia. Ja również jestem spokrewniony z Olamem i gdyby tak wielką siłą najeżdżać na Avallon i porwać Evandig, kiedy już byłby mój, dlaczego nie miałbym aspirować do tego samego królestwa?

– Bardzo ambitna idea – powiedział Aillas.

Pomyślał zaś, że wiele spadłoby głów, zanim Trewan osiągnąłby swój cel.

Trewan spod swych gęstych brwi spojrział z ukosa na Aillasa. Wypił jednym haustem cały kielich wina i znowu wpadł w ponury nastrój. Niedługo potem Aillas wyszedł na tylny pokład, oparł się o burtę i przyglądał się czerwonawej poświacie i jej zmieniającym się odbiciom w wodzie. Za kolejne dwa dni podróż dobiegnie końca, a on miałby wreszcie spokój z Trewanem i jego irytującymi nawykami – co za radosna myśl...! Aillas odwrócił się od burty i poszedł na dziób, gdzie nie pełniący właśnie służby marynarze siedzieli pod zapaloną lampą. Kilku grało w kości, jeden śpiewał smętne ballady, przygrywając sobie na lutni. Aillas został tam przez pół godziny, potem poszedł na rufę do swej kajuty.

Świt zastał *Smaadrę* daleko na wodach cieśniny Palisidra. W południe w zasięgu wzroku zamajaczył Przylądek Palisidra, zachodni kraniec Troicinetu, który później zniknął, kiedy *Smaadra* wpłynęła na wody Liru.

W przeciągu popołudnia wiatr zupełnie ustał i *Smaadra* unosiła się bez ruchu na wodzie z obwisłymi żaglami. Przed zachodem słońca wiatr wzmógł się na nowo, ale wiał teraz z zupełnie innego kierunku.

Kapitan nakazał wziąć prawy hals i płynąć dokładnie na północ. Trewan dał upust niezadowoleniu.

– Nie dopłyniemy jutro do Domeris, trzymając się tego kursu! Kapitan, który dostosowywał się do humorów Trewana z dużą trudnością, obojętnie wzruszył ramionami.

– Sir, halsem bezpośrednio w kierunku portu dostalibyśmy się prosto na Twirles – cmentarzysko statków. Przy tym wietrze będziemy w Domeris jutro rano, jeśli prądy morskie nie zepchną nas z kursu.

– Dobrze więc, powiedz mi o tych prądach.

– Trudno przewidzieć, gdzie i w jakim kierunku popłyną. Przyływ i odpływ rządzą wodami Liru. Prądy mogą zepchnąć nas w którymkolwiek z czterech kierunków. Płyną bardzo szybko i tworzą wiry na środku Liru. Wiele dobrych statków wyrzuciły na skały.

– W takim razie bądź wyjątkowo ostrożny! Podwój warty!

– Sir, wszystko, co trzeba, zostało już wykonane.

O zachodzie słońca wiatr ustał ponownie i *Smaadra* zatrzymała się. Kiedy Aillas spożywał posiłek z Trewanem w jego kabinie, słońce zabarwiło się na przydymiony, pomarańczowy kolor. Trewan zdawał się czymś głęboko zaabsorbowany i podczas całego posiłku prawie wcale się nie odzywał, tak że Aillas z ulgą opuścił kabinę.

Warstwa chmur przesłaniała niebo nad horyzontem. Noc była ciemna. Nad głową jaskrawo świeciły gwiazdy. Nagle od południowego wschodu nadeszła chłodna bryza. Ustawiona pod wiatr *Smaadra* ruszyła na wschód.

Aillas poszedł na dziób, gdzie zabawiali się marynarze. Przyłączył się do grających w kości. Stracił kilka miedziaków, potem wygrał je na nowo, a na końcu przegrał wszystkie monety, jakie miał w kieszeni.

O północy zmieniły się warty. Aillas wrócił na rufę. Zamiast udać się od razu do kajuty, wdrapał się po drabinie na górny pokład. Bryza nadal wydymała żagle. Woda, spieniona za statkiem, mieniła się fluorescencyjnie. Opierając się o burtę, Aillas obserwował migoczące światła. Wtem, o jakiś krok od siebie, wyczuł czyjąś obecność. Ramiona objęły jego nogi. Został uniesiony i wyrzucony w powietrze. Na króciutko wyczuł przechylające się niebo i wirujące gwiazdy, potem wpadł do wody. Opadał w dół, jednocześnie uświadamiając sobie, co się z nim dzieje, ale

dominowało uczucie zdziwienia. Wypłynął na powierzchnię. Każdy kierunek wyglądał tak samo. Gdzie była *Smaadra*? Otworzył usta do krzyku i zachłysnął się wodą. Kaszląc i ciężko łapiąc powietrze zawołał raz jeszcze, ale z jego ust wydostał się jedynie smętny skrzek. Następna próba wypadła lepiej, ale wołanie było słabe i ciche, nie głośniejsze od pokrzykiwania morskich ptaków.

Statek zniknął. Aillas dryfował samotnie w centrum swego prywatnego świata. Kto wrzucił go do morza? Trewan? Dlaczego Trewan miałby zrobić coś tak podłego? Nie miał żadnego powodu. A więc kto...? Spekulacje uleciały mu z głowy, były nieistotne, były częścią innej egzystencji. Jego nowa tożsamość jednoczyła się z gwiazdami i falami... Poczuł, jak ciężą mu nogi. Skręcił się w wodzie, zdjął buty i pozwolił, by zatoneły. Wyślizgnął się z odzienia, które również zaczynało być coraz cięższe. Teraz utrzymywał się na powierzchni z mniejszym wysiłkiem. Wiatr wiał od południa. Aillas płynął z wiatrem, co było dogodniejsze niż rozbijanie twarzą fal. Fale kołysały go i unosiły go ze sobą.

Czuł się swobodnie. Był w niemal podniosłym nastroju, chociaż woda początkowo zimna, potem możliwa do zniesienia, teraz znowu wydawała się chłodna. Stopniowo zaczynał czuć się coraz lepiej. Był spokojny. Łatwo byłoby teraz rozluźnić się, pozwolić sobie na omdlenie. Gdyby zasnął, nigdy by się nie obudził. Gorzej, mógłby nigdy nie odkryć, kto wrzucił go do morza. – Jestem Aillas z Watershade!

Wyciągnął się. Poruszył rękami i nogami, próbując płynąć. I znowu zrobiło mu się nieprzyjemnie zimno. Jak długo już dryfował w tej zimnej wodzie? Spojrzał na niebo. Gwiazdy zmieniły położenie. Zniknęła Gwiazda Północna, a Wega wisiała nisko nad zachodnim horyzontem... Na chwilę stracił przytomność i naszyły go dziwne wrażenia, które pojawiały się i znikwały... Coś go zaniepokoiło. Powróciła mu świadomość. Wschodnie niebo zaczęło zabarwiać się na żółto, nadchodził świt. Woda dookoła niego była czarna jak żelazo. Z boku, jakieś sto jardów dalej, woda pieniała się u podnóża skał. Spojrzał w tę stronę, ale wiatr i prąd morski uniosły go dalej.

Ryczący dźwięk rozbrzmiał mu w uszach. Poczuł nagłe, ostre szarpnięcie, a potem został porwany przez falę, uniesiony i rzucony na coś bardzo ostrego. Omdlałymi ramionami i wymoczonymi palcami próbował się tego złapać, ale kolejna fala uniosła go z sobą.



W czasie rządów króla Olama I, wielkiego króla wysp Elder, i jego następców tron Evandig i święty kamienny stół Cairbra an Meadhan znajdowały się w Haidionie. Olam III zwany Próżnym przeniósł tron i stół do Avallonu. Czyn ten i jego późniejsze konsekwencje były pośrednio rezultatem niezgody pomiędzy arcy czarnoksiężnikami w królestwie. W tamtym czasie było ich ośmiu: Murgen, Sartzanek, Desmei, Myolander, Baibalides, Widdefut, Coddefut i Noumique.\* \* Kiedy tylko czarodzieje spotykali się wszyscy razem, pojawiał się jeszcze jeden. Był wysoki, otulony w długą czarną pelerynę i kapelusz o szerokim rondzie, który zakrywał rysy jego twarzy. Zawsze stał w tyle, w cieniu i nigdy się nie odzywał. Kiedy ten lub inny czarodziej przypadkowo spojrział w tę twarz, mógł zobaczyć czarną pustkę i dwie odległe gwiazdy, tam gdzie powinny być oczy. Obecność dziewiątego czarodzieja ( jeśli rzeczywiście istniał ) była początkowo przyczyną niepokoju, ale po pewnym czasie, jako że zdawała się nie mieć żadnego wpływu na bieg wydarzeń, została zignorowana i tajemniczego gościa obdarzano jedynie sporadycznymi spojrzeniami.

Murgen uważany był za najważniejszego spośród nich wszystkich, co bynajmniej nie było przyczyną ich zadowolenia. Sartzankowi w szczególności nie odpowiadała nieprzejednana nieugiętość Murgena, natomiast Desmei wyjątkowo przeszkadzały ustanowione przez niego zasady, zakazujące mieszania się w sprawy królestwa, ponieważ było to jej ulubioną rozrywką.

Rezydencja Murgena nazywała się Swer Smod, a znajdowała się na wysokiej, kamienistej górze w północno-zachodniej części Lyonesse, tam gdzie Puszcza Tantrevalles sięgała podnóża Teach tac Teach.

Uzasadniał on swój edykt tezą, według której wspieranie jakiegokolwiek faworyta musi wcześniej czy później naruszyć sfery interesów innych czarodziei.

Sartzanek, prawdopodobnie najbardziej kapryśny i nieobliczalny ze wszystkich czarodziei, rezydował w Faroli, gdzieś głęboko w puszczy, która wtedy należała do terytorium Wielkiego Księstwa Dahautu. Sartzanek nie chciał zaakceptować zakazów Murgena i w bezczelny sposób naruszał je na tyle, na ile pozwalała mu jego śmiałość.

Czasami przeprowadzał eksperymenty erotyczne z wiedźmą Desmei. Dotknięty do żywego drwinami Widdefuta, odplacił się mu, rzucając na niego Zakłęcie Zupelnego Oświecenia. Widdefut w jednej chwili posiadał całą możliwą wiedzę. Znał historię każdego atomu we wszechświecie, rozwój ośmiu aspektów czasu, wszystkie możliwe fazy każdej następnej chwili, wszystkie smaki, dźwięki, obrazy, zapachy całego świata, jak również inne doznania, związane z dziewięcioma innymi mniej znanymi zmysłami. Wiedza ta sparaliżowała i unieruchomiła Widdefuta, tak że nie mógł nawet spożyć samodzielnie posiłku. Stał jedynie i drżał od myśli kłębiących się mu w głowie, aż wreszcie wysechł na proch i został rozdmuchany przez wiatr.

Coddefut oburzył się na to i wyraził swój protest, co doprowadziło Sartzanka do takiej pasji, że zapomniawszy o wszelkiej ostrożności zniszczył Coddefuta, zsyłając na niego plagę robactwa. Coddefut pokrył się całą grubą na cal warstwą robaków, co wprawiło go w taki stan, że straciwszy panowanie nad sobą i swoją wiedzą, sam siebie rozdarł na kawałki.

Pozostali czarodzieje, z wyjątkiem Desmei, odplacili się Sartzankowi z taką siłą, której nie był w stanie się przeciwstawić. Został wtłoczony do żelaznej tuby długiej na siedem stóp i o średnicy czterech cali, tak że jedynie przy znacznej koncentracji uwagi można było dopatrzeć się jego zniekształconych rysów. Ta żelazna tuba była podobna do słupa stojącego przy Rozstajach Twittena. Tuba Sartzanka została wbita w ziemię na samym szczycie Mount Agon. Mówiono, że kiedy trafiał w nią piorun, sylwetka Sartzanka skręcała się i drżała.

Niejaki Tamurello natychmiast przejął siedzibę Sartzanka – Faroli -i wszyscy uważali go za *alter ego* Sartzanka lub jego potomka, czasami nawet za wcielenie samego Sartzanka.\*

\* Podobnie Shimrod uważany był za wcielenie lub *alter ego* Murgena, chociaż osobowości te rozdzieliły się i istniały zupełnie samodzielnie i odrębnie.

Tamurello, podobnie jak Sartzanek, był wysoki, miał nieregularne rysy, czarne oczy, czarne kręcone włosy, pełne usta, zaokrąglony podbródek i temperament, który przejawiał się całą gamą żywiołowych emocji.

Wiedźma Desmei, która dopuszczała się zabaw erotycznych z Sartzankiem, zabawiała się teraz z królem Olamem III. Ukazywała mu się jako kobieta w przedziwnie pięknej kociej masce, ubrana w miękkie czarne futro. Istota ta знаła tysiące lubieżnych sztuczek. Król Olam, zamroczony i ogłupiony, ulegał jej woli. Na złość Murgenowi Desmei podsunęła myśl Olamowi, aby przeniósł tron Evandig i stół Cairbra an Meadhan do Avallonu.

Zniknął dawny spokój i porządek. Czarodzieje trwali w niezgodzie, nieufni wobec siebie nawzajem. Murgen, pełen chłodu i rozgoryczenia, zamknął się w Swer Smod.

Nadeszły trudne czasy dla wysp Elder. Zupełnie wypaczony król Olam próbował kopulować z lampartem. Umarł, rozszarpany przez drapieżnika. Jego syn Uther I, słaby i nieśmiały młodzieniec, nie cieszył się już poparciem Murgena. Goci najechali północne wybrzeże Dahautu i spustoszyli wyspę Whanish, gdzie obrabowali klasztor i spalili wielką bibliotekę.

Audry, Wielki Książę Dahautu, zebrał armię i zniszczył Gotów w bitwie pod Hax, ale doznał tak dotkliwych strat, że Godelianie celtyccy ruszyli na wschód i zajęli Półwysep Wysrod. Król Uther, po miesiącach niezdecydowania, pomaszerował ze swoją armią przeciwko Godelia-nom jedynie po to, by doświadczyć zupełnej klęski w bitwie o bród na rzece Wanwillow, gdzie sam zginął. Jego syn Uther II uciekł na północ do Anglii, gdzie później spłodził Uthera Pendragona, ojca króla Artura z Kornwalii.

Książęta wysp Elder spotkali się w Avallonie w celu wybrania nowego króla. Książę Phristan z Lyonesse żądał królestwa, powołując się na prawo rodu, natomiast książę Audry z Dahautu swe żądania uzasadniał posiadaniem tronu Evandig i stołu Cairbra an Meadhan. Konklawe zostało rozwiązane w nastroju pełnym zjadliwości i wzajemnej niechęci. Każdy z książąt wrócił do domu i mianował się odtąd królem własnej domeny.

Zamiast jednego istniało teraz dziesięć królestw: Północne Ulflandy, Południowe Ulflandy, Dahaut, Caduz, Blaloc, Pomperol, Godelia, Troicinet, Dascinet i Lyonesse.

Nowe królestwa miały wiele powodów do niezgody. Król Phristan z Lyonesse i jego sojusznik król Joel z Caduzu wypowiedzieli wojnę Dahautowi i Pomperolowi. W bitwie pod Orm Hill Phristan zabił starego, ale mężnego Audry'ego I, a sam zginął od strzały. Bitwa i wojna zakończyły się nie rozstrzygnięte, pogłębiając jedynie nienawiść po obu stronach.

Książę Casmir, przezywany Strojnisem, walczył dzielnie, ale bez zbędnej brawury i wrócił do miasta Lyonesse jako król. Natychmiast porzucił eleganckie upodobania na rzecz nieugiętego pragmatyzmu i wyznaczył sobie cel, jakim miało być wzmocnienie królestwa.

W rok po tym, jak został królem, poślubił księżniczkę Sollace z Akwitanii, śliczną dziewczynę o blond włosach, w której żyłach płynęła krew Gotów. Jej majestatyczna postawa ukrywała brak temperamentu i uczuciową obojętność.

Casmir uważał się za patrona sztuk magicznych. W sekretnej komnacie trzymał liczne kuriozalne przedmioty i przyrządy magiczne. Była tam również księga zaklęć, której nie można było odczytać, ale która w ciemności świeciła bladym światłem. Kiedy Casmir przesuwiał palcem po runach, przez jego umysł przebiegały odczucia właściwe dla określonego zaklęcia. Zniósł jedno takie dotknięcie,



za drugim razem doprowadziło go to do takiego stanu, że cały się spocił. Nie ośmielił się dotknąć księgi po raz trzeci, żeby nie stracić nad sobą panowania. W onyksowej skrzynce przechowywał pazur gryfa i kamień żółciowy ogra Heulamidesa, który wydawał specyficzny odór.

Mały żółty skak\* siedział w butelce, z rezygnacją oczekując na ewentualne wybawienie.

\* Istota najniższa w hierarchii pośród elfów. Pierwsze są elfy prawdziwe, potem falloye, gobliny, skrzaty i ostatecznie skaki. W nazewnictwie pomiędzy olbrzymami, ogrami i trollami są również inne stare istoty, ale nieco się od nich różniące. Trzecią grupę stanowią merrihewy, willaweny i hyslopy, a również według niektórych quisty i darklingi. Chochliki piaskowe, najpotężniejsze z nich wszystkich, stanowią swoisty rodzaj.

Na ścianie wisiał przedmiot o niezwykłej mocy – Persilian, zwane tak Magiczne Lustro. Odpowiadało ono na trzy pytania zadane przez jego właściciela, a potem należało je przekazać innej osobie. Gdyby właściciel zadał czwarte pytanie, lustro uprzejmie odpowiedziałoby na nie, a potem odzyskało wolność. Król Casmir zadał już trzy pytania, a czwarte zostawił sobie na wszelki wypadek.

Zgodnie z ogólnym przekonaniem, przestawanie z czarodziejami przynosiło więcej nieszczęścia niż pożytku. Casmir, pomimo tego iż dobrze wiedział o edyktach Murgena, wiele razy szukał wsparcia u arcyczarnoksiężników, Baibalidesa i Noumique, a także paru innych pomniejszych czarodziei, wszędzie jednak spotykał się z odmową.

Do Casmira dotarła wiadomość o czarodziejce Desmei, zawziętej nieprzyjaciółce Murgena. Doniesienia, na których można było polegać, dotyczyły jej wyprawy na Jarmark Goblinów, coroczną imprezę, którą sobie bardzo upodobała i zawsze na niej bywała.

Casmir włożył na siebie niebieskoszarą żelazną zbroję i wziął tarczę z dwoma smokami stojącymi na tylnych łapach. Ukrył się pod imieniem sir Perdraxa, błędnego rycerza, i z niewielką świtą pojechał do Puszczy Tantrevalles.

Po pewnym czasie dojechał na Rozstaje Twittena. Zajazd „Pod Uśmiechniętym Słońcem i Płaczącym Księżycem” był wypełniony po brzegi. Casmir był zmuszony przyjąć miejsce w stodole. Ćwierć mili dalej w głąb lasu znalazł Jarmark Goblinów. Nigdzie jednak nie było widać Desmei. Casmir przechadzał się między stoiskami. Wiele rzeczy go zainteresowało i za różne drobiazgi zapłacił dobrym złotem.

Późnym popołudniem zauważył wysoką kobietę, jakby trochę smutną i ponurą. Niebieskoszare włosy miała zebrane pod srebrną siateczką. Miała na sobie biały płaszcz, haftowany na czarno i czerwono. U króla Casmira ( i innych mężczyzn, którzy ją widzieli) wywoływała jakiś szczególny niepokój oraz fascynację na przemian z niechęcią. To była właśnie czarodziejka Desmei.

Casmir zbliżył się do niej z ostrożnością. Stała, targując się z jakimś starym szelmą przy jego straganie. Handlarz miał żółte włosy i ziemistą cerę, do tego złamany nos i oczy jak miedziane kulki. W jego żyłach płynęła krew goblinów. Uniósł w rękę pióro, żeby mogła się mu dokładnie przyjrzeć.

– To pióro – powiedział – jest niezbędne przy załatwianiu codziennych spraw, a to dlatego, że niezawodnie wykrywa oszustwo.

– Zadziwiająca! – oświadczyła Desmei znudzonym głosem.

– Czy powiedziała byś, pani, że jest to zwykłe pióro, wyrwane z nieżywej błękitnej sójki?

– Tak. Obojętnie, martwej czy też żywej.

– Wielce byś się pani pomyliła.

– Czyżby? A w jaki sposób używa się tego cudownego pióra?

– Nie ma nic prostszego. Jeżeli podejrzewasz, że cię ktoś oszukuje, kłamca lub naciągacz, dotknij go tym piórem. Jeśli zabarwi się na żółto, twoje podejrzenia się potwierdzą.

– A jeżeli pozostanie niebieskie?

– Osoba, z którą masz do czynienia, jest szczerą i uczciwą! To rewelacyjne pióro będzie twoje za sześć złotych koron.

Desmei zaśmiała się skrzekliwie.

– Czy myślisz, że jestem tak naiwna? To zakrawa na potwarz. Najwyraźniej oczekujesz, że sprawdzę cię tym piórem, a kiedy pozostanie niebieskie, zapłacę ci moim złotem!

– Właśnie tak! To pióro potwierdzi moje zapewnienia!

Desmei wzięła pióro i dotknęła nim złamanego nosa. Pióro natychmiast zabarwiło się na jaskrawożółty kolor. Desmei znowu zaśmiała się pogardliwie.

– Niczego innego nie oczekiwałam. Pióro stwierdza, że jesteś oszustem!

– Ha! Ha! Czyż nie jest dokładnie tak, jak powiedziałem? Jak mogę być oszustem?

Desmei ze zmarszczonymi brwiami przyglądała się pióru, potem rzuciła je na ladę.

– Nie mam czasu na głupie zagadki! – Oddaliła się wyniosłym krokiem w stronę, gdzie sprzedawano właśnie młodą harpię w klatce.

Po chwili zbliżył się do niej Casmir i zapytał:

– Czy jesteś czarownicą Desmei? Desmei skierowała na niego uwagę.

– A kim ty jesteś?

– Nazywam się sir Perdrax, błędny rycerz z Akwitanii. Desmei uśmiechnęła się i skinęła głową.

– Czego sobie życzysz ode mnie?

– To nader delikatna sprawa. Czy mogę liczyć na twoją dyskrecję?

– Do pewnego stopnia.

– Będę mówił otwarcie. Służę królowi Casmirowi z Lyonesse, który zamierza sprowadzić tron Evandig na jego prawowite miejsce. Prosi cię on w tym celu o radę.

– Arcyczarnoksiężnik Murgen zabrania mieszania się w takie sprawy.

– Od dawna już nie zgadzasz się z Murgeniem. Jak długo jeszcze będziesz posłuszna jego nakazom?

– Nie będzie to trwało wiecznie. W jaki sposób Casmir mnie wynagrodzi?

– Podaj swoje warunki. Przekażę mu je. Desmei nagle stała się niespokojna.

– Powiedz Casmirowi, żeby przyjechał do mojego pałacu w Ys. Tam będę z nim rozmawiać.

Sir Perdrax skłonił się i Desmei odeszła. Wkrótce odjechała przez las w palankinie ciągniętym przez sześć biegnących cieni.

Król Casmir zastanawiał się długo i głęboko, zanim wyruszył do Ys. Desmei była bowiem znana z tego, iż stawiała twarde warunki.

W końcu zarządził, by przygotowano łódź królewską i w słoneczny, wietrzny dzień pożegłował za falochron, dookoła Przyładka Pożegnań i do Ys. Wysiadł na kamiennym nabrzeżu i poszedł pieszo plażą do białego pałacu Desmei.

Zastał ją na tarasie wychodzącym na morze, opierającą się o balustradę. Do połowy zakrywał ją cień wysokiej, marmurowej urny, z której opadały liście egzotycznej rośliny.

Desmei się zmieniła. Casmir przystanął, zdumiony jej bladymi, zapadniętymi policzkami i chudą szyją. Jej palce, cienkie i guzowate w stawach, zaciskały się na krawędzi balustrady. Jej stopy w srebrnych sandałach były długie i delikatne, widać na nich było siateczkę purpurowych żyłek.

Casmir stał z rozwartymi ustami, zapominając o etykiecie, czując, że jest świadkiem tajemnicy wykraczającej daleko poza granice jego pojmowania.

Desmei spojrzała na niego z ukosa, nie okazując ani zaskoczenia, ani zadowolenia.

– A więc przybyłeś.

Casmir z dużym wysiłkiem starał się odzyskać inicjatywę, która w jego mniemaniu należała do niego.

– Czyż mnie nie oczekiwałaś? Desmei powiedziała jedynie:

– Zjawiłeś się za późno.

– Jakże to? – zawołał Casmir zaniepokojony.

– Wszystko się zmienia. Nie obchodzą mnie już więcej sprawy mężczyzn. Wasze wojny i najazdy to tylko same kłopoty, zakłócają spokój w okolicy.

– Nie ma potrzeby, aby wszczynać wojnę. Chcę jedynie Evandig! Daj mi czar albo niewidzialną opończę, tak bym mógł wziąć Evandig bez wojny.

Desmei zaśmiała się dziko i miękko.

– Znana jestem z wygórowanych stawek. Zapłacisz cenę jakiej zażądam?

– Jaka jest twoja cena?

Desmei obiegała wzrokiem morski horyzont. W końcu zaczęła mówić tak cicho, że Casmir musiał podejść krok bliżej, aby ją usłyszeć.

– Słuchaj! Powiem ci tylko jedno. Dobrze wydaj Suldrun za męża. Jej syn zasiądzie na Evandigu. A moja cena za przepowiednię? Nie chcę nic, bo ta wiedza i tak ci się na nic nie przyda. – Desmei odwróciła się gwałtownie i odeszła pod szeregiem wysokich podcieni, znikając w mrokach pałacu.

Casmir przyglądał się, jak drobna postać znika mu z oczu. Odczekał chwilę, stojąc w prażących promieniach słonecznych. Nie było słychać nic poza szumem fal.

Zawrócił i udał się na statek.

Desmei obserwowała, jak łódź królewska staje się coraz mniejsza na tle niebieskiego morza. Została sama w pałacu. Przez trzy miesiące czekała na wizytę Tamurella. Nie pojawił się i znaczenie jego nieobecności było oczywiste.

Poszła do pracowni, odpięła suknię i pozwoliła jej opaść na podłogę. Przyjrzała się sobie uważnie w lustrze. Zobaczyła zmęczone rysy, kościste ciało wychudzone, niemal niekobiece. Na głowie kłębiły się sztywne, czarne włosy. Nogi i ręce były chude i pozbawione wdzięku. Taka była jej naturalna powłoka cielesna, w której czuła się najswobodniej. Inne wcielenia wymagały znacznej koncentracji, inaczej bowiem rozmywały się i zanikały.

Desmei poszła do gabinetu i przyniosła rozmaite instrumenty. Przez ponad dwie godziny pracowała nad wielkim czarem, który rozłożył jej ciało na plazmę, ta zaś wsączyła się do naczynia o trzech otworach. Zaczęła tam wrzeć, przesączyła się przez kanaliki i wydostała się otworami, tworząc trzy postacie. Pierwszą była dziewczyna wyjątkowej urody, o fiołkowobłękitnych oczach i czarnych, miękkich jak północ włosach. Unosił się wokół niej zapach fiołków i otrzymała imię Melancthe.

Drugą postacią był mężczyzna. Desmei, dzięki sztuczce przenoszącej w czasie, a i trochę z sentymentu, szybko go ukryła, aby inni ( jak chociażby Tamurello ) nie mogli dowiedzieć się o jego istnieniu.

Trzecią była obłąkana, skrzecząca istota, która posłużyła Desmei do wykonania najbardziej odrażającej części czaru. Trzęsąc się z obrzydzenia, Desmei zadusiła wstrętną poczwarę i spaliła ją na palenisku, gdzie skręcała się i wyła. Znad paleniska uniósł się zielony dym. Melancthe cofnęła się, ale mimo to w jej nozdrza dostał się powiew stęchlizny. Druga postać, zakryta płaszczem, z przyjemnością zaciągnęła się dymem pełnymi płucami.

Z Desmei uleciały wszystkie siły witalne. Ostatecznie zamieniła się w dym i zniknęła. Z trzech

istot, które stworzyła, jedynie Melancthe -świeża, otoczona subtelnym zapachem fiołków, pozostała w pałacu. Druga, ciągle w ukryciu, została zabrana do zamku Tintzin Fyral w Dolinie Evander. Trzecia pozostała jako garść czarnego popiołu i jako obrzydliwy zapach utrzymujący się w pokoju.



W kaplicy u szczytu ogrodu ustawiono łóżko dla Suldrun i tam też wysoka, ponura dziewczka kuchenna o imieniu Bagnold codziennie, dokładnie w południe, przynosiła Suldrun jedzenie. Bagnold była prawie głucha i równie dobrze mogła być niemową, gdyż nie odzywała się ani słowem. Miała sprawdzać, czy Suldrun znajduje się w ogrodzie. Jeśli nie było jej w kaplicy, człapała gniewnie w dół ogrodu, co zdarzało się prawie codziennie, ponieważ dla Suldrun czas nie miał najmniejszego znaczenia. Po pewnym czasie Bagnold zmęczyła się tym chodzeniem i zostawiała pełen koszyk na schodach kaplicy, zabierała pusty z poprzedniego dnia i odchodziła. Taki układ odpowiadał zarówno Suldrun, jak i jej samej.

Bagnold odchodząc opuszczała na drzwi ciężką dębową belkę, żeby zablokować wyjście. Suldrun mogłaby jednak z łatwością wspiąć się na urwiska po obu stronach wąwozu, i powiedziała sobie, że któregoś dnia opuści ogród na zawsze.

Mijały pory roku. Wiosną i latem ogród był najpiękniejszy, chociaż zawsze spowity ciszą i melancholią. Suldrun знаła go na wylot, wiedziała, jaki jest o każdej porze dnia, o szarym świcie, kiedy na wszystkim wisała ciężka rosa, a śpiew ptaków był czysty i przejmujący jak dźwięki na początku czasu. Głęboką nocą, kiedy księżyc w pełni wznosił się wysoko nad chmurami, siadywała pod drzewem cytrynowym, patrząc na morze, a fale szemrały na pokrytej kamykami plaży.

Pewnego dnia pojawił się w ogrodzie brat Umphred. Jego pyzata twarz świeciła niewinnie i dobrodusznie. Przyniósł koszyk, który postawił na schodach kaplicy i zmierzył Suldrun wzrokiem od stóp po czubek głowy.

– To cudowne! Jesteś piękna jak zawsze! Włosy ci lśnią, cera błyszczysz. W jaki sposób utrzymujesz się w takiej czystości?

– Nie wiesz? – spytała Suldrun. – Kąpię się, w tamtym baseniku. Brat Umphred wznosił ręce, udając przerażenie.

– To jest chrzcielnica z wodą święconą! Popełniłaś świętokradztwo!

Suldrun zaledwie wzruszyła ramionami i odwróciła się. Rozpromieniony brat Umphred rozpakował koszyk.

– Wniesiemy trochę radości do twojego życia. Oto czerwone wino, napijemy się!

– Nie, odejdz proszę.

– Czyż nie jesteś znudzona i rozczarowana?

– W żadnym razie. Weź swoje wino i odejdz. Brat Umphred odszedł w milczeniu.

Wraz ze zbliżającą się jesienią liście zmieniły kolor i zmierzch nadchodził coraz wcześniej. Zachody słońca były smutne, a jednocześnie przewspaniałe. Potem nadeszły deszcze i chłody zimy, a kaplica stała się ponura i wyziębła. Suldrun ułożyła stertę kamieni, z których zbudowała palenisko i komin wychodzący przez jedno z okien. Drugie zapchała ciasno gałęziami i trawą. Prądy opływające przylądek przynosiły na plażę kawałki drewna, które Suldrun przynosiła do kaplicy, aby wyschły, a później używała drewna na opał.

Ustały deszcze. Słońce rozjaśniało zimne, krystaliczne powietrze, wiosna była bardzo blisko. Na klombach kwiatowych pojawiły się żonkile, a drzewa wypuściły młode liście. Na niebie pokazały się wiosenne gwiazdy: Capella, Gwiazda Północna, Deneb. W słoneczne poranki kłębiaste chmury zbierały się wysoko nad morzem i krew Suldrun zaczęła szybciej krążyć w żyłach. Czula dziwny niepokój, którego nie doświadczyła nigdy wcześniej.

Dni stały się dłuższe, a zmysły Suldrun coraz bardziej wyostrzone, każdy dzień był dla niej

wyjątkowy, jak gdyby została ich już tylko ograniczona liczba. Napięcie stawało się coraz bardziej intensywne, jakby zbliżało się coś nieznanego i niepokojącego. Często nie spała całe noce, chciała wiedzieć o wszystkim, co działo się w jej ogrodzie.

Brat Umphred złożył jej jeszcze jedną wizytę. Zastał Suldrun siedzącą na schodach kaplicy, wystawiającą twarz do słońca. Spojrzał na nią z ciekawością. Słońce opaliło jej ramiona, nogi i twarz i rozjaśniło pasma włosów. Była obrazem wcielonego zdrowia. W rzeczy samej, pomyślał brat Umphred, zdawała się niemal szczęśliwa. W spętanym zmysłowością umyśle pojawiło się podejrzenie. Zaczął się zastanawiać, czy nie wzięła sobie kochanka.

– Najdroższa Suldrun, serce mi krwawi, kiedy widzę cię tutaj samotną i opuszczoną. Powiedz mi, jak ci się powodzi?

– Dość dobrze – powiedziała Suldrun. – Lubię samotność. Proszę, nie przychodź tu z mojego powodu.

Brat Umphred zachichotał radośnie. Usiadł obok niej.

– Ach, najdroższa Suldrun – powiedział i położył swą dłoń na dłoni Suldrun. Suldrun wpatrywała się w grube, białe palce. Były wilgotne i zbyt natarczywe. Odsunęła rękę. Palce cofnęły się niechętnie. – Przychodzę nie tylko z chrześcijańskim pocieszeniem, ale bardziej nawet jako człowiek, by napęlić cię otuchą. Musisz wiedzieć, że jestem księdzem, ale również jestem mężczyzną wrażliwym na twe piękno. Czy przyjmiesz moją przyjaźń? – Głos Umphreda stał się miękki i obleśny. – Nawet jeśli uczucie to jest głębsze i cieplejsze niż zwykła przyjaźń?

Suldrun roześmiała się ponuro. Wstała i wskazała na bramę.

– Sir, na moje życzenie, możesz odejść. Mam nadzieję, że więcej tu nie wrócisz. – Odwróciła się i zeszła do ogrodu. Brat Umphred wymruczał pod nosem jakieś przekleństwo i odszedł.

Suldrun usiadła pod drzewem cytrynowym i przyglądała się morzu.

– Zastanawiam się – rzekła sama do siebie – co się ze mną stanie? Jestem piękna, przynajmniej wszyscy tak mówią, ale sprowadziło to na mnie tylko same nieszczęścia. Dlaczego zostałam ukarana, jakbym zrobiła coś złego? Muszę coś zrobić, zmienić coś.

Po wieczornym posiłku przeszła się do zrujnowanej willi, gdzie w pogodne noce najbardziej lubiła przyglądać się gwiazdom. Tej nocy iskrzyły się niesamowicie i zdawały się do niej przemawiać, jak czarodziejskie dzieci, pełne dziwnych tajemnic... Wstała i zaczęła nasłuchiwać. Powietrze przepęlnione było zapowiedzią czegoś, co miało nadejść, nie mogła jednak zrozumieć tego przesłania.

Nocny wietrzyk przyniósł ochłodzenie. Suldrun wróciła w górę ogrodu. W kaplicy na palenisku jeszcze jarzyły się węgielki. Suldrun rozdmuchała je, dołożyła drewnianych szczap i w pomieszczeniu zrobiło się ciepłej.

Obudziła się rano bardzo wcześnie i wyszła o świcie na dwór. Na liściach i trawie wisiały ciężkie krople rosy. Cisza w powietrzu była wręcz pierwotna. Powoli jak lunatyk Suldrun zeszła na dół do ogrodu i na plażę. Fala przyływu obmywała kamienie. Wschodzące słońce zabarwiło chmury na przeciwległym horyzoncie. Na południowym zakolu plaży, tam gdzie fale wyrzucały kawałki drewna, zauważyła ludzkie ciało unoszące się na wodzie. Suldrun zatrzymała się, potem podeszła krok po kroku i spojrzała z przerażeniem, które zaraz przerodziło się w żal. Co za tragedia, że bezlitosna śmierć zabrała kogoś tak młodego, tak urodziwego... Fala poruszyła nogami młodego mężczyzny. Jego palce, zaciśnięte kurczowo wokół kamyków, rozchyliły się. Suldrun rzuciła się na kolana, wyciągnęła ciało z wody. Odgarnęła przemoczone włosy. Miał zakrwawione ręce i głowę pokrytą siniakami.

– Nie umieraj – wyszeptwała. – Proszę, nie umieraj!

Zamrugały powieki. Rozmyte morską wodą oczy spojrzwały na nią i zamknęły się.

Suldrun zawlokła ciało na suchy piasek. Kiedy chwyciła mężczyznę za prawe ramię, jęknął boleśnie. Pobieгла do kaplicy, przyniosła żar z paleniska i suche drewno i rozpałiła ogień. Otarła mu twarz kawałkiem materiału.

– Nie umieraj – powtarzała bez końca.

Jego skóra zaczęła się rozgrzewać. Słońce wyjrzało z nad urwiska i jego promienie niebawem zaczęły docierać do plaży. Aillas znowu otworzył oczy i zastanawiał się, czy rzeczywiście umarł i wędruje teraz po rajskich ogrodach, a opiekuje się nim najpiękniejszy złotowłosy anioł.

– Jak się czujesz? – zapytała Suldrun.

– Boli mnie ramię. – Przeszywający ból upewnił go, że jeszcze żyje. – Co to za miejsce?

– To jest ogród niedaleko miasta Lyonesse. Ja jestem Suldrun.-Dotknęła jego ramienia. – Myślisz, że jest złamane?

– Nie wiem.

– Czy możesz iść? Nie dam rady zanieść cię na wzgórze. Aillas spróbował wstać, ale upadł. Spróbował raz jeszcze, Suldrun objęła go w pasie i stanął na chwiejnych nogach.

– Chodź, spróbuję cię podtrzymać.

Krok po kroku wspinali się do góry. Przy ruinach zatrzymali się na odpoczynek.

– Muszę ci powiedzieć, że jestem Troicinetczykiem – rzekł Aillas słabym głosem. – Wypadłem za burtę. Jeśli zostanę złapany, to w najlepszym wypadku znajdę się w więzieniu.

Suldrun zaśmiała się.

– Już jesteś w więzieniu. Moim. Nie wolno mi opuszczać tego miejsca. Nie martw się. Będziesz tu bezpieczny.

Pomogła mu wstać i w końcu dotarli do kaplicy.

W miarę swoich sił i umiejętności Suldrun unieruchomiła ramię Aillasa za pomocą bandaży i witek łożynowych, po czym kazała mu się położyć na jej łóżku. Aillas posłusznie zrobił, co mu poleciła, i leżąc obserwował ją. Jaką zbrodnię popełniła ta piękna dziewczyna, że została za to uwięziona w tym miejscu? Suldrun dała mu najpierw miodu i wina, potem owsianki. Aillasowi zrobiło się ciepło i wygodnie, i zasnął.

Przed wieczorem ciało Aillasa rozpałiła gorączka. Suldrun nie była w stanie pomóc mu inaczej, jak tylko robiąc mu na czole zimne okłady. Do północy gorączka spadła i Aillas zasnął. Suldrun ułożyła się najwygodniej jak to było możliwe na podłodze przy palenisku.

Rankiem Aillas obudził się, na poły przekonany, że wszystko dokoła niego to sen. Stopniowo przywołał wspomnienie *Smaadry*. Kto wrzucił go do morza? Trewan? W napadzie nagłego szału? Bo z jakiego innego powodu?

Od czasu pobytu na troicyjskiej kodze w Ys zachowywał się bardzo dziwnie. Co wydarzyło się na pokładzie kogi? Co doprowadziło Trewa-na na krawędź szaleństwa?

Trzeciego dnia Aillas stwierdził, że nie ma złamanych kości i Suldrun zdjęła bandażę. Kiedy słońce wzeszło wysoko, poszli na dół do ogrodu i usiedli przy zwałonych kolumnach w starej rzymskiej willi. W ciągu popołudnia, w blasku słońca opowiedzieli sobie nawzajem koleje swojego życia.

– To nie jest nasze pierwsze spotkanie – powiedział Aillas. – Czy pamiętasz gości z Troicinetu, jakieś dziesięć lat temu? Ja ciebie pamiętam.

Suldrun zastanowiła się.

– Na dworze zawsze było wiele poselstw. Chyba pamiętam kogoś takiego jak ty. To było dawno temu. Nie jestem pewna.



Aillas wziął ją za rękę, pierwszy raz dotknął jej z uczuciem.

– Jak tylko powrócę do sił, uciekniemy stąd. Nie będzie trudno wspiąć się na to urwisko. Potem tylko przez wzgórze i już nas tu nie będzie.

Suldrun, prawie szepcząc, odezwała się zduszonym, przestraszonym głosem:

– Jeżeli nas złapią, król nie będzie miał dla nas litości.

– Nie złapią nas! – odparł Aillas cicho. – Szczególnie, jeśli wszystko dobrze zaplanujemy i będziemy bardzo ostrożni. – Usiadł prosto i mówił dalej z wielkim przekonaniem. – Będziemy wolni i daleko od tego miejsca! Będziemy podróżować w nocy i ukrywać się w ciągu dnia. Nikt nas nie odróżni od włóczęgów, bo kto mógłby nas poznać?

Optymizm Aillasa zaczął udzielać się Suldrun. Wizja wolności ożywiła ją.

– Naprawdę myślisz, że moglibyśmy uciec?

– Oczywiście! A cóż by innego?

Suldrun z zadumą spojrzała na ogród i morze.

– Nie wiem. Nigdy nie przypuszczałam, że będę szczęśliwa. A teraz jestem szczęśliwa, chociaż bardzo się boję. – Zaśmiała się nerwowo. – To dosyć dziwny nastrój.

– Nie obawiaj się – powiedział Aillas.

Jej bliskość obezwładniała go, objął ją w pasie ramieniem. Suldrun zerwała się na równe nogi.

– Czuję się, jakby obserwowało nas tysiące oczu!

– Owady, ptaki, jakaś jaszczurka albo dwie. – Aillas przebiegł wzrokiem po urwiskach. – Nie widzę nic innego.

Suldrun spojrzała w górę ogrodu.

– Ani ja. Jednak...

Usiadła w przyzwoitej odległości, jakieś trzy stopy od Aillasa i spoglądała na niego z ukosa.

– Wygląda na to, że z twoim zdrowiem coraz lepiej.

– Tak. Czuję się bardzo dobrze i nie wystarcza mi patrzenie na ciebie, chciałbym cię dotknąć. – Przynurzył się bliżej, ale Suldrun odsunęła się ze śmiechem.

– Aillas, nie! Poczekaj, aż z twoim ramieniem będzie lepiej!

– Będę bardzo na nie uważał.

– Ktoś mógłby nadejść.

– Któż byłby tak bezczelny?

– Bagnold. Ksiądz Umphred. Mój ojciec król. Aillas jęknął.

– Czyżby los mógł być dla nas tak niełaskawy? Suldrun odparła miękko głosem:

– Los nie wybiera.

Do ogrodu przyszła noc. Siedząc przy ognisku, posilali się chlebem, cebulą i małżami, które Suldrun zebrała po odpływie ze skał. Znowu rozmawiali o ucieczce. Suldrun powiedziała tęsknym głosem:

– Chyba będę się dziwnie czuła z dala od tego ogrodu. Znam tu każde drzewo, każdy kamień... Ale odkąd ty się tu pojawiłeś, wszystko się zmieniło. Ogród przestał być mój. – Zadrżała lekko, spoglądając w ogień.

Co ci jest? – zapytał Aillas.

– Boję się.

– Czego? Nie wiem.

– Moglibyśmy wyruszyć już tej nocy, gdyby nie moje ramię. Ale za parę dni znówu będę silny. Tymczasem musimy ułożyć plan. Co z tą kobietą, która przynosi ci jedzenie?

– W południe przynosi koszyk i zabiera inny, pusty, z poprzedniego dnia. Nigdy z nią nie rozmawiam.

– Czy dałaby się przekupić?

– W jakim celu?

– Przynosiłaby jedzenie jak zwykle, zostawiała je tu i następnego dnia zabierałaby pusty koszyk. Gdyby udało się w ten sposób zdobyć chociaż tydzień czasu, ucieklibyśmy daleko stąd i nie musielibyśmy obawiać się pogoni.

– Bagnold nigdy by się nie ośmieliła. Nawet gdyby nie brakowało jej dobrej woli, a tego właśnie jej brakuje. Do tego nie mamy niczego, czym moglibyśmy ją przekupić.

– Nie masz żadnych klejnotów, złota?

– W mojej komnacie w pałacu mam złoto i drogie kamienie.

– Które, rzecz można, są nie do zdobycia. Suldrun zastanowiła się.

– Niekoniecznie. Wschodnia Wieża pustoszeje po zachodzie słońca. Mogłabym pójść prosto do mojej komnaty i nikt by mnie nie zauważył. Przebyłabym drogę tam i z powrotem w oka mgnieniu.

– Czy to rzeczywiście takie proste?

– Tak! Przemierzałam tę drogę setki razy i rzadko spotykałam kogokolwiek.

– Skoro nie możemy przekupić Bagnold, będziemy mieli tylko jeden wolny dzień, od południa do południa, i dodatkowo tyle czasu, ile potrzebuje twój ojciec, żeby zorganizować poszukiwania.

– To będzie godzina, nie więcej. Jest bardzo szybki w podejmowaniu decyzji.

– Musimy wobec tego przebrać się za wieśniaków, co łatwiej powiedzieć niż wykonać. Czy nie masz nikogo, komu mogłabyś zaufać?

– Jest tylko jedna taka osoba. To niańka, która wychowywała mnie, kiedy byłam mała.

– I gdzie ona jest?

– Ma na imię Ehirme. Mieszka w gospodarstwie leżącym przy drodze wiodącej na południe. Dałaby nam ubrania i cokolwiek, o co byśmy ją poprosili, gdyby tylko wiedziała, jak bardzo tego potrzebuję.

– W przebraniu, z jednym dniem wyprzedzenia i złotem na podróż do Troicinetu będziemy wolni. A kiedy tylko przedostaniemy się przez Lir, zostaniesz po prostu Suldrun z Watershade. Nikt nie będzie wiedział, że jesteś księżniczką Suldrun z Lyonesse, poza mną i może moim ojcem, który będzie kochał cię tak samo jak ja.

Suldrun spojrzała na niego.

– Czy naprawdę mnie kochasz?

Aillas ujął jej dłonie. Ich twarze były tylko parę cali od siebie. Pocałowali się.

– Kocham cię najgoręcej – powiedział Aillas. – Nie chcę się nigdy z tobą rozstać.

– I ja kocham cię, Aillasie, i również nie chcę się z tobą rozstać. Przepelnieni radością spojrzeli sobie w oczy. Aillas powiedział:

– Zdrada i cierpienia przywiodły mnie tutaj, ale jestem wdzięczny za to wszystko.

– Mnie również było smutno – powiedziała Suldrun. – A jednak, gdyby nie wyrzucono mnie z pałacu, nie znalazłabym twego biednego zatopionego ciała!

– W takim razie niech będą dzięki okrutnemu Trewanowi i Casmi-rowi! – Pochylił swą twarz nad twarzą Suldrun. Całowali się coraz goręcej, potem, osunąwszy się na posłanie, objęli się ramionami i wkrótce zapomnieli się w namiętności.

Mijały tygodnie, czas płynął szybko i w sposób niezwykły. Były to błogie chwile, tym bardziej,

że wypełnione oczekiwaniem na wielką przygodę. Aillasa przestało boleć ramię i pewnego dnia wczesnym popołudniem wspiał się na urwisko po wschodniej stronie ogrodu i przeciął strome skaliste zbocze Urquialu wychodzące na morze. Szedł powoli i ostrożnie; był boso, bo jego buty spoczywały na dnie morza. Za Urquialem przedarł się przez zagajnik karłowatych dębów, czarnego bzu i jarzębiny i w ten sposób dotarł do drogi. O tej porze nie było tam wielu ludzi. Aillas spotkał poganiacza ze stadem owiec i małego chłopca, prowadzącego kozła, a żaden z nich nie uraczył go więcej niż jednym przelotnym spojrzeniem.

Milę dalej skręcił w boczną aleję, wiodącą pomiędzy żywopłotami, i wkrótce dotarł do gospodarstwa, gdzie mieszkała Ehirme z mężem i dziećmi.

Aillas zatrzymał się w cieniu zarośli. Z jego lewej strony, na odległym krańcu pastwiska, Chastian – mąż – i dwaj najstarsi synowie kosili siano. Chałupa stała na tyłach ogrodu warzywnego, gdzie na równych grządkach rosły pory, marchewki, rzepy i kapusty. Z komina unosił się dym.

Aillas rozważył sytuację. Gdyby podszedł do drzwi i otworzyłby je ktoś inny niż Ehirme, mogłyby paść niezręczne pytania, na które nie miałyby odpowiedzi.

Problem rozwiązał się sam. Oto w drzwiach pojawiła się krępa kobieta o pyzatej twarzy, która niosła wiadro. Ruszyła w kierunku chlewu. AiUas zawołał:

– Ehirme! Pani Ehirme!

Kobieta przystanęła, przyjrzała się Aillasowi pełna wątpliwości i zaciekawienia, potem powoli podeszła w jego stronę.

– Czego chcesz?

– To ty jesteś Ehirme?

– Tak.

– Czy w tajemnicy oddałabyś przysługę księżniczce Suldrun? Ehirme postawiła wiadro na ziemię.

– Wyjaśnij, o co ci chodzi, a ja ci powiem, czy taka przysługa leży w mojej mocy.

– I bez względu na wszystko dochowasz tajemnicy?

– Tak się stanie. Kim jesteś?

– Jestem Aillas, szlachcic z Troicinetu. Wypadłem za burtę statku i Suldrun uratowała mnie przed utonięciem. Jesteśmy zdecydowani uciec z ogrodu i dostać się do Troicinetu. Potrzebujemy przebrania, jakichś starych rzeczy, kapelusze i buty, a Suldrun nie ma żadnego przyjaciela poza tobą. Nie możemy ci tym razem zapłacić, ale jeśli nam pomożesz, zostaniesz sowicie wynagrodzona, kiedy wrócę do Troicine-tu.

Ehirme zastanowiła się, a bruzdy na ogorzałej od wiatru twarzy poruszały się pod wpływem przebiegających jej przez głowę myśli. Powiedziała:

– Pomogę wam w miarę wszystkich swoich możliwości. Długo cierpiałam z powodu okrucieństwa, na jakie skazano biedną małą Sul-drun, która nigdy nie skrzywdziła nawet muchy. Czy potrzeba wam tylko odzieży?

– Niczego więcej, i za to będziemy ci niezmiernie wdzięczni.

– Znam dobrze kobietę, która zanosí Suldrun jedzenie. To jest Bagnold, ma złą naturę. Jak tylko zobaczy nie tknięte jedzenie, doniesie królowi Casmirowi i zaraz wyruszy pościg.

Aillas z rezygnacją wzruszył ramionami.

– Nie mamy wyboru. Będziemy się dobrze ukrywać w ciągu dnia.

– Czy będziecie mieli ze sobą jakąś broń? Paskudztwa najrozmaitsze wyłażą w nocy na świat. Często je widzę, jak skaczą po pastwisku i latają pomiędzy chmurami.

– Znajdę porządną pałkę, to musi wystarczyć. Ehirme mrugnęła porozumiewawczo.

– Będę codziennie chodzić na rynek. W drodze powrotnej wejść do pałacu bocznym wejściem, opróżnię koszyk i tak oszukamy Bagnold. Mogę to bezpiecznie robić przez tydzień, a przez ten czas ślad po was zaginie.

– To będzie dla ciebie bardzo ryzykowne. Gdyby Casmir się o tym dowiedział, nie miałby dla ciebie litości!

– Boczne drzwi zakryte są krzakami. Kto mnie zauważy? Będę uważała, żeby nikt mnie nie zobaczył.

Aillas protestował jeszcze bez przekonania, ale Ehirme nie zwracała na to uwagi. Spojrzała na pastwisko i las leżący poza nim.

– W lesie, za wioską Glymwode mieszkają moi starzy rodzice. Ojciec jest drwalem i ich chata stoi w odosobnieniu. Kiedy mamy za dużo masła albo sera, to mój syn, Collen, zawozi im to na osle. Jutro rano po drodze na rynek przyniosę wam ubrania, buty i kapelusze. A wieczorem, godzinę po zachodzie słońca spotkam się tu z wami, w tym miejscu, i będziecie spać na sianie. O wschodzie słońca Collen będzie gotowy i pojedziecie do Glymwode. Nikt nie będzie wiedział o waszej ucieczce i będziecie mogli podróżować w ciągu dnia. Kto skojarzy księżniczkę Suldrun z trzema wieśniakami i osłem? Moja matka i ojciec przechowają was bezpiecznie, aż nie minie największe zagrożenie, a potem pojedziecie do Troicinetu, może przez Dahaut, dłuższą, ale bezpieczniejszą drogą.

Aillas rzekł pełen wdzięczności:

– Nie wiem, jak ci dziękować. Przynajmniej do czasu, kiedy wrócę do Troicinetu, a tam będę mógł naprawdę wyrazić ci moją wdzięczność.

– Nie potrzebuję wdzięczności! Jeśli uda mi się wykraść biedną Suldrun temu tyranowi Casmirowi, będzie to dla mnie wystarczająca nagroda. Spotkam się więc z wami jutro wieczorem, godzinę po zachodzie słońca!

Aillas wrócił do ogrodu i opowiedział Suldrun o tym, co zdecydowała Ehirme.

– Nie musimy więc przekradać się nocą jak złodzieje. Z oczu Suldrun popłynęły łzy.

– Moja droga, wierna Ehirme! Nigdy w pełni nie doceniałam jej dobroci!

– Nagrodzę jej lojalność z Troicinetu.

– Ale nadal potrzebujemy złota. Muszę pójść do mojej komnaty w Haidionie.

– Sama myśl o tym mnie przeraża.

– To nic wielkiego. Mogę o zmierzchu prześlizgnąć się do pałacu i szybko wrócić.

O zmierzchu w ogrodzie ściemniło się.

– Teraz – powiedziała Suldrun. – Idę do Haidionu. Aillas wstał.

– Muszę pójść z tobą, choćby tylko do pałacu.

– Jak chcesz.

Aillas przeszedł przez mur, odsunął rygiel i Suldrun otworzyła drzwi. Przez chwilę stali przyciśnięci do ściany. Na różnych poziomach Peinhadoru widać było stłumione światła. Na Urquialu o zmierzchu było pusto.

Suldrun spojrzała w kierunku arkady.

– Chodź.

Pomiędzy łukami migotały światła miasta Lyonesse. Noc była ciepła. Arkada pachniała kamieniami i tu i ówdzie odrobiną amoniaku, tam gdzie ktoś ulżył swemu pęcherzowi. W oranżerii zapach kwiatów i owoców tłumił wszystkie inne. W górze majaczyły kształty Haidionu, z blaskiem

świec i lamp w oknach.

Drzwi do Wschodniej Wieży wyglądały jak owalny, mroczny cień.

– Lepiej zaczekaj tutaj – wyszeptała Suldrun.

– A jeśli ktoś przyjdzie?

– Wróć do oranżerii i tam na mnie poczekaj. – Suldrun nacisnęła klamkę i pchnęła wielkie drzwi z drewnianych bali, spiętych żelaznymi obręczami, które otwały się z jękiem. Suldrun zajrzała przez szparę do Oktagonu, a potem spojrzała ponownie na Aillasa i rzekła:

– Wchodzę. – Z drugiego końca arkady dobiegł odgłos rozmowy i czyichś kroków. Suldrun wciągnęła Aillasa do pałacu. – Chodź ze mną.

Przeszli przez Oktagon, który oświetlony był pojedynczym szeregiem masywnych świec. Na lewo, przejście pod łukiem prowadziło do Długiej Galerii, a przed nią schody pięły się na wyższe kondygnacje.

Długa Galeria była zupełnie pusta. Z rozmównicy dobiegły ich dźwięki radosnej i pełnej śmiechu konwersacji. Suldrun złapała Aillasa za ramię.

– Chodź.

Wbiegli po schodach i po krótkiej chwili stanęli przed komnatą Suldrun. Potężna kłódka spinała dwie zasuwy umocowane w drewnie i kamieniu.

Aillas zbadał zamek i całe drzwi, parę razy niepewnie pociągnął za kłódkę.

– Nie możemy wejść do środka. Drzwi są zbyt mocne.

Suldrun zaprowadziła go korytarzem do innych drzwi, na których nie było kłódki.

– Sypialnia dla szlachetnych panien, które mogłyby mnie odwiedzić. – Otworzyła drzwi i nasłuchiwała. Cisza. W pokoju pachniało maściami i perfumami, ale najwyraźniejszy był nieprzyjemny zapach brudnej garderoby.

Suldrun wyszeptała:

– Śpi tu jakaś dziewczyna, ale wyszła się zabawić.

Przeszli przez pokój i podeszli do okna. Suldrun uchyliła okiennice.

– Musisz tu poczekać. Przechodziłam tędy wiele razy, kiedy chciałam uniknąć spotkania z panią Boudettą.

Aillas niepewnie spojrzał na drzwi.

– Mam nadzieję, że nikt tu nie wejdzie.

– Gdyby wszedł, schowaj się w bielizniarce albo pod łóżkiem. To nie potrwa długo.

Wyślizgnęła się przez okno i po szerokim kamiennym gzymsie przeszła do swojej dawnej komnaty. Pchnęła okiennice, otworzyła je i zeskoczyła na podłogę. Pomieszczenie pachniało kurzem i pustką wielu dni, słonecznych i deszczowych. W powietrzu ciągle unosił się słaby zapach perfum, który przypominał Suldrun o minionych latach i nastroił ją melancholijnie, tak że w jej oczach pojawiły się łzy.

Podeszła do skrzyni, w której trzymała swoje rzeczy. Niczego nie brakowało. Znalazła tajemną szufladę i otworzyła ją. Wyczuła palcami, że były tam wszystkie ozdoby, świecidełka, drogocenne klejnoty, złoto i srebro, które weszły w jej posiadanie. Były to głównie prezenty od przybywających do Haidionu gości, jako że ani Casmir, ani Sollace nie obsypywali swej córki podarunkami.

Suldrun zawinęła kosztowności w szal. Podeszła do okna i pożegnała się z komnatą. Jest tu po raz ostatni, tego była pewna.

Wyszła przez okno, zamknęła okiennice i wróciła do Aillasa.

Przeszli przez ciemny pokój, uchyliłi drzwi i wyszli na mroczny korytarz. Tej nocy, jak żadnej innej, w pałacu było bardzo ruchliwie. Po korytarzach kręciło się wielu dworzan i szlachciców, a z

Oktagonu dobiegały odgłosy żywych rozmów. Aillas i Suldrun nie mogli uciec do ogrodu tak szybko, jak to zaplanowali. Spojrzeli na siebie szeroko otwartymi oczami, serca były im głośno.

Aillas zaklął łagodnie.

– A więc jesteście tu uwięzieni.

– Nie! – wyszeptała Suldrun. – Zejdziemy na dół tylnymi schodami. Nie martw się, uciekniemy w ten czy inny sposób! Chodź!

Ostrożnie pobiegli korytarzem i tak zaczęła się mroząca krew z żyłach gra, która parę razy nieźle napędziła im stracha, a której zupełnie wcześniej nie przewidzieli. Biegli raz tu, raz tam, przesmykując się cicho starymi korytarzami, przeskakując od komnaty do komnaty, chowając się w półmroku, wyglądając zza narożników. Biegli od rozmównicy do komnaty luster, w górę po schodach do starego obserwatorium, pod dachem do najwyższego salonu, gdzie młodzi szlachcice umawiali się na schadzki, a potem na dół schodami dla służby i długim tylnym korytarzem prowadzącym na galerię muzyków, wychodzącą na Hall Honorów.

Paliły się świece we wszystkich kandelabrach. Hall został przygotowany do jakiejś ceremonii, która być może miała się odbyć tego wieczoru. Na razie był zupełnie pusty.

Schody wiodły na dół do alkierza, z którego wychodziło się do Fiołkowego Salonu, nazywanego tak z powodu fioletowych jedwabnych obić na fotelach i sofach. Był to wspaniały pokój ze ścianami wyłożonymi kością słoniową w kolorze tabaki i dywanem w żywych szmaragdowych kolorach. Aillas i Suldrun cicho podbiegli do drzwi, skąd wyjrzeli do Długiej Galerii, gdzie w tej chwili nie było nikogo.

– To już niedaleko – powiedziała Suldrun. – Najpierw do Hallu Honorów, potem, jeśli nikt się nie pojawi, na Oktagon i na zewnątrz.

Rozejrzeli się na lewo i na prawo, potem podbiegli do alkowy o łukowym sklepieniu, w której znajdowały się drzwi do Hallu Honorów. Suldrun obejrzała się za siebie i złapała Aillasa za ramię.

– Ktoś wyszedł z biblioteki. Szybko, do środka.

Prześliznęli się przez drzwi do Hallu Honorów. Stanęli z rozszerzonymi oczami, wstrzymując oddech.

– Kto to był? – wyszeptał Aillas.

– Myślę, że ksiądz Umphred.

– Może nas nie widział.

– Może nie... Ale jeśli tak, z pewnością przyjdzie to sprawdzić. Chodź, do tylnej komnaty!

– Nie widzę żadnej tylnej komnaty!

– Za arrasem. Szybko! On jest już przy drzwiach!

Przebiegli przez komnatę i ukryli się za zasłoną. Wyglądając przez szczelinę, Aillas zobaczył, jak drzwi się uchylają, powoli, powoli. Przysadzista figura brata Umphreda ciemno odcinała się na tle światła w Długiej Galerii.

Przez chwilę brat Umphred stał bez ruchu, potrząsając jedynie głową. Wydawał się czymś zaskoczony i wszedł do komnaty, rozglądając się na prawo i na lewo.

Suldrun podeszła do tylnej ściany. Znalazła żelazny pręt i wsunęła go do otworów.

Aillas zapytał zdumiony:

– Co robisz?

– Umphred może wiedzieć, że jest tu ta komnata. Ale nie wie o następnej.

Otworzyły się drzwi, przez które przedarła się smuga zielonopurpu-rowego światła. Suldrun wyszeptała:

– Jeżeli podejście bliżej, to się tam schowamy.

Aillas, wyglądając przez szczelinę w zasłonie, powiedział:

– Nie. On zawraca... Wychodzi z komnaty. Suldrun?

– Jestem tutaj. Król, mój ojciec, ma tu schowaną swą prywatną magię. Chodź, zobacz!

Aillas podszedł do drzwi i rozejrzał się ostrożnie na prawo i na lewo.

– Nie musisz być taki ostrożny – powiedziała Suldrun. – Już tu kiedyś byłam. Ten mały skrzat to skak. Jest zamknięty w butelce. Jestem pewna, że wolałby być na wolności, ale obawiam się jego mściwości. Zwierciadło to Persilian. Czasami się odzywa. Z tego krowiego rogu płynie albo świeże mleko, albo miód, zależy, jak się go trzyma.

Aillas powoli ruszył do przodu. Skak przyglądał mu się złośliwie. Kolorowe pyłki, zamknięte w tubach, zaczęły wirować podekscytowane. Maską gargulca, wisząca wysoko w półmroku, prychnęła zgryźliwie.

Aillas odezwał się zaniepokojony:

– Chodź, zanim damy się omamić przez te wszystkie rzeczy! Suldrun powiedziała:

– Nic mnie tu nie skrzywdziło. Zwierciadło mnie zna i rozmawia ze mną!

– Czarodziejskie głosy przynoszą jedynie nieszczęście! Chodź! Musimy wydostać się z pałacu!

– Jedną chwilkę, Aillasie. Lustro rozmawiało ze mną przyjaźnie, może to zrobi jeszcze raz.

Persilianie?

Lustro odezwało się melancholijnym głosem?

– Kto wzywa Persiliana?

– To ja, Suldrun. Rozmawiałaś ze mną uprzednio i nazywałaś mnie po imieniu. To jest mój ukochany, Aillas!

Persilian jęknął, a potem zaśpiewał głosem głębokim i grmiącym, bardzo wolno, dokładnie podkreślając każde słowo:

Aillas poznał przyływu moc, Suldrun śmierci wyrwała go. Wstąpili w śluby silne tak, Ażeby w syna oddech tchnąć.

Aillasie, wybierz spośród wielu dróg; Każda z nich wiedzie poprzez trud i krew. Nocy tej jednak musisz wziąć ślub, By prawym wejść w ojcostwo swe.

Królowi służy ten długi czas, Zadał mi swe pytania trzy. Nigdy już nie wezwie mnie, Wolności nie przywróci mi.

Aillasie, musisz zabrać mnie, Samotnie ukryć musisz mnie, Pod drzewem Suldrun, spocznię tam, Pod głazem, gdzie zwykle siadywała.

Aillas, poruszając się jak we śnie, złapał za ramę Persiliana. Ściągnął go z metalowego kołka, który utrzymywał lustro na ścianie. Uniósł lustro i zapytał zmieszany:

– W jaki sposób możemy się pobrać tej nocy?

Głos Persiliana, dźwięczny i głęboki, wydostał się z lustra:

– Ukradłeś mnie Casmirowi. Należę do ciebie. To było twoje pierwsze pytanie. Możesz zadać jeszcze dwa. Jeśli zapytasz mnie po raz czwarty, odzyskam wolność.

– Bardzo dobrze, jak sobie życzysz. A więc, w jaki sposób zostaniemy sobie poślubieni?

– Wróćcie do ogrodu. Droga jest bezpieczna. Tam zostanie zawiązany wasz węzeł małżeński, dopilnujcie, aby stało się to zgodnie z prawem. Szybko, idźcie teraz, czas nagli! Musicie się stąd wydostać, zanim Haidion zostanie zamknięty na noc!

Bez dalszego ociągania Suldrun i Aillas opuścili sekretną komnatę, zamykając szczelnie drzwi, żeby nie przedostawało się przez nie zielono-purpurowe światło. Suldrun wyjrzała przez szczelinę w zasłonie. Poza pięćdziesięcioma czterema krzesłami, które tak znacząco odbiły się na jej dzieciństwie, w Hallu Honorów nie było nikogo. A i same krzesła sprawiały wrażenie mniejszych niż poprzednio, jakby ubyło im świetności. Mimo to Suldrun opanowała głęboka zaduma, kiedy razem z Aillasem przechodzili przez hall.

Długa Galeria była pusta. Poprzez Oktagon wybiegli w noc. Przebiegli pod arkadą, pośpiesznie ukryli się w oranżerii, kiedy czterech pałacowych wartowników nadeszło z Urquialu klnąc, tupiąc, pobrząkując zbrojami.

Kroki ucichły w oddali. Poprzez prześwity pomiędzy łukami księżyc rozjaśniał arkadę na przemian srebrnoszarymi i czarnymi smugami. W mieście Lyonesse migotały rozmaite światła, miasto jeszcze nie spało, ale od pałacu nie dobiegał żaden dźwięk. Suldrun i Aillas wyslizgnęli się z oranżerii, przebiegli arkadą i przez boczną bramę dostali się do ogrodu. Aillas przeniósł Persiliana pod tuniką.

– Lustro! Zadałem jedno pytanie i z pewnością nie zadam następnego, dopóki nie zajdzie taka potrzeba. Nie zapytam więc, w jaki sposób mam cię ukryć, tak jak tego chciałeś. Jeśli jednak chciałbyś dodać coś do swych poprzednich wskazówek, wysłucham cię.

Persilian odezwał się:

– Ukryj mnie teraz, Aillasie. Ukryj mnie zaraz pod drzewem cytrynowym. Pod głazem jest szczelina. Schowajcie tam również złoto, które macie ze sobą, szybko, najszybciej jak możecie.

Zeszli w dół do kaplicy. Aillas poszedł ścieżką do drzewa cytrynowego. Uniósł kamień i zobaczył pod nim szczelinę, w której umieścił Persiliana oraz sakiewkę ze złotem i kosztownościami.

Suldrun podeszła do drzwi kaplicy, gdzie zatrzymała się, zdziwiona odblaskiem migoczącej wewnątrz świecy.

Pchnęła drzwi. W środku siedział brat Umphred, drzemiąc przy stole. Otworzył oczy i spojrzał na Suldrun.

– Suldrun, nareszcie wróciłaś! Ach, słodka i figlarna Suldrun! Jakiego oszustwa się dopuściłaś! Co porabiałaś, oddaliwszy się od swej posiadłości?

Przerażona Suldrun stała w milczeniu. Brat Umphred uniósł swe potężne cielsko i ruszył w jej kierunku, uśmiechając się zwycięsko, spod na wpół przymkniętych powiek, co sprawiało wrażenie, jakby spoglądał w zupełnie inną stronę. Złapał wiotkie ręce Suldrun.

– Najdroższe dziecko! Powiedz mi, gdzie byłaś?

Suldrun próbowała się cofnąć, ale brat Umphred chwycił ją mocniej.

– Poszłam do pałacu po płaszcz i suknię... Puść mnie.

Brat Umphred przyciągnął ją jednak jeszcze mocniej. Zaczął szybciej oddychać, a na jego twarzy pojawił się rumieniec.

– Suldrun, najśliczniejsza ze wszystkich istot na ziemi! Czy wiesz, że widziałem cię, przemykającą korytarzami z jednym z pałacowych chłopców? Zapytałem sam siebie, czy to może być czysta Suldrun, cnotliwa Suldrun, skromna i zawsze zadumana? Powiedziałem sobie -niemożliwe! Ale może mimo wszystko płonie w niej ogień!

– Nie, nie – wyszeptwała Suldrun. Szarpnęła się do tyłu. – Proszę, puść mnie.

Brat Umphred nie miał zamiaru jej puścić.

– Bądź grzeczna, Suldrun! Jestem człowiekiem o szlachetnej duszy, nie jestem jednak obojętny na piękno! Najdroższa Suldrun, od dawna pragnąłem skosztować twego słodkiego nektaru, a pamiętaj, że moje pożądanie obleczone jest świętością Kościoła. A więc, moje najdroższe dziecko,



jakikolwiek byłby twój występek, to z pewnością rozgrzał ci krew w żyłach. Obejmij mnie, mój złoty cudzie, mój słodki występku, moja przebiegła oszukańcza czystości! – Brat Umphred zaciągnął ją na łóżko.

W drzwiach pojawił się Aillas. Suldrun zobaczyła go i gestem nakazała mu, aby został w tyle, poza zasięgiem wzroku. Podciągnęła kolana i wykręciła się z uścisku brata Umphreda.

– Doniosę mojemu ojcu o poczynaniach księdza!

– Nic go nie obchodzi, co się z tobą stanie – powiedział ochryple brat Umphred. – Nie broń się!

W przeciwnym wypadku będę musiał siłą przeprowadzić to spotkanie.

Aillas nie mógł się dłużej powstrzymać. Podeszedł i uderzeniem w skroń powalił drżącego brata Umphreda na podłogę.

Roztrzęsiona Suldrun powiedziała:

– Lepiej byłoby, Aillasie, gdybyś trzymał się z daleka.

– I pozwolił, żeby zaspokoił swoje bestialskie pożądanie? Prędzej zabiłbym go! W zasadzie i tak go zabiję, za jego bezczelność.

Brat Umphred otrząsnął się z szoku, zebrał się w sobie i oparł plecami o ścianę. Oczy błyszczały mu w blasku świecy. Suldrun powiedziała z wahaniem:

– Nie, Aillasie, nie chcę jego śmierci.

– Doniesie na nas królowi. Brat Umphred zawołał:

– Nie, nigdy! Wysłuchuję tysięcy tajemnic, wszystkie są dla mnie święte!

Suldrun rzuciła zamyślonym głosem:

– Będzie świadkiem na naszym ślubie. Może nawet nam go udzielić według chrześcijańskiego obrządku, który jest tak samo prawomocny jak każdy inny.

Brat Umphred z wysiłkiem uniósł się na nogi, bełkocząc coś niezrozumiale.

Aillas zwrócił się do niego:

– Udziel nam ślubu, skoro jesteś księdzem, a niech wszystko odbędzie się tak, jak powinno.

Trochę czasu zabrało bratu Umphredowi, zanim doprowadził sutannę do porządku i uspokoił się.

– Udzielić wam ślubu? To niemożliwe.

– Oczywiście, że jest możliwe – powiedziała Suldrun. – Wiele razy udzielałeś ślubu służącym.

– W kaplicy na Haidionie.

– To jest kaplica. Sam ją poświęciłeś.

– Została sprofanowana. Poza tym mogę udzielać ślubu tylko tym, którzy są ochrzczeni.

– To ochrzcij nas, szybko!

Brat Umphred z uśmiechem potrząsnął głową.

– Najpierw musicie prawdziwie uwierzyć i zostać katechumenami. Na dodatek rozwścieczyłoby to króla Casmira. Zemściłby się na nas wszystkich!

Aillas podniósł potężny kawał drewna.

– Księżo, ta kłoda ma w tej chwili przewagę nad królem Casmirem. Udziel nam ślubu albo rozwalę ci głowę.

Suldrun złapała go za ramię.

– Nie, Aillasie! Weźmiemy ślub tak, jak to robią prości ludzie, a on będzie świadkiem. Nie będzie gadania o tym, kto jest chrześcijaninem, a kto nim nie jest.

Brat Umphred znowu się sprzeciwił:

– Nie mogę brać udziału w waszym pogańskim obrządku.

– Musisz – powiedział Aillas.

Stanęli we dwoje przy stole i zaintonowali chłopską pieśń weselną:

*Wszyscy bądźcie świadkami, jak składamy przysięgę małżeńską! Na ten chleb, którym się dzielimy.*

Podzielili kromkę chleba i spożyli ją.

*Na tę wodę, którą razem pijemy.*

Upili wody z tego samego kubka.

*Na ten ogień, który nas ogrzewa.*

Przesunęli rękoma nad płomieniem świecy.

*Na tę krew, która nas jednoczy.*

Cienkim szpikulcem Aillas ukłął Suldrun w palec, potem ukłął siebie i zmieszali kropelki krwi.

*Na tę miłość, która wiąże nasze serca.*

Pocałowali się i uśmiechnęli do siebie.

*Złączyliśmy się nierozzerwalnym węzłem małżeńskim, staliśmy się mężem i żoną, zgodnie z prawami ludzi i łaskawymi prawami Natury.*

Aillas wziął teraz pióro, atrament i kawałek pergaminu i rzekł do brata Umphreda:

– Pisz, księżu! Dzisiaj w nocy, tu napisz datę, byłem świadkiem na ślubie Suldrun i Aillasa.

Podpisz się.

Trzęsącymi się rękami brat Umphred odsunął pióro od siebie.

– Obawiam się gniewu króla Casmira!

– Księżu, mnie obawiaj się bardziej! Zrozpaczony brat Umphred napisał, jak mu kazano.

– Teraz pozwólcie mi odejść!

– Żebyś popędził donieść o wszystkim królowi Casmirowi? – Aillas potrząsnął głową. – Nie.

– Nie musicie się niczego obawiać! – krzyczał brat Umphred. – Będę milczał jak grób! Jestem powiernikiem tysięcy tajemnic!

– Przysięgnij! – powiedziała Suldrun. – Na kolana. Ucałuj tę świętą księgę, którą ze sobą nosisz i przysięgnij, że w nadziei na zbawienie i w obawie przed wiecznym potępieniem nie wyjawisz niczego, co widziałeś i słyszałeś tej nocy.

Brat Umphred, spocony i szary na twarzy jak popiół, spoglądał to na jedno, to na drugie. Powoli ukląkł, ucałował ewangelię i złożył przysięgę. A potem z trudem się podniósł i rzekł:

– Byłem świadkiem. Złożyłem przysięgę. Mam prawo odejść!

– Nie – powiedział posępnie Aillas. – Nie ufamy ci. Boję się, że niechęć do nas może być silniejsza niż twoje poczucie honoru i zniszczysz nas. Nie mogę ryzykować.

Brat Umphred na chwilę zaniemówił z oburzenia.

– Ale przecież przysięgłem na wszystko, co święte!

– I równie łatwo mógłbyś się wyprzeć tej przysięgi i oczyścić się z grzechu. Czy mam cię zabić z zimną krwią?

– Nie!

– To muszę z tobą zrobić coś innego.

Przez chwilę stali nieruchomo, patrząc na siebie. Aillas pierwszy poruszył się.

– Księżu, czekaj tutaj i nie próbuj uciec, gdyż inaczej potraktuję cię kilkoma dobrymi razami przy pomocy tej kłody. My będziemy na zewnątrz.

Aillas i Suldrun wyszli w noc i zatrzymali się parę jardów od drzwi kaplicy. Aillas odezwał się zduszonym głosem, prawie szepcząc, bojąc się, że brat Umphred mógłby stać z uchem przyciśniętym

do drzwi i nasłuchiwać.

– Nie można ufać księdzu.

– Zgadza się – powiedziała Suldrun. – Jest przebiegły jak lis.

– Nie mogę go jednak zabić. Nie możemy go związać lub uwięzić tu, bo wyszłoby na jaw, że Ehirme nam pomagała. Tylko jedno przychodzi mi do głowy. Musimy się rozdzielić. Ja zabiorę go z ogrodu i udamy się na wschód. Nikt nie będzie nas zaczepiał, nie jesteśmy uciekinierami. Dopilnuję, żeby ani nie uciekł, ani nie wrzeszczał o pomoc. Uciążliwe to i żmudne zadanie, ale musi być wykonane. Za tydzień albo dwa zostawię go zwyczajnie, gdy będzie spał. Udam się do Glimwode i odszukam cię, a dalej wszystko będzie tak, jak zaplanowaliśmy.

Suldrun objęła Aillasa i położyła mu głowę na piersi.

– Czy musimy się rozdzielić?

– Nie ma innego bezpiecznego wyjścia z tej sytuacji, trzeba by zabić tego człowieka, aja nie mogę tego zrobić z zimną krwią. Wezmę trochę złota, ty weź resztę i zabierz również Persiliana. Jutro, godzinę po zachodzie słońca idź do chaty Ehirme, a ona wyśle cię do swego ojca, tam cię znajdzie. Idź teraz pod drzewo cytrynowe i przynieś mi parę sztuk złota, którymi będę mógł płacić za żywność i napoje. Ja zostanę i popilnuję księdza.

Suldrun zbiegła ścieżką i chwilę później wróciła ze złotem. Poszli do kaplicy. Brat Umphred stał przy stole, ponuro spoglądając w ogień.

– Księżu – powiedział Aillas – udamy się w podróż, ty i ja. Odwróć się, jeśli łaska. Muszę związać ci ręce, żebyś nie próbował żadnych bezsensownych sztuczek. Słuchaj moich poleceń, a nie stanie ci się żadna krzywda.

– Nie będzie to dla mnie wygodne – rzucił brat Umphred.

– Powinieneś był pomyśleć o wygodzie, zanim przyszedłeś tu tego wieczora. Odwróć się, zdejmij sutannę i załóż ręce do tyłu.

Zamiast wykonać rozkaz, brat Umphred rzucił się na Aillasa i uderzył go drewnianym drągiem, który wyciągnął ze sterty na opał.

Aillas zachwiał się. Brat Umphred odepchnął Suldrun, aż się zatoczyła, i wybiegł z kaplicy. Pobiegnął w górę ścieżką, Aillas za nim, przez bramę na Urquial i tam rozdarł się na cały głos:

– Wartownicy do mnie! Pomocy! Zdrada! Morderca! Pomocy! Do mnie! Złapać zdrajcę!

Od strony arkady nadbiegło czterech wartowników, tych samych, których Aillas i Suldrun uniknęły, chowając się w oranżerii. Podbiegli i ujęli Aillasa i brata Umphreda.

– Co się tu dzieje? Co to za przeraźliwe wrzaski?

– Zawołajcie króla Casmira! – darł się brat Umphred. – Nie marnujcie ani chwili! Ten włóczęga napastował księżniczkę Suldrun, straszliwy to występki! Sprowadźcie króla Casmira, mówię! Biegiem!

Przyprowadzono króla Casmira i brat Umphred zaczął mu wyjaśniać z przejęciem.

– Widziałem ich w pałacu! Rozpoznałem księżniczkę, widziałem również tego mężczyznę. Jest ulicznym włóczęgą! Poszedłem za nimi i, wyobraź sobie panie ich bezczelność, zażądali, bym udzielił im ślubu według chrześcijańskiego obrządku! Odmówiłem z całym przekonaniem i ostrzegłem, jaką zbrodnię chcą popełnić!

Stojąca przy bramie Suldrun wysunęła się naprzód.

– Sir, nie gniewaj się na nas. To jest Aillas, jesteście mężem i żoną. Kochamy się gorąco. Proszę, pozwól nam wieść życie w spokoju. Jeśli rozkażesz, opuścimy Haidion i nigdy tu nie wrócimy.

Brat Umphred, ciągle przejęty swoją rolą w całym wydarzeniu, nie mógł wytrzymać spokojnie i

wołał:

– Grozili mi. Niemal straciłem rozum z tego powodu! Zmusili mnie, abym był świadkiem na ich ślubie! Gdybym nie podpisał, że ta ceremonia się odbyła, rozwaliliby mi głowę!

Casmir odezwał się lodowatym głosem:

– Dość, cisza! Z tobą rozprawię się później. – I tonem rozkazu dodał:

– Sprowadźcie Zerlinga! – Odwrócił się do Suldrun. Jeśli był wściekły lub wzburzony, Casmir zawsze mówił spokojnym i obojętnym tonem. Tak było i tym razem. – Wygląda na to, że sprzeciwiłaś się moim poleceniom. Cokolwiek byłoby tego przyczyną, w najmniejszym stopniu cię to nie usprawiedliwia.

Suldrun powiedziała łagodnie:

– Jesteś moim ojcem, czyż nie obchodzi cię moje szczęście?

– Jestem królem Lyonesse. Jeśli nawet żywiłem do ciebie jakieś uczucia, rozwiały się one, kiedy postąpiłaś wbrew moim życzeniom, o czym dobrze wiesz. Teraz widzę cię poślubioną jakiemuś bezimiennemu prostakowi. Niech więc tak będzie! Mój gniew nie został załagodzony. Wrócisz do ogrodu i tam pozostaniesz. Idź!

Ze zwieszonymi ramionami Suldrun przeszła przez bramę i na dół do ogrodu. Król Casmir zwrócił się teraz do Aillasa:

– Twoja zarozumiałość jest zadziwiająca. Będziesz miał wystarczająco dużo czasu, aby się nad tym zastanowić. Zerling! Gdzie jest Zer-ling?

– Sir, jestem tutaj. – Przysadzisty łyсы mężczyzna, o szerokich barach, brązowej brodzie i szeroko otwartych oczach podszedł do przodu. Zerling był pierwszym katem króla Casmira i człowiekiem, którego w mieście Lyonesse obawiano się najbardziej po samym królu.

Król Casmir szepnął mu parę słów do ucha.

Zerling zarzucił linę na szyję Aillasa i poprowadził go przez Urquial i dalej za Peinhador. Przy świetle księżyca zdjęto linę z szyi Aillasa i zawiązano mu ją dookoła tułowia. Został przeniesiony nad kamienną krawędzią i spuszczonego do dołu, wciąż niżej i niżej. W końcu dotknął stopami dna. Aktem, przypieczętowującym niejako nieodwołalność jego położenia, było zrzucenie liny na dno.

W ciemności panowała zupełna cisza. W powietrzu unosił się zapach wilgotnych kamieni i ludzkich odchodów. Przez pięć minut Aillas stał, wpatrując się w górę szybu. Potem po omacku ruszył w stronę jednej ze ścian. Nie dzieliło go od niej więcej niż siedem stóp. Wyczuł pod nogami twarde, okrągły przedmiot. Sięgnął w dół i rozpoznał ludzką czaszkę. Odszedł w bok i usiadł, plecami oparty o ścianę. Po chwili oczy zaczęły mu się zamykać ze zmęczenia, ogarniał go sen. Zwalczał w sobie pragnienie snu, jak tylko potrafił, bał się bowiem przebudzenia... W końcu jednak zasnął.

Obudził się i stwierdził, że jego obawy są faktem. Kiedy sobie wszystko przypomniał, zapłakał z bólu i niedowierzania. Jak mogło dojść do takiej tragedii? Z oczu płynęły mu łzy. Objął głowę ramionami i łkał.

Mijały godziny, a on siedział pogrążony w zupełnej rozpacz. Do dna lochu docierało mizernie światło. Mógł więc ocenić rozmiary celi. Podłoga była w kształcie koła o mniej więcej czternastu stopach średnicy, wyłożona ciężkimi kamiennymi płytami. Kamienne ściany pięły się pionowo w górę do wysokości sześciu stóp, potem łączyły się z głównym szymbem, który zaczynał się dwanaście stóp nad podłogą. Pod przeciwną ścianą piętrzyły się kości i czaszki. Aillas doliczył się dziesięciu czaszek, inne były prawdopodobnie ukryte pod stertą kości. Niedaleko miejsca gdzie siedział, leżał jeszcze jeden szkielet, najwidoczniej ostatniego mieszkańca celi.

Aillas wstał. Wszedł na środek i spojrzał w górę szybu. Wysoko nad sobą zobaczył krążek

błękitnego nieba, tak czystego, tak pogodnego, że łzy znowu napłynęły mu do oczu.

Zlustrował szyb. Miał średnicę około pięciu stóp. Został wyciosany w kamieniu i od miejsca, w którym łączył się z celą, sięgał wysoko na jakieś sześćdziesiąt lub siedemdziesiąt stóp – trudno było to dokładnie ocenić.

Aillas odwrócił się. Poprzedni mieszkańcy celi wyskrobali na ścianach swe imiona i smutne wersety. Ostatni z nich wyskrobał na ścianie nad własnym szkieletem wszystkie imiona. Było ich dwanaście, jedno pod drugim. Aillas był jednak zbyt rozbity, aby zainteresować się czymś innym poza własną rozpaczą, i odwrócił się od ściany.

W celi nie było żadnych mebli. Zrzucona lina leżała pod szybem. W pobliżu kości dostrzegł zgniłe resztki innych lin, ubrań, starych skórzanych sprzączek i rzemieni.

Szkielet zdawał się go obserwować pustymi oczodołami. Aillas za-taszczył go na stertę kości i odwrócił czaszkę tak, by spoglądała na ścianę. Potem usiadł. Napis na ścianie po przeciwnej stronie przyciągnął jego uwagę: „Przybyszu! Witaj w naszym bractwie!”

Aillas jęknął i odwrócił wzrok. Tak zaczął się okres jego uwięzienia.



Król Casmir wysłał posłańca do Tintzin Fyral, który po pewnym czasie wrócił z tubą wykonaną z kości słoniowej. Pierwszy Herold wydobył z niej zwój pergaminu i przeczytał:

*Szlachetny Panie!*

*Jak zawsze, składam głębokie wyrazy uszanowania! Miło mi dowiedzieć się o twojej zbliżającej się wizycie. Zapewniam cię, że przyjęcie godne będzie twej królewskiej osoby i dostojnej świty, która, sugerowałbym, nie powinna liczyć więcej niż ośmiu ludzi, jako że na Tintzin Fyral brakuje niestety rozmachu Haidionu.*

*Raz jeszcze, moje serdeczne pozdrowienia!*

*Faude Carfilthiot, Księżę Doliny Evander*

Król Casmir natychmiast udał się trzema wozami sypialnymi na północ ze świtą liczącą dwudziestu ludzi i dziesięciu służących. Pierwszej nocy towarzystwo zatrzymało się w Twannic, zamku księcia Bal-dreda. Drugiego dnia przejechali na północ przez Troagh, chaos turni i przepaści. Trzeciego dnia przekroczyli granicę Południowych Ulflandów. Wczesnym popołudniem dotarli do miejsca przy Wrotach Cerbera. Urwiska zbliżały się do siebie tak, że droga znacznie się zwężyła, a w najwęższym miejscu była zagrodzona fortem Kaul Bocach. Garnizon forticy składał się z kilkunastu nędznych żołnierzy i ich dowódcy, który uznał, że ściąganie myta od podróżnych będzie się bardziej opłacało niż bandycki proceder.

Na wezwanie wartowników kawalkada z Lyonesse zatrzymała się, a żołnierze z garnizonu, mrużąc oczy i rzucając spod hełmów groźne spojrzenia, wylegli na mury. Sir Welty, rycerz, wyjechał do przodu.

– Stać! – zawołał dowódca. – Podajcie swe imiona, skąd pochodzicie, dokąd zmierzacie i w jakim celu, tak, byśmy mogli wyznaczyć zgodne z prawem myto.

– Jesteśmy szlachcicami w służbie króla Casmira z Lyonesse. Podążamy z wizytą do księcia Doliny Evander, na jego zaproszenie, i jesteśmy zwolnieni z wszelkich opłat!

– Poza królem Oriante i wielkim bogiem Mitrą nikt nie jest zwolniony od podatku. Musicie zapłacić dziesięć srebrnych florenów.

Sir Welty odjechał, aby naradzić się z Casmirem, który z zamyśleniem przyglądał się forticy.

– Zapłać – powiedział. – Policzymy się z tymi obdartusami w drodze powrotnej.

Sir Welty wrócił do fortu i pogardliwie rzucił dowódcy sakiewkę z monetami.

– Panowie, możecie przejechać.

Dwójkami oddział przejechał przez Kaul Bocach. Tej nocy wypoczywali na łące niedaleko południowego dopływu rzeki Evander.

W południe następnego dnia zatrzymali się przed Tintzin Fyral, który wieńczył stromą turnię, jak gdyby wyrastając z samej skały.

Król Casmir i ośmiu jego rycerzy wyjechało do przodu. Pozostali zawrócili i rozbili obóz nad Evander.

Od strony zamku nadjechał herold i zwrócił się do króla Casmira:

– Sir, przyjeżdżam z pozdrowieniami od księcia Carfilthiota i przekazuję ci jego prośbę, abyś udał się za mną. Pojedziemy drogą wijącą się na skalistym zboczku, ale nie ma powodu do niepokoju. Niebezpieczeństwo grozi tylko wrogom. Będę was prowadził.

Kiedy jechali, powiew wiatru przyniósł nieprzyjemny zapach rozkładającego się ciała. W

niezbyt dużej odległości rzeka Evander płynęła przez zieloną łąkę, na której wzniesiono w szeregu dwadzieścia pali. Na każdym z nich tkwiło białe ciało.

– Mało to zachęcający widok dla przybywających – powiedział król Casmir heroldowi.

– Sir, przypomina to wrogom księcia, że jego cierpliwość ma swoje granice.

Król Casmir wzruszył ramionami, podrażniony nie tak bardzo uczynkami Carfilhota, co samym odorem.

U stóp urwiska czekała warta honorowa, składająca się z czterech rycerzy w srebrnych ceremonialnych zbrojach. Casmir zaczął się zastanawiać, skąd Carfilhota znał tak dokładnie godzinę jego przybycia. Sygnał z Kaul Bocach? Szpieczy w Haidionie? Casmir, któremu nigdy nie udało się wprowadzić szpiegów do Tintzin Fyral, zasepił się na tę myśl.

Kawalkada wspinała się na zbocze ścieżką wykutą w skale, która ostatecznie, wysoko w górze, przez bramę z opuszczaną kratą wprowadziła ich na przedni dziedziniec zamku.

Pojawił się książę Carfilhota. Król Casmir zsiadł z konia. Objęli się w formalnym, powitalnym uścisku.

– Sir, mam wielką przyjemność gościć cię tutaj – powiedział Carfilhota. – Nie przygotowałem żadnych odpowiednich uroczystości, jednak nie z braku dobrej woli. Prawdę mówiąc, nie dałeś mi zbyt wiele czasu na przygotowania.

– Jestem w pełni zadowolony – odparł król Casmir. – Nie przyjechałem tu dla zabawy. Mam raczej nadzieję dokładniej rozważyć pewne sprawy, ku naszej wzajemnej korzyści.

– Doskonale! Są to sprawy, które interesują mnie równie głęboko. To twoja pierwsza wizyta w Tintzin Fyral, czyż nie?

– Widziałem zamek jako młody mężczyzna, ale ze znacznej odległości. Jest to istotnie potężna forteca.

– W rzeczy samej. Pod naszą kontrolą znajdują się cztery ważne szlaki: do Lyonesse, do Ys, przez ulflandzkie wrzosowiska i granicę, na północ do Dahautu. Jesteśmy samowystarczalni. Kazałem w litej skale wydrążyć głęboką studnię, sięgającą płynących wód podziemnych.

Mamy zapasy na lata oblężenia. Czterech mężczyzn może bronić drogi dojazdowej przeciwko tysiącowi lub milionowi. Uważam, że zamek jest nie do zdobycia.

– Jestem skłonny się zgodzić – powiedział Casmir. – Ale co z tym skalnym siodłem? Gdyby wrogie siły zajęły tamtą górę, mogłyby przypuszczalnie ustawić na nim maszyny oblężnicze.

Carfilhota odwrócił się w stronę wzniesień na północy, przyglądając się im przez chwilę. Z turnią, na której stał zamek, łączyło je skalne siodło. Carfilhota spoglądał na nie, jakby ujrzał je po raz pierwszy.

– Tak mogłoby się wydawać.

– Ciebie to jednak nie niepokoi?

Carfilhota zaśmiał się, pokazując kryształowo białe zęby.

– Moi wrogowie długo próbowali szczęścia na Przełamanej Grani. A jeśli chodzi o to górskie siodło, to mam w zanadrzu swoje małe sztuczki.

Król Casmir skinął głową.

– Widok jest wyjątkowo piękny.

– To prawda. W słoneczny dzień z mojej pracowni wysoko na wieży widzę całą dolinę, stąd aż do Ys. Ale teraz musisz się odświeżyć, a potem będziemy mogli kontynuować rozmowę.

Casmir został odprowadzony do komnat z oknami wychodzącymi na Dolinę Evander. Stąd widok rozciągał się na dwadzieścia mil łagodnego, zielonego krajobrazu aż hen po dalekie, błyszczące morze. Przez okna wpadało świeże powietrze i tylko chwilami dawało się odczuć lekki



zapach zgnilizny. Casmirowi przypomnieli się teraz martwi wrogowie Carfilhiota na łące poniżej, niemo tkwiący na palu.

Przez myśl przemknęła mu przelotna wizja – bladolica Suldrun przywieziona tu do Tintzin Fyral, oddychająca zepsutym powietrzem. Odepchnął od siebie to wyobrażenie. Ta sprawa była już przeszłością.

Dwóch czarnych mauretańskich chłopców o nagich torsach, w turbanach z czerwonego jedwabiu, czerwonych bufiastych spodniach i sandałach z wywiniętymi czubkami pomogło mu się wykapać, a następnie ubrali go w jedwabną bieliznę i beżową luźną tunikę, ozdobioną czarnymi rozetami.

Casimir wszedł do głównego hallu. Minął po drodze olbrzymią pta-szarnię, gdzie ptaki o najrozmaitszych kolorach upierzenia przeskakiwały z gałęzi na gałąź. W hallu czekał na niego Carfilhiot. Usiedli na otomanach i podano im zmrożone sorbety w srebrnych pucharach.

– Doskonałe – powiedział Casimir. – Być twoim gościem, to sama przyjemność.

– Przyjmuję cię jednak w dosyć nieformalny sposób i mam nadzieję, że nie zanudzisz się na zamku – wymruczał Carfilhiot.

Casimir odstawił puchar z sorbetem.

– Przybyłem, aby przedyskutować z tobą nader istotne sprawy. -Spojrzał na służących. Carfilhiot odesłał ich skinieniem ręki.

– Mów, proszę.

Casimir rozsiadł się wygodnie.

– Król Granice wysłał ostatnio misję dyplomatyczną na jednym ze swych nowych statków wojennych. Popłynął on do Blalocu, Pomperolu, Dahautu, Cluggach w Godelii i do Ys. Emisariusze obrzucali mnie oszczerstwami i proponowali sojusz przeciwko mnie. Odpowiedzią było zaledwie nikłe poparcie, jeśli w ogóle ktokolwiek ich poparł. – Tu Casimir uśmiechnął się chłodno. – Nie starałem się skrywać swych intencji. Każdy z nich ma nadzieję, że inni rozegrają za niego bitwę. Każdy chce, aby jego królestwo pozostawiono w spokoju. Jestem przekonany, że Granice nie oczekiwał niczego innego. Chciał zapewnić sobie jedynie przewodnictwo i panowanie namorzach. To udało mu się wyjątkowo. Jego statek zatopił okręt skalradzki, co od razu zmienia nasz punkt patrzenia na Skalradów. Nie można ich nadal uważać za niepokonanych, potęga morska Troicinetu wzrosła. Zapłacili za to śmiercią jednego z dowódców i zaginięciem jednego z dwóch książąt z rodziny królewskiej, którzy znajdowali się na pokładzie. Dla mnie wszystko teraz jest jasne i wiem, co robić. Troicinet obrósł w siłę. Muszę zadać im odpowiedni cios, który pomiesza im szyki. Najbardziej oczywistym miejscem są Południowe Ulflandy, skąd mogę zaatakować Skalradów w Północnych Ulflandach, zanim umocnią tam zdobyte pozycje. Kiedy już zdobędę twierdzę Poelitzet, Dahaut zdany będzie na moją łaskę. Audry nie może walczyć ze mną jednocześnie od zachodu i od południa. Najpierw więc zająć muszę Południowe Ulflandy, wykorzystując wszelkie możliwe udogodnienia, przy czym zakładałbym twoją współpracę. – Casimir przerwał.

Carfilhiot zamyślony spoglądał w ogień i nie odpowiedział od razu.

Cisza zrobiła się niezręczna. Carfilhiot poruszył się i powiedział:

– Wiesz o tym, że możesz zawsze liczyć na moją dobrą wolę. Nie mam jednak pełnej swobody w podejmowaniu decyzji i muszę postępować roztropnie.

– Tego właśnie oczekuję – powiedział Casimir. – Najwyraźniej jednak nie masz na myśli twego nominalnego suwerena, króla Criante.

– W żadnym razie.

– Kim więc są, jeśli wolno mi o to spytać, ci wrogowie, których tak zawzięcie zwalczasz?

Carfilhiot machnął ręką.

– Ten smród jest przeraźliwy, zgadzam się. To są te łądaki z wrzosowisk. Pośledni baronowie, dziesięcioakrowi lordowie, niewiele lepsi od bandytów, tak że uczciwy człowiek drży o swoje życie, wybierając się na jednodniowe polowanie pomiędzy wzgórzami. W zasadzie poza Doliną Evander w całych Południowych Ulflandach panuje bezprawie. Biedny Oriante nie jest w stanie zapanować nad własną żoną, a co dopiero nad królestwem. Przywódcy klanów mieniają się arystokratami i budują masywne twierdze, z których najeżdżają swoich sąsiadów. Próbowałem zaprowadzić tu porządek – niewdzięczne zadanie. Zrobiono ze mnie despotę i ogra. Ci brutale ze wzgórz zachowują się najlepiej, gdy traktuje się ich jak zwierzęta: krótko przy pysku i ostro batem.

– To właśnie ci wrogowie są przyczyną twojej przezorności?

– Nie. – Carfilhiot wstał, podszedł do kominka i zaczął sobie ogrzewać ręce. Spojrzał na Casmira z chłodną beznamiętnością. – Mówiąc szczerze, fakty są następujące. Studiuję arkana magii. Moim nauczycielem jest wielki Tamurello, dlatego też jestem zobowiązany w sprawach polityki postępować zgodnie z jego zaleceniami. Tak właśnie prezentuje się moja sytuacja.

Casmir wpatrywał się mu prosto w oczy.

– Kiedy mogę oczekiwać twojej odpowiedzi?

– Po co czekać? – spytał Carfilhiot. – Wyjaśnijmy tę sprawę od razu. Chodź.

Weszli na wieżę, do pracowni Carfilhiota. Casmir nagle ucichł, był cały spięty i rozbudziła się jego ciekawość.

Wyposażenie Carfilhiota było żenująco ubogie. W przeciwieństwie do niego nawet drobiazgi Casmira robiły imponujące wrażenie. Być może, przemyślał Casmir, Carfilhiot trzymał większą część sprzętów w innych gabinetach.

Najważniejszym przedmiotem w pokoju była duża mapa Hybrazji sporządzona z różnych gatunków drewna. Była największa ze wszystkiego, co się tam znajdowało. Na desce z tyłu mapy wyrzeźbiona była twarz, która pomimo nieco topornych i nie dopracowanych rysów miała przypominać oblicze Tamurella. Artysta nie zadał sobie trudu, aby się mu przypodobać. Czoło pęczniało nad wyłupiastymi oczami, policzki i usta pomalowane były na szczególnie ostry czerwony kolor. Carfilhiot rozmyślnie niczego nie tłumaczył. Pociągnął za wyrzeźbione ucho.

– Tamurello! Wysłuchaj tego, co chce ci powiedzieć Faude Carfilhiot! – Dotknął ust. – Przemów, Tamurello!

Z drewnianym jękiem usta powiedziały:

– Słyszę i mówię. Carfilhiot dotknął oczu.

– Tamurello! Spójrz na mnie i króla Casmira z Lyonesse. Zastanawiamy się nad użyciem jego wojsk w Południowych Ulflandach, aby zdusić nieporządek i rozciągnąć na te ziemie mądre panowanie króla

Casmira. Rozumiemy twoją politykę nieingerencji, ale mimo to prosimy cię o radę. Drewniana twarz przemówiła:

– Nie radzę wprowadzać do Południowych Ulflandów żadnych wojsk, a szczególnie armii lyoneskich. Królu Casmirze, chwała ci za twe plany, ale doprowadziłbyś do niepokoju w całej Hybrazji, włączając do tego Dahaut, a to ściągnęłoby na mnie kłopoty. Moja rada jest następująca. Lepiej wróć do Lyonesse i zawrzyj pokój z Troicinetem. Carfilhiocie, tobie radzę, abys mądrze wykorzystał potęgę Tintzin Fyral do przeciwstawienia się najazdom na Południowe Ulflandy.

– Dziękujemy – odezwał się Carfilhiot. – Z pewnością weźmiemy sobie twoje uwagi do serca.

Casmir nie powiedział ani słowa. Zeszli razem do salonu, gdzie przez godzinę rozmawiali grzecznie o błahych sprawach. Następnie Casmir oświadczył, że chciałby się udać na spoczynek, a

Carfilhiot życzył mu dobrej nocy.

Rano król Casmir wstał wcześniej, podziękował Catfilhiotowi za gościnę i bez dalszych ceregieli odjechał.

W południe dojechali do Kaul Bocach. Król Casmir z połową swoich rycerzy przejechał zapłaciwszy osiem srebrnych florenów. Parę jardów dalej zatrzymali się. Reszta oddziału zbliżyła się do Kaul Bocach. Wyszedł do nich dowódca fortecy.

– Dlaczego nie przejechaliście razem? Będziecie teraz znowu musieli zapłacić osiem florenów.

Sir Welty bez pośpiechu zsiadł z konia. Złapał kapitana za kaftan i przyłożył mu nóż do gardła.

– Kim chcesz być: martwym Ulflandczykiem z podciętym gardłem czy żywym żołnierzem na służbie króla Casmira z Lyonesse?

Kapitanowi spadł metalowy hełm, a jego łysa, ogorzała głowa podskakiwała, kiedy wykręcał się i rzucał na wszystkie strony. Wysapał:

– To jest zdrada! Gdzie wasz honor?

– Spójrz tam, widzisz króla Casmira? Czyżbyś oskarżał go o brak honoru, pozbawiwszy go uprzednio królewskich pieniędzy?

– Oczywiście, że nie. Ale...

Sir Welty szturchnął go nożem.

– Rozkaż ludziom wyjść na przegląd. Będziesz się smażył na wolnym ogniu, jeśli przelana zostanie kropla krwi inna niż twoja własna.

Kapitan próbował ostatecznych argumentów.

– Oczekujesz, że oddam naszą niezdobytą twierdzę w wasze ręce bez słowa protestu?

– Protestuj, jeśli ci to odpowiada. W zasadzie, pozwolę ci wrócić do środka. Wtedy znajdziecie się w oblężeniu. Dostaniemy się na te urwiska i zwalimy na mury wielkie głazy.

– Możliwe, ale trudne do wykonania.

– Wepchniemy do przesmyku płonące pnie. Będą się kopcić i tlić, a kiedy pożar was dosięgnie, upieczecie się jak gęsi. Czy masz zamiar przeciwstawiać się potędze Lyonesse?

Kapitan odetchnął głęboko.

– Oczywiście, że nie! Jak oświadczyłem na samym początku, z przyjemnością przejdę na służbę najłaskawszego króla Casmira! Hej, strażę! Wychodzić na przegląd!

Wszyscy żołnierze z ponurymi minami, z niedbale naciśniętymi na głowy hełmami wyszli na zewnątrz i stanęli, rzucając dookoła groźne spojrzenia.

Casmir przyjrzał im się z pogardą.

– Łatwiej byłoby pościnać im głowy.

– Nie obawiaj się – wrzasnął kapitan. – W typowych warunkach jesteśmy doskonałym oddziałem!

Casmir wzruszył ramionami i odwrócił się. Opłaty ściągnięte na przejściu załadowano na jeden z wozów. Sir Welty i czternastu rycerzy pozostało w fortecy jako tymczasowy garnizon, a król Casmir przygnębiony wrócił do miasta Lyonesse.

W pracowni na wieży w zamku Tintzin Fyral Carfilhiot raz jeszcze przywołał Tamurella.

– Casmir odjechał. Stosunki pomiędzy nami są w najlepszym razie na granicy formalnej grzeczności.

– Najlepiej jak być może! Królowie, podobnie jak dzieci, mają skłonności do oportunistów.

Hojność tylko ich psuje. Uprzejmość uznają za słabość i starają się ją wykorzystać.

– Casmir ma znacznie mniej przyjemne usposobienie. Ma strasznie ograniczone horyzonty

myślów. Tylko w mojej pracowni zachowywał się bardziej spontanicznie. Interesuje się czarami i jego ambicje zmiernają również w tym kierunku.

– Jeśli chodzi o Casmira to stara się na próżno. Brakuje mu cierpliwości, a jest w tym bardzo podobny do ciebie.

– Możliwe, że to prawda. Zależy mi na tym, aby przejść już pierwszy stopień wtajemniczenia.

– Sytuacja się nie zmieniła. Poruszanie się po polu skojarzeń i wyobraźni musi się stać twoją drugą naturą. Na jak długo możesz stworzyć w umyśle obraz, potem zmieniać jego kolory zgodnie z twoją wolą, a utrzymywać niezmiennie kontury?

– Nie jestem w tym doskonały.

– Obrazy w twoim umyśle powinny być niewzruszone jak skały. Po otrzymaniu krajobrazu musisz być w stanie policzyć liście na drzewach, potem przeliczyć je raz jeszcze.

– To bardzo trudne ćwiczenie. Dlaczego nie mogę po prostu korzystać z aparatury magicznej?

– Aha! A skąd weźmiesz aparaturę? Mimo mej miłości do ciebie, nie mogę się rozstać z żadnym z moich ciężko zdobytych instrumentów.

– Mogę jednak zdobyć nową aparaturę.

– Czyżby? Z przyjemnością poznam tę nieprzeniknioną tajemnicę.

– Ale zgodzisz się, że jest to możliwe.

– Ale trudne do wykonania. Chochliki piaskowe nie są już tak niewinne ani liczne, ani usłużne...

Ech! Ha! – Po tym nagłym zawołaniu Tamurello przemówił zmienionym głosem. – Przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Jest tak piękny, że niemal nie ośmielałem się o nim myśleć.

– Powiedz, o czym pomyślałeś.

Tamurello milczał jak człowiek pogrążony w głębokich rozmyślaniach. W końcu powiedział:

– To niebezpieczny pomysł. Nie mógłbym ani doradzać, ani sugerować wprowadzenia go w życie!

– Powiedz mi, o czym myślisz!

– Nawet tyle wystarczy, aby zaczęło to na ciebie oddziaływać!

– Doprawdy, musi to być niebezpieczny pomysł.

– To prawda. Przejdźmy do bezpieczniejszych tematów. Mógłbym rzucić taką złośliwą uwagę: jednym ze sposobów zdobycia magicznej aparatury jest, mówiąc oględnie, obrabowanie innego czarodzieja, którego można potem skutecznie zniechęcić do odwetu na grabieżcy, szczególnie, jeśli nie będzie wiedział, kto nim był.

– Jak na razie rozumiem cię doskonale. Co dalej?

– Przypuśćmy, że ktoś chciałby obrabować czarodzieja. Kogo wybrałby na ofiarę? Murgena? Mnie? Baibalidesa? Nigdy. Konsekwencje takiego czynu byłyby pewne, szybkie i okrutne. Należałoby poszukać nowicjusza, nadal wprawiającego się w swym rzemiośle, najdogodniej z dużą ilością instrumentów, tak żeby kradzież się opłacała. Ofiarą powinien również być ten, po kim i tak można by spodziewać się wroga w przyszłości. A czas na osłabienie, nawet zniszczenie tej osoby nadszedł właśnie teraz! Są to oczywiście czysto hipotetyczne sformułowania.

– Aby uzupełnić tę hipotetyczną wizję do końca, kto mógłby być taką osobą?

Tamurello nie mógł się zdobyć na wymówienie imienia.

– Nawet czyste hipotezy i ich hipotetyczne następstwa powinny być dogłębnie przebadane i przygotowane wszelkie możliwe działania zastępcze. Porozmawiamy więcej na ten temat później, a na razie nie wspominaj o tym nikomu!



Shimrod, wychowanek czarodzieja Murgena, wcześniej przejawiał oznaki niezwyklej wewnętrznej siły, a po pewnym czasie wydostał się spod kontroli Murgena i usamodzielniał się.

Nie przystawali oni do siebie umysłami, może łączyła ich jedynie fachowość, przenikliwość i szczególnie nieograniczona niczym wyobraźnia, co u Shimroda przejawiało się jako specyficzne poczucie humoru i czasami niemal przykra sentymentalność.

Zewnętrznie byli do siebie jeszcze mniej podobni. Murgena widywano jako potężnego siwowłosego mężczyznę w trudnym do określenia wieku. Shimrod był młodym mężczyzną o zupełnie niewinnym obliczu. Był szczupły, miał długie nogi, jasne kręcone włosy i orzecho-woszare oczy. Miał pociągłą twarz, lekko zapadnięte policzki i szerokie usta o dziwnym grymasie.

Po czasie rozmaitych wędrówek Shimrod objął w posiadanie Trildę, posiadłość na błoniach Lally w Puszczy Tantrevalles, wcześniej zajmowaną przez Murgena. Osiedlił się tam w celu poważnych studiów nad magią, które miał zamiar prowadzić za pomocą ksiąg, znaków runicznych oraz rozmaitych instrumentów, które Murgen oddał mu pod opiekę.

Trilda była doskonałym miejscem na intensywne studia. Powietrze pachniało świeżym listowiem. W dzień świeciło słońce, w nocy księżyc i gwiazdy. Żyło się tam w niemal zupełnej samotności. Zwykli ludzie rzadko wypuszczali się tak głęboko w puszcę. Trilda zbudowana została przez Hilaria, pomniejszego czarodzieja o dziwnych upodobaniach. Trudno było w domu znaleźć prostokątny pokój, a wszystkie okna wychodzące na łąkę były wypukłe i w najrozmaitszych kształtach. Stromy dach, a razem z nim sześć kominów, jawił się jako kompozycja niezliczonych mansardowych okienek, wieżyczek i ostrych krawędzi. Na najwyższej krawędzi dachu tkwił żelazny kurek, wskazujący kierunek wiatru, a czasami służący również jako postrach dla duchów.

Murgen zbudował zaporę na strumyczku i tak powstał mały stawek. Woda przelewająca się przez zaporę poruszała kołem przy pracowni, które napędzało kilkanaście różnych urządzeń, włączając w to miechy do paleniska w kuźni.

Czasami na skraj łąki przychodziły elfy i inne leśne istoty i przyglądały się Shimrodowi wychodzącemu na spacer, zostawiały go jednak w spokoju z obawy przed czarami.

Mijały pory roku. Jesień przeszła w zimę. Płatki śniegu wolno opadały z nieba, pokrywając łąkę i tuląc wszystko w ciszy. Shimrod dokładał drewna do kominka i zaczął intensywne studia nad *Rozważaniami i wyjątkami* Balberry'ego. Było to obszerne opracowanie ćwiczeń, metod, form i wzorów napisane w starożytnym, a może nawet wymyślonym języku. Używając soczewek, zrobionych z oka chochlika piaskowego, Shimrod czytał te inskrypcje jak normalne litery.

Shimrod spożywał posiłki na czarodziejskim obrusie, który rozłożony na stole zapełniał się wyśmienitymi potrawami. Dla rozrywki uczył się gry na lutni, co doceniały elfy z Tuddifot Shee na przeciwnym krańcu błoni Lally. Kochały one muzykę, choć bez wątpienia z niecných pobudek. Elfy budowały skrzypce, gitary i piszczałki o doskonałej jakości, ale ich muzyka w najlepszym wydaniu rozbrzmiewała chaotyczną słodyczą, jak brzmienie odległych wietrznych kurantów. W najgorszym wydaniu były to brzękliwe melodie, którym daleko było do harmonii, jednakże nie byli w stanie odróżnić tego od swej najlepszej muzyki. Pod tym względem były to najbardziej próżne istoty. Kiedy tylko przechodzący niedaleko człowiek przez przypadek usłyszał, jak grają elfowi muzycy, zaraz niezmiennie pytali go, co myśli o ich muzyce. Biada nieokrzesanemu prostakowi, który odważyłby się powiedzieć, co naprawdę o niej myśli. Wprawiano go w taniec, trwający bez przerwy tydzień, dzień, godzinę albo sekundę. Jeśli jednakże słuchacz oświadczył, że jest zachwycony, równie dobrze mógł zostać nagrodzony przez próżnego i łasego na pochwały elfa. Często, kiedy Shimrod grał, widział

małe i duże elfy\* siedzące na płocie, opatulone w zielone płaszcze, czerwone szale i spiczaste kapelusze. Jeśli okazywał, że zauważa ich obecność, chwaliły go głośno i prosiły, aby grał więcej. Czasami elfy, grające na rogach, chciały się do niego przyłączyć. Za każdym razem Shimrod grzecznie odmawiał. Gdyby pozwolił na taki duet, być może musiałyby grać wiecznie, dzień, noc, chodząc po łące, pośród drzew i na nich, przeciskając się bez ładu i składu przez cierniste krzewy i gęste zagajniki, włócząc się po wrzosowiskach i podziemnych grotach. \*\*

\* Elfy nie mają jednego, określonego rozmiaru. W kontaktach z człowiekiem często przybierały rozmiary dzieci, rzadko bywały większe. Przyłapanie niespodziewanie, rzadko miawały więcej wzrostu niż parę cali. Dla nich samych wzrost nie miał najmniejszego znaczenia. Patrz Glosariusz II.

\*\*Elfy podobnie jak ludzie są złośliwe, zdradliwe, zazdrosne i porywcze. W równej mierze jednak brakuje im ludzkiego poczucia współczucia, żalu, dobroci. Poczucie humoru elfów nigdy nie wzbudza śmiechu -eh ofiary.

Sekret polegał na tym, o czym Shimrod dobrze wiedział, że nie należało przyjmować oferty złożonej przez elfy, ale zawsze kończyć układy na własnych warunkach, w przeciwnym wypadku mogło się to tragicznie skończyć.

Jednym ze słuchaczy Shimroda była piękna dziewczyna o długich, spływających na ramiona kasztanowych włosach. Shimrod próbował ją zwabić do domu słodyczami. Pewnego dnia podeszła bliżej i przyglądała się mu z zaciśniętymi usteczkami. W oczach jej błyskały złośliwe ogniki.

– A po cóż to chciałbyś, abym weszła do środka twego wielkiego domu?

– Czy mam być szczery? Mam nadzieję, że mógłbym się z tobą kochać.

– Ach! Ale to jest słodycz, której nigdy nie powinieneś spróbować, gdyż mógłbyś oszaleć i chodzić za mną wszędzie, na próżno błagając.

– Czy naprawdę zawsze błagałbym na próżno? A ty byś mi bezlitośnie odmawiała?

– Być może.

– A co by się stało, gdybyś odkryła, że ciepła ludzka miłość jest przyjemniejsza od tych waszych elfowych ptasiopodobnych zbliżeń? Ciekawe, kto chodziłby wtedy za kim z wiecznymi błaganiami? Może chora z miłości panienka błagałaby?

Dziewczyna zrobiła zdziwioną minę.

– Coś takiego nigdy nie przyszło mi do głowy.

– Wejść więc do środka i zobaczymy. Najpierw naleję ci wina z granatów. Potem wyślizgniemy się z ubrań i ogrzejemy się przy kominku.

– A potem?

– Potem przeprowadzimy test, żeby sprawdzić, czyja miłość jest gorętsza.

Dziewczyna wydeła usta, udając rozniewanie.

– Nie powinnam wdawać się w coś takiego z nieznanym.

– Ale ja nie jestem ci obcy. Nawet teraz, kiedy na mnie patrzysz, topniejesz z miłości.

– Boję się. – Szybko się oddaliła i Shimrod nigdy jej już więcej nie widział.

Przyszła wiosna. Śnieg stopniał i kwiaty wystroiły łąkę. W pewien słoneczny poranek Shimrod wyszedł z domu i spacerował po łące, ciesząc się pięknem kwiatów, jaskrawozielonymi liśćmi, śpiewem ptaków. Odkrył nagle ścieżkę wiodącą na północ, w głąb lasu, której nigdy nie widział.

Poszedł nią i wnet znalazł się pomiędzy dębami o grubych pniach i powykręcanych gałęziach. Ścieżka prowadziła zakolami, wzniesieniami i dolinkami, przez leśne polanki, na których rosły srebrne brzozy i błękitne chabry. Idąc dalej przez las, pod nawisem czarnych skał Shi-mrod usłyszał lamenty i zawodzenia, przerywane wibrującym, dudniącym odgłosem. Pobiegnął czym prędzej pomiędzy drzewami i wśród skał zobaczył czarno-zielony staw. Na brzegu stał długobrody troll i

olbrzymią maczugą tłukł wątego futerkowego stwora, rozwieszzonego jak futrzak na linie pomiędzy dwoma drzewami. Z każdym uderzeniem stworzenie wołało o litość:

– Przestań! Nie rób tego więcej! Łamiesz mi kości! Nie masz w sobie ani odrobiny litości? Mylisz mnie z kimś innym, z całą pewnością! Mam na imię Grofinet! Przestań! Zastanów się, co robisz!

Shimrod ruszył do przodu.

– Przestań go bić!

Troll miał pięć stóp wysokości, był barczysty i ciężki, ale aż podskoczył zaskoczony. Nie miał szyi. Jego głowa spoczywała bezpośrednio na ramionach. Miał na sobie brudny kaftan i spodnie, a skórzana pochewka ochraniała jego wielkie genitalia.

Shimrod statecznym krokiem szedł przed siebie.

– Dlaczego bijesz tego biednego Grofineta?

– A dlaczego robi się różne inne rzeczy? – warknął troll. – Bo ma to swój cel! Dla poczucia dobrze wykonanej pracy!

– Niezła odpowiedź, ale pozostawia wiele innych kwestii bez odpowiedzi – powiedział Shimrod.

– Bardzo możliwe, ale to bez znaczenia. Znikaj stąd. Mam zamiar wymłócić tego bękarta zrodzonego z dwóch złych snów.

– To wszystko jest jedną wielką pomyłką! – darł się Grofinet. – I musi zostać wyjaśnione, zanim szkody będą nieodwracalne! Spuść mnie na ziemię, gdzie będziemy mogli porozmawiać spokojnie i bez uprzedzeń.

Troll uderzył go maczugą.

– Cisza!

Grofinet szalenie zwinnym ruchem uwolnił się z więzów. Biegał po polance na wielkich stopach, podskakując i robiąc uniki, a troll gonił go z maczugą w ręce. Shimrod zbliżył się i wepchnął trolla do stawu. Na powierzchnię wypłynęło kilka oleistych bąbli i za chwilę staw ponownie był gładki i spokojny.

– Sir, to było zgrabne pociągnięcie – powiedział Grofinet. – Jestem twoim dłużnikiem!

Shimrod skromnie odparł:

– Doprawdy, to nic wielkiego.

– Przykro mi, ale jestem innego zdania.

– Rzeczywiście – powiedział Shimrod. – Odezwałem się, nie pomyślawszy wcześniej, a teraz cię pożegnam.

– Jedną chwilkę, sir. Mogę zapytać, wobec kogo mam dług wdzięczności?

– Jestem Shimrod. Mieszkam w Trudzie, jakąś milę stąd przez las.

– Zaskakujące! Niewielu przedstawicieli ludzkiej rasy odwiedza samotnie te okolice.

– Jestem czarodziejem – powiedział Shimrod. – Elfy i inne istoty mnie unikają. – Zmierzył Grofineta wzrokiem od góry do dołu. – Muszę przyznać, że nigdy nie widziałem nikogo takiego jak ty. Kim jesteś?

Grofinet odparł dość wyniośle:

– Jest to temat, który rzadko jest poruszany przez porządnych ludzi.

– Och, wybacz! Nie chciałem cię urazić. Raz jeszcze żegnam się z tobą.

– Odprowadzę cię do Trildy – powiedział Grofinet. – To niebezpieczne okolice. Zrobię dla ciebie choć tyle.

– Jak sobie życzysz.



Wrócili na błonia Lally. Shimrod zatrzymał się i rzekł:

– Nie musisz iść dalej. Do Trildy mam już tylko parę kroków.

– Kiedy szliśmy przez las – odparł Grofinet – zastanawiałem się. Uświadomiłem sobie, jak wielki mam wobec ciebie dług wdzięczności.

– Nie mów nic więcej – oświadczył Shimrod. – Cieszę się, że mogłem ci jakoś pomóc.

– Łatwo ci to mówić, ale na moim honorze spoczywa ogromny ciężar! Poczuję się do tego, by oświadczyć, że oddaję się tobie na służbę, dopóki nie wyrównam rachunku. Nie odmawiaj. Nie dam się ubłagać!

Jedyne, co będziesz musiał mi zapewnić, to jedzenie i dach nad głową. Wezmę na siebie odpowiedzialność za zajęcia, które mogłyby cię rozpraszać, a nawet mógłbym wykonywać czary o mniejszym znaczeniu.

– Ach! Czy również jesteś czarodziejem?

– Zaledwie amatorem w tej sztuce. Będiesz mógł mnie nauczyć czegoś więcej, jeśli będziesz chciał. Jakby nie było, dwa wyszkolone umysły są lepsze niż jeden. Nie zapominaj też o bezpieczeństwie. Kiedy spogląda się uważnie przed siebie, zostawia się tyły nie strzeżone.

Shimrod istotnie nie mógł podważyć filozofii Grofineta i tak został on mieszkańcem jego domu.

Na początku poczynania Grofineta wpływały na niego rozpraszające Dziesięć razy w ciągu pierwszego tygodnia Shimrod był bliski odesłania Grofineta, ale zawsze wycofywał się wobec jego zauważalnych zalet. Nie burzył on ustalonego porządku dnia i nie ruszał żadnych przedmiotów należących do Shimroda. Zawsze był wyjątkowo porządny, nigdy nie miał złego humoru. W rzeczy samej tym, co rozpraszało Shimroda, był niezwykle temperament Grofineta. Myśli lekko przelatywały mu przez głowę, był pełen entuzjazmu i zapału do nowych rzeczy. Przez pierwsze dni zachowywał się z przesadną nieśmiałością i trzymał się na dystans. Do tego stopnia, że kiedy Shimrod wkładał cały wysiłek w zapamiętanie nieskończonej listy Porządku Zmienności, Grofinet snuł się po domu, rozmawiając z nieistniejącymi albo niewidzialnymi towarzyszami.

Wkrótce zniecierpliwienie Shimroda zamieniło się w rozbawienie. Złapał się na tym, że wyczekuje kolejnego głupiego wybryku Grofineta. Pewnego dnia zgonił muchę ze stołu. Grofinet natychmiast stał się zawziętym wrogiem much, ciem, pszczoł i innych uskrzydłych owadów, nie pozwalając im latać po domu. Nie mogąc ich złapać, otwierał szeroko drzwi i wyganiał pojedyncze owady na zewnątrz, gdy tymczasem kilkanaście innych wlatywało do środka. Shimrod zauważył wysiłki Grofineta i nałożył na Trildę mały czar, który zmuszał każdego latającego owada do opuszczenia domu w niezwykle pośpiechu. Grofinet był bardzo zadowolony ze swego sukcesu.

W końcu, znudzony napawaniem się zwycięstwem nad insektami, wynalazł sobie nowe zajęcie. Spędził kilkanaście dni na budowaniu skrzydeł z białego i żółtego jedwabiu, które umocował paskami do swego chudego ciała. Shimrod obserwował go przez okno, jak biegał po łące, machając skrzydłami i odbijając się w powietrze, mając nadzieję, że zacznie latać jak ptak. Kusiło Shimroda, żeby unieść Grofineta za pomocą czaru i pozwolić mu podryfować w powietrzu. Zdusił jednak w sobie ten kaprys, nie chcąc tym zachęcić Grofineta do dalszych niebezpiecznych wyczynów. Później tego samego popołudnia Grofinet spróbował wyskoczyć bardzo wysoko w powietrze i wpadł do stawu. Elfy z Tuddifot Shee zanosiły się od śmiechu, kulając się po ziemi i machając nogami. Grofinet odrzucił skrzydła z obrzydzeniem i pokuśtykał z powrotem do Trildy.

Następnie oddał się zgłębianiu wiedzy o piramidach egipskich.

– Są wspaniałe i przynoszą zaszczyt faraonom – oświadczył.

– Tak jest w istocie.

Następnego ranka Grofinet dalej męczył ten temat.

- Te potężne monumenty są fascynujące w swej prostocie.
- To prawda.
- Zastanawiam się, jakich dokładnie są rozmiarów. Shimrod wzruszył ramionami.
- Po sto jardów z każdej strony, mniej więcej, tak przypuszczam. Później zauważył, jak Grofinet krokami wyznaczał wymiary piramid

na błoniach Lally. Zawołał do niego:

- Co robisz?
- Nic, co miałoby szczególne konsekwencje.

– Mam nadzieję, że nie zamierzasz wybudować piramidy! Zasłoniłaby światło słoneczne!  
Grofinet zatrzymał się.

– Chyba masz rację. – Niechętnie odstąpił od swoich planów, ale szybko znalazł sobie nowy przedmiot zainteresowań.

Gdy wieczorem Shimrod wszedł do salonu, by zapalić lampy, Grofinet wyszedł z cienia. No więc, sir Shimrodzie, czy widziałeś mnie, jak przechodziłeś?

Shimrod był myślami zupełnie gdzie indziej, a Grofinet stał poza zasięgiem jego wzroku.

– Prawdę mówiąc – powiedział Shimrod – nie zauważyłem cię. Wobec tego – rzekł Grofinet – opanowałem sztukę bycia niewidzialnym!

– Cudownie! Na czym polega ten sekret?

– Siłą woli czynię się niewidzialnym!

– Muszę nauczyć się tej metody.

– Kluczem do sukcesu jest czysty i prosty wysiłek umysłowy – powiedział Grofinet, zaraz jednak dorzucając ostrzeżenie. – Nie bądź rozczarowany, jeśli ci się nie uda. Jest to niezwykle trudne.

– Zobaczymy.

Następnego dnia Grofinet dokonywał eksperymentów przy pomocy swej nowej umiejętności. Shimrod wołał go:

– Grofinet! Gdzie jesteś? Czy znowu jesteś niewidzialny?

Po czym Grofinet wychodził z kąta jakiegoś pokoju z tryumfującym obliczem.

Pewnego dnia zawiesił się pod sufitem w pracowni na dwóch paskach i wisiał jak w hamaku. Shimrod, wchodząc do pracowni, może i niczego by nie zauważył, ale na środku pokoju zwisał zakończony kłębkim brązowego futra ogon, który Grofinet zapomniał podciągnąć do góry.

Grofinet w końcu zdecydował się zrezygnować z wszystkich wcześniejszych ambicji i zostać gorliwym czarodziejem. W tym celu często przebywał w pracowni i obserwował Shimroda podczas jego badań. Niestety, straszliwie bał się ognia. Kiedy tylko Shimrod, z tego czy innego powodu, rozniecał mały płomień, Grofinet wyskakiwał w panice z pokoju, aż w końcu ostatecznie zrezygnował z zostania czarodziejem.

Zbliżała się noc przesilenia letniego. W tym samym czasie Shimro-da, nawiedziła seria intensywnych i wyrazistych snów, które nawet zakłócały jego nocny wypoczynek. Sceneria zawsze była taka sama. Taras z białych kamieni, wychodzący na piaszczystą plażę, i spokojne błękitne morze. Taras otaczała marmurowa balustrada, a łagodna fala pienila się wzdłuż brzegu.

W pierwszym śnie Shimrod opierał się o balustradę, beztrudnie przyglądając się morzu. Plażą nadchodziła ciemnowłosa dziewczyna w sukni bez rękawów, z miękkiego szarobrazowego materiału. Kiedy podeszła bliżej, Shimrod zobaczył, że była smukła i niewiele wyższa niż inne dziewczyny. Czarne włosy, ściągnięte ciemnoczerwoną opaską, sięgały niemal jej ramion. Jej ręce i gołe stopy

były pełne wdzięku. Miała jasnooliwkową karnację. Dla Shimroda była niezwykle piękna, choć w ten szczególny sposób, który zawierał w sobie zarówno tajemniczość, jak i rodzaj prowokacji, co emanowało z głębi jej natury. Kiedy go mijiała, odwróciła się i zadumana obdarzyła go półuśmiechem, który nie był ani zaproszeniem, ani zakazem. Potem poszła dalej plażą, aż zniknęła mu z oczu. Shimrod poruszył się i obudził.

Drugi sen był taki sam, z tą różnicą, że Shimrod zawołał dziewczynę i zaprosił ją na taras. Zawahała się, z uśmiechem potrząsnęła głową i odeszła.

Trzeciej nocy zatrzymała się i przemówiła:

– Dlaczego mnie wołasz, Shimrodzie?

– Chcę, żebyś się zatrzymała i przynajmniej ze mną porozmawiała. Dziewczyna odmówiła.

– Myślę, że lepiej nie. Niewiele wiem o mężczyznach i boję się ich, a poza tym, kiedy cię mijam, nachodzą mnie dziwne odczucia.

Czwartej nocy dziewczyna ze snu przystanęła, zawahała się, a potem powoli weszła na taras. Shimrod podszedł, chciał się z nią przywitać, ale ona stanęła w miejscu, a on przekonał się, że nie może podejść do niej bliżej, co w kontekście całego snu nie wydawało się nienaturalne. Zapytał:

– Porozmawiasz dzisiaj ze mną?

– Nie mam ci nic do powiedzenia.

– Dlaczego spacerujesz po plaży?

– Bo mi to sprawia przyjemność.

– Skąd przychodzisz i gdzie idziesz?

– Istnieję w twoich snach. Powstaję i znikam w twoich myślach.

– Nawet jeśli jesteś tylko marzeniem sennym, podejź tu bliżej i zostań ze mną. Skoro to mój sen, musisz być mi posłuszna.

– Sny wcale takie nie są. – Kiedy się odwracała, spojrzała na niego przez ramię i, kiedy się obudził, nadal pamiętał dokładnie szczególny wyraz jej twarzy. Była pod działaniem czaru! Ale w jakim celu?

Shimrod wyszedł na łąkę, chcąc dokładnie przemyśleć całą sprawę. Kuszono go w słodki i subtelny sposób, co miało niewątpliwie wplątać go w jakieś kłopoty. Kto mógłby rzucić na niego taki czar? Pomyślał o wszystkich osobach, które mogły go znać, ale żadna z nich nie miała raczej powodu, żeby mieć go przy pomocy tak pięknej dziewczyny.

Wrócił do pracowni i próbował czaru przepowiedni, ale nie był w stanie się odpowiednio skoncentrować i zamiast przepowiedni wyszła mu plątanina rozmaitych kolorów.

Siedział w pracowni do późna w nocy, a zimny, posępny wiatr zawodził pomiędzy drzewami rosnącymi dookoła domu. Na myśl o zapadnięciu w sen nachodziły go złe przeczucia i niepokojące pragnienie, które starał się w sobie stłumić, ale które nadal w nim tkwiło.

– Dobrze więc – powiedział sam do siebie w nagłym przyływie odwagi – stawmy czoło tej sprawie i zobaczymy, dokąd to nas zaprowadzi.

Położył się. Sen nadchodził powoli. Godzinami wiercił się w niespokojnej drzemce, czuły na każdą myśl, która przychodziła mu do głowy. W końcu zasnął i wkrótce zaczął śnić.

Stał na tarasie. Plażą nadchodziła dziewczyna o gołych ramionach i gołych stopach, jej czarne włosy powiewały na morskim wietrze.

Zbliżyła się bez pośpiechu. Shimrod stał spokojnie, oparty o balustradę. Niecierpliwość i pośpiech były złym rozwiązaniem, nawet w snach. Dziewczyna była coraz bliżej. Shimrod zszedł po szerokich marmurowych schodach.

Ustał wiatr, morze zrobiło się idealnie gładkie. Czarnowłosa dziewczyna zatrzymała się i

czekała. Shimrod podszedł bliżej i poczuł zapach perfum, zapach fiołków. Stali zaledwie krok od siebie, tak że mógł ją dotknąć.

Spojrzała na niego z melancholijnym półuśmiechem. Odezwała się:

– Shimrodzie, nie będę mogła cię więcej odwiedzać.

– Dlaczego?

– Mój czas się kończy. Muszę udać się do miejsca za gwiazdą Achernar.

– Czy wybierasz się tam z własnej woli?

– Jestem zaczarowana.

– Powiedz mi, jak cofnąć ten czar. Dziewczyna zdawała się wahać.

– Nie tutaj.

– Gdzie wobec tego?

– Pójdę na Targ Goblinów. Spotkasz się tam ze mną?

– Tak! Powiedz mi coś o tym zaklęciu, abym mógł stworzyć takie, które je przewycięży.

Dziewczyna odchodziła powoli.

– Na Targu Goblinów. – Raz tylko jeszcze się obejrzała i oddaliła

się.

Shimrod zamyślony przyglądał się, jak odchodzi... Zza jego pleców dobiegł go niesamowity ryk, jakby wiele głosów krzychało w wielkiej furii. Usłyszał stąpanie ciężkich kroków, ale stał jak sparaliżowany, nie mogąc nawet spojrzeć za siebie.

Obudził się na łożu w Trildzie, z walącym sercem i ściśniętym gardłem. Była głęboka noc, do świtu było tak daleko, że trudno było go sobie wyobrazić. Ogień przygasł na kominku. Ze śpiącego na puchatej miękkiej poduszce i delikatnie chrapiącego Grofineta widać było jedynie stopę i chudy ogon.

Shimrod rozpalił ogień na kominku i wrócił na swoje leże.

Wśluchiwał się w odgłosy nocy. Znad łąki dobiegł delikatny, smutny gwizd jakiegoś ptaka, być może zbudzonego przez sowę. Shimrod zamknął oczy i tak przespał resztę nocy.

Zbliżał się czas Targu Goblinów. Shimrod zapakował wszystkie magiczne instrumenty, książki, wagi, filtry i inne urządzenia do skrzyni, na którą rzucił czar ukrycia, tak że najpierw się skurczyła, potem siedem razy przewróciła się wewnątrz na zewnątrz w tajemniczej sekwencji, a ostatecznie przybrała postać ciężkiej czarnej cegły. Shimrod schował ją pod paleniskiem.

Grofinet stał w drzwiach i obserwował go wielce zdziwiony.

– Po co to wszystko robisz?

– Bo muszę opuścić Trildę na krótki czas, a złodzieje nie ukradną tego, czego nie będą mogli znaleźć.

Grofinet przez chwilę zastanawiał się nad tą uwagą, machając ogonem w takt swoich myśli.

– Oczywiście, postępujesz roztropnie. Skoro ja jednak zostaję na straży, żaden złodziej nie odważy się nawet spojrzeć w tym kierunku.

– Bez wątplenia – powiedział Shimrod. – Jednak podwójnie zabezpieczone nasze mienie, jest podwójnie bezpieczne.

Grofinet nie powiedział nic więcej i wyszedł na błonie. Shimrod skorzystał z okazji i nałożył na dom trzecie zabezpieczenie, wyczarowując Domowe Oko wysoko pod sufitem, skąd mogło obserwować wszystko, co będzie się działo w Trildzie.

Potem spakował mały podróżny worek i wyszedł udzielić ostatecznych pouczeń Grofinetowi, który właśnie drzemał na słońcu.

– Grofinecie, ostatnie słówko! Grofinet uniósł głowę.

– Mów, słucham cię uważnie.

– Wybieram się na Targ Goblinów. Od ciebie teraz będzie tu zależało bezpieczeństwo i porządek. Żadne dzikie stworzenie ani jakakolwiek inna istota nie może być zaproszona do środka. Nie zwracaj uwagi na słodkie słówka i pochlebstwa. Powiadom każdego, że nikt nie ma wstępu na posiadłość.

– Rozumiem wszystko doskonale – oświadczył Grofinet. – Mam bystry wzrok. Jestem odważny jak lew. Nawet pchła nie dostanie się do domu.

– Oto mi właśnie chodzi. Wyruszam w drogę.

– Do zobaczenia, Shimrodzie. Trilda jest bezpieczna!

Shimrod ruszył w las. Kiedy już się upewnił, że Grofinet nie dosięgnie go wzrokiem, wyciągnął z sakwy cztery białe pióra i przymocował je do butów. Potem wypowiedział następujące słowa:

– Pierzaste buty, bądźcie posłuszne moim żądaniom. Zabierzcie mnie tam, gdzie rozkażę.

Pióra zatrzepotały, uniosły Shimroda w powietrze i pomknęły z nim przez las, pod dębami, pomiędzy którymi prześwitywały promienie słońca. W cieniu rosły fiołki i dzwonki. Polany pokryte były pierwiosnkami, jaskrami i czerwonymi makami.

Mknął dalej i dalej. Minał po drodze osady elfów: Black Aster, Cat-terlein, Fear Foiry i Shadow Thawn, siedzibę króla Rhodiona, władcy wszystkich elfów. Minał siedziby goblinów pod potężnymi korzeniami dębów i ruiny zamieszkałe kiedyś przez ogra Fidaugha. Kiedy zatrzymał się, żeby napić się wody ze strumienia, zza drzewa łagodny głos zawołał go po imieniu.

– Shimrodzie, Shimrodzie, dokąd zmierzasz?

– Dalej przed siebie tą ścieżką – odparł Shimrod i ruszył w drogę. Głos wołał za nim:

– Niestety, Shimrodzie, nie zatrzymałeś się nawet na chwilę, a mogłoby to wpłynąć na zmianę przyszłych wydarzeń!

Shimrod nie odpowiedział ani się nie zatrzymał, wiedział bowiem, że za cokolwiek ofiarowane w Puszczy Tantrevalles płaci się nazbyt wygórowaną cenę. Głos ucichł, przeszedł w odległy szmer, aż w końcu przepadł zupełnie.

Wkrótce Shimrod dotarł do Wielkiego Północnego Traktu, który był niewiele szerszy od leśnej ścieżki, a prowadził prosto na północ.

Zatrzymał się, aby ugasić pragnienie przy rumowisku szarych skał. Obok rosły niskie zielone krzewy, obsypane ciemnoczerwonymi jagodami, z których elfy robią wino. Poskręcane czarne cyprysy, rosnące w szczelinach skalnych, rzucały cień na okolicę. Shimrod już sięgał po jagody, ale zauważywszy migotanie przejrzystych szat, zastanowił się i wrócił na szlak, a wtedy został obsypany garścią jagód. Zignorował zniewagę, tak samo jak gwizdy i chichoty, które rozbrzmiały za chwilę.

Słońce miało się już ku zachodowi, kiedy wkroczył pomiędzy niskie skały i piarżyska, gdzie rosły karłowate i powykręcane drzewa. Słońce zdawało się być koloru krwi, a cienie były gęste i czarne. Nic się dokoła nie poruszało, nawet wiatr nie poruszał gałązkami. Mimo to ta dziwna okolica była z pewnością niebezpieczna i najlepiej byłoby ją opuścić przed zapadnięciem nocy. Przeto Shimrod pomknął na północ z jeszcze większą prędkością.

Słońce zniknęło za horyzontem. Niebo zabarwiło się smutnymi kolorami. Shimrod wspiął się na szczyt skalnego wzgórza. Położył na ziemi małe pudełko, które powiększyło się do rozmiarów chaty. Shimrod wszedł do środka, zamknął i zabarykadował drzwi, zrobił sobie posiłek z zapasów ze spiżarni, a potem położył się na łóżku i zasnął. Obudził się w nocy i przez pół godziny obserwował parady czerwonych i niebieskich światła na leśnym poszyciu, potem wrócił do łóżka.

Godzinę później sen przerwało mu ostrożne drapanie, jakby palcami albo pazurami, najpierw na

ścianie, potem na drzwiach i okiennicach. Coś uderzało w drzwi i pchało się do środka. Chata jęknęła, kiedy stworzenie wczołgało się na dach.

Shimrod zapalił lampę, dobył miecza i czekał.

Minęła chwila.

Z komina wysunęło się blade, długie ramię. Do pokoju sięgnęły przedzielone błonami, podobne do żabich, palce. Shimrod uderzył mieczem, przecinając rękę przy nadgarstku. Z kikuta chlusnęła czarno-zielona krew, a z dachu dobiegło pełne bólesci jęczenie. Kreatura spadła na ziemię i ponownie zapanowała cisza.

Shimrod zbadał odciętą dłoń. Cztery palce ozdobione były Pierścieniami. Na kciuku znajdował się gruby, srebrny pierścień z turkusowym kamieniem szlachetnym, na którym widniał niezrozumiały dla Shi-mroda napis. Może magiczny? Jakikolwiek by był, zawiódł swego właściciela.

Shimrod odciął pierścień, dokładnie je umył i schował do sakiewki, a potem zasnął.

Rankiem zmniejszył chatkę i ruszył dalej szlakiem, który kończył się nagle na brzegu rzeki Tway. Z łatwością dostał się na drugi brzeg. Szlak ciągnął się dalej wzdłuż rzeki, która miejscami rozszerzała się w spokojne stawki. Odbijały się w nich wierzby płaczące i trzciny. Później rzeka skręciła na południe, a szlak wiódł nadal na północ.

Przed wieczorem dotarł do żelaznego słupa, który oznaczał skrzyżowanie dróg znane jako Rozstaje Twittena. Nad drzwiami długiego, niskiego zajazdu, zbudowanego z topornie ociosanych belek, wisiał znak śmiejącego się Słońca i płaczącego Księżyca. Dokładnie pod znakiem ciężkie drzwi na żelaznych zawiasach otwierały się do głównej sali w gospodzie.

Shimrod wszedł i zobaczył ustawione po lewej stronie ławy i szynk-was po prawej. Pracował tam wysoki młodzieniec o pociągłej twarzy, białych włosach i srebrnych oczach. Shimrod podejrzewał, że jest on półkrwi elfem.

Podszedł do szynkwasu. Młodzieniec zbliżył się, aby go obsłużyć.

– Czym mogę służyć?

– Chciałbym pokój na noc, jeśli to możliwe.

– Obawiam się, sir, że nie mamy wolnych miejsc, a to z powodu jarmarku. Najlepiej jednak będzie, jeśli porozmawiasz z właścicielem Hockshankiem. Jestem tylko chłopcem kuchennym i nie mam tu żadnej władzy.

– Bądź więc tak dobry i sprowadź tu Hockshanka. W tym momencie ktoś się odezwał:

– Czy ktoś wymówił moje imię?

Z kuchni wyszedł barczysty mężczyzna, niski, o niemal niedostrzegalnej szyi. Gęste włosy, przypominające wyglądem starą strzechę, zakrywały czubek jego głowy. I w jego żyłach płynęła elfia krew, o czym świadczyły złote oczy i spiczaste uszy.

Shimrod odpowiedział:

To ja wymówiłem twoje imię, sir. Chciałbym wynająć pokój, ale, jak rozumiem, nie macie już wolnych miejsc.

To mniej więcej prawda. Zazwyczaj mogę zapewnić gościom pokoje od najmniej do najbardziej komfortowych, przy zróżnicowanych cenach, ale w chwili obecnej wybór jest ograniczony. Jakie są twoje oczekiwania?

– Chciałbym jasny i przewiewny pokój, bez robactwa, z wygodnym łóżkiem, dobrym jedzeniem i za niezbyt wygórowaną cenę.

Hockshank podrapał się po brodzie. – Dziś rano jednego z moich gości ubódł kozioł. Gość wpadł w szal i pobiegł Zachodnią Drogą, nie zapłaciwszy rachunku. Mogę zaproponować ci jego pokój, razem z wyżywieniem za umiarkowaną cenę. Albo możesz dzielić przegrodę z kozłem, za

znacznie mniejszą sumę.

– Wolę pokój.

– Taki byłby i mój wybór – powiedział Hockshank. – Proszę tedy wobec tego. – Zaprowadził Shimroda do pokoju, który odpowiadał jego wymaganiom i powiedział:

– Mówisz wytwornie i zachowujesz się jak szlachcic, wyczuwam jednak wokół ciebie zapach magii.

– Prawdopodobnie to z powodu tych pierścieni.

– Interesujące! – rzekł Hockshank. – Kupiłbym od ciebie te pierścienie za czarnego jednorożca o niezwykłym temperamencie. Niektórzy twierdzą, że dosiadać go może jedynie dziewica, ale nie wierz temu. Bo cóż jednorożcowi po cnocie? Zresztą w jaki sposób miałby to sprawdzać? Czy dziewczęta byłyby chętne w prezentowaniu dowodów? Myślę, że nie. Możemy nie przejmować się tą kwestią, traktując ją jedynie jako intrygującą bajeczkę, ale nic poza tym.

– W każdym razie nie potrzebuję jednorożca. Hockshank odszedł rozczarowany.

Po niedługiej chwili Shimrod zszedł do głównej izby, gdzie zjadł smaczną kolację. Inni goście, przybyli na Targ Goblinów, siedzieli w małych grupach, dyskutując o swoich towarach i dokonując transakcji.

Brakowało typowo biesiadnej atmosfery. Nikt nie zapijał się piwem, nikt rubasznie nie żartował. Stali bywalcy siedzieli pochyleni nisko nad stołami, szepcząc i mrucząc, rozglądając się podejrzliwe na wszystkie strony. Gniewnie kiwali głowami, robili znaczące spojrzenia. Dało się zauważyć zaciśnięte pięści, nagłe głębokie oddechy i cięte komentarze odnośnie cen, które uznano za przesadzone. Byli tam również handlarze amuletów, talizmanów, rozmaitych fetyszy, kuriozów i dziwactw. Niektóre były naprawdę wartościowe, inne jedynie dobrze zachwalano. Dwóch kupców miało na sobie mauretańskie tuniki w biało-niebieskie paski, inny irlandzką opończę z szorstkiego materiału. Paru innych miało na strojach ozdoby armorykańskie, a jeden złotowłosa mężczyzna o niebieskich oczach i ostrych rysach mógł być Lombardczykiem albo wschodnim Gotem. Byli wśród nich tacy, u których widoczna była domieszka krwi elfów. Ci mieli spiczaste uszy, oczy w dziwnych kolorach, dodatkowe palce. Było tam niewiele kobiet i żadna z nich nie przypominała dziewczyny, z którą Shimrod przybył się spotkać.

Shimrod skończył jeść i poszedł do swego pokoju, gdzie spał spokojnie przez całą noc.

Rano na śniadanie zjadł morele, chleb i bekon, a potem bez pośpiechu udał się na błonie za gospodą, które otaczał już pierścień stoisk.

Przez godzinę Shimrod snuł się to tu, to tam. Potem usiadł na ławce pomiędzy klatką, w której były piękne młode hobgobliny z zielonymi skrzydłami, a stoiskiem sprzedawcy afrodyzjaków. Nic szczególnego nie wydarzyło się tego dnia. I Shimrod wrócił do gospody.

Następny dzień również minął na próżnowaniu, chociaż na jarmarku był właśnie największy ruch. Shimrod czekał cierpliwie. Znając się na takich sprawach, wiedział, że dziewczyna będzie opóźniać swe przybycie, dopóki jego niepokój nie będzie silniejszy niż opanowanie, jeśli w ogóle miała zamiar się pojawić.

Wczesnym popołudniem trzeciego dnia dziewczyna weszła na polanę. Miała na sobie długą czarną pelerynę, zarzuconą na jasnobezową suknię. Kaptur odrzuciła do tyłu i było widać wianek z białych i purpurowych fiołków na jej włosach. Rozglądała się dookoła zamyślona, ze zmarszczonymi brwiami, jakby zastanawiając się, po co tu przyszła. Jej spojrzenie spoczęło na Shimrodzie, potem oderwało się od niego, by powrócić, ale z pewnym wahaniem.

Shimrod wstał i podszedł do niej. Powiedział łagodnym głosem:

– Dziewczyno ze snu, tu jestem.

Spoglądała na niego przez ramię, uśmiechając się tym swoim półu-śmieszkiem. Powoli odwróciła się w jego stronę. Sprawiała wrażenie, tak myślał Shimrod, mniej pewnej siebie i była z pewnością bardziej istotą z krwi i kości niż dziewczyną nieziemskiej piękności, spacerującą w jego snach. Ona zaś odezwała się:

– Ja również tu jestem, tak jak obiecałam.

Cierpliwość Shimroda została wystawiona na próbę podczas czekania, przeto rzucił uszczypliwie:

– Nie spieszyłaś się zbytnio. Dziewczynę to jedynie rozbawiło.

– Wiedziałam, że będziesz czekał.

– Jeśli przybyłaś tylko po to, żeby się ze mnie naigrawać, nie daje mi to zadowolenia.

– Obojętnie czy z tego, czy innego powodu, ale jestem tu. Shimrod przyjrzał się jej z chłodną obojętnością, która sprawiła jej

przykrość. Zapytała:

– Dlaczego tak na mnie patrzysz?

– Zastanawiam się, czego ode mnie chcesz. Smutno potrząsnęła głową.

– Jesteś ostrożny. Nie ufasz mi.

– Wzięłabyś mnie za głupca, gdybym ci ufał. Zaśmiała się.

– Obojętnie, za miłego i lekkomyślnego głupca.

– Jestem miłym i lekkomyślnym głupcem dlatego, że w ogóle się tu zjawilem.

– We śnie nie byłeś taki nieufny.

– Więc ty również śniłaś, kiedy spacerowałaś po plaży?

– Jak mogłabym dostać się do twego snu, gdybyś ty nie znalazł się w moim? Ale nie wolno ci zadawać więcej pytań. Ty jesteś Shimrod, ja jestem Melancthe. Jesteśmy razem i to wyznacza nasz świat.

Shimrod wziął ją za rękę i przyciągnął krok bliżej. Zapach fiołków wypełnił przestrzeń pomiędzy nimi.

– Za każdym razem, kiedy się odzywasz, ujawniasz nowy paradoks. Skąd mogłaś znać moje imię? W snach nie wypowiedziałem żadnego imienia.

Melancthe zaśmiała się.

– Bądź rozsądny, Shimrodzie! Czy to prawdopodobne, żebym pojawiała się we śnie kogoś, kogo imienia bym nie znała? Coś takiego naruszałoby zarówno reguły grzeczności, jak i przyzwoitości.

– Cóż za cudowny nowy punkt widzenia – odparł Shimrod. – Zaskoczony jestem twoją śmiałością. Musisz przecież wiedzieć, że w snach często zapomina się o przyzwoitości.

Melancthe skłoniła głowę, wydeła usta, wzruszyła ramionami, zupełnie jak mała głupiutka dziewczynka.

– Postarałabym się unikać nieprzyzwoitych snów.

Shimrod poprowadził ją do ławki oddalonej trochę od największego zgiełku. Usiedli niemal zwróceni do siebie twarzami, prawie dotykając się kolanami.

Shimrod powiedział:

– Muszę poznać prawdę i tylko prawdę!

– Dlaczego, Shimrodzie?

– Jeśli nie mogę zadawać pytań albo raczej, jeśli ty nie chcesz na nie odpowiadać, jak mogę nie być niespokojny i nieufny w twoim towarzystwie?

Skłoniła się odrobinę w jego stronę i znowu poczuł zapach fiołków.



– Przybyłeś tu dobrowolnie na spotkanie z kimś, kogo znałeś tylko ze snów. Czyż nie był to akt poświęcenia?

– W pewnym sensie. Uwiodło mnie twoje piękno. Uległem mu z przyjemnością. Pragnąłem wtedy, jak pragnę i teraz, posiadać takie niezwykle piękno i inteligencję na własność. Przybywając tutaj, złożyłem w ten sposób przysięgę miłości. Spotykając się ze mną, również złożyłaś taką samą przysięgę.

– Nigdy nie wymówiłam słowa przysięgi ani obietnicy.

– Ani ja. Ale teraz muszą zostać przez nas wymówione, tak byśmy mogli wszystko sprawiedliwie oceniać.

Melancthe zaśmiała się niespokojnie i odsunęła się od niego.

– Takie słowa nie przejdą mi przez usta. Nie mogę ich wypowiedzieć. Jest coś, co mnie ogranicza.

– Twoja cnota?

– Tak, jeśli koniecznie chcesz to wiedzieć. Shimrod sięgnął po jej rękę.

– Jeśli mamy zostać kochankami, trzeba będzie zapomnieć o cnocie.

– To coś więcej niż tylko cnota. To obawa.

– Przed czym?

– To zbyt dziwne, żeby o tym mówić.

– Kochankowie nie muszą się obawiać. Musimy zrobić wszystko, żebyś pozbyła się tych obaw.

Melancthe powiedziała miękko głosem:

– Trzymasz moje ręce w swoich.

– Tak.

– Jesteś pierwszym, który mnie tak trzyma.

Shimrod spojrział na jej twarz. Fascynowały go jej pąsowe usta na tle jasnooliwkowej cery. Pochylił się, aby ją pocałować, a ona mogła przecież odwrócić głowę i uniknąć go. Pomyślał, że jej usta zdrząły pod dotykiem jego ust.

Odsunęła się.

– To nie miało żadnego znaczenia!

– Znaczyło jedynie tyle, że pocałowaliśmy się jak kochankowie.

– Tak naprawdę nic się nie stało! Shimrod potrząsnął zdumiony głową.

– Kto tu kogo uwodzi? Jeśli jesteśmy po tej samej stronie, we możemy występować przeciwko sobie.

Melancthe zastanawiała się nad odpowiedzią. Shimrod przyciągnął ją bliżej i pocałowałby ją znowu, ale się wyrwała.

– Najpierw musisz mi oddać pewną przysługę.

– W jaki sposób?

– To dosyć proste. W pobliskim lesie znajduje się przejście do innego świata, zwanego Irerly. Jedno z nas musi przejść przez te drzwi i wrócić z powrotem z trzynastoma szlachetnymi kamieniami w różnych kolorach, podczas gdy drugie będzie pilnowało wejścia.

– To wygląda na dość niebezpieczne przedsięwzięcie. Przynajmniej dla tego, kto wejdzie do Irerly.

– Dlatego też do ciebie przyszedłem. – Melancthe wstała. – Chodź, pokażę ci.

– Teraz?

– Dlaczego nie? Przejście jest tam, w lesie.

– Dobrze więc, prowadź.

Melanthe zawahała się i spojrzała na niego pytająco. Zachowywał się zbyt swobodnie. Oczekiwała błagań, protestów, namów i prób zmuszenia jej do przyjęcia zobowiązań, których, jak miała wrażenie, udało jej się na razie uniknąć.

– Chodź więc.

Poprowadziła go przez łąkę i ledwie widoczną ścieżką w głąb lasu. Szli pomiędzy drzewami, w cieniu i słońcu, obok zwalonych pni obrośniętych pradawnymi grzybami, mijali kępy anemonów, dzwonek i innych leśnych kwiatów. Zgiełk jarmarku był coraz dalszy, aż wreszcie ucichł zupełnie i zostali sami.

Dotarli do małej kotlinki ocienionej przez wysoką brzozę, olchy i dęby. Pomiędzy dziesiątkami białych amarylisów wystawała czarna skała, jak samotna turnia o stromej gładkiej ścianie. Do skały przymocowane były żelazne drzwi.

Shimrod rozejrzał się po polanie. Nasłuchiwał. Przejechał wzrokiem po niebie i drzewach. Nic nie zobaczył, niczego nie usłyszał.

Melanthe podeszła do drzwi. Pociągnęła za ciężki żelazny skobel i uchyliła je. Za nimi ukazała się gładka skalna ściana.

Shimrod obserwował ją z pewnej odległości, z grzecznym zainteresowaniem, jeśli nie z obojętnością. Melanthe spojrzała na niego kątem oka. Beztraska Shimroda wydawała się niezwykła. Z peleryny Melanthe wydobyła niezwykle sześciokątny przedmiot, którym dotknęła środka skały, a ten przylgnął do niej ściśle. Po chwili kamień rozmył się i stał się świetlistą mgłą– Melanthe cofnęła się i zwróciła się do Shimroda.

– To. jest przejście do Ierly.

– Całkiem porządne przejście. Muszę jednak zadać pytanie, jeśli mam go strzec skutecznie. Po pierwsze, jak długo cię nie będzie? Nie zależy mi na tym, żeby się tu trząść przez całą noc.

Melanthe odwróciła się, podeszła i położyła mu ręce na ramiona. W powietrzu uniósł się słodki zapach fiołków.

– Shimrodzie, kochasz mnie?

– Jestem tobą zafascynowany, jesteś moją obsesją. – Shimrod objął ją w pasie i przyciągnął ją bliżej. – Dzisiaj jest za późno na Ierly. Chodź, wrócimy do zajazdu. Będiesz tej nocy dzielić ze mną pokój i coś jeszcze poza tym.

Melanthe z twarzą oddaloną o zaledwie parę cali od jego twarzy powiedziała przymilnie:

– Czy naprawdę chciałbyś się dowiedzieć, jak bardzo mogłabym cię kochać?

– Dokładnie to miałem na myśli. Chodź! Ierly może poczekać.

– Shimrodzie, zrób to dla mnie. Idź do Ierly i przynieś mi trzynaście błyszczących klejnotów, każdy w innym kolorze, a ja będę strzec przejścia.

– A potem?

– Zobaczysz.

Shimrod spróbował położyć ją na leśnej darni.

– Chodź! Teraz!

– Nie, Shimrodzie! Potem!

Spoglądali sobie prosto w oczy i Shimrod pomyślał, że nie ośmieli się bardziej na nią nastawać. I tak zmusił ją już do tego oświadczenia.

Zamknął palce na amulecie i z zaciśniętymi zębami wypowiedział zaklęcie, które od dłuższego czasu miał na myśli. Czas rozdzielił się na siedem strumieni. Jeden z nich ciągnął się i zawijał zawsze w prawą stronę, tak że powstała luka czasowa. Shimrod ruszył tym strumieniem, podczas gdy

Melancthe, polana w lesie i wszystko inne pozostało nieruchome.



## Rozdział 14

Murgen zamieszkiwał w Swer Smod, wysoko na szczycie Teach tac Teach. Była to kamienna rezydencja o pięćdziesięciu przestrzennych pokojach, w których głos odbijał się echem.

Shimrod pędził w pierzastych butach, gnał po Zachodniej Drodze, potem odbił od Rozstai Twittena do Oswy Undervale i dalej bocznym szlakiem do Swer Smod. Groźni strażnicy Murgena przepuścili go, nie stając mu na drodze.

Frontowe drzwi otworzyły się, kiedy tylko Shimrod do nich podszedł. Zastał Murgena czekającego przy dużym stole nakrytym lnianym obrusem i srebrnymi naczyniami.

– Usiądź – powiedział Murgen. – Jesteś zapewne głodny i spragniony.

– Jestem.

Służący wnieśli wazy i talerze. Shimrod zaspokoił głód, a Murgen popróbowował wszystkiego po trochu i słuchał w milczeniu opowiadania Shimroda o snach, Melanthe i przejściu do Irerly.

– Czuję, że została zmuszona do spotkania ze mną, inaczej nie mogę wytłumaczyć sobie jej zachowania. Chwilami okazuje mi niemal dziecięcą serdeczność, a chwilami staje się cyniczna i wyrachowana. Rzekomo pragnie trzynastu klejnotów z Irerly, ale podejrzewam, że zależy jej na czymś zupełnie innym. Jest tak pewna mojego zadurzenia w niej, że nawet nie zadaje sobie trudu, aby się z tym ukrywać.

Murgen powiedział:

– Cała ta sprawa pachnie mi czymś, podejrzewam, że maczał w niej palce Tamurello. Jeśli zniszczy ciebie, osłabi mnie. Skoro jednak używa do tego Melanthe, nie można mu udowodnić w tym udziału. Zabawiał się z Desmei, potem mu się znudziła. Z zemsty stworzyła ona dwie idealnie piękne istoty – Melanthe i Faude Carfilhiota. Planowała, że wyniosła i niedostępna Melanthe doprowadzi Tamurella do utraty zmysłów. Niestety Tamurello wolał Carfilhiota, któremu daleko do niedostępności. Sięgnęli razem dalekich brzegów nienaturalnych doznań.

– W jaki sposób Tamurello mógłby podporządkować sobie Melanthe?

– Nie mam najmniejszego pojęcia, jak mógłby to zrobić, jeśli rzeczywiście jest w to zamieszany.

– W takim razie, co powinienem zrobić?

– W grę wchodzi twoje pożądanie, jeśli zechcesz, to je zaspokoisz.

– A Irerly?

– Jeśli udasz się tam, tak jak jesteś teraz, nigdy nie wrócisz. Tak podejrzewam.

Shimrod odezwał się ze smutkiem:

– Trudno mi pogodzić taką obłudę z takim pięknem. Ona gra w niebezpieczną grę, stawiając na szali własne życie.

– Ty ryzykujesz nie mniej.

Shimrod usiadł wygodniej na krześle i zadumał się nad tą uwagą.

– Najgorsze, że ona zamierza wygrać. A jednak... Murgen czekał.

– A jednak?

– Tylko to.

– Rozumiem. – Murgen nalał wina do kieliszków. – Nie wolno jej wygrać, a to choćby tylko z tego powodu, żeby pokrzyżować plany Tamurella. W chwili obecnej i prawdopodobnie już na zawsze będę zajęty rozstrząsaniem tajemnicy Losu. Widziałem przepowiednię w postaci wysokiej fali w kolorze morskiej zieleni. Muszę zająć się tym problemem i prawdopodobnie przejmiesz moją moc, zanim będziesz do tego przygotowany. Przygotuj się, Shimrodzie. Najpierw jednak wyzwól się

z tego zauroczenia, co wydaje się jedynym rozwiązaniem tej sprawy.

W pierzastych butach Shimrod wrócił na Rozstaje Twittena i do kotlinki, w której zostawił Melanthe. Stała tak, jak ją opuścił. Przeszukał kotlinkę, nikt nie czał się w cieniu. Spojrzał na przejście, przesłaniały je wijące się tam zielone smugi. Wyjął z sakiewki kłębek przędzy. Przywiązawszy luźny koniec do szczeliny w żelaznych drzwiach, rzucił kłębek do środka. Dopiero teraz połączył siedem strumieni czasu i znalazł się w normalnym otoczeniu. W powietrzu nadal wisiały słowa Melanthe:

– Zobaczysz.

– Musisz przysiąc. Melanthe westchnęła.

– Kiedy wrócisz, zdobędziesz całą moją miłość. Shimrod zastanowił się.

– I będziemy kochankami, duchem i ciałem, obiecujesz mi to? Melanthe skrzywiła się i zamknęła oczy.

– Tak. Będę cię wielbić i pieścić, a ty będziesz mógł spełniać swe erotyczne wyczyny na moim ciele. Czy to już wystarczy?

– Zaakceptuję to z braku czegoś lepszego. Powiedz mi coś o Irerly i czego mam tam szukać.

– Znajdziesz się w interesującej krainie żywych gór. Będą tam wyc i krzyczeń, ale w znacznej części będą to jedynie czcze słowa. Powiedziano mi, że normalnie panują tam łagodne obyczaje.

– Czy może dojść do pojedynku z jakimiś stworami? Melanthe uśmiechnęła się swym melancholijnym uśmiechem. Wtedy unikniemy problemów i niepokojów związanych z twoim powrotem.

Według Shimroda uwaga ta równie dobrze mogła zostać nie wypowiedziana.

Melanthe kontynuowała obojętnym tonem:

– Wrażenia będziesz odbierał normalnie wszystkimi zmysłami. -Dala Shimrodowi trzy przeźroczyste dyski. – Ułatwią ci poszukiwania, a w zasadzie bez nich od razu postradałbyś zmysły. Jak tylko przejdiesz przez drzwi, umieść je na policzkach i na czole. Są to łuski chochlika piaskowego i przystosują twoje zmysły do warunków panujących w Irerly. Co to za paczka, którą masz za sobą? Nie zauważyłam jej wcześniej.

– Prywatne drobiazgi i tym podobne. Nie zaprzataj sobie tym głowy. A co z tymi klejnotami?

– Występują w trzynastu nie znanych u nas kolorach. Nie wiem, do czego służą ani tu, ani tam, ale musisz je znaleźć i przynieść je tutaj.

– Dobrze – powiedział Shimrod. – A teraz pocałuj mnie, żeby mnie przekonać o swojej dobrej woli.

– Shimrodzie, jesteś nazbyt frywolny.

– I ufający?

Melanthe drgnęła, niemal niezauważalnie. Był to zaledwie ułamek sekundy, zaraz znowu się uśmiechnęła.

– Ufasz mi? Ani trochę. A teraz, nawet żeby wejść do Irerly, będziesz potrzebował tej peleryny. Ten materiał ochroni cię przed obcymi wpływami. Weź również to. – Podała mu dwa żelazne skorpiony, pełzające na końcach złotego łańcucha. – Zwiąż się Tu i Tam. Jeden weźmie cię do Irerly, drugi sprowadzi cię z powrotem. Nic więcej ci nie potrzeba.

– A ty będziesz tu czekać?

– Tak, drogi Shimrodzie. Idź już.

Shimrod owinał się peleryną, umieścił łuski chochlika piaskowego na czole i policzkach, wziął

żelazne skorpiony.

– Tamie, zabierz mnie do Irerly! – Wszedł przez drzwi, podniósł kłębek przędzy i ruszył przed siebie. Zielone smugi kłębiły się i pulsowały. Zielony wiatr odrzucił go daleko, inna siła, zmieszanych ze sobą fioletowości i zielonej niebieskości, rzucała nim w różne strony. Przędza rozwijała się pomiędzy jego palcami. Żelazny skorpion o imieniu Tam wielkim skokiem pociągnął za sobą Shimroda w świetliste przejście i na dół, do Irerly.





W Ierly warunki były znacznie gorsze, niż Shimrod się tego spodziewał. Peleryna, którą dostał od Melanthe, nie chroniła go wystarczająco i przepuszczała dźwięk oraz dwa inne obce wrażenia typowe dla Ierly, które ocierały się o jego ciało. Żelazne owady, Tu i Tam, w jednej chwili zamieniły się na kupki popiołu. Albo materia Ierly była tak opętańczo szkodliwa, albo wcale nie były chochlikami piaskowymi. Mało tego, dyski, mające chronić jego zmysły, nie były odpowiednio dopasowane i Shimrod doświadczył wielu zadziwiających wrażeń: dźwięki docierały do niego w postaci płynu o nieprzyjemnym zapachu, zapachy były czerwonymi stożkami i żółtymi trójkątami, które znikły zupełnie po dopasowaniu dysków. Wzrok rejestrował tylko przeciągnięte w przestrzeni smugi, kapiące ogniem.

Wypróbował najróżniejsze ustawienia dysków, zwijając się w spazmach z niewiarygodnego bólu powodowanego przez dźwięki, pełzające mu po skórze na pajęczych nogach, dopóki przypadkowo wrażenia zewnętrzne nie zgrały się z odpowiednimi strefami w mózgu. Ustąpiły nieprzyjemne odczucia, przynajmniej chwilowo, i Shimrod z ulgą przyjrzał się krajobrazowi Ierly.

Zobaczył niezmierną przestrzeń, przedzieloną tu i ówdzie górami z szarozółtej masy. Na szczycie każdej z nich widniała absurdalna, półludzka twarz. Wszystkie zwrócone były na niego, pełne wściekłości i potępienia. Niektóre wykrzywiały się i robiły przerażające grymasy, inne grzmiąły z pogardą. Te najokropniejsze wystawiły brunatne języki, z których skapywała wielkimi kroplami magma, dźwięcząc przy tym jak małe dzwonki. Jedna, być może dwie, wyrzuciły z siebie strumienie zielonego syczącego dźwięku. Shimrod uchylił się przed nimi i trafiły w inne góry, wywołując gromy i burzę.

Shimrod zgodnie z zaleceniami Murgena zawołał przyjaźnie:

– Panowie! Panowie! Proszę o spokój! Przecież jestem gościem w waszym niezwykłym świecie i nie zasługuję na takie traktowanie!

Wielka, odległa o siedemdziesiąt pięć mil góra ryknęła grzmiącym głosem:

– Inni też mienili się gośćmi, a okazali się złodziejami i grabieżcami! Przybyli ograbić nas z naszych gromowych jaj, nie ufamy więc teraz nikomu. Żądam, aby góry Mank i Elfard cię pochłonęły.

Shimrod raz jeszcze wrzasnął, chcąc zwrócić na siebie uwagę:

– Nie jestem tym, za kogo mnie bierzecie! Wielcy czarodzieje z wysp Elder wiedzą o wyrządzonych wam krzywdach. Podziwiają waszą stoicką cierpliwość. Przysłano mnie właśnie po to, abym przekazał wam ich uznanie dla waszej wspaniałości. Nigdy nie widziałem magmy wystrzelonej z taką precyzją ani tak groteskowych gestykulacji!

– Łatwo powiedzieć – mruknęła góra, która przemawiała poprzednio.

– Co więcej – oświadczył Shimrod – ja i moi towarzysze podzielamy waszą nienawiść do złodziei i drapieżców. Zabiliśmy kilku i chcielibyśmy zwrócić ich łupy. Panowie, mam tu ze sobą tyle waszych gromowych jaj, ile udało się odzyskać w tak krótkim czasie. – Otworzył sakwę i wysypał z niej rzeczne otoczaki. Zmieszane góry zaczęły stękać i szemrać z powątpiewaniem, niektóre wystrzeliły małe języki magmy.

Z worka podróznego wypadł skrawek pergaminu. Shimrod przeczytał:

„To ja, Murgen, piszę te oto słowa. Wiesz teraz, że wiara i piękno nie są trwałymi wartościami! Po tym, jak oszukałeś wiedźmę Melanthe luką czasową, ona zastosowała podobną sztuczkę wobec ciebie i pozbawiła cię gromowych jaj, chcąc, by góry zniszczyły cię strumieniami magmy. Spodziewałem się teo i za pomocą trzeciej luki czasowej umieściłem na nowo w twojej sakwie gromowe jaja i wszystkie inne skradzione rzeczy. Działaj dalej, ale ostrożnie!” Shimrod krzyknął do

gór:

– A oto gromowe jaja! – Sięgnął do worka podróżnego i wyjął sakwę. Szerokim gestem rozłożył jej zawartość na pobliskiej skalnej półce. Góry natychmiast się uspokoiły. Jedna z najbardziej poważanych, odległa o jakieś sto dwadzieścia mil, wysłała informację:

– Dobra robota! Witamy cię jak przyjaciela. Czy zamierzasz zostać na dłużej?

– Ważne sprawy natychmiast wzywają mnie do domu. Chciałem jedynie oddać wam waszą własność i przyjrzeć się waszym wspaniałym osiągnięciom.

– Pozwól, że ci wyjaśnię kilka aspektów z życia naszej ukochanej krainy. Podstawą jest zrozumienie, że wyznajemy trzy rywalizujące ze sobą religie – Doktrynę Archaicznej Skamieliny, Tajemnicę Macrolitha, którą osobiście uważam za błędną od początku do końca, i szlachetne Odrzucenie Trwogi. Różnią się one istotnymi szczegółami. – Góra opowiadała mądrym tonem przez długą chwilę, podając przykłady podobieństw i od czasu do czasu subtelnie sprawdzając, czy Shimrod rozumie nowe dla niego objawienie.

Shimrod rzekł w końcu:

– Niezwykle interesujące! W znacznym stopniu idee te wpłynęły na zmianę moich własnych poglądów.

– Jaka szkoda, że musisz nas opuścić! Nie zamierzasz przypadkiem wrócić z większą ilością gromowych jaj?

– Tak szybko, jak to będzie możliwe! Chciałbym za to zabrać ze sobą parę drobiazgów, które będą mi ciągle na nowo Przypominać o Irerly.

– To żaden problem. Na czym ci najbardziej zależy?

– No cóż, co powiecie na te małe błyszczące przedmioty w różnych kolorach, na przykład niech ich będzie trzysta? Wziąłbym ze sobą cały komplet.

– Mówisz o tych małych ozdobnych wypryskach, które zbierają się wokół naszych niektórych wylotów? Dla nas to zupełnie śmieci, jeśli wybaczysz to słowo. Weź tyle, ile zechcesz.

– Ile wobec tego zmieści się do tego worka?

– Tylko jeden komplet. Mank, Idisk! Poproszę o kilka waszych najdorodniejszych wyprysków, jeśli łaska! A teraz wracając do naszej dyskusji o teologicznych anomaljach, jak wasi uczeni odnoszą się do tych różnych dziwacznych przekonań, o których przed chwilą rozmawialiśmy?

– Cóż... starają się w nich mimo wszystko dostrzec dobre strony.

– Aha, to byłoby zgodne z Pierwotnym Gnostycyzmem, jak od dawna podejrzewałem. Być może silne uczucia nie są zbyt mądre. Spakowałeś się? Dobrze. A propos, jak masz zamiar powrócić? Zauważyłem, że twoje skorpiony rozpadły się w proch.

– Wystarczy, że podążę do wyjścia za tą nitką.

– Sprytna teoria! Jest wyjściem do zupełnie nowej i rewolucyjnej logiki.

Odległa góra wyrzuciła strumień niebieskiej lawy, wyrażając niezadowolenie.

– Jak zawsze, pomysły Dodara są podejrzanie niezrozumiałe.

– Wcale nie! – zaprzeczył zdecydowanie Dodar. – Zaprezentuję wam anegdotę, która zilustruje mój punkt widzenia... oj, nie! Widzę, że Shimrodowi bardzo się spieszy. Życzę wobec tego miłej podróży!

Shimrod po omacku ruszył wzdłuż przędzy, czasami w kilku kierunkach jednocześnie, przez chmury gorzkiej muzyki, przez miękkie zagłębienia, które uznał dziwaczny sposóbem za martwe idee. Zielone i niebieskie wiatry rzucały nim w górę i w dół z taką siłą, że miał obawy co do wytrzymałości przędzy, która sprawiała wrażenie niezwykle sprężystej. Wreszcie kulka przędzy wróciła prawie do pierwotnych rozmiarów i Shimrod wiedział, że musi być blisko przejścia. Natknął

się na chochlika piaskowego o twarzy młodzietkiego chłopca, siedzącego na skale i trzymającego koniec przędzy.

Shimrod zatrzymał się. Chochlik wstał z ociąganiem.

– Masz ze sobą trzynaście klejnotów?

– Mam je i jestem gotowy do powrotu.

– Daj mi je, muszę je przenieść przez spiralę. Shimrod odmówił.

– Lepiej, żebym ja je poniósł. Zbyt są delikatne, żeby je oddać podwładnemu.

Chochlik rzucił na bok koniec przędzy i zniknął w zielonej mgle, a Shimrod został z bezużytecznym kłębkim w ręce. Mijał czas. Shimrod czekał, coraz bardziej zaniepokojony. Ochronna peleryna starła się niemal zupełnie, a dyski chroniące zmysły zaczęły przesyłać szereg niepewnych wizji.

Chochlik powrócił, zachowując się jak ktoś, kto nie ma nic lepszego do roboty.

– Moje instrukcje się nie zmieniły. Daj mi klejnoty.

– Nie dostaniesz ani jednego. Czy twoja pani ma mnie za głupca? Chochlik zniknął w płataninie zielonych membran, rzucając mu

przez ramię spojrzenie pełne sardonicznego wyrazu.

Shimrod westchnął. Udowodniona została bezwzględna i absolutna niewierność. Z sakwy wyjął trzy przedmioty, w które zaopatrzył go Murgen. Był to chochlik piaskowy o postaci heksamorfu, kilka kapsułek z gazem i płytkę z wypisanym na niej zaklęciem Niezwyciężonego Zaufania.

Shimrod pouczył chochlika:

– Przeprowadź mnie przez spiralę, z powrotem na polankę przy Rozstajach Twittena.

– Twoi wrogowie zapieczętowali to przejście. Musimy wrócić drogą chaosu przez pięć rozpadlin. Otocz się gazem i przygotuj zaklęcie.

Shimrod wypuścił gaz z jednego z pęcherzy, który przylepił się do niego jak gęsty syrop. Chochlik poprowadził go bardzo daleką drogą i w końcu pozwolił mu odpocząć.

– Spocznij, musimy poczekać.

Minał czas, którego długości Shimrod nie był w stanie określić. Chochlik powiedział:

– Przygotuj zaklęcie.

Shimrod przywołał na myśl sylaby, a znaki runiczne zniknęły z płytki, zostawiając ją zupełnie gładką.

– Teraz, wypowiedz zaklęcie.

Shimrod stał na polance, na którą przyprowadziła go Melancthe. Nie było jej nigdzie widać. Było późne, szare popołudnie, jakie bywają jesienią lub zimą. Na niebie nisko kłębiły się chmury. Drzewa dookoła wyciągały gołe gałęzie, odcinające się czarno na tle nieba. Na skalnej ścianie nie było żadnych żelaznych drzwi.

W zajeździe „Pod Śmiejącym się Słońcem i Płaczącym Księżycem” tego zimowego wieczora było ciepło i przytulnie, niemal pusto. Gospodarz Hockshank przywitał Shimroda z grzecznym uśmiechem na twarzy.

– Miło mi cię widzieć, sir. Obawiałem się, że spotkało cię coś złego.

– Niewiele się pomyliłeś.

– To nic nowego. Co roku podczas jarmarku ludzie giną w dziwny sposób.

Ubranie Shimroda było podarte, materiał zaczynał gnić. Spojrzał w lustro i zobaczył zapadnięte policzki, wytrzeszczone oczy i cerę o podejrzanie brązowym kolorze, przypominającym zmurszałe drzewo.

Po kolacji usiadł zamyślony przy kominku. Przypuszczał, że Melanthe wysłała go do Irerly po to, by zdobył trzynaście magicznych klejnotów, lub po to, by go zgubić, lub jedno i drugie na raz. Jego śmierć wydawała się zasadniczym celem. W przeciwnym razie pozwoliłaby mu przynieść klejnoty. Za cenę własnej cnoty? Shimrod uśmiechnął się. Melanthe złamałaby obietnicę równie łatwo, jak go zdradziła.

Rankiem Shimrod zapłacił rachunek, przyczepił pióra do nowych butów i opuścił Rozstaje Twittena.

Po pewnym czasie przybył do Trildy. Chmury wisiały nisko, łąka wyglądała szaro i ponuro, a domostwa otaczała jakaś dziwna atmosfera spustoszenia. Shimrod zbliżał się powoli, krok za krokiem, potem zatrzymał się i przyjrzał się domowi. Drzwi były uchylone i wisiały na wyrwanym zawiasie. Wolno wszedł do środka i skierował się do salonu.

Znalazł tam ciało Grofineta, którego zawieszono na belce pod sufitem głową w dół i spalono. Prawdopodobnie chciano go w ten sposób zmusić do wyjawienia, gdzie Shimrod ukrył swoje skarby. Wyglądało to tak, jakby Grofinetowi spalono najpierw ogon cal po calu, a na końcu spuszczone jego głowę w płomienie. Doprowadzony do takiego stanu bez wątpienia wykrzyczał wszystko, co wiedział, cierpiąc bardziej z powodu własnej słabości, niż od ognia, którego się tak obawiał. A potem, aby go uciszyć, ktoś rozszczepił mu zwęgloną głowę toporem.

Shimrod poszukał pod paleniskiem, ale czarna cegła, w której ukryte były jego instrumenty magiczne, zniknęła. Niczego innego się nie spodziewał. Znał jedynie podstawy magii, kilka szarłatańskich sztuczek, jedno lub dwa sprytne zaklęcia. Nie będąc nigdy wielkim czarodziejem, teraz nie był nim wcale.

Melanthe! Nie wierzyła mu bardziej niż on jej. On mimo to nie wyrządziłby jej żadnej krzywdy, a ona zamknęła mu przejście, tak by umarł w Irerly.

– Melanthe, okrutna Melanthe! Będziesz cierpiała za swoje zbrodnie! Uciekłem, i tu zwyciężyłem, ale w czasie nieobecności przez ciebie spowodowanej straciłem wszystko, a Grofinet stracił życie, za to więc również będziesz cierpieć!

Shimrod nie mógł się powstrzymać od krzyku.

Rabusie, którzy w czasie jego nieobecności ogołocili Trildę, muszą również zostać ujęci i ukarani. Kim mogą być?

Domowe Oko! Zostawił je w takim właśnie celu! Ale nie, najpierw pochowa Grofineta. Pochował przyjaciela w altanie za domem, a razem z nim nieliczne jego rzeczy. Skończył pracę w szarzejącym świetle popołudnia. Wrócił do domu, zapalił wszystkie lampy i rozpałił ogień na kominku.

Zdjął Domowe Oko z belki pod sufitem i ustawił je na rzeźbionym stole w salonie. Pobudzone odtworzyło wszystko, co wydarzyło się podczas jego nieobecności.

Parę pierwszych dni minęło spokojnie. Grofinet z zapałem wypełniał swoje obowiązki i wszystko układało się dobrze. Potem w senne letnie popołudnie obserwator zawołał:

– Widzę dwóch obcych, niewiadomego pochodzenia. Zbliżają się od południa!

Grofinet natychmiast założył szyszak i przybrał władczą postawę w drzwiach. Zawołał:

– Nieznajomi, bądźcie tak dobrzy i zatrzymajcie się. To jest Trilda, siedziba mistrza czarodzieja Shimroda. Obecnie ja jestem jej strażnikiem. Nic od was nie chcę, odejdźcie więc swoją drogą.

– Chcieliśmy tylko odpocząć. Prosimy o trochę chleba, sera, może kubek wina i pojedziemy dalej.

– Nie podchodźcie bliżej! Przyniosę wam jadło i napój tam, gdzie stoicie, a potem musicie natychmiast odejść. To mój rozkaz!

– Rycerzu, zrobimy j ak zechcesz.

Grofinet mile połączony pochlebstwem odwrócił się, ale został złapany i związany rzemieniami, po czym zaczęło się straszliwe popołudnie.

Bandytów było dwóch: wysoki, przystojny mężczyzna, ubierający się i zachowujący jak szlachcic, oraz jego podwładny. Ten pierwszy miał czarne, lśniące, kręcone włosy i regularne rysy. Był ubrany w zielone myśliwskie ubranie ze skóry i czarny kapelusz, a u pasa miał przypasany rycerski miecz.

Drugi rabuś był jakieś dwa cale niższy i parę cali cięższy. Miał rozmyte i niewyraźne rysy twarzy. Usta zakrywały mu bure wąsy. Był przysadzisty, miał szerokie ramiona i chude nogi. Sprawiał wrażenie, że bolą go, kiedy chodzi, ponieważ stawiał drobne, chwiejne kroki. On właśnie torturował Grofineta, podczas gdy jego towarzysz stał oparty o stół, rzucając rozmaite sugestie.

Wreszcie skończyli swą ponurą robotę. Dymiący Grofinet wisiał pod sufitem, a drogocenne pudełko z przyrządami Shimroda zostało zabrane spod paleniska.

– Jak na razie wszystko w porządku – oświadczył czarnowłosy rycerz. – Mimo tego że Shimrod zaklął przyrządy w tym pudełku. Bez względu na to, spisaliśmy się nieźle.

– To szczęśliwa chwila. Harowałem długo i ciężko. Czas na odpoczynek i nacieszenie się bogactwem.

Rycerz zaśmiał się pobłaźliwie.

– Cieszę się razem z tobą. Po życiu spędzonym na ścinaniu głów, łamaniu kołem i skręcaniu nosów, stałeś się zamożną osobą, może nawet zaakceptują cię wyższe sfery? Zostaniesz być może szlachcicem?

– Nie z moją twarzą, na której jest jakby wypisane „oto złodziej i kat”. Fach niezły jeden i drugi, niestety moje zreumatyzowane kolana uniemożliwiają mi wykonywanie obu.

– Co za szkoda! Nie ma wielu tak zdolnych jak ty.

– To wszystko prawda, ale straciłem ochotę do podcinania gardeł o zmroku, a jeśli chodzi o złodziejstwo, to moje kolana nie są już wystarczająco sprawne. Wyginają mi się w obie strony i głośno strzykają. Nie odmawiam sobie jednak odrobinki kieszonkowych kradzieży, tak dla zabawy.

– Dokąd udasz się więc w poszukiwaniu nowej kariery?

– Do Dahautu. Będę wędrował po jarmarkach, może zostanę chrześcijaninem. Jeśli będziesz mnie potrzebował, zostaw dla mnie wiadomość w Avallonie, w miejscu o którym ci wspominałem.

Shimrod poleciał na pierzastych butach do Swer Smod. Na drzwiach wisiało obwieszczenie:

*W kraju szerzy się niepokój, a przyszłość spowija niepewność. Murgen musiał oddać się medytacjom, aby rozwiązać zagadkę Losu. Żałuje, że nie ma go dla tych, którzy go odwiedzili. Przyjaciele i wędrowcy w potrzebie mogą się tu schronić, ale nie gwarantuję opieki. Ludziom o złych zamiarach nie mam nic do powiedzenia. Oni już wiedzą.*

Shimrod zostawił wiadomość na stole w głównym hallu:

*Niewiele mam do powiedzenia, poza tym, że przyszedłem i odszedłem. Wyprawa przebiegła zgodnie z planem, ale spustoszone Trildę. Powrócę, mam nadzieję, w przeciągu roku lub jak tylko wymierzę sprawiedliwość. Zostawiam pod twoją opieką klejnoty w trzynastu kolorach.*

Zrobił sobie posiłek, korzystając ze spiżarni Murgena, i wyspał się na łożu w hallu.

Rankiem przebrał się za wędrownego muzyka. Włożył mały kapelusz bez ronda, przyozdobiony sówimi piórami, obcisłe spodnie z zielonej tkaniny, błękitną tunikę i orzechową pelerynę.

Na wielkim stole znalazł srebrnego pensa, sztylet i mały sze-ściostrunowy instrument o niezwykłym kształcie, który grał skoczne melodyjki niemal sam z siebie. Shimrod schował monetę do kieszeni, zatknął sztylet za pasek i zawiesił instrument na ramieniu. Potem opuścił Swer Smod, ruszył przez Puszcę Tantrevalles w stronę Dahautu.



W celi o kształcie dzwonu – o czternastu stopach średnicy, i siedemdziesiąt stóp pod ziemią – dni różniły się jeden od drugiego najbardziej trywialnymi wydarzeniami – spadającą kroplą deszczu, mignięciem skrawka błękitnego nieba, dodatkowymi racjami żywności. Aillas znaczył mijające dni, układając kamienie na skalnym występie. Każde dziesięć kamieni z poletka „jednostek” zastępował jednym z poletka „dziesiątek”. W dniu, w którym miał już dziewięć kamieni w „dziesiątkach” i dziewięć w „jednostkach”, odłożył jeden kamień dla „setek”.

Do jedzenia dostawał bochenek chleba, dzban wody i parę marchewek albo rzep, czasami główkę kapusty. Wszystko to co trzy dni za pomocą spuszczanego z góry kosza.

Aillas często zastanawiał się, jak długo będzie żył. Na początku leżał obojętny na wszystko, w zupełnej apatii. W końcu z dużym wysiłkiem zmusił się do ćwiczeń. Robił pompki, przewroty, rozciągał się i skakał. W miarę jak wracała mu sprawność ruchowa i siła mięśni, poprawiało się jego samopoczucie. Ucieczka – nie była niemożliwa. Ale jak? Próbował wydrapać uchwyty na ręce w kamiennej ścianie, jednak kształt i nachylenie ścian celi gwarantowały niepowodzenie tej metody. Próbował wydobyć kamienie z podłogi, tak aby ułożyć z nich postument, z którego dosięgnąłby szybu, ale były zbyt ściśle dopasowane i zbyt ciężkie. Był zmuszony zrezygnować i z tego sposobu.

Jeden po drugim mijały dni i miesiące. W ogrodzie tak samo mijały dni i miesiące dla brzemiennej Suldrun, spodziewającej się dziecka, którego ojcem był Aillas.

Król Casmir zabronił wchodzić do ogrodu komukolwiek poza zupełnie głuchoniemą dziewczką kuchenną.

Brat Umphred jednakże uważał się za kapłana dworu, którego zakaz nie dotyczy, i odwiedził Suldrun po około trzech miesiącach. Mając nadzieję, że dowie się czegoś nowego, Suldrun nie sprzeciwiała się jego obecności w ogrodzie. Lecz Umphred nie mógł jej nic powiedzieć. Podejrzewał, że Aillasa dosięgnęła pełnia królewskiego gniewu, a jako że Suldrun sama była o tym przekonana, nie zadawała więcej pytań. Brat Umphred bez większego przekonania próbował bardziej poufałych gestów, ale w odpowiedzi na nie Suldrun weszła do kaplicy i zamknęła drzwi. Odszedł nie zauważwszy, że Suldrun jest w coraz bardziej zaawansowanej ciąży.

Wrócił po trzech miesiącach, tym razem jej stan rzucił mu się w oczy i rzekł złośliwie:

– Suldrun, moja droga, roztyłaś się.

Suldrun bez słowa ponownie wstała i poszła do kaplicy.

Brat Umphred siedział przez kilka chwil głęboko zamyślony, potem poszedł sprawdzić zapiski w swoim kalendarzu. Policzył wstecz do daty ślubu i tak otrzymał prawdopodobną datę urodzin. Dziecko zostało jednak poczęte kilka tygodni wcześniej, dokładnie więc o tyle pomylił się w obliczeniach, umknęło to jednak jego uwadze. Cięża Suldrun była znamiennym faktem. Jakie korzyści mógłby mieć z tego, że nikt inny o tym nie wiedział?

Minęły dalsze tygodnie. Brat Umphred wymyślił parę różnych rozwiązań, ale żadne nie było dla niego tak korzystne, jakby tego oczekiwał, trzymał więc język za zębami.

Suldrun dobrze rozumiała, na czym polegały kalkulacje brata Umphreda. W miarę jak zbliżał się czas rozwiązania, stawała się coraz bardziej zaniepokojona. Prędzej czy później zakonnik uda się do króla Casmira i tam z tą swoją mieszaniną pokory i bezczelności wyjawí jej cenną tajemnicę.

Co wtedy? Nie śmiała nawet o tym myśleć. Cokolwiek miałoby się stać, na pewno nic dobrego z tego dla niej nie wyniknie.

Zostało niewiele czasu. W nagłej panice Suldrun wspięła się na zbocze i przeszła przez mur.

Ukryła się w miejscu, z którego mogła obserwować wieśniaków wędrujących na rynek.



Drugiego dnia zobaczyła Ehirme, która po rzuconych szeptem słowach zdziwienia przeszła przez mur do ogrodu. Zapłakana utuliła Suldrun i chciała się dowiedzieć, co im pokrzyżowało plany. Wszystko było przygotowane, mogli uciekać!

Suldrun wyjaśniła jej wszystko, najlepiej jak umiała.

– Co się stało z Aillasem?

Suldrun nie wiedziała. Brak wiadomości był złowieszczym znakiem. Nie pozostawało nic innego, jak uznać go za zmarłego. Rozplakały się obie na nowo, a Ehirme przeklęła zwyrodniałego tyrana, który sprowadził takie cierpienia na swoją córkę.

Ehirme obliczyła miesiące i dni. Oceniała czas według cykli księżycy i w ten sposób określiła prawdopodobną datę porodu. Miało to nastąpić wkrótce, za jakieś pięć, może dziesięć dni, nie więcej. Nie były nawet w stanie się dobrze do tego przygotować.

– Uciekniemy dziś w nocy! – oświadczyła Ehirme. Ze smutkiem Suldrun odrzuciła ten pomysł.

– Byłabyś pierwszą osobą, o której by pomyśleli, a wtedy mogłoby się stać coś straszego.

– A co z dzieckiem? Zabiorą ci je.

Suldrun znowu nie mogła powstrzymać łez napływających jej do oczu i Ehirme mocno ją przytuliła.

– Posłuchaj, jaki mam doskonały pomysł! Moja siostrzenica jest niespełna rozumu. Trzy razy zachodziła w ciążę z powodu chłopca stajennego, drugiego takiego jak ona. Dwa pierwsze noworodki zmarły od razu, po prostu z powodu jakichś konwulsji. Ona teraz ma już bóle i wkrótce urodzi trzeciego bękarta, którego nikt nie chce, a najmniej ona sama. Bądź dobrej myśli! Jakoś to wszystko uratujemy.

Suldrun powiedziała ze smutkiem:

– Niewiele tu jest do ratowania.

– Zobaczymy!

Siostrzenica Ehirme urodziła bękarta, dziewczynkę, zgodnie z zewnętrznymi oznakami. Tak jak poprzednie noworodki dziecko dostało konwulsji i zmarło po paru jęknięciach.

Ciało zapakowano do skrzyneczki, nad którą – jako że siostrzenicę nakłoniono do przejścia na chrześcijaństwo – brat Umphred odmówił kilka pobożnych słów i skrzyneczka została zabrana przez Ehirme, która miała pochować noworodka.

W południe następnego dnia Suldrun zaczęła rodzić. Przed zachodem słońca, wymęczona, z podkrążonymi oczami, ale w miarę radosna, urodziła syna. Dała mu na imię Dhrun, na pamiątkę danańskiego bohatera, który władał światem Arktura.

Ehirme umyła dobrze Dhruna i ubrała go w czystą koszulkę. Wieczorem pojawiła się z małą skrzyneczką. Pod drzewem oliwnym wykopała płytki grób, do którego bezceremonialnie zsunęła martwe dziecko siostrzenicy. Potem spaliła skrzyneczkę na palenisku. Suldrun, leżąc na łóżku, rozszerzonymi ze zdziwienia oczami obserwowała Ehirme.

Ehirme odczekała, dopóki ogień nie przygasł i dziecko nie zasnęło.

– Teraz muszę odejść – rzekła. – Nie powiem ci, dokąd zabiorę Dhruna, ale w żadnym wypadku Casmir nie będzie mógł mu zagrozić. Za miesiąc, dwa lub trzy znikniesz i ty, i będziesz odtąd żyć razem z dzieckiem, mam nadzieję, bez zmartwień i w radości.

Suldrun powiedziała słabym głosem:

– Ehirme, ja się boję!

Ehirme zgarbiła się, jakby pod nagłym ciężarem.

– Prawdę mówiąc, ja też się boję. Cokolwiek jednak nastąpi, zrobiliśmy co w naszej mocy.

Brat Umphred siedział naprzeciwko królowej Sollace przy małym stoliku z hebanu i kości słoniowej. W skupieniu przyglądał się talii drewnianych kart, z których każda wyrzeźbiona była we wzór zrozumiały tylko dla niego. Po obu stronach stołu paliły się świece z wawrzynowego wosku.

Brat Umphred pochylił się do przodu, udając wielkie zdziwienie.

– Czy to możliwe? Kolejne narodziny w rodzinie królewskiej? Królowa Sollace zaśmiała się gardłowo.

– To jest Umphredzie żart albo nonsens.

– Znaki są jednoznaczne. Niebieska gwiazda świeci w grocie nimfy Merleach. Cambianus jest na siódmej pozycji. Tutaj, popatrz teraz, oto inne dowody. Nie można tego interpretować inaczej. Nadszedł ten czas. Moja droga królowo, musisz wezwać eskortę i sprawdzić to osobiście. Niech twoja mądrość to oceni!

– Sprawdzić osobiście? Czy masz na myśli... – W głosie Sollace zabrzmiała nutka podejrzania.

– Wiem tylko to, o czym mówią mi karty.

Sollace wstała i przywołała damy z sąsiedniego salonu.

– Chodźcie! Mam ochotę przejść się na spacer.

Plotkując, śmiejąc się i narzekając na bezcelowy wysiłek przeszli pod arkadą, przez stare drzwi i na dół do kaplicy pomiędzy skałami. Pojawiła się Suldrun. Wiedziała od razu, po co przyszli. Królowa Sollace przyjrzała się jej wnikliwie.

– Suldrun, co to za nonsens?

– Jaki nonsens, matko?

– Że ponoć byłaś brzemienna. Widzę jednak, że tak nie jest, za co niech będą dzięki. Księżę, twoje karty cię oszukały!

– Pani, one rzadko się mylą.

– Widzisz przecież sam!

Brat Umphred zmarszczył brwi i podrapał się po brodzie.

– Nie jest teraz brzemienna, przynajmniej na to wygląda. Królowa Sollace przyglądała mu się przez chwilę, potem weszła do kaplicy i rozejrzała się w środku.

– Nie ma tu żadnego dziecka.

– Jest więc prawdopodobnie gdzie indziej. Całkiem zirytowana królowa dopadła Suldrun.

– Chcę wreszcie dowiedzieć się całej prawdy! Brat Umphred dorzucił zamyślony:

– Jeśli to jakaś zmowa, łatwo będzie to odkryć.

Suldrun rzuciła mu pełne satysfakcji spojrzenie:

– Urodziłam córkę. Otworzyła oczy, ale zobaczyła całe okrucieństwo świata, w jakim musiałyby żyć, zamknęła je więc z powrotem. Pochowałam ją tam w wielkim żalu.

Rozczarowana królowa skinęła na giermka.

– Sprowadź króla, ta sprawa wymaga jego uwagi, nie mojej. Ja przede wszystkim nigdy nie zamknęłabym tu dziewczyny.

Przybył król Casmir, już w złym humorze, który ukrywał pod maską ponurej obojętności. Spojrzał na Suldrun.

– Co się stało?

– Urodziłam dziecko. Ona umarła.

Casmirowi przez myśli przemknęła przepowiednia Desmei, odnosząca się do pierwородnego

syna Suldrun.

– Dziewczynkę? Dziewczynkę?

Kłamstwo przychodziło Suldrun z trudnością. Skinęła głową.

– Pochowałam ją tam, na zboczu.

Król Casmir rozejrzył się po otaczających go twarzach i wskazał na Umphreda.

– Ty, księżu, z twoimi zgrabnymi skojarzeniami i wzniosłymi frazesami, jesteś odpowiednim człowiekiem do tej roboty. Przynieś tutaj ciało.

Gotując się w środku z wściekłości, której nie był w stanie wyrazić, brat Umphred pokornie skinął głową i poszedł do grobu. W ostatnich popołudniowych promieniach słońca rozgrzebywał czarną ziemię delikatnymi, białymi rękami. Po chwili znalazł lniany materiał, w który zawinięte było niemowlę. Kiedy odgarniał resztki ziemi, odsunął się skrawek materiału, zakrywający głowę. Brat Umphred przerwał kopanie. Przez myśl przebiegły mu obrazy i odgłosy przeszłych wydarzeń. Tak samo jednak umknęły mu i przepadły. Uniósł martwe dziecko, zaniósł je do kaplicy i położył przed królem.

Na moment brat Umphred spojrział na Suldrun i napotkał jej wzrok. W tym jednym spojrzeniu przekazał jej, ile krzywdy sprawiły mu przez te lata jej gorzkie uwagi.

– Sir – powiedział – to niemowlę jest płci żeńskiej. Ale to nie jest dziecko Suldrun. Trzy lub cztery dni temu odprawiłem nad tym dzieckiem ostatnią posługę. To jest bękart niejakiej Megweth, spłodzony przez stajennego Ralfa.

Król Casmir zaśmiał się szorstko i chrapliwie.

– I miałem zostać w ten sposób oszukany? – rozejrzył się po towarzyszących mu osobach i wskazał na sierżanta.

– Zabierz księdza i to ciało do matki i dowiedz się całej prawdy. Jeśli niemowlęta zostały zamienione, przynieś tu żywe dziecko.

Wszyscy wyszli z ogrodu, zostawiając Suldrun samą w świetle księżyca.

Sierżant razem z bratem Umphredem odwiedzili Megweth, która udzieliła im zwięzłej informacji, że ciało wzięła Ehirme i miała je pochować.

Sierżant wrócił do Haidionu nie tylko z Megweth, ale również z Ehirme.

Ehirme pokornie zwróciła się do króla Casmira:

– Sir, jeśli uczyniłam źle, zrobiłam to jedynie z miłości dla twojej błogosławionej córki, księżniczki Suldrun, która nie zasłużyła na wszystkie nieszczęścia w jej życiu.

Król Casmir opuścił powieki.

– Kobieto, czyżbyś stwierdzała, że moja ocena nieposłusznej Sul-drun jest niesprawiedliwa?

– Sir, mówię nie z braku szacunku, ale z wiary, że pragniesz słyszeć prawdę z ust swoich poddanych. Myślę, że byłeś zbyt surowy dla biednej dziewczyny. Błagam cię, byś pozwolił jej wieść szczęśliwe życie z jej własnym dzieckiem. Będzie ci dziękowała za twoje miłosierdzie, tak samo jak ja i wszyscy twoi poddani, jako że ona przez całe swoje życie nie zrobiła nic złego.

Zapanowała cisza. Wszyscy ukradkowo spoglądali na króla Casmira, który z kolei zastanawiał się... Kobieta miała oczywiście rację, pomyślał. Okazanie jednak teraz miłosierdzia byoby przyznaniem, że rzeczywiście postąpił zbyt surowo ze swoją córką. Nie widział żadnego odpowiedniego wyjścia z tej sytuacji. Jako że miłosierdzie nie było odpowiednim rozwiązaniem, mógł jedynie trwać przy swoich poprzednich postanowieniach.

– Nie będziemy dłużej o tym dyskutować. Natomiast jeśli chodzi o dziecko, które urodziła księżniczka Suldrun, to zdaje się pochodzić z prawowitego związku małżeńskiego, który czyni je

prawym członkiem rodziny królewskiej, a przez to znajduje się pod moją opieką. Wyślę z tobą seneszała i odpowiednią eskortę, a wy sprowadzicie dziecko do Haidionu, tu jest bowiem jego miejsce.

Ehirme stała niezdecydowana.

– Czy mogę spytać, panie, nie chcąc cię urazić, co stanie się z księżniczką Suldrun, skoro to jest jej dziecko?

Król Casmir znowu zamyślił się głęboko nad odpowiedzią i znowu spokojnie powiedział:

– Jesteś nieugięta w trosce o nieposłuszną księżniczkę. Jeśli chodzi o małżeństwo, unieważniam je jako niezgodne z interesami państwa, natomiast tylko dziecko będzie uznane za prawe. Jeśli chodzi o księżniczkę Suldrun, moja decyzja jest następująca. Jeśli przyzna się do winy i potwierdzi, że będzie odtąd w pełni posłuszna moim rozkazom, może powrócić do Haidionu i zająć się jako matka wychowaniem dziecka. Najpierw jednak natychmiast sprowadzimy tu dziecko.

Ehirme oblizwała usta, grzbietem dłoni potarła nos, spojrzała na prawo i na lewo. Powiedziała niepewnym głosem:

– To bardzo dobre zarządzenie, Wasza Wysokość. Błagam cię, byś pozwolił mi zanieść te słowa nadziei księżniczce Suldrun i ulżyć jej w niedoli. Czy mogę teraz pobiec do ogrodu?

Król Casmir przytaknął ponuro.

– Będiesz mogła tam pójść, jak tylko dowiemy się, gdzie jest dziecko.

– Wasza Wysokość, nie mogę wyjawić jej tajemnicy! Sprowadź ją w swej szczodroblewości tutaj i przekaz jej dobrą nowinę!

Powieki króla Casmira opadły jeszcze niżej.

– Czy przedkładasz lojalność wobec księżniczki nad pośluszeństwo mnie, twojemu królowi? Pytam cię po raz ostatni. Gdzie jest dziecko? Ehirme jęknęła.

– Sir, błagam, spytaj o to Suldrun.

Król Casmir niezauważalnie skinął głową i pstryknął palcami. Znaki te dobrze były znane tym, którzy mu służyli. Ehirme została wyprowadzona z hallu.

Tej nocy Suldrun spała niespokojnie, budzona chwilami przez szalone wycie od strony Peinhadoru. Nie mogła rozpoznać, co to jest i próbowała to ignorować.

Padraig, trzeci syn Ehirme, przebiegł przez Urquial na Peinhador i rzucił się do stóp Zerlinga.

– Starczy! Ona ci nie powie, ale ja ci powiem! Dopiero wróciłem z Glymwode, dokąd zabrałem tego przekłętą bękartą, tam go znajdziecie.

Zerling przestał torturować umęczone, zakrwawione ciało i poinformował króla Casmira, który natychmiast wysłał powozem czterech rycerzy i dwie niańki, aby sprowadzili dziecko. Potem zapytał Zerlinga:

– Czy dowiedziałeś się tego od kobiety?

– Nie, Wasza Wysokość. Ona nie będzie mówić.

– Obetniesz jej mężowi i synom stopę i rękę, chyba że wreszcie przemówi.

Ehirme zamglonymi oczami przyglądała się przerażającym przygotowaniom. Zerling powiedział:

– Kobieto, ludzie zostali wysłani, żeby sprowadzić dziecko z Glymwode. Król upiera się jednak, żeby nakłonić cię do posłuszeństwa jego rozkazom, byś odpowiedziała na pytanie. W przeciwnym razie twój mąż i synowie stracą stopę i rękę. Pytam cię – gdzie jest dziecko?

Padraig zawołał:

– Powiedz, matko! Milczenie nie ma już sensu! Ehirme wyjęczała chrapliwie:

– Dziecko jest w Glynwode. Macie, co chcieliście.

Zerling zwolnił mężczyzn i wysłał ich na Urquial. Potem przeciął Ehirme język nożycami i rozpalonym żelazem przypalił ranę, żeby zatamować krew. Była to ostateczna kara, na jaką Casmir skazał Ehirme.

Pierwszy dzień w ogrodzie minął powoli, chwile niepewności nadciągały jedna za drugą, każda zbliżająca się jak gdyby na palcach, przebiegając przez płaszczyznę teraźniejszości i znikając pomiędzy szarościami i cieniami przeszłości.

Drugi dzień był mglisty, niemal bezwietrzny, ale w powietrzu wisiała ciężka zapowiedź czegoś, co miało wkrótce nastąpić.

Trzeci dzień, nadal mglisty, był jakby pozbawiony delikatnego uroku, a jednak czuło się niewinność i słodycz, jakby oczekiwanie na odnowę. Tego dnia Suldrun wolno obeszała ogród, zatrzymując się od czasu do czasu, aby dotknąć jakiegoś drzewa lub głązu. Z pochyloną głową przeszła się po plaży, tylko raz przystając i spoglądając w stronę morza. Potem weszła na górę i usiadła pomiędzy ruinami.

Minęło popołudnie. Złota pora na marzenia, a kamienne urwiska stanowiły cały jej wszechświat.

Słońce zachodziło cicho i łagodnie. Suldrun zamyślona pokiwała głową, jakby znajdując ostateczną odpowiedź na dręczące ją wątpliwości, a po policzkach płynęły jej łzy.

Na niebie pojawiły się gwiazdy. Suldrun zeszła do starego drzewa cytrynowego i powiesiła się w ich bladym cieniu. Księżyc wychodzący znad krawędzi urwiska rozjaśnił wątłe ciało i smutną, słodką twarz, na której nowe doświadczenia odcisnęły już swe piętno.



Na dnie lochu Aillas nie uważał się już dłużej za samotnego. Z wielką cierpliwością ułożył wzdłuż ściany dwanaście szkieletów. W dawno minionych dniach, kiedy każdy reprezentowany przez kościotrupa mężczyzna stał się więźniem tego lochu, wydrapał on na skalnej ścianie swoje imię, czasami jakąś sentencję. Nikt nie został uratowany, zwolniony, nikt nie uciekł. Taką przynajmniej wiadomość zawierały te napisy. Aillas zaczął wydrapywać swoje imię przy pomocy sprzączki od paska. Potem jednak w nagłym gniewie rzucił to zajęcie. Taki akt oznaczał rezygnację i zapowiedź trzynastego szkieletu na dnie lochu.

Aillas poradził się swoich nowych przyjaciół. Każdemu przypisał imię, niekoniecznie jego własne.

– Mimo tego – powiedział im Aillas – imię jest imieniem, a gdyby któryś z was zwrócił się do mnie nieprawidłowo, nie uznaję tego za obrazę. – Poprosił ich wszystkich o uwagę. – Panowie, zebraliśmy się tutaj, aby podzielić się doświadczeniami i uzgodnić wspólny punkt widzenia. Nie ma żadnych zasad pierwszeństwa, każdy może zabrać głos, ograniczają nas jedynie dobre obyczaje.

Głównym tematem naszych rozważań będzie „ucieczka”. Zastanawialiśmy się nad tym wszyscy, najwyraźniej bezskutecznie. Niektórym z was może się to wydawać sprawą pozbawioną już jakiegokolwiek znaczenia. Jednakże zwycięstwo jednego z nas, będzie zwycięstwem wszystkich! Przedstawmy okładnie ten problem. Mówiąc krótko, jest to sprawa dostania się do szybu, a stamtąd na powierzchnię. Jestem przekonany, że gdyby udało mi się sięgnąć szybu, mógłbym wspiąć się do góry, odpychając się od ścian.

W tym celu muszę unieść się na wysokość dwunastu stóp i jest to niemal niewykonalne. Nie potrafię skoczyć tak wysoko. Nie mam drabiny. Wy, koledzy, macie silne kości, ale brakuje wam ścięgien i mięśni... Ale zaraz, zaraz, czy to możliwe, aby osiągnąć coś, w umiejętny sposób łącząc ze sobą te kości przy pomocy liny? Widzę przed sobą dwanaście czaszek, dwanaście kości miednicowych, dwadzieścia cztery kości udowe, dwadzieścia cztery kości goleniowe i podobną liczbę z kończyn górnych i dolnych, wiele żeber i znaczną liczbę części dodatkowych.

Panowie, mamy pracę do zrobienia. Nadszedł czas na przerwę w obradach. Czy ktoś chciałby zabrać głos? Odezwał się gardłowy głos:

– Rozwiązuję obrady *sine die*\*

\* *sine die* – na czas nie określony, bez podania terminu następnego spotkania ( przyp. tłum. ).

Aillas przyjrzał się szkieletom. Który z nich przemówił? A może to był jego własny głos? Po chwili milczenia zapytał:

– Czy są głosy przeciwne? Cisza.

– W takim razie zebranie zostaje rozwiązane.

Natychmiast zabrał się do pracy, rozkładając każdy szkielet, sortując części, próbując nowych kombinacji w celu otrzymania najlepszych połączeń. Potem zaczął budować, łącząc kości z uwagą i precyzją, ścierając je na kamieniach, jeśli to było konieczne, i zabezpieczając połączenia włóknami z liny. Zaczął od miednic, które połączył pałakami wygiętych żeber. Na tej podstawie zamontował cztery największe kości udowe, na które nałożył dalsze cztery miednice i znowu zabezpieczył je żebrami. Na tej platformie umieścił kolejne cztery kości udowe i ostatnie miednice, podwójnie je zabezpieczając. Otrzymał w ten sposób dwustopniową drabinę, która przetestowana utrzymywała jego ciężar bez zarzutu. Dobudowywał kolejne stopnie. Pracował bez pośpiechu, dni zamieniały się w tygodnie, ale zależało mu na tym, żeby w krytycznym momencie drabina nie zawiodła. Przy pomocy kościanych kołków, wbitych w podłogę, i liny wzmocnił drabinę po bokach, żeby się nie kołysała.

Całość była tak solidna, że poczuł dzięką satysfakcję. Drabina była teraz skończoną całością, pięknym samym w sobie, że nawet ucieczka zaczęła być mniej ważna od tej wspaniałej konstrukcji. Delektował się badaniem czystych, białych puszczeli, precyzyjnych połączeń, szlachetnego pionowego kierunku.

Drabina była skończona. Najwyższy poziom, składający się z kości łokciowych, sięgał na dwie stopy poniżej wylotu szybu. Aillas, zachowując wielką ostrożność, ćwiczył wchodzenie do szybu. Mógł uciekać w każdej chwili, pozostawało jedynie poczekanie na następny kosz z chlebem i wodą, chciał bowiem uniknąć spotkania z Zerlingiem. Kiedy przy następnej racji żywnościowej Zerling wyciągnie nie tknięte jedzenie, pokiwa ze zrozumieniem głową i odtąd nie będzie już przynosił go do lochu.

Chleb i wodę spuszczone w południe. Aillas wyjął je z kosza, który został wyciągnięty do góry. Mijało popołudnie, nigdy jeszcze czas nie płynął tak powoli. Nadszedł wieczór. Aillas wspiął się po drabinie. Plecami oparł się o jedną ścianę szybu, nogami o drugą i tak utrzymywał się w miejscu. Potem wolno, sześciooalowymi odcinkami, wciągał się do góry. Na początku niezręcznie, z obawy że mógłby się ześlizgnąć, potem coraz łatwiej. Raz i drugi zatrzymał się na odpoczynek. Ostatni raz przystanął na trzy stopy od powierzchni i nasłuchiwał.

Cisza.

Ruszył dalej, zgrzytając zębami i wykrzywając się z wysiłku. Zarzucił ramiona na niski murek i przetoczył się na drugą stronę. Poczuł nogami pewną ziemię, stanął wyprostowany.

Otoczała go noc. Z jednej strony czarna masa Peinhadoru przesłaniała niebo. Aillas pochylony podbiegł do starego muru, który otaczał Urquial. Jak wielki czarny szczur prześlizgnął się w ciemnościach ku drzwiom do ogrodu.

Były uchylone i wisiały na wyrwanym zawiasie. Aillas niepewnie spojrzął na dół. Zaniepokojony wślizgnął się do środka.

Ciemność przywitała go pustką. Wyczuł, że ogród jest nie zamieszkały.

Zszedł do kaplicy. Tak jak się spodziewał, nie paliła się tam żadna świeca, a w palenisku dawno nikt nie rozpalał ognia. Zszedł na dół ścieżką. Wschodzący ponad wzgórzami księżyc oświetlił puste marmurowe ruiny. Aillas przystanął, rozejrzał się i nasłuchiwał, potem podszedł do drzewa cytrynowego.

– Aillasie.

Zatrzymał się. Ponownie usłyszał głos, przemawiający straszliwym półszepcetem.

– Aillasie.

Stanął pod drzewem cytrynowym.

– Suldrun? Jestem tutaj. Obok drzewa stał mglisty cień.

– Aillasie, Aillasie, przybywasz zbyt późno, oni zabrali naszego syna.

Aillas zapytał zdumiony:

– Naszego syna?

– Ma na imię Dhrun i zostaliśmy na zawsze rozdzieleni... Och, Aillasie, to takie nieprzyjemne być martwą.

Aillasowi popłynęły po policzkach łzy.

– Biedna Suldrun. Jak mogli ci zrobić coś takiego?

– Życie nie było dla mnie łaskawe. Teraz się skończyło.

– Suldrun, wróć do mnie!

Blady cień poruszył się i zdawał się uśmiechać.



– Nie. Jestem zimna i wilgotna. Nie boisz się?

– Nigdy już nie będę się bać. Weź mnie za rękę, ogrzeję cię. Cień znowu poruszył się w księżycowym świetle.

– Jestem Suldrun, a jednak nie jestem Suldrun. Przenika mnie chłód, jakiego całe twoje ciepło nie jest w stanie rozpać... Zmęczyłam się, muszę iść.

– Suldrun! Zostań ze mną, błagam cię!

– Drogi Aillasie, byłabym dla ciebie złym towarzystwem.

– Kto nas zdradził? Książdz?

– On, w rzeczy samej. Znajdź naszego synka, Dhruna, obdarz go opieką i miłością. Powiedz, że to zrobisz!

– Zrobię co w mojej mocy.

– Drogi Aillasie, muszę iść.

Aillas został sam z sercem zbyt wypełnionym żalem, żeby zdobyć się na łzy. W ogrodzie poza nim nie było nikogo. Księżyc był wysoko na niebie. W końcu Aillas poruszył się. Pod korzeniami drzewa cytrynowego znalazł lustro Persiliana i sakiewkę, w której były monety i klejnoty z komnaty Suldrun.

Resztę nocy spędził na trawie w oliwnym gaju. O świcie wspiał się na skały i ukrył w krzakach przy drodze.

Od strony Kercelotu, drogą wiodącą na wschód wzdłuż wybrzeża, nadeszła grupa żebraków i pielgrzymów. Aillas przyłączył się do nich i tak dotarł do miasta Lyonesse. Czy ktoś mógł go rozpoznać? Wcale się tego nie obawiał. Kto rozpoznałby w tym obdartym, wybiedzonym włóczędze księcia Aillasa z Troicinetu?

Na skrzyżowaniu Sfer Arct z Chale znajdowało się wiele zajazdów. Aillas wynajął pokój w „Czterech Malwach” i żeby uspokoić skręcający się żołądek, zjadł wreszcie w spokoju kolację złożoną z kapuśniaku oraz chleba i wina. Jadł ostrożnie, żeby jego skurczonemu żołądkowi nie zaszkodziło tak sute jedzenie. Kiedy zaspokoił głód, zrobił się śpiący. Poszedł do swojej izdebki, wstrząsnął siennik i spał aż do następnego popołudnia.

Kiedy się obudził, widok ścian go przeraził. Leżał na plecach, trzęsąc się, aż w końcu uspokoiło się jego walące serce... Przez chwilę siedział ze skrzyżowanymi nogami na sienniku, spocony z przerażenia. W jaki sposób udało mu się nie postradać zmysłów w takich ciemnościach i tak głęboko pod ziemią? Wiele ważnych spraw czekało teraz na niego. Potrzebował czasu na myślenie, ułożenie planu, odzyskanie sił.

Wstał i wyszedł przed gospodę, gdzie winorośl i pnące róże ocieniały stoły i ławy przed gorącym popołudniowym słońcem.

Usiadł na ławie stojącej najbliżej drogi, a chłopak obsługujący gości przyniósł mu piwo i smażone placki jęczmienne. w Aillasie kłębiły się sprzeczne pragnienia. Z jednej strony była to tęsknota za Watershade, tak silna, że niemal nie do zniesienia. Z drugiej pragnienie, wsparte dodatkowo złożonym zobowiązaniem, znalezienia syna.

Fryzjer w porcie ogolił go i obciął mu włosy. Aillas kupił sobie nowe ubranie na straganie, skorzystał z łaźni publicznej, przebrał się w czyste rzeczy i od razu poczuł się nieporównywalnie lepiej. Można go było teraz wziąć za marynarza lub ucznia kupieckiego.

Wrócił na podwórko przed „Czterema Malwami”, gdzie o tej godzinie po południu robiło się nader tłoczno. Aillas, pijąc piwo, podsłuchiwał docierających do niego strzępków rozmów, mając nadzieję na jakieś wiadomości. Na przeciwko niego przy stole usiadł stary mężczyzna

Orumianej twarzy, jedwabistych siwych włosach i łagodnym spojrzeniu błękitnych oczu.

Przyjaźnie przywitał się z Aillasem, zamówił piwo

I rybne placki i, nie tracąc czasu, od razu wciągnął Aillasa do rozmowy. Aillas, świadomy niezliczonych szeregów informatorów Casmira, odpowiadał z prostolinijną niewinnością. Stary człowiek miał na imię Byssante, jak domyślił się Aillas z pozdrowienia przechodnia. Nie trzeba go było bardzo zachęcać, żeby zaczął sypać najróżniejszymi wiadomościami jak z rękawa. Napomknął coś o wojnie i Aillas domyślił się, że sytuacja zasadniczo się nie zmieniła. Flota Troicinetu blokowała ruch we wszystkich portach Lyonesse. Troicyjskie statki wojenne pokonały w bitwie Skalradów, skutecznie uniemożliwiając im wstęp na wody Liru.

Aillas mówił tylko:

– Ach tak! – oraz – No tak, rozumiem! – albo – Niestety, takie rzeczy się zdarzają! – to jednak wystarczało, szczególnie, kiedy zamówił następny kufel piwa dla swego rozmówcy.

– Plany Casmira znacznie przerastają jego możliwości i możliwości Lyonesse, choć podejrzewam, że gdyby usłyszał moje zdanie, bez wahania nadziałby mnie na pal. A sytuacja może się stać jeszcze gorsza, zależnie od tego, kto będzie następcą tronu w Troicinecie.

– Jak to?

– No cóż, król Granice jest stary i żwawy, ale nie będzie żył wiecznie. Gdyby umarł dzisiaj, koronę przejmie Ospero, któremu brak jakiegokolwiek zawzięcia. Kiedy on umrze, księżę Trewan otrzyma koronę, jako że syn Ospera zginął na morzu. Jeśli Ospero umrze wcześniej niż Granice, Trewan bezpośrednio wstąpi na tron. Mówi się, że Trewan to straszliwy wojownik, Lyonesse może oczekiwać najgorszego. Gdybym był królem Casmirem, podpisałbym pokój na najdogodniejszych możliwych warunkach i odstawił na bok swoje wielce ambitne plany.

– To mogłoby być najlepsze wyjście z sytuacji – zgodził się Aillas. -Ale co z księciem Abrametem? Czyż nie jest on pierwszy w linii do tronu po Granisie?

– Abramet zmarł od ran, których się nabawił spadając z konia, coś ponad rok temu. Ale to niczego nie zmienia. Jeden jest równie zapalczywy jak drugi, teraz nawet Skalradzi nie ośmielają się tu przyplęwać. Ach, moje gardło! Zaszło mi od tego gadania. No co, chłopcze? Możesz postawić staruszkowi kufelek piwa?

Bez zbytniego entuzjazmu Aillas przywołał chłopca z gospody.

– Miarę piwa dla tego szlachcica. Dla mnie nic.

Byssante mówił dalej, a Aillas zastanawiał się nad wszystkim, co usłyszał. Księżę Abramet, ojciec Trewana, żył jeszcze, kiedy wypływali na pokładzie *Smaadry*. Linia sukcesji do tronu była prosta – Granice, Abramet i Trewan, a dalej męscy potomkowie Trewana. W Ys Trewan odwiedził troicyjską kogę i wtedy najwyraźniej dowiedział się o śmierci ojca. Z jego punktu widzenia kolejność następstwa tronu zmieniła się boleśnie – Granice, Ospero i Aillas, pomijając zupełnie Trewana. Wcale nie dziwne, że wrócił na pokład w takim ponurym nastroju! I wcale nie jest też tajemnicą, dlaczego musiał zamordować Aillasa!

Szybki powrót do Troicinetu był koniecznością. Ale co z Dhrunem, jego synem?

Jakby w odpowiedzi Byssante szturchnął go kciukiem.

– Popatrz tam! Rodzina królewska z Lyonesse wybrała się na popołudniową przejażdżkę!

Na przedzie jechało dwóch konnych heroldów, a za nimi dwunastu żołnierzy w mundurach. Potem jechał wspaniały powóz ciągnięty przez sześć białych jednoroźców. Przodem do kierunku jazdy siedział król Casmir i księżę Cassander, smukły czternastoletni młodzieniec o dużych oczach. Naprzeciwko siedziała królowa Sollace w sukni z zielonego jedwabiu i Fareult, księżna z Relsimore, która trzymała na kolanach, a raczej próbowała zapanować nad rudowłosym niemowlakiem w białych szatkach. Dziecko chciało się wspiąć na tylne siedzenie, pomimo napomnień księżnej Fareult

i groźnych spojrzeń króla Casmira. Królowa Sollace patrzyła w zupełnie inną stronę.

– Oto i rodzina królewska – powiedział Byssante z pobłażliwym machnięciem ręki. – Król Casmir, książę Cassander i królowa Sollace z damą, której nie znam. Obok niej stoi księżniczka Madouc, córka księżniczki Suldrun, która sama zadała sobie śmierć.

– Księżniczka Madouc? Dziewczynka?

– Aha, i mówią, że to bardzo dziwna istota. – Byssante skończył pić piwo. – Szczęściarz z ciebie, udało ci się zobaczyć królewską pompę jak na wyciągnięcie ręki! A teraz idę się przespać.

Aillas poszedł do swego pokoju. Usiadł na krześle, rozwinął Persiliana i postawił go na nocnym stoliku. Zwierciadło w jednym ze swych kapryśnych nastrojów odbiło ścianę do góry nogami, potem odwróciło z prawej strony na lewą, pokazało okno wychodzące na stajnię, przez które na końcu zajrzał król Casmir.

Aillas powiedział:

– Persilanie.

– Jestem tutaj.

Aillas ostrożnie dobierał słowa, żeby nieopatrnie nie sformułować banalnej uwagi w postaci pytania.

– Mogę zadać ci trzy pytania, nie więcej.

– Możesz zadać czwarte pytanie. Odpowiem na nie, ale potem będę wolny. Jedno pytanie już zadałeś.

Aillas rzekł z uwagą:

– Chcę odnaleźć mego syna Dhruna, wziąć go pod swoją opiekę, a potem szybko i bezpiecznie wrócić z nim do Troicinetu. Powiedz mi, jak to najlepiej zrobić.

– Musisz sformułować te wymagania w postaci pytania.

– Jak mogę zrobić to, co przed chwilą opisałem?

– To są w zasadzie trzy pytania.

– Dobrze więc – powiedział Aillas. – Powiedz mi, jak mam znaleźć mojego syna.

– Zapytaj Ehirme.

– Tylko tyle? – krzyknął Aillas. – Dwa słowa, nic więcej?

– Odpowiedź jest wystarczająca – odrzekł Persilian i nie odezwał się już więcej. Aillas zawiązał lustro w materiał i wsunął je pod siennik.

Było późne popołudnie. Aillas przeszedł się przez Chale, zamyślony nad tym wszystkim, czego się dowiedział. W sklepie mauretańskiego złotnika postanowił sprzedać dwa szmaragdy należące kiedyś do Suldrun, każdy wielkości grochu.

Mauretańczyk po kolei obejrzał klejnoty, używając szkła powiększającego dziwnego nowego rodzaju. Po dokonaniu oceny odezwał się sztucznie obojętnym głosem:

– To doskonałe klejnoty. Zapłacę po sto srebrnych florenów za każdy, około połowę ich wartości. To moja pierwsza, ostatnia i jedyna oferta.

– W porządku – odparł Aillas. Mauretańczyk dał mu złote i srebrne monety, które Aillas zapakował do sakiewki za pasem i wyszedł ze sklepu.

O zachodzie słońca wrócił do „Czterech Malw”, gdzie zjadł na kolację smażoną rybę, chleb i napił się wina. Spał mocno i spokojnie, a kiedy się obudził, loch zdawał się już tylko złym snem. Zjadł śniadanie, zapłacił rachunek, zarzucił worek z Persilianem na ramię i wyruszył na południe drogą wzdłuż wybrzeża.

Pamiętając okolicę od swej poprzedniej wizyty, trafił do gospodarstwa, gdzie mieszkała Ehirme. Tak jak poprzednio zatrzymał się przy żywopłocie i rozejrzał dookoła. Tak jak poprzednio

mężczyzna i chłopcy kosili siano. W warzywniaku krępa staruszka pochylała się nad kapustą, wrywając motyką chwasty. Kiedy Aillas się jej przyglądał, trzy małe prosiaki uciekły z zagrody i żwawo potruchtały na zagonek z rzepami. Staruszka wrzasnęła w dziwny, chrapliwy sposób i z chaty wybiegła mała dziewczynka, która zaczęła zaganiać prosiaki, biegające wszędzie, tylko nie w stronę chlewu.

Dziewczynka zadyszana przebiegła przez bramę. Aillas zatrzymał ją.

– Mogłabyś powiedzieć Ehirme, że ktoś przy bramie chce z nią porozmawiać?

Dziewczynka przyjrzała mu się niepewnie i z nieufnością.

Zawołała na starą kobietę, która odchwaszczała kapustę, a potem pogoniła dalej za prosiakami.

Za nią pobiegł mały czarny pies.

Stara kobieta przykuśtykała do bramy. Miała zarzuconą chustę na głowę, która zsuwała się jej na czoło i kryła w cieniu rysy twarzy.

Aillas spoglądał na nią zakłopotany. Ta zgarbiona staruszka, czy to była Ehirme? Podeszła bliżej. Najpierw krok lewą nogą, potem wygięcie biodra i zaciągnięcie prawej nogi. Zatrzymała się. Na jej twarzy widać było dziwne zniekształcenia i blizny. Oczy miała głęboko zapadnięte w oczodołach..

Aillas wyjąkał:

– Ehirme, co ci się stało?

Ehirme otworzyła usta i wydobyła z siebie szereg gardłowych dźwięków, zupełnie niezrozumiałych dla Aillasa. Zniechęcona machnęła ręką i zawołała dziewczynkę, która stanęła obok niej. Dziewczynka powiedziała Aillasowi:

– Król Casmir przeciął jej język i całą ją poranił.

Ehirme mówiła, dziewczynka słuchała uważnie, potem zwróciła się do Aillasa i przetłumaczyła:

– Ona chce wiedzieć, co się z tobą działo.

– Wrzucili mnie do podziemnego lochu. Uciekłem, a teraz chcę znaleźć mojego syna.

Ehirme coś powiedziała, a dziewczynka tylko potrząsnęła głową. Aillas zapytał:

– Co powiedziała?

– Coś o królu Casmirze.

– Ehirme, gdzie jest mój syn, Dhrun?

Chwila niezrozumiałego burczenia, które dziewczynka przetłumaczyła:

– Ona nie wie, co się stało. Wysłała dziecko do jej matki, która mieszka pod wielkim lasem.

Casmir wysłał tam swoich ludzi, ale oni przywieźli z powrotem dziewczynkę. A więc chłopiec musi ciągle tam być.

– Jak znajdę to miejsce?

– Jedź Starym Szlakiem, potem na wschód do Małego Saffield. Tam skręć na północ do Tawn Timble, a stamtąd do wioski Glymwode. Kiedy dotrzesz na miejsce, zapytaj o drwala Graithe i Wynes, jego żonę.

Aillas wyciągnął z sakiewki naszyjnik z różowych pereł. Dał go Ehirme, która przyjęła podarunek bez entuzjazmu.

– To był naszyjnik Suldrun. Kiedy wrócę do Troicinetu, przyślę po ciebie i będziesz żyć wygodnie i w zadowoleniu.

Ehirme jęknęła niskim głosem.

– Ona mówi, że to miło z twojej strony, ale nie wie, czy mężczyźni będą chcieli zostawić swoją ziemię.

– Uzgodnimy to później. Tutaj jestem tylko Aillasem włóczęgą i nie mam nic do ofiarowania

poza wdzięcznością.

– Niech i tak będzie.

Dzień miał się już ku zachodowi, kiedy Aillas dotarł do Małego Saf-field, miasteczka targowego nad rzeką Timble, wybudowanego z miejscowego szarego kamienia. W centrum znalazł zajazd „Pod Czarnym Wołem”, gdzie wynajął pokój na noc.

Rankiem wyruszył aleją prowadzącą na północ wzdłuż rzeki, w cieniu rosnących na brzegu topoli. Nad polami krążyły kruki, powiadamiając o jego obecności wszystkich, którzy chcieli słuchać.

Przez poranną mgłę przedostało się światło słoneczne i ogrzało mu twarz, która traciła powoli więzienną bladość. Kiedy szedł, dziwna myśl przysłała mu do głowy: „Któregoś dnia muszę wrócić i odwiedzić moich dobrych dwunastu przyjaciół...” Zachnął się. Co za pomysł! Wrócić do tej ciemnej dziury? Nigdy... Zastanowił się. Dzisiaj Zerling powinien spuścić kosz z jedzeniem. Nikt nie wyjmie z niego chleba ani wody i biedny nieszczęśnik pod ziemią zostanie uznany za martwego. Zerling prawdopodobnie doniesie o tym królowi Casmirowi. Jak król zareaguje na taką nowinę? Obojętnie wzruszy ramionami? Czy zaciekawia się choć trochę losiem tego, kto był ojcem jego wnuka? Aillas uśmiechnął się do siebie i przez chwilę zabawiał się wymyślaniem rozmaitych wersji przyszłych wydarzeń.

Krajobraz na północy kończył się ciemną smugą na horyzoncie -Puszczą Tantrevalles. W miarę jak Aillas był coraz bliżej, krajobraz się zmieniał. Coraz bardziej wznosił się w górę. Kolory były jakby głębsze i bardziej nasycone. Cienie bardziej wyraziste. Rzeka Timble płynęła w cieniu wierzb i topoli, wiła się meandrami. W końcu droga odbiła od brzegu i doprowadziła go do Tawn Timble.

W gospodzie Aillas zjadł danie z grubej fasoli i napił się piwa z kamiennego kubka.

Droga do Glynwode prowadziła przez łąki, coraz bliżej lasu, czasami wspinając się na małe wzgórze, czasami nieopodal małych zagajników.

Wczesnym popołudniem Aillas dotarł wreszcie do Glynwode. Gospodarz w zajęzdzie „Pod Żółtym Człowiekiem” skierował go do chaty drwala Graithe. Zapytał zdumiony:

– Cóż sprowadza tak wielu ludzi do Graithe'ego? Jest zwykłym człowiekiem i zaledwie drwalem.

– Wyjaśnienie jest wystarczająco proste – odparł Aillas. – Pewni arystokraci z miasta Lyonesse chcieli wychować dziecko w ciszy i spokoju, jeśli rozumiesz o co mi chodzi, a potem zmienili zdanie.

– Aha! – gospodarz porozumiewawczo potarł się po nosie. – Teraz wszystko jest jasne. Jakkolwiek by było, to daleka droga, jedynie po to aby utrzymać sprawę w tajemnicy.

– Ba! Nie można oczekiwać, że wysoko urodzeni będą mieli olej w głowie!

– To prawda! – oświadczył gospodarz. – Bujają głowami w obłokach! Dobrze więc, znasz drogę. Nie zbaczaj do lasu, szczególnie po zapadnięciu zmroku. Mógłbyś znaleźć to, czego nie szukałeś.

– Według wszelkiego prawdopodobieństwa będę z powrotem przed zachodem słońca. Czy będziesz mieć dla mnie wolne łóżko?

– Aha. Jeśli nie znajdę nic lepszego, dostaniesz siennik na strychu. Aillas wyszedł z gospody i po pewnym czasie znalazł chatę

Graithe'ego i Wynes. Stała na skraju lasu, była zbudowana z drewnianych belek i szarego kamienia, była pokryta strzechą i miała tylko dwa małe pokoje. Krępy, stary siwobrody mężczyzna

rąbał drewno na opał. W ogrodzie pracowała tęga kobieta w grubo tkanej sukni i chuście na głowie. Kiedy zobaczyli Aillasa, stanęli prosto i obserwowali, jak nadchodzi.

Aillas zatrzymał się przed wejściem na podwórko i czekał, aż wolno do niego podeszli.

– Czy to wy jesteście Graithe i Wynes? – zapytał Aillas. Mężczyzna lekko skinął głową.

– Kim jesteś? Czego chcesz?

– Przysłała mnie tu twoja córka, Ehirme.

Stali oboje, obserwując go, nieruchomo jak posągi. Aillas niemal wyczuł zapach strachu. Powiedział:

– Nie przybyłem was niepokoić. Wręcz przeciwnie. Jestem mężem Suldrun i ojcem naszego dziecka. To był chłopiec o imieniu Dhrun. Ehirme go tu przysłała. Żołnierze króla Casmira przywieźli z powrotem dziewczynkę o imieniu Madouc. Gdzie wobec tego jest mój syn Dhrun?

Wynes zaczęła lamentować. Graithe uniósł rękę.

– Cicho kobieto, nie zrobiliśmy nic złego. Chłopcze, jakkolwiek byś miał na imię, my nie mamy z tym już nic wspólnego. Nasza córka przeszła przez wielkie cierpienia. Cała nasza nienawiść skupia się na tych, którzy się do tego przyczynili. Król Casmir zabrał dziecko, nie mam nic więcej do powiedzenia.

– Tylko jedno. Casmir wrzucił mnie do lochu, z którego właśnie uciekłem. Jest moim wrogiem, w takim samym stopniu jak i twoim, i dowie się o tym któregoś dnia. Proszę o to, do czego mam prawo. Dajcie mi mojego chłopca albo powiedzcie, gdzie go mogę znaleźć.

– Dla nas to nie ma żadnego znaczenia! – zapłakała Wynes. – Jesteśmy starzy. Żyjemy z dnia na dzień. Kiedy zdechnie nam koń, jak będziemy wozić drewno do wioski? Pewnej zimy umrzemy z głodu.

Aillas sięgnął do sakiewki i wyciągnął jeszcze jeden klejnot Suldrun – bransoletę ze złota wysadzaną granatami i rubinami. Dołożył do tego dwie złote korony.

– Teraz mogę wam pomóc tylko w taki sposób, ale przynajmniej nie będziecie musieli obawiać się głodu. Powiedzcie mi teraz, gdzie jest mój syn.

Wynes z wahaniem wzięła podarunek.

– No, dobrze. Powiem ci o twoim synu. Graithe poszedł do lasu nazbierać chrustu. Niosłam dziecko w koszyku i postawiłam go na ziemi, kiedy zbierałam grzyby. Niestety! Byliśmy blisko Szalonej Łąki i elfy z Thripsey Shee zabawiły się naszym kosztem. Zabrały chłopca i zostawiły w koszyku elfowe dziecko. Niczego nie zauważyłam, dopóki nie sięgnęłam po niemowlaka, bo mnie ugryzło. Wtedy się przyjrzałam i zobaczyłam rudowłosą bękarcią dziewczynkę i domyśliłam się, że to elfy maczały w tym palce.

Odezwał się Graithe:

– Przyjechali żołnierze króla. Zażądali dzieciaka, grożąc nam śmiercią, a my daliśmy im podrzutka, do licha z nim.

Aillas spoglądał na nich osłupiony. Potem odwrócił się w stronę lasu. W końcu powiedział:

– Czy możesz zaprowadzić mnie do Thripsey Shee?

– Tak, mogę cię tam zabrać, ale paskudnie na tym wyjdiesz, na przykład zamienią ci głowę na ropuchę, jak to zrobiły z poganiaczem bydła Wilclawem. Albo rzucą na ciebie zakłęcie, tak że nieustannie będziesz tańczył po drogach, bo taki los spotkał chłopaka o imieniu Dingle, kiedy go złapały, jak wyjadał im miód.

– Nigdy nie zaczynaj z elfami – powiedziała mu Wynes i bądź wdzięczny, jeśli zostawią cię w spokoju.

– Ale co z moim synem, Dhrunem! Co się z nim dzieje?







## Rozdział 18

W Puszczy Tantrevalles i jej okolicach istniało około stu siedzib elfowych, tak zwanych shee. W każdej mieszkało jedno elfowe plemię. Thripsey Shee na Szalonej Łące, która znajdowała się nie dalej niż milę w głąb lasu, rządzona była przez króla Throbiusa i jego małżonkę królową Bossum. Jego królestwo obejmowało Szaloną Łacę i tyle otaczającego ją lasu, ile uznał za odpowiadające jego godności. W Thripsey było osiemdziesiąt sześć elfów. Pomiędzy nimi znajdowali się:

BOAB – który występował pod postacią jasnozielonego młodzieńca ze skrzydłami i czułkami pasikonika. Nosił ze sobą czarne pióro do pisania, wyrwane krukowi z ogona, i zapisywał wszystkie wydarzenia i układy, zawierane przez jego plemię, na liliowych płatkach.

TUTTERWIT – chochlik, który lubił odwiedzać ludzkie domy i dręczyć koty. Lubiał również zaglądać przez okna, jęcząc i stękając, dopóki ktoś nie wyjrzał, a potem szybko się ukryć.

GUNDELIN – smukła dziewczyna pełna osobistego czaru, o falujących lawendowych włosach i zielonych paznokciach. Porozumiewała się na migi, stroiła się i płasała, ale z nikim nie rozmawiała, nikt więc dobrze jej nie znał. Spiczastym zielonym jęczyczkiem wylizywała nektar z makowych kwiatów.

WONE – lubiła wstawać wcześnie, przed świtem i smakować rosę zmieszana z nektarem różnych kwiatów.

MURDOCK – bury, gruby goblin, który farbował mysie skórki i z puchu sowych piskląt tkął miękkie szare kocyki dla elfowych dzieci.

FLINK – kuł elfom miecze przy użyciu starożytnych technik. Był wielkim samochwałą i często śpiewał balladę o sławnym pojedynku, jaki stoczył z goblinem Dangottem.

SHIMMIR – bezczelnie przedrzeźniała królową Bossum i po cichu stroiła miny za jej plecami, naśladując jej zamaszty sposób chodzenia. Inne elfy kuliły się wtedy, zaciskając usta rękami, żeby się nie śmiać. Królowa Bossum za karę odwróciła jej stopy, tył do przodu, i doczepiła na nosie wielką kurzajkę.

FALAEEL – występował jako jasnobury skrzat z ciałem chłopca i twarzą dziewczynki. Nieustannie komuś dokuczał, a kiedy wieśniacy chodzili do lasu na grzyby i jagody, to zazwyczaj on sprawiał, że orzechy eksplodowały im w koszykach, a jagody zamieniały się w ropuchy i chrząszcze.

Była także Twisk, która pojawiała się pod postacią rudowłosej dziewczyny ubranej w suknię z szarego, delikatnego jak mgła materiału. Pewnego dnia troll Mangeon przyłapał ją, kiedy się kąpała w stawku Tilhilvelly. Złapał ją w pasie, zaciągnął na brzeg, zdarł z niej sukienkę i gotował się, aby ją posiąść. Na widok jego wykrzywionego członka, groteskowo wielkiego i pokrytego brodawkami, Twisk oszalała z przerażenia. Wiła się i skręcała, rzucała na wszystkie strony, aby wydostać się ze spoconych łapsk Mangeona. Zaczęła jednak tracić siły, a przygniatający ją Mangeon zdawał się coraz cięższy. Próbowwała bronić się czarami, ale w całym tym zamieszaniu potrafiła sobie przypomnieć jedynie zaklęcie cofające puchlinę wodną u zwierząt gospodarskich. Nie mając nic lepszego, zastosowała je i okazało się skuteczne. Masywny członek Mangeona skurczył się do rozmiarów niewielkiego żółędzia i zniknął w fałdach wielkiego, szarego brzucha.

Mangeon wrzasnął przerażony, ale Twisk nie okazała skruchy. Mangeon wpadł w furię.

– Jęzdo, podwójnie mnie oszukałaś i będziesz za to odpowiednio ukarana.

Zabrał ją na drogę na skraju lasu. Na rozstaju zbudował coś w rodzaju krzyżaka z drewnianych desek i przywiązał do tego dziewczynę.

Nad jej głowę umieścił tabliczkę: ZRÓB ZE MNA, NA CO MASZ OCHOTĘ, po czym się

cofnął.

– Zostaniesz tu, dopóki trzech przechodniów, choćby byli głupkami, dusigroszami czy wielkimi panami, nie zabawi się z tobą. Takie właśnie rzucam na ciebie zaklęcie, tak byś w przyszłości była bardziej miła dla tych, którzy przyłapią cię w stawku Tilhilvelly.

Mangeon odszedł, Twisk została sama.

Pierwszy przejeżdżał tamtędy rycerz Jaucinet z zamku Cloud w Da-haucie. Zatrzymał konia i przyglądał się dziewczynie zdumionym wzrokiem.

– „Zrób ze mną, na co masz ochotę” – przeczytał głośno. – Pani, dlaczego znosisz taką zniewagę?

– Sir, nie cierpię tutaj z wyboru – powiedziała Twisk. – Nie przywiązałam się w tej pozycji do krzyżaka i nie umieściłam nad sobą tego napisu.

– Kto jest za to odpowiedzialny?

– Troll Mangeon zrobił to z zemsty.

– W miarę moich sił pomogę ci wobec tego uciec.

Gdy sir Jaucinet zsiadł z konia i zdjął hełm, okazało się, że jest przystojnym mężczyzną o płowych włosach i długich wąsach. Próbował rozluźnić więzy krępujące Twisk, ale na próżno. W końcu powiedział:

– Pani, te więzy są odporne i na nic moje wysiłki.

– W takim razie – westchnęła Twisk – proszę postąpić zgodnie z instrukcją na znaku. Dopiero po trzech takich spotkaniach więzy puszcza.

– Nie jest to czyn godny – powiedział sir Jaucinet. – Dotrzymam jednak obietnicy. – A powiedziawszy to, zrobił co mógł, aby przyspieszyć jej uwolnienie.

Chciał nawet zostać dłużej i pomagać jej w razie potrzeby, ale ubłagała go, żeby odszedł.

– Inni podróżni mogą się zniechęcić na twój widok. Musisz natychmiast odejść! Dzień ma się ku końcowi, a ja mam nadzieję wrócić do domu przed zapadnięciem nocy.

– To mało ruchliwa droga – powiedział sir Jaucinet. – Czasami jednak wędrują tędy włóczędzy i żebracy, może więc szczęście się do ciebie uśmiechnie. Żegnam cię, pani.

Nałożył hełm, wsiadł na konia i odjechał.

Minęła godzina i słońce zaczęło chylić się ku zachodowi. Twisk usłyszała pogwizdywanie i wkrótce zobaczyła młodego wieśniaka, który wracał do domu z pracy na polu. Podobnie jak sir Jaucinet stanął zdumiony, potem zbliżył się powoli. Twisk spojrzała na niego żałośnie.

– Jak widzisz, sir, jestem tu uwiązana, nie mogę odejść i nie mogę ci się oprzeć, bez względu na to, co chciałbyś zrobić.

– Moje potrzeby są nader proste – powiedział chłopak. Ale wolałbym wiedzieć, co tam jest napisane.

– Tam jest napisane: *Zrób ze mną, na co masz ochotę...*

– W takim razie w porządku. Obawiałem się, że to może cena albo ostrzeżenie o kwarantannie.

Bez dalszych ceregieli podciągnął koszulę i posiadał Twisk pełen dzikiego zapachu.

– A teraz, pani, jeśli mi wybaczysz, muszę się udać do domu, jako że dziś na kolację będzie bekon i rzepa, a zgłodniałem tu przez ciebie.

Zniknął w wieczornym mroku, a Twisk zaniepokojona oczekiwała nadejścia nocy. Wraz z zapadającymi ciemnościami robiło się coraz chłodniej, a chmury zakryły niebo i noc była zupełnie ciemna. Twisk kulila się i trzęsła, czuła się straszliwie i pełna obaw nasłuchiwała odgłosów nocy.

Godziny mijały powoli. O północy Twisk usłyszała na drodze ciche, wolne kroki. Zatrzymały się i coś, czego nie mogła dojrzeć w ciemnościach, zaczęło się jej przyglądać.

Zbliżyło się, ale nadal, nawet doskonałym elfowym wzrokiem, Twisk widziała tylko zarys wysokiej postaci.

To coś stało przed nią i dotknęło ją zimnymi palcami. Twisk odezwała się drżącym głosem:

– Sir? Kim jesteś? Czy możesz mi powiedzieć, kim jesteś?

Istota nie odpowiedziała. Przerażona Twisk wyciągnęła ręce i poczuła coś na kształt opończy, a kiedy tym poruszyła w powietrzu, uniósł się nieprzyjemny smród.

Istota podeszła jeszcze bliżej i objęła Twisk zimnymi ramionami, od czego niemal straciła przytomność.

Istota poszła dalej drogą, a Twisk osunęła się na ziemię skalana, ale wolna.

W ciemnościach pobiegła do Thripsey Shee. Wiatr przewiał chmury i światło gwiazd ułatwiło jej wędrówkę. Kiedy dotarła do domu, umyła się jak najstaranniej i położyła się na odpoczynek w swym pokoju z zielonego aksamitu.

Elfy, choć nigdy nie zapominają zadanych im ran, znoszą jakoś inne nieszczęścia i Twisk szybko zapomniała o nieprzyjemnych wydarzeniach. Przypomniała sobie o wszystkim, kiedy okazało się, że nosi w sobie dziecko.

W odpowiednim czasie urodziła rudowłosą dziewczynkę, która nawet w wiklinowym koszyku, pod kocykiem z sowego puchu przyglądała się światu zastanawiająco mądrymi oczami.

Kto, albo co, było jej ojcem? Niepewność doprowadziła Twisk do stałego podirytowania i nie umiała cieszyć się dzieckiem. Pewnego dnia żona drwala przyniosła do lasu swojego niemowlaka. Bez namysłu Twisk zabrała jasnowłosego chłopca i zostawiła na jego miejscu dziwnie mądrą dziewczynkę.

W taki sposób Dhrun, syn Aillasa i Suldrun, dostał się do Thirpsey Shee, a Maudoc, dziecko niepewnego pochodzenia, trafiła do pałacu w Haidionie.

Elfowe dzieci często są złośliwe, uparte i marudne. Dhrun był radosnym dzieckiem, obdarzonym wieloma ujmującymi cechami i oczarował elfy swą przyjazną naturą, a również błyszczącymi, jasnymi kręconymi włosami, ciemnoniebieskimi oczami i ustami zawsze ściągniętymi i wygiętymi jakby do uśmiechu. Nazwali go Tippit, obsypywali pocałunkami i orzeszkami, nektarem z kwiatów i chlebem z ziaren trawy.

Elfy nie mają cierpliwości do niezręcznych istot. Szybko zaczęto edukację Dhruna. Uczył się wiadomości o kwiatkach i ziołach. Wszedł się po drzewach i poznawał Szaloną Łąkę od Trawiastego Zakątka do strumyka Twankbow. Nauczył się języka przyrody oraz sekretnego języka elfów, który tak często mylony jest z ptasim śpiewem.

W siedzibie elfów czas płynie wyjątkowo szybko i po upływie prawdziwego roku Dhrun miał już osiem lat. Pierwsza połowa tego okresu minęła szczęśliwie i bez komplikacji. Kiedy rzecz by można, że skończył mniej więcej pięć lat (bardziej dokładne określenie jego wieku byłoby raczej trudne), zwrócił się z pytaniem do Twisk, którą traktował jak pobłażliwą i trochę kapryśną siostrę:

– Dlaczego nie mam skrzydeł, tak jak Digby, i nie mogę latać? Jest to właśnie coś, na co miałbym wielką ochotę.

Twisk, która siedziała na trawie z wiankiem z pierwiosnków, skinęła ręką.

– Latanie to przymiot elfowych dzieci. Nie jesteś tak całkiem elfem, choć jesteś moim kochanym Tippitem. Wplotę ci te pierwiosnki we włosy i będziesz wyglądał ślicznie, piękniej niż Digby o lisiej twarzy.

Dhrun upierał się:

– Skoro więc nie jestem elfem, to kim jestem?

– Jesteś kimś bardzo znacznym, to pewne. Prawdopodobnie księciem z rodziny królewskiej, a naprawdę na imię ci Dhrun. – Dowiedziała się tego w niezwykły sposób. Ciekawa, jak się powodzi jej rudowłosej córce, Twisk odwiedziła chatę Wynes i Graithe'a i była świadkiem, jak nadjechali posłańcy króla Casmira. Później leżała ukryta pod strzechą i wysłuchiwała, jak Wynes lamentowała za utraconym chłopcem Dhru-nem.

Dhrun nie był do końca zadowolony z tego, co się dowiedział.

– Myślę, że wolałbym raczej być elfem.

– Będziemy musieli zobaczyć, co się da z tym zrobić – powiedziała Twisk, zrywając się na równe nogi. – Na razie jesteś księciem Tippitem, panem wszystkich pierwiosnków.

Przez pewien czas wszystko było jak dawniej i Dhrun wymazał zajście z pamięci. W końcu król Throbius był wielkim czarodziejem i jeśli w odpowiedniej chwili się go ładnie poprosi, to zamieni go w elfa.

Tylko jeden elf w całej shee był mu nieprzychylny. Był to Falael o twarzy dziewczynki i ciele chłopca, którego umysł pełen był paskudnych złośliwości. Dowodził dwoma armiami myszy, które ubrał we wspaniałe mundury. Pierwsza armia była złota i czerwona, druga ubrana była na biało i niebiesko ze srebrnymi hełmami. Pomaszerowały przeciwko sobie z obu krańców łąki i stoczyły wielką bitwę, podczas gdy elfy dopingowały mężnie walczących i opłakiwały poległych bohaterów.

Falael miał również talent muzyczny. Utworzył orkiestrę z jeży, łasic, kruków i jaszczurek i szkolił je w grze na instrumentach muzycznych. Grały tak zręcznie i melodyjnie, że król Throbius pozwolił im wystąpić podczas Wielkiego Festiwalu z okazji przesilenia wiosennego. Później Falael zmęczył się prowadzeniem orkiestry. Kruki odleciały, dwie łasice basistki zaatakowały jeża, który ze zbyt wielkim zapętem walił w bęben, i orkiestra rozpadła się.

Falael z nudy zamienił nos Dhru-na w długiego zielonego węgorza, który wykręcając się patrzył zdziwiony na Dhru-na. Dhrun pobiegł po pomoc do Twisk, a ona niezwłocznie poskarżyła się królowi Throbiu-sowi, który wyjaśnił sprawę i ukarał Falaela zaklęciem absolutnego milczenia na przeciąg jednego tygodnia i jednego dnia. Była to bardzo smutna kara dla gadatliwego Falaela.

Kiedy kara dobiegła końca, Falael milczał dalsze trzy dni z czystej złośliwości. Czwartego dnia podszedł do Dhru-na.

– Przez ciebie spadło na mnie upokorzenie. Na mnie, Falaela, istotę o wielu wspaniałych przymiotach! Dziwi cię moje niezadowolenie?

Dhrun odparł z godnością:

– Nie przyczepiłem ci węgorza do nosa, pamiętaj o tym!

– To była tylko zabawa, a zresztą, dlaczego miałbyś oszpecić moją piękną twarz? Twoja w przeciwieństwie wygina jak klucha ciasta z dwoma suszonymi śliwkami zamiast oczu. Paskudna twarz, kłębowisko głupich myśli. Czegóż więcej oczekiwać po śmiertelniku? – Falael tryumfująco wybił się w powietrze, wykręcił potrójne salto i wyniośle się oddalił, skacząc po łące.

Dhrun odszukał Twisk.

– Czy naprawdę jestem śmiertelnikiem? Nigdy nie będę mógł być elfem?

Twisk przyglądała mu się przez chwilę.

– Tak, jesteś śmiertelnikiem. Nigdy nie będziesz elfem.

Od tego czasu życie Dhru-na uległo istotnej zmianie. Zniknęła gdzieś niewinność dawnych dni. Elfy spoglądały na niego z ukosa. Każdego dnia czuł się coraz bardziej samotny.

Nadeszło lato. Pewnego ranka Twisk podeszła do Dhru-na i głosem jak brzęk srebrnych dzwoneczków powiedziała:

– Nadszedł czas. Musisz opuścić shee i znaleźć swoje własne miejsce w świecie.

Dhrun stał ze złamanym sercem, po policzkach płynęły mu łzy. Twisk powiedziała:

– Teraz masz na imię Dhrun. Jesteś synem księcia i księżniczki. Twojej matki nie ma już pośród żywych, jeśli chodzi o twojego ojca, nic o nim nie wiem, zresztą szukanie go byłoby bezcelowe.

– Ale dokąd mam pójść?

– Podążaj za wiatrem! Idź tam, gdzie cię los poprowadzi! Dhrun odwrócił się i z oczami pełnymi łez zaczął odchodzić.

– Zaczekaj! – zawołała Twisk. – Wszyscy się zebrali, żeby się z tobą pożegnać. Nie odejdziesz bez naszych darów.

Elfy z Thripsey Shee, dziwnie przygaszone, ze smutkiem żegnały się z Dhrunem. Przemówił król Throbius:

– Tippicie, czy też Dhrunie, jak się odtąd będziesz zwać, nadszedł twój czas. Rozpaczasz teraz z powodu naszego rozstania, bo jesteśmy ci drodzy, prawdziwi i rzeczywiści. Wkrótce jednak o nas zapomnisz, będziemy ci się wydawać jedynie migotliwymi płomykami. Na starość będziesz się dziwił, jakie miałeś niezwykle sny w dzieciństwie.

Elfy tłumnie otoczyły Dhruna, płacząc i śmiejąc się jednocześnie. Dały mu śliczne ubranie – ciemnozielone wdzianko ze srebrnymi guzikami, niebieskie spodnie z gęsto tkanego płótna oraz czarną czapkę z zawiniętym brzegiem i szkarłatnym piórem.

Kowal Flink dał Dhrunowi elfowy miecz.

– Ten miecz nazywa się Dassenach. Będzie rósł wraz z tobą i zawsze będzie odpowiedniej dla ciebie wielkości. Nigdy się nie stępi i zawsze na zawołanie sam znajdzie się w twojej ręce.

Boab zawiesił mu na szyi naszyjnik.

– To talizman chroniący przed strachem. Noś zawsze ten czarny kamień i nigdy nie będzie ci brakowało odwagi.

Nismus przyniósł mu kobzę.

– Muzyka. Kiedy zagrasz, nogi same będą podskakiwały do tańca i nigdy nie będzie ci brakowało wesołego towarzystwa.

Król Throbius i królowa Bossum ucałowali go w czoło. Królowa dała mu małą sakiewkę, w której znajdowała się złota korona, srebrny floren i miedziany pens.

– To magiczna sakiewka – powiedziała mu. – Nigdy nie będzie pusta, a co lepsze, jeśli wydasz jakąś monetę i będziesz chciał ją z powrotem, wystarczy jedynie poklepać sakiewkę i moneta znowu będzie w środku.

– A teraz odważnie idź przed siebie – powiedział król Throbius. – Idź prosto i nie odwracaj się, bo jeśli to zrobisz, spadnie na ciebie klątwa siedmioletniego złego losu, tylko w taki bowiem sposób można opuścić elfową shee.

Dhrun odwrócił się i pomaszerował przez Szaloną Łąkę z oczami utkwionymi przed siebie. Falael, który siedział trochę na boku, nie brał udziału w pożegnaniach. Teraz cicho zawołał za Dhrunem, tak że nikt inny go nie usłyszał. Wołanie zaskoczyło chłopca.

– Dhrunie! Dhrunie! Jedną chwileczkę!

Dhrun zatrzymał się i odwrócił się za siebie, jedynie po to, by zobaczyć za sobą pustą łąkę, na której echem odbijał się złośliwy śmiech Falaela. Gdzie była shee, gdzie kolorowe pawilony z dumnie powiewającymi sztandarami? Wszystko, co widział, to mały wzgórek na środku łąki, na którego szczycie rósł karłowaty dąb.

Zakłopotany Dhrun odwrócił się od łąki. Czy król Throbius rzeczywiście ukarałby go siedmioma pechowymi latami, jeśli cała wina spoczywała na

Falaelu? Prawo elfów często bywało bardzo surowe.

Flotylla letnich chmur przesłoniła słońce i w lesie zrobiło się szarawo. Dhrun stracił poczucie orientacji i zamiast pójść na południe, poszedł na zachód, coraz bardziej skręcając ku północy i coraz głębiej w las. Droga wiodła pod pradawnymi dębami o powykrzywianych pniach i wielkich, zwieszających się gałęziach, pomiędzy wielkimi głazami porośniętymi mchem, wzdłuż cichych strumyków i wielkich paproci. Tak minął dzień. Przed zachodem słońca zrobił sobie postanie z liści paproci i, kiedy zrobiło się ciemno, ułożył się w nich do snu. Przez długą chwilę nie mógł zasnąć, nasłuchując odgłosów lasu. Zwierząt nie musiał się obawiać, wyczułyby magiczne rzeczy elfów i trzymałyby się z daleka. W lesie żyły też jednak inne istoty, co się stanie jeśli go wyczują? Dhrun nie chciał rozważać takiej możliwości. Dotknął talizmanu, który wisiał na jego szyi.

– Jaka ulga, że chroni mnie przed strachem – powiedział do siebie. – W przeciwnym wypadku nie mógłbym zasnąć z niepokoju.

Powieki robiły mu się coraz cięższe i w końcu zasnął.

Pomiędzy chmurami przedarło się światło półksiężyca i przefiltrowane przez liście rozjaśniło poszycie lasu. Tak minęła noc.

O świcie Dhrun poruszył się i usiadł w swoim liściastym gnieździe. Rozejrzał się na wszystkie strony, potem przypomniał sobie, jak go wyrzucono z shee. Siedział niepocieszony, obejmując ramionami kolana, czując się samotny i zagubiony... Daleko, z głębi lasu dotarł do niego ptasi śpiew, zaczął słuchać uważnie... To był tylko ptak, nie rozmawiające elfy. Dhrun wstał i otrzepał się. Kawalek dalej znalazł polankę zarośniętą gęsto truskawkami, zjadł dobre śniadanie i humor mu się poprawił. Być może wszystko będzie dobrze. Skoro nie był elfem, był najwyższy czas, żeby zaczął wkraczać w świat ludzi. Czyż nie był w końcu synem księcia i księżniczki? Musiał tylko odnaleźć rodziców i wszystko będzie dobrze.

Zastanowił się nad swoim położeniem. Wczoraj niewątpliwie poszedł w złym kierunku, ale w którą stronę powinien pójść? Dhrun niewiele wiedział o tym, co leży poza lasem, nie nauczył się też rozpoznawać kierunku po położeniu słońca na niebie. Ruszył ukosem przed siebie i wkrótce dotarł do strumyka, którego brzegiem wiodło coś na kształt ścieżki.

Zatrzymał się, nasłuchiwał i rozglądał się. Ścieżki świadczyły o wędrowcach. W lesie wędrowcy niekoniecznie musieli oznaczać coś dobrego. Zatem mądrze byłoby przejść przez strumień i iść dalej przez las, z dala od szlaku. Z drugiej strony ścieżka musi dokądś prowadzić i jeśli będzie bardzo ostrożny, z pewnością uniknie niebezpieczeństwa. A w końcu, czy istniało niebezpieczeństwo, któremu nie byłby w stanie się przeciwstawić i pokonać go z pomocą talizmanu i dobrego miecza Dassenacha?

Dhrun wyprostował ramiona i ruszył ścieżką, która skręcając nieco na północny wschód, wiodła go coraz głębiej w las.

Szedł przez dwie godziny, a po drodze znalazł polankę obsadzoną drzewami morelowymi i śliwami, które dawno temu zdążyły zdziczeć.

Zbadał polankę. Wyglądała na cichą i opuszczoną. Pomiędzy jaskrami i czerwoną koniczyną latały pszczoły. Nie było widać żadnego znaku czyjejś obecności. Dhrun cofnął się jednak, coś go powstrzymywało. Zawołał:

– Niech wysłucha mnie ten, do kogo należą te owoce. Jestem głodny, chciałbym zerwać dziesięć śliwek i dziesięć moreli. Proszę, czy mogę to zrobić?

Cisza.

Dhrun zawołał:

– Jeśli mi nie zabronisz, uznam te owoce za podarunek, za który serdecznie dziękuję.

Nie dalej niż trzydzieści stóp od niego, zza drzewa wyskoczył troll z wielkim, czerwonym, owłosionym nosem. Trzymał w rękach sieć i drewniany harpun.

– Złodzieju! Zabraniam ci zrywać moje owoce! Gdybyś zerwał choć jedną morelę, twoje życie należałoby do mnie! Złapałbym cię, utuczył tymi morelami i sprzedał ogrowi Arbogastowi! Za dziesięć moreli i dziesięć śliwek musisz zapłacić mi miedzianego pensa.

– Niezła cena za owoce, które w przeciwnym wypadku na nic by się nie przydały – powiedział Dhrun. – Czy nie wystarczą ci moje podziękowania?

– Podziękowaniami nie napełnię sobie garnka. Miedziany pens albo najedz się trawy.

– Dobrze więc – powiedział Dhrun. Wyjął z sakiewki miedzianego pensa i rzucił go trollowi, który mruknął z satysfakcją.

– Dziesięć śliwek i dziesięć moreli, nie więcej. I chciwością byłoby wybieranie tych najdorodniejszych.

Dhrun zrywał śliwki i morele, a troll liczył z uwagą. Kiedy zerwał ostatnią śliwkę, troll wrzasnął:

– Nie więcej, znikaj stąd!

Dhrun ruszył ścieżką, jedząc owoce. Kiedy skończył, napił się wody ze strumienia i poszedł dalej. Przeszedłszy pół mili zatrzymał się i poklepał sakiewkę. Kiedy spojrzął do środka, miedziany pens już tam był.

Strumyk rozszerzył się w jeziorko ocienione czterema majestatycznymi dębami.

Dhrun zerwał trochę młodego sitowia i obmył chrupiące białe korzenie. Znalazł rzeżuchę i dziką sałatę i zrobił sobie świeżą ostrą sałatkę, a potem poszedł dalej.

Strumyk dopływał do rzeki. Dhrun nie mógł iść dalej, nie przedostawszy się przez jedno albo drugie. Zauważył solidny drewniany mostek, łączący oba brzegi strumyka, ale znowu zatrzymał się ostrożnie, zanim postawił na nim stopę.

Nikogo nie widział, nie mógł się też dopatrzeć żadnego znaku zakazującego przejścia przez most.

– Bardzo dobrze – powiedział do siebie. – Lepiej jednak będzie, jeśli zapytam o pozwolenie.

Zawołał:

– Strażniku mostu, chcę przejść na drugą stronę!

Żadnej odpowiedzi. Mimo to Dhrunowi wydało się, że słyszał jakieś szelesty dochodzące spod mostu.

– Strażniku mostu, jeśli nie wolno mi przejść przez ten most, daj mi znać! W przeciwnym razie przejdę i zapłacę ci moimi podziękowaniami.

Z cienia pod mostem wyskoczył rozwścieczony troll w purpurowym barchanie. Był jeszcze brzydszy niż poprzedni. Na czole wyrastały mu wielkie brodawki, które zwieszały mu się nad czerwonym, rozepchanym nosem.

– Co to za wrzaski? Kto przeszkadza mi w wypoczynku?

– Chcę przejść przez most.

– Jeśli postawisz choć jeden krok na moim drogocennym moście, zamknę cię w koszu. Żeby przejść przez most, musisz zapłacić srebrnego florena.

– To bardzo wysokie myto.

– To bez znaczenia. Płać jak wszyscy porządni ludzie albo wracaj, skąd przyszedłeś.

– Jeśli muszę, to muszę. – Dhrun otworzył sakiewkę, wyciągnął srebrnego florena i rzucił go trollowi, który nagryzł go i zatknął za pasek.

– Idź swoją drogą i w przyszłości nie rób takiego hałasu.

Dhrun przeszedł przez most i powędrował dalej. Przez pewien czas drzewa rosły rzadziej i słońce ogrzało mu ramiona, co go bardzo rozradowało. Swoboda i niezależność nie były w końcu takie złe! Szczególnie, kiedy niechętnie wydane pieniądze wracały do sakiewki. Dhrun poklepał sakiewkę i wróciła do niej moneta naznaczona zębem trolla. Dhrun szedł, gwizdząc pod nosem.

Znowu wszedł w cień drzew. Z jednej strony wznosił się stromy kopiec, obrośnięty u podnóża mirtą i dzwonkami.

Nagle rozległ się przeraźliwy jazgot. Na ścieżkę przed nim wyskoczyły dwa wyjące i szczekające psy. Powstrzymywały je łańcuchy. Rzuciły się na nich, do przodu i do tyłu, zgrzytając zębami. Zatrwożony Dhrun podskoczył z Dassenachem w dłoni, gotowy do obrony. Cofnął się ostrożnie, ale z jeszcze większym jazgotem kolejne dwa psy rzuciły mu się na plecy i Dhrun musiał skokiem ratować swoje życie.

Był uwięziony pomiędzy oszalałymi bestiami, jedne bardziej skore od drugich do tego, aby zerwać łańcuch i rzucić mu się do gardła. Dhrun przypomniał sobie o talizmanie.

– Zadziwiające, że wcale się ich nie boję – rzekł do siebie drżącym głosem. – Cóż, muszę więc dowieść swojej odwagi i zabić te straszliwe kreatury!

Dobyl miecza.

– Psy, strzeżcie się! Jestem gotowy zakończyć wasz nędzny żywot! Z góry dobiegło ostre zawołanie. Psy ucichły, ale nadal stały spięte, pełne groźnych zamiarów. Dhrun spojrzał do góry i na występie skalnym, dziesięć stóp nad ziemią zobaczył drewnianą chatę. W drzwiach stał troll, który zdawał się łączyć w sobie wszystkie odrażające cechy dwóch poprzednich. Miał na sobie ciemnobrązowe ubranie, czarne buty z żelaznymi obcasami i dziwny stożkowy kapelusz założony na bakier. Wrzasnął rozwścieczony:

– Jeśli skrzywdzisz moje psy, czeka cię zguba! Jedno zadrapanie, a zwiążę cię liną i dostarczę Arbogastowi!

– Odwołaj psy ze ścieżki! – krzyknął Dhrun. – Chętnie przejdę w spokoju!

– To nie takie łatwe! Moim gwizdaniem przeszkodziłeś zarówno im, jak i mnie w wypoczynku. Powinieneś być przechodzić znacznie ciszej! Teraz musisz zapłacić surową karę, co najmniej złotą koronę!

– To o wiele za dużo – powiedział Dhrun – ale cenię sobie swój czas, więc jestem zmuszony do zapłacenia. – Dobył złotą koronę z sakiewki i rzucił ją w górę do trolla, który zbadał jej ciężar na ręce.

– Dobrze więc, podejrzewam, że muszę ci ustąpić. Psy, z drogi! Psy ukryły się w zaroślach, a Dhrun, czując na sobie gęsią skórę, przeszedł niebezpieczny odcinek. Pobiegł przed siebie najszybciej jak potrafił, potem zatrzymał się, poklepał sakiewkę i poszedł dalej.

Po kolejnej mili ścieżka połączyła się z drogą wybrukowaną brązowymi ceglami. Dziwne, że taka porządna droga znajduje się w środku lasu, pomyślał Dhrun, a ponieważ każdy kierunek wydawał mu się równie dobry, więc skręcił w lewo.

Przez godzinę maszerował drogą, a promienie słońca przeświecały przez listowie pod coraz niższym kątem... Nagle stanął. Powietrze wibrowało rytmicznym dudnieniem. Zbiegł z drogi i schował się za drzewem. Z przeciwnej strony nadchodził ogr, kołysząc się na boki na potężnych krzywych nogach. Miał piętnaście stóp wysokości, jego ramiona, podobnie jak nogi i tułów, były masą mięśni! Do tego ogromny, wystający brzuch. Wielki, zduszony kapelusz osłaniał twarz bezprzykładnej brzydoty. Na plecach taszczył kosz, w którym siedziało dwoje dzieci.

Ogr pomaszerował drogą, a jego dudniące kroki cichły w miarę jak się oddalał.



Dhrun wrócił na szlak, miotany rozlicznymi emocjami, a od dziwnego, przejmującego uczucia aż ścisnęło go w żołądku. Czyżby to był strach? Wykluczone! Talizman chronił go przed czymś takim, co nie przystawało mężczyźnie. Wobec tego co? Wściekłość, najwyraźniej dlatego, że Arbogast tak maltretował ludzkie dzieci.

Dhrun wyruszył za ogrem. Nie musiał iść daleko. Droga wspięła się na wzgórze, potem zbiegła na łąkę. Na jej środku stał dworzec Arboga-sta, wielka ponura budowla z szarego kamienia, z dachem pokrytym zaśnieżonymi miedzianymi płytami.

Plac przed frontowym wejściem był przekopany i obsadzony kapustą, cebulą, rzepą, porami i obramowany krzakami porzeczek. Kilkanaścioro dzieci, w wieku pomiędzy sześć a dwanaście lat, pracowało w ogrodzie pod czujnym okiem nadzorującego chłopca, który mógł mieć około czternastu lat. Był krępy i czarnowłosy i miał dziwną twarz – dość topornie prostokątną u góry, zwężającą się lisio na wysokości ust, ze spiczastą brodą. Trzymał w ręku prymitywny bat, skręcony z wierzbowych witek z przywiązany na końcu sznurkiem. Od czasu do czasu strzelał nim, aby zmobilizować swych podwładnych do większego wysiłku. Przechadzał się wyniośle po ogrodzie, rzucając rozkazy i groźby:

– Dalej, Arvil, ubrudź sobie rączki, nie wstydz się! Wszystkie chwasty muszą zostać dziś wyrwane. Bertrude, masz jakieś problemy? Zielsko się chowa przed tobą? Szybko! Macie zrobić, co do was należy!... Delikatnie z tą kapustą, Pode! Oczyszczaj ziemię, nie niszczyć roślin!

Kiedy zauważył Arbogasta, zasalutował.

– Dzień dobry, wasza miłość. Wszystko idzie jak należy, nie ma obaw, kiedy Nerulf pilnuje porządku.

Arbogast wytrząsnął z kosza na ziemię dwie dziewczynki. Jedna była blondynką, druga miała ciemne włosy. Obie miały mniej więcej po dwanaście lat. Arbogast założył im na szyje żelazne obręcze i przemówił dudniącym głosem:

– Teraz uciekajcie, jeśli chcecie, a nauczycie się tego, czego inni już zdążyli się nauczyć!

– Całkowita racja, sir, całkowita racja! – zawołał Nerulf z ogrodu. – Nikt się nie ośmielił ciebie opuścić, sir! A gdyby jednak, możesz mi ufać, na pewno ich złapię!

Arbogast nie zwracał na niego uwagi.

– Do pracy! – ryknął na dziewczynki. – Lubię dobrą kapustę, zadbajcie o to! – Począł przez łąkę do dworca. Otworzyły się wielkie drzwi, które nie zamknęły się, kiedy wszedł do środka.

Słońce schodziło coraz niżej, dzieci pracowały coraz wolniej. Nawet Nerulf nie trząsał biczem z takim zapalem i jego okrzyki straciły na sile. Wkrótce dzieci przestały w ogóle pracować i stanęły stłoczone, spoglądając bojaźliwie w stronę gmaszyska. Nerulf uniósł bat wysoko w górę.

– Ustawić się w szeregu, sprawnie i równiutko! Marsz! Dzieci ustawiły się parami i pomaszzerowały na dziedziniec. Brama zamknęła się za nimi ze złowieszczym huknięciem, niosącym się echem po łące.

Zmierzch rozmazał kontury krajobrazu. Z okien, znajdujących się wysoko po jednej stronie budowli, widać było żółte światło lamp.

Dhrun zbliżył się ostrożnie i dotknąwszy talizmanu wspiął się po chropowatej kamiennej ścianie do jednego z okien, wykorzystując szczeliny i nierówności jako drabinę. Wciągnął się na szeroki kamienny parapet. Okiennice były uchylone. Przesuwając się odrobinę do przodu, Dhrun miał widok na cały główny hall, który był oświetlony sześcioma lampami w ściennych kandelabrach i płomieniami z wielkiego kominka.

Arbogast siedział przy stole, pijąc wino z cynowego kufła. Na drugim końcu pokoju dzieci siedziały pod ścianą, obserwując go z przerażeniem. Na ogniu smażyło się ciało dziecka nadziane

cebula, chrupiące i soczyste. Nerulf kręcił różnem i od czasu do czasu polewał pieczyste oliwą. W wielkim czarnym kotle gotowała się kapusta i rzepy.

Arbogast wypił wino i beknął. Wziął do ręki jojo i rozstawiwszy szeroko nogi bawił się nim, rechocząc z uciechy. Dzieci siedziały skulone, patrząc na niego rozszerzonymi oczami i z bladymi ustami. Jeden z mniejszych chłopców zaczął szlochać. Arbogast spojrział na niego lodowato. Nerulf zawołał perfidnie łagodnym i melodyjnym głosem:

– Daffin, cisza!

Później Arbogast zjadł swoją kolację, a dzieci dostały zupę z kapusty.

Po posiłku Arbogast przez kilka minut pił wino, drzemał i bekał. Nagle odwrócił się w krześle i przyjrzał się dzieciom, które od razu zbiły się w jeszcze ciaśniejszą gromadkę. Daffin znowu zaczął płakać i znowu został uciszony przez Nerulfa, który mimo to zdawał się równie zaniepokojony jak pozostali.

Arbogast sięgnął do najwyższej szafki i postawił na stole dwie butelki. Jedna była zielona i wysoka, druga przysadzista i czarno-purpurowa. Potem wyjął dwa kubki, jeden zielony, drugi purpurowy i napełnił je winem. Do zielonego kubka uważnie dodał kroplę z zielonej butelki, a do purpurowego z czarno-purpurowej.

Wstał. Oddychając ze świstem i mruczając pod nosem przeszedł przez pokój. Kopnął Nerulfa w kąt i stanął przed dziećmi. Wskazał palcem.

– Wy dwie, wyjdźcie do przodu!

Dwie dziewczynki, złapane poprzedniego dnia, trzęsąc się odeszły spod ściany. Obserwujący je z okna Dhrun pomyślał, że obie są bardzo ładne, szczególnie blondynka, choć ciemnowłosa miała może pół roku bliżej do osiągnięcia kobiecości.

Arbogast odezwał się infantylnie, kwieciście i rubasznie:

– I co tu mamy: dwa małe dziewczątka, wyborne i smakowite. Jak się nazywacie? Ty! – Wskazał na blondynkę. – Jak ci na imię?

– Glyneth.

– A tobie?

– Farence.

– Cudownie, cudownie. Obie czarujące! Która będzie tą szczęściarą? Dziś w nocy kolej na Farence.

Złapał ciemnowłosą dziewczynkę i rzucił ją na wielkie łóżko.

– Ściągaj rzeczy!

Farence zaczęła płakać i błagać o litość. Arbogast prychnął dziko ze złości i zadowolenia.

– Pospiesz się! Albo je z ciebie zedrę i nie będziesz miała w co się ubrać!

Powstrzymując szlochanie, Farence opuściła sukienkę. Arbogast zachichotał zachwycony.

– Śliczny obrazek! Nie ma nic bardziej wybornego od nagiej, nieśmiałej i delikatnej dziewczyny! – Poszedł do stołu i wypił zawartość purpurowego kubka. Natychmiast zmniejszył się dwukrotnie, przybierając rozmiary krępego, potężnego trolla, nie wyższego od Nerulfa. Bez ociągania wskoczył na łóżko, zrzucił swoje ubranie i zajął się zabawami erotycznymi.

Dhrun obserwował wszystko przez okno, z drżącymi kolanami i bijącym szybko sercem. Obrzydzenie? Oczywiście, przecież nie strach, za co z wdzięcznością dotknął talizmanu. Bez względu jednak na to, co to było za uczucie, miało na niego obezwładniający wpływ.

Arbogast był niezmordowany. Kontynuował swe poczynania długo po tym, jak Farence jedynie słała się. Ostatecznie padł na łóżko, stękając z zadowolenia, i natychmiast zasnął.

Dhruna pchało do działania, a skoro nie odczuwał strachu nic go nie powstrzymywało. Opuścił

się na wysokie oparcie krzesła Arbogasta i zeskoczył na stół. Wylał na podłogę zawartość zielonego kubka, nalał świeżego wina i dwie krople z purpurowej butelki. Potem wspiął się z powrotem na okno i schował się za zasłoną.

Minęła noc i przygasł ogień na kominku. Arbogast chrapał. Dzieci były cicho, wzdychając jedynie cichutko od czasu do czasu.

Szare światło poranka przedarło się przez okna. Arbogast się obudził. Leżał przez chwilę, potem zeskoczył na podłogę. Odwiedził wychodek, wypróżnił się, wrócił do pokoju, dołożył drewna do kominka i rozpałił na nowo ogień. Kiedy już paliło się z trzaskiem, wdrapał się na krzesło, złapał za zielony kubek i łyknął jego zawartość. Natychmiast, na skutek kropli domieszanych przez Dhruna, zaczął się jeszcze bardziej kurczyć, aż miał tylko stopę wzrostu. Dhrun bez wahania zeskoczył z okna, na krzesło, na stół, na podłogę. Dobył miecza i pociął wrzeszczącą i rzucającą się kreaturę na kawałki. Odcięte części nadal się poruszały, chcąc się na nowo połączyć, i Dhrun nie miał ani chwili wytchnienia. Podbiegła też Glyneth i zaczęła łapać odcinane części i wrzucać je do ognia, gdzie spaliły się na popiół. Dhrun tymczasem wsadził głowę Arbogasta do garnka i zamknął pokrywką, bo próbowała się wydostać przy pomocy zębów i języka.

Teraz zbliżyły się pozostałe dzieci. Dhrun, wycierając miecz o gruby kaftan Arbogasta, powiedział:

– Nie musicie się więcej obawiać, Arbogast jest bezsilny. Nerulf oblizał usta i wyszedł do przodu.

– A kim ty jesteś, jeśli wolno spytać?

– Mam na imię Dhrun, przez przypadek tędy przechodziłem

– Rozumiem. – Nerulf odetchnął głęboko i wyprostował szerokie ramiona. Miał ostre rysy, mięsiste usta, spiczastą brodę i wąskie czarne oczy i wcale nie wyglądał sympatycznie. – Bardzo dobrze – powiedział. – Przyjmij nasze podziękowania. Miałem zamiar sam zrobić to samo, ale w rzeczy samej, odwaliłeś niezłą robotę. Pozwól mi teraz pomyśleć. Mu simy się zastanowić, co robić dalej. Najpierw trzeba tu posprzątać. Pode i Hloude, bierzcie się za wiadra i szczotki. Musicie się spisać na medal, nie chcę tu widzieć jednej plamki, kiedy skończycie. Dhrun, ty możesz im pomóc. Gretina, Zoel, Glyneth i Bertrude – przeszukajcie spiżarnię, przynieście wszystko co najlepsze i zróbcie nam pyszne śniadanko. Lossamy i Flup, wynieście na dwór wszystkie rzeczy Arbogasta, również koce, może to miejsce zacznie lepiej pachnieć.

Kiedy Nerulf wydawał rozkazy, Dhrun wspiął się na stół. Nalał wina do zielonego i purpurowego kubka i dodał po kropli z odpowiednich butelek. Wypił zieloną porcję i od razu urósł, tak że miał dwanaście stóp wzrostu. Zeskoczył na podłogę i złapał zaskoczony Nerulfa za żelazną obręcz na szyi. Wziął ze stołu purpurową porcję i przystawił mu do ust.

– Pij!

Nerulf próbował protestować, ale nie miał wyboru.

– Pij!

Nerulf połknął całą porcję i skurczył się do wielkości małego skrzata, który miał około dwóch stóp wzrostu. Dhrun chciał wrócić do swych zwykłych rozmiarów, ale Glyneth go powstrzymała.

– Zdejmij nam najpierw te żelazne obręcze.

Dzieci ustawiły się w szeregu przed Dhrunem. Nacinał obręcze ostrzem Dassenacha, przekręcał raz w jedną, raz w drugą stronę i rozrywał żelazo. Kiedy wszyscy zostali uwolnieni, wrócił do normalnego wzrostu. Ostrożnie owinał obie butelki i wsadził je do worka. Inne dzieci zdążyły znaleźć kije i z wielką satysfakcją tłukły Nerulfa. Nerulf skowyczał, wił się i błagał o litość, ale nie

doczekał się jej i był bity tak długo, aż cały nie zrobił się siny. Przez chwilę bicie ustało, dopóki jedno z dzieci nie przypomniało sobie o innych dawnych okrucieństwach Nerulfa i wszystko zaczęło się na nowo.

Dziewczynki oświadczyły, że przygotowują obfitą ucztę złożoną z szynki, kiełbasek, słodkich rodzynek, potrawki z kuropatwy, świeżego chleba, masła i najlepszego wina Arbogasta, ale z przyrządzeniem jadła chciały poczekać, aż palenisko zostanie oczyszczone z kości i popiołu. Za bardzo przypominało im to o tak niedawnej niewoli. Wszyscy z zapalem wzięli się do pracy i wkrótce hall był w miarę czysty.

W południe rozpoczął się bankiet. Tymczasem głowa Arbogasta zdołała w jakiś sposób unieść się do krawędzi garnka do której przyczepiła się zębami, i odepchnęła w górę pokrywkę. Dwoje oczu obserwowało z ciemności, jak dzieci rozkoszowały się najlepszymi zapasami ze spiżarni. Kiedy skończyły posiłek, Dhrun zauważył, że pokrywka spadła z garnka, i garnek był teraz pusty. Krzyknął i ruszył na poszukiwania zbiegłej głowy. Pode i Daffin znaleźli ją w połowie drogi przez łąkę, poruszającą się przy pomocy zębów, którymi wbijała się w ziemię. Dokopali ją z powrotem do domu i na frontowym dziedzińcu zbudowali coś w rodzaju szubienicy, gdzie zawiesili głowę, przywiązawszy bure włosy do żelaznego drutu. Wszyscy zaczęli nalegać, że chcieliby raz jeszcze zobaczyć swego ciemżyciela, Dhrun więc wmusił głowie zieloną miksturę, a ta wróciła do normalnej wielkości i rzuciła nawet parę rozkazów, które zostały radośnie zignorowane.

Pod wiszącą głową dzieci zbudowały stos z chrustu i podpaliły go, a głowa przyglądała się temu rozszerzonymi z przerażenia oczami. Dhrun wyciągnął swoją kobzę i grał, a dzieci tańczyły, trzymając się za ręce. Głowa ryczała i przeklinała, ale nie okazano jej miłosierdzia. W końcu został z niej tylko popiół i taki był koniec ogra Arbogasta.

Zmęczone, po dniu pełnym wrażeń, dzieci wróciły do domu. Zjadły na kolację owsiankę i kapuśniak ze świeżym, chrupiącym chlebem i winem Arbogasta, a potem zaczęły się przygotowywać do snu. Paru bardziej odważnych chłopców wspięło się na łóżko Arbogasta, nie bacząc na obrzydliwy smród. Inni rozłożyli się przy kominku.

Dhrun ledwie trzymał się na nogach ze zmęczenia, po wczorajszej nocy bolała go każda kość, a cóż dopiero mówić o wydarzeniach kończącego się dnia, mimo to nie był jednak w stanie zasnąć. Leżał przy kominku z rękami założonymi pod głowę i rozmyślał o swoich przygodach. Wiodło mu się wcale nie najgorzej. Być może nie wyklęto go jednak siedmioma pędowymi latami.

Ogień przygasł. Dhrun poszedł po drwa. Dołożył je do paleniska, aż kominem wyleciały złote iskry. Płomienie strzeliły wysoko i zamigotały w oczach Glyneth, która również nie spała. Przysiadła się do Dhruna blisko ognia. Siedzieli, obejmując kolana ramionami i wpatrując się w płomienie. Glyneth wyszeptała zduszonym głosem:

– Nikt nie pamiętał o tym, żeby ci podziękować za ocalenie nam życia. Chciałabym teraz to uczynić. Dziękuję ci, kochany Dhrunie. Jesteś dzielny i dobry, i niezwykle odważny.

Dhrun powiedział zamyślony:

– Cóż, dzielności i dobra można by się chyba po mnie spodziewać, skoro jestem synem księcia i księżniczki. Jeśli chodzi jednak o odwagę, szczerze wyznaję, że zupełnie mi jej brakuje.

– Czysty nonsens! Tylko osoba pełna odwagi zdobyłaby się na to, czego ty dokonałeś.

Dhrun zaśmiał się gorzko. Dotknął talizmanu.

– Elfy wiedziały, jak jestem bojaźliwy, dały mi więc amulet odwagi, bez którego na nic bym się nie ośmielił.

– Nie jestem tego taka pewna – powiedziała Glyneth. – Z amuletem czy bez niego, uważam, że jesteś bardzo odważny.

– Miło mi to słyszeć – poważnie odparł Dhrun. – Chciałbym, aby tak było.

– A bez względu na to, dlaczego elfy dały ci taki prezent, dlaczego w ogóle dały ci prezent?

Zazwyczaj nie są takie szczodroblive.

– Przez całe życie mieszkałem z elfami w Thripsey Shee, na Szalonej Łące. Trzy dni temu wyrzuciły mnie, choć wiele z nich kochało mnie i obdarowało różnymi rzeczami. Był też jeden, który źle mi życzył, i tak mnie oszukał, że odwróciłem się za siebie i napiętnowano mnie, trwającym przez siedem lat, złym losem.

Glyneth złapała Dhruna za rękę i przytuliła ją do policzka.

– Jak mogły być tak okrutne?

– To wyłącznie wina Falaela, którego życie to same takie złośliwości. A ty? Dlaczego tu jesteś?

Glyneth uśmiechnęła się smutno, patrząc w stronę ogniska.

– To straszliwa opowieść. Jesteś pewien, że chcesz jej wysłuchać?

– Chcę, żebyś mi ją opowiedziała.

– Pominę najgorsze fragmenty. Mieszkałam w Północnych Ulflandach, w miasteczku Throckshaw. Mój ojciec był sędzią ziemskim. Mieliśmy duży dom, a w nim szklane okna, puchowe kołdry i dywany w salonie. Na śniadania jedliśmy owsiankę i jajka, na obiad w samo południe kielbaski i smażone klopsiki, a na kolację dobrą zupę, z dodatkiem warzywnej sałatki.

Rządził tam hrabia Julk z zamku Sfeg. Prowadził wojnę ze Skalra-dami, którzy zdążyli osiedlić się już na Dalekim Wybrzeżu. Na południe od Throckshaw jest Poelitz, przesmyk przez Teach tac Teach od Dahautu, którym pragnęli zawładnąć Skalradzi. Zawsze na nas napierali, hrabia Julk zawsze ich przeganiał. Pewnego dnia stu skalradzkich rycerzy najechało Throckshaw. Zabili mego ojca i matkę i spalili nasz dom. Ukryłam się w sianie z moim kotem Pettisem i obserwowałam, jak jeździli tu i tam, wrzeszcząc jak demony. Pojawił się hrabia Julk ze swoimi rycerzami, ale Skalradzi go zabili, zawojowali całą okolicę i prawdopodobnie również Poelitz.

Kiedy wyjechali z Throckshaw, wzięłam kilka srebrnych monet i uciekłam z Pettisem. Dwa razy niemal nie złapali mnie włóczędzy. Jednej nocy zawędrowałam do starej stodoły. Rzucił się tam na nas z rykiem wielki pies. Zamiast uciekać, odważny Pettis zaatakował bestię i zginął. Nadszedł farmer, sprawdzić, co się dzieje i znalazł mnie. On i jego żona byli dobrymi ludźmi i wzięli mnie do siebie. Byłam prawie zadowolona, choć musiałam ciężko pracować w mleczarni i młockarni. Ale jeden z synów zaczął mnie molestować i sugerować mi nieprzyzwoite rzeczy. Nie miałam odwagi chodzić sama do stodoły, w obawie, że mnie tam znajdzie. Pewnego dnia przywędrowała jakaś pielgrzymka. Idący nazywali się *Ocalałymi ze Starego Gomar* i wędrowali na uroczystości do Godwyne Foiry, gdzie znajdują się ruiny stolicy Starego Gomar. To jest na skraju wielkiej puszczy, w Dahaucie, za Teach tac Teach. Przyłączyłam się do nich i tak opuściłam farmę.

Bezpiecznie przedostaliśmy się przez góry i dotarliśmy do Godwyne Foiry. Rozbiliśmy obóz na obrzeżach ruin i wszystko było dobrze, dopóki nie nadszedł dzień przesilenia letniego, wtedy bowiem dowiedziałam się, czego się ode mnie oczekuje. Mężczyźni mieli na sobie jedynie rogi kozłów lub łosi. Pomalowali sobie twarze na niebiesko i nogi na brązowo. Kobiety wplotły sobie we włosy liście drzew, dookoła bioder zawiesiły sobie wisiorki z dwudziestu czterech kulek jarzębiny. Za każdym razem, kiedy kobieta oddawała się mężczyźnie, on odrywał jedną z kulek. Ta, która jako pierwsza straciłaby wszystkie jarzębiny, miała zostać uznana za wcielenie bogini miłości Sobh. Powiedziano mi, że sześcioro mężczyzn planowało wziąć mnie w posiadanie, nie bacząc na to, że nie jestem jeszcze w pełni kobietą. Opuściłam w nocy obóz i ukryłam się w zaroślach.

Wiele razy najadłam się strachu, kilkanaście razy uciekałam, aż w końcu wiedźma uwięziła mnie pod swoim kapeluszem i sprzedała Ar-bogastowi, a resztę znasz.

Siedzieli w milczeniu, spoglądając w ogień. Dhrun powiedział:

– Chciałbym wędrować z tobą i chronić cię, ale ciąży na mnie siedem pechowych lat i boję się, żeby i tobie przez to coś się nie stało.

Glyneth złożyła Dhrunowi głowę na ramieniu.

– Chętnie zaryzykuję.

Długo jeszcze w nocy siedzieli i rozmawiali, póki ogień znowu nie przygasł. Panowała zupełna cisza, przerywana jedynie dochodzącymi z góry stukaniem i szelestami. Według Wyneth były to duchy zmarłych dzieci, biegające po dachu.

Rankiem dzieci zjadły śniadanie, a potem wyłamały drzwi o sekretne go pokoju Arbogasta. Znalazły tam skrzynię z klejnotami, pięć koszy pełnych złotych koron, zestaw drogocennych srebrnych waz misternie inkrustowanych mitycznymi scenami i kilkanaście innych skarbów.

Dobrą chwilę wygłupiały się i bawiły w bogaczy, udając właścicieli wielkich posiadłości. Nawet Farence przyłączyła się do zabawy.

Po południu bogactwa zostały równo podzielone pomiędzy wszystkie dzieci, jedynie Nerulf nic nie dostał.

Po kolacji, na którą zjedli marynowaną gęś, biały chleb z masłem i placek śliwkowy z winną polewą, zebrali się przy kominku, łupiąc orzechy i pijąc słodkie soki. Chłopcy mieli na imię Daffin, Pode, Fulp, Arvil, Hloude, Lossamy i Dhrun, do tego był jeszcze ponury chochlik Nerulf. Żeńską część gromady stanowiły Gretina, Zoel, Bertrude, Farence, Wiedelin i Glyneth. Najmłodsi byli Arvil i Zoel, Lossamy i Farence byli najstarsi, nie licząc Nerulfa.

Godzinami dyskutowali o swoim położeniu i najlepszej drodze przez Puszcę Tantrevalles, wiodącej w zamieszkane rejony. Pode i Hloude zdawali się najlepiej znać okolicę. Najdogodniej byłoby, jak stwierdzili, udać się na północ brukowaną drogą, aż do pierwszej rzeki, która powinna być dopływem Murmeil. Następnie poszliby wzdłuż Murmeil na równiny Dahautu, a może przy odrobinie szczęścia udałoby im się kupić łódź albo zbudować tratwę.

– Z całym tym bogactwem kupienie łodzi nie będzie żadną trudnością i wygodnie moglibyśmy dopłynąć aż do Wieży Gehadionu, a jeśli zechcemy nawet do Avallonu. – Taką opinię przedstawił im Pode.

Wreszcie, godzinę przed północą rozłożyli się do snu. Zasnęli wszyscy poza Nerulfem, który skamlał jeszcze przez dwie godziny, siedząc przy gasnącym ogniu.



Dzieci czyniły przygotowania do podróży i wyciągnęły wóz ogra na dziedziniec przed frontową bramę. Porządnie nasmarowały osie łożem i załadowały cały swój skarb. W poprzek do dyszli przywiązały drewniane żerdzie, tak że dziewięcioro z nich ciągnęło, a trójka popychała wóz od tyłu. Jedyne Nerulf nie mógł w tym uczestniczyć, ale i tak nikt się nie spodziewał pomocy z jego strony. Nic na wozie nie należało przecież do niego. Dzieci pożegnały Dwór Arbogasta i wyruszyły przed siebie brukowaną drogą. Powietrze było rześkie. Ponad lasem gromadziły się chmury, spędzone przez wiatr znad Atlantyku. Dzieci pchały i ciągnęły z zapalem i wóz szybko toczył się do przodu, a z tyłu za nim biegł w chmurze pyłu Nerulf.

W południe zatrzymali się i zjedli obiad złożony z chleba, mięsa i ciemnego piwa. Potem wyruszyli dalej na północny wschód.

Późnym popołudniem otwarła się przed nimi polana porośnięta wybujałą trawą i sześcioma karłowatymi jabłonkami. Z jednej strony stało małe zrujnowane opactwo, zbudowane jeszcze przez pierwszych żarliwych chrześcijańskich misjonarzy. Dach zapadł się do środka, ale znaleźli w budynku przynajmniej odrobinę schronienia. Dzieci rozпалиły ognisko i przygotowały na posiłek suszone jabłka, chleb i ser, a do tego była rzeżucha i woda z pobliskiego strumienia. Zrobili legowiska z trawy i po całodniowym wysiłku ułożyli się na spoczynek. Los zdawał się im sprzyjać.

Noc minęła bez niespodzianek. Rano grupa przygotowała się do wymarszu w dalszą drogę. Nerulf zbliżył się do Dhruna, schylił głowę i skrzyżował ręce na piersi.

– Panie Dhrunie, pozwól, że coś powiem. Doprawdy zasłużyłem sobie na karę, którą na mnie nałożyłeś. Nie uświadamiałem sobie własnej arogancji, dopóki nie zmusiliście mnie, bym przejrzał na oczy. Teraz dostrzegam wyraźnie i z najdrobniejszymi szczegółami wszystkie moje występki. Była to dla mnie wystarczająca lekcja, teraz jestem zupełnie nowym człowiekiem, prawym i przyzwoitym. Dlatego też proszę cię, byś przywrócił mi dawne me rozmiary, tak abym mógł również pchać wóz. Nie chcę nic ze skarbu, na nic nie zasługuję, pragnę jedynie pomóc pozostałym szczęśliwie i bezpiecznie dotrzeć ze wszystkimi kosztownościami do celu ich wędrówki. Jeżeli uznasz, że nie możesz spełnić tej prośby, zrozumiem i nie będę żywił urazy. W końcu sam jestem sobie winien. Jednak ten bieg w kurzu mnie wykańcza, cały czas potykam się o kamienie i prześladowuje mnie strach, że utopię się w kałuży. Jaka będzie twoja odpowiedź, sir?

Dhrun słuchał bez cienia sympatii.

– Poczekaj, aż dotrzemy do bezpiecznej i cywilizowanej okolicy. Wtedy przywrócę ci twój wzrost.

– Ach, panie, czyżbyś mi nie ufał? – zawołał Nerulf. – W takim razie pozwól, że was tutaj opuszczę. Nie przeżyję jeszcze jednego dnia gonitwy za wozem. Tą drogą dojdziecie do Wielkiej Rzeki Murmeil i dalej jej brzegami do Wież Gehadionu. Życzę szczęścia wam wszystkim. Będę podążał za wami swoim własnym tempem. – Brudną pięścią przetarł oczy. – Jeśli będziecie się kiedyś przechadzać w pięknym ubraniu po jarmarku i dojrzyicie karła grającego na bębenku lub wyczyniającego nonsensowne sztuczki, proszę, darujcie mu pensa, może będzie to wasz dawny towarzysz Nerulf. Jeśli oczywiście przetrwam spotkanie z bestiami z Puszczy Tantrevalles.

Dhrun rozważał jego słowa przez długą chwilę, a potem rzekł:

– Naprawdę żałujesz za swe dawne postęпки?

– Gardzę sobą – krzyknął Nerulf. – Spoglądam na dawnego Nerulfa z głęboką pogardą.

– W takim razie nie widzę sensu w przedłużaniu ci kary. Dhrun wlał do kubka z wodą kroplę z zielonej butelki. – Wypij to, a wrócisz do swych właściwych rozmiarów. Zostań prawdziwym



kompanem dla nas wszystkich, to może na końcu również i ty dostaniesz co nieco ze skarbu.

– Dzięki ci, sir.

Nerulf wypił miksturę i natychmiast odzyskał dawną, solidną posturę i krzepę. Rzucił się na Dhruna tak szybko, że ten nie zdążył nawet mrugnąć okiem i przygniótł go do ziemi. Wyszarpnął mu Dassenacha i zawiesił miecz sobie na pasku. Potem wziął obie butelki, zieloną i purpurową, i roztrzaskał je o kamień. Rozpadły się na kawałeczki, a ich zawartość wsiąkała w ziemię.

– Koniec z tymi głupotami – oświadczył Nerulf. – Jestem największy i najsilniejszy, i znowu wami rządę.

Kopnął Dhruna.

– Na nogi!

– Powiedziałaś mi, że żałujesz tego, co zrobiłeś! – z oburzeniem zawołał Dhrun.

– Prawda! Nie byłem wystarczająco surowy. Pozwalałem na zbyt wiele. Teraz wszystko się zmieni. Do wozu, wszyscy!

Przestraszone dzieci czekały zgromadzone przy wozie, podczas gdy Nerulf uciął olchową witkę i przywiązał do niej trzy sznurki, robiąc z tego prymitywny, ale użyteczny bicz.

– Ustawić się – warknął. – Szybko! Pode, Daffin, co to za szyderstwa? Chcecie posmakować mojego bata? Cisza! Wszyscy mają uważnie słuchać tego, co powiem. Nie będę powtarzał. Po pierwsze, jestem waszym panem i będziecie robić to, co wam rozkażę. Po drugie, skarb należy do mnie. Każdy klejnot, każda moneta, wszystko do ostatniej i najmniejszej odrobinki. Po trzecie, celem naszej wędrówki jest Clu-ggach w Godelii. Celtowie nie zadają tylu zbędnych pytań co Dautowie i nie wtrącają się zupełnie do spraw innych ludzi. Po czwarte – tutaj Nerulf przerwał i uśmiechnął się złośliwie. – Kiedy byłem bezradny, zbiliście mnie kijami. Pamiętam wszystkie uderzenia, co do jednego i jeżeli cierpię skóra tym, którzy mnie bili, to przecucia ich nie myślą.

Zaświecę gołe tyłki! Będzie gwizdać różga, aż pojawią się pręgi! To wszystko, co miałem do powiedzenia, chętnie jednak odpowiem na pytania.

Nikt się nie odezwał, a Dhrunowi przyszła do głowy przygnębiająca myśl. Był to zaledwie początek siedmioletniej klątwy, a pech już zaczął go prześladować i to wyjątkowo mściwie.

– Zająć miejsca przy wozie! Dzisiaj ruszamy szybko, w żwawym tempie. Nie tak jak wczoraj, kiedy wlekliście się, zupełnie się nie wysilając. – Nerulf usadowił się wygodnie na wozie. – W drogę! Bystro! Głowy w górę, nogi w ruch! – Trzasnął batem. – Pode! Nie garb się! Daffin! Oczy szeroko otwarte, bo władujesz nas wszystkich do rowu! Dhrun, z gracją! Pokaż nam szykowny krok. Ruszamy w ten piękny poranek, jakież to szczęśliwy czas dla nas wszystkich!... Co tam? Dlaczego zwalniacie? Szczególnie wy, dziewczęta, ruszacie się jak kwoki!

– Jesteśmy zmęczone – wydyszała Glyneth.

– Tak szybko? Cóż, być może przeceniłem wasze siły, tu z góry wydaje się to takie łatwe. Chodzi mi szczególnie o ciebie, Glyneth. Nie chcę, żebyś kuląła, gdyż dziś wieczorem odbędziesz ze mną dodatkowe ćwiczenia. Ha ha! Przyjemności należą się temu, kto trzyma bicz. Naprzód raz jeszcze, o połowę wolniej.

Dhrun wykorzystał okazję, aby wyszeptać do Glyneth.

– Nie martw się, on cię nie skrzywdzi. Mój miecz jest magiczny i przybywa do mnie na rozkaz. W odpowiedniej chwili zawołam i wróci do mej ręki, a wtedy Nerulf będzie bezradny.

Przygnębiona Glyneth skinęła jedynie głową.

Późnym popołudniem znaleźli się pomiędzy niskimi wzgórzami. Dzieci nie mogły poradzić sobie pod górkę z ciężkim wozem, znajdującym się na nim skarbem i jeszcze Nerulfem jako

pasażerem. Nerulf ostatecznie pomógł wtoczyć wóz na wysokie wzniesienie. Początkowo używał bicia, później zsiadł z wozu i wreszcie pchał razem z innymi. Krótka, ale stroma prosta droga prowadziła od miejsca, gdzie się znajdowali, do brzegu Jeziora Lingolen. Przy pomocy Dhrunowego miecza Nerulf ściał czterdziestostopową sosnę, którą przywiązali z tyłu do wozu i w ten sposób bezpiecznie pokonali spadzisty odcinek. Przed nimi, pomiędzy jeziorem a ciemnymi wzgórzami, za którymi właśnie zachodziło słońce, rozciągały się bagna. Na nich znajdowały się gdzieniegdzie małe zarośnięte wysepki. Jedna służyła jako kryjówka bandzie rozbójników. Wóz został już wcześniej zauważony przez ich czujki i gdy podjechał bliżej, bandyci wyskoczyli z zasadzki. Dzieci, przez moment jak sparaliżowane, zaczęły uciekać we wszystkich kierunkach. Bandyci zaniechali pościgu, gdy tylko zorientowali się, czym załadowany był wóz, który padł ich łupem.

Dhrun i Glyneth uciekali razem, trzymając się drogi we wschodnim kierunku. Biegli długo, aż do bólu w piersi i skurczu w mięśniach nóg. Upadli w kępę wysokiej, gęstej trawy na poboczu, chcąc odpocząć. Zaledwie chwilę później jeszcze jeden uciekinier rzucił się obok nich na ziemię – Nerulf.

Dhrun westchnął.

– Siedem pechowych lat. Czy zawsze będzie tak źle?

– Skończ z tą bezczelnością – wysyczał Nerulf. – Gdybyś miał jakieś wątpliwości, to ja tu ciągle rządę. A teraz wstań!

– Po co? Jestem zmęczony.

– To bez znaczenia. Straciłem swój wspaniały skarb. Jednak bardzo możliwe, że parę klejnotów jest jeszcze ukrytych w twoich kieszeniach. Na nogi! Ty też, Glyneth!

Dhrun i Glyneth wolno powstali. W kieszeni Dhruna Nerulf znalazł starą sakiewkę i wysypał na rękę jej zawartość. Mruknął z odrazą:

– Korona, floren i pens, zaledwie odrobinę lepiej niż nic.

Rzucił sakiewkę na ziemię. Spokojnie, z godnością Dhrun podniósł ją i schował z powrotem do kieszeni. Nerulf przeszukał też Glyneth, błądząc rękami po kształtach jej młodego, jędrnego ciała, ale nie znalazł nic wartościowego.

No, dobrze. Chodźmy kawałek dalej, może znajdziemy jakieś schronienie na noc.

W trójkę ruszyli drogą, oglądając się do tyłu za oznakami pościgu, nikt się jednak nie pojawił. Las zrobił się bardziej gęsty i ciemny. Cała trójka maszerowała dość szybko, pomimo zmęczenia, tak że wkrótce wydostali się ponownie na otwartą przestrzeń u skraju bagniska.

Zachodzące słońce świeciło znad wzgórz, przedzierając się przez warstwę chmur, która zgromadziła się nad jeziorem. Nadawało to bagnetom nierzeczywistego, ciemnozłotego koloru. Nerulf zauważył mały cypelek, prawie wyspę, wysuwający się pięćdziesiąt jardów w głąb bagniska. Na samym jego krańcu rosła wierzba płacząca. Nerulf rzucił Dhrunowi groźne spojrzenie.

– Glyneth i ja spędzimy tu razem noc – oświadczył. – Ty sobie idź gdzie indziej. Idź i nigdy nie wracaj. Możesz i tak uważać się za szczęściarza, przecież właśnie tobie zawdzięczam, że mnie zbito. Idź już!

Odwrócił się i zaczął mieczem Dhruna ścinać sitowie na skraju bagna, aby przygotować posłanie na noc. Dhrun odszedł parę jardów i zatrzymał się, aby raz jeszcze wszystko przemyśleć. Mógł odzyskać Dassenacha w każdej chwili, ale co by to dało. Nerulf i tak mógł uciec i znaleźć jakąś inną broń: duży kamień, długą pałkę lub po prostu schować się za drzewem i napaść Dhruna zniecka. W każdym z tych przypadków miał przewagę dzięki swojemu wzrostowi i sile. Gdyby zechciał, z łatwością mógłby zabić Dhruna.

Nerulf uniósł głowę, zobaczył Dhruna i krzyknął:

– Czyż nie rozkazałem ci, byś sobie poszedł? – Ruszył w stronę chłopca, który szybko zniknął w

gęstym lesie. Znalazł tam dużą uschniętą gałąź, ułamał ją i zrobił z tego poręczną, czterostopową maczugę. Potem wrócił na bagno. Nerulf oddalił się w poszukiwaniu grubej i miękkiej trzciny. Dhrun skinął na Glyneth. Podbiegła do niego, a on udzielił jej zwięzłych wskazówek. Nerulf uniósł głowę i dostrzegł ich razem. Wrzasnął na Dhruna:

– Co ty tu robisz? Przecież mówiłem ci, żebyś poszedł i nigdy nie wracał! Nie posłuchałeś i teraz skazuję cię na śmierć.

Glyneth zobaczyła, jak coś wyłania się z bagna tuż za Nerulfem. Pisnęła i wskazała na to ręką. Nerulf zaśmiał się pogardliwie.

– Wydaje ci się, że dam się złapać na taką starą sztuczkę? Jestem trochę bardziej... – Poczuł miękkie dotknięcie na ramieniu i, spoglądając w dół, ujrzał szarą łapę o długich palcach, z guzowatymi kostkami, pokrytych obślizgłą skórą.

Nerulf zeszywniał, potem, jakby wbrew swej woli, obejrzał się i znalazł się twarzą w twarz z heceptorem. Wrzasnął przeraźliwie i wyrwał się do tyłu, wymachując mieczem, którym przed chwilą ścinał trzinę.

Dhrun i Glyneth uciekli znad brzegu jeziora na drogę, tam się zatrzymali i spojrzeli za siebie. Nerulf wycofywał się powoli z bagniska przed zbliżającym się heceptorem. Potwór wygrażał mu wysoko wzniesionymi ramionami; miał przy tym powykręcane dłonie i haczykowato pozakrzywiane palce. Nerulf, próbując zrobić użytek z miecza, ugodził heceptora w ramię, wywołując tym żaloszny, pełen wyrzutu syk.

Nadszedł teraz odpowiedni moment dla Dhruna.

– Dassenach! Do mnie! – zawołał.

Miecz wyrwał się Nerulfowi z palców i poszybował do rąk Dhruna. Ten z ponurą miną wsunął go do pochwy. Heceptor przechylił się do przodu, objął Nerulfa i pociągnął go, wrzeszczącego, za sobą w błoto.

W ciemnościach, pod roziskrzonym gwiazdami niebem, Dhrun i Glyneth wspięli się na trawiasty pagórek niedaleko od drogi. Nazbierali naręcza trawy i urządzili sobie wygodne posianie, a potem wyciągnęli na nim swe przemęczone ciała. Przez pół godziny przyglądali się dużym gwiazdom, które świeciły łagodnym białym światłem. Potem ogarnęła ich senność; objęci i przytuleni do siebie spali głęboko do samego rana. Po dwóch dniach, które upłynęły spokojnie, dotarli nad szelką rzekę. Glyneth była przekonana, że jest to sama Wielka Murme-il. Potężny kamienny most łączył oba brzegi i w tym z miejscu kończyła się stara brukowana droga.

Zanim weszli na most, Dhrun trzy razy zawołał tego, kto mógłby pilnować mostu i zażądać od nich opłaty. Nikt się jednak nie pokazał i nie zatrzymał ich, kiedy przechodzili przez most. Mieli teraz przed sobą trzy drogi do wyboru. Jedna wiodła na wschód wzdłuż brzegu rzeki, druga prowadziła w górę rzeki, a trzecia oddalała się na północ, jakby bez żadnego specjalnego celu.

Dhrun i Glyneth ruszyli na wschód i przez dwa dni wędrowali wzdłuż rzeki. Prześliczna okolica i dobra pogoda wprawiły Glyneth we wspaniały humor.

– Pomyśl, Dhrunie! Gdyby naprawdę ciążyła na nas klątwa i prześladował zły los, to deszcz przemoczyłby nas do suchej nitki albo padałby śnieg i byłibyśmy przemarznięci do szpiku kości.

– Chciałbym w to wierzyć.

– Nie ma najmniejszych wątpliwości. I popatrz tam, jakie śliczne jeżyny. Akurat w porę, bo czas na obiad. Czyż to nie dobry znak?

– Wygląda na to, że masz rację – odparł Dhrun.

– Oczywiście. Nie będziemy więcej rozmawiać o żadnych klątwach. Glyneth pobiegła w stronę

krzaków rosnących nad brzegiem małego strumyka, który pieniąc się spływał ze stoku prosto do Murmeil.

– Poczekaj! – krzyknął Dhrun. – Inaczej na pewno dopadnie nas zły los. – I zawołał: – Czy ktoś zabrania nam jeść te jeżyny? – Nie było odpowiedzi i oboje objedli się do syta dojrzałymi jagodami. Później położyli się w cieniu i wypoczywali.

– Teraz, kiedy już prawie wyszliśmy z lasu, pora zastanowić się nad naszymi planami – powiedziała Glyneth. – Myślałeś już o tym, co powinniśmy zrobić?

– W rzeczy samej. Będziemy podróżować tu i tam, próbując przy okazji odnaleźć mego ojca i matkę. Jeśli naprawdę jestem księciem, to zamieszkamy w pałacu, a ja postaram się, aby i ciebie uczyniono księżniczką. Będziemy mieć piękne ubrania, powóz i jeszcze kota takiego jak Pettis.

Glyneth ze śmiechem ucałowała Dhruna w policzek.

– Chciałabym mieszkać w pałacu. Na pewno znajdziemy twoich rodziców, nie ma przecież aż tylu książąt i księżniczek na świecie. – Potem opanowała ją senność i zaczęła drzemać. Dhrun, nie mogąc zasnąć, ruszył zbadać ścieżkę biegnącą wzdłuż strumienia. Przeszedł około stu stóp i obejrzał się. Glyneth ciągle spała. Przeszedł kolejne sto stóp i następne. Las wydawał się bardzo spokojny. Drzewa wznosiły się majestatycznie wysoko, wyżej niż Dhrun kiedykolwiek widział, tworząc w górze świetliste zielone sklepienie. Ścieżka przecinała niewielki skalisty pagórek. Dhrun wspiął się na szczyt i ujrzał przed sobą mały stawek u podnóża wielkich drzew. Pięć nagich driad brodziło na płyciźnie: wiotkie istoty, z różowymi ustami, długimi brązowymi włosami, o małych piersiach, smukłych udach i niewypowiedzianie pięknych twarzach. Tak jak elfy, nie miały owłosienia łonowego i, tak jak elfy, nie sprawiały wrażenia istot z krwi i kości, lecz czegoś bardziej ulotnego.

Przez chwilę Dhrun przyglądał się im zachwycony, potem nagle przestraszył się i powoli zaczął się wycofywać.

Został zauważony. Do jego uszu dobiegły dźwięczące okrzyki przerażenia. Na brzegu, rozrzucone bez troski, prawie pod stopami Dhruna, leżały opaski, którymi driady związywały swe długie włosy. Śmiertelnik, który posiadałby taką opaskę, miałby je na zawsze w swojej mocy i musiałyby odtąd spełniać jego kaprysy. Dhrun jednakże nic o tym nie wiedział.

Jedna z driad spryskała Dhruna wodą. Zobaczył, jak kropelki uniosły się w powietrze i rozbłysły w słońcu, po czym zmieniły się w małe złote pszczoły, które jak błyskawica wpadły mu do oczu, tworząc w nich bzyzące kręgi i pozbawiając go wzroku.

Zaszokowany Dhrun upadł na kolana i krzyknął:

– Elfy, oślepiłyście mnie! Natknąłem się na was przez przypadek. Słyszycie mnie?

Cisza. Jedyne szum drzew w popołudniowym wietrzyku.

– Elfy! – Dhrun płakał, a łzy spływały mu po policzkach. – Czyż oślepiłybyście mnie za tak niepozorny występki?

Cisza, ostateczna i definitywna. Dhrun zaczął się cofać po omacku, kierując się szmerem małego strumyka. W połowie drogi spotkał Glyneth, która zdążyła się obudzić i, nie widząc go nigdzie w pobliżu, ruszyła go szukać. Natychmiast zauważyła, jak rozpaczliwie wygląda i podbiegła do niego.

– Dhrun! Co się stało?

Chłopiec odetchnął głęboko, nie chcąc okazać strachu, lecz wbrew tym wysiłkom jego głos łamał się i drżał.

– Poszedłem tą ścieżką. Zobaczyłem pięć driad kąpiących się w stawie. Prysnęły mi w oczy pszczołami i teraz nic nie widzę.

Pomimo swego talizmanu Dhrun z trudem panował nad rozpaczą, która go opanowała.

– Och, Dhrun! – Glyneth podeszła bliżej. – Otwórz szeroko oczy, niech je obejrzę.

Dhrun spojrział prosto w jej twarz.

– Co widzisz?

Po chwili wahania odpowiedziała:

– Coś bardzo dziwnego. Masz w oczach świetliste, złote koła, jedno w drugim, a pomiędzy nimi brązowe smugi.

– To pszczoły. Zaćmiły mi wzrok bzyczeniem i ciemnym miodem.

– Dhrun! Mój najdroższy Dhrunie! – Glyneth objęła go i ucałowała, szepcząc wszystkie znane jej czułe słówka. – Jak mogły być tak niegodziwe!

– Wiem, dlaczego – odparł słabym głosem. – To te siedem pechowych lat. Zastanawiam się, co mi się jeszcze przytrafi. Lepiej, żebyś sobie poszła i zostawiła mnie...

– Dhrun! Jak możesz tak mówić?

– ...żeby tobie się coś nie stało, kiedy ja wpadnę do dziury.

– Przenigdy cię nie opuszczę!

– Głupota. Świat, taki jak go teraz poznaję, jest straszliwy. Zostaw mnie samego, to najlepsze, co możesz zrobić w trosce o samą siebie.

– Przecież ciebie jednego kocham najbardziej na świecie Jakoś przetrwamy! Kiedy minie już te siedem lat, nie pozostanie już nic innego, jak tylko sprzyjający nam na zawsze szczęśliwy los.

– Ale będę ślepy! – znów drżącym głosem zawołał Dhrun.

– Nie jest to takie pewne. Magia cię oślepiła, magia cię uzdrowi. I co ty na to?

– Łudzę się nadzieją, że może się tak stanie. – Złapał za swój talizman. – Jakże wdzięczny jestem za mą odwagę, nawet pomimo tego, że nie mogę być z niej dumny. Podejrzewam, że tak naprawdę, w głębi duszy jestem straszliwym tchórzem.

– Dzięki amuletowi, czy też nie, jesteś odważnym Dhrunem i w ten czy inny sposób damy sobie jakoś radę.

Dhrun zastanawiał się przez chwilę, po czym wyjął swoją magiczną sakiewkę.

– Lepiej, żebyś ty to niosła. Z moim pechem wrona rzuci się z góry i mi to porwie.

Glyneth spojrzała do sakiewki i zawołała zdziwiona:

– Nerulf zabrał wszystko, co w niej było, a widzę tu złotą, srebrną i miedzianą monetę.

– Ta sakiewka jest magiczna. Dopóki ją mamy, nie musimy obawiać się biedy.

Glyneth wsunęła sakiewkę za stanik.

– Będę jej pilnować jak oka w głowie. – Spojrzała na ścieżkę poza nimi. – Może powinnam pójść nad staw i powiedzieć driadom, jaki popełniły straszliwy błąd...

– Nigdy byś ich nie znalazła. Są nieczułe, jak elfy albo jeszcze gorsze. Jeszcze tobie wyrządziłyby jakąś krzywdę. Lepiej opuśćmy to miejsce.

Późnym popołudniem znaleźli ruiny chrześcijańskiej kaplicy, zbudowanej przez dawno zapomnianych misjonarzy. Obok resztek muru rosły śliwa i pigwa, całe ciężkie od owoców, śliwki były dojrzałe. Pigwy, pomimo dobrego koloru, były cierpkie i gorzkie w smaku. Glyneth nazbierała cały galon śliwek, z których urządzili sobie skromną, rzecz by można, kolację.

Potem przygotowała pomiędzy powywracanymi kamieniami miękkie poślanie z trawy. Dhrun siedział, wpatrując się przed siebie, za rzekę.

– Las chyba się przerzedza – powiedziała mu Glyneth. – Już niedługo będziemy bezpieczni wśród cywilizowanego ludu. Będziemy jeść chleb i mięso, pić mleko i spać w łózkach.

Ostatnie promienie zachodzącego słońca migotały nad Puszcza Tantrevalles, a potem nadciągnął zmrok. Dhrun i Glyneth ułożyli się na poślaniu i szybko zasnęli.

Krótko przed północą wszedł księżyc, rozjaśniając rzekę swym odbiciem. Zaświecił w twarz Glyneth i obudził ją. Leżała rozgrzana i rozespana, słuchając rechotu żab. Usłyszała odległe dudnienie, które stawało się coraz głośniejsze, słycać było brzęk kolczug i trzeszczenie skórzanych siodeł. Glyneth wsparła się na ramieniu i ujrzała dwunastu jeźdźców na drodze wzdłuż rzeki. Pędzili z łoskotem, powiewając płaszczami, nisko skuleni w siodłach. Księżyc oświetlał ich antyczne zbroje i czarne skórzane hełmy z jaskrawymi nausznikami. Jeden z jeźdźców, nisko pochylony, trzymając głowę prawie w grzywie swego konia, odwrócił się i spojrzał na Glyneth. Księżyc zaświecił w jego bladą twarz, po czym ciemność pochłonęła upiorną kawalkadę. Dudnienie zamarło w oddali. Glyneth położyła się z powrotem na trawiastym posłaniu i w końcu zasnęła.

O świcie Glyneth wstała po cichu i próbowała rozpalić ognisko. Znalazła krzemień, ale nie mogła skrzesać iskry. Obudził się Dhrun. Wyrwał mu się rozpaczliwy okrzyk, szybko jednak zdusił go w sobie. Po chwili odezwał się:

– Więc to jednak nie sen. Glyneth zajrzała mu w oczy.

– Ciągłe widzę złote kółka. – Pocałowała go. – Ale nie zamartwiaj się. Znajdziemy jakiś sposób, żeby cię wyleczyć Pamiętasz, co wczoraj powiedziałam? Co magia zabrała, magia odda.

– Na pewno masz rację – głuchym głosem odrzekł Dhrun. – W każdym razie i tak nie możemy nic na to poradzić.

Wstał, ale potknął się o korzeń i upadł. Rozkładając szeroko ramiona zahaczył o łańcuszek, na którym miał zawieszony talizman. Łańcuszek zerwał się i razem z talizmanem wyleciał daleko w powietrze.

Podbiegła Glyneth.

– Skaleczyłeś się? Och, biedne kolano, całe we krwi, to od tego szorstkiego kamienia.

– Kolano to nic – wykrztusił Dhrun. – Zgubiłem mój talizman. Zerwałem łańcuszek i przepadł.

– Nie ucieknie – rzeczowo stwierdziła Glyneth. – Najpierw zabandażuję ci kolano, potem poszukam talizmanu.

– Oddała skrawek materiału od swojej halki i zadrapanie obmyła wodą ze strumyka. – Zostawimy, żeby wyschło, potem to ładnie owinę bandażem i będziesz brykać jak zawsze.

– Glyneth, proszę, znajdź mój talizman! Nie zostawiaj tego tak. A jeśli jakaś mysz go gdzieś odciągnie?

– Stałaby się najodważniejszą z myszy! Sowy i koty zmykałyby z ogonami podwiniętymi pod siebie. – Poklepała go po policzku. – Już go szukam.. Poleciał chyba w tym kierunku. – Na czworakach zaczęła rozglądać się tu i tam. Prawie natychmiast zobaczyła amulet. Pechowo uderzył o kamień i rozprysł się na kilkanaście kawałków.

– Widzisz go? – niecierpliwie dopytywał się Dhrun.

– Chyba jest w tej kępie trawy. – Znalazła mały gładki kamyczek, wcisnęła go w oprawkę i przy pomocy większego kamienia docisnęła brzegi, żeby nie wypadł. – Jest tu w trawie. Naprawię tylko łańcuszek. Dogięła na nowo przerwane ogniwo i ku wielkiej uldze Dhruona zawiesiła mu amulet na szyi.

– Oto i on, jak nowy.

Zjedli śliwki na śniadanie i ruszyli dalej drogą wzdłuż rzeki. Las przerzedził się, tworząc już tylko małe zagajniki. Pomiedzy nimi rozciągały się łąki porośnięte wysoką, falującą na wietrze trawą. Doszli do opuszczonego szałas. Był on schronieniem dla tych, którzy odważali się wypasać swe stada tak blisko lasu i mieszkających w nim wilków, strzyg i niedźwiedzi.

Przewędrowali kolejną milę i następną, aż doszli do sympatycznie wyglądającej kamiennej chatki. W górnych oknach wisały korytka z kwiatami. Ogród pełen niezapominajek, bratków i

stokrotek otoczony był kamiennym murkiem. Chata kryta była świeżą, czystą strzechą. Na każdym krańcu dachu wznosiły się po dwa kominy. W dolince w oddali widać było skupisko szarych kamiennych chat, prawdopodobnie była to jakaś wioska.

W ogrodzie starowinka w czarnej sukni i białym fartuchu wrywała chwasty. Gdy podchodzili, przerwała i przez moment im się przyglądała, ale po chwili potrząsnęła głową i wróciła do pracy. Kiedy podeszli do bramy, ładna kobieta w kwiecie wieku wyszła na małą werandę.

– Dzieci, cóż to robicie same daleko od domu. Glyneth odpowiedziała:

– Niestety, proszę pani, jesteśmy włóczęgami. Nie mamy ani domu, ani rodziny.

Kobieta ze zdziwieniem spojrzała na drogę, którą przyszli.

– Ale ta droga prowadzi do nikąd.

– Wędrowaliśmy przez Puszcę Tantrevalles.

– Zapewne chronił was jakiś czar. Jak wam na imię? Na mnie możecie mówić pani Melissa.

– Ja jestem Glyneth, a to jest Dhrun. Elfy wpuściły mu pszczoły do oczu i teraz nic nie widzi.

– Ach, jaka szkoda. One są często okrutne. Podejdz tu chłopcze, pozwól, niech obejrzą twoje oczy.

Dhrun zrobił krok w przód i pani Melissa przez chwilę przyglądała się złotobrazowym kręgom w oczach.

– Znam jedną lub dwie magiczne sztuczki, lecz nie tyle co prawdziwa wiedźma i nic nie mogę dla ciebie zrobić.

– Może sprzedałaby nam pani trochę chleba i sera – zasugerowała Glyneth. – Przez dwa ostatnie dni jedliśmy tylko śliwki.

– Oczywiście, i nie musicie się martwić o zapłatę. Didas. Gdzie jesteś? Mamy tu parę głodnych dzieci. Przynieś mleko, masło i ser ze spiżarni. Wejdzcie, kochani, z tyłu jest kuchnia i myślę, że uda nam się tam znaleźć coś dobrego.

Kiedy Dhrun i Glyneth usiedli przy wyszorowanym drewnianym stole, pani Melissa podała im najpierw chleb i gęstą zupę z baraniną i kaszą, potem smakowitą potrawę z kurczaka duszonego z szafranem i orzechami, a na końcu ser i soczyste, zielone winogrona. Sama usiadła z boku i, pijąc małymi łykami herbatę sparzoną z liści cytrynowej werbeny, z uśmiechem przyglądała się, jak jedzą.

– Widzę, że oboje jesteście zdrowi i młodzi – powiedziała. – Czy jesteście rodzeństwem?

– Może na to wygląda – powiedziała Glyneth. – Ale tak naprawdę nie jesteśmy spokrewnieni. Oboje wiele wycierpieliśmy i uważamy się za szczęśliwych, mogąc być razem, jako że żadne z nas nie ma nikogo innego.

Pani Melissa odrzekła uspokajająco:

– Teraz jesteście w Dalekim Dahaucie, poza tym strasznym lasem, i jestem pewna, że wszystko się wam lepiej ułoży.

– Mam taką nadzieję. Nie jesteśmy w stanie wyrazić, jak bardzo jesteśmy wdzięczni za ten przepyszny obiad. Nie możemy się jednak narzucać. Proszę nam wybaczyć, ale już sobie pójdziemy.

– Dlaczego tak szybko? Już popołudnie. Jestem przekonana, że jesteście bardzo zmęczeni. Na pięterku mam całkiem miły pokój dla Glyneth i dobre łóżko na poddaszu dla Dhruna. Na kolację zjecie chleb z mlekiem, może jedno lub dwa ciastka. Potem dam wam parę jabłek i opowiem mi przy kominku wasze przygody. A jutro, dobrze wypoczęci, będziecie mogli ruszyć w dalszą drogę.

Glyneth zawahała się i spojrzała na Dhruna.

– Naprawdę zostańcie – prosiła pani Melissa. – Czasami jest tu bardzo samotnie. Nie mam nikogo do towarzystwa Poza starą, pomarszczoną Didas.

– Ja nie mam nic przeciwko temu – powiedział Dhrun. – Może mogłaby nam pani powiedzieć, gdzie znaleźć potężnego czarodzieja, który przegnałby te pszczoły z moich oczu.

– Pomyślę o tym, zapytam też Didas, ona wie o wszystkim po trochu.

Glyneth westchnęła.

– Obawiam się, że pani nas rozpuści. Włóczędzy nie powinni sypiać w wygodnych łóżkach i dobrze jadać.

– Tylko ta jedna noc, rano obfite śniadanie i ruszycie swoją drogą.

– Jeszcze raz dziękujemy za pani dobroć.

– Nie ma za co. To dla mnie przyjemność, kiedy takie śliczne dzieci mile spędzają czas w moim domu. Proszę tylko, nie naprzykrzajcie się Didas. Jest bardzo stara, trochę opryskliwa i, przykro mi to mówić, nieco dziwaczna. Ale jeśli zostawicie ją samą sobie, nie będzie was niepokoić.

– Naturalnie, będziemy dla niej bardzo grzeczni.

– Dziękuję, kochanie. A teraz, na przykład, dlaczego nie wyjdziecie sobie na dwór pooglądać kwiaty. Możecie być w ogrodzie aż do kolacji.

– Dziękujemy, pani Melisso.

Poszli we dwójkę do ogrodu, gdzie Glyneth prowadziła Dhruna od kwiatu do kwiatu, aby mógł nacieszyć się przynajmniej ich zapachem. Po godzinie taka wędrówka i wężanie każdej roślinki znudziły Dhruna, wyciągnął się więc na trawniku i zaczął drzemać na słońcu. Glyneth ruszyła rozwikłać zagadkę zegara słonecznego.

Zauważyła, że ktoś od strony chaty daje jej jakieś znaki i żywo gestykuluje. Stwierdziła, że to stara Didas. Kobieta na migi nakazała jej ciszę i ostrożność i skinęła, aby podeszła. Glyneth zbliżała się powoli. Didas zniecierpliwiona nakazała jej pośpiech. Glyneth ruszyła szybciej do przodu.

Pani Didas spytała:

– Co powiedziała ci o mnie pani Melissa?

Glyneth zawahała się, a potem odważnie odpowiedziała:

– Powiedziała, byśmy cię nie niepokoiли, bo jesteś bardzo stara i łatwo cię zirytować, a czasami jesteś nawet trochę wybuchowa i gwałtowna.

Pani Didas zachichotała nieprzyjemnie.

– Jeśli o to chodzi, będziesz mogła sama osądzić. Tymczasem słuchaj mnie uważnie, dziewczyno, bardzo uważnie, nie pij ani kropli mleka na kolację. Zawołam na chwilę panią Melissę. Gdy nie będzie was pilnować, wylej mleko, a potem udawaj, że kończysz je pić. Po kolacji powiedz, że jesteście bardzo zmęczeni i chcecie się od razu położyć spać. Zrozumiałaś?

– Tak, proszę pani.

– Jeśli zlekceważysz moje słowa, doprowadzisz do zguby siebie i chłopca. W nocy, gdy w domu zapanuje spokój, a pani Melissa zamknie się w swojej pracowni, wszystko ci wyjaśnię. Czy usłuchasz mnie?

– Tak, proszę pani. Jeżeli wolno mi to powiedzieć, to nie jest pani ani opryskliwa, ani dziwaczna.

– Dobra dziewczynka. Do zobaczenia więc w nocy. Teraz muszę szybko wracać do chwastów; zaledwie zdążę je powyrywać, a już rosna na nowo.

Minęło popołudnie. O zachodzie słońca pani Melissa zawołała ich na kolację. Na stole w kuchni położyła świeży, chrupiący bochenek chleba, masło i talerz z marynowanymi grzybami. Już wcześniej naląa im mleko do kubków. Na stole stał też dzbanek z mlekiem, gdyby chcieli więcej.

– Usiądźcie, dzieci – powiedziała pani Melissa. – Macie czyste ręce? Dobrze. Jedzcie, ile chcecie i wypijcie mleko. Jest świeże i dobre.



– Dziękujemy pani.

Z salonu dobiegło wołanie Didas.

– Melisso, chodź tu natychmiast! Chcę z tobą zamienić słówko! -Później, Didas, później! –

Wstała jednak i podeszła do drzwi.

Glyneth błyskawicznie wylała mleko z obu kubków. Wyszepiała do Dhruna:

– Udawaj, że pijesz z pustego kubka.

Gdy pani Melissa wróciła, Glyneth i Dhrun właśnie udawali, że są w trakcie opróżniania kubków. Pani Melissa nic już nie powiedziała, odwróciła się i nie zwracała na nich więcej uwagi.

Dzieci zjadły po kawałku świeżego chleba z masłem, potem Glyneth ziewnęła ostentacyjnie.

– Jesteśmy oboje zmęczeni. Jeśli pani pozwoli, chcielibyśmy pójść do łóżek.

– Oczywiście! Glyneth, możesz pomóc Dhrunowi się położyć i wiesz, gdzie jest twój pokój.

Glyneth zabrała świecę i odprowadziła przyjaciela na poddasze. Dhrun z powątpiewaniem zapytał:

– Nie boisz się zostać sama?

– Tylko troszeczkę.

– Nie nadaję się już do walki – powiedział z tęsknotą w głosie. – Ale niezależnie od tego, jeśli usłyszę, że płaczesz, zjawię się natychmiast.

Glyneth zeszła do swojego pokoju i położyła się w ubraniu na łóżku. Po paru minutach pojawiła się Didas.

– Jest teraz w swojej pracowni; mamy trochę czasu na rozmowę. Na samym początku muszę ci powiedzieć, że pani Melissa – jak chce, żeby ją nazywano – jest wstrętą wiedźmą. Kiedy miałam piętnaście lat, dała mi do wypicia mleko z miksturą na sen. Potem przywłaszczyła sobie moje ciało – to, które ma do dzisiaj. Ja, piętnastoletnia dziewczyna, zostałam umieszczona w ciele, którego dotychczas używała Melissa: ciele czterdziestoletniej kobiety. Dzisiaj chce zamienić moje czterdziestoletnie ciało na twoje. Ty będziesz panią Melissą, a ona będzie Glyneth, tylko że ona będzie dzierżyć władzę, a ty skończysz jako służąca, tak jak ja. Dhrun będzie nosić wodę z rzeki do jej sadu. Ona jest teraz w pracowni i przygotowuje czary.

– Czy można ją powstrzymać? – spytała drżącym głosem Glyneth.

– Tylko powstrzymać? Ja pragnę więcej, chcę ją zniszczyć! – Didas splunęła.

– Ja również, tylko jak?

– Chodź ze mną, szybko!

Didas i Glyneth pobiegły do chlewu, gdzie na prześcieradle leżała młoda świnka.

– Umyłam ją i uspiłam – powiedziała Didas. – Pomóż mi zanieść ją na górę.

W pokoju Glyneth ubrały świnię w nocną koszulę i włożyły jej czepek, po czym ułożyły w łóżku, odwróconą w stronę ściany.

– Teraz szybko! – wyszeptała Didas. – Ona pewno już tu idzie. Do szafy!

Zaledwie zdążyły się tam zamknąć, usłyszały kroki na schodach. Pani Melissa w różowym poranniku, trzymając w obu rękach czerwone świece, weszła do pokoju. Na hakach nad łóżkiem wisiały dwie kadzielnice. Przypalone od świecy zaczęły kopcić gryzącym dymem. Melissa położyła się na łóżku obok świni. Na swojej szyi i na szyi świni umieściła czarną różdżkę i wypowiedziała zaklęcie:

*Ja w ciebie! Ty we mnie! Sprawnie i szybko Niech nastąpi zmiana! Bezadiah!*

Rozległo się przerażone pokwikiwanie, gdy świnka znalazła się w nie otumanionym środkami

nasennymi ciele Melissy. Didas wyskoczyła z szafy, ściągnęła świnię na podłogę, a sama położyła się na jej miejscu, przyciskając do ściany dawną Melissę. Umieściła na jej i swojej szyi czarną różdżkę. Zaciągnęła się dymem z kadzielnicy i wymówiła zaklęcie:

*Ja w ciebie! Ty we mnie! Sprawnie i szybko Niech nastąpi zmiana! Bezadiah!*

W tej samej chwili przerażone kwiki zaczęły dobywać się ciała starej Didas. Melissa wstała z łóżka i przemówiła do Glyneth:

– Spokojnie, dziecko. Dokonało się. Znowu jestem w swoim własnym ciele. Oszustwem pozbawiono mnie młodości i młodzieńczych lat, nie da się jednak tego już odwrócić. Pomóż mi. Najpierw zabierzemy starą Didas na dół do chlewu będzie się tam przynajmniej czuć bezpiecznie. To naprawdę stare i schorowane ciało i wkrótce umrze.

– Biedna świnią – zamruczała Glyneth.

Zaprowadziły istotę, znaną kiedyś jako Didas, do chlewu i przywiązały ją do słupka. Potem wróciły do sypialni i wyniosły ciało świni, które zaczynało się już ruszać. Melissa przywiązała je porządnie do drzewa przy chacie i zlała wiadrem zimnej wody. Świnią od razu odzyskała przytomność. Próbowiła mówić, lecz jej język i struny głosowe uniemożliwiały artykułowanie zrozumiałych dźwięków. Przerażona zaczęła smutno zawodzić.

– Tu cię mamy, wiedźmo – powiedziała nowa pani Melissa. – Nie wiem, jak dla ciebie wyglądam przez te świńskie oczy lub jak wiele słyszysz tymi świńskimi uszami, ale dni twego wiedźmowania właśnie się skończyły.

Rankiem Glyneth obudziła Dhruna i zrelacjonowała mu wydarzenia ubiegłej nocy. Dhrun czuł się trochę dotknięty tym, że wyłączyły go z całej sprawy, ale trzymał język za zębami.

Prawowita pani Melissa usmażyła na śniadanie świeżego, dopiero co złowionego w rzece okonia. Jedli, kiedy w drzwiach stanął chłopiec terminujący u rzeźnika.

– Pani Melisso, pani ma inwentarz do sprzedania?

– Racja, racja. Świetną jednoroczną maciorę, której nie potrzebuję. Znajdziesz ją za domem, przywiązaną do drzewa. Nie przejmuj się dziwnymi dźwiękami, jakie wydaje. Z twoim panem rozliczę się podczas mej najbliższej wizyty w miasteczku.

– Doskonale. Tę świnię zauważyłem już, jak tu przyszedłem. Zdaje się, że jest w doskonałej kondycji. Z pani pozwoleniem, oddalę się do moich obowiązków.

Chłopak od rzeźnika odszedł. Potem widzieli go przez okno, jak szedł drogą i prowadził kwiczącą świnię. Zaraz potem Glyneth grzecznie powiedziała:

– Myślę, że my także powinniśmy już ruszyć, mamy przed sobą daleką drogę.

Zrobicie, co uważacie za słuszne – odparła pani Melissa – Mam tu dużo pracy do zrobienia, w przeciwnym wypadku nalegałabym, żebyście zostali trochę dłużej. Tylko chwileczkę. – Wyszła z pokoju i szybko wróciła z dwoma złotymi monetami, jedną dla Glyneth, drugą dla Dhruna. – Proszę, nie dziękujcie. Jestem taka szczęśliwa, że na nowo mogę poznawać swoje własne ciało; dotąd było fałszywie wykorzystywane.

Obawiali się, że włożenie złota do starej sakiewki mogłoby zakłócić spoczywające tam magiczne moce. Przeto Dhrun zatknął monety za pas od spodni. Pożegnali panią Melissę i ruszyli dalej drogą.

– Teraz, kiedy już bezpiecznie wydostaliśmy się z lasu, możemy zacząć robić plany – powiedziała Glyneth. – Po pierwsze, znajdziemy mądrego człowieka, który skieruje nas do jeszcze

mądrzejszego, który z kolei doprowadzi nas do Największego Mędrca w królestwie, a ten wypędzi pszczoły z twoich oczu. A potem...

– A potem co?

– Potem dowiemy się wszystkiego co możliwe o księciach i księżniczkach i kto z nich mógł mieć syna imieniem Dhrun.

– Będę zadowolony, jeśli przetrwam te siedem pechowych lat.

– Cóż, wszystko po kolei i po jednej rzeczy na raz. Dalej więc, maszerujmy! Naprzód, lewa, lewa, lewa! Przed nami jest wioska i, jeśli wierzyć drogowskazom, zwie się Wookin.

Na ławce przed wiejską gospodą siedział staruszek i zestrugiwał żół-tobiałe, skręcające się pasemka kory z zielonej olchowej witki. Glyneth podeszła do niego nieśmiało i zapytała:

– Proszę pana, kto jest najmądrzejszym człowiekiem w Wo-okin?

Starzec zadumał się i, podczas gdy myślał, zdążył ostrugać dwie kolejne witki.

– Udzielę wam szczerzej odpowiedzi. Słuchajcie uważnie. Wookin wygląda spokojnie i zwyczajnie, ale nie opodal leżąca Puszcza Tan-trevalles sieje postrach. Paskudna wiedźma mieszka milę w górę drogi i swą osobą rzuca cień na całą wieś. Następna osada na tej drodze to Lumarth, odległe o sześć mil. Zaledwie w zeszłym tygodniu bandyci pod dowództwem Jantona Podrzynacza uznali tę drogę za swoją własność, każdy przywłaszczył sobie jedną milę. Parę dni temu cała szóstka spotkała się, aby świętować imieniny Jantona. Zostali złapani przez Numinanta Pogromcę Złodziei. Trzy mile stąd, na Rozstaju, zobaczycie nasz najśłynniejszy i ciekawy punkt orientacyjny: sześć starych szubienic, zwanych „Sześć Gardel”. Dokładnie na północ, tuż za granicą wioski, znajduje się grupa pradawnych dolmenów nieznanego pochodzenia. Tworzą one Labirynt Wejdz-i-Wyjdź. W samym Wookin rezyduje wampir, zjadacz trucizn i kobieta, która rozmawia z węzami. Wookin jest najbardziej odległą wioską w Dahaucie. Ja przetrwałem tu osiemdziesiąt lat. Czy potrzeba mi więcej, by uznać się za najmądrzejszego człowieka w Wookin?

– Sir, wydaje się pan być osobą, której szukamy. Ten chłopiec to księżę Dhrun. Elfy wpuściły mu do oczu pszczoły, które bzyczą tam w kółko, przez co jest ślepy. Powiedz nam, kto mógłby go uzdrowić lub chociaż kogo moglibyśmy dalej pytać.

– Nikogo tak od ręki polecić nie mogę. To magia elfów i musi być uchylona ich czarami. Szukajcie Rhodiona, króla wszystkich elfów, który nosi zielony kapelusz z czerwonym piórkiem. Zabierzcie mu kapelusz, a będzie musiał spełnić każde wasze życzenie.

– Jak znaleźć króla Rhodiona? To bardzo ważne, naprawdę.

– Nawet najmądrzejszy człowiek w Wookin nie wie, jak rozwiązać tę zagadkę. Król często bywa na wielkich jarmarkach, gdzie kupuje wstążki i różne inne świecidełka. Widziałem go raz na jarmarku w Tinkwood; to wesoły stary jegomość jeżdżący na koźle.

Glyneth spytała:

– Czy zawsze jeździ na koźle?

– Rzadko.

– Jak go więc rozpoznać? Na jarmarkach można spotkać setki wesołych jegomości.

Stary człowiek wystrugał kolejny zawijas z olchowej gałązki.

– Trzeba przyznać, że to niezbyt mocna strona tego planu – powiedział. – Być może bardziej przydałby się wam czarodziej. W Faroli mieszka Tamurello, a w Lullwater mieszka Quatz. Tamurello może jednak zażądać jakiejś wygórowanej przysługi, co mogłoby się wiązać nawet z podróżą na koniec świata. Znowu jest to wada całego przedsięwzięcia. Jeśli zaś chodzi o Quatza, to ten nie żyje. Ośmielę się stwierdzić, że jeśli w jakikolwiek sposób bylibyście w stanie go wskrzesić, zrobiliby dla was wszystko.

– Prawdopodobnie – odrzekła zduszonym głosem Glyneth. – Ale jak...

– Tak, tak. Sama dostrzegłaś słabość tego ostatniego planu. Ciągłe jednak jest to całkiem bystre rozumowanie. Tak mówię ja, najmądrzejszy człowiek w Wookin.

Z gospody wyszła matrona o surowej twarzy.

– Chodź, dziadku! Czas na twoją drzemkę. Potem będziesz mógł tu posiedzieć wieczorem godzinkę albo dwie, bo księżyc późno dziś wschodzi.

– Dobrze, dobrze! Księżyc i ja to starzy wrogowie – wyjaśnił, zwracając się do Glyneth. – Oszukańczy księżyc wysłała lodowate promienie, które mrozą mi szpik w kościach. Rozpaczliwie staram się tego uniknąć. Wymyśliłem, że ustawię na tamtym wzgórzu pułapkę na księżyc, a kiedy nadejdzie, szpiegując i zaglądając w moje okno, pociągnę tylko zapadkę i koniec ze zwarzonym mlekiem w księżycowe noce.

– Najwyższy czas, co, dziadku? No, powiedz do widzenia przyjaciołom i chodź na twoją ulubioną zupę z kopytek.

Dhrun i Glyneth bez słowa pocłapali dalej. Kiedy wyszli już z Wookin, Dhrun odezwał się:

– Wiele z tego, co powiedział, jest wyjątkowo sensowne.

– I mnie się tak wydawało – odparła Glyneth.

Tuż za Wookin rzeka Murmeil skręcała ku południowi. Droga biegła przez okolicę częściowo zalesioną, częściowo pokrytą polami jęczmienia i owsa, częściowo pastwiskami. Miejscami ciche farmy kryły się w cieniu dębów i wierzb, wszystkie zbudowane z miejscowego szarego granitu i pokryte strzechą.

Dhrun i Glyneth przewędrowali znowu parę mil, spotykając po drodze chłopca prowadzącego czwórkę koni, poganiacza ze stadem wołów i wędrownego druciarza latającego garnki. Trochę dalej świeże, czyste powietrze zaczął psuć nieprzyjemny zapach, który stawał się coraz silniejszy wraz z podmuchami wiatru, a potem nagle tak ostry i gwałtowny, że Dhrun i Glyneth aż przystanąli. Glyneth złapała Dhruna za rękę.

– Chodź, będziemy szli szybciej, to prędzej to miniemy.

Bieгли truchtem, wstrzymując oddechy, aby nie czuć odoru. Po następnych stu jardach dotarli do rozstaju dróg. Stały tam na poboczu szubienice. Na drogowskazie z ramionami skierowanymi dokładnie na wschód, zachód, północ i południe było napisane:

BLANDWALLOW:3 – TUMBY:2

WOOKIN:3 – LUMARTH:3

Sześciu martwych mężczyzn, wiszących na szubienicach, tworzyło na tle nieba posępny obrazek.

Glyneth i Dhrun minęli to miejsce w pośpiechu, jednak po chwili zatrzymali się raz jeszcze. Na małym pniaku siedział wysoki, chudy mężczyzna o długiej, pociągłej twarzy. Miał na sobie ciemne ubranie i był bez kapelusza. Proste, kruczoczarne włosy przylegały mu płasko do głowy. Dla Glyneth zarówno mężczyzna, jak i okoliczności wydawały się złowieszcze i minęłaby go z zaledwie grzecznym pozdrowieniem, lecz nieznamy uniósł długie ramię, zatrzymując ich.

– Moi drodzy, powiedzcie mi, proszę, czy macie jakieś wieści z Wookin? Czuwam już tutaj od trzech dni, a ci zmarli panowie mają wyjątkowo mocne i sztywne karki.

– Nie słyszeliśmy o niczym poza śmiercią tych sześciu bandytów, co dla pana nie jest zapewne żadną nowością.

– Na co pan czeka? – z rozbijającą prostotą spytał Dhrun.

– Hej, hii! – chudy człowiek zachichotał ciekawym głosem. – Uczeń stworzył teorię, że każda, nawet najciaśniejsza luka w strukturze społecznej, zostanie przez kogoś tam wypełniona. Ja przyznaję

się do dosyć szczególnego zajęcia, które właściwie ma nawet odpowiedniej nazwy. Żeby ująć to jak najprościej, czekam tu pod szubienicami, dopóki ciała nie spadną. Kiedy to nastąpi, przywłaszczę sobie ich rzeczy i wszystko, co mogłoby mieć jakąkolwiek wartość. Nie mam żadnej konkurencji, bo praca jest paskudna. Nigdy też nie stanę się dzięki temu bogaty, ale jest to przynajmniej uczciwa robota i mam czas na marzenia.

– Interesujące – powiedziała Glyneth. – Życzymy dobrego dnia.

– Tylko momencik. – Oszacował wzrokiem wiszące nieruchome kształty. – Myślę, że dzisiaj na pewno będę miał numer. dwa. – Ujął przyrząd wsparty o szubienicę: długą tyczkę z rozdwojonym końcem. Uchwycił linę tuż ponad węzłem zaciskającym się na szyi wisielca i energicznie nią potrząsnął. Trup wisiał niewzruszenie. – Nazywam się Nabahod, gdybyście chcieli wiedzieć. Czasami mówią na mnie Wąski Nab.

– Dziękujemy, sir. Teraz zaś, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, już sobie pójdziemy.

– Poczekajcie! Może zainteresują was moje spostrzeżenia. Tam, ten drugi z kolei, to stary Tonker, stolarz. Wbił swojej matce dwa gwoździe w głowę. Ma mocną szyję do samego końca. Zobaczcie... -wskazał miejsce tyczką i jego głos przybrał lekko pouczający ton – ten purpurowy siniak. To jest normalne i zazwyczaj występuje w ciągu pierwszych czterech dni. Następnie pojawia się szkarłatny wykwit na skórze, a po mm taka właśnie kredowa bladość, co wskazuje, że obiekt niedługo już spadnie. Po tych objawach oceniam, że Tonker jest już dojrzały. Tyle jednak na dziś. Tonker spadnie jutro, a po nim Tancerz Pilbane. Rabował on na drogach przez trzynaście lat i zapewne robiłby to do dzisiaj, gdyby nie Numinante Pogromca Złodziei, który zaskoczył go we śnie. Zatańczył sobie wtedy Pilbane po raz ostatni. Następny to farmer Kam. Miał sześć mlecznych krów, które przestały dawać mleko, gdy przespacerował przed nimi trędowaty. Ponieważ prawo zakazuje przelewać krew trędowatych, Kam polał go oliwą i podpalił. Mówią, że ten trędowaty pokonał trasę stąd do Lumarth tylko w czternastu susach. Numinante okazał się nadgorliwy w przestrzeganiu prawa i teraz Kam dynda sobie w powietrzu. Ten szósty na końcu to Bosco, kucharz o bardzo dobrej reputacji. Przez wiele lat znosił zachcianki starego, kapryśnego Lorda Tremoya. Jednego dnia, w złośliwym nastroju, nasikał lordowi do zupy. Niestety! Znaleźli się świadkowie tego niegodziwego czynu: trzech posługacze i cukiernik. Niestety! Dlatego też i Bosco tu wisi!

Glyneth zaciekawiona, wbrew swemu uprzedzeniu, zapytała:

– A następny?

Wąski Nab podrapał swędzącą go stopę tyczką.

– To jest Pirriclaw, bandyta o nadzwyczajnych umiejętnościach. Robił on rzecz następującą: wpatrywał się w swoją przyszłą ofiarę w ten sposób – tutaj Nab wyciągnął głowę do przodu i utkwił w Dhrunie świdrujące spojrzenie – i w ten sposób! – odwrócił się i tym samym penetrującym wzrokiem popatrzał na Glyneth. – Natychmiast był w stanie rozpoznać, gdzie jego ofiara ma schowane swe kosztowności. Była to całkiem przydatna sztuczka!

Z nostalgią Nab potrząsnął głową, żałując końca tak rewelacyjnego talentu.

Ręka Dhruna powędrowała w stronę szyi, aby upewnić się, że amulet ciągle tam bezpiecznie wisi. Glyneth prawie bez zastanowienia dotknęła stanika, gdzie miała schowaną magiczną sakiewkę.

Wąski Nab, ciągle kontemplując stan trupa, zdawał się tego nie zauważać.

– Biedny Pirriclaw! Numinante złapał go u szczytu sławy, a ja czekam teraz na jego ubranie, mogę przyznać, że trochę niecierpliwie. Pirriclaw ubierał się tylko w najlepsze rzeczy i wymagał, aby były szyte potrójnym ścięciem. Jest w zasadzie mojego rozmiaru, więc może będę się w to ubierał.

– A co z tym ostatnim ciałem?

– Z nim? Ten się prawie nie liczy. Szmaciane buty, trzy razy cerowane odzienie, brak mu jakiegokolwiek stylu. Te szubienice znane są jako „Sześć Gardel”. Zarówno prawo, jak i zwyczaj zabraniają wieszania pięciu, czterech, trzech, dwóch lub jednego skazańca na tej antycznej belce. Drwiący ze wszystkiego darmozjad imieniem Yoder Szare Ucho ukradł jajka spod czarnej kury należącej do wdowy Hod. Numinante postanowił uczynić go przykładem dla innych i w ten sposób znalazł szóstego na „Sześć Gardel”. Chyba po raz pierwszy w swoim życiu Yoder Szare Ucho na coś się przydał. Poszedł na śmierć, jeśli nawet nie jako szczęśliwy człowiek, to przynajmniej wiedząc, że spełnił się w życiu, co nie każdy z nas mógłby powiedzieć o sobie.

Glyneth z powątpiewaniem pokiwała głową. Uwagi Naba zaczynały być odrobinę zbyt entuzjastyczne i zastanawiała się, czy też bawi się on ich kosztem. Wzięła Dhruna pod ramię.

– Idziemy. Mamy przed sobą jeszcze trzy mile do Lumarth.

– Bezpieczne trzy mile od czasu, gdy Numinante wymiółł je do czysta.

– I ostatnie pytanie. Czy mógłby pan skierować nas na jarmark, gdzie spotykają się mędrcy i czarownicy?

– Jak najbardziej. Trzydzieści mil za Lumarth jest miasteczko Hazelwood, gdzie odbywają się festiwale Druidów i jarmarki. Postarajcie się tam być za dwa tygodnie na święto Druidów – Lugrasad.

Glyneth i Dhrun poszli dalej drogą. Przewędrowali około pół mili, kiedy z jeżynowych krzaków wyskoczył wysoki, chudy bandyta. Miał na sobie długą czarną pelerynę i spłaszczony czarny kapelusz z bardzo szerokim rondem, a twarz zakrywała mu czarna chusta, tak że widać było tylko jego oczy. Wymachiwał trzymanym w lewej ręce sztyletem.

Oddajcie mi wszystkie wasze kosztowności! – zawołał brutalnie. – Bo jeśli nie, to poprzecinam wam gardziółka od ucha do ucha.

Zbliżył się do Glyneth, wcisnął rękę za jej stanik i z zacisznej skrytki pomiędzy jej piersiami wy dostał sakiewkę. Potem odwrócił się do Dhruna i wywinął sztyletem.

– A teraz ty, bez oporu!

– Moje kosztowności nie powinny cię ani trochę obchodzić.

– Ale jednak. Oświadczam, że do mnie należy cały świat i wszystkie jego bogactwa. Każdy, kto używa moich dóbr bez mego pozwolenia, naraża się na mój straszliwy gniew. Czyż nie jest to sprawiedliwe?

Zdezorientowany Dhrun nie znalazł na to odpowiedzi. Tymczasem złodziej ściągnął mu z szyi amulet.

– Phi! Co to jest? Cóż, zastanowimy się nad tym później. Idźcie dalej swoją drogą w pokorze i bądźcie bardziej ostrożni w przyszłości.

Glyneth, milcząc ponuro, i Dhrun, łkając ze wściekłości, ruszyli dalej. Za sobą usłyszeli porywający śmiech: Ha, ha, ha, ha, ha! – po czym bandyta zniknął w zaroślach.

Godzinę później dotarli do Lumarth. Poszli prosto do gospody, która jak głosił napis, zwała się „Niebieska Gęś”. Tam Glyneth zapytała, gdzie mogłaby znaleźć Numinantę Pogromcę Złodziei.

– Fortuna ci sprzyja. Znajdziesz go we własnej osobie w największej sali. Popija z kufła wielkości swojej głowy.

– Dziękuję panu. – Glyneth ostrożnie weszła do głównej sali. W innych tego typu miejscach padła już ofiarą najróżniejszych zniewag: pijackich pocałunków, przesadnie poufałych klapsów po pośladkach, złośliwych spojrzeń i łaskotek. Przy barze siedział mężczyzna średniego wzrostu o pruderyjnie trzeźwym spojrzeniu. Na brzuchu trzymał wielki dzban, z którego pił piwo. Glyneth rozejrzała się po sali. Nie było tam nikogo, kto mógłby sobie na coś pozwolić, więc pewnym

krokiem zbliżyła się do mężczyzny przy barze.

– Pan Numinante?

– Tak?

– Muszę donieść o zbrodniczym występku.

– Mów śmiało, wiedzieć o tym, to mój obowiązek.

– Na rozstaju dróg spotkaliśmy Nabahoda, czy też Wąskiego Naba, który czekał, aż trupy spadną z szubienic, aby mógł zabrać ich rzeczy. Trochę rozmawialiśmy, potem poszliśmy swoją drogą. Zaledwie pół mili dalej z lasu wyskoczył rabuś i zabrał wszystko, co posiadaliśmy.

Numinante rzekł:

– Moja droga, zostaliście obrabowani przez samego Jantona Pod-rzynacza. Zaledwie w zeszłym tygodniu powiesiłem sześciu jego kompanów. Był zapewne w trakcie zabierania ich butów do swojej kolekcji. Ubrania go ani trochę nie interesują.

– Ale opowiedział nam o stolarzu Tonkerze, kucharzu Bosco, tych dwóch bandytach: Pirriclawie i zapomniałam tego drugiego...

– Być może. Ujeżdżali tu po okolicy z Jantonem jak sfora dzikich psów. Janton się stąd wynosi i zabiera swój interes gdzie indziej. Któregoś dnia powieszę go, ale każda przyjemność w swoim czasie.

– Nie może pan wysłać ludzi, by go szukali? Zabrał mi amulet i naszą sakiewkę z pieniędzmi.

– Mógłbym, ale to by nic nie dało – powiedział Numinante. – Wszędzie ma pełno kryjówek. Wszystko, co mogę w tej chwili zrobić, to dobrze was nakarmić na koszt króla. Euric! Nakarm te dzieci, jak możesz najlepiej. Daj im jedno z tych kurcząt z rożna, porządny kawałek wołowiny i jeszcze tłustego puddingu, a do tego jabłecznik na przepłukanie tego wszystkiego.

– Robi się, panie Numinante. Glyneth odezwała się:

– Jeszcze jedno, proszę pana. Jak widać, Dhrun jest ślepy, a to za przyczyną leśnych elfów. Mówiono nam, byśmy szukali czarodzieja, który mógłby temu zaradzić. Czy mógłby pan nam kogoś polecić?

Numinante wchłonął kolejną kwartę piwa. Po chwili zastanowienia rzekł:

– Słyszałem o takich osobach, sława o nich rozeszła się daleko, ale nie jestem w stanie wam pomóc, gdyż nie znam się na magii, a tylko czarodzieje znają osobiście innych czarodziei.

– Janton sugerował, byśmy odwiedzili jarmark w Hazelwood i tam się porozglądali.

– Brzmi to jak dobra rada. Chyba, że zamierza spotkać was po drodze i ponownie obrabować. O, widzę, że Euric przygotował wam posiłek. Jedzcie z apetytem!

Ze zwieszonymi ramionami, posmutniali Dhrun i Glyneth podążyli za Euricem do stołu, który dla nich zastawił. Pomimo że dał im, co miał najlepszego, jedzenie straciło dla nich smak. Wiele razy Glyneth otwierała usta, chcąc powiedzieć Dhrunowi, że stracił tylko najzwyklejszy kamyczek, że jego elfowy kamień rozpadł się na drobne kawałki i za każdym razem zamykała buzię, zawstydzona swym oszustwem.

Euric pokazał im drogę do Hazelwood.

– Musicie wejść na to wzgórze i w dół doliną przez piętnaście mil. Potem przez Las Wheary, przez Krainę Jezior, w górę i w dół przez Dalekie Wzgórza, a na końcu wzdłuż rzeki Sham, aż do Hazelwood. Dobre cztery dni wędrówki. Przypuszczam, że nie macie ze sobą dużej sumy pieniędzy.

– Mamy dwie złote korony, proszę pana.

– Rozmienię wam to na floreny i pensy, łatwiej będzie z nich korzystać.

Z ośmioma srebrnymi florenami i dwudziestoma miedzianymi pensami, brzęczącymi w małej szmacianej sakiewce, oraz pozostałą złotą koroną, bezpieczną za pasem Dhrunowych spodni, udali

się w drogę do Hazelwood.

Cztery dni później, głodni, z odciskami na stopach Dhrun i Glyneth dotarli do Hazelwood. Podróż obeszła się bez przygód, poza małym epizodem późnym popołudniem, niedaleko wioski Maude. Będąc zaledwie pół mili od miejsciny, usłyszeli jęki dochodzące z rowu na poboczu drogi. Podbiegli tam i znaleźli kalekiego starca, który zboczył z drogi i wpadł w kępę łopianu. Z wysiłkiem Dhrun i Glyneth wyciągnęli go na drogę i odprowadzili do wioski, gdzie opadł bez siły na ławkę.

– Dziękuję wam, kochani – powiedział. – Jeśli już mam umierać, lepiej tu niż w rowie.

– Dlaczego miałby pan umierać? – zapytała Glyneth. – Widziałam ludzi, którzy żyli, będąc w daleko gorszym położeniu niż pan.

– Bardzo możliwe, lecz byli otoczeni przez kochających ich bliskich i mogli pracować. Ja nie mam nawet miedziaka, a nikt mnie nie zatrudni, więc umrę.

Glyneth odciągnęła Dhruna na bok.

– Nie możemy go tak zostawić.

– I z pewnością nie możemy go zabrać ze sobą – głucho odparł Dhrun.

– Wiem. Nie mogłabym jednak odejść i zostawić go tutaj bezradnego.

– Co więc chcesz zrobić?

– Wiem, że nie możemy pomagać każdemu, kogo spotkamy, ale przynajmniej możemy pomóc tej konkretnej osobie.

– Masz na myśli złotą koronę?

– Tak.

Dhrun bez słowa wyjął monetę zza paska i podał ją Glyneth. Ona zaś dała ją starcowi.

– To wszystko, co możemy oddać, ale pomoże panu na jakiś czas.

– Błogosławię was oboje.

Dhrun i Glyneth poszli do gospody, gdzie dowiedzieli się, że wszystkie pokoje są zajęte.

– Strych nad stajnią jest pełen świeżego siana, możecie się tam przespać za pensa, a jeżeli pomożecie mi przez godzinę w kuchni, dam wam kolację.

W kuchni Dhrun łuskał groszek, a Glyneth szorowała garnki dopóki gospodarz nie zawołał z przejęciem:

– Starczy, starczy! Mogę się już w nich przejrzeć! chodźcie, zarobiliście na swoją kolację.

Zabrał ich do stołu w rogu kuchni i dał najpierw zupę z porów i soczewicy, potem plastry wieprzowiny zapiekane w jabłkach, z chlebem i sosem oraz po kawałku świeżej brzoskwini na deser.

Wyszli z kuchni przez główną salę, gdzie zabawa odbywała się już w najlepsze. Trzech muzykantów wygrywało skoczną melodię na flecie, lutni i bębenkach. W tłumie gapiów Glyneth dojrzała starego kalekę, któremu podarowali złotą monetę. Był pijany i tańczył z zapalem, żwawo wywijając nogami. Złapał dziewczkę służebną i parę razy przetańczyli przez całą salę. Stary człowiek jedną ręką obejmował służkę, a w drugiej trzymał duży garniec piwa.

Glyneth spytała człowieka, który stał obok niej:

– Kim jest ten starzec? Kiedy go ostatnio widziałam, sprawiał wrażenie kaleki.

– To szelma Ludolf, który na pewno nie jest bardziej kaleki niż ty czy ja. Często wybiera się na przechadzkę za miasteczko, ułoży się wygodnie przy drodze, a kiedy mijają go jacyś podróżni, zaczyna jęczeć i zawodzić. Wtedy pomagają mu dojść do wsi. Potem Ludolf pomarudzi i troszeczkę popłacze i wędrowiec zazwyczaj da mu monetę albo dwie. Dzisiaj spotkał chyba jakiegoś indyjskiego baszę.

Zasmucona Glyneth poprowadziła Dhruna do stajni i po drabinie do spichrza. Tam powiedziała



mu, co widziała w gospodzie. Dhrun mocno się rozgniewał. Zgrzytał zębami i zagryzał wargi.

– Nie znoszę kłamców i oszustów – zawołał. Glyneth zaśmiała się żałośnie.

– Nie będziemy się tym przejmować. Nie powiem też, że dostaliśmy nauczkę, ponieważ jutro, być może, zrobimy to samo.

– Ale z większą ostrożnością i rozwagą.

– Zapewne. Ale nie musimy się niczego wstydić.

Droga z Maude do Hazelwood wiodła przez urozmaiconą okolicę, lasami i polami, wzgórzami i dolinkami. Na szczęście nic ich już nie niepokoiło i czwartego dnia po opuszczeniu Lumarth dotarli w południe do Hazelwood. Doroczne święto jeszcze się nie rozpoczęło, ale zaczęto już budować stragany, pawilony, platformy i inne rzeczy przydatne podczas jarmarku. Glyneth, trzymając Dhruna za rękę, obserwowała całą krzątanicę i zabieganie.

– Mam wrażenie, jakby miało tu być więcej kupców niż zwyczajnych ludzi. Być może będą handlować ze sobą nawzajem. To naprawdę barwnie wygląda, te wszystkie budowle poobwieszane proporcami.

– Cóż to za cudowny zapach? – spytał Dhrun. – Przypomina mi, jak bardzo jestem głodny.

– Około dwadzieścia jardów stąd, pod wiatr, stoi mężczyzna w białym kapeluszu i smaży kielbaski. Przyznam, ten zapach jest oszałamiający, ale mamy zaledwie siedem florenów i kilka pensów. Mam nadzieję, że to wystarczy, zanim nie uda się nam zarobić jakoś trochę pieniędzy.

– Czy sprzedawca kielbasek robi dobry interes?

– Nie za bardzo.

– To spróbujmy się z nim potargować.

– Bardzo dobrze, tylko w jaki sposób?

– Przy pomocy tego – rzekł Dhrun i wyjął swoją kobzę.

– Doskonały pomysł. – Podprowadziła go bliżej stoiska z kielbaskami. – Graj teraz – wyszeptwała. – Skoczną melodię, radosną melodię i głodną melodię.

Dhrun zaczął grać, zrazu powoli i ostrożnie, potem jego palce zdały się żyć swym własnym życiem i swobodnie przemykały po przyciskach, a z instrumentu popłynęły śliczne skoczne melodie. Ludzie zatrzymywali się, aby posłuchać, gromadzili się wokół stoiska z kielbaskami i wielu z nich je kupiło. Nagle sprzedawca miał bardzo dużo pracy.

Po pewnym czasie Glyneth podeszła do niego.

– Proszę pana, jesteśmy bardzo głodni, czy my też moglibyśmy dostać parę kielbasek? Jak zjemy, będziemy dalej grać.

– Uważam, że to całkiem niezły interes – rzekł sprzedawca i nakarmił ich kielbaskami i chlebem.

Potem Dhrun zaczął znowu grać: żywo, wesoło, skocznie, aż nogi same rwały się do tańca, a nosy upajały się wonią smażonych kielbasek. Trwało to prawie godzinę, dopóki sprzedawca nie pozbył się wszystkich swoich zapasów, wtedy też Glyneth z Dhrunem niepostrzeżenie oddalili się od jego stoiska.

Nie opodal, w cieniu drewnianego wozu stał wysoki młody mężczyzna o silnych, szerokich ramionach, długich nogach, długim nosie i bystrych szarych oczach. Proste, jasne jak piasek włosy miał przystrzyżone tuż nad uszami i nie miał brody ani wąsów. Gdy Glyneth i Dhrun mijali go, wystąpił do przodu i zagadnął ich.

– Podobają mi się twoja muzyka – powiedział Dhrunowi. – Tak zręcznie grasz, gdzie się tego nauczyłeś?

– Sir, to dar od elfów z Thripsey Shee. Dały mi tę kobzę, sakiewkę z pieniędzmi, amulet odwagi

i napiętnowały na siedem lat złym losem, który ciągnie się teraz za mną jak paskudny śwąd.

– Thripsey Shee to daleko stąd, w Lyonesse. Jak dotarliście aż tutaj?

– Wędrowaliśmy przez wielki las – powiedziała Glyneth. – Dhrun natknął się na kilka leśnych nimf, właśnie się kąpały i były rozebrane. Wpuściły mu do oczu magiczne pszczoły i nie odzyska wzroku, dopóki ich stamtąd nie przepędzimy.

– A jak zamierzacie to uczynić?

– Doradzono nam, byśmy szukali Rhodiona, króla elfów, porwali jego kapelusz i zmusili go w ten sposób do spełnienia naszych żądań.

– Rada niczego sobie, dopóki nie przyjdzie wprowadzić jej w życie. Najpierw jednak musicie znaleźć króla Rhodiona, co wcale nie jest takie proste.

– Mówią, że często bywa na jarmarkach, że jest to ktoś wesoły, w zielonym kapeluszu – odparła Glyneth. – Jest od czego zacząć.

– W rzeczy samej... Popatrz! Tam idzie taki jeden! A tam następny! Pełnym wątpliwości głosem Glyneth powiedziała:

– Nie sądzę, żeby którykolwiek z nich był królem Rhodionem; zapewne nie ten pijany, choć niewątpliwie jest wesejszy z nich dwóch. W każdym razie doradzono nam również prosić o pomoc potężnego czarodzieja.

– I znowu łatwiej powiedzieć, niż wykonać. Czarodzieje zadają sobie wiele trudu, by zniknąć z oczu tym, którzy w przeciwnym wypadku staliby się nie kończącym się strumieniem interesantów. – Spojrzał teraz na ponure twarze i dodał: – Może jednak znalazłaby się na to jakaś rada. Pozwólcie, że się przedstawię. Jestem doktor Fidelius. Podróżuję po Dahaucie w tym wozie ciągniętym przez dwa magiczne konie. Tablica na boku wozu wyjaśnia, czym się zajmuję.

Glyneth przeczytała:

## DOKTOR FIDELIUS

*Wielki gnostyk, jasnowidz, magik* LECZY CHORE KOLANA

– Analiza i rozwiązywanie tajemnic – wypowiedanie zaklęć w znanych i nie znanych językach.

– Sprzedaż środków przeciwbólowych, maści, balsamów i eliksirów.

– Nalewki przeciw mdłościom, świerzbowi, bólowi, kolce, łupieżowi, pęcherzom i naroślom.

## SPECJALNOŚĆ – CHORE KOLANA

Glyneth, spoglądając ponownie na doktora Fideliusa, spytała dociekliwie:

– Czy pan jest naprawdę magikiem?

– W istocie – odparł doktor Fidelius. – Obserwuj tę monetę! Trzymam ją w ręce i ... hej, ho, ho!

Gdzie jest teraz?

– W twojej drugiej ręce.

– Nie. Jest tu, na twoim ramieniu. I popatrz! Na drugim ramieniu jest jeszcze jedna! Co powiesz na to?

– Wspaniale. Czy może pan wyleczyć Dhrunowi oczy? Doktor Fidelius potrząsnął głową.

– Ale znam czarodzieja, który może i wierzę, że zrobiłby to.

– Cudownie! Czy zabierze nas pan do niego? Doktor Fidelius ponownie potrząsnął głową.

– Nie teraz. Mam bardzo ważną sprawę do załatwienia w Dahau-cie. Potem odwiedzę czarodzieja Murgena.

Dhrun spytał:

- Czy moglibyśmy znaleźć go sami, bez twojej pomocy?
- Nigdy. To daleka i niebezpieczna droga, a on dobrze strzeże swej prywatności.
- A czy ta sprawa w Dahaucie zajmie ci bardzo dużo czasu? – zapytała Glyneth nieśmiało.
- Trudno powiedzieć. Wcześniej czy później pewien mężczyzna odwiedzi mój wóz, a potem...
- Potem?
- Spodziewam się, że odwiedzimy czarodzieja Murgena. Tymczasem przyłączcie się do mnie.

Dhrun będzie grał na kobzie i ściągał klientelę. Glyneth będzie sprzedawać balsamy, proszki i amuleciki szczęścia, a ja będę obserwował tłum.

– Jesteś wspaniałomyślnym człowiekiem – powiedziała Glyneth. – Ale ani ja, ani Dhrun nie znamy się na medycynie.

– To bez znaczenia. Sam jestem szarlatanem. Moje lekarstwa są bezużyteczne, ale sprzedają je tanio i zazwyczaj są tak skuteczne, jakby przepisał je sam Hyrcomus Galienus. Pozbądźcie się jakichkolwiek skrupułów. Nie mam dużych zysków, ale zawsze dobrze zjemy i będziemy pić dobre wino. A jeśli będzie padać, schowamy się w zaciszu wozu.

Dhrun rzekł ponuro:

– Cięży na mnie klątwa siedmiu pechowych lat. Może to zaszkodzić również i twoim poczynaniom.

Glyneth wyjaśniła.

– Dhrun spędził większość swojego życia w elfowym shee, dopóki nie kazały mu pójść sobie i nie rzuciły na niego klątwy.

– To chochlik Falael ściągnął na mnie klątwę, już kiedy opuszczałem shee. Odplaciłbym mu się tym samym, gdybym tylko mógł.

– Klątwa musi zostać cofnięta – oświadczył doktor Fidelius. – Być może mimo wszystko powinniśmy rozglądać się za królem Rhodionem. Jeśli będziesz grać na elfowej kobzie, na pewno podejdzie bliżej, żeby posłuchać.

– A wtedy co? – spytała Glyneth.

– Musisz zabrać mu kapelusz. Będzie krzyczeć i odgrażać się, ale nie będzie miał innego wyjścia, jak spełnić twoje żądanie.

Glyneth zastanawiała się, marszcząc brwi.

– Czy nie jest to raczej niegrzeczne, tak porywać kapelusz komuś zupełnie obcemu? Jeśli się pomylę, ten ktoś zapewne będzie nie tylko krzyczał i odgrażał się, ale złapie mnie i porządnie zbije.

Doktor Fidelius przytaknął.

– Oczywiście, to możliwe. Jak pokazałem wam wcześniej, wielu wesołych gości nosi zielone kapelusze. Ale jest jeszcze jedna rzecz, króla Rhodiona można rozpoznać dzięki trzem szczególnym cechom. Po pierwsze, jego uszy nie są wykształcone do końca i są spiczaste u góry. Po drugie, jego stopy są długie i wąskie, z długimi owłosionymi palcami. Po trzecie, pomiędzy palcami u ręki ma błonki, jak u żaby, i zielone paznokcie. Mówi się również, że kiedy stanie się blisko niego, czuć swoisty zapach, nie słodki i nie taki jak od czosnku, ale szafranowy i bazi wierzbowych. Tak więc Glyneth, musisz być czujna przez cały czas. Ja też będę uważał i może jakoś zdobędziemy kapelusz Rhodiona.

Glyneth przytuliła Dhruna i ucałowała go w policzek.

– Słyszałeś? Musisz grać najlepiej jak potrafisz i wcześniej czy później król Rhodion będzie tędy przechodził. A wtedy, żegnaj siedmioletni zły losie!

– Tylko przy sprzyjającym losie on mógłby się pojawić tu gdzieś w pobliżu. No cóż, będę chyba

musiał czekać siedem lat. Do tego czasu będę stary i niezdarny.

– Ależ to absurdalne. Dobra muzyka zawsze odgania zły los, nigdy o tym nie zapominaj.

– Zgadzam się z tym! – powiedział doktor Fidelius. – Chodźcie teraz oboje ze mną. Musimy pozmieniać co nieco w waszym wyglądzie.

Zabrał ich do handlarza butami i odzieżą. Ten rozłożył ręce na widok Glyneth i Dhruna.

– Na zaplecze z wami.

Służący przygotowali balie ciepłej wody i słodko pachnące mydło bizantyjskie.

Dzieci rozebrały się i zmyły z siebie cały brud i pył z podróży. Służący przynieśli im ręczniki i lniane koszulki. Potem dostarczono im piękne, nowe ubrania: niebieskie spodnie, białą koszulę i jasnobezową tunikę dla Dhruna oraz sukienkę koloru jasnozielonej trawy i ciemnozielone wstążki do włosów dla Glyneth. Inne rzeczy spakowano w kuferek i przesłano do wozu.

Doktor Fidelius przyjrzał się im z aprobatą i rzekł:

– Gdzież te dwa obdartusy? Mamy tu przystojnego księcia i piękną księżniczkę.

Glyneth wybuchnęła śmiechem.

– Mój ojciec był jedynie sędzią pokoju miasta Throckshaw w Ul-flandzie, ale ojciec Dhruna jest księciem, a jego matka księżniczką.

Stwierdzenie to wyraźnie zaciekało Fideliusa.

– Kto ci o tym powiedział? – spytał Dhruna.

– Elfy.

Doktor Fidelius powiedział powoli:

– Jeżeli to prawda, a dlaczego by nie, to jesteś bardzo ważną osobą. Twoją matką mogłaby być Suldrun, księżniczka z Lyonesse. Przykro mi to mówić, ale ona nie żyje.

– A mój ojciec?

– O nim nic nie wiem. To dosyć tajemnicza postać.



Wczesnym rankiem, gdy słońce było jeszcze nisko za drzewami i rosa pokrywała trawę, drwal Graithe zabrał Aillasa na Szaloną Łąkę. Wskazał na nieduże wzniesienie, na którym rósł mały, powykrzywiany dąb.

– To jest Thripsey Shee. W oczach śmiertelnika zdaje się być bardzo niepozorne, ale dawno temu, gdy byłem młody i bystry, podkra-dłem się tutaj od strony lasu w najdłuższą noc w roku. W tę noc elfy nie zadają sobie trudu z ukrywaniem się. Tam, gdzie teraz widzisz kępy torfu i stare drzewo, ja zobaczyłem jedwabne pawilony, milion kolorowych lampionów i wieże wznoszące się jedna wyżej od drugiej. Elfy kazały grać muzykom i rozpoczęły się tańce. Czuję, że coś mnie do nich ciągnie i ponagla, bym przyłączył się do zabawy, ale wiedziałem, że gdybym zrobił jeden tylko krok na czarodziejskiej murawie, musiałbym tańczyć nieustannie do końca życia. Zatkaną sobie uszy rękoma i jak żałobnik powlokłem się stamtąd.

Aillas, przeszukał wzrokiem Szaloną Łąkę. Słyszał śpiew ptaków i brzęczenie, które mogłoby być śmiechem. W końcu zrobił trzy kroki do przodu i wszedł na łąkę.

– Elfy, błagam was, wysłuchajcie mnie! Jestem Aillas, a chłopiec Dhrun jest moim synem. Proszę, czy przyjdzie tu ktoś porozmawiać ze mną?

Poza jeszcze jednym ptasim gwizdem nad łąką nie słychać było nic i zapanowała cisza. Łubiny i ostróżki, rosnące nie opodal wzgórza, zadrżały i zachwiały się, choć powietrze było spokojne.

Graithe pociągnął go za rękaw.

– Chodźmy stąd. Przygotowują coś złośliwego. Gdyby zechciały z tobą rozmawiać, zrobiłyby to od razu. Teraz chcą ci jakoś zaszkodzić. Odejdź, zanim ucierpisz od ich sztuczek.

Szli z powrotem przez las. Graithe powiedział:

– To dziwny ludek. Nie znaczymy dla nich więcej, niż na przykład ryby dla nas.

Aillas poszedł dalej sam. W drodze powrotnej do wioski Glymwode skręcił w pewnej chwili do lasu i podszedł do zwalonego spróchniałego pnia. Wyjął z zawiniątka Persiliana i oparł go o drzewo. Przez moment widział w lustrze swoje własne odbicie o błękitnych oczach, urodziwe, pomimo ostro zarysowanej szczęki, podbródka i kości policzkowych.

Potem Persilian w swej przewrotności zmienił odbicie i Aillas spojrział w wizerunek jeża.

Aillas powiedział:

– Persilianie, potrzebuję twojej pomocy.

– Czy chcesz zadać pytanie?

– Tak.

– To już będzie trzecie.

– Wiem. Dlatego też chcę wyjaśnić znaczenie tego pytania, żebyś nie udzielił mi znowu jakiejś wymijającej odpowiedzi. Szukam mojego syna, Dhruna, którego porwały elfy z Thripsey Shee. Zapytam cię: „Jak go odzyskać, aby żywy i zdrowy znalazł się pod moją opieką?” Chcę wiedzieć dokładnie, gdzie się znajduje, jak wydostać go z Thripsey Shee w pełni sił, przynależnych jego wiekowi, i zdrowego na umyśle, nie narażając się na żadne przykre konsekwencje. Chcę znaleźć i uwolnić mojego syna, ale tak by wykonanie tego nie zajęło tygodni, miesięcy czy lat. Nie chcę też nieprzyjemnych niespodzianek, które mogłyby pokrzyżować mi plany. Wobec tego Persilianie...

– Czy nie wydaje ci się przypadkiem – zapytał Persilian – że jesteś strasznie arogancki? Żądasz mojej pomocy, jakbym miał wobec ciebie pewne zobowiązania i, tak samo jak wszyscy pozostali, zazdrośnie odmawiasz, uwolnienia mnie poprzez zadanie czwartego pytania. Czy pomyślałeś chociaż przez chwilę, że twoje problemy nic dla mnie nie znaczą? Czy zastanowiłeś się nad tym, że i ja mogę

mieć swoje pragnienia? Nie. ty wykorzystujesz mnie i moją moc, jakbyś używał konia pociągowego. Ty krytykujesz i stawiasz wymagania, jak gdybyś jakimś heroicznym czynem zasłużył sobie na władzę nade mną. W rzeczywistości zaś po prostu podstępnie skradłeś mnie królowi Casmirowi. Masz zamiar dalej mnie obrażać?

Po pełnej zażenowania chwili Aillas odezwał się zduszonym głosem.

– Twoje skargi są w znacznej części usprawiedliwione. W chwili obecnej jednakże nic się dla mnie tak nie liczy, jak odnalezienie mojego syna. Z tego też powodu muszę powtórzyć me żądanie. Daj mi wyczerpującą odpowiedź na pytanie: „Co zrobić, aby mój syn znalazł się pod moją opieką?”

Twardym głosem Persilian rzekł:

– Zapytaj Murgena.

Aillas rozwścieczony zeskoczył z pnia. Z wysiłkiem powstrzymywał się, żeby nie krzyknąć.

– To nie jest właściwa odpowiedź.

– Jest wystarczająco dobra – beznamiętnie odparł Persilian. – Nasze pragnienia nie idą ze sobą w parze. Zechcesz zadać jeszcze jedno pytanie, jak najbardziej, proszę, zrób to.

Aillas odwrócił lustro, tak że skierowane było teraz w stronę łąki. Wskazał w tamtym kierunku.

– Patrz! Tam na polu jest stara studnia. Czas może nie mieć dla ciebie znaczenia, ale jeśli cię tam wrzucę, pogrążysz się głęboko w błocie. Po pewnym czasie studnia się zawali i będziesz tam zasypany, być może na zawsze, a tak długi okres czasu musi mieć dla ciebie jakieś znaczenie.

– Nic nie rozumiesz – ciągle spokojnym tonem odparł Persilian. -Przypominam ci, że zwięzłość mowy jest esencją mądrości. Skoro wydajesz się nieusatisfakcjonowany, rozwinię nieco moje wskazówki. Elfy nic ci nie dadzą, jeżeli nie ofiarujesz im jakiegoś подарunku. Nie masz nic, co mógłbyś im zaoferować. Murgen jest arcymagiem. Mieszka w Swer Smod na Górze Gaboon, znajdującej się w masywie Teach tac Teach. Po brodzie czeka cię wiele niebezpieczeństw. Chcąc przedostać się przez skalne Wrota Binkingsa, trzeba przejść pod głazem ustawionym na skalnej iglicy. Musisz zabić stróżującego tam kruka lub on upuści pióro, które strąci ci głaz na głowę. Nad rzeką Siss spotkasz starą kobietę na kurzych nogach i z głową lisa. Poprosi cię, byś ją przeniósł przez rzekę. Musisz działać błyskawicznie: przetnij ją mieczem na pół i przenieś każdą część oddzielnie. U podnóża Góry Gaboon napotkasz dwa brodate gryfy. Daj każdemu po plasterze miodu, który przyniesiesz ze sobą specjalnie w tym celu. Przed samym Swer Smod zawołaj trzy razy w ten sposób: „Murgen! To ja, książę Aillas z Troicinetu.” Nie przestrasz się, kiedy już go zobaczysz. Jest człowiekiem, tak samo jak ty. Nie jest może zbyt towarzyski, ale jest sprawiedliwy. Wysłuchaj jego poleceń i wykonaj je co do joty. I jeszcze ostatnia rada, byś oszczędził mi więcej wymówek. Czy pojedziesz konno?

– Tak zamierzałem.

– Zanim dotrzesz do rzeki Siss, zostaw konia w wiosce Oswy Unde-rvale. W przeciwnym wypadku naje się ziół, które doprowadzą go do szału i zrzuci cię na skały.

– Bardzo pożyteczna rada. – Aillas spojrzał tęsknie w kierunku Szalonej Łąki. – W sumie wolałbym mieć teraz do czynienia z elfami, niż szukać wpierw Murgena, stawiając czoła wszystkim tym niebezpieczeństwom.

– No, być może. Są jednak powody, dla których korzystniej byłoby zacząć od wizyty u Murgena.

Po tych słowach Persilian ukazał raz jeszcze odbicie Aillasa. Aillas patrzył, jak jego twarz zmieniała się w szereg złośliwych i komicznych grymasów, wreszcie zniknęła i lustro było puste.

W Tawn Timble Aillas nabył za złotą broszę z drogocennymi kamieniami silnego dereszowatego wałacha wraz z uzdą, siodłem i sakwami. U płatnerza nabył miecz zadowalającej

jakości oraz sztylet o ciężkim ostrzu w lyonesskim stylu. Do tego stary łuk, niezbyt solidny i nie wyważony, ale Aillas uznał, że będzie użyteczny, jeśli go dobrze naoliwić i z wyczuciem naciągnąć. Wraz z łukiem nabył dwanaście strzał i kołczan.

U męskiego krawca kupił czarną bluzę i czarny myśliwski kapelusz. Miejscowy szewc uzupełnił strój parą wygodnych czarnych butów.

Siedząc na swym koniu, Aillas znowu poczuł się szlachcicem. Wyjechał z Tawn Timble na południe, do Małego Saffield, następnie Starym Traktem na zachód. Puszcza Tantrevalles znaczyła się ciemną kreską na horyzoncie, ustępując potem przed niebieskimi cieniami mającego w oddali olbrzymiego Teach tac Teach. Przy Żabich Błotach zawrócił na północ Drogą Goryczy, która doprowadziła go do Oswy Un-dervale – małej letargicznej osady z dwoma setkami mieszkańców. Aillas zakwaterował się w gospodzie „Pod Pawiem” i spędził całe popołudnie na ostrzeniu miecza i testując strzały na polu za gospodą, gdzie wałek ze słomy służył mu jako cel. Łuk zdawał się w dobrym stanie, choć trzeba go było dopracować. Strzały sięgały celu z zadowalającą dokładnością na odległość czterdziestu jardów i trochę dalej. Aillas z sentymentem i przyjemnością słał strzałę za strzałą do celu wielkości pięści; bystre oko i pewna ręka jeszcze go nie zawiodły.

Wczesnym rankiem zostawił konia w stajni za zajazdem, a sam ruszył pieszo szlakiem wiodącym na zachód. Wspiął się na wysoką, piaszczystą skarpe, na której wśród pozwalanych głązów rosły tylko osty i ostra sucha trawa. Szedł dalej, a gdy dotarł na szczyt wzniesienia, jego oczom ukazała się rozległa dolina, a wraz z nią rozciągający się z zachodu ku północy potężny masyw Teach tac Teach, zagradzający drogę ku Ulflandom. Poniżej szlak schodził trawersami na dno doliny. Płynęła tamtędy rzeka Siss, spływająca z góry Troaghs na krańcu Przylądka Pożegnań, tocząc swe wody aż do miejsca, gdzie łączyła się ze Słodką Yallow.

Zdawało mu się, że wysoko na zboczach Góry Gaboon dostrzeżga Swer Smód, ale kształty i cienie łudziły oko i nie był pewien, co zobaczył. Ruszył na dół, zbiegając beztrósko w podskokach, ześlizgując się z kamienia na kamień, osiągając w ten sposób bardzo szybko dno doliny. Znalazł się w sadzie pełnym jabłoni obwieszonych czerwonymi owocami, ale przemaszerował rezolutnie między nimi, docierając nad brzeg rzeki. Siedziała tam na pniu kobieta z twarzą lisa i nogami kury. Aillas przyglądał się jej i dumał. Wreszcie ona wrzasnęła:

- Człowieku, dlaczego się tak gapisz?
- Pani Lisia-Twarz, pani jest chyba najniezwyklejszą istotą, jaką kiedykolwiek widziałem.
- To nie powód, by mnie zaczepiać.
- Nie chciałem cię urazić, pani. Jesteś jaka jesteś.
- Zauważ, że siedzę tutaj z godnością. To nie ja zbiegałam jak narwaniec w dzikich podskokach z tego wzgórza. Nigdy nie zdobyłabym się na taki wybryk. Ludzie pomyśleliby, że jestem latawicą.
- Byłem może nieco hałaśliwy – przyznał Aillas. – Czy zezwoli pani, że zadam jedno pytanie, z czystej ciekawości?
- Jeśli pozbawione będzie impertynencji.
- Ocenisz sama. Niech też z góry będzie jasne, że zadając to pytanie, nie zaciągam żadnych zobowiązań.
- Pytaj więc.
- Masz twarz rudego lisa, tułów kobiety, kurze kończyny. Która z tych cech ma największy wpływ na twoje życie?
- To bezsensowne pytanie. Teraz moja kolej, by cię o coś prosić.
- Ależ ja z góry zastrzegłem, że nie podejmuję żadnych zobowiązań.
- Odwołuję się do twej rycerskości. Czy chciałbyś, aby na twoich oczach, taką wątłą istotę jak



ja porwał i zatopił nurt rzeczny? Przenieś mnie z łaski swojej na drugi brzeg.

– To prośba, której żaden szlachcic nie mógłby zignorować – powiedział Aillas. – Stań tutaj, nad samym brzegiem i wskaż mi miejsce, w którym najłatwiej przejść przez rzekę.

– Z przyjemnością. – Kobieta podreptała ścieżką ku rzece.

Aillas dobył miecza i jednym uderzeniem przeciął ją w talii na dwoje. .

Żadna z części nie leżała spokojnie. Biodra i nogi biegały tam i z powrotem, tułów zaś walił z furią rękami o ziemię, podczas gdy głowa złorzeczyła, aż Aillasowi mroziło krew w żyłach. W końcu odezwał się:

– Cicho, kobieto! Gdzie twoja godność, którą się tak chełpiłaś?

– Idź swą drogą – zaskrzeczała. – Wkrótce ci się odpłacę.

Aillas ostrożnie złapał ją od tyłu za tunikę, przytaszczył na sam brzeg i przeniósł przez bród na drugą stronę.

– Mając nogi na jednym brzegu, a ręce na drugim nie będzie cię już tak kusilo do podłych sztuczek.

Kobieta wyrzuciła z siebie nowy potok złorzeczeń, a Aillas ruszył przed siebie ścieżką, która prowadziła na wzgórze. Po chwili przystanął i spojrzał do tyłu. Kobieta uniosła głowę i zagwizdała, nogi przedostały się brodem na drugą stronę, obie części złączyły się i kreatura znowu była w całości. Aillas zasepiony poszedł dalej na Górę Gaboon. Za nią rozciągały się wszystkie wschodnie krainy: w znacznej części ciemnozielony las, resztę stanowiły rozległe pustkowia, gdzie nie mieszkał nikt i nie rosło nic poza żdźbłami trawy.

Klif wznosił się pionowo w górę i właśnie tu kończył się szlak. Jeszcze dwa kroki i Aillas ujrzał Wrota Binkingsa, wąską szczelinę w skale. U wejścia znajdował się dziesięciostopowy filar zwieńczony szpicem, na którym w idealnej równowadze spoczywał olbrzymi głaz.

Aillas zbliżył się z największą ostrożnością. Tuż obok, na gałęzi uschniętego drzewa siedział kruk i jednym czerwonym okiem uważnie przyglądał się Aillasowi. Ten odwrócił się, nałożył strzałę, błyskawicznie wykonał półobrót, naciągnął cięciwę i wystrzelił. Kruk przechylił się i z furkotem skrzydeł spadł na ziemię. Spadając, jednak musnął skrzydłem balansujący na szpicu głaz, który drgnął, przechylił się i zwałił w szczelinę.

Aillas odzyskał strzałę, obciął ptakowi skrzydła i ogon i schował je do sakwy. Któregoś dnia zamocuje sobie na strzałach czarne lotki.

Od Wrót Binkingsa szlak wiódł pod górę, na płaskowyż ponad klifem. Milę dalej, tuż pod wzniesieniem Góry Gaboon, Swer Smod dominował nad okolicą. Zamek nie był wielkich rozmiarów, ale umocniony wysokim murem i dwoma wieżami strażniczymi sterczącymi nad bramą.

Przy drodze, w cieniu ośmiu czarnych cyprysów, para brodatych, wysokich na osiem stóp gryfów grała w szachy na kamiennym stole. Kiedy Aillas się zbliżył, zostawiły figury szachowe i złapały za noże.

– Podejdź tutaj – rzekł jeden z nich. – Zaoszczędzisz nam trudu wstawania.

Aillas wyjął z sakwy dwa plastry miodu i położył je na kamiennym stole.

– Panowie, oto wasz miód. Gryfy zamruczały ponuro.

– Znowu miód – rzekł jeden.

– I z pewnością jest mdły – z przygnębieniem dodał drugi. Aillas powiedział:

– Trzeba się cieszyć z tego, co się ma, a nie rozpaczać nad tym, czego się nie posiada.

Gryfy spojrzały z niezadowoleniem. Pierwszy wydał złowieszczy syk, a drugi powiedział:

– Zadowolić się można czymkolwiek i to nie gorzej niż miodem, a w roztargnieniu często można komuś połamać kości.

– Spożywajcie wasz posiłek z przyjemnością i w spokoju, i aby wam to poszło na zdrowie – odparł Aillas i poszedł w stronę głównej bramy. Wysoka kobieta, podeszła w latach, ubrana w białą suknię obserwowała, jak się zbliżał. Skłonił się kurtuazyjnie.

– Pani, jestem tu, aby omówić z Murgenem sprawę wielkiej wagi. Proszę go powiadomić, że Aillas, książe Troicinetu, oczekuje na spotkanie.

Kobieta bez słowa skinęła na niego i zawróciła. Aillas podążył za nią przez dziedziniec, hall, aż do salonu, gdzie na podłodze leżał dywan, stał stół i para masywnych krzeseł. Półki wzdłuż ścian zastawione były setkami książek i przyjemny za pach starej skóry, w którą były oprawione, unosił się w pomieszczeniu.

Kobieta wskazała na krzesło i rzekła:

– Usiądź. – Wyszła, a po chwili wróciła z tacą orzechowych ciasteczek i dzbanem ciemnego wina, po czym ustawiła to wszystko przed Aillasem. Potem znowu opuściła pokój.

Nadszedł Murgen ubrany w szarą, siermiężną koszulę. Aillas spodziewał się, że spotka starszego człowieka, przynajmniej o wyglądzie mędrca. Murgen nie miał brody. Jego włosy były raczej naturalnie siwe niż z powodu wieku, a oczy miał bystre i niebieskie jak Aillas.

– Przybyłeś tu po radę? – zapytał.

– Panie, jestem Aillas. Moim ojcem jest książe Ospero z Troicinetu. Jestem księciem w prostej linii do tronu. Nie tak dawno, dwa lata temu, spotkałem księżniczkę Suldrun z Lyonesse. Kochaliśmy się i pobraliśmy. Król Casmir osadził mnie w głębokim lochu. W końcu jednak uciekłem, tylko po to, żeby dowiedzieć się, że księżniczka Suldrun zabiła się z rozpaczy, albowiem nasz syn Dhrun został uprowadzony przez elfy z Thripsey Shee. Poszedłem do Thripsey Shee, lecz elfy pozostały w ukryciu. Błagam cię o pomoc w odzyskaniu mego syna.

Murgen nalał niewielką ilość wina do dwóch kieliszków.

– Przychodzisz do mnie z pustymi rękami?

– Nie mam przy sobie nic wartościowego, poza fragmentami biżuterii, która należała kiedyś do Suldrun. Jestem pewien, że ci na tym nie zależy. Mogę ci jedynie oferować Persiliana, lustro, które ukradłem królowi Casmirowi. Persilian odpowie na trzy pytania, z czego odniesiesz korzyść, jeśli je odpowiednio sformułujesz. Gdy zadasz czwarte pytanie, Persilian będzie wolny. Oferuję ci go pod warunkiem, że zadasz to czwarte i uwolnisz go w ten sposób.

Murgen wyciągnął rękę.

– Daj mi Persiliana. Akceptuję twoje warunki.

Aillas oddał lustro. Murgen pstryknął palcami i coś cicho wypowiedział. Białe porcelanowe pudełko poszybowało przez pokój i osiadło na stole. Murgen zrzucił pokrywkę i wysypał zawartość na stół. Było to trzynaście klejnotów wyciętych, jak się zdawało, z szarego kwarcu.

Czarodziej z półuśmiechem obserwował gościa.

– Czyż nie wydają ci się interesujące?

– Tak właśnie myślę.

Murgen dotknął je delikatnie palcem, układając je w rozmaite wzory. Westchnął głęboko.

– Trzynaście kamieni, nie mających równych sobie, każdy zamykający w sobie całą wiedzę wszechświata. Cóż, muszę jednak wystrzegać się skąpstwa. Jest ich więcej tam, skąd pochodzą. Niech więc tak będzie. Weź ten, jest rozświetlony zaklętym w nim światłem wschodzącego słońca. Idź do Thripsey Shee, zaraz jak tylko pierwsze promienie słońca błysną ponad łąką. Nie idź tam w świetle księżyca, bo umrzesz od szalonych wizji, które cię opętają. Wystaw ten kryształ ku wschodzącemu słońcu, niech promienie go rozświetlą. Nie wypuszczaj go z dłoni, dopóki nie dobijesz ostatecznie targu. Elfy dotrzymają słowa co do joty, wbrew ogólnemu przeświadczeniu, są

najbardziej dokładną i ściśle myślącą rasą. Wywiążą się ze swych zobowiązań. Nie uczynią nic mniej i zapewne nic więcej, targuj się więc z rozwagą.

Murgen powstał.

– Żegnam cię.

– Jedną chwilkę. Gryfy są w dość wojowniczym nastroju. Nie były zbyt zadowolone z miodu.

Obawiam się, że wołałyby wyssać szpik z moich kości.

– Łatwo odwrócić ich uwagę – powiedział Murgen. – Ofiaruj dwa plastry jednemu i nic drugiemu.

– A co z głazem przy Wrotach Binkingsa? Czy będzie na szpicu jak poprzednio?

– Dokładnie w tej chwili kruk umieszcza go tam na nowo; nie lada wyczyn na ptaka, którego pozbawiono obu skrzydeł i ogona. Podejrzewam, że to z chęci zemsty. – Murgen wyciągnął zwój jasnobłękitnej liny. – Niedaleko wlotu do wąwozu duże drzewo zwiesza swe konary nad krawędzią klifu. Zawiąż linę dookoła drzewa, zrób pętlę, w której mógłbyś usiąść i spuść się z urwiska.

– A co z kobietą o lisiej twarzy nad rzeką Siss? Murgen wzruszył ramionami.

– Musisz ją jakoś oszukać. W przeciwnym wypadku jednym machnięciem nogi wydrze ci oczy. Udrapnięcie jej pazurem jest paralizujące, nie pozwól się jej zbliżyć.

Aillas powstał.

– Dzięki za twą pomoc. Zastanawiam się jednak, dlaczego uczyniłeś drogę tu do ciebie tak niebezpieczną. Wielu przybywających tu uważa się zapewne za twoich przyjaciół.

– Tak, bez wątpienia. – Sprawa ta wyraźnie Murgena nie obchodziła. – Faktem jest natomiast, iż przeszkody te ustawili na drodze moi wrogowie, nie ja.

– Gryfy tak blisko Swer Smod? Toż to potwarz. Murgen lekceważąco machnął ręką.

– Przejmowanie się tym jest poniżej mojej godności. Teraz zaś, książę Aillasie, życzę ci szczęśliwej podróży.

Czarodziej opuścił pokój. Kobieta w białej sukni poprowadziła Aillasa mrocznymi korytarzami do wyjścia. Spojrzała na niebo, gdzie słońce właśnie minęło zenit.

– Jeśli się pospieszysz – powiedziała – zdążysz do Oswy Undervale, zanim zapadną ciemności.

Aillas ruszył zwawo w drogę powrotną. Doszedł do groty, w której siedziały dwa gryfy. Odwróciły się i obserwowały, jak się zbliża.

– Ośmielisz się raz jeszcze ofiarować nam mdły miód? Wolelibyśmy coś bardziej pikantnego.

– Najwyraźniej jednak cierpicie z głodu. Tak to już bywa. Teraz więc... – Aillas dobył dwa plastry miodu. – Normalnie dałbym wam obu po jednym plastrze, ale jeden z was musi być bardziej głodny niż ten drugi i dlatego ten też powinien dostać cały miód. Zostawiam plastry tutaj, a decyzja należy do was.

Natychmiast wybuchła sprzeczka i Aillas, wykorzystując to, wycofał się. Odszedł zaledwie pięćdziesiąt jardów dalej, a gryfy już ciągnęły się za brody. Chociaż maszerował szybko, odgłosy żywej dysputy docierały do jego uszu przez wiele minut.

Przy Wrotach Binkingsa ostrożnie wyjrzał za krawędź klifu.

Jak poprzednio, olbrzymi głaz tkwił na szpicu w idealnej równowadze. Nie opodal stał kruk, ciągle bez skrzydeł i ogona, z zadartą głową obserwując wąwóz czerwonym okiem. Miał nastroszone pióra i ni to siedział, ni to stał na przygiętych żółtych nogach.

W odległości kilkudziesięciu jardów stare, powykręcane drzewo cedrowe zwieszało swe sękaty konary poza krawędź urwiska. Aillas zarzucił linę na rozwidloną gałąź, tak aby nie zsunęła się zbyt blisko skalnej ściany klifu. Zawiązał pętlę na jednym końcu i usiadł w niej, naprężył linę, rozhuśtał ją

nad przepaścią i spuścił się w dół klifu. Ściągnął linę z gałęzi, zwinął i przewiesił sobie przez ramię.

Kruk stał tak jak przedtem, z wyciągniętą głową, gotowy w każdej chwili pchnąć głaz. Aillas podszedł cicho od przeciwnej strony i popchnął głaz końcem miecza. Kamień zachwiał się i runął z hukiem przy wtórze rozpaczliwych wrzasków kruka.

Aillas wędrował dalej, wciąż w dół, szlakiem wiodącym zboczami Góry Gaboon. Przed nim linia drzew znaczyła koryto rzeki Siss. Aillas zatrzymał się. Podejrzewał, że gdzieś tam w zasadzce czaiła się kobieta o lisiej twarzy. Najbardziej prawdopodobnym miejscem wydawał się gąszcz karłowatej leszczyny sto jardów dalej. Wolał obejść to miejsce z daleka i raczej przepłynąć rzekę czy to w górze, czy w dole nurtu, niż przeprowiać się przez bród.

Wycofał się i, trzymając się w ukryciu na tyle, na ile było to możliwe, zatoczył szerokie półkole, idąc z biegiem rzeki, aż znalazł się na brzegu. Rząd wierzb oddzielał go od wody, tak więc był zmuszony przejść kawałek w górę. Krzewy i cała roślinność trwała w bezruchu. Aillas czuł wzrastające napięcie. Cisza była obezwładniająca. Przystanął raz jeszcze i nasłuchiwał, lecz do jego uszu docierał tylko szmer i bulgotanie wody. Z mieczem w dłoni, wolno, krok po kroku posuwał się dalej w górę rzeki.

Prawie przed samym brodem doszedł do kępy gęstej trzciny kołyszącej się na wietrze... Na wietrze? Odwrócił się błyskawicznie, by ujrzeć przed sobą rudą maskę kobiety-lisa, która czaiła się tam, przykucnięta jak żaba. Gdy się uniosła, ciął mieczem i pozbawił ją głowy. Tułów i nogi zwały się bezwładnie. Głowa stoczyła się nad samą wodę i Aillas wepchnął ją mieczem do rzeki. Popłynęła, niesiona przez nurt, kołysząc się na falach. Tułów po chwili stanął na nogi i zaczął biegać bezcelowo tu i tam, machając rękami, rzucając się i niespokojnie podskakując, by w końcu zniknąć na wzniesieniu Góry Gaboon.

Aillas opłukał miecz, przeszedł przez bród i dotarł do Oswy Unde-rvale o zmierzchu, zanim jeszcze zrobiło się zupełnie ciemno. Zjadł chleb z szynką, wypił dzban wina i od razu poszedł do swojego pokoju.

W ciemności wyjął szary klejnot, który dostał od Murgena. Kamień rozbłyskiwał bladym światłem, koloru, który przypominał mglisty dzień. Dość nieciekawo, pomyślał Aillas. Kiedy jednak odwrócił wzrok, kątem oka wyczuł raczej, niż zauważył, dziwny błysk. Nie wiedział nawet, jak nazwać to spostrzeżenie. Nie udało mu się powtórzyć tego zjawiska, choć próbował potem wielokrotnie. Wkrótce też zasnął.



## Rozdział 21

Po czterech dniach, w ciągu których nie wydarzyło się nic szczególnego, Aillas znalazł się w Tawn Timble. Kupił dwa okazałe kurczaki, szynkę, polec tłustego boczku i cztery dzbany czerwonego wina. Spakował część do sakw, resztę umocował przy siodle i skierował swojego wierzchowca na północ, przez Glynwode, do chaty Wynes i Graithe'a.

Graithe wyszedł mu na spotkanie. Na widok tak dużej ilości jedzenia zawołał w stronę chaty:

– Kobieto, rozpal ogień na palenisku! Dziś wieczorem będziemy jeść jak lordowie.

– Będziemy jeść i pić do syta – powiedział Aillas – ale ja jutro przed świtem muszę dotrzeć na Szaloną Łąkę.

Urządzili sobie we trójkę ucztę. Jedli kurczaka podpiekanego na rożnie, nadziewanego jęczmieniem i cebulą, placki usmażone w palenisku, na tłuszczu ściekającym z pieczonego mięsa, garniec jarzyn duszonych na boczku i sałatkę z rzeżuchy.

– Gdybym mógł jeść tyle każdego wieczoru, nie zaprzętałbym sobie głowy rąbaniem drzew następnego ranka – oświadczył Graithe.

– Oby nastał taki dzień! – zawołała Wynes.

– Kto wie? Może stanie się to prędzej, niż się spodziewacie – powiedział Aillas. – Teraz jednak jestem zmęczony, a muszę jutro wstać przed wschodem słońca.

Pół godziny przed brzaskiem Aillas stanął na skraju Szalonej Łąki. Czekał w ciemnościach pomiędzy drzewami, dopóki na wschodzie nie błysnął pierwszy promień słońca, po czym ruszył powoli przez mokrą od rosy trawę, trzymając klejnot w ręce. Gdy zbliżał się do pagórka, zaczęło wokół niego rozbrzmiewać cichutkie, pełne podniecenia szczebiotanie i świergotanie, tak subtelne i na tak wysokich tonach, że prawie niedosłyszalne dla ludzkiego ucha. Coś pacnęło go w rękę, w której trzymał klejnot. Zacisnął tylko mocniej pięść. Niewidzialne palce szczypały i wykręcały mu uszy, ciągnęły go za włosy. Jego kapelusz został strzepnięty i poszybował daleko w powietrze. Aillas przemówił łagodnym głosem:

– Elfy, miłe elfy, nie traktujcie mnie w ten sposób. Jestem Aillas, ojciec kochanego przez was Dhruna.

Nastąpiła chwila bezwietrznej ciszy. Aillas podszedł jeszcze bliżej do pagórka i zatrzymał się dwadzieścia jardów od niego. Pagórek zrobił się nagle rozmyty i mglisty, zachodziły tam jakieś zmiany, dziwne obrazy pojawiały się i znikaly, raz ostre i wyraźne, raz zupełnie rozmazane.

Z pagórka stoczył się czerwony dywan, rozwijając się prawie do miejsca, gdzie stał Aillas. Po tym dywanie nadszedł, mający prawie pięć stóp wzrostu, elf o śniadej cerze z odcieniem oliwkowej zieleni. Miał na sobie purpurową togę, obszytą białymi futerkami łasic, delikatną koronę ze złotych włókien i zielone aksamitne pantofle. Elfy z jego prawej i lewej strony były na granicy dostrzegalności.

– Ja jestem król Throbius – oznajmił elf. – Czyżbyś rzeczywiście był ojcem ukochanego przez nas Dhruna?

– Tak, Wasza Królewska Mość.

– W takim razie nasza miłość spływa też częściowo na ciebie i nie spotka cię żadna krzywda w Thripsey Shee.

– Składam wyrazy wdzięczności, Wasza Wysokość.

– Podziękowania są niepotrzebne. Jesteśmy zaszczyceni twoją obecnością. Co trzymasz tam w dłoni?

A inny elf dorzucił miękkim głosem:

- Och, co za cudowna, wzruszająca błyskotka.
- Wasza Królewska Mość, jest to magiczny klejnot o ogromnej wartości.

Elfowy głos zamruczał:

- Prawda, prawda. Płomienny klejnot o magicznej barwie.
- Pozwól mi go potrzymać – powiedział pożądlwym głosem król Throbius.
- Wasza Królewska Mość, normalnie twoje życzenie byłoby dla mnie rozkazem, ale udzielono mi ścisłych instrukcji. Pragnę, aby mój syn Dhrun wrócił do mnie cały i zdrowy i tylko wtedy zrzeknę się klejnotu.

Elfy wydały pełne niezadowolenia i zaskoczenia pomruki.

- Paskudny typ.
- Cóż chcesz, przecież to śmiertelnik.
- Nigdy nie można się po nich spodziewać hojności.

– Podstępny i ordynarny, jak szczur. Król Throbius przemówił:

- Z żalem oświadczam, że Dhruna nie ma już pomiędzy nami. Dorósł do chłopięcych lat i byliśmy zmuszeni go odesłać.

Aillas rozdziawił usta ze zdziwienia.

- Ależ on nie ma więcej niż rok.
- W shee czas ucieka i przeskakuje jak jętką. Nie zaprzątamy sobie nigdy głowy tym problemem.

Kiedy Dhrun odchodził, miał prawdopodobnie według waszych ludzkich obliczeń jakieś dziewięć lat.

Aillas milczał.

- Proszę, daj mi ten śliczny kamyczek – król Throbius przymilał się głosem, którym równie dobrze mógłby przemawiać do płochliwej krowy, gdyby chciał jej ukraść mleko.

– Ja zdania nie zmienię. Chyba, że oddacie mi syna.

- To graniczy z niemożliwością. On odszedł dość dawno temu. A teraz – głos króla zabrzmiał szorstko – rób, co ci rozkazuję, albo nigdy więcej nie zobaczysz swego syna.

Aillas zaśmiał się dziko.

- Przecież ja go jeszcze ani razu nie widziałem. Co mam do stracenia?

– Zamienimy cię w borsuka – zapiszczał jakiś głosik.

– Albo w puszek dmuchawca.

– Albo we wróbla z rogami łosia. Aillas zwrócił się do króla Throbiusa.

– Obiecywałeś mi swoją miłość i opiekę, a teraz mi grozicie. Czy taki jest honor elfów?

– Nasz honor jest czysty i nieskazitelny – oświadczył grzmiąco król Throbius. Gdy wywołało to serię potakiwań i pochwał, sztywno skinął głową na prawo i lewo.

– W takim razie ponawiam moją ofertę: ten fantastyczny klejnot za mojego syna.

Ktoś zawołał ostrym głosem:

- Tak być nie może, jako że oznaczałoby to sprzyjający los dla Dhruna, a ja szczerze go nienawidzę i to przeze mnie spadła na niego klątwa.

Król Throbius odezwał się jedwabistym głosem:

– I cóż to za klątwa?

– Hmm... siedmioletnia.

– Aha, w rzeczy samej. Czuję, że zaczynam się irytować. Przez siedem lat nie posmakujesz za to nektaru, tylko gorzki ocet. Przez siedem lat będzie cię otaczała przykra woń i nie odkryjesz jej

przyczyny. Przez siedem lat twoje skrzydła nie będą cię unosić, a nogi będziesz miał ciężkie jak ołów, tak że we wszystko, na czym staniesz, poza najtwardszą ubitą ziemią, będziesz się zapadać na cztery cale głęboko. Przez siedem lat będziesz wnosił wszystkie brudy i pomyje z shee. Przez siedem lat jedno miejsce na brzuchu będzie cię swędzić i żadne drapanie na to nie pomoże. I przez siedem lat nie będzie ci wolno spojrzeć na ten śliczny nowy klejnocik.

Falael zdawał się najbardziej przygnębiony tym ostatnim stwierdzeniem.

– Och, na klejnocik? Dobry królu Throbusie nie krzywdź mnie aż tak. Już tęsknię za jego kolorem. To dla mnie rzecz najcenniejsza.

– Będzie, jak powiedziałem. Zejdź mi z oczu. Aillas spytał:

– Sprowadzisz więc Dhruna z powrotem?

– Czy chcesz doprowadzić mnie do wojny z elfami z Trelawny She-e, czy Zady Shee, czy Shee z Mglistej Doliny? Musisz zażądać rozsądnej ceny za ten kawałek skałki. Flink!

– Tak panie.

– Co możemy ofiarować księciu Aillasowi, aby spełnić jego oczekiwania?

– Panie, sugerowałbym Nigdy-Nie-Zawodzącego, takiego jakiego posiada Chil, elf rycerz.

– Szczęśliwa myśl. Flink, jesteś genialny! Idź i przygotuj ten przy-rządźnik natychmiast!

– Natychmiast będzie zrobiony, panie.

Aillas ostentacyjnie włożył rękę z kamieniem do kieszeni.

– Co to jest „Nigdy-Nie-Zawodzący”?

Głos Flinka, zdyszany i piskliwy, zabrzmiał koło króla Throbiosa.

– Na twój rozkaz panie, mam go tutaj, kosztowało mnie to wiele trudu i wysiłku.

– Kiedy żądam pośpiechu, Flink pędzi jak szalony – powiedział Aillasowi król Throbus. – Jeśli użyję słowa „natychmiast”, on rozumie to jako „teraz”.

– Właśnie tak – wysapał Flink. – Ach, jakże się natrudziłem, aby zadowolić księcia Aillasa!

Jeżeli usłyszę jedno słowo uznania, będę więcej niż wynagrodzony.

– To prawdziwy Flink – oświadczył król Aillasowi. – Uczciwy i wspaniały Flink.

– Flink obchodzi mnie znacznie mniej niż mój syn Dhrun. Byłeś już bliski sprowadzenia go tutaj.

– Więcej niż to. Nigdy-Nie-Zawodzący będzie ci służył przez całe życie, zawsze wskazując kierunek, w którym znajduje się lord Dhrun. Przyjrzyj się! – Król Throbus pokazał nieregularny przedmiot o średnicy trzech cali, wycięty z orzechowego drzewa i zawieszony na łańcuszku. Wypukłość na jednym boku kończyła się czubkiem, na którym osadzony był ostry ząb.

Król Throbus zwiesił Nigdy-Nie-Zawodzącego swobodnie na łańcuszku.

– Czy widzisz, w jakim kierunku wskazuje biały elfowy ząb? Gdzieś tam na jego przedłużeniu znajdziesz swego syna Dhruna. Nigdy-Nie-Zawodzący jest pewny i z wieczną gwarancją. Weź go! Przyrząd ten doprowadzi cię niezawodnie do syna. Aillas wstrząsnął z oburzeniem głową.

– Wskazuje na północ, do puszczy, gdzie chodzą jedynie elfy i głupcy. Nigdy-Nie-Zawodzący pokazuje kierunek mojej własnej śmierci lub doprowadzi mnie bezbłędnie do ciała Dhruna.

Król Throbus przyglądał się instrumentowi.

– On żyje, w przeciwnym wypadku ząb nie wygiąłby się w tym kierunku z takim wigorem. Jeśli chodzi o twoje bezpieczeństwo, rzecz mogę jedynie, że niebezpieczeństwo czyha wszędzie, tak na ciebie, jak i na mnie. Czułbyś się pewnie spacerując po ulicach miasta Lyonesse? Podejrzewam, że nie. Lub chociażby w Domeris, gdzie księżę Trewan ma nadzieję zostać królem? Niebezpieczeństwo jest jak powietrze, którym oddychamy. Dlaczego zaraz mówić o kłach ogra czy żołądku strzygi? Śmierć przychodzi do wszystkich śmiertelników.

– Ba! – burknął Aillas. – Flink jest taki szybki, wyślij go do lasu z Nigdy-Nie-Zawodzącym i



niech przyprowdzi mego syna z powrotem.

Ze wszystkich stron rozległ się chichot, który szybko ustał, gdy wcale nie rozbawiony król Throbius uniósł rękę do góry.

– Słońce jest już wysoko i robi się gorąco. Rosa wysycha i pierwsze pszczoły pokazują się na kielichach kwiatów. Straciłem cały zapal do tej transakcji. Jakie są twoje ostateczne warunki?

– Ciagle takie same. Chcę mego syna zdrowego i bezpiecznego. Oznacza to, że nie może być mowy o żadnych klątwach złego losu, i że Dhrun trafia bezpiecznie pod moją opiekę. Za to – klejnot.

– Możemy zrobić jedynie to, co sensowne i osiągalne. Falael cofnie klątwę. Jeśli chodzi o Dhruna: oto jest Nigdy-Nie-Zawodzący z naszą gwarancją. Doprowadzi cię do chłopca w pełni sił życiowych. Weź go teraz. – Wcisnął przyrząd Aillasowi do ręki, a on wypuścił klejnot z uścisku. Król Throbius porwał go i uniósł wysoko.

– Jest nasz!

Ze wszystkich stron rozległy się okrzyki zachwyty i radości.

– Ach!

– Ach, popatrzcie j ak lśni!

– Niezdara, fajtłapa! Zobaczcie, co oddał za jedną prostą sztuczkę!

– Za taki skarb mógł zażądać łodzi powietrznej lub palankinu zaprzęzonego w cztery gryfy z nimfami do towarzystwa!

– Lub zamek z dwudziestoma wieżami na Mglistych Polach!

– Och, głupiec, głupiec!

Powietrze zamigotało. Kontury elfowego króla zaczęły się rozmywać.

– Czekajcie! – krzyknął Aillas i złapał za purpurową togę. – A co z klątwą? Musi zostać cofnięta!

Flink odezwał się przerażony:

– Śmiertelniku! Dotknąłeś szaty królewskiej! To niewybaczalna zbrodnia.

– Chroni mnie obietnica króla – powiedział Aillas. – Musicie cofnąć klątwę złego losu!

– Jesteś męczący – westchnął król Throbius. – Podejrzewam, że będę jednak musiał to zrobić.

Falael! Ty tam, z takim zacięciem drapiący się po brzuchu. Cofnij swoją klątwę, a ja usunę to swędzenie.

– Tu chodzi o mój honor! – zawołał Falael. – Nie byłbym nic lepszy niż kurek na dachu. Chciałbyś tego?

– Nikt nie zwróci najmniejszej uwagi.

– Niech mnie chociaż przeprosi za te złe spojrzenia, które rzucał na mnie kątem oka.

Aillas powiedział:

– Jako ojciec występuję tu w jego zastępstwie i składam szczere wyrazy ubolewania za wszystkie poczynania, które cię tak niepokoiły.

– Ostatecznie nie było to w porządku w stosunku do mnie.

– Oczywiście, że nie. Jesteś czułym i sprawiedliwym elfem.

– Wobec tego pozwolę sobie przypomnieć królowi Throbiusowi, że klątwa została rzucona przez niego samego. Ja zaledwie sprowokowałem Dhruna, by spojrzeć do tyłu.

– Czy tak właśnie było? – zażądał odpowiedzi król. Flink potwierdził.

– Dokładnie tak, Wasza Królewska Mość.

– Nie mogę więc nic zrobić. Klątwa królewska jest nieodwracalna.

– Oddaj mi klejnot! – krzyczał Aillas. – Nie wywiązałeś się z umowy.

– Obiecałem jedynie to, co sensowne i osiągalne. To też uczyniłem. Nic ponadto nie jest już

osiągalne. Flink! Aillas zaczyna być uciążliwy. Z której strony złapał moją szatę, z południowej, z północnej, ze wschodniej czy z zachodniej?

– Z zachodniej, panie.

– Zachód, tak? Cóż, nie wolno nam go skrzywdzić, ale możemy go usunąć. Wyślij go na zachód, skoro takie zdają się być jego upodobania, tak daleko, jak to tylko możliwe.

Aillas został uniesiony w górę przez wir powietrza i porwany daleko w przestrzeń. Wiatry zawodziły mu w uszach; słońce, chmury i ziemia kotłowały mu się przed oczami. Poszybował w górę, potem spadał w kierunku błyszczącej w promieniach słońca tafli wody, aż w końcu osiadł na piasku na granicy przyływu. Nigdy-Nie-Zawodzący wbił się w mokry piasek opodal jego stóp. Podniósł go, zanim zdążyła porwać go fala.

Aillas porządkował sobie myśli. Znajdował się najwyraźniej na Przylądku Pożegnań, na najdalszym zachodnim krańcu Lyonesse. Miastem w oddali byłaby więc Pargetta.

Zwieszony swobodnie żąb Nigdy-Nie-Zawodzącego skrzywił gwałtownie i wskazał północny wschód. Aillas, zawiedziony, westchnął głęboko i powlókł się plażą do Pargetty, położonej tuż pod zamkiem Malisse. Zjadł w gospodzie chleb i smażoną rybę, po czym, po godzinie targowania się z właścicielem zajadu, kupił podeszłego wiekiem szarego ogiera o kanciatym łbie. Zwierzę było uparte i nie miało w sobie ani odrobiny gracji, ale mogło mu jeszcze dobrze służyć, pod warunkiem, że nie będzie przemęczane. Poza tym, co nie było wcale taką drobnostką, cena była umiarkowanie niska.

Nigdy-Nie-Zawodzący kierował na północny wschód. Ponieważ dzień się dopiero zaczął, Aillas miał sporo czasu i ruszył przed siebie Starym Traktem\*, wiodącym doliną w górę rzeki Syrinx, aż do masywu Troagh, będącego południowym krańcem Teach tac Teach. Noc spędził w samotnym górskim szałasie, a następnego dnia dotarł do Nolsby Sevan – miasta targowego, leżącego na skrzyżowaniu trzech ważnych dróg: Sfer Arct, prowadzącej na południe do miasta Lyonesse, Starego Traktu i Pasażu Ulf, wiodącego na północ ku Ulflandom, mijając po drodze Kaul Bocach.

\* Stary Trakt prowadzący od Atlantyku do Zatoki Kastylijskiej ułożony został przez Magdali na dwa tysiące lat przed nadejściem Danaanejczyków. Wieść głosiła, że na każdym kroku wzdłuż traktu znajdowało się kiedyś pole bitwy. Kiedy księżyc w pełni świecił nad Beltane, duchy zabitych ustawiały się wzdłuż Starego Traktu i przyglądały się swym wrogom po drugiej stronie drogi.

Aillas zakwaterował się w gospodzie „Pod Białym Koniem” i następnego dnia ruszył na północ Pasażem Ulf. Jechał z największą prędkością, na jaką pozwalał mu jego uparty wierzchowiec. Nie wiedział dokładnie, dokąd pojedzie, sytuacja, w jakiej się nagle znalazł, była bowiem niejasna. Miał zamiar pojechać Pasażem na teren Południowych Ulflandów, aż do Kaul Bocach, potem dalej do Dahautu, jadąc Trompada i trzymając się z daleka od Tintzin Fyral. W Zakątku Camperdilly opuściłby Trompadę i przeniósł się na Drogę Wschodnio-Zachodnią – szlak, który zgodnie ze wskazaniami Nigdy-Nie-Zawodzącego powinien doprowadzić go mniej więcej do miejsca pobytu Dhrua. Miał nadzieję, że uda się to pomimo siedmioletniej klątwy złego losu.

Po ujechaniu kilku mil wyprzedził grupę wędrownych kupców, którzy wybierali się do Ys i innych miast na południowym wybrzeżu Ulf. Aillas przyłączył się do nich, chcąc uniknąć samotnej przeprawy przez

Kaul Bocach, co mogłoby wzbudzić czyjeś podejrzenia.

W Kaul Bocach czekały na nich niepokojące wieści, przywiezione przez uciekinierów z północy. Wojska skalradzkie raz jeszcze zaatakowały Południowe i Północne Ulflandy, prawie izolując miasto Oaldes z przebywającym tam królem Oriante i jego żalonym dworem. Nikt nie mógł dociec, dlaczego Skalradzi użyli tak zmasowanej potęgi przeciwko bezsilnemu Oriante.

W innej operacji Skalradzi doprowadzili wojska na wschód, aż do granicy z Dahautem i

wykraczając poza nią, gdzie zdobyli wielką fortecę Poelitetz, górującą nad Równinami Cieni.

Skalradzka strategia nie stanowiła, zagadki dla sierżanta pełniącego tego dnia służbę w Kaul Bocach.

– Zamierzają w taki sposób zdobyć całe Ulflandy, Północne i Południowe, jak szczupak łyka okonia. Czy można mieć co do tego jakieś wątpliwości? Stopniowo, małymi kęsami: trochę tu, trochę tam i wkrótce czarna flaga będzie powiewała od Tawzy Head do Przylądka Tay. A któregoś dnia będą wystarczająco zuchwali, aby rzucić się na Ys i Dolinę Evander, jeśli kiedykolwiek daliby radę zdobyć Tintzin Fyral. – Uniósł otwartą dłoń. – Nie, nic nie mów! Nie tak szczupak postępuje z okoniem, on go łyka jednym haustem. Ale Ska i tak w końcu będą mieli całość.

Odrobinę zniechęceni handlarze zrobili naradę w osikowym gaju i zdecydowali ostatecznie jechać ostrożnie dalej, przynajmniej aż do Ys.

Po dalszych pięciu milach natknęli się na wlokących się grupami chłopów, jedni na koniach lub osłach, inni na wozach drabiniastych, obładowani całym dobytkiem. Jeszcze inni szli pieszo z niemowlętami i dziećmi. Mówili o sobie, że są uchodźcami, przepędzonymi ze swoich siedzib przez wojska skalradzkie. Jedna wielka czarna armia, tak przynajmniej twierdzili, przewalała się właśnie przez Południowe Ulflandy, łamiąc wszelki opór, biorąc do niewoli sprawnych mężczyzn i kobiety, paląc ich osady i zamki ulflandzkich baronów.

Strapieni handlarze znowu zaczęli się naradzać i ponownie zdecydowali jechać dalej, jeśli będzie można, aż do Tintzin Fyral.

– Lecz ani kroku dalej, dopóki nie upewnimy się, że jest to bezpieczne! – oświadczył najbardziej roztropny z grupy. – Pamiętajcie: jeden krok do doliny i będziemy musieli zapłacić księciu podatek.

– Ruszajmy więc – powiedział inny – do Tintzin Fyral i zobaczymy, jak to będzie dalej wyglądać.

Jechali ciągle tą samą drogą, by po krótkiej chwili spotkać kolejną grupę uciekinierów, którzy uraczyli ich najbardziej przerażającą wieścią: armia skalradzka dotarła do Tintzin Fyral i właśnie zaczęła oblegać zamek.

Nie było mowy o dalszej wędrówce. Handlarze zawrócili i ruszyli z powrotem na południe, jeszcze żwawiej niż przedtem.

Aillas został sam na drodze. Od Tintzin Fyral dzieliło go zaledwie pięć mil. Nie miał innego wyboru, jak spróbować znaleźć okreśną drogę, a mijając Tintzin Fyral, prawdopodobnie przez góry, i znacznie dalej zejść ponownie na Trompadę.

W małym stromym wąwozie, zarośniętym karłowatymi dębami i cedrami, Aillas zeskoczył z siodła i poprowadził konia ledwie widoczną ścieżką w górę, ku rysującym się na niebie szczytom. .

Gęste zarośla utrudniały wędrówkę, luźne kamienie toczyły się pod nogami, a do tego szary koń wyraźnie nie lubował się w górskich wspinaczkach. W ciągu pierwszej godziny Aillas przebył zaledwie milę. Po kolejnej godzinie dotarł na krawędź grzbietu górskiego, który odbijał ukośnie od centralnego masywu. Droga stała się łatwiejsza i prowadziła równolegle do wiodącej poniżej Trompady, ciągle jednak wspinała się na górę o płaskim ściętym szczycie, znaną jako Tac Tor. Był to najwyższy punkt w zasięgu wzroku. Tintzin Fyral nie mogło być daleko. Chcąc złapać oddech, Aillas przystanął i zdawało mu się, że słyszy odgłos dalekich wystrzałów. Zamyślony szedł dalej, starając się nie wychodzić na otwartą przestrzeń. Tintzin Fyral, myślał, bronił drogi wiodącej przez Dolinę Evander i leżał bezpośrednio za Tac Tor. Podszedł o wiele bliżej niż zamierzał do oblężonego zamku.

Zmierch zastał go sto jardów pod szczytem, w małej dolince ukrytej wśród górskich modrzewi. Zrobił sobie poślanie z pościelanych gałęzi, uwiązał konia na długiej linie, blisko malutkiego strumyka sączącego się ze źródła. Zrezygnował z komfortu rozpalenia ogniska i zjadł jedynie chleb z serem wydobyty z sakwy. Wyjął z worka podróznego Nigdy-Nie-Zawodzącego i obserwował, jak ząb skręcił na północny wschód, może teraz troszkę bardziej ku wschodowi. Schował instrument z powrotem do worka i wsunął go głęboko razem z sakwami pod gęste laurowe krzewy, po czym wyszedł na grzbiet wzniesienia, by rozejrzeć się po okolicy. Niebo nadal rozjaśnione było promieniami niewidocznego o tej porze słońca, a już niewiarygodnie wielki księżyc w pełni zaczął wschodzić znad ciemnego pasa Puszczy Tantrevalles. Nigdzie nie było widać światła świecy czy lampy ani blasku ogniska.

Aillas zastanawiał się, czy nie wejść na płaski szczyt, zaledwie sto jardów wyżej. W zapadających ciemnościach zauważył szlak. Ktoś musiał przechodzić tu przed nim, choć drogą inną od tej, którą on się tu dostał. Podążył ścieżką na szczyt, gdzie zobaczył około czteroakrowy płaski teren. Na środku wyrastał kamienny ołtarz a wokół niego pięć dolmenów, wyniosłych i cichych w księżycowym świetle.

Obchodząc ołtarz z daleka, przeciął szczyt i znalazł się po drugiej stronie, gdzie krawędź przechodziła w stromą urwistą skalną ścianę. Tintzin Fyral zdawał się tak bliski, że można by dorzucić kamieniem na dach najwyższej wieży. Zamek był oświetlony jak na jakąś uroczystość, okna promieniały złotym blaskiem. Za zamkiem, u stóp górskiego masywu, czerwono i pomarańczowo migotały małe ogniska. Pomiedzy nimi poruszali się wysocy, posępni wojownicy. Aillas nie był w stanie ocenić, jak wielu ich było. Na tyłach stały – niewyraźne w świetle obozowych ognisk – ponuro wyglądające konstrukcje czterech dużych maszyn oblężniczych. W żaden sposób nie można było określić tego jako najzwyklejszą pod słońcem eskapadę.

Przepaść u stóp Aillasa sięgała pionowo do samego dna Doliny Evander. Poniżej, latarnie oświetlały promenadę pod zanikiem, na której nie było obecnie nikogo. Inne pochodnie znały w równoległych rzędach linię muru zamykającego przesmyk Doliny Evander i tu, podobnie jak na promenadzie, nie było żadnych obrońców. Milę dalej w kierunku zachodnim kolejne skupisko ognisk wskazywało na drugie obozowisko, prawdopodobnie należące również do Ska.

Dreszcz grozy przeszył Aillasa na widok niesamowitego ogromu tej sceny. Przyglądał się jeszcze przez chwilę, po czym odwrócił się i przy świetle księżyca zszedł do swego obozu.

Noc była wyjątkowo zimna. Aillas leżał na poślaniu z gałęzi, trzęsąc się pod płaszczem i derką ściągniętą z siodła. Wreszcie zasnął, ale spał niespokojnie, budząc się od czasu do czasu, sprawdzając, jak daleko przesunął się księżyc w swej nocnej wędrówce. Jeden raz, kiedy księżyc był prawie w zenicie, gdzieś od zachodu usłyszał daleki rozpaczliwy krzyk, coś pomiędzy wyciem a zawodzeniem, od czego włosy zjeżyły mu się na karku. Wtulił się mocno w poślanie. Minuty mijały i wołanie się nie powtórzyło. W końcu zapadł w tak głęboki sen, że obudził się znacznie później, niż zamierzał. Dopiero gdy promienie wschodzącego słońca zaświeciły mu w twarz, otworzył oczy.

Wstał otępiąły, przemył twarz w strumieniu i zastanawiał się nad dalszym najdogodniejszym planem działania. Szlak, wiodący na szczyt, mógł równie dobrze schodzić na dół do Trompady. Odpowiadałoby mu to, gdyby można było uniknąć spotkania ze skalradzkimi wojownikami. Zdecydował, że wróci na szczyt, aby lepiej rozeznac się w okolicy. Odłamał kawałek chleba i trochę sera do zjedzenia po drodze i wspiał się na szczyt. Garbate grzbiety górskie, poprzecinane wąwozami, sięgały swymi pofałdowaniami prawie do krawędzi lasu. Z tego co był w stanie wywnioskować, szlak łączył się z Trompada Postanowił z niego skorzystać.

Poranek był słoneczny i rześkie powietrze pachniało słodkimi górkimi ziołami: wrzosem,

janowcem, rozmarynem i cedrem. Aillas przeszedł przez szczyt, chcąc zobaczyć, jak postępowało oblężenie Tintzin Fyral. Zamyślił się. Był to bardzo istotny epizod tej wojny. Gdyby Skalradzi władali nie tylko Poelitetzem, ale zajęli również Tintzin Fyral, kontrolowaliby skutecznie całe Ulflandy.

Nie chcąc, by zauważono jego sylwetkę na tle nieba, przyjął pozycję na czworakach, a przy samej krawędzi położył się płasko i podczołgał. Wreszcie wyjrzał znad urwiska. Prawie bezpośrednio pod nim Tintzin Fyral swymi tyłami wznosił się na skalistej turni. Zamek był blisko, choć nie tak blisko, jak wydawało mu się zeszłej nocy, kiedy myślał, że mógłby przerzucić kamieniem przez przepaść. Teraz widać było wyraźnie, że zamku dosięgnęłaby jedynie strzała wypuszczona z bardzo dużą mocą. Na najwyższej wieży znajdował się taras otoczony kamienną balustradą. Od tyłu zamek łączył się ze skalistym urwiskiem poprzez rodzaj górskiego siodła. Była tam dogodna platforma obserwacyjna, umocniona od dołu murem z kamiennych bloków. Miejsce to górowało nad zamkiem w zasięgu strzału z łuku. Pomyślał, że wyjątkowa musi być głupota i arogancja lorda Carfilhiota, jeśli pozwolił, żeby tak istotne dla obrony zamku miejsce pozostało niestrzeżone.

Obecnie roilo się tam od skalradzkich żołnierzy. Nosili stalowe hełmy i czarne kaftany z długimi rękawami. Poruszali się sprawnie, celowali niezwykle zręcznie, przywodząc na myśl armię czarnych, drapieżnych mrówek. Jeżeli król Casmir miał nadzieję pozyskać sobie w nich sprzymierzeńców lub chociażby zawrzeć pakt antywojenny, jego nadzieje właśnie waliły się w gruzy. Przez ten atak Skalradzi sami zadeklarowali się jako jego wrogowie.

Zamek i cała Dolina Evander zdawały się tego ranka pogrążone w letargu. Ani jeden chłop nie pracował na polu, nikt nie pojawił się na drodze. Nigdzie nie było również widać wojsk Carfilhiota.

Skalradzi z olbrzymim wysiłkiem przetransportowali cztery katepulty przez wrzosowiska, w górę zbocza i na grzbiet górski wznoszący się nad Tintzin Fyral. Gdy Aillas ich obserwował, z mozołem taszczyli maszyny do przodu. Zauważył, że były to masywne urządzenia, zdolne do miotania stutonowych głazów na tyle daleko, by sięgnęły Tintzin Fyral. Mogłyby zwalić zwieńczenie wieży, rozwalić okna i otwory strzelnicze i w końcu, po wielu uderzeniach, zwalić samą najwyższą wieżę. Obsługiwane przez znających się na rzeczy inżynierów, przy użyciu jednolitych pocisków, mogły być wyjątkowo celne.

Aillas przyglądał się, jak przysuwali maszyny do krawędzi platformy obserwacyjnej ponad zamkiem.

Carfilhiot we własnej osobie przechadzał się po tarasie, ubrany w jasnobłękitny szlafrok, wyraźnie właśnie wstał z łóżka. Natychmiast wybiegli skalradzcy łucznicy i nad przepaścią przeleciała ze świstem chmura strzał. Carfilhiot schronił się do wieży, rozdrażniony, że przerwano mu przechadzkę. Trzej ludzie z jego świty pojawili się zaraz na dachu i szybko zamocowali wzdłuż parapetów metalowe siatki zabezpieczające przed skalradzkimi strzałami, tak że Carfilhiot znowu mógł wyjść na poranne powietrze. Skalradzi obserwowali go ze zdumieniem, rzucając ironiczne komentarze i kontynuując przygotowanie katapult.

Aillas zdał sobie sprawę, że najwyższa pora na odwrót, nie mógł jednak zmusić się do odejścia. Scena została ustawiona, kurtyna poszła w górę, pojawili się aktorzy – przedstawienie się zaczynało. Wielkie belki zamachowe katapult, trzeszcząc, wygięły się do tyłu, na łopatach wyrzutni umieszczono kamienne pociski. Dokręcono śruby naprowadzające maszyny na cel. Wszystko było przygotowane do pierwszej salwy. Carfilhiot sprawiał wrażenie, jakby dopiero teraz zaczął sobie zdawać sprawę z niebezpieczeństwa grożącego wieży. Uczynił pełen zniecierpliwienia gest, wypowiedział kilka słów i zawaliło się umocnienie podtrzymujące platformę, na której stały skalradzkie maszyny.

Katapulty, pociski, pokruszone skały, strzelcy, inżynierowie i zwykli żołnierze – wszystko poleciało w dół. Spadali długo, nienaturalnie powoli – w dół, w dół, skręcając się i wirując odbijając się od siebie, ześlizgując się po skalnych ścianach, by wreszcie skończyć na dole jako wstrząsająca gmatwanina kamieni, drewna i potrzaskanych ludzkich ciał. Carfilhiot po raz ostatni obszedł taras i zniknął w zamku.

Skalradzi zareagowali teraz większą zaciętością niż gniewem. Aillas wycofał się poza zasięg ich wzroku. Najwyższy czas, aby wyruszył w dalszą drogę, jak najdalej od tego miejsca i najszybciej jak to możliwe. Spojrzał na kamienny ołtarz, pełen nowych podejrzeń. Carfilhiot bez wątpienia był człowiekiem podstępny. Czy zostawiłby tak ponętny punktu obserwacyjny bez ochrony i dostępny dla wrogów? Zaniepokojony tą myślą, spojrział raz jeszcze na Tintzin Fyral. Gromady skalradzkich robotników, najwidoczniej niewolnicy, taszczyli na skalne siodło drewniane belki. Skalradzi nie zrezygnowali z oblężenia, pomimo utraty katapult. Aillas przyglądał się przez minutę, potem jeszcze chwilę. Gdy wreszcie odwrócił się od krawędzi klifu, ujrzał przed sobą patrol siedmiu ludzi ubranych w czarne skalradzkie mundury – kaprała i sześciu wojowników, w tym dwóch z napiętymi łukami.

Aillas uniósł ręce w górę.

– Jestem jedynie wędrowcem. Pozwólcie mi odejść.

Kaprał, wysoki mężczyzna o dzikim wyrazie twarzy, burknął drwiąco:

– Tutaj na szczycie? Jesteś szpiegiem.

– Szpiegiem? W jakim celu? I o czym miałbym donosić? Ze Skalradzi atakują Tintzin Fyral?

Wszedłem aż tutaj, gdyż chciałem znaleźć bezpieczną trasę, omijającą pole bitwy.

– No to teraz jesteś całkiem bezpieczny. Ruszaj, nawet dwunóg\* może być użyteczny.

\*Dwunóg: słowo, którym na wpół pogardliwie Skalradzi określali wszystkich innych ludzi poza sobą, skrót od „zwierzę dwunożne”, które według Skalradów tworzyło pośrednią kategorię pomiędzy „Ska” a „czteronożnymi”. Inne określenie to *nyel*: „koński odór”, używany w odniesieniu do różnicy w zapachu ciała pomiędzy Skalradami a innymi rasami; Ska zdawali się pachnieć kamforą, terpentyną i odrobinę piżmem.

Żołnierze zabrali Aillasowi miecz i przywiązali mu sznur do szyi. Wąwozem sprowadzono go z Tac Tor do skalradzkiego obozu. Tam ściągnięto z niego ubranie, ogolono włosy i zmuszono do kąpieli przy użyciu wody i szarego mydła. Potem dostał nowe ubranie z szorstkiego materiału i na końcu kowal skuł mu na szyi stalową obręcz z kółkiem do przeprowadzenia łańcucha. Czterech mężczyzn w szarych strojach ujęło Aillasa i przełożyło go przez pień z twarzą schyloną ku dołowi. Ściągnięto mu spodnie, a kowal przyniósł rozgrzane do czerwoności żelazo i przyłożył mu do pośladka. Usłyszał syk przypalanego ciała i poczuł specyficzny swąd, co przyprawiło go o mdłości i, zwieszając głowę, zymiotował. Ci, którzy go trzymali, odskoczyli na bok i zaczęli przeklinać, ale nie wypuścili go, dopóki poparzenie nie zostało zabandażowane. Potem postawili go na nogi.

Skalradzki sierżant krzyknął na niego:

– Podciągnij spodnie i chodź tutaj. Aillas posłuchał.

– Imię?

– Aillas.

Sierżant zapisał to w dużej księdze.

– Miejsce urodzenia?

– Nie wiem.

Sierżant znów zapisał i uniósł wzrok.

– Szczęście ci dziś sprzyja. Możesz teraz nazywać się Skalingiem i jesteś podległy jedynie

obywatelom Ska. Akty przemocy wobec Skalradów, perwersje seksualne, brak czystości, niesubordynacja, bezczelne, agresywne zachowania nie są tolerowane. Zapomnij o swej przeszłości, to sen! Teraz jesteś Skalingiem, a cele Skalradów są twoimi celami. Zostałeś wyznaczony do grupy Taussiga. Bądź mu posłuszny i pracuj z oddaniem, a nie będziesz miał powodów do narzekań. Tam stoi Taus-sig. Zamelduj się u niego natychmiast.

Taussig – niski, przysadzisty Skaling gestykulował zawzięcie i spoglądał z ukosa, jak gdyby w stanie chronicznej złości. Poruszał się dziwnie, jakby na pół skacząc, gdyż tylko jedna jego noga była prosta, drugą miał wykrzywioną. Przyjrzał się Aillasowi pobieżnie i zapiął mu łańcuch do obręczy na szyi.

– Jestem Taussig. Jakiekolwiek było twoje imię, zapomnij o nim. Teraz jesteś Szósty Taussiga. Kiedy zawołam „Szósty”, będę miał na myśli ciebie. Dowodzę sprawnym oddziałem, który współzawodniczy z innymi. Aby mnie zadowolić, musisz też współzawodniczyć i starać się, żeby twój oddział był lepszy niż inne. Zrozumiano?

– Zrozumiałem wszystko, co powiedziałaś – odparł Aillas.

– Nie tak się odpowiada! Masz mówić: „Tak jest, sir.”

– Tak jest, sir!

– Już teraz wyczuwam w tobie opór i niesubordynację. Strzeż się! Jestem sprawiedliwy, ale nigdy nie wybaczam. Daj z siebie wszystko albo jeszcze więcej, tak byśmy wszyscy zarobili w punktacji. Jeśli będziesz się ociągać i pracować niedbale, to ja będę cierpieć tak samo jak wy wszyscy, a tak być nie może! Teraz chodź, do pracy!

Pluton Taussiga, po przyłączeniu się do niego Aillasa, był teraz kompletną szóstką. Taussig zabrał ich na dół, do spieczonego słońcem kamiennego wąwozu i kazał im pracować przy taszczeniu drewnianych desek na grzbiet góry i w dół zbocza, gdzie Skalradzi i Skalingowie budowali drewniany tunel, wiodący wzdłuż siodła w kierunku Tintzin Fyral. Miano w nim poprowadzić taran na bramę zamku. Łucznicy Carfilhiota wyglądali z parapetów celów dla swoich strzał: Skalrada czy Skalinga – bez różnicy. Gdy tylko jakiś się pokazał, natychmiast z furkotem wylatywała strzała. Kiedy drewniany korytarz osiągnął połowę drogi przez siodło, Carfilhiot wytoczył na wieżę maszyny miotające i zaczął zrzucać stufuntowe kamienie na konstrukcję tunelu, jednakże bez rezultatu. Belki były elastyczne i przemyślnie połączone, przez co spadające kamienie odkupywały jedynie korę, rysowały powierzchnię i staczały się na dno wąwozu.

Aillas szybko odkrył, że jego kompani z plutonu rywalizują i starają się o lepsze miejsce nie bardziej niż on sam. Stąd też Taussig, kiwając się i kulejąc, biegał w tę i z powrotem, rzucając napomnienia, groźby i obelżywe słowa.

– Przyłóż się bardziej, Piąty! Ciągnij, ciągnij! Chorzy wszyscy jesteście, czy co? Trzeci, ty włóko! Ciągnij teraz! Szósty, obserwuj cię! Znam takich jak ty! Zapewne już coś knujesz.

Z tego, co Aillas mógł się zorientować, jego oddział wypracowywał tyle samo co inne, wysłuchiwał więc wrzasków Taussiga z obojętnością. Nieszczęście, które spadło na niego tego poranka, zupełnie go otępiło, a jego rozmiary dopiero teraz zaczynały się w pełni dawać mu we znaki.

W południe Skalingowie zostali nakarmieni chlebem i zupą. Aillas usiadł na lewym pośladku i wpadł w odrętwiałe zamyślenie. Przydzielono go od rana do pracy z Yane'em, mniej więcej czterdziestoletnim, milczącym Ulflandczykiem z Północy. Yane nie był masywnie zbudowany, był raczej żyłasty, miał długie ramiona, czarne szczeciniaste włosy i ściągniętą skórę na twarzy. Obserwował Aillasa przez parę minut, po czym rzucił ochryple:

– Jedz, chłopcze, nie trać sił. Nic dobrego nie wyniknie z tych twoich rozmyślań.

– Czekają na mnie sprawy, których nie mogę zaniedbać.

– Zapomnij o nich, właśnie zaczęło się twoje nowe życie. Aillas potrząsnął głową.

– Nie dla mnie. Yane burknął:

– Jeśli będziesz próbować ucieczki, to cały oddział zostanie wy-chłostany i spadnie w punktacji, łącznie z Taussigiem. Dlatego każdy każdego pilnuje.

– I nikt nie ucieka?

– Rzadko.

– A ty? Nigdy nie próbowałeś uciec?

– Ucieczka jest znacznie trudniejsza, niż ci się wydaje. I nikt o tym nie rozmawia.

– Czy nikt nie zostaje uwolniony?

– Po odsłużonym czasie wypłacają ci pensję. Co zrobisz potem, już ich nie obchodzi.

– Jak długo trwa taki okres?

– Trzydzieści lat. Aillas jęknął.

– Kto tu jest dowódcą Ska?

– Lord Mertaz, o, tam stoi... Gdzie idziesz?

– Muszę z nim porozmawiać. – Aillas z bólem stanął na nogi, podszedł do miejsca, gdzie stał wysoki oficer skalradzki, przyglądając się w zamyśleniu Tintzin Fyral, i zatrzymał się przed nim.

– Czy ty, panie, jesteś lordem Mertazem?

– Jestem nim. – Skalrad spojrzał na Aillasa szarozielonymi oczami. Aillas odezwał się ze zdecydowaniem:

– Sir, dzisiejszego ranka twoi żołnierze złapali mnie i zacisnęli ten stalowy kołnierz na mojej szyi.

– W rzeczy samej.

– W moim kraju jestem księciem i nie widzę powodu, dla którego miałbym być traktowany w ten sposób. Nasze kraje nie prowadzą ze sobą wojny.

– Skalradzi prowadzą wojnę z całym światem. Nie oczekujemy miłosierdzia od naszych wrogów i sami nie jesteśmy miłosierni.

– Proszę więc, byś, panie, zgodnie z prawem wojennym pozwolił mi wykupić się na wolność.

– Nie jesteśmy licznym ludem, potrzebujemy robotników, nie złota. Wypalono ci dzisiaj datę. Musisz odsłużyć trzydzieści lat, potem zostaniesz uwolniony i szczerze wynagrodzony. Jeśli będziesz próbował ucieczki, zostaniesz okaleczony lub uśmiercony. Spodziewamy się takich prób i jesteśmy czujni. Nasze prawa są proste i jednoznaczne. Bądź im posłuszny. Wracaj do pracy.

Aillas wrócił na miejsce, gdzie siedział Yane i obserwował całą scenę.

– I cóż?

– Powiedział mi, że muszę przepracować trzydzieści lat. Yane zachichotał i podniósł się.

– Taussig nas wzywa.

Wąwozem nadciągnęły wozy zaprzężone w woły, załadowane drewnem z górskiego tartaku. Skalingowie taszczyli belki na górę i stopa po stopie drewniany tunel wydłużał się na siodle ku Tintzin Fyral.

Konstrukcja zbliżała się do murów zamku. Wojownicy Carfilhiota zrzucili z parapetów pęcherze z oliwą i wysłali za nimi płonące strzały-pochodnie. Wysoko strzeliły pomarańczowe płomienie, krople płonącej oliwy przesączyły się przez pęknięcia. Pracujący poniżej ludzie byli zmuszeni się wycofać. Przyniesione zostały specjalne miedziane blachy, które wyszkolony oddział zamocował nad



deskami, tworząc z nich dach ochronny. Płonący olej spływał po nim na ziemię i wypalał się, nie czyniąc nikomu krzywdy.

Stopa po stopie tunel zbliżał się do murów zamku. Obrońcy okazywali jedynie złowrogie znużenie.

Wreszcie tunel dotarł do murów zamku. Potężny taran, okuty żelazem, został wyniesiony do przodu. Skalradzcy żołnierze stłoczyli się w tunelu, gotowi do rzucenia się przez rozwaloną bramę. Gdzieś wysoko na wieży rozkołysano potężną stalową kulę na łańcuchu, która precyzyjnie w odległości trzydziestu stóp od murów zamku uderzyła w drewnianą konstrukcję. Zmiotła belki, taran i żołnierzy na krawędź siodła i do przepaści – kolejna gmatwanina drewna i pomiażdżonych ciał na szczycie uprzedniej sterty.

Skalradzcy dowódcy stali w świetle zachodzącego słońca na grzbiecie góry i przyglądali się zniszczeniu. Nastąpiła przerwa w oblężeniu. Skalingowie zgromadzili się w niszy na zboczu, chroniąc się przed nasilającym się zachodnim wiatrem. Aillas, tak samo jak inni, przykucnął w bladym świetle tyłem do wiatru, obserwując z boku postacie Skalradów rysujące się na tle nieba.

Tej nocy nie została już przedsięwzięta żadna akcja przeciwko Tint-zin Fyral. Skalingowie zostali odesłani na dół do obozu, gdzie nakarmiono ich owsianką rozgotowaną z suszonym dorszem. Kaprale zaprowadzili swoje plutony do latryny. Kucali jeden obok drugiego nad rowem i wypróżniali się, postępując jednogłośnie. Potem ustawili się w kolejce do wozu, z którego każdy wziął szorstki wełniany pled i ułożył się na ziemi do snu.

Wykończony Aillas zapadł w głęboki sen. Obudził się dwie godziny po północy i zdezorientowany zerwał się z ziemi, zaraz jednak poczuł ostre szarpnięcie łańcucha przypiętego do stalowego kołnierza.

– Koniec z tym! – zawarczał Taussig. – Nowi próbują zbiec właśnie pierwszej nocy, ale ja znam wszystkie te sztuczki.

Aillas opadł z powrotem na koc. Leżał, przysłuchując się zawodzeniu wiatru pomiędzy skałami, murmuraniu głosów wart i pilnujących ognisk skalradzkich żołnierzy, chrapaniu i sennym odgłosom Skalin-gów. Pomyślał o być może samotnym i bezbronnym Dhrunie, być może właśnie w tej chwili nawiedziła go choroba lub był w niebezpieczeństwie. Pomyślał o Nigdy-Nie-Zawodzącym, schowanym pod laurowym krzewem na zboczu Tac Tor, i o koniu, który prawdopodobnie zerwie się z więzi i powędruje w poszukiwaniu paszy. Pomyślał o Trewanie i Casmirze z kamiennym sercem. Odwet! Zemsta! Spoczęły mu się zaciśnięte z nienawiści ręce... Pół godziny minęło i zasnął ponownie.

Krótko przed świtem, o najbardziej posępnej godzinie nocy, odległy huk, przypominający łoskot walącego się drzewa, obudził Aillasa po raz drugi.

O świcie bicie dzwonu zakończyło wypoczynek Skalingów. Apatyczni i w ponurych nastrojach złożyli pledy na wozie, poszli do latryny, a ci, którzy chcieli, umyli się w lodowatej wodzie ze strumienia. Na śniadanie było to samo co na kolację: owsianka i suszony dorsz, do tego chleb i kubek miętowej herbaty z odrobiną pieprzu i wina na pobudzenie krążenia.

Taussig zabrał swój pluton na górski grzbiet, gdzie wyjaśniła się zagadka nocnych hałasów. W ciągu nocy obrońcy zamku wbili haki w to, co jeszcze pozostało z drewnianego tunelu i naciągnęli linę przy pomocy wysoko umieszczonego kołowrotu. Konstrukcja została przewrócona i zwalona na dno przepaści trzysta stóp niżej. Cały wysiłek Skalradów poszedł na marne, co gorsza, przepadły materiały budowlane i zniszczone zostały wszystkie maszyny. Tintzin Fyral jak dotychczas nic nie ucierpiał.

Skalradzi pochłonięci byli obecnie nie zburzonym tunelem, lecz armią, która rozłożyła się w dolinie trzy mile dalej na zachód. Wywiadowcy powracający z rekonesansu donosili o czterech

batalionach dobrze zorganizowanych wojsk z Ys i Evander. Były to dwa tysiące żołnierzy, w tym zbrojna piechota, łucznicy, konni wojowie i rycerze. Dwie mile dalej za nimi zbroje dalszych maszerujących wojsk migotały w porannym świetle.

Aillas szacował szanse Skalradów. Ich kontyngent nie był aż tak liczny, jak mu się na początku zdawało – składał się prawdopodobnie z tysiąca żołnierzy.

Taussig zauważył jego zainteresowanie i chrapliwie zachichotał.

– Nie licz na bitwę, chłopcze, złudne nadzieje! Oni nie walczą dla chwały i biją się tylko wtedy, gdy mogą na tym skorzystać. Żadnego ryzyka, żadnego głupiego zuchwalstwa, zapewniam cię!

– Będą jednak musieli odstąpić od oblężenia.

– To już zostało postanowione. Mieli nadzieję wziąć Carfilhiota przez zaskoczenie. Pech! Wykiwał ich swoimi szelmowskimi sztuczkami. Następnym razem sprawy potoczą się zupełnie inaczej, zobaczysz!

– Szacuję, że mnie wtedy tu nie będzie.

– Tylko ci się tak wydaje. Ja jestem Skalingiem od dziewiętnastu lat. Mam odpowiedzialne stanowisko, a za jedenaście lat otrzymam wypłatę. Dobrze dbam o swoje interesy.

Aillas spojrzał na niego pogardliwie.

– Nie wierzę, żebyś nie pragnął odzyskać wolności. Taussig zareagował szorstko i gwałtownie.

– Starczy! Taka rozmowa to dopraszanie się o chłostę. Dają sygnał! Zwijąć obóz!

Skalradzi i Skalingowie zeszli z górskiego grzbietu i ruszyli przez wrzosowiska Południowych Ulflandów. Aillas nigdy przedtem nie widział takiej krainy. Niskie wzgórza porośnięte były wrzosami i krzewami janowca, dolinki poprzecinane małymi strumykami. Na większych wysokościach widoczne były skalne rumowiska, a w zagłębieniach pomiędzy wzgórzami rosły gęste zagajniki. Na widok czarnej armii chłopci uchodzili we wszystkich kierunkach. Okolica w większości była opuszczona, chaty opustoszałe, rozwalone kamienne ogrodzenia, a wszędzie rosły wybujające żółte janowcowe krzaki. Zamki rozlokowane były na wyższych szczytach, co wyraźnie świadczyło o wrogości pomiędzy klanami i powszechności nocnych najazdów. Wiele z nich znajdowało się w ruinie, zwalone kamienie porastał mech. W tych, które jeszcze przetrwały, wciągano wysoko zwodzone mosty i obsadzano mury ludźmi, którzy przyglądali się z daleka przechodzącym skalradzkim wojskom.

Pomiędzy coraz wyższymi wzgórzami zalegała już tylko naga, czarna ziemia i torfowe bagniska. Ponad głowami kłębiły się chmury, raz na jakiś czas przepuszczając trochę słońca, było to jednak zbyt mało, by mogło się zrobić cieplej. Poza biednymi chłopami, górnikami wydobywającymi cynę i bandytami niewielu ludzi zamieszkiwało tamte okolice.

Aillas szedł bezmyślnie. Zauważał jedynie tęgi kark i zmierzwiłone włosy idącego przed nim mężczyzny i trzymał się kierunku wyznaczanego przez kołyszający się pomiędzy nimi łańcuch. Jadł na rozkaz, spał na rozkaz. Nic nie mówił poza sporadycznymi mruknięciami do Yane'-a, który przykucał obok niego.

W odległości zaledwie mili od strony lądu kolumna minęła fortecę Oaldes, gdzie król Oriante miał swój dwór, wydawał głośnie rozkazy, które rzadko znajdowały posłuch u kogokolwiek, i spędzał większość czasu w pałacowym ogrodzie ze swoimi oswojonymi białymi królikami. Na widok armii Ska spuszczone z brzękiem kraty w bramie i łucznicy pojawili się na murach. Skalradzi nie zwrócili na to najmniejszej uwagi i posuwali się dalej drogą wzdłuż wybrzeża, o które rozbijały się fale Atlantyku.

Skalradzki patrol nadjechał z wiadomościami, które szybko dotarły do Skalingów. Król Oriante zmarł w konwulsjach, a tron Południowych Ulflandów objął po nim słaby na umyśle Quilcy.

Podzielał on zainteresowanie ojca białymi królikami i mówiono o nim, że nie jadał nic poza kremem budyniowym, bułeczkami z miodem i biszkopcikami w winnej polewie.

Yane wyjaśnił Aillasowi, dlaczego Skalradzi pozwalali Oriante, a teraz Quilcy'emu panować bez przeszkód.

– Nie sprawiają żadnego kłopotu. Z punktu widzenia Skalradów Quilcy może panować wiecznie, jeśli tylko nie będzie wystawiać nosa poza swój kukielkowy pałacyk.

Kolumna wkroczyła do Północnych Ulflandów. Granica, którą minęli, oznaczona była jedynie kopcem na poboczu drogi. W mijanych po drodze wioskach rybackich spotykali tylko starych i niedołącznych. Wszyscy sprawni mężczyźni i kobiety uciekli, aby uniknąć niewoli.

W posepny poranek, kiedy wiatr gnał słońną pianę z fal wiele jardów w głąb lądu, przeszli pod antyczną latarnią morską Firbolg, której budowa miała w przeszłości zjednoczyć klany w walce przeciwko najeźdźcom z Danaanu. Wkroczyli wreszcie na terytorium należące już właściwie do Ska. Wioski były tutaj zupełnie wyludnione. Ich byli mieszkańcy zostali albo zabici, albo wzięci do niewoli lub zbiegli w inne rejony. W Vax kolumna rozpadła się na parę mniejszych. Część załadowała się na statek do Skaghane. Parę oddziałów powędrowało dalej nadbrzeżną drogą w kierunku kamieniołomów, gdzie wybrani krnąbrni Skalingowie mieli spędzić resztę swych dni, obrabiając granitowe bloki. Kolejny kontyngent, w skład którego wszedł pluton Taussiga,

skreślił w głąb lądu ku Zamkowi Sank, siedzibie księcia\* Luhalcyxca, będącej ostatnią stacją postojową dla konwoi Skalingów w drodze do Poelitz.

\* Przypomnienie – tytuły: *król*, *książe*, *hrabia*, *lord*, *baron* i *woj* użyte są w swobodnym i niedokładnym tłumaczeniu ze skalradzkiego dla oznaczenia hierarchii wśród Skalradów. Różnice w tytułach są specyficzne dla Ska, a spośród nich *król*, *książe* i *hrabia* są dziedziczne, a wszystkie poza koroną królewską mogą być uzyskane za zasługi w walce i inne wyśmienite osiągnięcia. *Woj* zabiwszy lub pojmawszy pięciu uzbrojonych wrogów zostaje *rycerzem*. Dokonawszy innych ściśle określonych czynów zostaje *baronem*, potem *lordem*, *hrabią* i ostatecznie *arcyhrabią* lub *arcyksięciem*. Król wybierany jest w drodze elekcji, w której udział biorą hrabiowie. Korona jest dziedziczna w obrębie dynastii, zawsze w linii męskiej, dopóki nie zabraknie następcy lub władca nie zostanie zdjęty z tronu mocą decyzji konklawe hrabiowskiego. Pobieżnego omówienia historii Ska szukaj w Glosariuszu III.



W zamku Sank grupa Taussiga została wyznaczona do pracy przy pile napędzanej siłą wody. Potężne koło, poruszając kombinacją żelaznych dźwigni, unosiło i opuszczało piłę z hartowanej stali, długą na dziesięć stóp i wartą tyle złota, ile sama ważyła. Piła wyrównywała belki i cięła deski z szybkością i precyzją, które wydały się Aillasowi godne uwagi. Doświadczeni Skalingowie kontrolowali mechanizm, z czułością ostrzyli zęby piły i wyraźnie pracowali bez żadnego przymusu i nadzoru. Grupę Taussiga wysłano do sezonowej szopy, gdzie układali i porządkowali deski.

Wraz z upływem czasu Aillas stopniowo popadał w niełaskę u Taussiga i ściągał na siebie jego coraz większą niechęć. Taussig nie mógł ścierpieć arystokratycznych manier Aillasa i jego niechęci do dawania z siebie przy pracy więcej, niż to było absolutnie konieczne. Yane również popadł w niełaskę, gdyż odpracowywał to, co do niego należało bez szczególnego wysiłku, przez co Taussig podejrzewał go o nieróbstwo, choć nigdy nie był w stanie mu tego udowodnić.

Początkowo Taussig próbował przekonywać Aillasa:

– Popatrz tylko na siebie! Obserwuję cię uważnie i nie oszukasz mnie. Dlaczego obnosisz się, jakbyś był jakimś lordem? Nie poprawisz przez to ani trochę swojej sytuacji. Wiesz jak kończą nieroby i obiboki? Wysyła się ich do kopalni ołowiu, a jeśli skończą tam przed czasem swą służbę, to ich krew hartuje stal do wyrobu mieczy. Dobrze ci radzę, okaż trochę więcej zapału.

Aillas odpowiedział, jak tylko mógł najspokojniej:

– Skalradzi uwięzili mnie wbrew mej woli, zniszczyli mi życie, wyrządzili mi wielką krzywdę, dlaczego miałbym wysilać się dla ich korzyści?

– Twoje życie się zmieniło, to prawda – argumentował Taussig. – Staraj się skorzystać na tym jak najwięcej, jak my wszyscy! Pomyśl! Trzydzieści lat to wcale nie tak długo! Potem zwrócą ci wolność i albo otrzymasz dziesięć złotych monet, albo dostaniesz gospodarstwo, chatę, kobietę, zwierzęta, a twoje dzieci będą miały zagwarantowaną wolność. Czyż nie jest to hojny gest?

– W zamian za najlepsze lata mojego życia? – drwiąco rzucił Aillas i odwrócił się, chcąc odejść. Taussig gniewnie zawołał go z powrotem.

– Ciebie przyszłość może nie obchodzi, ale mnie tak! Kiedy mój oddział nędznie wypada, mnie się za to wini. Nie chcę, aby było tak z twojego powodu! – Taussig odkuśtykał z obliczem ściągniętym furją.

Dwa dni później Taussig zaprowadził Aillasa i Yane'a na dziedziniec z tyłu zamku Sank. Nie powiedział ani słowa, ale jego gwałtowne ruchy ramion i kiwnięcia głową nie wróżyły nic dobrego.

Kiedy otworzono bramę na dziedziniec, odwrócił się i dał wreszcie upust swej wściekłości.

– Chcieli dwóch służących do domu, więc z ochotą powiedziałem o was! Teraz już nie będę musiał się wami przejmować, a waszym panem będzie steward Imboden. Wypróbujcie na nim waszych prowokacji, a dopiero zobaczycie!

Aillas przyglądał się ściągniętej złością twarzy, po czym wzruszył ramionami i odwrócił się. Yane stał znudzony i zniechęcony. Nie było nic więcej do powiedzenia.

Taussig krzyknął przez dziedziniec do dworzanina:

– Zawołaj tu Imbodena!

Odwrócił się i spojrzał na nich złośliwie.

Żaden z was nie polubi Imbodena. Jest próżny jak paw i ma duszę gronostaja. Skończyły się dla was łatwe dni włością się i wygrzewania na słońcu.

Imboden wyszedł na werandę, górującą nad dziedzińcem. Był to mężczyzna posunięty w latach, o wąskich barkach i chudych ramionach, długich, chudych nogach i grubym brzuchu. Brudne loki

przylegały mu do głowy, zdawał się nie mieć twarzy, jedynie kilka wybijających się cech: długie uszy, długi pękaty nos, podkrążone czarne, okrągłe oczy, opadającą wargę. Władczo skinął na Taussiga, który ryknął:

– Chodź tu! Ja stopy nie postawię na zamkowym dziedzińcu! Imboden zaklął zniecierpliwiony, zszedł ze schodów i ruszył przez

podwórzec charakterystycznym powolnym i wyniosłym krokiem, denerwując tym Taussiga.

– Chodź tu zaraz, ty dziwaczny stary koźle! Nie chcę zmarnować całego dnia!

Do Aillasa i Yane'a powiedział:

– Jest półkrwi Skalradem, bękartem celtyckiej kobiety, a to najgorsze, co może spotkać Skalinga, i dba, aby wszyscy dobrze o tym wiedzieli.

Imboden zatrzymał się przy bramie.

– Co tym razem?

– Mam tu parę domowych małąp dla ciebie. Ten tutaj jest przesadnie drobiazgowy i myje się zbyt wiele. Drugiemu wydaje się, że jest mądrzejszy niż wszyscy inni, a ja w szczególności. Oddaję ci ich w dobrym zdrowiu.

Imboden zmierzył ich wzrokiem od stóp do głów. Wskazał kciukiem na Aillasa:

– Jak na tak młodego, ma nieswoje, dzikie spojrzenie. Może jest chory?

– Zdrowy jak ryba i silny jak wół. Imboden badał teraz Yane'a.

– Ten sprawia wrażenie łotra. Podejrzewam, że potrafi być słodziutki jak miód.

– Jest zręczny i szybki, a chodzi cicho jak duch zdechłego kota.

– Dobrze więc, nadadzą się. – Imboden uczynił prawie niezauważalny gest. Szczerze ubawiony Taussig powiedział Aillasowi i Yane'owi:

– To znaczy „chodźcie za mną”. Ha, nacieszycie się tymi jego sygnałami, bo jest wstydlivy i mało mówi.

Imboden zmiażdżył Taussiga pogardliwym spojrzeniem, odwrócił się i ruszył wyniośle przez dziedziniec. Przed stopniami prowadzącymi na werandę wykonał kolejny drobny gest, nie większy niż pstryknięcie palcami. Stojący przy bramie Taussig wrzasnął:

– To znaczy, że chce, abyście tam na niego zaczekali. – Po czym odszedł, zanosząc się bulgotliwym śmiechem.

Mijały minuty. Aillas zrobił się niespokojny. Zaczęły go dręczyć wszystkie pilne sprawy, które miał zamiar przeprowadzić, a które zmuszony był zostawić. Spojrzał na otwartą bramę i rozciągające się za nią pola.

– Może nadeszła właściwa chwila – zamruczał do Yane'a. – Lepsza okazja może się już nie nadarzyć.

– Nigdy też nie będzie gorsza – zauważył Yane. – Taussig tylko tam czeka. Niczego zapewne bardziej nie pragnie, niż byśmy z tej okazji skorzystali, jako że teraz chłosta nie spadłaby na niego.

– Ta brama i pole tak blisko, to zniewalający widok.

– W ciągu pięciu minut dopadłyby nas psy.

Na werandę wyszedł smukły mężczyzna o smutnej twarzy, ubrany w żółto-szarą liberię – żółte, ściągnięte pod kolanami spodnie i czarne pończochy oraz szarą kamizelkę włożoną na żółtą koszulę. Czarna mi-skowata czapka zakrywała mu włosy, które wyraźnie były bardzo krótko obcięte.

– Jestem Cyprian, nie mam żadnego tytułu. Nazywajcie mnie dozorcą niewolników, zarządcą, pośrednikiem, głównym Skalingiem, jak zechcecie. Ja będę wam wydawał polecenia, a to dlatego, że tylko ja mam przywilej rozmawiania z Imbodenem. On rozmawia z marszałkiem dworu, który jest Skalradem i zwie się sir Kel. Ten z kolei otrzymuje rozkazy od księcia Luhalcyxa, Które odwrotną

drogą przeze mnie docierają do was. Podejrzewam, że jeśli mielibyście wiadomość dla księcia Luhalcyxa, przekazalibyście ją mnie pierwszemu. Jak wam na imię?

– Jestem Yane.

– To chyba ulflandzkie imię. A ty?

– Aillas.

– Aillas? To chyba imię z południa. Lyonesse?

– Troicinet.

– To i tak bez znaczenia. Pochodzenie nie obchodzi tu w Sank nikogo, tak jak nikt nie interesuje się rodzajami mięsa w kielbasie. Chodźcie ze mną. Poszukam wam ubrań i wyjaśnię zasady postępowania, które jako inteligentni mężczyźni zapewne już znacie. Mówiąc krótko, są one następujące. – Cyprian wystawił cztery palce. – Po pierwsze, dokładnie wykonujcie rozkazy. Po drugie, bądźcie czyści. Po trzecie, starajcie się być niezauważalni jak powietrze. Nigdy nie ściągajcie na siebie uwagi Skalrada. Przypuszczam, że nie zauważiliby Skalinga, chyba że zrobiłby coś wyjątkowego lub hałaśliwego. Po czwarte, co jest oczywiste, nie próbujcie uciekać. Staje się to przyczyną strapienia dla wszystkich poza psami, które uwielbiają rozrywać ludzi na strzępy. Są one w stanie wytropić ślad sprzed miesiąca i zostaniecie złapani.

Aillas spytał:

– I co wtedy?

Cyprian zaśmiał się ponuro.

– Przyjmijmy, że miałbyś konia, który nie zaprzestawałby ucieczek. Co byś z nim zrobił?

– Wiele zależałoby od tego, jaki byłby to koń.

– Dokładnie. Gdyby był stary, kulawy i narowisty, zabiłbyś go. Gdyby był młody i silny, nie zrobiłbyś nic, co ograniczyłoby jego możliwości, ale wysłałbyś go do eksperta, który nauczyłby go pokory. Gdyby nadawał się jedynie do kręcenia żaren, oślepiłbyś go.

– Nie zrobiłbym żadnej z tych rzeczy.

– W każdym razie, takie są zasady. Zdolny pisarz może stracić nogę. Najlepsze, co można powiedzieć o Skalradach, jest to, że oni rzadko, jeśli w ogóle, stosują tortury. Im się jest bardziej dla nich użytecznym, tym lepiej się to kończy, jeśli psy cię wytropią. Teraz idziemy do izb, gdzie mieszkają niewolnicy. Cyrulik obetnie wam włosy.

Aillas i Yane poszli za Cyprianem zimnym, ciemnym korytarzem do kwater Skalingów. Golibroda przycisnął im do głowy płytką miskę i obciął im obu włosy, prosto do połowy czoła i dookoła całej głowy na tę samą długość. W łaźni pozbyli się brudu pod strumieniem wody i za pomocą miękkiego mydła i dodatkiem drobnego piasku, ogolili też zarost na twarzach.

Cyprian przyniósł im szaro-żółte liberie.

– Pamiętajcie, niepozorny i nie rzucający się w oczy Skaling jest rzadko o cokolwiek winiony. Nigdy nie zwracajcie się wprost do Imbodena, jest bardziej pyszny niż sam książę Luhalcyx. Księżna Chraio jest kobietą o dobrym usposobieniu i dba o to, by Skalingowie byli dobrze karmieni. Panicz Alvicyx, najstarszy syn, jest kapryśny i odrobinę gwałtowny. Panienska Tatzel, córka, ma miłą oku urodę, ale łatwo się irytuje. Jakkolwiek nie jest uciążliwa i nie sprawia większych trudności. Jak długo będziecie się zachowywać cicho i nie będziecie podnosić na nich wzroku, zostaniecie dla nich niewidoczni. Na razie przez jakiś czas będziecie szorować podłogi. Wszyscy tu zaczęli w ten sposób.

Aillas widział wiele pałacy i bogatych arystokratycznych domów. Jednakże zamek Sank swoim ogromem i surowością wywierał na nim wrażenie, którego nie mógł do końca pojąć. Nie znalazł tam

ani galerii, ani promenad. Pokoje połączone były niskimi, krótkimi korytarzami. Sufity ginęły wysoko w mroku, nadając miejscu atmosferę tajemniczości. Wąskie i małe okna prześwietlały ściany w nierównych odstępach, a dzięki kolorowemu szkłu, wpadające do środka światło nabierało bursztynowej i jasnoniebieskiej, mglistej poświaty. Aillas nie potrafił odgadnąć, jakiemu celowi służyły niektóre z pomieszczeń, jak też nie mógł pojąć wszystkich zasad, które kierowały postępowaniem księcia Luhalcyxa, jego żony Chraio i ich dzieci – Alvicyxa i Tatzel. Każde z nich poruszało się po tym posępnym zamku, jak gdyby była to scena, na której swą rolę odgrywała tylko ta jedna osoba. Wszyscy przeważnie używali języka skalradzkiego, mowy starszej niż historia ludzkości, i mówiąc ścisiali głos. Rzadko się śmiali. Ich poczucie humoru zdawało się ograniczać do łagodnej ironii lub lapidarnych niedomówień. Każdy zamykał się w sobie, budując ze swej osobowości niedostępną cytadelę. Często ktoś z nich popadał w głębokie zamyślenie lub zdawał się bardziej zaabsorbowany wewnętrznymi rozważaniami niż akurat prowadzoną konwersacją. Odr czasu do czasu jedno lub drugie przejawiało nagłe czymś zainteresowanie czy ekstrawagancję, które zostawały porzucone tak nagle, jak się pojawiały. Aillas, którego umysł był nieustannie zajęty jego własnymi problemami, nie mógł opanować narastającej w nim fascynacji ludem zamieszkującym zamek Sank. Jako niewolnik był tak niepozorny, jak zwykle drzwi. Korzystając z tej osłony, obserwował codzienne życie na zamku.

Przez cały czas księżę Luhalcyx, jego rodzina oraz bliżsi i dalsi krewni nosili wielce wyszukane formalne stroje, które zmieniali parę razy dziennie, zależnie od okoliczności. Stroje i ozdoby pokryte były dużymi symbolicznymi wzorami, zrozumiałymi jedynie dla Skalradów. Wielokrotnie Aillas usłyszał fascynujące sformułowania, których nie był w stanie zrozumieć. Członkowie rodziny czy to publicznie, czy prywatnie zachowywali się w stosunku do siebie sztywno i oficjalnie, jak gdyby obcowali z nieznanymi. Jeżeli łączyło ich jakiegokolwiek uczucie, to objawiało się w gestach tak subtelnych, że Aillas ich nie zauważał.

Księżę Luhalcyx, wysoki, szczupły mężczyzna, o ostrych rysach i oczach koloru morskiej zieleni, był człowiekiem stanowczym, o niepodważalnej godności. Zawsze swobodny, a jednocześnie, jak zauważył Aillas, nigdy nic nie mąciło jego wyniosłości i opanowania. Miał gotową replikę na każdą sytuację. Był sto dwudziestym siódmym potomkiem rodu. W „Izbie Starożytnych Honorów” \* wywieszane były maski ceremonialne, wyrzeźbione w Norwegii na długo przed przybyciem Ur-Gotów.

\* wyrażenie to jest jedynie dowolnym tłumaczeniem ze skalradzkiego

Pani Chraio, wysoka i smukła, sprawiała wrażenie nieobecnej duchem. Nawet gdy znajdowały się w pobliżu żony odwiedzających zamek dygnitarzy, Aillas często widział ją samą przy wrzecionach lub rzeźbiącą naczynia z drewna śliwowego. Czarne, proste włosy nosiła uczesane w tradycyjnym stylu, obcięte równo z uszami, z grzywką zakrywającą czoło.

Księżniczka Tatzel, mniej więcej szesnastoletnia, miała smukłe i jędrne ciało, uniesione piersi i wąskie jak u chłopca biodra. Gdy chodziła, jakiś niezwykły zapał i entuzjazm zdawały się unosić ją ponad ziemią. Poruszała się w dość urokliwy sposób, z głową przechyloną lekko ku bokowi, drżącym uśmiechem na ustach, rozbawiona czymś, o czym wiedziała tylko ona sama. Włosy czesała podobnie jak matka i większość skalradzkich kobiet, prosto nad oczami i poniżej uszu. Miała przedziwne, nieregularne rysy i żywe, bezpośrednie usposobienie. Jej brat, panicz Alvicyx, był mniej więcej w wieku Aillasa i był najbardziej niespokojny i zmienny w nastrojach z całej rodziny. Przyjmował buńczuczną pozę i przemawiał z największym przejęciem spośród nich wszystkich. Jak utrzymywał Cyprian, odznaczył się w wielu bitwach i mógł zostać mianowany na rycerza nie tylko dzięki szlachetnemu urodzeniu, ale i za zabicie wielu wrogów.



Obowiązki wyznaczone Aillasowi obejmowały typowe prace domowe. Wymagano od niego czyszczenia kominków, szorowania kamiennych podłóg, polerowania lamp z brązu i napełniania ich oliwą. Praca ta umożliwiała mu dostęp prawie do każdego miejsca na zamku, poza sypialniami. Pracował wystarczająco dobrze, by zadowolić Cypriana i nie ściągać na siebie uwagi Imbodena, a jeśli tylko nie spał, przemyślał nad sposobami ucieczki.

Cyprian zdawał się czytać w jego myślach.

– Psy, psy! Straszliwe psy! Tę rasę znają tylko Skalradzi. Raz puszczone na ślad nie ustana, dopóki nie dorwą ofiary. Oczywiście słyszano o Skalingach, którym udało się zbiec, czasami przy pomocy magicznych forteli. Czasami jednak Skalradzi również stosują magię, a wtedy Skaling zostaje złapany. Myślałem, że Skalradzi nie wiedzą nic o magii.

– Kto wie? – Cyprian rozłożył ramiona. – Czary to coś, czego nie pojmuję. Może Skalradzi pamiętają magię z ich pradawnej przeszłości. Pewne jest, że nie ma zbyt wielu czarodziei wśród Ska, przynajmniej z tego, co mi wiadomo.

– Nie chce mi się wierzyć, by tracili czas na łapaniu zbiegłych niewolników.

– Cóż, może masz rację. Dlaczego mieliby się nimi przejmować? Na jednego, który ucieka, stu zostaje ponownie ujętych i to nie dzięki czarom, ale dzięki psom.

– Czy uciekinierzy nie kradną koni?

– Próbowano tego, ale rzadko skutecznie. Skalradzkie konie są posłuszne tylko rozkazom Skalradów. Kiedy zwykły Daut lub Ulflandczyk próbuje dosiąść takiego konia, ten nie rusza się z miejsca, staje dęba, biega w kółko albo zrzuca jeźdźca. Czy planowałeś szybką ucieczkę na skalradzkim koniu? To właśnie chodziło ci po głowie?

– Nic mi nie chodziło po głowie – odparł dość szorstko Aillas. Cyprian uśmiechnął się melancholijnie.

– To była moja obsesja, na początku. Potem lata mijały i pragnienie ucieczki wygasło. Teraz zaś wiem, że dopóki nie upłynie moje trzydzieści lat, nie będę nikim innym, niż jestem obecnie.

– A co z Imbodennem? Jest już chyba niewolnikiem od ponad trzydziestu lat?

– Jego termin upłynął dziesięć lat temu. Dla nas Imboden jest wolnym człowiekiem i obywatelem Ska. Skalradzi uważają go za wyższej klasy Skalinga. To samotny i zgorzkniały człowiek. Jego problemy uczyniły z niego dziwaka i ekscentryka.

Pewnego wieczoru, gdy jedli razem z Yane kolację z zupy i chleba, Aillas wspomniał o zaabsorbowaniu Cypriana ucieczką. – Ile razy z nim rozmawiam, zawsze nawiąże do tego tematu.

Yane chrząknął z cierpką wesołością.

– Ten jego nawyk został zauważony wszędzie indziej.

– Może to tylko tęskne marzenia albo coś podobnego.

– Może tak. Jednakowoż, gdybym planował opuścić zamek Sank w pośpiechu, Cyprian nie byłby pierwszą osobą, którą bym o tym powiadomił.

– Zakrawałoby to na zbyt dużą grzeczność. Szczególnie odkąd wiem już, jak uciec z zamku Sank pomimo psów, koni i Cypriana.

Yane spojrzał na niego z ukosa.

– To cenna informacja. Zamierzasz się nią podzielić?

– We właściwym czasie. Jakie rzeki przepływają w pobliżu?

– Jest tylko jedna znaczniejsza, rzeka Malkish, około trzech mil stąd na południe. Uciekinierzy zawsze próbują do niej dotrzeć, ale to raczej zawodne. Jeśli płyną w stronę morza, toną przy niebezpiecznych progach wodnych. Jeśli kierują się w górę rzeki, psy przeszukują oba brzegi i w swoim czasie trafiają na ślad. Rzeka jest fałszywym sprzymierzeńcem. Skalradzi wiedzą o tym lepiej

niż my.

Aillas pokiwał głową i nie powiedział nic więcej. Ile razy później rozmawiał z Cyprianem, nawiązywał do ucieczki jedynie teoretyzując i Cyprian wkrótce stracił zainteresowanie tym tematem.

Do jedenastego lub czasem do dwunastego roku życia skalradzkie dziewczęta wyglądały i zachowywały się jak chłopcy. Potem następowała właściwa i nieodwracalna zmiana. Młodzi mężczyźni i dziewczęta spotykali się swobodnie, kontrolowani jedynie przez formalne zasady rządzące całym ich wychowaniem i co najmniej tak skuteczne, jak czujna przyzwoitka.

W słoneczne popołudnia młodzi ludzie zbierali się na tarasie wychodzącym na ogród od południowej strony zamku, gdzie, zależnie od nastroju, grali w szachy lub w tryktraka, jedli granty, przekomarzali się w ostrożny sposób, który przez innych ludzi mógłby zostać uznany za nudny, albo przyglądali się, jak któreś z nich próbowało swych sił z przewrotną maszyną zwaną hurlo-tumbo. Urządzenie to przeznaczone było do szkolenia posługiwaniu się mieczem i miało uczyć zręczności i precyzji. Niezdarny przeciwnik zarabiał potężnego kuksańca, jeśli nie udało mu się trafić mieczem w wirujący cel.

Panicz Alvicyx, próżny na punkcie swych umiejętności szermierczych, uważał się za eksperta w przechytrzeniu hurlo-tumbo i był zawsze gotowy do popisania się, szczególnie gdy panienska Tatzel przyprawiała na taras swoje przyjaciółki.

Chcąc udramatyzować pokaz swej sztuki, poruszał się stawiając nogi z lekkim przytupem, zamasyście wywijając mieczem i wznosząc starożytne okrzyki wojenne Ska. Któregoś popołudnia dwóch przyjaciół Alvicyxa zostało pokonanych przez maszynę, ale demonstrowali to jedynie złym humorem. Książę Alvicyx natomiast, potrząsając głową z drwiącym współczuciem, wziął miecz ze stołu i ruszył na maszynę, wydając gardłowe okrzyki, przechylając się do przodu i do tyłu, robiąc uniki, atakując i urągając urządzeniu.

– Ach, ty wirujący diable! No dalej, uderz mnie! I co ty na to? A to? Och, co za perfidia! Jeszcze raz! I jeszcze!

Uskakując do tyłu, przewrócił marmurową wazę, która rozbiła się w kawałki na posadzce. Tatzel zawołała:

– Doskonałe trafienie, Alvicyx! Swoim głupim tyłkiem zniszczyłeś ofiarę.

Jej przyjaciółki spoglądały w niebo, nieznacznie wykrzywiając usta, co u Skalradów oznaczało uśmiech.

Marszałek dworu, sir Kel, widząc powstałą szkodę, powiadomił Imbodena, który wydał instrukcje Cyprianowi. W następstwie tego Aillas został wysłany do sprzątnięcia rozbitej wazy. Wtoczył na taras małą taczkę, załadował do niej marmurowe skorupy i zamiótł podłogę.

Alvicyx ponownie zaatakował hurlo-tumbo, z jeszcze większą zawziętością, na skutek czego potknął się o taczkę i wpadł pomiędzy skorupy i zmiecioną ziemię. Aillas pochylił się właśnie, chcąc uprzątnąć resztki skorup z posadzki, kiedy Alvicyx zerwał się z taczki i kopnął Aillasa w pośladki.

Aillas zeszytniał na sekundę, po czym nie mógł już dłużej nad sobą zapanować i pchnął Alvicyxa na hurlo-tumbo, co spowodowało, że sztuczne ramię zareagowało zwykłym ruchem i trafiło Alvicyxa w twarz.

Alvicyx zakręcił mieczem i wrzasnął.

– Łotr!

Pchnął w Aillasa, który uchylił się do tyłu i złapał miecz leżący na stole. Odparował kolejne pchnięcie i zaatakował z taką zaciekłością, że Alvicyx został zmuszony do cofnięcia się. Była to niesłychana sytuacja. Jak mógł Skaling przewyższać niezrównanego i utalentowanego Alvi-cyxa?

Posuwali się po tarasie, Alvicyx próbował atakować, ale umiejętny przeciwnik bez przerwy zmuszał go do obrony. Pchnął, lecz Aillas wybił mu miecz z dłoni i zepchnął go na balustradę, przyciskając mu ostrze do gardła.

– Gdybyśmy byli na polu bitwy, zabiłbym cię z łatwością – powiedział przepojonym pasją głosem Aillas. – Bądź wdzięczny, że teraz się jedynie z tobą zabawiłem.

Aillas cofnął miecz i odłożył go na stół. Przyjrzał się wszystkim i jego oczy napotkały wzrok lady Tatzel. Przez chwilę spoglądali na siebie, wreszcie Aillas odwrócił się i, ustawiając taczkę, zaczął na nowo ładować na nią ziemię i skorupy.

Alvicyx przyglądał mu się zamyślony z drugiego końca tarasu, a kiedy podjął decyzję, skinął na skalaradzkich wartowników.

– Zabrać tego psa za stajnię i zabić.

Z balkonu ponad tarasem przemówił ksiązę Luhalcyx:

– Ten rozkaz, paniczu Alvicyxie, nie przynosi ci zaszczytu i plami honor tego domu oraz godzi w sprawiedliwość naszej rasy. Sugeruję, abyś go odwołał.

Alvicyx gapił się zaskoczony na ojca. Powoli odwrócił się i odezwał się ponurym głosem:

– Straż, zignorować mój rozkaz.

Uklonił się siostrze i innym gościom przyglądającym się z fascynacją całemu zdarzeniu, po czym opuścił taras. Aillas Powrócił do przerwanej pracy, kończąc ładowanie taczki, podczas gdy lady Tatzel i jej przyjaciółki pogrążyły się w przyciszonej rozmowie, obserwując go kątem oka. Aillas nie zwracał na nie uwagi. Zmiótł resztki ziemi z posadzki i odszedł, zabierając taczkę.

Cyprian wyraził swoją opinię na temat całego zajścia jedynie smutnym grymasem przygany. Kolację zjadł samotnie, odwrócony w stronę drzwi.

Yane cicho odezwał się do Aillasa:

– Czy to prawda, że pchnąłeś Alvicyxa jego własnym mieczem?

– Ależ skąd! Fechtowałem się z nim przez chwilę i dotknąłem go tylko czubkiem ostrza. Żadna wielka sprawa.

– Dla ciebie może to nic ważnego, ale Alvicyx okrył się wstydem i będziesz za to cierpieć.

– W jaki sposób? Yane zaśmiał się.

– On się zapewne jeszcze nie zdecydował.



Na zachodnim końcu obszernego hallu w zamku Sank mieściła się oficjalna sala wizyt, a na wschodnim – komnata dla składających wizytę dam. Na całej długości ściany znajdowały się niskie, wąskie portale, otwierające się do rozmaitych komnat i pokoi, między innymi do repozytorium, gdzie zebrano wszelkie osobliwości, odznaczenia należące do klanu, trofea z pól bitewnych i wypraw morskich, przedmioty kultu. Na półkach stały książki oprawione w skórę lub cienkie pasy bukowego drewna. Na jednej szerokiej ścianie wywieszono były portrety wszystkich przodków, wypalone na wybielanych brzoźowych deskach pociągnięciami rozpalonego do czerwoności żelaznego pręcika. Technika ta pozostawała niezmienna od wieków. Twarz wodza plemiennego z epoki polodowcowej nosiła takie same ostre rysy, jak twarz księcia Luhal-cyxa, którego portret wisiał tam zaledwie od pięciu lat.

W niszach przy wejściu stały dwa sfinksy wyrzeźbione z czarnego granitu. Zwano je Tronenami, a były domowymi bożkami. Raz w tygodniu Aillas mył je ciepłą wodą zmieszaną z sokiem z mleczka.

Jednego dnia, późnym rankiem Aillas umył sfinksy i wycierał je miękką szmatą. Spojrzał w stronę hallu i zobaczył zbliżającą się panienkę Tatzel, smukłą jak wierzbowa witka, ubraną w ciemnozieloną tunikę. Czarne włosy powiewały dookoła jej skupionej twarzy. Przeszła obok Aillasa, nie zwracając na niego uwagi, pozostawiając za sobą unoszącą się w powietrzu kwiatową woń, przywołującą na myśl zioła z podmokłych łąk pradawnej Norwegii.

Kilka chwil później wracała tą samą drogą. Mijając Aillasa, zatrzymała się, zawróciła i stanęła, przyglądając mu się bacznie, studiując każdy najmniejszy szczegół jego fizjonomii.

Aillas spojrzał na nią przelotnie i pracował dalej.

Tatzel zaspokoila swą ciekawość i odwróciła się, by odejść. Przedtem jednak przemówiła bezbarwnym głosem:

– Z takimi brązowymi włosami wzięłabym cię za Celta, ale masz bardziej łagodne rysy.

Aillas znowu na nią spojrzał.

– Pochodzę z Troicinetu.

Tatzel chciała już odejść i raz jeszcze zawahała się.

– Z Troicinetu czy też Celt, kimkolwiek byś był, zachowałeś się jak dzikus, a krnąbrnych niewolników się kastruje.

Aillas przerwał pracę, zniewaga odebrała mu siły. Powoli wstał i, zaczerpując głęboko powietrza, opanował się na tyle, że mógł się odezwać.

– Nie jestem niewolnikiem. Należę do wielkiego rodu z Troicinetu i jestem trzymany w niewoli przez plemię bandytów.

Tatzel otworzyła usta ze zdumienia i odwróciła się, jakby chciała wreszcie odejść. Zatrzymała się jednak.

– Świat nauczył nas okrucieństwa. W przeciwnym wypadku ciągle jeszcze bylibyśmy w Norwegii. Gdybyś był Skalradem, też traktowałbyś wszystkich innych jak wrogów lub niewolników. Nie ma nikogo innego. I tak być musi, a ty musisz się z tym pogodzić.

– Popatrz na mnie – powiedział Aillas. – Czy uważasz mnie za takiego, który się łatwo poddaje?

– Ty już się poddałeś.

– Teraz jestem uległy, ale tylko po to, bym później mógł przyprowadzić tu armię z Troicinetu i zburzyć zamek Sank, tak by nie pozostał z niego kamień na kamieniu. Wtedy zaczniecie myśleć inaczej.

Tatzel zaśmiała się, pokręciła głową i odeszła w głąb hallu. W na-rzędziowni Aillas spotkał

Yane'a i powiedział do niego:

- Zamek Sank zaczyna być niewygodnym miejscem. Wykastrują mnie, jeżeli czegoś nie wymyślę.
- Alvicyx już zapewne ostrzy nóż.
- W takim razie najwyższy czas, by zniknąć. Yane rozejrzał się przezornie. Byli sami.
- Każdy czas jest dobry, gdyby tylko nie te psy.
  
- Psy można oszukać. Problem w tym, jak pozbyć się Cypriana na wystarczająco długo, żeby mieć czas na dotarcie do rzeki.
- Rzeka nie zmyli psów.
- Jeśli damy radę uciec z zamku, uciekniemy również psom. Yane podrapał się po brodzie.
- Daj mi się nad tym zastanowić.

Podczas kolacji Yane powiedział:

- Znalazłem sposób na wydostanie się z zamku, ale musimy wziąć ze sobą jeszcze jednego człowieka.
- Kogo?
- Na imię mu Cargus. Pracuje w kuchni jako pomocnik kucharza.
- Można mu zaufać?
- Tak samo, jak tobie czy mnie. Co z psami?
- Omówimy to w pół godziny w szopie stolarza.
- Szopa jest pusta w południe. Idzie Cyprian. Nosy w zupę.

Cargus był tylko o cal wyższy od Yane'a, ale tam, gdzie u Yane'a były jedynie ścięgna i kości, u Cargusa znajdowały się nabite mięśnie. Jego gruba szyja osadzona była na masywnych ramionach. Miał krótko przystrzyżone ciemne włosy i małe, czarne, błyszczące oczy pod gęstymi, krzaczastymi brwiami. Na kuchennym podwórku powiedział Ya-ne'owi i Aillasowi:

– Nazbierałem ćwierć miary grzybów znanych jako wilczy jad. Są trujące, ale nie śmiertelnie. Dodam je dziś wieczorem do zupy i garnków z potrawką na wielki stół. Dziś w nocy w zamku Sank będzie słychać tylko bulgotanie kiszek. Uznają, że przyczyną tego wszystkiego było nieświeże mięso.

Yane westchnął.

- Gdybyś mógł również podtruc psy, ucieczka nie byłaby problemem.
- Niezły pomysł, nie mam niestety dostępu do psiarni.

Na kolację Yane i Aillas jedli tylko chleb z kapustą i z zadowoleniem obserwowali, jak Cyprian pochłania drugą miskę zupy.

Rankiem, tak jak przewidział Cargus, cała populacja zamku Sank cierpiała na skurcze żołądka, wszyscy mieli dreszcze, mdłości, gorączkę, halucynacje i dzwonienie w uszach.

Cargus przyszedł do Cypriana, który leżał z głową zwaloną na stole i nie mógł opanować drgawek. Cargus zawołał szorstkim głosem:

- Musisz coś zrobić! Służący nie chcą się ruszyć, a moje kubły przepełnione są odpadkami.
- Sam je sobie wypróżnij – jęknął Cyprian. – Nie jestem teraz w stanie przejmować się takimi głupotami. Spadło na mnie nieszczęście.
- Jestem kucharzem, nie chłopcem służebnym. Hej, wy dwaj! -krzyknął do Yane'a i Aillasa. – Możecie przynajmniej chodzić! Wyrzucicie śmieci z moich kubłów, tylko szybko się z tym uwińcie!
- Nigdy! – krzyknął Yane. – Sam to zrób! Cargus odwrócił się do Cypriana.

– Kubły muszą być oczyszczone. Wydaj odpowiednie rozkazy albo zacznę się tak na ciebie skarżyć, że nawet Imboden poderwie się z nocnika.

Cyprian machnął słabo na Yane'a i Aillasa.

– Idźcie, wy dwaj! Wypróżnijcie kubły temu diabłowi, nawet gdybyście musieli się czołgać.

Aillas, Yane i Cargus wynieśli worki z odpadkami na śmietnisko i wzięli stamtąd tobołki, które uprzednio tam zostawili. Wyruszyli przed siebie, trzymając się pod osłoną drzew i krzewów.

Szli na wschód od zamku i po przejściu pół mili znaleźli się po drugiej stronie wzgórza. Teraz, bez obawy, że zostaną zauważeni, wypuścili się szybkim tempem na południowy wschód, omijając z daleka tartak. Potem biegli aż do utraty tchu, maszerowali, znowu biegli i w przeciągu godziny dotarli do rzeki Malkish.

W tym miejscu woda była płytka i szeroka. W górze strumienia spadała z hukiem stromymi górskimi wąwozami, w dole wpadała pomiędzy szereg wąskich przesmyków, gdzie wielu uciekających Skalingów rozbijało się na skałach, co najczęściej kończyło się ich śmiercią. Aillas, Yane i Cargus bez wahania weszli do rzeki i brnęli na drugą stronę, trzymając pakunki na głowach, ponieważ woda często sięgała im aż do piersi. Gdy zbliżyli się do przeciwległego brzegu, zatrzymali się, by zbadać nabrzeże.

Nie znaleźli nic, co w danej chwili byłoby dla nich korzystne, brodzili więc dalej pod prąd, dopóki nie dotarli do małej, kamienistej plaży. Tutaj zbocze było łagodnie nachylone i zarośnięte trawą. Wyjęli więc z zawiniątek to, co Aillas i Yane przygotowali wcześniej w szopie stolarza. Były to szczudła, obwiązane na końcach kępami trawy.

Nie wychodząc z wody, założyli je, a dopiero potem wyszli na brzeg, starając się nie naruszyć zbyt podłoża. Ruszyli w górę zboczem, a zabezpieczone trawą końcówki szczudeł nie zostawiały ani śladów, ani zapachów, mogących ściągnąć psy gończe.

Szli na szczudłach przez godzinę. Zdjęli je na chwilę dla odpoczynku, wchodząc jednak najpierw do małego strumienia. Potem założyli je raz jeszcze z obawy, że prześladowcy, nie mogąc znaleźć tropu nad rzeką, będą przeszukiwać okolicę, zataczając coraz większe kręgi.

Kolejną godzinę mozolnie dreptali na szczudłach po wznoszącym się coraz wyżej zboczu. W miejscach, gdzie pomiędzy skałami znajdowała się słaba czerwona gleba, rósł rzadki las, składający się głównie z karłowatej sosny. Kraina nie nadawała się pod uprawę. Nieliczni chłopci, którzy zbierali tu kiedyś żywicę, uszli w obawie przed Skalradami. Trójka uciekinierów Wędrowała zatem przez bezludną okolicę, co im zresztą bardzo odpowiadało.

Przy następnym strumieniu zdjęli wreszcie szczudła i usiedli na skałach, by odpocząć. Napili się wody i zjedli zabrane ze sobą chleb z serem. Nasłuchiwali, czy gdzieś w oddali nie usłyszą szczekania psów, ale zdążyli przebyć już tak spory dystans, że nie spodziewali się raczej niczego usłyszeć. Prawdopodobnie nie zauważono jeszcze ich nieobecności. Pogratulowali sobie, mieli, być może, cały dzień przewagi nad pościgiem.

Złożyli szczudła i, nie wychodząc z wody, poszli w górę strumienia. Kierowali się na wschód i niebawem dotarli na wyżynę o dość szczególnym wyglądzie. Pradawne szczyty i turnie ze zwietrzałej czarnej skały wznosiły się tu kiedyś nad zaludnionymi dolinami, które teraz były zupełnie opustoszałe. Szli przez pewien czas starą drogą, która doprowadziła ich w końcu do starożytnego fortu. Parę mil dalej zostawili za sobą ostatnie pozostałości dawnej ludzkiej obecności na tych terenach. Wkroczyli na pagórkowate, wznoszące się coraz wyżej, wrzosowiska. Ciesząc się z wolności i nieba wysoko nad głowami, ruszyli na wschód.

Nie byli jednak sami na wrzosowisku. Ze wzniesienia, pół mili dalej na południe, pod powiewającymi czarnymi flagami zjeżdżał konny oddział skalradzkich żołnierzy. Wkrótce otoczyli

uciekierów.

Dowódca – baron o surowej twarzy, ubrany w czarną zbroję – obdarzył ich zaledwie jednym spojrzeniem, nie odzywając się ani słowem. Przywiązano liny do żelaznych kołnierzy. Trzej Skalingowie zostali poprowadzeni na północ.

Później tego samego dnia oddział napotkał furgon załadowany zapasami żywności. Maszerowało za nim czterdziestu mężczyzn powiązanych ze sobą linami przyczepionymi do żelaznych kołnierzy.

Aillas, Yane i Cargus, chcąc nie chcąc, zostali przyłączeni do tej kolumny i zmuszeni do wędrówki na północ, za furgonem. Doszli tak do królestwa Dahautu i dotarli do Poelitetz, ogromnej twierdzy, strzegącej centralnego masywu Teach tac Teach i górującej nad Równinami Cieni.





W miejscu, gdzie Dahaut stykał się z Północnym Ulflandem, ciągnęło się pasmo Teach tac Teach i osiemdziesięcioletnia skarpa wznosiła się nad Równinami Cieni. Tutaj leżało też Poelitetz, i tutaj rzeka Tamsour, spływając z lodowca na górze Agon, wycięła przesmyk w skale, umożliwiając stosunkowo łatwy dostęp z Dahautu na wrzosowiska Północnego Ulflandu. Poelitetz był warowną twierdzą od tak dawna, od jak dawna ludzie prowadzili wojny na wyspach Elder. Ten, kto posiadał Poelitetz, stanowił o wojnie i pokoju w Dalekim Dahaucie. Skalradzi, zawładnąwszy Poelitetzem, rozpoczęli na szeroka skalę prace, mające na celu zabezpieczenie fortecy zarówno od zachodu, jak i od wschodu, tak by stała się warownią nie do zdobycia. Zamknęli przesmyk kamiennymi murami, grubymi na trzydzieści stóp, pozostawiając korytarz szeroki na dwanaście i wysoki na dziesięć stóp. Dodatkowe zabezpieczenie stanowiły trzy żelazne bramy, jedna za drugą. Forteca i skalne zbocze góry tworzyły jednolitą płaszczyznę dla patrzących od strony Równin Cieni.

Chcąc mieć lepsze rozpoznanie i kontrolę nad Równinami Cieni, Ska zaczęli drążyć tunel, który sięgać miał spod skarpy, aż do odległego o ćwierć mili wzgórza zarośniętego niskim dębowym zagajnikiem. Całe przedsięwzięcie zostało zaprojektowane i wykonywane było w największej tajemnicy. Wiedziało o nim tylko paru wysokich rangą skalradzkich oficerów oraz Ci którzy tunel kopali, czyli tzw. krnąbrni Skalingowie szóstej kategorii.

Po przyjeździe do Poelitetz Aillas, Yane i Cargus zostali poddani pobieżnemu przesłuchaniu. Potem, zamiast okaleczenia w ramach kary, której się spodziewali, zabrano ich do specjalnych baraków, gdzie trzymano czterdziestu Skalingów – brygadę, pracującą przy budowie tunelu. Pracowali po dziesięć i pół godziny, z trzema półgodzinnymi przerwami na odpoczynek. Nie pozwalano im na kontakt z mieszkańcami z Poelitetz, a baraków strzegł elitarny pluton skalradzkich żołnierzy. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że stanowili brygadę śmierci. Wiadomo było, że po skończeniu pracy przy tunelu, mieli zostać zabici.

Z widmem śmierci wiszącym nad nimi, żaden ze Skalingów nie wysiłał się przy pracy, stwarzając tym sytuację, którą Skalradom łatwiej było zaakceptować niż zmienić. Tak długo, jak widoczny był jakiś postęp, nie narzucali robotnikom tempa. Schemat był codziennie taki sam. Każdy Skaling miał swoje przydzielone zadanie. Tunel ciągnął się piętnaście stóp pod ziemią i biegł przez łupkowe i sprasowane skały osadowe. Czterech mężczyzn kruszyło je kilofami i czekanami. Trzech innych zgarniało urobek do koszy, które ładowano na wózki i wytaczano do wylotu tunelu. Następnie wózki wtaczano na specjalne platformy i przy pomocy masywnego żurawia wciągano do góry, wysypywano ich zawartość do wozu i spuszczano ponownie na dół. Kołowrót obracany przez woły napędzał miechy, które poprzez skórzany rękaw wdmuchiwały powietrze aż do końca tunelu. W miarę jak podziemny korytarz robił się coraz dłuższy, ustawiano drewniane oszalowanie, tak że jego góra i boki umocnione zostały wysmołowanymi cedrowymi deskami. Co dwa lub trzy dni skalradzcy inżynierowie przedłużali dwie liny, za pomocą których wyznaczyli kierunek tunelu i poziomą\* korygowali odchylenia w górę lub w dół.

\* Poziomice miały różne formy. Skalradzi używali drewnianych rynien, długich na dwadzieścia stóp i szerokich na cztery cale. Woda w rynnach idealnie wyznaczała kierunek poziomy; pływaki na każdym końcu umożliwiały dopasowanie rynny do poziomu. Przesuwając na zmianę rynny można było utrzymywać kierunek poziomy na nieskończenie dług odcinku, z dokładnością, która zależała jedynie od cierpliwości inżyniera

Skalingami kierował skalradzki nadzorca razem z dwoma żołnierzami, którzy mieli wzmocnić

dyscyplinę, gdyby okazało się to potrzebne. Nadzorca i wartownicy pozostawali u wylotu tunelu, gdzie powietrze było świeże i chłodne. Sprawdzając częstotliwość, z jaką wozy wypełniały się skalnym urobkiem, nadzorca mógł ocenić, czy Skalingowie wystarczająco sprawnie wywiązywali się z obowiązków. Jeśli praca szła dobrze, Skalingowie jedli dobrze i dostawali wino do posiłków. Jeśli się ociągali, zmniejszano im racje. Tunel drążono na dwie zmiany: od południa do północy i od północy do południa. Żadna z nich nie zdawała się być lepsza, skoro Skalingowie i tak nie widywali słońca i nie mieli go ujrzeć nigdy więcej.

Aillas, Yane i Cargus zostali wyznaczeni na południowo-północną zmianę. Od razu też zaczęli obmyślać plan ucieczki. Okoliczności tutaj były jeszcze bardziej zniechęcające niż na zamku Sank. Krata na drzwiach i podejrzliwi wartownicy uniemożliwiały ucieczkę z baraku. Podczas pracy wydostanie się z tunelu było równie nieprawdopodobne.

Jednak po zaledwie dwóch dniach Aillas oświadczył Yane'owi i Cargusowi:

– Stąd da się uciec i możemy to zrobić.

– Jesteś bardziej spostrzegawczy niż ja – powiedział Yane.

– Lub ja – dodał Cargus.

– Jest jednak jeden mały problem. Potrzebna będzie współpraca wszystkich z naszej zmiany.

Powstaje pytanie: czy któryś z nich jest tak zniewolony i podły, że mógłby nas wydać?

– Nie mieliby motywu. Każdego prześladowuje jego własne widmo śmierci, snujące się za nim.

– Niektórzy ludzie są z natury zdrajcami, donosicielstwo sprawia im przyjemność.

Siedzieli po turecku pod ścianą w pomieszczeniu, w którym spędzali godziny wolne od pracy, i po kolei zastanawiali się nad każdym mężczyzną z ich zmiany. W końcu Cargus powiedział:

– Jeżeli wszyscy razem będziemy przygotowywać ucieczkę, to nikt nas nie zdradzi.

– Musimy przyjąć takie założenie – dodał Yane. – Nie mamy innego wyboru.

Brygada z ich zmiany liczyła czternastu ludzi plus sześciu, którzy pracowali tylko na powierzchni. Desperackie pragnienie wolności połączyło zatem czternastu mężczyzn i operacja się zaczęła.

Tunel pod równiną sięgał teraz około dwustu jardów we wschodnim kierunku. Pozostawało do wydrążenia drugie dwieście przez miękkie łupki – a czasami trafiali na grudy twardego jak żelazo błękitnego piaskowca – które miały nawet do trzech stóp średnicy. Poza tym jednak ściana tunelu łatwo ustępowała pod kilofami i przesuwali się szybko naprzód, jakieś dziesięć do piętnastu stóp dziennie. W miarę jak tunel się wydłużał, dwóch stolarzy montowało drewniane oszalowanie. Zostawili w nim kilka luźnych belek, tak że można je było odstawić na bok. W tym miejscu paru członków brygady kopało boczny tunel, odchylający się ku powierzchni. Ziemię zgarniano do koszy, ładowano na wózki i transportowano do wylotu dokładnie tak samo, jak urobek z głównego tunelu. Na zmianę po dwóch kopało boczny korytarz, a reszta pracowała trochę szybciej i za nich nadrabiała, tak żeby nie dało się zauważyć opóźnień. Zawsze któryś czatował z załadowanym wózkiem trzydzieści jardów od wylotu tunelu i ostrzegał innych, skacząc po tubie wentylacyjnej, gdyby przypadkiem nadzorca chciał przeprowadzić inspekcję. W razie konieczności miał przewrócić wózek, pozorując wypadek i zatrzymać go jak najdłużej. Jeśli ten docierał jednak do końca tunelu, tuba wentylacyjna przygniatała była wózkiem. Powietrze na drugim końcu robiło się tak duszne, że nadzorca przebywał w wykopie najkrócej, jak tylko mógł.

Kopanie bocznego korytarza szło sprawnie, był szeroki na trzy stopy i odchyłał się ostro ku górze. Gdy miał już pięć stop grubości, zaczęli pracować z większą ostrożnością, nie chcąc w zapale zbyt gwałtownie przebić się na powierzchnię i nie zrobić zbyt wielkiej dziury, którą można by

zauważyć z forticy. W końcu natknęli się na korzenie traw i krzaków, potem na ciemną powierzchnię glebę i wiedzieli, że są już bardzo blisko.

O zachodzie słońca Skalingowie pracujący w tunelu dostali kolację u jego wylotu i wrócili do pracy.

Dziesięć minut później Aillas poszedł zawołać nadzorcę Kildreda, wysokiego mężczyznę w średnim wieku, o twarzy pokrytej bliznami i łysej głowie, i nawet jak na Skalrada o wyjątkowo nieprzystępnym usposobieniu. Kildred jak zwykle grał z wartownikami w kości. Spojrzał ponad ramieniem na zbliżającego się Aillasa i zapytał:

– Co znowu?

– Kopacze trafili na twardą, błękitną skałę. Chcą rozkruszaczy i wiertel.

– Rozkruszaczy? A cóż to za narzędzia?

– Nie wiem. Ja tylko przekazuję wiadomość. Kildred rzucił pod nosem przekleństwo i podniósł się.

– Chodź, obejrzymy sobie tę błękitną skałę.

Ruszył majestatycznym krokiem, za nim Aillas, poprzez migotliwe pomarańczowe światło oliwnych lamp, na sam koniec tunelu. Kiedy się schylił, chcąc zobaczyć błękitną skałę, Cargus uderzył go żelazną sztabą, zabijając go na miejscu.

Nadchodził brzask. Brygada zebrała się przy bocznym tunelu, gdzie kopiący u góry dotarli do miękkiej powierzchniowej gleby.

Aillas zataszczył wózek z ziemią do wylotu tunelu.

– Nie będzie nic więcej przez pewien czas – powiedział do robotnika przy kołowrocie, ale na tyle głośno, by usłyszeli go wartownicy. -Uderzyliśmy w skalny pokład.

Wartownicy unieśli głowy i zaraz wrócili do kości. Mężczyzna pracujący przy kołowrocie poszedł za Aillasem do tunelu.

Boczny korytarz był już otwarty. Gdy Skalingowie wydostali się na otwartą przestrzeń, szary zmierzch przechodził powoli w ciemną noc. Robotnik, który przyszedł z Aillasem, nie wiedział nic o spisku, ale był szczęśliwy, że może z nimi uciec. Wszyscy położyli się płasko na trawie. Aillas i Yane, jako ostatni opuszczający tunel, zaciągnęli belki od szalunku na swoje miejsce, tak by nie można się było domyślić, jakiemu celowi służyły. Dziurę, przez którą się wydostali, zapchali gęsto paprociami, zasypali ziemią i zakryli kępami trawy.

– Niech myślą, że to czary – powiedział Aillas. – Nawet lepiej dla nas.

Niedawni Skalingowie biegli schyleni przez Równiny Cieni, wśród gęstniejących ciemności, na wschód, coraz dalej na terytorium królestwa Dahautu. Za nimi rysowała się czarno na tle nieba potężna skalradzka forteca – Poelitetz. Grupa przystanąła, żeby popatrzeć.

– Ska! – zawołał Aillas. – Ty dziwny ludu, żyjący przeszłością, ludu o mrocznych duszach! Następnym razem, kiedy się spotkamy, będę miał w ręce miecz. Zapłacicie mi drogo za cierpienie, którego mi przysporzyliście, i pracę, do której mnie zmuszaliście.

Po godzinie biegu, truchtu i marszu dotarli do Złotej Rzeki, do której wpływała Tamsour. Była prawie pełnia i blask wschodzącego księżyca odbijał się w rzece świetlistą smugą, wysrebrzając zwieszające się nad wodą gałęzie olbrzymiej wierzby płaczącej. Uciekinierzy zatrzymali się pod drzewem, aby odpocząć i zastanowić się nad sytuacją. Aillas odezwał się do nich w te słowa:

– Jest nas piętnastu, to silna grupa. Niektórzy z was chcą wrócić do domu; inni może nie mają domów, do których mogliby wrócić. Mam dla was propozycję, jeśli zechcecie mi towarzyszyć. Prowadzę poszukiwanie. Zawiedzie mnie ono najpierw na południe do Tac Tor, a gdzie dalej, sam nie wiem – może do Dahautu, tam gdzie znajdę mego syna. Potem pojedziemy do Troicinetu, gdzie

opływam w honory i bogactwa. Ci, którzy będą mi towarzyszyć w poszukiwaniach i, taką mam nadzieję, wróca z mną do Troicinetu, zostaną hojnie nagrodzeni. Przysięgam, że tak się stanie. Otrzymają ziemię i tytuł rycerski. Ale ostrzegam! Przed nami niebezpieczna droga. Najpierw do Tac Tor w pobliżu

Tintzin Fyral, a dalej – kto wie? Wybierajcie więc. Idźcie swą własną drogą lub chodźcie ze mną, tutaj bowiem nasze drogi się rozchodzą. Ja z moimi kompanami przekroczę rzekę i wyruszę na południe. Reszta powędruje na wschód przez równiny, do zamieszkałych rejonów Dahautu. Kto pójdzie ze mną?

– Zostaję z tobą – powiedział Cargus. – I tak nie mam dokąd pójść.

– Ja również – zgłosił się Yane.

– Razem dokonaliśmy tego niebezpiecznego wyczynu – odezwał się mężczyzna zwany Qualls. – Dlaczego miałbym was teraz zostawić? Szczególnie, iż zależy mi bardzo na majątku i honorach rycerskich.

Ostatecznie jeszcze pięciu innych poszło z Aillasem. Przeszli przez most na Złotej Rzece i podążyli szlakiem kierującym się na południe. Pozostali, w większości Dautowie, postanowili iść swą własną drogą, na wschód, traktem wzdłuż rzeki.

Siódemka, która przyłączyła się do Aillasa, to: Yane i Cargus, Gar-stang, Qualls, Bode, Scharis i Faurfisk – każdy z nich inny. Yane i Cargus byli niscy, Qualls i Bode byli wysocy. Garstang, który niewiele mówił osobie, zachowywał się jak prawdziwy szlachcic, natomiast Faurfisk, masywnie zbudowany blondyn o niebieskich oczach, twierdził, że jest bękartem zrodzonym z celtyckiej rybaczkii i gockiego pirata. Scharis, będący mniej więcej w wieku Aillasa, wyróżniał się spośród nich piękną twarzą i łagodnym usposobieniem. Faurfisk z kolei był tak brzydki, że gorzej ślady po ospie, oparzeniu i blizny nie mogły go oszpecić. Był torturowany przez jakiegoś pomniejszego ulflandzkiego barona, na skutek czego osiwiiał, a gniew odtąd we opuszczał jego oblicza. Qualls, irlandzki zakonnik zbiegły z klasztoru, był lekkomyślny i rubaszny i uważał się za kobieciarza nie gorszego od pysznego biskupa Irlandii.

Pomimo że znajdowali się już głęboko na terytorium Danautu, czuli niepokój w nocnym powietrzu, powodowany bliskością Poelitetz, nie zatrzymywali się więc, tylko wędrowali dalej.

Gdy szli, Garstang odezwał się do Aillasa:

– Konieczne jest, byśmy się rozumieli. Jestem lyonesskim rycerzem, z Twanbow Hall w hrabstwie Ellesmere. Jako że ty jesteś Troici-netczykiem, jesteśmy więc faktycznie wrogami w prowadzonej obecnie wojnie. Ale to oczywiście nonsens i chętnie łączę mój los z twoim. Kiedy jednak wkroczymy do Lyonesse, będę musiał cię opuścić.

– Niech i tak będzie. Popatrz jednak tylko na nas: w niewolniczych łańcach i żelaznych obręczach na szyjach, skradamy się przez noc jak dzikie, węszące za padliną psy. Ładni z nas szlachcice! Bez pieniędzy; musimy kraść, by coś zjeść, jak zwykła banda włóczęgów.

– Wielu innych szlachetnych ludzi godziło się na podobny kompromis. Będziemy kraść ramię w ramię, żeby żaden z nas nie mógł mieć w pogardzie pozostałych. Sugeruję też, byśmy grabili bogatych, chociaż biedni stanowią znacznie łatwiejszą zdobycz.

– Zdamy się na okoliczności... Psy szczekają. Przed nami znajduje się wioska, a w niej zapewne jest kuźnia.

– O tej godzinie w nocy kowal będzie na pewno głęboko spać.

– Kowal o dobrym sercu wstanie z łóżka, by pomóc takim desperatom jak my.

– Lub sami go z tego łóżka wyciągniemy.

Przed nimi domy w wiosce rysowały się szarą plamą w księżycowym świetle. Ulice były puste.

Nie było widać żadnych świateł, jedynie w oknach gospody, skąd też dochodziły odgłosy hałaśliwej biesiady.

– Jutro musi być jakieś święto – powiedział Garstang. – Zobaczcie, tam stoi kocioł przygotowany do ugotowania w nim wołu.

– Rzeczywiście, ogromny ten kocioł, ale gdzie może być kuźnia?

– Jeśli w ogóle tu jest, to zapewne w dole tej ulicy.

Przeszli przez wioskę i na samym jej krańcu odnaleźli kuźnię, w której świeciło się światło.

Aillas podszedł do drzwi i grzecznie zastukał. Po długiej chwili młodzieniec siedemnasto, a może osiemnastoletni otworzył powoli drzwi. Popatrzał na nich przygnębionym, wręcz nieprzytomnym wzrokiem, a kiedy się odezwał, w jego głosie dało się wyczuć napięcie.

– Sir, kim jesteście? I czego tu chcecie?

– Przyjacielu, potrzebna nam pomoc kowala. Dzisiaj właśnie uciekliśmy ze skalradzkiej niewoli i nie zniesiemy tych paskudnych żelaznych kołnierzy ani chwili dłużej.

Młody mężczyzna stał niezdecydowany.

– Mój ojciec jest kowalem w tej wiosce, która zwie się Vervold. Ja jestem Elric, jego syn. Ponieważ ojciec jednak już nigdy nie będzie pracował w swoim fachu, ja teraz jestem kowalem. Chodźcie ze mną do warsztatu.

– Obawiam się, że praca ta będzie musiała być aktem bezinteresownym – powiedział Aillas. – Możemy zapłacić ci jedynie tymi obręczami, jako że nie mamy nic innego.

– Nic nie szkodzi – głos młodego kowala brzmiał obojętnie. Ośmiu uciekinierów, jeden po drugim, klękało przy kowadle. Kowal rozcinał nity za pomocą młota i dłuta. Jeden po drugim powstawali, uwolnieni od obręczy.

Aillas spytał:

– Co się stało z twoim ojcem? Czy zmarł?

– Jeszcze nie. Jego czas nadejdzie jutro rano. Zostanie ugotowany w kotle i rzucony psom na pożarcie.

– A to zła nowina. Cóż za zbrodnię popełnił?

– Dopuścił się zniewagi. – Głos Elrica brzmiał ponuro. – Kiedy lord Halies wysiadł z powozu, mój ojciec uderzył go w twarz i kopnął go boleśnie.

– To co najmniej zuchwałość. Co go do tego sprowokowało?

– Taka była kolej rzeczy. Moja siostra ma piętnaście lat. Jest bardzo piękna. Było zrozumiałe, że lord Halies chciał zabrać ją do Fair Aprillion, by grzała jego łożo, i któż odmówiłby mu gdyby ona przystała na jego propozycję. Wolą jednak nie iść i lord Halies przysłał służących, aby ją zabrali. Ojciec, chociaż jest kowalem, nie myśli praktycznie i postanowił wyjaśnić sprawę, kopiąc i bijąc lorda Haliesa. Teraz za swą pomyłkę będzie gotować się w kotle.

– Lord Halies? Czy jest bogaty?

– Mieszka w Fair Aprillion, rezydencji o sześćdziesięciu pokojach. W stajni trzyma piękne konie. Jada przepiórki, ostrygi i mięsa pieczone z szafranem i goździkami, biały chleb i miód. Pija białe i czerwone wina. Podłogi wyłożone są dywanami, sam ubiera się w jedwabie. Utrzymuje dwudziestu rzezimieszków w barwnych mundurach i zwie ich paladynami. Wymuszają oni na nas wykonanie wszystkich jego edyktów i wielu własnych.

– Pozwala nam to doprawdy wierzyć, że lord Halies jest bogaty – powiedział Aillas.

– Czuję odrazę do lorda Haliesa – stwierdził sir Garstang. – Bogactwo i szlachetne urodzenie są wspaniałymi rzeczami i wszyscy ich pragną. Jednak, bogaty arystokrata powinien korzystać z tego wyróżnienia z przyzwoitością i nigdy nie przynieść wstydu swemu stanowi, jak to zrobił lord Halies.

Moim zdaniem powinien on zostać wychłostany, ukarany, upokorzony i pozbawiony ośmiu lub dziesięciu świętych koni.

– Myślę dokładnie tak samo – powiedział Aillas i zwrócił się ponownie do Elrica:

– Czy lord Halies ma pod swymi rozkazami tylko dwudziestu żołnierzy?

– Tak. Rozkazuje również arcyłucznikowi Hunoltowi, który jest jednocześnie katem.

– I jutro rano wszyscy oni przybędą do Vervold, by przyglądać się egzekucji, a Fair Aprillion będzie zupełnie opustoszałe.

Elric zaśmiał się urywanym, histerycznym śmiechem.

– Więc, kiedy mój ojciec będzie się gotował, wy obrabujecie dwór?

– Jakim sposobem będzie mógł się ugotować, skoro dziurawy kocioł przepuszcza wodę?

– Kocioł jest szczelny, mój ojciec sam go naprawiał.

– Naprawione rzeczy można popsuć na nowo. Weź młot i dłuto, a zrobimy w nim parę dziur.

Elric wolno zebrał narzędzia.

– To jedynie opóźni sprawę, a co potem?

– W najgorszym razie twój ojciec nie ugotuje się tak szybko. Opuścili kuźnię i wrócili na plac.

Tak jak przedtem, we wszystkich

domach światła były pogaszone, migotały jedynie świece w oknach gospody, skąd dobiegał donośny głos, śpiewający piosenkę.

W blasku księżyca zbliżali się do kotła. Aillas skinął na Elrica i dał mu znak: „Uderz!”

Elric przystawił dłuto do kotła i uderzył z całej siły młotem. Rozległ się głuchy, dźwięczący odgłos, jak zduszone bicie dzwonu.

„Jeszcze raz!”

Elric uderzył ponownie. Dłuto przecięło żelazo i kocioł nie był już szczelny. Chłopak wyciął trzy kolejne dziury, potem cofnął się i przyglądał się swemu dziełu z ponurą satysfakcją.

– Gdyby nawet mieli mnie również ugotować, nigdy nie będę żałować tego, co zrobiłem tej nocy.

– Nie ugotują ani ciebie, ani twojego ojca. Gdzie jest Fair Aprillion?

– Ta aleja pomiędzy drzewami tam prowadzi.

Otworzyły się drzwi do gospody. W smudze żółtego światła świec zarysowały się sylwetki czterech mężczyzn, którzy, zataczając się, wyszli na plac i zaczęli tam dyskutować ochryplymi głosami.

– Czy to są żołnierze Haliesa? – spytał Aillas.

– Tak, a każdy z nich jest niezłym brutalem.

– Szybko więc, tam za drzewa! Wymierzmy sprawiedliwość w trybie doraźnym, a przy okazji zmniejszymy liczbę dwudziestu do szesnastu.

Elric, którego nagle naszły wątpliwości, próbował protestować:

– Nie mamy żadnej broni.

– Co? Czyżbyście wszyscy tu w Vervold byli tchórzami? Mamy przewagę liczebną – nas jest dziewięciu, a ich czterech.

Elric nie miał już nic do powiedzenia.

– Chodźcie, szybko! Skoro staliśmy się złodziejami i zabójcami, odegrajmy dobrze swoją rolę.

Przebiegli przez plac i ukryli się w zaroślach rosnących wzdłuż alei. Potężne wiązy po obu stronach drogi filtrowały księżycową poświatę, rzucając na ziemię filigranowy srebrzysty wzór.

Dziewięciu mężczyzn uzbroiło się w kamienie i kije i czekało. Odległe głosy z placu jedynie potęgowały nocną ciszę.

Mijały minuty i rozmowa stawała się coraz głośniejsza. Paladyni wyłonili się z ciemności, słaniając się na nogach, wymachując rękoma, narzekając i rzucając przekleństwami. Jeden z nich krzyczał do bogini nocy, Zinctra Lelei, żeby nie kołysała tak gwiazdami. Inny wyzywał kompana za chwiejne nogi i kazał mu się czołgać. Trzeci nie mógł opanować idiotycznego rechotu, rozśmieszony jakimś sobie tylko znanym zabawnym wydarzeniem albo po prostu zupełnie bez powodu. Czwarty próbował czkać w rytm swoich kroków. Byli już bardzo blisko. Rozległo się nagłe dudnienie szybkich kroków, odgłos młota miażdżącego kości, przerażone westchnienia. W przeciągu sekund czwórka paladynów przemieniła się w cztery martwe ciała.

– Weźcie ich broń – rozkazał Aillas. – I zaciągnijcie ich za krzaki. Potem, wrócili do kuźni i ułożyli się do snu, najwygodniej jak to było możliwe.

Rankiem wstali wcześniej, zjedli owsiankę z boczkiem i uzbroili się w to, co Elric był w stanie im udostępnić: stary miecz, dwa sztylety, żelazne sztaby oraz łuk z kilkunastoma strzałami, który został od razu zarekwirowany przez Yane'a. Ukryli swoje niewolnicze koszule pod starymi i zniszczonymi ubraniami, jakie były dostępne w chacie kowala, i tak przebrani poszli na plac. Stało tam już dookoła kilkudziesięciu ludzi, spoglądających spode łba w stronę kotła i szemrzących gniewnymi głosami.

Elric spotkał dwóch kuzynów i wuja. Poszli z nim do domu, uzbroili się w łuki i przyłączyli się do grupy.

Arcyłucznik Hunolt nadjechał pierwszy aleją od strony Fair April-lion, za nim podążało czterech ludzi ze straży i wóz z klatką w kształcie ula, w której siedział skazany mężczyzna. Trzymał wzrok wbity w podłogę klatki i uniósł go tylko raz, spoglądając w kierunku kotła. Za wozem maszerowało dwóch żołnierzy uzbrojonych w miecze i łuki.

Hunolt, zatrzymując konia, zauważył, że kocioł jest dziurawy.

– Zdrada! – wrzasnął. – Zniszczono własność jego lordowskiej mości! Kto dopuścił się tego występku? – Jego głos niósł się ponad placem. Poodwracały się głowy, ale nikt się nie odezwał.

Zwrócił się do jednego z żołnierzy:

– Ty, idź i przyprowadź kowala!

– Kowal siedzi w klatce, sir.

– Przyprowadź więc nowego kowala! Wszystko jedno.

– On tam stoi, sir.

– Kowalu! Podejdź tu natychmiast! Trzeba naprawić kocioł.

– Nie da się ukryć.

– Zreperuj go szybko, tak byśmy mogli zrobić to, co musi być zrobione.

Elric odparł zgryźliwie:

– Jestem kowalem. To jest robota dla druciarza garnków.

– Kowal czy też druciarz, nazywaj się jak chcesz, tylko napraw ten kocioł dobrym żelazem i to szybko.

– Chcesz, bym naprawiał kocioł, w którym ma zostać ugotowany mój ojciec?

Hunolt zachichotał.

– Jest w tym jakaś ironia, zgadzam się, ale to jedynie dowodzi, jak bezstronna jest jego lordowska mość w swoich sądach. Skoro więc nie chcesz przyłączyć się do swego ojca w kotle, by posiedzieć sobie z nim we wrzątku twarzą w twarz jak sam widzisz, jest w nim wystarczająco dużo miejsca to napraw kocioł!

– Muszę pójść po nity i narzędzia.

– Pospiesz się!



Elric poszedł do kuźni po narzędzia. Aillas i jego ludzie już wcześniej zdążyli prześlizgnąć się aleją w stronę Fair Aprillion, gdzie zamierzali przygotować zasadzkę.

Minęło pół godziny. Utworzyła się brama i w powozie wyjechał lord Halies z ośmioma żołnierzami.

Yane i wuj Elrica wyszli na drogę tuż za kawalkadą. Napięli łuki, wypuścili strzały, raz, potem drugi. Pozostali, którzy dotychczas siedzieli w ukryciu, wypadli na drogę i w przeciągu piętnastu sekund mord został dokonany. Lord Halies z twarzą popielatą ze strachu został rozbrojony i wyciągnięty z powozu.

Dobrze teraz uzbrojony oddział powrócił na plac. Hunolt stał nad Elricem, sprawdzając, czy szybko i porządnie naprawia kocioł. Bode, Qualls i Yane podeszli bardzo blisko, wypuścili strzały i sześciu kolejnych paladynów legło martwych.

Elric uderzył młotem Hunolta w stopę. Hunolt zawył i schylił się, by złapać za złamaną nogę. Elric przyłożył mu w drugą stopę z jeszcze większą siłą, tak że zmiażdżył ją zupełnie, a Hunolt upadł, wijąc się z bólu.

Elric uwolnił teraz ojca z klatki.

– Napełnijcie kocioł! – zawołał. – Przynieście chrustu! – Zataszczył Haliesa w stronę kotła. – Zarządziłeś gotowanie, będziesz je miał! -Halies zachwiał się i gapił się przerażony na kocioł. Najpierw mamrotał błagania, potem rzucał groźbami, ale bez skutku. Został związany, z kolanami wysoko podciągniętymi w górę, i usadzony w kotle, a Hunol-ta umieszczono obok niego. Napełniono kocioł wodą, tak że zakrywała ich po piersi, i podpalono palenisko. Dookoła mieszkańcy Vervold klaskali i podskakiwali w szale podniecenia. Złapali się za ręce i zaczęli tańczyć dookoła kotła, tworząc trzy wielkie koła.

Dwa dni później Aillas i jego towarzysze opuścili Vervold. Mieli na sobie porządne ubrania, buty z miękkiej skóry i kolczugi z doskonałej stali. Ze stajni w Fair Aprillion zabrali najlepsze konie, a torby przy siodłach załadowali złotem i srebrem.

Było ich teraz siedmiu. W czasie uczty Aillas doradził mieszkańcom wioski, aby wybrali kogoś ze starszyny, kto mógłby im służyć jako ich nowy lord.

– W przeciwnym wypadku jakiś inny lord z sąsiedztwa przybędzie ze swoimi oddziałami i uczyni się właścicielem tego majątku.

– Martwi nas to – powiedział kowal. – Jednak tu w wiosce jesteśmy wszyscy ze sobą tak blisko, że znamy wzajemnie swoje tajemnice i nikt z nas nie miałby ani odpowiedniego posłuchu, ani szacunku. Wolimy, aby godność tę objął jakiś silny i uczciwy nieznanomy, który miałby dobre serce i byłby wspaniałomyślny, który byłby uczciwy w wymierzaniu sprawiedliwości, nakładałby niskie podatki i nie nadużywał swoich przywilejów bardziej niż to absolutnie konieczne. Krótko mówiąc, prosimy ciebie, sir Aillasie, byś został nowym lordem Fair April-lionu i całej posiadłości.

– Ja nie – odparł Aillas. – Mam nagłą sprawę do załatwienia, a już jestem spóźniony. Wybierzcie kogo innego, aby wam służył.

– Nasz wybór skłania się więc ku sir Garstangowi.

– Trafny to wybór – powiedział Aillas. – Płynie w nim szlachetna krew, jest odważny i wielkoduszny.

– Ja nie – powiedział Garstang. – Mam gdzie indziej swoją własną posiadłość, którą bardzo pragnę jeszcze kiedyś zobaczyć.

– W takim razie który z pozostałych?

– Nie ja – odezwał się Bode. – Mam niespokojną duszę, a to, czego szukam, można znaleźć

jedynie daleko stąd.

– Nie ja – powiedział Yane. – Pasuję bardziej do tawerny niż do pałacu. Zawstydziłbym was kobieciarstwem i hulankami.

– Nie ja – powiedział Cargus. – Nie chcielibyście mieć filozofa za lorda.

– Nie może nim również być gocki bękart – powiedział Faurfisk. Qualls przemówił zamyślonym głosem:

– Wygląda na to, że jestem jedynym odpowiednim kandydatem. Jak wszyscy Irlandczycy jestem szlachetnej krwi. Jestem sprawiedliwy, wyrozumiały i cenię swój honor. Gram również na lutni i śpiewam, mógłbym więc ożywić miejscowe festyny figlami i zabawami. Podczas ślubów lub gdy kogoś wieszają, jestem poważny i stateczny, choć zazwyczaj jestem wesoły, łagodnego usposobienia i miły w obyciu. Co więcej...

– Dosyć, dosyć! – zawołał Aillas. – Bez wątpienia to ty jesteś człowiekiem na to stanowisko. Lordzie Qualls, pozwól, byśmy opuścili twoją posiadłość!

– Panowie, macie moje przyzwolenie i najlepsze życzenia. Będę często myślał o tym, jak też przebiega wasza podróż, i nieraz zapewne zakłuje mnie w mojej irlandzkiej duszy na wspomnienie o was, ale w zimowe wieczory, kiedy deszcz zacina w okna, będę grzać stopy przy kominku, pić czerwone wino i cieszyć się, że jestem lordem Quallsem z Fair Aprillion.

Siedmiu jeźdźców pojechało na południe starą drogą, która, jak utrzymywali mieszkańcy Vervold, skręcała początkowo trochę ku wschodowi, by ominąć Puszcę Tantrevalles, potem zaś kierowała się na południe, przechodząc już faktycznie od tego momentu w Trompa-dę. Nikt z Vervold nie podróżował tak daleko w tym kierunku, w zasadzie w żadnym kierunku, tak że nikt nie mógł im służyć wiarygodną informacją o tym, czego powinni oczekiwać po drodze.

Przez pewien czas trakt biegł przypadkowymi zakolami, w lewo, w prawo, nieoczekiwanymi skokami w górę i w dół, brzegiem spokojnej rzeki i wreszcie odbił w ciemny las. Chłopi uprawiali pola i wypasali bydło. Dziesięć mil za Vervold byli to już nieco inni ludzie. Mieli czarne włosy i ciemne oczy, byli drobnej budowy i przyjmowali jeźdźców z ostrożnością, której niewiele brakowało do wrogości.

W miarę upływu dnia okolica zrobiła się bardziej surowa, wzgórze bardziej strome, pola kamieniste i coraz rzadziej widać było uprawy. Późnym popołudniem przybyli do małej osady, którą tworzyło zaledwie parę gospodarstw wybudowanych blisko siebie dla wzajemnej ochrony i sąsiedztwa. Aillas zapłacił patriarsze jednego z domostw złotą monetą, w zamian za co ugoszczono ich wspaniałą kolacją złożoną z wieprzowiny podsmażanej na pędach winorośli, z fasoli i cebuli oraz żytniego chleba i wina. Konie zostały zaprowadzone do stodoły i dostały siano. Patriarcha siedział z nimi przez chwilę, chcąc się upewnić, że wszyscy najedli się do syta i uspokojony przemógł swą mało-mówność na tyle, że odezwał się do Aillasa:

– Czy mogę zapytać, cóż wy za jedni?

Aillas wskazał kolejno na każdego z towarzyszy.

– Got. Celt. Tam Ulflandczyk. Tam Galijczyk – i wskazał na Cargu-sa – i rycerz z Lyonesse. Ja pochodzę z Troicinetu. Nasze losy zostały połączone, co tu ukrywać, wbrew naszej woli przez Skalradów.

– Słyszałem opowieści o Ska – powiedział stary człowiek. – Oni nigdy nie ośmielą się postawić nogi w tych rejonach. Nie ma nas wielu, ale jesteśmy zawzięci, gdy się nas sprowokuje.

– Życzymy wam długich lat życia i wielu takich uczt jak ta, którą nam tu dziś wieczorem zgotowaliście.

– Ba! Była to zaledwie przygotowywana w pośpiechu kolacja dla nieoczekiwanych gości. Następnym razem uprzedźcie nas wcześniej.

– Zapewne nie omieszkamy – odparł Aillas. – Przed nami jednak długa i ciężka droga, nie jesteśmy jeszcze w domu. Czego możemy oczekiwać, jadąc dalej tym traktem ku południu?

– Każdy twierdzi co innego. Niektórzy mówią o ograch, inni o duchach. Niektórzy byli napastowani przez bandytów, inni opowiadają o skrzatach jeżdżących jak rycerze na odzianych w zbroje czaplach. Trudno oddzielić prawdę od hysterii, mogę wam jedynie doradzać ostrożność.

Droga przeszła w zaledwie szeroką ścieżkę i ciągle trzymała się południowego kierunku. Z lewej strony widać było Puszcę Tantrevalles, a na prawo stromo wznosiły się kamieniste zbocza Teach tac Teach. Znikły ostatnie gospodarstwa, choć pojedyncze chatki i ruiny zamku, służące obecnie jako zagroda „ła owiec, świadczyły o nielicznej populacji. Siedmiu wędrowców zatrzymało się przy jednej ze starych chat, chcąc schronić się w niej na noc.

Wielki las majaczył blisko, w zasięgu ręki. Chwilami Aillas słyszał dziwne dźwięki, dochodzące spośród drzew, od których ciarki przechodziły mu po skórze. Scharis słuchał zafascynowany, więc Aillas zapytał go, co słyszy.

– Nie słyszysz tego? – spytał Scharis z błyszczącymi oczyma. – To muzyka. Nigdy przedtem takiej nie słyszałem.

Aillas wsłuchiwał się przez chwilę.

– Nic nie słyszę.

– To raz jest, raz tego nie ma. Teraz przestało.

– Jesteś pewien, że to nie jest wiatr?

– Wiatr? Przecież noc jest spokojna.

– Jeżeli to jakaś muzyka, to nie powinieneś jej słuchać. Na tych terenach magia zawsze jest bardzo blisko, na zgubę zwykłym ludziom.

Trochę zniecierpliwiony Scharis zapytał:

– Jak mam nie słuchać tego, co chcę usłyszeć? Kiedy opowiada mi o rzeczach, o których chcę wiedzieć.

– To mnie przerasta – powiedział Aillas i powstał. – Idę spać. Jutro przed nami długa i daleka droga.

Aillas ustalił warty, które miały się zmieniać co dwie godziny, wyznaczone ruchem gwiazd. Pierwszy obejmował wartę Bode, po nim Garstang z Faurfiskiem, potem Yane i Cargus i na końcu Aillas i Scharis. Ułożyli się do snu najwygodniej, jak to było możliwe. Scharis kładł się jakby z niechęcią, ale szybko zapadł w sen i Aillas uspokojony zrobił to samo.

Kiedy Gwiazda Północna osiągnęła wyznaczony punkt na niebie, Aillas i Scharis zostali obudzeni na wartę. Aillas zauważył, że Scharis nie przysłuchiwał się już więcej dźwiękom z lasu. Zapytał łagodnie:

– Co z tą muzyką? Słyszysz ją ciągle?

– Nie. Oddaliła się, jeszcze zanim zasnąłem.

– Żałuję, że nie mogłem jej usłyszeć.

– Nie wyszłoby ci to na dobre.

– A to dlaczego?

– Mógłbyś się stać taki sam jak ja, ku swej rozpaczce.

Aillas zaśmiał się, jednak z pewnym niepokojem.

– Nie jesteś najgorszym z ludzi. Co takiego mogłoby mi się stać? Scharis wpatrywał się w

ogień. W końcu odezwał się, jakby trochę rozbawiony.

– W rzeczy samej, jestem przeciętnym człowiekiem, może aż nazbyt przeciętnym. Moją wadą jest to, że łatwo rozpraszają mnie dziwne słowa i wyobrażenia. Jak sam wiesz, słyszę muzykę, której inni nie słyszą. Czasami, kiedy wpatruję się w horyzont, widzę jakieś migotania, jeśli wpatruję się bardziej uporczywie, kątem oka, dostrzegam nieokreślony ruch. Gdybyś był taki jak ja, twoje poszukiwanie mogłoby się znacznie opóźnić lub nawet skończyć niefortunnie, tak więc jest to odpowiedź na twoje pytanie.

Aillas wzruszył żar w ognisku.

– Czasami ja też miewam takie... jak to je zwiesz, fantazje czy wyobrażenia, tego samego rodzaju. Nie zastanawiam się nad nimi zbyt. Nie są zbyt natrętne lub uciążliwe, nie sprawiają mi więc żadnego problemu.

Scharis zaśmiał się, choć wcale nie był rozbawiony.

– Czasami myślę, że jestem szalony. Czasami się boję. Istnieją na świecie takie wspaniałości, których nie można doświadczyć, chyba że byłoby się nieśmiertelnym. – Wpatrywał się w ogień i nagle pokiwał głową. – Tak! W tej muzyce jest jakieś przesłanie.

Aillas poczuł się nieswojo i powiedział:

– Scharis, drogi przyjacielu, myślę, że miewasz jakieś halucynacje. Masz wybujałą wyobraźnię i nic poza tym.

– Jak mógłbym sobie wyobrazić takie rzeczy? Ja to słyszałem, ty nie. Istnieją trzy możliwości. Albo mój umysł płata mi figle, co sugerujesz, albo moje zmysły są bardziej wyostrzone niż twoje, albo – i to mnie właśnie przeraża – ta muzyka jest przeznaczona wyłącznie dla mnie.

Aillas był raczej sceptyczny.

– Doprawdy, zrobiłbyś najlepiej, gdybyś starał się zapomnieć o tych dźwiękach. Gdyby dane było ludziom zgłębiać takie tajemnice lub gdyby takie dziwy istniały naprawdę, wiedzielibyśmy o nich znacznie więcej.

– Możliwe.

– Powiedz mi, kiedy następnym razem będziesz odczuwać coś dziwnego.

Powoli nadchodził świt, przechodząc od szarości, przez jas-noperłowy, do brzoskwiniowego blasku na niebie. Kiedy pojawiło się słońce, byli już dawno w drodze i jechali przez miłą dla oka, choć opustoszałą, okolicę. W południe dotarli nad brzeg rzeki. Aillas był przekonany, że jest to Siss, będąca dopływem Złotej Rzeki, podążyli więc jej brzegiem na południe. Pod wieczór ciężkie chmury zasnuły niebo. Dosłyszeli odległy grzmot, niesiony przez zrywający się wilgotny wiatr.

Przed zachodem słońca droga doprowadziła ich do mostu, wspierającego się na pięciu kamiennych łukach, i do rozstaju dróg. Droga Wschodnio-Zachodnia wyłaniała się z Puszczy Tantrevalles, przecinała Trompadę i wiodła dalej przesmykiem pomiędzy górami do Oaldes w Południowym Ulflandzie. Zaraz za rozstajem, kiedy zaczynał już padać deszcz, siedmiu wędrowców odkryło zajazd „Pod Gwiazdą i Jednorożcem”. Zaprowadzili konie do stajni i weszli do gospody, gdzie na potężnym kominku palił się dodający otuchy ogień. Za bufetem stał wysoki, chudy mężczyzna, łysy jak pała, z długą brodą zwieszającą mu się na piersi, długim nosem zwieszającym mu się na brodę i dużymi, czarnymi oczyma zakrytymi przez obwisłe powieki. Przy kominku trzej mężczyźni, przypominający spiskowców, pochylali się nad kuflami z piwem, szerokie rondo ich płaskich kapeluszy zaciemiały im twarze. Przy innym stole siedział samotny mężczyzna. Miał chudy, zakrzywiony nos i pokaźne, ciemnokasztanowe wąsy, a ubrany był w dość elegancki strój w niebieskim i brunatnoczerwonym kolorze.

Aillas zwrócił się do gospodarza:

– Potrzebny nam nocleg i to, co masz najlepszego na kolację. Bądź też tak miły i poślij kogoś, aby zajął się naszymi końmi.

Gospodarz skłonił się uprzejmie, lecz bez serdeczności.

– Postaramy się wypełnić wasze życzenia jak najlepiej, w miarę naszych możliwości.

Usiedli przy stole nie opodal kominka i gospodarz przyniósł im wino. Trzej mężczyźni przyglądali się im ukradkowo, szepcząc między sobą. Samotny gość tylko na chwilę oderwał się od swych własnych rozmyślań, zaszczycając ich jednym pobieżnym spojrzeniem. Siedmiu towarzyszy, siedząc przy ogniu, wlewało w siebie bez oporów duże ilości wina. Wkrótce Yane zawołał do siebie dziewczkę służebną.

– Powiedz no nam, laleczko, ile to dzbanów wina już nam przyniosłaś.

– Trzy, proszę pana.

– Zgadza się! Od tej chwili, za każdym razem, kiedy przyniesiesz dzban, masz głośno wymawiać jego numer. Zrozumiałaś?

– Tak, proszę pana.

Gospodarz przeszedł przez salę na tyczkawatych nogach.

– W czym problem, sir?

– Nie ma najmniejszego problemu. Dziewczyna liczy dzbany wina, w miarę jak je wypijamy, tak by nie było żadnych pomyłek przy zapłacie.

– Och! Nie powinienes, panie, zaprzętać jej umysłu takimi obliczeniami. Ja pilnuję rachunku.

– I ja robię to samo tutaj, a dziewczyna wyrównuje nasze wyliczenia.

Gospodarz rozłożył ramiona i majestatycznym krokiem wrócił do kuchni, gdzie właśnie przygotowywał kolację. Dwie dziewczki służebne stały w półmroku, z ponurymi minami, ale uważne, podchodziły, kiedy trzeba było napełnić kielichy i przynieść nowe dzbany z winem, za każdym razem oznajmiając Yane'owi kolejną liczbę. Gospodarz, który zajął znowu swe miejsce za bufetem, z kwaśną miną tak samo odliczał dzbany i zastanawiał się, czy zdobyłby się na rozwodnienie wina.

Aillas, który pił tak samo dużo co inni, odchylił się wydanie do tyłu na krześle i obserwował swoich towarzyszy, rozluźnionych i swobodnych pod działaniem wina. Garstang, bez względu na okoliczności, zawsze zachowywał się jak arystokrata. Bode, który pod wpływem wina zapomniał o swoim straszliwym obliczu, zrobił się zaskakująco zabawny. Scharis, podobnie jak Aillas, siedział rozparty w krześle, wyraźnie ciesząc się dobrym samopoczuciem. Faurfisk z wielką fantazją, opowiadał uszczypliwe anegdotki i dokuczał dziewczkom służebnym. Yane mówił niewiele, choć zdawał się znajdować jakąś cyniczną przyjemność w obserwowaniu bawiących się świetnie przyjaciół. Cargus natomiast zasepionym wzrokiem wpatrywał się w ogień. Siedzący obok niego Aillas zapytał go wreszcie:

– Co za ponure myśli płaczą ci się po głowie i cóż jest ich przyczyną?

– Rozmyślałem o wielu rzeczach – odparł Cargus. – To taka mieszanka różnych refleksji. Przypominam sobie Galię, mojego ojca i matkę, to, jak ruszyłem w świat, zostawiając ich samych na stare lata, a mogłem zostać i być osłodą do końca ich dni. Rozmyślałem o Skalradach i ich surowych zwyczajach. I o tym, czego teraz doświadczam, z pełnym brzuchem, złotem w sakiewce i dobrymi kompanami przy boku. Wszystko to sprawia, że zastanawiam się nad zmiennością życia i ulotnością takich chwil jak ta obecna. Znasz już więc przyczynę mojej melancholii.

– Rozumiem cię nazbyt dobrze – powiedział Aillas. – Jeśli o mnie chodzi, to jestem zadowolony, mogąc siedzieć raczej tutaj niż na deszczu. Jednakże pasja i zawziętość ciągle tlą się tam we mnie głęboko. Prawdopodobnie nie opuszczą mnie już, nawet jeśli dopełnię mej zemsty.

– Jesteś jeszcze młody. Po jakimś czasie znajdziesz spokój.

– Nie mogę temu zaprzeczyć. Chęć zemsty nie jest może szlachetnym uczuciem, ale nie spocznę, dopóki nie zapłacą ci, którzy byli przyczyną moich nieszczęść.

– Wolę cię mieć za przyjaciela raczej niż za wroga – powiedział Cargus.

Dwaj mężczyźni zamilkli. Gość w czerwono-niebieskim stroju podniósł się i zbliżył się do Aillasa.

– Sir, zauważyłem, że ty i twoi kompani zachowujecie się jak szlachcice, korzystając z uciech z opanowaniem i godnością. Pozwól, że udzielę ci, być może zupełnie zbytecznej, rady.

– Słucham cię, a j akże!

– Te dwie dziewczki, o tam, czekają cierpliwie. Są znacznie mniej skromne, niż na to wyglądają. Kiedy wstaniesz, panie, by udać się na spoczynek, starsza będzie chciała ci towarzyszyć. Podczas gdy ona będzie zabawiać cię swoimi wątpliwymi wdziękami, druga wypróżni ci sakiewkę. Tym, co zdobędą, dzielą się z właścicielem zajazdu.

– Niewiarygodne! Są takie małe i drobne! Mężczyzna uśmiechnął się ponuro.

– Myślałem tak samo, kiedy po raz ostatni piłem tu do nieprzytomności. Życzę dobrej nocy, panowie!

Nieznajomy udał się do swojego pokoju. Aillas przekazał informację przyjaciołom. Służki gdzieś zniknęły, a gospodarz przestał dokładać drwa do ognia. Ruszyli więc chwiejnym krokiem do przygotowanych dla nich sienników i podczas gdy deszcz zaczął w strzechę ponad głowami, mocnym snem przespali całą noc.

Rankiem obudzili się i okazało się, że burza minęła, ustępując miejsca jaskrawemu światłu słonecznemu. Podano im śniadanie, złożone z ciemnego chleba, twarogu i cebuli. Podczas gdy Aillas rozliczał się z gospodarzem, pozostali poszli przygotować konie do drogi.

Aillas był zdziwiony wysokością rachunku.

– Co? Aż tyle? Za siedmiu mężczyzn o skromnych wymaganiach?

– Wypiliście istną rzekę wina. Oto dokładne wyliczenie: dziewiętnaście dzbanów mojego najlepszego czerwonego Carhaunge.

– Chwileczkę – powiedział Aillas. Zawołał Yane'a. – Mamy wątpliwości co do rachunku za ostatnią noc. Jesteś w stanie pomóc nam jakoś?

– Jak najbardziej. Podano nam dwanaście dzbanów wina. Zapisałem tę liczbę na papierze i dałem dziewczynie. Nie był to Carhaunge, nalewano je z tamtej beczki, oznaczonej „Corriente”, co kosztuje dwa pensy za dzban.

– Ach! – zawołał gospodarz. – Teraz widzę mą pomyłkę. To jest rachunek z uprzedniej nocy, kiedy obsługiwaliśmy dziesięciu gości.

Aillas raz jeszcze uważnie zbadał rachunek.

– A to? Co to za suma?

– Dodatkowe usługi.

– Rozumiem. Ten gość, który siedział przy tamtym stole, kim on był?

– Prawdopodobnie chodzi o sir Descandola, młodszego syna lorda Maudeleta z Gray Fosfre, to za mostem w Ulflandzie.

– Sir Descandol był na tyle uprzejmy, że ostrzegł nas przed twoimi dziewczkami i ich łupieżczymi zwyczajami. Nie było żadnych „usług dodatkowych”.

– Naprawdę? Wobec tego muszę wykreślić tę pozycję.

– I tutaj: „Konie – stajnia, pasza i woda”. Czyżby siedem koni mogło zajmować tyle zbytkowego miejsca, zjeść aż tyle siana i wyłopać tyle drogocennej wody, by stanowiło to aż sumę trzynastu

florenów?

– Musiałeś to źle odczytać, panie, tak samo jak ja pomyliłem się, dodając to do całości.

Powinny to być dwa floreny.

– Rozumiem. – Aillas dalej sprawdzał rachunek. – Twoje węgorki są bardzo drogie.

– To nie sezon na węgorki.

Aillas zapłacił poprawioną kwotę. Zapytał:

– Którędy prowadzi ta droga?

– Przez dziką okolicę, las się zagęszcza i mroczne to tereny.

– Jak daleko jest do następnej gospody?

– Spory kawałek.

– Podróżowałaś kiedyś tą drogą?

– Przez Puszcę Tantrevalles? Nigdy.

– Wiesz coś na temat bandytów, leśnych ścieżek i innych tego typu rzeczy?

– Powinieneś być zadać to pytanie sir Descandolowi, on wydaje się autorytetem, jeśli o to chodzi.

– Bardzo możliwe, ale odjechał, zanim ta myśl przyszła mi do głowy. Cóż, bez wątpienia jakoś sobie poradzimy.

Ruszyli drogą przed siebie. Rzeka skręciła w bok i las zamknął się nad nimi z obu stron. Yane, który jechał na czele, zauważył jakieś poruszenie wśród liści. Zawołał:

– Schylcie się! Schylcie się w siodłach! – Zeskoczył na ziemię, nałożył strzałę na łuk i wystrzelił ją przed siebie w mrok, wywołując tym pełne bólu zawodzenie. W tej samej chwili z lasu wyleciała chmura strzał. Jeźdźcy, którzy pochylili się na zawołanie, nie zostali nawet draśnięci, z wyjątkiem ociężałego Faufriska, który został trafiony w pierś i umarł natychmiast. Jego towarzysze, nisko pochyleni, chowając się za drzewami, rzucili się do ataku, dobywając mieczy. Yane polegał na swoim łuku. Wypuścił trzy kolejne strzały, trafiając w szyję, pierś i nogę. W lesie rozległy się jęki, odgłos padających ciał, okrzyki nagłego przerażenia. Jeden człowiek próbował uciekać. Bode rzucił się na niego od tyłu, przydusił go do ziemi i pozbawił go miecza.

Zapanowała cisza, przerywana jedynie sapaniem i jękami. Strzały Yane'a zabiły dwóch i unieruchomiły dwóch następnych rzezimieszków. Tych dwóch zabitych przez Yane'a i dwóch innych leżało na leśnym poszyciu w kałużach krwi. Byli pomiędzy nimi trzej obdartusi, którzy poprzedniego wieczora siedzieli w zajeździe, pijąc wino.

Aillas zwrócił się do tego, którego złapał Bode i z rycerską uprzejmością lekko się przed nim skłonił.

– Sir Descandol, karczmarz przedstawił cię jako autorytet w sprawie leśnych ścieżek, rozumiem teraz dlaczego. Cargus, bądź tak dobry i przewieś linę przez tę gałąź, o tam. Sir Descandol, wczorajszej nocy byłem ci wdzięczny za twą mądrą radę, lecz dzisiaj zastanawiam się, czy nie kierowała tobą czysta chciwość, by nasze złoto trafiło wyłącznie w twoje ręce.

Descandol sprzeciwił się:

– Ależ skąd! Zamierzałem przede wszystkim oszczędzić wam upokorzenia, abyście nie zostali ograbieni przez dwie świergotki.

– Prawdziwie wspaniałomyślny postępek. Jaka szkoda, że nie możemy zatrzymać się na godzinę lub dwie, by odwzajemnić twoją uprzejmość.

– Ja również żałuję – powiedział sir Descandol.

– Czas nagli. Bode, zwiąż jego ręce i nogi, by nie musiał wymachiwać nimi w tej niewdzięcznej pozycji. Szanujemy jego godność, nie mniej niż on naszą.

- To bardzo uprzejme z twojej strony – powiedział Descandol.
- Teraz zaś, Bode, Cargus, Garstang! Wciągnijcie sir Descandola wysoko.

Faurfisk został pochowany w leśnym poszyciu, a towarzyszyła temu obrządkowi delikatna gra światła i cieni. Yane przeszedł się pomiędzy ciałami i zebrał swoje strzały. Potem opuścili Descandola na dół, zwinęli linę i zawiesili ją przy siodle konia, na którym poprzednio jechał Faurfisk. Nie oglądając się za siebie, sześciu mężczyzn ruszyło przez las.

Otoczyła ich głęboka cisza, a odległe śpiewy ptaków podkreślały ją raczej, niż zakłócały. W miarę jak dzień miał się ku końcowi, światło słoneczne przedostające się przez korony drzew nabierało brązowej poświaty, tworząc długie i mroczne cienie, zabarwione jasną purpurą lub ciemnym błękitem. Nikt się nie odzywał, słychać było jedynie głuchy tętent końskich kopyt.

O zachodzie słońca zatrzymali się nad małym stawkiem i tu postanowili przenocować. O północy, kiedy Aillas i Scharis trzymali wartę, pęk bladoniebieskich świateł zamigotał w lesie pomiędzy drzewami. Godzinę później głos w oddali wymówił trzy wyraźne słowa. Dla Aillasa były one niezrozumiałe, ale Scharis wstał i ruszył głową, prawie jakby chciał odpowiedzieć.

Aillas zadziwiony spytał:

- Zrozumiałeś te słowa?
- Nie.
- Dlaczego więc chciałeś odpowiedzieć?
- Bo to było takie, jakby ten głos mówił specjalnie do mnie.
- Po co miałby to robić?
- Nie wiem... Takie rzeczy mnie przerażają. Aillas nie zadawał więcej pytań.

Wzeszło słońce. Zjedli trochę chleba i sera, po czym ruszyli dalej w drogę. Przed nimi rozciągała się okolica pokryta łąkami i polanami, szlak pokrywały drobne, szare skały, drzewa były karłowate i powykrzywiane.

Po południu niebo się zamgliło. Słońce zrobiło się złotawe, a jego światło było blade jak późną jesienią porą. Z zachodu nadciągały chmury, coraz cięższe i coraz bardziej groźne.

W pobliżu miejsca, gdzie droga wkroczyła na rozległą łąkę, na tyłach pięknego ogrodu, stał pałac pełen elegancji, choć o nieco dziwacznym wyglądzie. Drogi wjazdowej, starannie wysypanej żwirkiem, strzegł portal z ciosanego marmuru. W bramie stał portier, który miał na sobie liberię w ciemnoczerwonym i jasnoniebieskim kolorze.

Szóstka jeźdźców zatrzymała się, by przyjrzeć się pałacowi. Gdyby stosowano tutaj zasady gościnności, mogliby w nim znaleźć schronienie na noc.

Aillas zsiadł z konia i podszedł do bramy. Portier skłonił się z szacunkiem. Nosił kapelusz z czarnego filcu, o szerokim rondzie, które przysłaniało mu twarz, i małą czarną maskę na oczach. Obok niego stała wsparta ceremonialna halabarda; nie miał żadnej innej broni.

Aillas przemówił:

- Kto jest panem tego pałacu?

- To jest willa Meroe, zaledwie letnia siedziba, gdzie wypoczywa lord Daldace, uprzyjemniając sobie czas w towarzystwie przyjaciół.
- Dostyc to odludne miejsce jak na taką willę.
- O to właśnie chodzi, sir.
- Nie chcielibyśmy niepokoić lorda Daldace'a, może jednak mógłby on użyć nam schronienia na noc.



– Dlaczego nie udacie się bezpośrednio do willi? Lord Daldace jest gościnnie i szcudroblivy. Aillas odwrócił się, aby przyjrzeć się pałacowi.

– Mówiąc szczerze, czuję się nieswojo. Jesteśmy w Puszczy Tan-trevalles i to miejsce otacza atmosfera czaru, a my wolelibyśmy uniknąć zdarzeń, które wykraczają poza obszar naszego pojmowania.

Portier zaśmiał się.

– Sir, twoja ostrożność jest w pewnym stopniu uzasadniona. Jakkolwiek możecie bezpiecznie przemocować w willi i nic nie będzie wam tam zagrażało. Czary, które oddziałują na bawiących się w willi Me-roe, was mogą ominąć. Jedźcie tylko swoje własne jedzenie i pijcie tylko wino, które przyniesiecie ze sobą. Krótko mówiąc, nie przyjmujcie żadnych pokarmów ani napojów, które będą wam oferowane, a czary będą dla was jedynie miłym urozmaiceniem.

– A gdybyśmy przyjęli jadło i napoje?

– Wasza misja mogłaby ulec opóźnieniu, sir.

Aillas zwrócił się teraz do towarzyszy, którzy zebrali się za jego plecami.

– Słyszeliście, co powiedział, a sprawia wrażenie wiarygodnego i w jego głosie nie znajduję obłudy. Zaryzykujemy spotkanie z czarami czy nocną jazdę w czasie burzy?

– Wygląda na to, że tak długo, jak będziemy jedli tylko nasze zapasy, a nic z tego, co tam będzie serwowane, możemy czuć się bezpieczni – powiedział Garstang. – Mam rację, przyjacielu portierze?

– To by się zgadzało, sir.

– W takim razie ja wolałbym chleb i ser w zaciszu tej willi, niż ten sam chleb i ser w nocy, na deszczu i wietrze.

– Rozsądne rozumowanie – powiedział Aillas. – Co na to inni? Bode?

– Zapytałbym jeszcze tego miłego portiera, dlaczego nosi maskę.

– Sir, taki jest tutejszy zwyczaj, i wy również będziecie musieli go przestrzegać. Jeśli zdecydujecie się odwiedzić willę Meroe, będziecie musieli nałożyć maski, które wam dam.

– Bardzo to dziwne – zamruczał Scharis. – I wielce intrygujące.

– Cargus? Yane?

– To miejsce cuchnie magią – burknął Yane.

– Mnie to nie przeraża – odparł Cargus. – Wiem, jak się chronić przed tymi czarami. Będę jadł chleb z serem i nie będę patrzeć na cuda i dziwy.

– Niech więc tak będzie – powiedział Aillas. – Portierze, proszę nas zapowiedzieć lordowi Daldace'owi. To jest sir Garstang, rycerz z Lyonesse. To panowie Yane, Scharis, Bode i Cargus, pochodzący z różnych stron, ja zaś jestem Aillas z Troicinetu.

– Dzięki swej magii lord Daldace już o was wie i was oczekuje -powiedział portier. – Bądźcie łaskawi, panowie, nałożyć te maski. Konie możecie zostawić tutaj, będą gotowe na jutro rano. Weźcie oczywiście swoje jadło i napoje.

Wysypaną żwirem ścieżką przeszli przez ogród i przekroczywszy dziedziniec stanęli przed willą Meroe. Zachodzące słońce zaświeciło na chwilę i wychynęło zza niskich chmur, rzucając promień światła na drzwi wejściowe, gdzie stał wysoki mężczyzna we wspaniałym ubiorze z ciemnoczerwonego aksamitu. Krótko obcięte czarne włosy zwijały mu się tuż przy głowie. Krótka broda zakrywała mu dolną część twarzy, a czarna maska ukrywała oczy.

– Panowie, jestem lord Daldace. Witam was w willi Meroe, gdzie, mam nadzieję, miło spędzicie czas i goście będziecie tak długo, jak zechcecie.

– Składamy wyrazy podziękowania, wasza lordowska mość. Będziemy cię niepokoić tylko przez jedną noc, jako że ważne sprawy nakazują nam pośpiech.

– Wobec tego, panowie, uprzedzam was, że lubujemy się tu nieco w zbytku i zabawie, a nasze rozrywki potrafią często omamić. Nie jedzcie i nie pijcie nic poza swoimi własnymi zapasami, a nie napotkacie na żadne trudności. Mam nadzieję, że nie będziecie o mnie źle myśleć z powodu tego ostrzeżenia.

– W żadnym wypadku, sir. Nie chodzi nam o zabawę, lecz jedynie o schronienie przed burzą. Lord Daldace uczynił zamaszysty gest ręką.

– Kiedy się odświeżycie, porozmawiamy więcej na ten temat. Służący zaprowadził ich do pokoju, w którym stało sześć łóżek. W

przyległej do niego łazience płynęła ciepła woda, leżało mydło z aloesu i delikatne lnianie ręczniki. Po kąpieli zjedli to, co wyciągnęli z sakw i przynieśli ze sobą.

– Najedzcie się do syta – powiedział Aillas. – Lepiej, żebyśmy nie wychodzili z tego pokoju głodni.

– Lepiej, żebyśmy wcale z niego nie wychodzili – zauważył Yane.

– To niemożliwe – oświadczył Scharis. – Nie masz w sobie ani odrobiny ciekawości?

– Jeśli chodzi o te sprawy, to doprawdy niewiele. Zaraz idę spać. Cargus powiedział:

– Uwielbiam uciechy i hulanki, ale muszę mieć odpowiedni ku temu nastrój. Kiedy patrzę, jak inni się bawią, gorzknieję. Ja również udam się na spoczynek i będę śnić.

Bode powiedział:

– Zostaję, nie trzeba mnie przekonywać. Aillas zwrócił się do Gar-stanga:

– A co z tobą?

– Jeśli ty zostaniesz, ja również zostanę. Jeśli pójdziesz, stanę przy twoim boku, by cię strzec przed zachłannością i nieumiarkowaniem.

– Scharis?

– Nie mógłbym wytrzymać w tym pokoju. Przejdę się chociaż i będę się przyglądał zza maski.

– Ja wobec tego będę podążał za tobą i strzegł cię, tak jak Garstang mnie, a my obaj będziemy pilnować Garstanga i może w ten sposób będziemy stosunkowo bezpieczni.

Scharis wzruszył ramionami.

– Niech i tak będzie.

– Nigdy nic nie wiadomo, co może się wydarzyć? Przejdziemy się i poprzyglądamy się razem.

Nałożyli maski na twarze i wyszli z pokoju.

Na tarasie okolonym wysokimi krużgankami powietrze przesiąknięte było wonią kwiatu pomarańczy i jaśminu. Trzej przyjaciele usiedli na sofie wyściełanej poduszkami z ciemnozielonego aksamitu i odpoczywali. Chmury, które wróżyły wcześniej wielką burzę, przeszły bokiem. Noc była ciepła i spokojna.

Przechodzący obok nich wysoki mężczyzna w ciemnoczerwonym ubiorze zatrzymał się i zagadnął:

– I cóż, panowie, co sądzicie o mojej willi?

– Tego nie da się wyrazić słowami. – rzekł Garstang i potrząsnął głową.

A Aillas dodał:

– Zbyt wiele jest tu rzeczy, które nie mieszczą nam się w głowie. Twarz Scharisa była blada i z wrażenia błyszczały mu oczy, ale, podobnie jak Garstang, nie znajdował słów. Aillas wskazał na sofę i rzekł:

– Usiądź na chwilę z nami, lordzie Daldace.

– Z przyjemnością.

– Jesteśmy bardzo ciekawi – ciągnął Aillas. – Piękno tego miejsca jest wręcz przytłaczające, to

jakby sen albo marzenie.

Lord Daldace rozejrzał się teraz dookoła, jak gdyby widział pałac po raz pierwszy.

– Czym są marzenia sennie? Najzwyklejsze doświadczenie jest snem. Oczy, uszy, nos – przekazują jedynie obrazy do naszych umysłów, a obrazy te nazywane są rzeczywistością. W nocy, kiedy śnimy, obrazy nieznanego pochodzenia są tam wprowadzane. Czasami sennie wizje są bardziej realne od rzeczywistości. Co jest prawdą, a co iluzją? Kto zadawałby sobie trud, aby je od siebie oddzielić? Smakując doskonałe wino, jedynie pedant będzie zastanawiał się nad każdym elementem smaku. Kiedy podziwiamy piękną dziewczynę, czy oceniamy oddzielnie każdą kość jej czaszki? Jestem pewien, że nie. Akceptujemy piękno na jego własnych warunkach i takie właśnie jest credo wyznawane w willi Meroe.

– Nie odczuwasz przesytu?

– Doświadczyłeś kiedyś przesytu w sennym marzeniu?

– Nigdy – odparł Garstang. – Sny są zawsze bardzo realne. Scharis odezwał się:

– Zarówno sny, jak i życie są wyjątkowo kruche i delikatne. Pchnięcie, cięcie... i przepadają bezpowrotnie jak słodki zapach niesiony przez wiatr.

– Może mógłbyś nam odpowiedzieć, dlaczego wszyscy kryją się tu za maskami? – zapytał Garstang.

– Kaprys, zachcianka, wymysł, fanaberia! Mógłbym zbyć twe pytanie innym. Pomyśl o swojej twarzy – jest to maska czy skóra? Wy trzej, Aillas, Garstang i Scharis, każdy z was jest szczerze obdarzony przez naturę. Wasze twarze-maski ułatwiają wam wyjście w świat. Wasz towarzysz Bode nie jest takim szczęściarzem, radowałby się, gdyby mógł chodzić na zawsze w masce, kryjącej jego twarz.

– Nikt spośród twego towarzystwa nie wydaje się nieurodziwy -powiedział Garstang. – Mężczyźni są przystojni, a damy piękne. Jest to łatwo zauważalne nawet pomimo masek.

– Być może. A jednak, późno w nocy, gdy kochankowie stają się sobie bardzo bliscy i rozbierają się nawzajem, ostatnią zdejmowaną rzeczą jest maska.

Scharis zapytał:

– A skąd pochodzi ta muzyka?

Aillas zaczął się wsłuchiwać, Garstang podobnie.

– Nie słyszę żadnej muzyki.

– Ja również nie.

– Jest bardzo delikatna – powiedział lord Daldace. – W gruncie rzeczy jest wręcz niesłyszalna. – Powstał. – Mam nadzieję, że zaspokoilem wasze zaciekawienie.

– Tylko prostak wymagałby od ciebie więcej – powiedział Aillas. – Była to z twojej strony więcej niż uprzejmość.

– Jesteście miłymi gośćmi i żałuję, że musicie jutro jechać. Teraz zaś oczekuje mnie dama. Jest tu po raz pierwszy i pragnę razem z nią cieszyć się przyjemnościami.

– Ostatnie pytanie – powiedział Aillas. – Kiedy przyjeżdżają nowi goście, ci poprzedni muszą wyjechać, w przeciwnym razie zatłoczyliby każdy pokój i każdy hall w Meroe. Gdy wyjeżdżają, dokąd się udają?

Lord Daldace zaśmiał się łagodnie.

– Gdzie odchodzą ludzie zamieszkujący twoje sny, kiedy się w końcu budzisz? – Skinął głową i odszedł.

Przed nimi pojawiły się trzy panny. Jedna z nich przemówiła z figlarną śmiałością.

– Czemuż tak zamilkliście? Czy pozbawione jesteście wdzięku?

Trzej mężczyźni powstali. Aillas znalazł się twarzą w twarz ze smukłą dziewczyną o jasnych, blond włosach i rysach delikatnych jak płatki kwiatu. Zza czarnej maseczki spoglądały na niego fioletowoniebieskie oczy. Serce Aillasa ścisnęło się zaskoczone, zarówno z żalu jak i radości. Chciał coś powiedzieć, ale zaraz się opanował.

– Proszę mi wybaczyć – wymamrotał. – Nie czuję się zbyt dobrze. Odwrócił się, gotów do odejścia, i zauważył, że Garstang zrobił to

samo. Garstang powiedział:

– To niemożliwe. Ona przypomina kogoś, kto był mi kiedyś bardzo drogi.

– One są snami – powiedział Aillas. – Trudno się im oprzeć. Zresztą

O tym właśnie mówił lord Daldace, czyż nie?

– Wróćmy do naszych łóżek. Nie zależy mi na aż tak realnych snach... Gdzie jest Scharis?

Nie było widać ani dziewcząt, ani Scharisa.

– Musimy go odnaleźć – rzekł Aillas. – Jego temperament go zdradzi.

Szli przez pokoje Meroe, ignorując subtelne światła, urocze zakątki

i stoły zastawione specjałami. Wreszcie znaleźli Scharisa na jednym z małych dziedzińców wychodzących na taras. Siedział w towarzystwie czterech innych mężczyzn, wydobywając z fletni miękkie tony. Pozostali grali na rozmaitych instrumentach, tworząc muzykę o niepokojącej słodyczy. Tuż obok Scharisa siedziała smukła, czarnowłosa dziewczyna.

Schylała się ku niemu tak blisko, że jej włosy opadały na jego ramię. W jednej ręce trzymała kielich z winem koloru purpury i sączyła je powoli, a potem, gdy ucichła muzyka, podała je Scharisowi.

Scharis, oczarowany, w roztargnieniu wyciągnął rękę, ale Aillas przechylił się przez balustradę i porwał kielich.

– Scharis, co cię napadło? Chodź z nami, musimy iść spać! Jutro pozostawimy za sobą ten zamek sennych marzeń, okazuje się on bardziej niebezpieczny niż wszystkie wilkołaki z Puszczy Tantrevalles!

Scharis podniósł się powoli. Spojrzał na dziewczynę i rzekł:

– Muszę iść.

Trzej mężczyźni powrócili w milczeniu do swego pokoju, gdzie Aillas powiedział:

– O mało co wypiłbyś z tego kielicha.

– Wiem.

– Piłeś z niego wcześniej?

– Nie. – Scharis zawahał się. – Pocałowałem tę dziewczynę, która była bardzo podobna do kogoś, kogo kiedyś kochałem. Ona piła wino i kropla została na jej ustach. Posmakowałem ją.

Aillas oburzył się.

– Muszę wobec tego wydostać antidotum od lorda Daldace'a. Garstang ponownie przyłączył się do niego. Przewędrowali raz jeszcze przez Meroe, nigdzie jednak nie znaleźli lorda Daldace'a.

Światła zaczęły przygasać, wrócili więc do swego pokoju. Scharis spał albo udawał, że śpi.

Światło poranka wdarło się przez wysokie okna. Sześciu mężczyzn wstało, trochę posępnie spoglądając na siebie nawzajem. Aillas odezwał się ciężkim głosem:

– Dzień już się zaczął. Wyruszmy czym prędzej w drogę, a śniadanie zjemy gdzieś na postoju.

Przy bramie wjazdowej czekały na nich konie, choć nigdzie nie było widać portiera. Aillas

rezolutnie jechał przed siebie, zostawiając za plecami willę Meroe, i nie obejrzał się za siebie ani razu. Jak zauważył, jego towarzysze uczynili podobnie.

– Jedźmy stąd więc i zapomnijmy o tym pałacu sennych marzeń. Odjechali w galopie, powiewając płaszczami. Milę dalej zatrzymali się na śniadanie. Scharis siedział sam na uboczu. Był rozkojarzony i wyraźnie brakowało mu apetytu.

Dziwne, pomyślał Aillas, jak luźno zwieszają mu się nogawki od spodni. I dlaczego jego kurtka jest tak osobliwie obwieszona.

Aillas zerwał się na równe nogi, lecz wcześniej Scharis osunął się na ziemię, pozostawiając jedynie puste ubranie. Aillas padł na kolana. Kapelusz Scharisa potoczył się na bok, a na jego twarzy, która przypominała maskę zrobioną z substancji podobnej do jasnego pergaminu, zawisło pytające spojrzenie.

Aillas uniósł się powoli i odwrócił zamyślony w kierunku, z którego przybyli. Podeszedł do niego Bode.

– Lepiej jedźmy dalej – powiedział smętnie. – Nie osiągniemy nic, wracając tam.

Szlak skręcał lekko w prawo i w miarę upływu dnia, zaczął prowadzić to w górę, to w dół, dopasowując się do wzniesień i dolin. Gleba robiła się coraz to uboższa i wreszcie pojawiły się nagie skały. Znikły też lasy, a pozostały jedynie sporadyczne zagajniki, w których rosły karłowate cisy i dęby.

Dzień był wyjątkowo wietrzny. Niebem przemykały chmury» tak że jechali raz w słońcu, raz w cieniu.

Zachód słońca zastał ich na opustoszałym płaskowyżu, pomiędzy setkami zwietrzałych granitowych głazów, które były wysokie jak człowiek albo nawet wyższe.

Na noc zatrzymali się nad małym strumyczkiem. Zrobili sobie posłania z paproci i przespali noc w miarę wygodnie, niepokojeni jedynie przez zawodzący wiatr.

O wschodzie słońca pięciu wędrowców raz kolejny wsiadło na konie i podążyło dalej Trompada, która tutaj była niewiele szersza niż ścieżka wijąca się wśród głazów.

W południe droga odbiła w bok od równiny, osiągając rzekę Siss i wiodąc wzdłuż jej brzegów na południe.

Późnym popołudniem dotarli do rozstaju dróg. Ze starego, spłowiałego drogowskazu dowiedzieli się, że na południowy wschód skręcała Droga Bittershaw, natomiast Trompada – przez most – przekraczała rzekę i wiodła wzdłuż niej na południe.

Wędrowcy przeszli przez most i pół mili dalej napotkali chłopą, który prowadził osła obciążonego chrustem.

Aillas uniósł rękę, na co chłop cofnął się zaniepokojony.

– O co chodzi? Jeżeli jesteście rabusiami, to nie mam żadnego złota, co zresztą jest prawdą, nawet gdybyście nimi nie byli.

– Wystarczy tych głupot – ostro rzucił Cargus. – Gdzie jest najbliższa i najlepsza gospoda?

Zakłopotany chłop zamrugał oczami.

– Najlepsza i najbliższa, he? Czy o dwie gospody wam chodzi?

– Jedna nam wystarczy – powiedział Aillas.

– W tych okolicach karczmy są rzadkością. Stara wieża, jadąc kawałek dalej tą drogą, mogłaby zaspokoić wasze potrzeby, jeśli nie jesteście nazbyt wybredni.

– Jesteśmy wybredni – odparł Yane – ale nie nazbyt wybredni. Gdzie dokładnie znajduje się ta

karczma?

– Jedźcie jeszcze dwie mile, aż do miejsca, gdzie droga skręca i wiedzie dalej na górskie zbocze. Niewielki szlak doprowadzi was stamtąd do starej wieży.

Aillas rzucił mu pensa.

– Dziękujemy.

Jechali dwie mile wzdłuż rzeki. Słońce skryło się za górami i droga wiodła w cieniu pośród sosen i cedrów. Dotarli do miejsca, gdzie nad brzegiem rzeki wznosiło się wysokie urwisko, tam też droga skręcała ostro pod górę. Niewielki szlak ciągnął się dalej pod ścianą urwiska, wijąc się pod gęstymi koronami drzew. Po chwili ujrzeli zarys wysokiej, okrągłej wieży, rysującej się ciemno na tle nieba. Objechali wieżę dookoła, wzdłuż starego, zniszczonego muru i dotarli do miejsca, skąd rozpościerał się widok na okolicę i płynącą sto stóp niżej rzekę. Ze stojącego tu kiedyś starożytnego zamku pozostało jedynie jedno skrzydło i wieża. Podszedł do nich chłopiec i zaprowadził ich konie do czegoś, co kiedyś było wielką reprezentacyjną komnatą, a teraz służyło jako stajnia.

Całą piątką weszli do starej wieży i od razu znaleźli się w miejscu, gdzie panował półmrok. Ogień na kominku rozjaśniał nieco olbrzymie, okrągłe pomieszczenie. Podłoga wyłożona była kamiennymi płytami. Ściany obwieszane były dekoracjami. Piętnaście stóp ponad podłogą znajdowała się galeryjka, ciągnąca się dookoła na całej długości ściany, nad nią, w mroku, wznosiły się dwie następne, trzecia, prawie niewidoczna, ginęła w ciemnościach.

W pobliżu ognia stały masywne stoły i ławy. Po przeciwnej stronie sali drugi ogień płonął na kominku. Tam też, za ladą, siwy stary człowiek o pociągłej twarzy uwijał się z zapalem pośród garnków i patelni. Wydawało się, że ma sześć rąk, każda z nich sięgała po coś, potrzasała i mieszała. Podłóżki tłuszczem baranią obracającą się na rożnie, poruszył garnkiem z gołębiami i przepiórkami, potrzasał i ciągle przemieszczał to te, to inne garnki, tak, by każdy z nich był odpowiednio blisko ognia.

Przez chwilę Aillas przyglądał się z pełną szacunku uwagą, podziwiając zręczność starego człowieka. W końcu, korzystając z krótkiej przerwy w pracy, zapytał:

– Sir, czy jesteś gospodarzem tego zajazdu?

– Zgadza się, mój panie. Pełnię taką funkcję, jeśli tylko to obejście może pretendować do takiej godności.

– Godność jest w tej chwili ostatnią rzeczą, jaka nas obchodzi, ważne, czy możesz zapewnić nam nocleg. Z tego co widzę, z całą pewnością dostaniemy dobrą kolację.

– Nocleg to rzecz najprostsza. Śpi się na sianie nad stajnią. Nie mam tu nic innego do zaoferowania, a jestem już za stary, żeby coś zmieniać.

– Jakie jest twoje piwo? – zapytał Bode. – Podaj nam jasne i gorzkie, dobrze schłodzone, a nie usłyszysz od nas najmniejszej skargi.

– Z tym nie ma kłopotu, warzę dobre piwo. Usiądźcie, panowie. Usiedli przy kominku, zadowoleni, że nie muszą spędzać kolejnej wietrznej nocy pomiędzy paprociami. Korpulentna kobieta podała im piwo w kubkach z bukowego drewna, które w pewien sposób uwydatniało jakość napoju i Bode oświadczył:

– Ten gospodarz jest uczciwy. Nie usłyszysz żadnych zażaleń ode mnie.

Aillas przyglądał się gościom siedzącym przy pozostałych stołach. Było ich siedmiu: stary chłop z żoną, dwóch wędrownych handlarzy i trzech młodych mężczyzn, którzy mogli być drwalami. W tej chwili też weszła do sali zgarbiona stara kobieta, opatulona w szary płaszcz z dużym kapturem zaciągniętym na głowę, tak że jej twarz schowana była w cieniu.

Przystanąła, chcąc rozejrzeć się po pomieszczeniu. Aillas wyczuł, że jej spojrzenie na moment

zawahało się, gdy spoczęło na nim. Potem, przygięta, przeszła kulejąc przez salę i usiadła przy najdalszym stole, gdzie panował już półmrok.

Korpulentna kobieta przyniosła im kolację: mięso przepiórek, gołębi i kuropatw na grubych, nasączonych sosem pajdach chleba, plastry smażonej baraniny w galickim stylu, która pachniała czosnkiem i rozmarynem oraz sałatkę z rzeżuchy i świeżych warzyw. Posiłek okazał się daleko lepszy, niż tego oczekiwali.

Podczas posiłku Aillas obserwował opatuloną kobietę, siedzącą przy najdalszym stole i jedzącą swoją kolację. Była wyraźnie zaniepokojona. Schylona do przodu, w mig pochłonęła całą porcję. Aillas przyglądał się jej z ukrywanym zainteresowaniem i zauważył, że ona również spod swojego kaptura zdawała się od czasu do czasu spoglądać w jego stronę. Pochyliła się, by połknąć kawałek mięsa i poła jej płaszcz uniosła się, odsłaniając jej stopę.

Aillas odezwał się do towarzyszy:

– Spójrzcie na tę starą kobietę tam. Przyjrzyjcie się jej i powiedzcie mi, co zauważyliście.

Garstang zamruczał zadziwiony:

– Ona ma kurzą stopę!

– To wiedźma z twarzą lisa i stopami wielkiej kwoki. – rzekł Aillas. – Atakowała mnie już dwa razy, dwa razy pociąłem ją na kawałki i za każdym razem zdołała wrócić do poprzedniego stanu.

Wiedźma, gapiąc się na nich, zauważyła ich spojrzenia i pośpiesznie cofnęła stopę, po czym rozejrzała się po sali, sprawdzając, czy ktoś jeszcze przyłapał ją na roztargnieniu. Aillas i jego kompani udawali obojętność. Wiedźma wróciła więc do łapczywego pochłaniania swej kolacji.

– Ona o niczym nie zapomina – powiedział Aillas – i będzie zapewne próbowała mnie zabić, jeśli nie tutaj, to z jakiejś zasadki na szlaku.

– W takim razie – powiedział Bode – zabijemy ją pierwsi i to natychmiast.

Aillas wykrzywił się.

– Tak być musi. Musimy ją zabić, nawet gdybyśmy zostali obwinieni o śmierć bezbronnej kobiety.

– Nie będą nas obwiniać, kiedy zobaczą jej stopy – powiedział Cargus.

– No, to bierzmy się do dzieła – rzekł Bode. – Ja jestem gotowy.

– Chwileczkę – wtrącił Aillas. – Ja spełnię tę powinność. Trzymajcie miecze w pogotowiu. Jedno drapnięcie jej pazurem oznacza śmierć, nie możemy jej na to pozwolić.

Wiedźma zdała się wyczuć sens ich rozmowy. Zanim zdążyli się poruszyć, wstała i odkuśtykała w mrok, znikając pomiędzy niskimi krużgankami.

Aillas dobył miecza i podszedł do gospodarza.

– Gościłeś u siebie paskudną wiedźmę, która musi zostać zabita.

Podczas gdy gospodarz patrzył na niego oszołomiony, Aillas podbiegł do krużganków i próbował coś dojrzeć, ale nie widział nic w panujących tam ciemnościach i nie odważył się iść dalej. Zwrócił się do gospodarza:

– Dokąd prowadzą te krużganki?

– Do starego skrzydła i pomieszczeń ponad nami, wszystko to ruiny.

– Daj mi świecę.

Na cichy odgłos Bode spojrzął ku górze, gdzie ujrzał kobietę o lisiej twarzy na pierwszej galeryjce. Z wrzaskiem rzuciła się w dół na Aillasa. Bode rzucił taboret i odepchnął ją na bok. Zasyczała i zawrzęszczała ponownie, potem rzuciła się na Bodego z łapami wyciągniętymi do przodu i zadrapała go po twarzy, zanim Aillas raz jeszcze zdążył odciąć jej głowę. Jak poprzednio, tułów zaczął szaleńczą gonitwę w przód i w tył, odbijając się od ścian. Cargus przyduślił ją ławą do

podłogi i Yane odciął jej nogi.

Bode leżał na plecach, drapiąc po podłodze zaciśniętymi palcami. Wysunął mu się język, twarz mu szerniała i zmarł. Aillas zawołał gardłowym głosem:

– Tym razem zadziała tu ogień! Potnijcie ten ohydny stwór na kawałki! Gospodarzu, przynieś drewno i chrustu! Ogień musi płonąć porządnie i długo.

Głowa z lisią twarzą zaczęła przeraźliwie lamentować:

– Tylko nie ogień! Nie wrzucajcie mnie do ognia!

Okrutny czyn został wykonany. Pośród huczących i trzaskających płomieni ciało i kości wiedzmy zmieniły się w pył i kurz. Goście, bladzi i przygnębieni, udali się na swoje posłania na sianie. Gospodarz i jego żona za pomocą szczotek i wiader czyścili powalaną podłogę.

Mając już niewiele godzin do świtu, Aillas, Garstang, Cargus i Yane usiedli znużeni przy stole, przyglądając się, jak ogień przygasa i polana zaczyna się już tylko żarzyć. Gospodarz przyniósł im piwo.

– To straszne wydarzenie! Zapewniam, że nie takie są zwyczaje tego domu.

– W żadnym stopniu nie była to twoja wina. Bądź szczęśliwy, że udało nam się skończyć z tą kreaturą. Ty i twoja żona godnie nam pomagaliście i nie będziecie cierpieć z tego powodu.

Wczesnym świtem pochowali we czworo Bodego w cichym cienistym zakątku, który kiedyś był ogrodem różanym. Jego konia zostawili gospodarzowi, jak również pięć złotych koron z jego sakiewki, po czym zasmuceni odjechali w kierunku Trompady.

Czwórka wędrowców mozolnie posuwała się w górę skalistej doliny. Droga wiała się i zakręcała, cofając się i prowadząc do przodu, wiodła na kolejne wzniesienia lub je omijała, by ostatecznie dotrzeć do smaganego hulającymi wiatrami Przesmyku Glayrider. Boczna droga odchodziła w bok, przez wrzosowiska, w kierunku Oaldes; Trompada odbijała na południe i schodziła w dół długim zboczem, mijając szereg starożytnych kopalni cynku, aż do miasta Flading. W zajeździe „Pod Cynkowym Ludzikiem” cała czwórka, znużona wydarzeniami ubiegłej nocy i mozolną jazdą w ciągu dnia, z zadowoleniem zjadła kolację z baraniny i kaszy, po czym zasnęła na słomianych siennikach w górnej izbie.

Rankiem wyruszyli ponownie Trompada, która teraz wiodła szeroką, płytką doliną wzdłuż Północnego Evander, w kierunku odległych, purpurowych wyniesień Tac Tor.

Po paru godzinach okolica zaczęła się wznosić, a wzgórza po obu stronach drogi zaczęły się ścieśniać w pobliżu wąwozu Północnego Evander. Tintzin Fyral był już tylko w odległości pięciu mil na południe. Trzy mile dalej, gdzie bliskość zamku rzucała cień zagrożenia na okolicę, Aillas odnalazł niewyraźny szlak, wiodący w bok i w górę wąwozu. Aillas sądził, że może on być tym samym szlakiem, którym kiedyś, dawno temu miał nadzieję zejść ze zboczy Tac Tor.

Ścieżka wspinała się długim górskim grzbietem jak wygięty korzeń drzewa, potem łagodną granią, stosunkowo łatwą trasą. Aillas poprowadził aż do niedużej niecki, gdzie przedtem obozował, zaledwie kilkadziesiąt jardów pod płaskim szczytem Tac Tor.

Znalazł Nigdy-Nie-Zawodzącego tam, gdzie go pozostawił. Tak jak uprzednio strzałka wskazywała mniej więcej na północny wschód.

– Gdzieś w tym kierunku – powiedział Aillas – znajduje się mój syn i tam właśnie muszę się udać.

– Masz do wyboru dwie trasy – oznajmił Garstang. – Z powrotem, szlakiem, którym tu przyszlismy, potem na wschód albo Starym Traktem przez Lyonesse, a potem na północ do Dahautu.



Pierwsza jest może krótsza, ale druga omija puszcę, przez co jest w ostateczności szybsza.

– Pojedziemy tą drugą, jak najbardziej – powiedział Aillas.

Przeszli przez Kaul Bocach i wkroczyli do Lyonesse. Po drodze nic się nie wydarzyło. Przy Nolsby Sevan skręcili na wschód, podążając Starym Traktem, i po czterech dniach wędrówki dotarli do miasta Au-delart. Tutaj Garstang opuścił przyjaciół.

– Do Twanbow Hall jest stąd zaledwie dwadzieścia mil na południe. Będę w domu na kolację i moje przygody staną się jedynie niesamowitymi opowiadaniem. – Powiedziawszy to, objął trzech przyjaciół. – Nie muszę chyba mówić, że będziecie zawsze mile widzianymi gośćmi w Twanbow! Wiele razem przeszliśmy, razem doświadczyliśmy wielu trudów. Nigdy tego nie zapomnę!

– Ani ja!

– Ani ja!

– Ani ja!

Aillas, Cargus i Yane obserwowali Garstanga, odjeżdżającego na południe, dopóki nie zniknął im z oczu. Aillas westchnął.

– Teraz jest nas trzech.

– Nasza grupa maleje, odchodzi jeden po drugim – odezwał się Cargus.

– Chodźcie – powiedział Yane. – Ruszajmy stąd. Nie możemy się rozczulać.

Wyjechali we trójkę z Audelart, ciągle trzymając się Starego Traktu, i po trzech dniach przybyli do Tatwillow, gdzie Stary Trakt krzyżował się z Drogą Icniel. Nigdy-Nie-Zawodzący wskazywał na północ, w kierunku Avallonu. Był to dobry znak, przynajmniej mogło się tak wydawać, skoro trasa ta omijała puszcę.

Wyruszyli Drogą Icniel w stronę Avallonu w Dahaucie.



Glyneth i Dhrun przyłączyli się do doktora Fideliusa podczas dorocznego jarmarku wydmuchiwczy szkła w Hazelwood. W ciągu kilku pierwszych dni stosunki pomiędzy nimi były powściągliwe, jakby wy-próbowywali się nawzajem. Glyneth i Dhrun zachowywali się ostrożnie, jakby mieli do czynienia z kruchym jajkiem, cały czas obserwując doktora Fideliusa, chcąc zawczasu wyczuć nagłe irytacje lub wybuchy gniewu. Doktor Fidelius jednakże, zapewniwszy im możliwe wygody, okazywał im tak obojętną i bezosobową grzeczność, iż Glyneth zaczęła się obawiać, że ich nie lubi.

Shimrod w swym przebraniu lekarza też ich uważnie obserwował. Ich zachowanie budziło jego podziw i był zupełnie oczarowany ich staraniami dogodzenia mu. Byli dla niego niezwykłą parą: czysti i schludni, inteligentni i kochający. Wrodzona wesołość Glyneth od czasu do czasu wybuchała gwałtowną żywiołowością, którą szybko opanowywała, bojąc się, że może rozgniewać doktora Fideliusa. Dhrun z kolei miał skłonność do nie otwierania ust przez dłuższe okresy czasu. Siadywał, wpatrując się ślepo w słońce i rozmyślając nad własnymi sprawami.

Po opuszczeniu jarmarku wydmuchiwczy szkła Shimrod skierował swój wóz na północ, w kierunku targowego miasteczka Porroigh, gdzie odbywał się coroczny jarmark owczarzy. Późnym popołudniem zjechał z drogi i zatrzymał wóz w małej dolince przy strumieniu. Glyneth nazbierała chrustu i rozpałała ognisko. Shimrod ustawił trójnóg, zawiesił na nim garnek i ugotował gęstą zupę z kurczaka, cebuli, rzepy, zielonych warzyw i pietruszki, przyprawioną czosnkiem i ziarenkami gorczycy.

Glyneth nazbierała rzeżuchę na sałatkę i znalazła kępę szczawiu, a Shimrod dołożył go do zupy. Dhrun siedział cicho nie opodal, słuchając wiatru szumiącego pomiędzy drzewami i trzasku ognia.

Po obfitym posiłku usiedli wygodnie, ciesząc się z pięknego wieczoru. Shimrod spojrzał na nich, przenosząc wzrok raz na jedno, raz na drugie.

– Muszę wam o czymś powiedzieć. Podróżuję już po Dahaucie od miesiący, odwiedzając jarmark po jarmarku i aż do teraz, kiedy od paru dni jesteście ze mną, nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo byłem samotny.

Glyneth odetchnęła z ulgą.

– To dla nas dobra nowina, ponieważ i my bardzo lubimy wędrowanie z tobą. Nie śmiem powiedzieć, że mamy szczęście, gdyż nie chciałabym drażnić losu i rzuconej na Dhruna klątwy.

– Powiedz mi o tej klątwie.

Dhrun i Glyneth opowiedzieli osobno swoje historie i potem to, co przeszli razem.

– Tak więc, najbardziej pragniemy teraz znaleźć Rhodiona, króla wszystkich elfów, i doprowadzić do tego, by cofnął klątwę i przywrócił Dhrunowi wzrok.

– Słyszając tę czarodziejską kobzę prędzej czy później zatrzyma się, aby posłuchać – powiedział Shimrod. – Dla większej pewności ja również będę się za nim rozglądać.

Dhrun z zadumą w głosie zapytał:

– Czy widziałeś go kiedyś?

– Szczerze mówiąc, rozglądałem się za kimś innym. Glyneth powiedziała:

– Wiem za kim, za mężczyzną z chorymi kolanami, które mu skrzypią i klekoczą, jak chodzi.

– Jak do tego doszłaś?

– Ponieważ tak często krzyczysz o tych chorych kolanach. Kiedy zaś już ktoś podchodzi do przodu, patrzysz raczej na jego twarz, niż na kolana, i zawsze jesteś rozczarowany. Dajesz mu słój maści i odsyłasz go, nadal kulejącego.

Shimrod uśmiechnął się krzywo w blasku ogniska.

– Czy aż tak łatwo mnie przejrzeć?

– Raczej nie – odparła skromnie Glyneth. – Tak na prawdę to jesteś dosyć tajemniczy.

Tym razem Shimrod zaśmiał się na cały głos.

– Dlaczego tak mówisz?

– Och, na przykład, jak nauczyłeś się przygotowywać tak wiele lekarstw?

– Nie ma w tym żadnej tajemnicy. Parę z nich to powszechnie znane środki, wszędzie o nich wiedzą. Pozostałe to proszek z kości, zmieszany ze słoniną lub tłuszczem z roślin, przyprawiony na wiele różnych smaków. Nie są szkodliwe, a czasami mogą pomóc. Znacznie bardziej jednak, niż sprzedawać te lekarstwa, pragnę znaleźć tego człowieka o chorych kolanach. Tak jak Rhodion, bywa on na jarmarkach i znajdę go, prędzej czy później.

Dhrun zapytał:

– Co się wtedy stanie?

– On mi powie, gdzie mam szukać kogoś innego.

Wóz doktora Fideliusa i jego dwojga przyjaciół przemierzał kraj z południa na północ, zatrzymując się na jarmarkach i festiwalach, od Dafnes nad rzeką Lull do Duddlebatz, za którym rozciągały się kamieniste nieużytki Godelii. W ciągu długich dni podróży jechali cienistymi polnymi drogami, wzgórzami i dolinami, przez ciemne lasy i stare wsie. Były noce, które spędzali przy ognisku, a księżyc w pełni przeświecał przez chmury i towarzyszył im. I były inne noce pod rozgwieżdżonym niebem. Jednego popołudnia, kiedy jechali przez bezładne wrzosowisko, Glyneth usłyszała żalosne odgłosy, dobiegające z rowu przy drodze. Zeskoczyła z wozu i pomiędzy ostami znalazła dwa małe cętkowane kotki, które porzucono tam na pastwę losu. Zawołała i kociaki zaraz do niej podbiegły. Rozplakała się nad nimi i zabrała je do wozu. Kiedy Shimrod pozwolił jej zatrzymać kotki, rzuciła mu się na szyję i pocałowała go, a on wiedział, że na zawsze będzie już jej niewolnikiem, jeśli nie nastąpiło to wcześniej.

Glyneth nazwała kotki Smirrish i Sneezer i od razu zabrała się do uczenia ich różnych sztuczek.

Z północy skręcili na zachód, przez Ammarsdale i Scarhead, do Tins na pograniczu Ulflandów, trzydzieści mil na północ od budzącej grozę skalradzkiej fortecy Poelitetz. Był to ponury kraj i byli zadowoleni, mogąc raz jeszcze skręcić na wschód wzdłuż rzeki Murmeil.

Lato było długie. Dni przynosiły im wszystkim to radości, to problemy. Dziwne, niewielkie pechowe wydarzenia regularnie nękały Dhruna. To oparzył sobie rękę gorącą wodą, to deszcz zalał jego posłanie albo upadł w pokrzywy, kiedy szedł się załatwić za krzakiem. Nigdy się nie skarżył, czym zasłużył sobie na szacunek Shimroda, którego początkowy sceptycyzm, jeśli chodzi o klątwę, zaczął się przeradzać w wiarę w jej prawdziwość. Pewnego dnia Dhrun nadepnął na kolec, który wbił mu się głęboko w piętę. Shimrod wyjął go, a Dhrun podczas tej operacji siedział cicho, zagryzając usta. Shimrod był tak tym poruszony, że przytulił chłopca i poklepał go po głowie.

– Jesteś odważnym chłopakiem. W ten czy inny sposób położymy kres tej klątwie. W najgorszym przypadku może trwać tylko siedem lat.

Jak zawsze, Dhrun zastanowił się przez chwilę, zanim powiedział:

– Kolec to drobnostka. Wiesz, czego się naprawdę obawiam od złego losu? Że zmęczy cię nasze towarzystwo i wysadzisz nas gdzieś z wozu.

Shimrod zaśmiał się i poczuł, jak oczy mu wilgotnieją. Raz jeszcze mocno przytulił Dhruna.

– Nigdy bym tego nie zrobił, obiecuję to wam. Nie poradziłyby sobie bez was.

– A jednak, zły los, jest złym losem.

– To prawda. Nikt nie wie, co przyniesie przyszłość.

Niemal w tej samej chwili iskra z ogniska spadła Dhrunowi na kostkę.

– Aj! – powiedział Dhrun. – To się nazywa mieć szczęście.

Każdego dnia doświadczali czegoś nowego. Podczas jarmarku w Playmont lord Jocelyn z zamku Foire urządził wspaniały turniej rycerski, na którym walczyli zbrojni rycerze i współzawodniczyli w nowym sporcie, znanym jako potyczki na kopie. Dosiadłszy silnych koni, i w pełnym rynsztunku, atakowali jeden drugiego tyczkami owiniętymi na końcu słomą, próbując zwalić przeciwnika z konia.

Z Playmont udali się do Long Danns, jadąc skrajem Puszczy Tan-trevalles. Przybyli tam w południe i jarmark odbywał się już w najlepsze. Shimrod wyprzągł swoje czarodziejskie dwugłowe konie, dał im obroku, opuścił boczną ścianę wozu, która służyła za platformę, i wywiesił tablicę z napisem:

DOKTOR FIDELIUS CUDOTWÓRCA, SOFISTA, SZARLATAN *Leczy narośle, grypy i spazmy* SPECJALISTA W LECZENIU CHORYCH KOLAN *Fachowe porady za darmo*

Potem zniknął w wozie, by ubrać czarną togę i włożyć czarnoksięski kapelusz.

Glyneth i Dhrun stali z boku platformy i bili w bębunki. Byli ubrani jak giermkowie, w niskie białe buty, niebieskie pończochy i pantalone, obcisłe wdzianka w pionowe niebiesko-czarne paski z niebieskimi serduszkami przyszytymi do niebieskich pasków. Na głowach mieli berety z czarnego aksamitu.

Doktor Fidelius wyszedł na platformę i zawołał do widzów, wskazując na tablicę:

– Widzicie, że przedstawiam się jako szarlatan. Powód jest prosty. Czy nazwie ktoś motyla frywolnym? Kto obrazi krowę, wołając na nią wół? Kto nazwie szarlatana z wyboru oszustem? Czy jestem w takim razie szarlatanem i oszustem? – Teraz Glyneth wskoczyła na platformę i stanęła obok niego. – Musicie to sami ocenić. Przyjrzyjcie się mojej ślicznej towarzysze, gdybyście jeszcze przypadkiem jej nie zauważyli. Glyneth, otwórz szeroko usta. Panie i panowie, przyjrzyjcie się tym narządom! To są zęby, to jest język, za nim gardło i struny głosowe w ich naturalnym stanie. Obserwujcie teraz, jak włożę do tych ust pomarańczę, nie za dużą i nie za małą, ale o dokładnej i odpowiedniej wielkości. Glyneth, zamknij usta, jeśli łaska i jeśli możesz, oczywiście... Wspaniale! Teraz, panowie i panie, przyjrzyjcie się tej dziewczynce z nadętymi policzkami. Poklepię ją po lewym i po prawym, otóż i to! Policzki wyglądają tak jak przedtem. Glyneth, co zrobiłaś z tą pomarańczą? Toż to wielce niezwykle! Otwórz usta, jesteśmy zadziwieni!

Glyneth posłusznie otworzyła buzię i doktor Fidelius spojrział do środka. Obwieścił zadziwiony:

– Co to jest? – Sięgnął do środka kciukiem i palcem wskazującym. – To nie jest pomarańcza, to piękna czerwona róża! Cóż więcej tam jest? Popatrzcie panowie i panie! Trzy dorodne dojrzałe wiśnie! Co jeszcze? Cóż to jest? Hufnale do podków! Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć! A to co? Sama podkowa! Glyneth, jak to możliwe? Masz tam jeszcze jakieś niespodzianki? Otwórz usta szeroko... O niebiosa, mysz! Glyneth, jak mogłaś skonsumować to wszystko?

Glyneth odpowiedziała czystym, dzwięcznym głosem:

– Jadłam pańskie pastylki na trawienie! Doktor Fidelius rozłożył ramiona.

– Dość! Pokonałaś mnie moją własną bronią! – Glyneth zeskoczyła z platformy. – Czy istotnie, wszystkie moje mikstury i toniki, proszki, pigułki i środki przeczyszczające, są tak skuteczne, jak utrzymuję? Panowie i panie, gwarantuję wam, że gdybyście mieli zasłać i umrzeć po zażyciu moich lekarstw, będziecie mogli oddać mi nie zużytą miksturę za częściowym zwrotem kosztów. Gdzież indziej usłyszelibyście taką gwarancję?

W szczególności jestem ekspertem, jeśli chodzi o chore kolana, a przede wszystkim te, które trzeszczą, klekocą lub są dokuczliwe w inny sposób. Jeżeli ktoś z was lub ktoś, kogo znacie, cierpi z powodu chorych kolan, chcę zobaczyć tego biedaka.

A teraz pozwólcie, że przedstawię wam mego drugiego towarzysza, szacownego i utalentowanego sir Dhruna. Zagra on na elfowej kobzie i swoją muzyką sprawi, że będziecie się śmiać, płakać, a nogi same was poniosą do tańca. A tymczasem Glyneth będzie wydawać leki, które ja przepiszę. Panowie i panie, ostatnie słowo! Zawiadamia się niniejszym, że moje maści pieką i mrowią skórę, jakby były destylowane z płynnego ognia. Moje lekarstwa smakują ohydnie: goryczą, psimjadem i zgnilizną. Ciało jednakże szybko powraca do dobrego zdrowia, tak że nie potrzebuje już więcej przyjmować cuchnących wywarów! To cały sekret mojego sukcesu. Muzyka, sir Dhrunie!

Glyneth kręciła się wśród tłumu i wyglądała kogoś w orze-chowobrazowym ubraniu i purpurowym piórku przy zielonym kapeluszu, kto jakoś szczególnie przysłuchiwałby się muzyce Dhruna. Jednak w to słoneczne przedpołudnie w Long Danms, w pobliżu Puszczy Tan-trevalles, żadna taka osoba się nie pojawiła, nie pojawił się też żaden łotr o ciemnym obliczu i długim nosie u doktora Fideliusa po remedium na chore kolana.

Po południu zerwał się wiatr z zachodu i zaczął trzepotać proporcami. Glyneth wyniosła wysoki stół i taboret na wysokich nogach dla Dhruna. Przyniosła też z wozu koszyk i podczas gdy Dhrun wygrywał wesołe melodyjki, wyjęła z kosza swoje biało-czarne kotki. Uderzyła pałeczką w stół, a koty uniosły się na tylne łapy i tańczyły przez chwilę do muzyki, podskakując na stole w przód i w tył. Szybko zebrał się tłum gapiów. Stojący z tyłu młody mężczyzna o lisiej twarzy, niski i wytworny, wydawał się wyjątkowo entuzjastyczny. Pstrykał palcami w takt muzyki i nawet zaczął tańczyć, wymachując nogami z dużą zręcznością. Jak zauważyła Glyneth, nosił zielony kapelusz z długim czerwonym piórkiem. Pospiesznie schowała koty do koszyka i, podchodząc chyłkiem od tyłu do tańczącego mężczyzny, złapała jego kapelusz i pobiegła za wóz. Zaskoczony młody człowiek pogonił za nią.

– Co wyprawiasz? Oddaj mi kapelusz!

– Nie – powiedziała Glyneth. – Nie oddam go, dopóki nie spełnisz moich życzeń.

– Jesteś szalona? Co to za głupoty? Nie mogę spełnić moich własnych życzeń, a cóż dopiero twoich. A teraz oddaj mi kapelusz albo będę musiał sam ci go zabrać i porządnie cię zbić w ramach zapłaty.

– Nigdy – oświadczyła Glyneth. – Jesteś Rhodionem. Mam twój kapelusz i nie wypuszczę go z rąk, dopóki mnie nie usłuchasz.

– Jeszcze zobaczymy! – Młodzieniec złapał Glyneth i walczyli ze sobą, aż konie zaczęły parskać, wierzgać i, pokazując długie białe zęby, ruszyły na młodego człowieka, który cofnął się przestraszony.

Shimrod zeskoczył z wozu, a mężczyzna zawołał rozwścieczony:

– Ta pańska dziewczyna jest szalona! Porwała mi kapelusz i uciekła z nim, a kiedy o niego proszę, najgrzeczniej jak to możliwe, ona mówi mi nie i nazywa mnie Rhodionem lub jakoś tak. Nazywam się Tibbalt, mam w wiosce Witherwood sklep ze świecami, mydłami i farbami. Przyjechałem na jarmark kupić воск. Niemal od razu zostałem pozbawiony kapelusza i to przez szaloną, rozpuszczoną dziewczuchę, która do tego wymaga, abym jej słuchał! Słyszał ktoś kiedyś coś podobnego?

Shimrod z powagą pokiwał głową.

– Ona nie jest złą dziewczyną, tylko odrobinę impulsywną i skłoną do żartów. – Zrobił krok do przodu. – Sir, pan pozwoli. – Przeczesał na bok brązowe włosy Tibbalta. – Glyneth, przyjrzyj się!

Ten pan ma zupełnie normalne, prawidłowo rozwinięte uszy.

Glyneth spojrzała i skinęła.

– Rzeczywiście tak jest.

– Ale co to ma wspólnego z moim kapeluszem? – zapytał Tibbalt urażony.

– Proszę mi wyświadczyć jeszcze jedną przysługę – powiedział Shimrod. – Proszę mi pokazać pańską rękę... Glyneth, zauważ te paznokcie – nie ma ani śladu błonki ani pomiędzy palcami, ani na paznokciach.

Glyneth skinęła.

– Widzę. Mogę więc oddać mu jego kapelusz?

– W rzeczy samej, przede wszystkim dlatego, że ten szlachcic pachnie liśćmi laurowymi i pszczelim woskiem.

Glyneth zwróciła kapelusz.

– Sir, proszę wybaczyć mi moją psotę. Shimrod dał Tibbaltowi gliniany słoik.

– Z najlepszymi życzeniami, proszę, przyjmij te pół kwarty pomady do włosów, dzięki której brwi, broda i wąsy będą rosły bujne i jedwabiste.

Tibbalt oddalił się w dobrym nastroju. Glyneth wróciła przed wóz do Dhruna i opowiedziała mu o swojej pomyłce. On zaledwie wzruszył ramionami i raz jeszcze zaczął grać na kobzie. Glyneth ponownie zaprezentowała koty, które tańczyły i podskakiwały z zapalem, ku wielkiej uciechu tych, którzy przystanęli i przyglądali się.

– Cudownie, cudownie! – zawołał korpulentny, niski jegomość o wrzecionowatych nogach, chudych kostkach i długich, wąskich stopach odzianych w buty z zielonej skóry, z niesamowicie wysoko podwiniętymi czubkami. – Mój chłopcze, gdzie nauczyłeś się tak grać na tej kobzie? – spytał.

– To dar od elfów.

– Co za cudo! Prawdziwy magiczny dar!

Nagle zawiał silniej wiatr. Kapelusz mężczyzny poszybował z jego głowy i upadł Glyneth u stóp. Podniosła go i zauważyła purpurowe piórko. Podejrzliwie spojrzała na mężczyznę, który z uśmiechem wyciągnął dłoń.

– Dziękuję, moja ślicznotko. Nagrodzę cię całusem.

Glyneth przyjrzała się wyciągniętej dłoni, która była blada i pulchna, o delikatnych palcach. Paznokcie były zadbane i wypolerowane na mlecznoróżowy kolor. Czy to była błonka? A te fałdy skóry pomiędzy palcami – czy to była błonka? Glyneth powoli uniosła wzrok i napotkała spojrzenie mężczyzny. Jego oczy były płowobrazowe. Rzadkie piaskowe włosy kręciły mu się, zakrywając uszy. Wiatr ruszył kosmykami Zafascynowana Glyneth zobaczyła uszy. Były małe, nie większe niż malutkie dołki z różowej tkanki. U góry były ciągle zasłonięte włosami.

Jegomość przestąpił z nogi na nogę i rzekł:

– Mój kapelusz, jeśli łaska!

– Jedną chwilkę, strzepnę tylko kurz. – Sneezer i Smirrish kolejny raz zostały wpakowane do kosza, a Glyneth uciekła z kapeluszem.

Z dużą zręcznością mężczyzna dał za nią susa i tak wymanewrował, że przycisnął Glyneth do wozu w miejscu, gdzie nie byli widoczni dla tłumu.

– A teraz, panienko, mój kapelusz, a potem dostaniesz buziaka.

– Nie dostaniesz swojego kapelusza, dopóki nie spełnisz moich życzeń.

– Hę? Co to za nonsens? Dlaczego miałbym spełniać twoje życzenia?

– Ponieważ, Wasza Wysokość, trzymam pański kapelusz. Jegomość spojrzał na nią z ukosa.

– Cóż ty sobie myślisz, że kim ja niby jestem?

– Jesteś Rhodion, król elfów.

– Ha, ha, ha! I co chcesz, żebym zrobił?

– Żadna wielka sprawa. Cofnij tylko klątwę, która ciąży nad Dhru-nem, i przywróć mu wzrok.

– To wszystko za mój kapelusz? – Korpulentny szlachcic zbliżał się do Glyneth z otwartymi ramionami. – Teraz zaś, moja puszysta mała kaczuszeko, obejmę cię! Jak miło trzymać cię w ramionach! No to buziaka, a może nawet coś więcej...

Glyneth zrobiła unik pod jego ramionami i, zręcznie uskakując do tyłu i do przodu, uciekła za wóz. Mężczyzna pobiegł za nią, wykrzykując czułości i błagając o zwrot kapelusza.

Jeden z koni wyciągnął nieco szyję i uszczypnął go boleśnie w pośladek, ale on jedynie ruszył zważnie dookoła wozu, gdzie zatrzymała się Glyneth, uśmiechając się psotliwie i z niechęcią, widząc, w jakim stanie znajdował się ów jegomość.

– Mój mały kociaczku! Mój mały, przepyszny cukiereczku! Chodź po całusa! Pamiętaj, jestem królem Rat-a-tat-tat, czy jak też mnie tam zowiesz, i spełnię twoje najwymyślniejsze życzenia! Ale najpierw pozwól mi zbadać, co znajduje się pod tym pięknym odzieniem!

Glyneth odskoczyła do tyłu i rzuciła mu kapelusz pod nogi.

– Nie jesteś królem Rhodionem. Jesteś miejscowym golarzem i impertynenckim rozpustnikiem, aż po czubki twoich butów. Oddaję ci ten kapelusz!

Dżentelmen huknął tryumfalnym śmiechem. Wcisnął kapelusz na głowę i podskoczył wysoko, śmigając w powietrzu piętami. Zawołał wielce rozradowany:

– Oszukałem cię! Oho! Co za radość, kiedy można omamić śmiertelników! Miałaś mój kapelusz, mogłaś mieć mnie na swoje usługi! Ale teraz...

Shimrod wyszedł z cienia za jego plecami i porwał mu kapelusz.

– Ale teraz – rzucił go do Glyneth – ona ma go na nowo, a ty musisz spełnić jej żądania!

Król Rhodion stał zbity z tropu, patrząc szeroko otwartymi, przygnębnymi oczami.

– Miej litość! Nie zmuszaj nigdy biednego elfa do posłuszeństwa, to mnie nuży i przyprawia o smutek!

– Jestem bezlitosna – powiedziała Glyneth. Odwołała Dhruna z jego taboretu i zaprowadziła na tył wozu.

– To jest Dhrun, który swe najmłodsze lata spędził w Thripsey Shee.

– Tak, to władztwo Throbiosa, wesołe shee, znane ze swoich widowisk!

– Dhrun został stamtąd wyrzucony i odesłany z klątwą złego losu, wiszącą mu nad głową, przez co jest teraz ślepy, bo przyglądał się driadom podczas kąpieli. Musisz cofnąć klątwę i przywrócić mu wzrok!

Rhodion dmuchnął w małą złotą fujarkę i uczynił znak w powietrzu. Minęła minuta. Tu za wozem odgłosy jarmarku były stłumione, miało się wrażenie, jakby był on gdzieś daleko. Nagle usłyszeli ciche „pop” i król Throbios z Thripsey Shee stanął przed nimi. Upadł na jedno kolano przez królem Rhodionem, który łaskawym gestem zezwolił mu powstać.

– Throbiosie, jest tutaj Dhrun, którym opiekowałaś się kiedyś w Thripsey Shee.

– Doprawdy, to Dhrun. Pamiętam go dobrze. Był miły i cieszył nas wszystkich.

– Dlaczego więc odesłałaś go z klątwą?

– Zaprawdę, zła to polityka, która jest przyczyną tego, że śmiertelnicy nas lekceważą i myślą, że wystarczy kichnąć lub pocierpieć odrobinę, byśmy cofnęli nałożoną na nich klątwę.

– W tym przypadku musi ona zostać cofnięta.

Król Throbios podszedł do Dhruna i dotknął jego ramienia.

– Dhrunie, błogosławię cię szczodrobliwością fortuny! Odwołuję to wszystko, co było



przyczyną twoich cierpień, niech wszystkie złośliwe wpływy, które obarczyły cię takim złem wracają z piskiem do Thinsmo-le.

Twarz Dhruna była blada i ściągnięta. Nie drgnął mu na niej ani jeden mięsień, kiedy słuchał tych słów. Zapytał słabym głosem:

– A co z moimi oczami? Throbius rzekł z kurtuazją:

– Mój Dhrunie, to driady cię oślepiły. Był to zły los w najgorszym wydaniu, ale było to nieszczęście zupełnie przypadkowe, a nie spowodowane klątwą. Twoja ślepotą nie została wywołana przez nas. To sprawa driady Fedozji i nie możemy nic na to poradzić.

– Idźcie się więc dogadać z driadą Fedozją – rzekł Shimrod – i zaproponujcie jej swe elfowe usługi w zamian za cofnięcie czaru.

– Ach, złapaliśmy kiedyś Fedozję i inną, o imieniu Lauris, kiedy spały. Zabraliśmy je ze sobą, aby wykorzystać je dla zabawy w naszych widowiskach. Zepsuła je furia, która nimi zawładnęła, i uciekły do Arkadii. Nie możemy tam pójść, zresztą ona i tak straciła całą swoją czarodziejską moc.

– W takim razie, jak wyleczyć Dhrunowi oczy?

– Nie elfową mocą – powiedział król Rhodion. – To jest poza granicami naszych umiejętności.

– Musicie ustąpić i poprosić o coś innego.

– Ja nic nie chcę – powiedział kamiennym głosem Dhrun. – Mogą mi oddać jedynie to, co mi zabrali.

Shimrod zwrócił się do Glyneth:

– Ty trzymasz kapelusz, ty możesz wypowiedzieć życzenie.

– Co? – krzyknął król Rhodion. – Toż to jawne wykorzystywanie sytuacji! Czy nie sprowadziłem tutaj króla Throbiusa i nie cofnąłem klątwy?

– Naprawiłeś jedynie szkody przez was wyrządzone. To nie jest spełnienie prawdziwego życzenia. Zaledwie sprawiedliwości stało się zadość, ale gdzie rekompensata za jego cierpienia?

– On nie chce niczego, nie możemy mu więc dać czegoś, czego nie pragnie.

– Glyneth trzyma kapelusz, musisz spełnić jej życzenia. Wszyscy spojrzeli na Glyneth.

– Czego pragniesz najbardziej? – zapytał ją Shimrod.

– Chcę podróżować z tobą i z Dhrunem w tym wozie, zawsze. Shimrod powiedział:

– Pamiętaj jednak, że pewne rzeczy się kiedyś zmienią i nie będziemy zawsze podróżować w tym wozie.

– To chcę na zawsze zostać z tobą i z Dhrunem.

– To jest przyszłość – odparł Rhodion. – Nie mam takiej mocy, by ją kontrolować; chyba że chcesz, bym zabił was tu wszystkich troje na miejscu i pogrzebał pod wozem.

Glyneth potrząsnęła głową.

– Możesz mi pomóc. Moje koty często są nieposłuszne i ignorują moje polecenia. Gdybym mogła z nimi rozmawiać, nie mogłyby udawać, że mnie nie rozumieją. Chciałabym również rozmawiać z końmi i ptakami, i wszystkimi innymi żyjącymi istotami, nawet drzewami, kwiatami i owadami!

Król Rhodion mruknął:

– Drzewa i kwiaty nie rozmawiają ani nie słuchają. Wzdychają jedynie do siebie. Owady przeraziłyby cię, gdybyś usłyszała ich rozmowy, i śniłyby ci się potem koszmary.

– A mogę rozmawiać z ptakami i zwierzętami?

– Weź ten ołowiany amulet z mojego kapelusza i zawieś go sobie na szyi, a spełni się twoje życzenie. Nie spodziewaj się wielkich odkryć, ptaki i zwierzęta są zazwyczaj głupie.

– Sneezer i Smirrish są wystarczająco bystre – powiedziała Glyneth-h. – Bardzo możliwe, że spodobały mi się nasze rozmowy.

– Bardzo dobrze więc – grzecznie powiedział król Rhodion. Zabrał kapelusz, gdyż Glyneth przestała zaciskać na nim palce, i wsadził go sobie na głowę.

– Gra skończona, raz jeszcze zostałem przechytrzony przez śmiertelników, chociaż tym razem była to prawdziwa przyjemność. Throbiu-sie, możesz wrócić do Thripsey Shee, jeśli chcesz, ja natomiast udaję się do Shadow Thawn.

Król Throbius uniósł dłoń.

– Jeszcze tylko jedna i ostatnia sprawa. Może w jakimś stopniu wynagrodzę Dhrunowi skutki klątwy. Dhrunie, posłuchaj. Wiele miesięcy temu do Thripsey Shee przybył rycerz i zażądał wszystkich informacji na temat swojego syna Dhruna. Wymieniliśmy podarunki. Ja dostałem klejnot koloru *smaudre*, on otrzymał Nigdy-Nie-Zawodzącego, wskazującego nieustannie w twoim kierunku. Nie znalazł cię jeszcze? W takim razie coś pokrzyżowało mu plany albo nawet nie żyje, jako że był wyjątkowo zdecydowany w tej kwestii.

Dhrun przemówił zduszonym głosem:

– Jak miał na imię?

– Był to sir Aillas, książę z Troicinetu. Odchodził. – Jego postać robiła się coraz bardziej przezręczysta, w końcu zniknęła zupełnie. Usłyszeli jego głos jakby z bardzo daleka: – Już mnie nie ma.

Król Rhodion zatrzymał się na swych kościstych nogach, Po czym przyszedł znowu przed wóz.

– Jeszcze jedna mała sprawa, ku uwadze Glyneth. Amulet ma moją gwarancję. Nosząc go, nie musisz się obawiać żadnych leśnych istot, jak chociażby elfów czy chochlików, trolli czy trolli olbrzymów. Strzeż się natomiast duchów i centaurów, szarych i białych ogrów, a także tego, co żyje na bagnach.

Król Rhodion ruszył dookoła wozu. Kiedy za nim poszli, nie było go już nigdzie widać.

Glyneth poszła po koszyk z kotami, który zostawiła na przednim siedzeniu wozu i odkryła, że Smirrish uchyliła pokrywę i niewiele brakowało, a wy dostałaby się na wolność.

Glyneth zawołała:

– Smirrish, to bardzo brzydko! Wiesz przecież, że powinniście siedzieć w koszu.

Smirrish powiedziała:

– Tu w środku jest gorąco i duszno. Wolę świeże powietrze i zamierzam zwiedzić dach wozu.

– Bardzo dobrze, ale teraz musisz tańczyć i zabawiać ludzi, którzy oglądają cię z podziwem.

– Jeśli mnie uwielbiają, niech sami sobie tańczą. Sneezer jest równie chętny, jeśli o to chodzi.

Tańczymy jedynie, by zadowolić ciebie.

– To całkiem rozsądne, skoro karmię was najlepszym mlekiem i rybami. Krnąbrne i nieznośne koty będą musiały się obejść chlebem i wodą.

Sneezer, słuchający wszystkiego z wnętrza kosza, szybko zawołał:

– Nie obawiaj się! Jeśli musimy tańczyć, to będziemy tańczyć, chociaż nie rozumiem dlaczego. Nic mnie nie obchodzi ci, którzy zatrzymują się, aby nas oglądać.

Słońce schowało się za warstwą ciężkich, burzowych chmur, które zakryły wieczorne niebo i ciemności zapanowały na placu w Long Dann. Kilkadziesiąt małych ognisk zamigotało w chłodnym, wilgotnym powietrzu, a handlarze, kupcy i sprzedawcy skulili się nad swoimi porcjami jedzenia, spoglądając pytająco na posępne niebo, obawiając się nadchodzącego deszczu, który zmoczyłby ich i wszystkie ich towary.

Przy ognisku za wozem Shimrod, Glyneth i Dhrun siedzieli i czekali, aż im się ugotuje

wieczorna strawa. Każde z men pogrążone było w swoich własnych myślach i ostatecznie Shimrod przerwał panującą ciszę.

– Był to z pewnością ciekawy dzień.

– Mógłby być gorszy i mógłby być lepszy – powiedziała Glyneth. Spojrzała na Dhruna, który siedział, obejmując kolana ramionami, nie widzącym wzrokiem wpatrując się w ogień, ale ten nic nie powiedział. -Klątwa została cofnięta, więc przynajmniej zły los nie będzie nas więcej prześladować. Nie możemy jednak mówić o sprzyjającym losie, dopóki Dhrun nie odzyska wzroku.

Shimrod dołożył drwa do ognia.

– Przemierzyłem Dahaut w poszukiwaniu człowieka z chorymi kolanami, o czym sami wiecie. Jeżeli nie znajdę go na jarmarku w Aval-lon, pojedziemy do Swer Smod w Lyonesse. Jeśli ktokolwiek może tu pomóc, będzie to Murgen.

– Dhrun! – wyszeptała Glyneth. – Nie wolno ci płakać!

– Ja nie płaczę.

– Tak, płaczesz. Łzy spływają ci po policzkach. Dhrun zamrugął i przetarł oczy zaciśniętymi dłońmi.

– Bez was umarłbym z głodu i zjadłyby mnie psy.

– Nie pozwolimy, byś umarł z głodu. – Glyneth objęła go ramieniem. – Jesteś kimś ważnym, synem księcia. Któregoś dnia sam zostaniesz księciem.

– Mam nadzieję.

– Zjedz więc swoją zupę i zaraz poczujesz się lepiej. Zauważyłam również ładny kawałek melona, który czeka tu na ciebie.



## Rozdział 26

Pokoje Carfilhiota na najwyższych kondygnacjach Tintzin Fyral były niewielkich rozmiarów. Miały pobielone ściany, wyszorowane do białości drewniane podłogi i skromne meble. Carfilhiot nie chciał nic bardziej wyszukanego. To skromne otoczenie łagodziło jego czasami zbyt impulsywne usposobienie.

Carfilhiot prowadził uregulowany tryb życia. Zwykł wstawać wcześniej rano, często o wschodzie słońca, potem jadł śniadanie, składające się z owoców, słodkich bułeczek, rodzynek i czasami kilku marynowanych ostryg. Zawsze jadał sam. O tej porze raziłby go widok innych ludzkich istot i mogłoby to mieć niekorzystny wpływ na resztę dnia.

Lato przechodziło w jesień. Lekkie mgły zaczynały się unosić na Dolinę Evander. Carfilhiot był niespokojny i podenerwowany z powodu, którego sam nie umiał określić. Tintzin Fyral służył wielu jego celom bardzo dobrze, było to jednak miejsce odległe, coś w rodzaju zagubionego zakątka, skąd nie mógł panować nad wszystkimi tymi sprawami, które dla innych czarodziei, być może ważniejszych od niego -Carfilhiot uważał się za czarodzieja – były na porządku dziennym. Jego zachcianki, wyprawy, nowinki i kaprysy – być może nie były niczym więcej jak tylko iluzją. Czas mijał, a on, pomimo wszystkich aktualnych przedsięwzięć, nie zbliżył się ani odrobinę do celu. Czyżby jego wrogowie, a może sprzymierzeńcy, specjalnie trzymali go w odosobnieniu, gdzie wszystkie jego działania były bezskuteczne? Carfilhiot mruknął rozdrażniony. Tak być nie mogło, a jeżeli było, to ludzie ci niebezpiecznie się zabawiali.

Rok wcześniej Tamurello zabrał go do Faroli, tej dziwnej budowli z drewna i kolorowego szkła, ukrytej głęboko w lesie. Po trzech dniach zabaw erotycznych usiedli we dwoje, słuchając deszczu i wpatrując się w ogień płonący na kominku. Była północ. Carfilhiot, którego bystry umysł nigdy nie przestawał pracować, rzekł:

– Doprawdy, nadszedł już czas, byś nauczył mnie sztuk magicznych. Czy nawet na tyle nie zasługuję?

Tamurello odpowiedział z westchnieniem:

– Cóż za dziwny i obcy byłby to świat, gdyby wszyscy byli traktowani tak, jak na to zasługują.

Dla Carfilhiota była to nazbyt nonszalancka uwaga.

– Zwodzisz mnie więc – powiedział ze smutkiem. – Myślisz, że jestem za głupi i niezręczny, aby temu podołać.

Tamurello – potężny mężczyzna, w którego żyłach płynęła krew zmieszana z ciemną krwią byka – zaśmiał się pobłaźliwie. Słyszał to oskarżenie już wcześniej i odpowiedział tak jak poprzednimi razy:

– Żeby zostać czarodziejem, musisz przejść wiele prób i przeprowadzić wiele paskudnych ćwiczeń. Znaczna część z nich jest wyjątkowo nieprzyjemna, być może jest to obliczone na zniechęcenie tych, którzy mają słabą motywację.

– Ta filozofia jest nędzna i ograniczona – powiedział Carfilhiot.

– Jeśli zostaniesz mistrzem czarnoksięskim, będziesz strzegł swoich przywilejów równie zazdrośnie, jak każdy inny – odparł Tamurello.

– Oświeć mnie w takim razie! Jestem gotowy się uczyć! I mam silną wolę!

Tamurello znowu się zaśmiał.

– Mój drogi przyjacielu, jesteś zbyt zmienny. Możesz być jak żelazo, ale twoja cierpliwość pozostawia wiele do życzenia.

Carfilhiot rozłożył szeroko ręce.

– Nie można tego jakoś skrócić? Mógłbym zapewne używać aparatów magicznych bez tak wielu nużących ćwiczeń.

– Masz już przecież aparaty magiczne.

– Sprzęt Shimroda? Jest dla mnie bezużyteczny. Dyskusja zaczynała nudzić Tamurello.

– Większość takich aparatów jest skomplikowana i specyficzna.

– Moje potrzeby są specyficzne – powiedział Carfilhiot. – Moi wrogowie są jak dzikie pszczoły, których nigdy nie da się pokonać. Wiedzą, gdzie jestem, a kiedy wyruszam w pościg, znikają pośród cieni na wrzosowiskach.

– Jeśli o to chodzi, to będę mógł ci pomóc – powiedział Tamurello. – Chociaż muszę przyznać, że robię to bez zbytniego entuzjazmu.

Następnego dnia zaprezentował dużą mapę wysp Elder.

– Tutaj, jak widzisz, jest Dolina Evander, tutaj Ys, tutaj Tintzin Fyral – rzekł, a potem pokazał kilkadziesiąt kukiełek wyciętych z korzenia tarniny i dodał: – Nadaj tym ludzikom imiona i umieść je na mapie w odpowiednich miejscach. Zobacz! – Wziął jedną kukiełkę i splunął jej na twarz. – Nazywam cię Casmir. Idź, gdzie twoje miejsce! – Postawił lalkę na mapie i zdawało się, że lalka przesuwa się po mapie aż do miasta Lyonesse.

Carfilhiot policzył kukiełki.

– Tylko dwadzieścia? – krzyknął. – Potrzebowałbym setki! Prowadzę wojnę z każdym pomniejszym baronem w Południowych Ulflandach!

– Ponazywaj ich – powiedział Tamurello. – Zobaczymy, ile będziesz potrzebować.

Carfilhiot niechętnie wypowiadał imiona, tak więc Tamurello nadawał je kukiełkom i stawiał je na mapie.

– Jest ich jeszcze więcej – protestował Carfilhiot. – Czy tak trudno zrozumieć, że życzylbym sobie wiedzieć, kiedy i dokąd się wybierasz, opuszczając Faroli? A Melanthe? Jej posunięcia mają dla mnie dużą wagę! A co z innymi czarodziejami – Murgenem, Falourym, Myolande-rem i Baibalidesem? Interesują mnie ich poczynania.

– Nie możesz wiedzieć tego – odparł Tamurello. – To niewłaściwe. Granice, Audry? Dlaczego nie? Melanthe?

– Melanthe w szczególności!

– Bardzo dobrze. Melanthe.

– Są też skałradzcy wodzowie i arystokraci w Dahaucie!

– Umiaru, w imię Fafhadista i jego błękitnego kozła na trzech nogach! Lalki zatłoczą całą mapę!

Ostatecznie Carfilhiot odjechał, zabierając ze sobą mapę i pięćdziesiąt dziewięć kukiełek.

Rok później, pewnego letniego poranka Carfilhiot wszedł na górę do swojej pracowni, aby zbadać mapę. Casmir nie ruszał się ze swojego letniego pałacu w Sarris. W Domreis, w Troicinecie błyszcząca biała kulka na głowie lalki oznaczała śmierć króla Granice'a. Tron miał teraz przysiąść Ospero – jego choremu bratu. W Ys, położonym nad brzegiem morza, Melanthe wędrowała po salach swego pałacu, gdzie głos odbijał się od ścian. W Oaldes, na północ wzdłuż wybrzeża, Quilcy – niespełna rozumu dziecko na tronie Południowych Ulflandów – zabawiał się, budując codziennie na plaży zamki z piasku... Carfilhiot raz jeszcze spojrzął na Ys. Melanthe, wyniosła Melanthe! Rzadko ją widywał, trzymała się na uboczu.

Carfilhiot przesunął spojrzeniem po mapie. Nagle, poruszony czymś wewnątrz, zauważył zmianę miejsca: sir Cadwal z Kaber Ke-ep wypuścił się sześć mil na południowy zachód przez

Dunton Felis. Zdawał się kierować w stronę Lasu Dravenshaw.

Carfilhiot stał pogrążony w myślach. Sir Cadwal należał do jego najbardziej aroganckich wrogów, pomimo braku bogactw i znaczących koligacji. Kaber Keep – obskurna twierdza w najbardziej posępnej części wrzosowisk – pozbawiona była wszelkiego uroku, tyle tylko, że była bezpieczna. Z zaledwie kilkunastoma członkami klanu sir Cadwal od dawna przeciwstawiał się Carfilhiotowi. Zazwyczaj polował na wzgórzach ponad swoją twierdzą, gdzie Carfilhiot nie mógł łatwo zaatakować. Dzisiaj wypuścił się w dół, na wrzosowiska. Lekkomyślne, pomyślał Carfilhiot, i wielce nierozważne. Twierdza nie mogła zostać bez człowieka, wyglądało więc na to, że sir Cadwal wyjechał, zabierając ze sobą zaledwie pięcioro lub sześcioro ludzi, w tym być może byli dwaj jego synowie w młodzieńczym jeszcze wieku.

Zapominając o złym samopoczuciu, Carfilhiot wysłał naglące rozkazy do strażnicy. Pół godziny później, ubrany w lekką zbroję, zszedł na promenadę pod zamkiem. Czekają tam na niego dwudziestu konnych wojowników, jego najlepsi z najlepszych.

Carfilhiot przeprowadził inspekcję i nie znalazł żadnych niedociągnięć. Mieli na sobie wypolerowane żelazne hełmy z wysokimi pióropuszcami, kolczugi i płaszcze z fioletowego aksamitu z czarnym haftem. Każdy trzymał kopię, na której trzepotał liliowo-czarny proporzec. Przy każdym siodle wisiał topór, łuk i strzały. Każdy z nich miał miecz i sztylet.

Carfilhiot dosiadł konia i dał sygnał do odjazdu. Dwójkami oddział pogalopował na zachód, mijając spowite odorem pręgierze, przejeżdżając obok klatek, służących do topienia skazańców na brzegu rzeki, i dźwigów, za pomocą których je unoszono, i dalej drogą w kierunku wioski Bloddywen. Ze względów taktycznych Carfilhiot nigdy nie stawiał wymagań mieszkańcom Bloddywen i nigdy ich nie przesładował. Mimo to na jego widok dzieci zostały zabrane do domów, drzwi i okna zostały pozatraskiwane i Carfilhiot przejechał przez pustą osadę, co wywołało u niego chłodny, ironiczny uśmiech.

Wyżej, na grzbiecie góry obserwator zauważył kawalkadę. Wycofał się na przeciwne zbocze i wywiesił białą flagę. Chwilę później z najwyższego punktu na wrzosowisku, milę na północ, trzepot białego materiału potwierdził przyjęcie wiadomości. Gdyby pół godziny później Carfilhiot mógł spojrzeć na swoją magiczną mapę, zobaczyłby, że kukielki z drewna, tarniny, symbolizujące jego najzawziętszych wrogów, opuszczają swe twierdze i górskie forty i ruszają w dół na wrzosowiska, w kierunku Dravenshaw.

Carfilhiot i jego oddział z łoskotem przejechali przez Bloddywen, potem skręcili w bok od rzeki i ruszyli na wrzosowiska. Na krawędzi zbocza Carfilhiot zatrzymał swoich ludzi, ustawił ich w szeregu i przemówił:

– Dzisiaj polujemy na Cadwala z Kaber Keep, będzie naszą zwierzyną. Spotkamy się z nim przy Dravenshaw. Aby nie wzbudzić jego czujności, zbliżymy się do niego od strony Dinkin Tor. Słuchajcie teraz! Macie wziąć żywcem jego oraz członków jego rodziny, którzy będą mu towarzyszyli. Sir Cadwal musi w pełnym wymiarze wynagrodzić mi wszystkie szkody, których się wobec mnie dopuścił. Później zajmiemy Kaber Keep. Będziemy pić jego wino, spać z jego kobietami i używać sobie na jego dobytku. Ale dzisiaj jedziemy pojąć sir Cadwala!

Poderwał konia na tylne nogi, zawrócił niemal w miejscu i pogalopował przez wrzosowiska.

Obserwator na Hackberry Tor zauważył ruchy Carfilhiota, przykucnął za kamiennym usypiskiem i sygnalizował białą flagą, dopóki nie otrzymał potwierdzenia z odległości jakiejś mili.

Oddział Carfilhiota jechał pewnie na północny zachód. Zatrzymał się dopiero przy Dinkin Tor, gdzie jeden z wojowników zeskoczył z konia i wspiął się na szczyt wzgórza. Krzyknął stamtąd do Carfilhiota:

– Jeźdźcy! może pięciu albo sześciu, ale najwyżej siedmiu! Zbliżają się do Dravenshaw!

– Szybko więc – zawołał Carfilhiot. – Dojdziemy ich na skraju lasu! Kolumna ruszyła na zachód, trzymając się pod osłoną Dewny Swa-

le. Przy starej drodze skręcili na północ i z całą prędkością pogalopowali na Dravenshaw.

Droga biegła obok prehistorycznych głazów, a następnie skręciła prosto na Dravenshaw. Na wrzosowisku dereszowate konie, na których jechali ludzie sir Cadwala, błyszcząły w słońcu jak czysta miedź. Carfilhiot dał sygnał swoim wojownikom.

– Teraz cicho! Jeśli będzie trzeba, strzelajcie z łuku, ale weźcie Cadwala żywego!

Jechali przy strumieniu, wzdłuż którego rosły wierzby. Nagle rozległy się trzaski i stuknięcia! Świszczący furkot! Seria strzał wyleciała po niskiej trajektorii! Spiczaste ostrza przebiły się przez kolczugi. Rozległy się jęki zaskoczenia, krzyki bólu. Sześciu ludzi Carfilhiota osunęło się w milczeniu na ziemię. Trzech innych zostało trafionych w nogę lub ramię. Koń Carfilhiota ze strzałami w szyi i pośladkach stanął dęba, zarżał i padł. Nikt nie celował jednak w Carfilhiota. Czy był to akt pobłażliwości?

Carfilhiot podbiegł skulony do pozbawionego jeźdźca konia, wskoczył na siodło, uderzył ostrogami i, kładąc się nisko na grzywie, ruszył do odwrotu. Pozostali ludzie z jego oddziału udali się w jego ślady.

W bezpiecznej odległości Carfilhiot zarządził postój, chcąc ocenić sytuację. Ku jego zaskoczeniu z mroków Lasu Dravenshaw wypadł konny oddział kilkunastu zbrojnych. Jechali na gniadych koniach i mieli na sobie pomarańczowy kolor zamku Kaber.

Carfilhiot zasyczał sfrustrowany. Co najmniej sześciu łuczników opuszczało właśnie zasadzkę, by przyłączyć się do wrogiego oddziału. Mieli więc nad nim przewagę liczebną.

– Odwrót! – krzyknął Carfilhiot i raz jeszcze popędził konia, gnając obok prehistorycznych ruin, z kaberskimi wojownikami zaledwie sto jardów za nim. Jego konie były silniejsze niż deresze z Kabru, ale przejechały dłuższą drogę i nie były hodowane specjalnie pod kątem wytrzymałości.

Carfilhiot zjechał z drogi do dolinki Dewny, gdzie ku swemu zaskoczeniu natknął się na inną grupę jeźdźców szarżujących w dół zbocza z opuszczonymi kopiami. Było ich dziesięciu lub dwunastu, ubranych w błękit i granat zamku Nulness. Carfilhiot wykrzyczał rozkaz i skręcił na południe. Pięciu jego ludzi zostało ugodzonych lancami w pierś, szyję lub głowę i padło na drogę. Trzech próbowało bronić się mieczami i toporami, szybko jednak zostali zwaleni na ziemię. Carfilhiotowi razem z czterema jeźdźcami udało się dostać na krawędź doliny, gdzie zatrzymali się, by dać odpocząć zziąjanym koniom.

Nie trwało to jednak długo. Oddział z Nulness, którego konie były wypoczęte, zbliżał się już do skraju zbocza. Wojownicy z Kabru zataczali prawdopodobnie koło od zachodu stara drogą, planując odcięcie mu drogi powrotu do Doliny Evander.

Przed nim wyłonił się jodłowy zagajnik, gdzie mógłby się tymczasowo schronić. Uderzył spienionego konia ostrogami, ponaglając go do szybszego biegu. Kątem oka zauważył mgnienie jaskrawoczerwonego koloru.

– Na dół! Na dół!

Rzucił się do wąwozu, podczas gdy łucznicy z zamku Turgis wyskoczyli zza wzniesienia i wystrzelili kolejną chmurę strzał. Dwóch z pozostałej czwórki ludzi Carfilhiota zostało trafionych. Raz jeszcze strzały przebiły się przez kolczugi. Koń trzeciego został trafiony w brzuch. Stanął dęba, wygiął się do tyłu i upadł na grzbiet, przyduszając jeźdźca. Temu udało się jednak cudem wstać i rozglądał się dookoła dzikim spojrzeniem, ledwo trzymając się na chwiejnych nogach. Zabiło go sześć strzał. Ostatni jeździec, porażony strachem, pognął do doliny, gdzie kaberscy wojownicy



odcięli mu najpierw nogi, potem ręce i zostawili go w rowie, aby mógł rozważać nad swoim nędznym losem. Carfilhiot pędził samotnie przez jodłowy las, a potem przez kamieniste pustkowie. Pomiędzy skałami prowadził szlak pasterski. Przed nim wznosiły się turnie, znane jako Jedenaście Sióstr.

Carfilhiot obejrzał się za siebie, po czym ponaglił konia ostrogami do ostatecznego wysiłku, przez Jedenaście Sióstr i w dół zbrocza do mrocznego wąwozu zarośniętego olchami. Wprowadził konia pod ziemny nawis, tak że stał się niewidoczny dla patrzących z góry. Jego prześladowcy przeszukiwali skały, pokrzykując i nawołując się, zawiedzeni, że Carfilhiot wydostał się z zasadzki. Raz po raz spoglądali do wąwozu, nie widzieli jednak Carfilhiota, który znajdował się zaledwie piętnaście stóp niżej. Carfilhiotowi tłukło się po głowie natrętne pytanie: Jak mogli przygotować zasadkę bez jego wiedzy? Mapa pokazała jedynie sir Cadwala, wyjeżdżającego poza swoje terytorium. Z pewnością jednak sir Cleone z zamku Nulness i sir Dexter z Turgis opuścili swe siedziby razem z oddziałami wojowników! Tak prosta strategia, jak system sygnalizacji, nie przyszła mu do głowy.

Carfilhiot odczekał pół godziny, aż jego koń przestał się trząść, a następnie dosiadł go i z największą ostrożnością pojechał wąwozem, starając się trzymać pod osłoną olch i wierzb.

Niebawem też dotarł do Doliny Evander w odległości mili od Ys.

Nadal było wczesne popołudnie. Carfilhiot wjechał do Ys. Na tarasach po obu stronach rzeki, w białych pałacach ocienianych smukłymi cyprysami, cisami, drzewami oliwnymi i sosnami spokojnie płynęło życie. Carfilhiot przejechał białą piaszczystą plażą do pałacu Melanthe. Chłopicz stajenny wyszedł mu na spotkanie. Carfilhiot zsunął się z konia z westchnieniem ulgi. Wszedł po trzech marmurowych stopniach, przeszedł przez taras i wkroczył do mrocznego foyer, gdzie szambelan pomógł mu zdjąć hełm, płaszcz i kolczugę. Wnet też pojawiła się służąca – dziwna, srebrnoskóra istota, będąca prawdopodobnie pół krwi fallojką.\* Przyniosła Carfilhiotowi białą lnianą koszulę i kubek grzanego wina.

\* Falloj – smukła istota pokrewna elfom, nie tak zagadkowa i nie władająca tak zręcznie sztukami magicznymi. Istoty te były bardzo nieliczne na wyspach Elder.

– Sir, pani Melanthe zobaczy się z tobą w odpowiedniej chwili. Tymczasem ja jestem do twoich usług.

– Dziękuję, nic mi nie potrzeba. – Carfilhiot wyszedł na taras i opadł na wyściełany poduszkami fotel. Siedział i obserwował morze. Powietrze było łagodne, niebo bezchmurne. Wzburzone fale uspokoiły się, łagodnym przyplływem gładząc piasek przy wtórce monotonnego, rytmicznego szumu. Powieki Carfilhiota zrobiły się bardzo ciężkie i zaczął drzemać.

Kiedy się obudził, zobaczył, że słońce jest już nisko nad horyzontem. Melanthe, ubrana w tunikę bez rękawów z białego feniszu\*\*, stała oparta o balustradę, nie zwracając uwagi na jego obecność.

\*\* Fenisz – materiał przypominający jedwab, tkany przez elfy mniszka lekarskiego.

Carfilhiot usiadł wyprostowany na fotelu. Był zdenerwowany, ale nie wiedział, z jakiego powodu. Melanthe odwróciła się i spojrzała na niego, tylko na chwilę, bo zaraz ponownie zaczęła przyglądać się morzu.

Carfilhiot obserwował ją spod przymkniętych powiek. Przyszło mu do głowy, że jej opanowanie – jeśli było wyraźnie demonstrowane – mogło z łatwością zagrać na czyjejś cierpliwości... Melanthe spojrzała na niego znad ramienia, kąci jej ust ściągnęły się. Widocznie wyglądało na to, że nie miała nic do powiedzenia; nie miała ani słów powitania, ani zdziwienia na niezapowiedzianą wizytę, widać nie interesowały jej też koleje jego losu.

Carfilhiot zdecydował przerwać milczenie.

- Tutaj w Ys życie wydaje się dość spokojne.
- Wystarczająco.
- Mam za sobą niebezpieczny dzień. O włos uniknąłem śmierci.
- Musiałeś być przerażony. Carfilhiot zastanowił się.

– Strach? To niezbyt odpowiednie słowo. Byłem zaniepokojony, to zapewne. Boleję nad utratą moich ludzi.

- Dotarły do mnie wieści o twoich wojownikach. Carfilhiot uśmiechnął się.
- Cóż chcesz? W kraju panuje zamęt. Wszyscy odrzucają autorytety. Nie wolałabyś, aby w kraju panował spokój?
- Jeśli to niewiążąca propozycja, moja odpowiedź brzmi: tak.
- Potrzebuję twojej pomocy. Melanthe zaśmiała się zaskoczona.
- Nie przystanę na to. Pomogłam ci już kiedyś i żałowałam tego.
- Naprawdę? Moja wdzięczność powinna była uspokoić wszystkie twoje skrupuły. Przecież ty i ja stanowimy jedno.

Melanthe odwróciła się i powiodła spojrzeniem ponad błękitnym morzem.

- Ja jestem sobą i ty jesteś sobą.
- Nie pomożesz mi więc.
- Udzielę ci rady, jeśli zgodzisz się z niej skorzystać. Przynajmniej cię wysłucham.
- Zmień się całkowicie. Carfilhiot skłonił się grzecznie.
- To jakbyś powiedziała: „Wywróć się na lewą stronę.”
- Wiem. – Słowa te zabrzmiały złowieszczo. Carfilhiot wykrzywił się.
- Naprawdę mnie tak nienawidzisz?

Melanthe zmierzyła go spojrzeniem od stóp po czubek głowy.

– Często zastanawiam się nad moimi uczuciami do ciebie. Jesteś fascynujący, zwracasz na siebie uwagę i nie można cię ignorować. Być może to rodzaj narcyzmu. Gdybym była mężczyzną, mogłabym być taka sama jak ty.

- Prawda. Jesteśmy jednym. Melanthe potrząsnęła głową.
- Ja nie jestem skażona. To ty wdychałeś zielony dym.
- Ale ty go posmakowałaś.
- Wyplułam to.
- Znasz jednak jego smak.
- Dlatego też mogę cię przejrzeć aż do głębi twojej duszy.
- Wyraźnie bez podziwu.

Melanthe ponownie odwróciła się, by popatrzeć na morze. Carfilhiot przyłączył się do niej przy balustradzie.

- Nic dla ciebie nie znaczy, że jestem w niebezpieczeństwie? Połowa moich najlepszych ludzi zginęła. Nie ufam już mojej magii.
- Ja nie wiem nic o magii. Carfilhiot zignorował jej wypowiedź.
- Moi wrogowie zjednoczyli się i planują coś strasznego przeciwko mnie. Mogli mnie dzisiaj zabić, ale próbowali raczej pojmać mnie żywego.
- Poradź się swojego drogiego Tamurello. Może zacznie się obawiać o swojego ukochanego przyjaciela.

Carfilhiot zaśmiał się ponuro.

- Nie jestem pewien nawet Tamurella. W każdej sytuacji jest on bardzo powściągliwy w swej szczodrobliwości, a nawet dosyć skąpy.
- Znajdź sobie więc hojniejszego kochanka. Co z królem Casmirem?
- Mamy niewiele wspólnych interesów.
- Wygląda więc na to, że Tamurello jest twoją ostatnią nadzieją. Carfilhiot spojrział z ukosa, przeszukując wzrokiem delikatne linie jej profilu.
- Czy Tamurello ofiarował ci kiedykolwiek swoje względy?
- Oczywiście. Ale moja cena była zbyt wysoka.
- Co to była za cena?
- Jego życie.
- To przesada. Jakiej ceny zażądałabyś ode mnie? Melanthe uniosła brwi, jej usta skrzywiły się chytrze.
- Zapłaciłbyś odpowiednią cenę.
- Moje życie?
  
- Ten temat jest nieistotny i denerwuje mnie. – Odwróciła się, chcąc odejść. – Idę do środka.
- A co ze mną?
- Rób, co chcesz. Śpij na słońcu, jeśli masz na to ochotę, albo ruszaj z powrotem do Tintzin Fyral.

Carfilhiot odezwał się z wymówką w głosie:

- Jak na kogoś bliższego od siostry, jesteś wyjątkowo zjadliwa.
- Wręcz przeciwnie, jestem zupełnie obiektywna.
- Dobrze więc, jeśli mogę robić to, na co mam ochotę, to przyjmuję twoją gościnę.

Melanthe ze ściągniętymi w zamyśleniu ustami weszła do pałacu, a Carfilhiot podążył za nią. Zatrzymała się w foyer. Był to okrągły pokój, udekorowany na niebiesko, różowo i złoto, z jasnoblękitnym dywanem na marmurowej podłodze. Zawołała szambelana.

- Pokaż panu jego pokój i zadbaj o jego potrzeby.

Carfilhiot wykąpał się i odpoczywał przez pewien czas. Nad oceanem powoli zmierzchało. Carfilhiot włożył na siebie ubranie o nieskazitelnej czerni i zszedł do foyer. Napotkany tam szambelan rzekł do niego:

- Pani Melanthe jeszcze się nie pokazała. Jeżeli zechcesz, możesz na nią poczekać w małym salonie.

Carfilhiot usiadł i podano mu kielich czerwonego wina o smaku miodu, sosnowych igieł i granatu.

Minęło pół godziny. Srebrnoskóra służąca przyniosła tacę ze słodyczami, których Carfilhiot posmakował bez entuzjazmu.

Dziesięć minut później uniósł wzrok znad swego wina i zobaczył stojącą przed nim Melanthe. Miała na sobie czarną tunikę bez rękawów, skrojoną z największą prostotą. Na jej szyi, na czarnej cienkiej wstążce wisiał czarny opal. Jej jasna skóra i duże oczy kontrastowały z czernią, co nadawało jej wyglądowi wrażenie łatwości ulegania zarówno rozkoszy, jak i bólowi. Pozory mogące podniecić każdego, który chciałby jej zapewnić jedno, drugie lub oba.

Po chwili usiadła obok Carfilhiota i sięgnęła po kielich z winem stojący na tacy.

Carfilhiot siedział w milczeniu. Wreszcie zapytał:

- Czy dobrze wypoczęłaś tego popołudnia?
- Nie był to z pewnością odpoczynek. Pracowałam nad pewnymi sprawami.
- Doprawdy? Z jakim skutkiem?
- Nie łatwo jest zostać czarodziejem.
- Czy tego pragniesz?
- Oczywiście.
- Nie jest to więc zbyt trudne?
- To dopiero początki. Prawdziwe trudności dopiero przede mną.
- Już jesteś silniejsza niż ja – powiedział Carfilhiot żartobliwym tonem.

Melanthe nawet się nie uśmiechnęła. Po uciążliwej ciszy podniosła się i rzekła:

- Czas na obiad.

Zaprowadziła go do dużego pomieszczenia o ścianach pokrytych boazerią z najczarniejszego hebanu i podłodze z czarnych płyt polerowanego granitu. Ze ścian spływało światło poprzez szklane pryzmaty i oświetlało pokój.

Obiad podano na dwóch tacach. Był to prosty posiłek z małą parzonych w białym winie, chleba, oliwek i orzechów. Melanthe jadła niewiele i poza sporadycznymi spojrzeniami nie zwracała na Carfilhiota uwagi, nie siliła się też na konwersację. Carfilhiot, podirytowany, również pilnował swego języka, tak że cały posiłek upłynął w milczeniu. Carfilhiot wypił sporo wina i w końcu rozdrażnionym gestem, energicznie odstawił kielich na stół.

– Jesteś piękniejsza niż najpiękniejsze marzenia, ale twe myśli nie są bardziej podniecające niż rybie.

- Nie ma to zbyt wielkiego znaczenia.
- Dlaczego mielibyśmy się czuć skrępowani? Ostatecznie, czyż nie jesteśmy jednym?
- Nie. Desmei wywołała trzech – mnie, ciebie i Denkinga.
- I sama to powiedziałaś. Melanthe potrząsnęła głową.
- Każdy ma w sobie jakąś cząstkę ziemi. Jednak lew różni się od myszy, a oba różnią się od człowieka.

Carfilhiot sprzeciwił się gestem ręki.

– Jesteśmy jednym, pomimo tego że się różnimy. Fascynujące uwarunkowanie! Ty jednak jesteś pełna rezerwy.

- To prawda – powiedziała Melanthe. – Zgadzam się.

– Rozważ przez chwilę, jakie to otwiera możliwości! Szczyty pasji i pożądania! Obfitość bez ograniczeń! Czyż nie czujesz podniecenia?

– Czy nie czuję? Myślę, że wystarczająco. – Przez mgnienie oka jej opanowanie zdało się ją opuszczać. Powstała, przeszła przez pokój i stanęła, wpatrując się w ogień na kominku.

Bez pośpiechu Carfilhiot podszedł i stanął obok niej.

– Bardzo łatwo to poczuć. – Wziął jej dłoń i położył sobie na piersi. – Czuj! Jestem silny. Poczuj, jak bije moje serce i napełnia mnie życiem.

Melanthe cofnęła rękę.

– Nie zależy mi, by czuć cokolwiek na twoje zawołanie. Pasja to brak opanowania. Mówiąc szczerze, mężczyźni mnie nie pociągają. – Oddaliła się o krok od niego. – Bądź tak łaskaw i zostaw mnie teraz. Rankiem się nie zobaczymy, a ja nie wesprę twoich przedsięwzięć.

Carfilhiot złapał ją pod ramiona i stali tak, wpatrując się w siebie, a płomienie rzucały na ich twarze niespokojne światło. Melanthe otworzyła usta, chcąc coś powiedzieć, ale nie wyrzekła ani słowa, a Carfilhiot, zbliżając swoją twarz do jej twarzy, pocałował ją. Pociągnął ją za sobą na

kanapę.

– Wieczne gwiazdy ciągle jeszcze wędrują po niebie. Noc się dopiero zaczęła.

Zdawała się go nie słyszeć i usiadła, patrząc w ogień. Carfilhiot zwolnił uścisk na jej ramionach, ona bez skrępowania pozwoliła, by tunika zsunęła się jej z ciała i w powietrzu uniósł się zapach fiołków. W biernym milczeniu obserwowała, jak Carfilhiot zdejmuje swoje ubranie.

O północy Melanthe wstała z kanapy i stanęła naga przed kominkiem, w którym teraz był już tylko żarzący się popiół.

Carfilhiot obserwował ją z kanapy spod opuszczonych powiek i z zaciśniętymi ustami. Zachowanie Melanthe wprawiało go w zakłopotanie. Jej ciało złączyło się z jego ciałem wiedzione pożądaniem, ale podczas zbliżenia ani razu nie spojrzała mu w twarz. Trzymała głowę odchyloną do tyłu lub skierowaną na bok, na niczym nie zatrzymując spojrzenia. Znajdowała fizyczne zaspokojenie, wyczuwał to, ale kiedy do niej przemówił, nie odpowiedziała, jakby był tylko jakimś widziadłem.

Melanthe obejrzała się ponad ramieniem.

– Ubierz się.

W ponurym nastroju Carfilhiot nałożył ubranie, podczas gdy ona stała w zamyśleniu nad dogasającym ogniem. Przychodziły mu do głowy jedna po drugiej najróżniejsze uwagi, ale każda z nich zdawała się zbyt dosadna lub obraźliwa, lub głupia, trzymał więc język za zębami.

Kiedy skończył się ubierać, podszedł do niej i objął ją w pasie. Wysunęła się z jego objęć i powiedziała melancholijnym głosem.

– Nie dotykaj mnie. Żaden mężczyzna nigdy dotąd mnie nie dotknął i ty również nie będziesz mnie dotykać.

Carfilhiot zaśmiał się.

– Czyż nie jestem mężczyzną? Dotknąłem cię przecież prawdziwie i głęboko, aż do głębi twojej duszy.

Ciągle patrząc w ogień, Melanthe potrząsnęła głową.

– Byłeś jedynie dziwną sprawką wyobraźni. Wykorzystałam cię, a teraz masz zniknąć z moich myśli.

Carfilhiot gapił się na nią zbity z tropu. Może była szalona?

– Jestem rzeczywisty i nie mam najmniejszego zamiaru zniknąć. Melanthe, posłuchaj! – Raz jeszcze objął ją w pasie. – Bądźmy prawdziwymi kochankami! Czyż oboje nie jesteśmy wyjątkowi?

Melanthe ponownie się cofnęła.

– Znowu próbowałaś mnie dotknąć. – Wskazała na drzwi. – Idź! Przepadnij z mego umysłu!

Carfilhiot skłonił się drwiąco i ruszył do drzwi. Tam zawahał się i obejrzał się do tyłu. Melanthe stała przy kominku, wspierając się jedną ręką o wysoki cokół, a jej ciało spowite było grą blasku ognia i szarych cieni. Carfilhiot cicho szepnął do samego siebie:

– Możesz mówić, co chcesz, o zjawach. Wziąłem cię i posiadam cię i choćby tylko to jest rzeczywistością.

A kiedy otwierał drzwi, do jego uszu czy też do jego umysłu dotarły bezdźwięczne słowa:

– Bawiłam się ze zjawą. Tylko ci się wydawało, że panujesz nad rzeczywistością. Zjawy nie czują bólu. Zastanów się nad tym, kiedy nadejdzie ból codziennego dnia.

Carfilhiot zdezorientowany wyszedł przez drzwi, które natychmiast się za nim zamknęły. Stał w ciemnym przejściu pomiędzy dwoma budynkami, na obu końcach migotało światło. Nad głową miał nocne niebo. W powietrzu unosił się dziwny zaduch gnijącego drewna i mokrych kamieni. Gdzie podziało się to świeże, słone powietrze, które otaczało pałac Melanthe?

Carfilhiot przedarł się po omacku przez stertę śmieci do końca zaułka i wyszedł na miejski plac.

Rozglądał się dookoła w zdumieniu. Nie było to Ys i Carfilhiot rzucił ostre przekleństwo na Melanthe.

Na placu panował hałas i zamieszanie, widać i słyszać było, że odbywał się tam jakiś festiwal. Paliły się setki umieszczonych wysoka pochodni, z wysokich murów powiewały setki zielono-niebieskich proporców z żółtym ptakiem. Na samym środku placu, na scenie stały naprzeciwko siebie dwa olbrzymie ptaki, zrobione z połączonych sznurem wiązek słomy. Mężczyźni i kobiety, przebrani za wymyślne, ptaki dygali, wymachiwali nogami i dumnie kroczyli w takt muzyki wygrywanej na piszczałkach i bębenkach.

Mężczyzna, przebrany za białego koguta z czerwonym grzebieniem, żółtym dziobem i białymi upierzonymi skrzydłami i ogonem, przeszedł dumnie obok Carfilhiota, a ten przytrzymał go za ramię.

– Sir, jedną chwilkę! Oświeć mnie proszę, co to jest za miejsce? Kogut-mężczyzna zapiał drwiąco:

– Nie masz oczu? Ani uszu? To jest Wielka Gala Ptasiego Kunsztu!

– Tak, ale gdzie?

– A gdzież by to mogło być? To jest Kaspedel, w centrum miasta!

– Ale jakiego miasta? W jakim królestwie?

– Postradałeś zmysły? Jesteśmy w Gargano!

– W Pomperolu?

– No, właśnie. Gdzie są twoje pióra ogonowe? Król Deuel zarządził założenie piór ogonowych na galę! Przyjrzyj się moim! – Mężczyzna-kogut obszedł go dookoła, pusząc się i dygając, prezentując swoje pokazowe upierzenie na ogonie, po czym poszedł dalej.

Carfilhiot oparł się o ścianę budynku, zagryzając zęby ze złości. Nie miał ze sobą żadnych monet, klejnotów ani złota. Nie miał też żadnych przyjaciół pośród mieszkańców Gargano. Właściwie, to szalony król Deuel uważał Carfilhiota za niebezpiecznego mordercę ptaków i za wroga.

Z boku placu Carfilhiot zauważył tablice z symbolami gospody „Pod Gruszą”. Stał przed właścicielem tylko po to, by dowiedzieć się, że wszystkie pokoje były zajęte. Dzięki swoim arystokratycznym manierom dostał zaledwie ławkę we wspólnej sali, w sąsiedztwie grupy celebrantów, którzy hulali w najlepsze, awanturowali się i śpiewali takie piosenki jak: „Ptaszek w zalotach”, „Tirra-Lirra-Lay” i „Pani struś i szacowny pan wróbel”. Godzinę przed świtem zwalili się z chrapaniem na stół pomiędzy ogryzione kości i kałuże rozlanego wina. Carfilhiotowi dane było spać do wczesnych godzin porannych, kiedy sprzątaczkę przyszły z wiadrami i szczotkami i wyrzuciły wszystkich na zewnątrz.

Obchody festiwalowe sięgały szczytu. Wszędzie trzepotały niebie-sko-zielono-żółte flagi i proporce. Ludzie, poprzebierani za ptaki, płąsali i podskakiwali w takt wesołych melodii wygrywanych na piszczałkach. Wszyscy nawoływali się charakterystycznymi ptasimi gwizdami, tak że powietrze wibrowało od świergotania, ćwierkania, świstania i krakania. Dzieci przebrane były za jaskółki, złote zięby i sikorki. Pozostali preferowali bardziej stateczne upodobnienia, jak chociażby stroje wron, kruków, a czasami sójek. Ci bardziej korpulentni często pokazywali się jako sowy, ale każdy głównie przebierał się tak, jak mu przysza ochota.

Kolory, hałasy i uroczystości nie poprawiały humoru Carfilhiotowi, a w zasadzie – mówił tak do samego siebie – nigdy jeszcze nie widział czegoś tak bezcelowego i bezsensownego. Nie wypoczął dobrze i nic nie jadł, co dodatkowo pogarszało jego samopoczucie.

Koło niego przeszedł sprzedawca bułeczek, przebrany za przepiórkę. Carfilhiot kupił torcik mięsny za srebrny guzik ze swojego płaszcza. Jadł, stojąc przed gospodą, przyglądając się

pogardliwie hulance dookoła.

Trafiło się, że grupa młodzików zauważyła prychnięcia Carfilhiota i zatrzymała się przy nim.

– Ej, ty tutaj! To jest Wielka Gala! Musisz się radośnie uśmiechać, aby nie odstawać od reszty.

Inny zawołał:

– Co? Żadnego wesołego upierzenia? Żadnych piór w ogonie? Powinien je mieć każdy świętujący!

– Dalej, chodźcie! – oświadczył inny. – Naprawimy to jakoś. – I obchodząc Carfilhiota od tyłu, próbował mu wcisnąć za pasek długie, gęsie pióro. Carfilhiot nie ścierpiałby czegoś takiego i odepchnął chłopaka.

Zdeterminowało to jeszcze bardziej resztę bandy, wskutek czego doszło do szamotaniny, rozległy się krzyki, przekleństwa, padły ciosy. Od strony ulicy dobiegło stanowcze wołanie:

– Hola, hola! Co to za zamieszanie? – Był to szalony król Deuel we własnej osobie, który właśnie przejeżdżał tamtędy, zatrzymał się i udzielił reprimendy.

Jeden z młodzików krzyknął:

– To wina tego ponurego włóczęgi! Odmawia założenia pierzastego ogona. Próbowaliśmy mu pomóc, powołując się na rozkaz Waszej Królewskiej Mości. Powiedział, że mamy wsadzić wszystkie te pióra do tyłka Waszej Królewskiej Mości!

Król Deuel skierował teraz swoją uwagę na Carfilhiota.

– Tak powiedział? A to niegrzecznie. Znamy jedną sztuczkę, która zdaje się wystarczy nawet na dwóch takich. Straże! Służba!

Carfilhiot został ujęty i przełożony przez ławkę. W jego spodniach wycięto dziurę na wysokości pośladków, w które wbito setkę piór różnych rozmiarów, długości i kolorów, nawet dwa drogie strusie pióra. Końcówki piór zostały kilkakrotnie nacięte, co miało zapobiec ich wypadaniu. Pióra zostały ułożone tak, że podtrzymywały się wzajemnie i całe upierzenie sterczało z siedzenia Carfilhiota jak wesoła dżungla.

– Doskonale! – oświadczył usatysfakcjonowany król Deuel, klaszcząc w dłonie. – To wspaniała aranżacja, możesz być z niej dumny. Idź teraz! Baw się dobrze na festiwalu i ciesz się całym sercem! Jesteś teraz odpowiednio wystrojony!

Powóz odjechał. Młodzi przyglądali się Carfilhiotowi z krytycyzmem, ale przyznali, że upierzenie oddawało atmosferę święta i oni także poszli swoją drogą.

Carfilhiot dowłókł się na sztywnych nogach do skrzyżowania dróg na skraju miasta. Drogowskaz wskazywał na północ do Avallonu. Postanowił tu zaczekać, a tymczasem wyciągał pióra, jedno po drugim, ze swoich pośladków.

Od strony miasta nadjechał wóz, którym jechała stara chłopka. Carfilhiot uniósł rękę, by go zatrzymać.

– Dokąd jedziesz, babciu?

– Do wioski Filster, w Deepdene, jeśli ci to cokolwiek mówi. Carfilhiot pokazał jej pierścień, który miał na palcu.

– Przyjrzyj się dobrze temu rubinowi! Stara kobieta spojrzała.

– Widzę go dobrze. Świeci jak czerwony płomień! Nieraz dziwiłam się, jak takie cuda mogą powstawać w głębi ziemi!

– Mam dla ciebie inne чудо. Za ten rubin, taki mały, będziesz mogła sobie kupić dwadzieścia koni i wozów, takich jak ten, na którym jedziesz.

Starucha zamrugowała.

– Cóż, muszę ci wierzyć na słowo. Nie zatrzymywałbyś mnie przecież w mojej drodze do domu, żeby mi naopowiadać kłamstw.

– Słuchaj więc uważnie, jako że zamierzam przedstawić ci złożoną propozycję.

– Mów, co masz do powiedzenia! Mogę myśleć o trzech rzeczach na raz.

– Podążam do Avallonu. Mam obolałe nogi i nie mogę ani chodzić, ani jeździć konno. Chciałbym pojechać twoim wozem, tak, by wygodnie dotrzeć do Avallonu. Dlatego też, jeśli mnie tam zawieszysz, ten pierścień z rubinem będzie twój.

Kobieta wyciągnęła w górę palec wskazujący.

– Mam lepszy pomysł! Pojedziemy do Filster, a tam mój syn Raffin wyścieli wóz słomą i sam odwiezie cię do Avallonu. W ten sposób zapobiegniemy wszelkim poszeptywaniom i plotkom na mój temat, zanim jeszcze się zaczną.

– To mnie satysfakcjonuje.

Carfilhiot rozpromienił się na widok tablicy „Pod Kotem Rybołowem” i dał rubinowy pierścień Raffinowi, ten zaś od razu odjechał.

Carfilhiot wszedł do gospody. Za bufetem stał monstrualnych rozmiarów mężczyzna, o pół stopy wyższy od Carfilhiota, o olbrzymiej czerwonej twarzy i brzuchu wspartym na ładzie. Spojrzał w dół na Carfilhiota oczami jak wielkie otoczaki.

– Czego chcesz?

– Chcę znaleźć Rughalta o chorych kolanach. Powiedział, że ty będziesz wiedzieć, gdzie go szukać.

Gruby mężczyzna, którego raził sposób bycia Carfilhiota, odwrócił wzrok. Przejechał palcami w górę i w dół po ładzie. W końcu rzucił lapidarnie:

– Niedługo tu przybędzie.

– Co znaczy to niedługo?

– Za pół godziny.

– Poczekam. Przynieś mi jednego z tych piekących się kurczaków, bochenek świeżego chleba i butelkę dobrego wina.

– Pokaż mi twoje pieniądze.

– Kiedy przyjdzie Rughalt.

– W takim razie podam ci kurczaka, kiedy przyjdzie Rughalt. Carfilhiot odszedł na bok, mieląc w zębach przekleństwa. Grubas patrzył na niego bez zmiany, wyrazu na twarzy.

Carfilhiot usiadł na ławce przed gospodą. Wreszcie nadszedł Rughalt, powoli i ostrożnie stawiając nogi, raz jedną, raz drugą, sycząc przy tym pod nosem.

Carfilhiot spod zmarszczonych brwi obserwował, jak się zbliża. Rughalt miał na sobie znoszony, szary strój wiejskiego nauczyciela.

Carfilhiot wstał. Rughalt zatrzymał się zaskoczony.

– Sir Faude! – zawołał. – Co robisz tutaj, w takim stanie?

– Wszystko przez zdradę i wiedzmońskie sztuczki, a jakby inaczej? Zabierz mnie do porządnej gospody, to miejsce jest dobre jedynie dla Celtów i trędowatych.

Rughalt potarł brodę.

– Na rynku jest gospoda „Pod Czarnym Bykiem”. Mówi się, że ceny są tam horendalne. Musisz zapłacić srebrem za jedną noc.

– Nie mam ze sobą, ani srebra, ani złota. To ty będziesz musiał wyłożyć za mnie, zanim nie



podejmę odpowiednich kroków.

Rughalt się skrzywił.

– „Pod Kotem Rybołowem” nie jest ostatecznie tak najgorzej. Gur-dy, właściciel, zniechęca tylko przy pierwszym spotkaniu.

– Ba! On i ta cała jego rudera śmierzdzą zjełczałą kapustą lub czymś jeszcze gorszym. Zabierz mnie do gospody „Pod Czarnym Bykiem”.

– Dobrze więc. Ach, moje bolące nogi! Obowiązek was wzywa, dalej.

W zajeździe „Pod Czarnym Bykiem” Carfilhiot znalazł nocleg odpowiadający jego wymaganiom, chociaż Rughalt załamał ręce, kiedy przedstawiono im rachunek. Potem męski krawiec zaprezentował ubrania, które Carfilhiot zaakceptował i uznał, że nie uwłaczają one jego godności, jakkolwiek ku niezadowoleniu Rughalta odmówił targowania się o cenę i Rughalt zapłacił chytremu handlarzowi drżącymi palcami.

Carfilhiot i Rughalt usiedli przy stole przed gospodą i przyglądali się mieszkańcom Avallonu. Rughalt zamówił u usługującego dwie średnie miary piwa.

– Czekaj! – zarządził Carfilhiot. – Jestem głodny. Przynies mi danie z dobrej, zimnej wołowiny, do tego pory i pajdę świeżego chleba. Wypiję też duży kufel waszego najlepszego piwa.

Podczas gdy Carfilhiot zaspokajał swój głód, Rughalt spoglądał na niego z tak nieukrywaną dezaprobatą, że Carfilhiot w końcu zapytał:

– Dlaczego nie jesz? Wychudłeś i wyglądasz jak stary skórzany pas. Rughalt wydusił odpowiedź przez zaciśnięte usta.

– Prawdę mówiąc, muszę uważać na wydatki. Żyję na granicy ubóstwa.

– Co? Myślałem, że jesteś mistrzem w ograbianiu kieszeni, że ograbiałeś na wszystkich jarmarkach i festiwalach w Dahaucie.

– Nie jest to dłużej możliwe. Moje kolana uniemożliwiają mi szybkie i sprawne poruszanie się, co jest istotne, jeśli prowadzi się taki interes. Nie zabawiam się już na jarmarkach.

– Nie jesteś jednak zupełnie pozbawiony środków do życia.

– Życie nie jest łatwe. Na szczęście dobrze widzę w ciemnościach i pracuję teraz nocami w gospodzie „Pod Kotem Rybołowem” i rabuję gości, kiedy śpią. A nawet pomimo tego moje trzeszczące kolana są dla mnie udręczeniem, a jako że Gurdy – właściciel – nalega na udział w zyskach, unikam zbytecznych wydatków. W związku z tym, czy zabawisz długo w Avallonie?

– Niedługo. Chcę znaleźć pewnego Triptomologiusa. Czy jego imię jest ci znane?

– On rozmawia z duchami zmarłych. Handluje eliksirami i truciznami. Co chcesz z nim załatwić?

– On mnie po pierwsze zaopatrzy w taką ilość złota, jaką będę potrzebował.

– Poproś więc o tyle, by wystarczyło dla nas obu!

– To się zobaczy. – Carfilhiot wstał. – Chodźmy poszukać Triptomologiusa.

Rughalt wstał przy wtórze chrzęstu i trzasku swoich kolan. Bocznyymi uliczkami Avallonu poszli do małego, ciemnego sklepiku, uplasowanego na niewysokim wzgórzu, wznoszącym się nad rozlewiskiem u ujścia Murmeil. Zabrudzona starucha, z nosem prawie sięgającym jej brody, udzieliła im informacji, że Triptomologius udał się tego ranka na rynek, aby ustawić kram, na którym mógłby sprzedawać swoje towary.

Zeszli ze wzgórza po wąskich, wijących się kamiennych schodkach, nad którymi chyliły się stare powyginane dachy Avallonu. Szli obok siebie: jeden – zuchwały młody elegant w nowym pięknym ubraniu, drugi – wymizerowany, idący ostrożnie na sztywnych nogach, wygiętych w kolanach,

przypominający starego pająka. Dotarli wreszcie na rynek, który od świtu kipiał życiem i barwną atmosferą. Ci, którzy przybyli najwcześniej, zdążyli już wystawić swoje towary. Nowi przybysze rozkładali się w jak najlepszych miejscach, pośród narzekań, żartów, kłótni, obelg i okazyjnych bójek. Przekupnie rozbijali namioty, wbijając słupki w ziemię za pomocą wielkich drewnianych młotów i rozwieszając proporce w setkach wyblakłych od słońca kolorów. Przy kramach zjedzeniem rozpalano w kotłach, kiełbaski skwierczały w gorącym tłuszczu, na pajdach chleba serwowano smażone w oleju, przyprawiane czosnkiem ryby. Pomarańcze z dolin Dascinetu rywalizowały kolorem i zapachem z ciemnymi lyonesskimi winogronami, jabłkami z Wysrodu, granatami z Dahautu, śliwkami i pigwami. Na tyłach placu drewniane kozły wyznaczały długi, wąski pas ziemi, gdzie mieli się zbierać trędowaci, kalecy, ułomni, upośledzeni i ślepi. Każdy z nich zajął jakieś miejsce, skąd wykrzykiwał swe zawodzenia, niektórzy śpiewali, niektórzy kaszleli, inni wyli z bólu. Upośledzeni stłoczyli się przy wejściu i na różne sposoby, uznane przez siebie za najbardziej efektywne, obrzucali wyzwiskami przechodzących obok ludzi. Hałas stamtąd niósł się po całym rynku, kolidując z muzyką piszczałek, skrzypiec i dzwoneczków.

Carfilhiot z Rughaltem spacerowali tu i tam, rozglądając się za stoiskiem, na którym Triptomologius sprzedawał swe mikstury. Rughalt wydawał niskie, pełne zawodu jęki, wskazując na ciężkie sakiewki, które tak łatwo byłoby ukraść, gdyby tylko nie jego niedołęstwo. Carfilhiot zatrzymał się i podziwiał zaprzęg dwugłowych czarnych koni olbrzymich rozmiarów i siły, które przyciągnęły na plac jeden z wozów. Przed wozem chłopiec grał wesołe melodie na kobzie, a śliczna jasnowłosa dziewczynka stała przy stole, dyrygując czterema wesołymi kotami, które tańczyły w takt muzyki, skacząc, spacerując, kręcąc się i wymachując ogonami.

Chłopiec skończył grać i odłożył kobzę na bok. Na platformę przed wozem wyszedł wysoki, chudy, młodo wyglądający mężczyzna o zabawnej twarzy i włosach piaskowego koloru. Miał na sobie opończę przedstawiającą symbole Druidów i wysoki czarny kapelusz z pięćdziesięcioma dwoma srebrnymi dzwoneczkami dookoła ronda. Odwracając się do tłumu, podniósł ramiona, chcąc ściągnąć na siebie uwagę. Dziewczynka wskoczyła na platformę. Była, tak samo jak chłopiec, ubrana w białe kamasze do kostek, obcisłe spodnie z niebieskiego aksamitu i granatową bluzę z naszytą z przodu złotą żabą. Powiedziała:

– Przyjaciele! Przedstawiam wam niezwykłego mistrza sztuk leczniczych, doktora Fideliusa!

Zeskoczyła na ziemię i doktor Fidelius zwrócił się do tłumu:

– Panie i panowie! Wszystkich nas nękają takie czy inne schorzenia: wysypki, czyraki, majaki. Pozwólcie, że powiem na początek – moje możliwości są ograniczone. Leczę wole i pasożyty, obstrukcje, kurcze i rozdęcia. Łagodzę swędzenia, kuruję parchy i świerzby. Szczególnie zaś ubolewam nad tymi, którym kolana trzeszczą i chrzesczczą. Doprawdy, tylko ci, co na to cierpią, wiedzą jakie to uciążliwe!

Kiedy doktor Fidelius przemawiał, dziewczynka chodziła pomiędzy ludźmi, sprzedając z tacy maść i toniki. Po chwili doktor Fidelius rozwinął dużą planszę.

– Przyjrzyjcie się temu rysunkowi. Przedstawia on ludzkie kolano. Kiedy jest ono zranione, jak chociażby przez uderzenie żelazną sztabą, rzepka kolanowa się przemieszcza, a staw staje się zupełnie bezwładny. Noga wykrzywia się na różne strony jak rakietka do krykieta, przy wtórze trzasków i chrzestów.

Rughalt był głęboko poruszony.

– Moje kolana mogłyby posłużyć jako przykład jego wywodu! -powiedział Carfilhiotowi.

– Zadziwiające – odparł Carfilhiot. Rughalt uniósł dłoń.

– Posłuchajmy! – rzekł Rughalt, unosząc dłoń w geście uciszającym.

Doktor Fidelius mówił dalej.

– Na to schorzenie jest lekarstwo! – Ujął mały gliniany słoiczek i podniósł go wysoko. – Mam tu maść egipskiego pochodzenia. Dostaje się ona bezpośrednio do stawu, umacnia go i uśmierza ból. Wiązadła odzyskują swoją dawną sprawność. Ludzie mozolą się do mojego laboratorium o kulach, a wychodzą jak nowo narodzeni. Po co cierpieć z powodu tego niedomagania, kiedy ulga może być prawie natychmiastowa? Maść ta jest bardzo droga, kosztuje srebrnego florena za słoik, ale to tanio, jeśli weźmie się pod uwagę jej zbawienne działanie. Pozwolę sobie dodać, że maść ta posiada moją osobistą gwarancję. Zafascynowany Rughalt słuchał z uwagą.

– Z całą pewnością, będę musiał wypróbować tę maść!

– Chodźmy już – szorstko rzucił Carfilhiot. – Ten człowiek to szarlatan. Szkoda czasu i pieniędzy na takie głupoty.

– Nie ma nic lepszego, na co mógłbym tracić pieniądze – odparł nagle ożywiony Rughalt. – Gdyby moje nogi były znowu zwinne, miałbym pieniądze do wydawania.

Carfilhiot w zamyśleniu przyglądał się doktorowi Fideliusowi.

– Gdzieś już widziałem tego człowieka.

– Ba! – burknął Rughalt. – To nie ty cierpisz męki, możesz sobie więc pozwolić na sceptycyzm. Ja muszę czepiać się każdej najmniejszej szansy! Hej tam, doktorze Fideliusie! Moje kolana odpowiadają twojemu opisowi! Czy możesz mi pomóc?

Doktor Fidelius odkrzyknął:

– Proszę do przodu! Nawet z tej odległości mogę stwierdzić typowe objawy. Przypadłość ta znana jest jako „kolana dekarza” lub „kolana złodzieja”, jako że często przyczyną jest uderzenie kolan o dachówki. Proszę podejść tutaj, bym mógł dokładnie zbadać pańską nogę. Mogę prawie zagwarantować pewne wyzdrowienie w pańskim przypadku, i to w niedługim czasie. Czy jest pan dekarzem?

– Nie – lakonicznie odparł Rughalt.

– To bez znaczenia. Kolano jest tylko kolanem. Jeśli pozostawi się je nie leczone, po jakimś czasie zaropieje, będą z niego wypadać kawałki rozkładających się kości i z całą pewnością stanie się przyczyną fatalnego samopoczucia. Zapobiegniemy temu. Proszę przejść tutaj, za wóz.

Rughalt poszedł za doktorem Fidelusem na drugą stronę wozu. Zniecierpliwiony Carfilhiot odwrócił się i udał się na poszukiwanie Triptomologiusa, którego też wkrótce znalazł. Układał on na półkach różne przedmioty, przywiezione na wózku, ciągniętym przez psa.

Pozdrowili się wzajemnie, po czym Triptomologius zaczął dopytywać się o powód wizyty Carfilhiota. Carfilhiot odpowiedział wymijająco, przemilczając wszystkie intrygi i tajemnicze sprawy, które nie mogły być przedmiotem dyskusji. – Tamurello miał zostawić dla mnie wiadomość – powiedział Carfilhiot. – Byłeś z nim ostatnio w kontakcie?

– Nie dalej jak wczoraj. Wiadomość jednak nie dotyczy ciebie, a Tamurello przebywa w Faroli.

– Udam się więc jak najprędzej do Faroli. Musisz mi zapewnić dobrego konia i dziesięć złotych koron, a Tamurello zwróci ci wszystkie koszty.

Triptomologius cofnął się zaszokowany.

– On mnie o niczym takim nie poinformował!

– To wyślij nową wiadomość, ale się pospiesz, jako że muszę natychmiast, najpóźniej jutro, opuścić Avallon.

Triptomologius pogładził się po długiej, siwej brodzie.

– Mogę poświęcić nie więcej niż trzy korony. Musi ci to wystarczyć.

– Co? Mam jeść okruchy i spać pod krzakami?

Po chwili nieprzyzwoitej kłótni Carfilhiot zaakceptował pięć złotych koron, konia z uprzężą oraz sakwy na siodło, wypełnione prowiantem.

Potem wrócił na plac. Przystanął przy wozie doktora Fideliusa, ale drzwi były pozamykane i nikogo nie było widać w pobliżu, ani doktora Fideliusa, ani dziewczynki czy chłopca, ani Rughalta.

Wróciwszy do gospody „Pod Czarnym Bykiem” Carfilhiot usiadł przy stole stojącym na zewnątrz. Wyciągnął nogi i pił białe wino ze słodkich winogron, rozważając koleje swego życia. Nie szło mu zbyt dobrze ostatnimi dniami. W myśli skłębiły mu się różne obrazy, jedne wywoływały jego uśmiech, przy innych marszczył brwi. Przypominając sobie zasadzkę w Dravenshaw, cicho jęknął i zacisnął dłoń na kielichu. Nadszedł czas, by wreszcie raz na zawsze zniszczyć wszystkich wrogów. Oczyma wyobraźni widział ich jako przeróżne bestie – warczące psy, kuny, dziki, czarne lisy. Nasunął mu się obraz Melanthe.

Stała w cieniu swego pałacu, naga, jedynie w wianku z fiołków na czarnych włosach... Carfilhiot wyprostował się na krześle. Melanthe zawsze traktowała go protekcyjnie, jakby czuła naturalną przewagę, widocznie ze względu na ten zielony dym. Prawem pierwszeństwa przejęła całą magiczną aparaturę Desmei, nie dając mu niczego. Skrupuły, poczucie winy, a może tylko jego natrętne wymówki doprowadziły do tego, że omamiła czarodzieja Shimroda, tak że Carfilhiot mógł zagrabić jego magiczne przyrzady. Tak czy inaczej nie zdały mu się one na nic, a to z powodu przebiegłego zabezpieczenia nałożonego przez Shimroda. Po powrocie do Tintzin Fyral będzie się musiał na pewno zabrać... Shimrod! Carfilhiot zadrżał instynktownie. Gdzie był Rughalt, który tak pewny siebie pokuśtykał, aby dać się wykurować doktorowi Fideliusowi?

Shimrod! Jeżeli zabrał się za Rughalta, to kto miałby być następny? Carfilhiotowi zrobiło się zimno i poczuł nieprzyjemny ucisk w żołądku.

Podniósł się na równe nogi. Rozejrzył się po rynku. Nigdzie ani śladu Rughalta. Carfilhiot wycedził kłątwe między zębami. Nie miał żadnych monet ani złota i nie miał mieć aż do jutra.

Starał się odzyskać panowanie nad sobą. Odetchnął głęboko i zacisnął pięści.

– Jestem Faude Carfilhiot! Jestem najlepszy z najlepszych! Tańczę mój zgubny taniec na krawędzi nieba! Biorę glinę Przeznaczenia w swoje ręce i kształtuję ją wedle mej woli. Jestem niezrównany Faude Carfilhiot!

Pewnym, lekkim krokiem ruszył przez plac. Z braku jakiegokolwiek broni zatrzymał się i podniósł złamaną jesionową tyczkę od namiotu. Miała mniej więcej stopę długości, schował ją więc pod peleryną, po czym udał się prosto do wozu doktora Fideliusa.

Kiedy wszedł już za wóz doktora Fideliusa, Rughalt zapytał piskliwie:

– Wspominałeś o chorych kolanach, a tych mam pod dostatkiem, w liczbie dwóch. Trzeszczą i chrzeszczą, a czasami wyginają się na drugą stronę i sprawiają wiele niewygody.

– Interesujące! – zawołał doktor Fidelius. – Doprawdy interesujące! Od jak dawna już sprawiają ci ten kłopot?

– Od zawsze, przynajmniej tak to wygląda. Przyszło to na mnie w trakcie pracy, kiedy wystawiony byłem to na gorączkę, to na zimno, tam gdzie było sucho i tam gdzie było wilgotno. W tym samym czasie zmuszany bywałem do wielkiego wysiłku, kręcąc, pchając, ciągnąc i czuję, że nadwyrężyłem sobie przez to kolano.

– Dokładnie tak! Są jednak w twoim przypadku pewne osobliwości. Nie jest to typowe avallońskie chore kolano.

– W tamtym okresie zamieszkiwałem w Południowych Ulflandach.

– To mnie usprawiedliwia! Jako że południowoulflandzka przypadłość wymagać będzie

określonych lekarstw, których nie trzymam w wozie. – Shimrod zawołał Glyneth. Podeszła, spoglądając raz na jednego, raz na drugiego. Shimrod wziął ją na bok.

– Będę zajęty z tym jegomościem przez około godzinę. Zamknij wóz, zaprzęż konie. Może dziś wieczorem będziemy podróżować do Lyonesse.

Glyneth skinęła potwierdzająco głową i poszła do Dhruna z wiadomościami.

Shimrod skupił ponownie swą uwagę na Rughalcie.

– Tędy, sir, jeśli łaska.

Niedługo potem Rughalt zapytał żałośnie:

– Dlaczego idziemy tak daleko? Odeszliśmy spory kawałek od miasta!

– Tak, moja apteka znajduje się w pewnym odosobnieniu. Myślę, że mogę za to obiecać ci zupełne wyzdrowienie.

Kolana Rughalta zaczęły jeszcze bardziej trzeszczeć i chrzęścić i coraz bardziej rozdrażniony narzekał uporczywiej.

– Jak daleko musimy iść? Każdy krok, który robimy, będziemy musieli zrobić z powrotem. A moje kolana już są w żałosnym stanie.

– Nie nastąpi to nigdy więcej! Uzdrawienie jest absolutne i ostateczne.

– Miło to usłyszeć. Ciągłe jednak nie widzę ani śladu twojej apteki.

– To już tam, za tym olchowym gąszczem.

– Hmm. Dziwne miejsce jak na aptekę.

– Posłuży naszym celom wystarczająco dobrze.

– Ale nie ma tu nawet ścieżki!

– Dzięki temu będziemy tu na pewno sami. Tędy, za ten gąszcz. Uważaj na świeże krowie łajno.

– Ale tu nic nie ma.

– Jesteś ty i jestem ja, a ja jestem czarodziej Shimrod. Obrabowałeś mój dom, Trildę, i spaliłeś mojego przyjaciela na stosie. Szukałem ciebie i twego towarzysza od bardzo dawna.

– Nonsens! Nic z tych rzeczy! Każde słowo to absurd... Co robisz? Przestań natychmiast! Przestań! Przestań, mówię! – I po chwili wołał: -Miej litość! Już dosyć! Zlecono mi tę pracę!

– Kto?

– Nie śmiem powiedzieć... Nie, nie! Dosyć, powiem...

– Kto ci rozkazywał?

– Carfilhiot z Tintzin Fyral.

– Z jakiej przyczyny?

– Chciał mieć twoje przyrzędy magiczne.

– To za bardzo naciągane.

– To prawda. Zachęcił go czarnoksiężnik Tamurello, który nie chciał nic dać Carfilhiotowi.

– Powiedz mi coś więcej.

– Nic więcej nie wiem... Au! Ty potworze! Powiem ci!

– A więc co? Śpiesz się, nie zastanawiaj się, nie wzdychaj, tylko mów!

– Carfilhiot jest w Avallonie, zatrzymał się „Pod Czarnym Bykiem”... A co teraz robisz?

Wszystko ci powiedziałem!

– Zanim umrzesz, musisz się trochę podpiec, tak jak Grofinet.

– Ale przecież o wszystkim ci powiedziałem! Miej litość!

– Tak, w zasadzie to masz rację. Tak naprawdę to nie znoszę tortur. Umieraj więc. To jest moje lekarstwo na chore kolana.

Carfilhiot znalazł wóz doktora Fideliusa zamknięty, ale dwugłowe konie były zaprzęgnięte, jakby gotowe do odjazdu.

Podszedł do tylnych drzwi i przyłożył ucho do desek. W środku, z tego co mógł się zorientować, panowała cisza, jedyny hałas dochodził z jarmarku za jego plecami. Obszedł wóz dookoła i znalazł chłopca i dziewczynkę przy małym ognisku, na którym smażyli plastry bekonu i poćwiartowaną cebulę.

Dziewczynka spojrzała na niego, kiedy podchodził. Uwaga chłopca skupiała się na ogniu. Jego oderwanie przez chwilę zastanowiło Carfilhiota. Kosmyk złotobrzowych loków spadał mu na twarz. Jego rysy były subtelne, ale wyrażały zdecydowanie. Mógł mieć około dziewięciu, dziesięciu lat. Dziewczynka była jakieś dwa lub trzy lata starsza, we wczesnej wiosnie swego życia, radosna i słodka jak żonkil. Uniosła spojrzenie i napotkała wzrok Carfilhiota. Otworzyła usta i cała zeszywniała, a mimo to odezwała się grzecznym tonem:

– Sir, doktora Fideliusa nie ma tu w tej chwili.

Carfilhiot podszedł do przodu. Dziewczynka wstała. Chłopiec odwrócił się w stronę Carfilhiota.

– Kiedy wróci? – łagodnie spytał Carfilhiot.

– Myślę, że niedługo – odparła dziewczynka.

– Czy wiesz, dokąd poszedł?

– Nie, sir. Miał jakąś ważną sprawę do załatwienia, a my mieliśmy być gotowi do odjazdu, kiedy powróci.

– W takim razie wszystko jest w porządku – powiedział Carfilhiot. -Wskakujcie do wozu i pojedziemy prosto do doktora Fideliusa.

Na to po raz pierwszy odezwał się też chłopiec. Carfilhiot odniósł wrażenie, że jest on melancholijny, a nawet odrobinę przygłupi. Zaskoczył go jednak pełen autorytetu głos chłopca.

– Nie możemy stąd odjechać bez doktora Fideliusa. Poza tym właśnie gotujemy kolację.

– Jeśli pan chce, proszę poczekać – powiedziała dziewczynka i wróciła do smażenia skwierczącego bekonu.



Rzeka Camber, zbliżając się do morza, łączyła się z Murmeil i tworzyła razem z nią ujście rzeczne długie na trzydzieści mil – Cambermo-uth. Pływy, wirujące nurty, okresowe mgły i piaszczyste mielizny, które pojawiały się i znikwały wraz ze zmianami pogody, sprawiały, że nawigacja w drodze do przystani Avallon była bardzo niepewna.

Jeśli podróżni, jadąc do Avallonu z południa Drogą Icniel, muszą przedostać się przez rozlewisko u ujścia obu rzek, które w tym miejscu jest szerokie na dwieście jardów. Przedostają się promem przywiązany za pomocą łańcucha do potężnego krążka umocowanego na przeciągniętej górą grubej linie. Na południowym krańcu lina była zabezpieczona na szczycie wzniesienia Cogstone, obok latarni morskiej. Na północnym krańcu kończyła się zamurowana w skalnej skarpie. Lina przecinała rozlewisko pod takim kątem, że prom, wypływając z doku w Cogstone, był pchany siłą przyływu aż do doku w Slange, znajdującego się przy dopływie rzeki Scarp. Sześć godzin później odpływ zabierał prom z powrotem na południowy brzeg.

Aillas i jego towarzysze, jadąc z południa Drogą Icniel, przybyli do Cogstone przed wieczorem. Na skarpie w Cogstone zatrzymali się, by popatrzeć na rozległy widok, który nagle się przed nimi rozpostarł. Cambermouth zakręcała, rozszerzając się ku zachodowi, gdzie zdawała się rozciągać na cały horyzont. Ku wschodowi ujście rozpościerało się szeroko, by połączyć się z Zatoką Kantabryjską.

Zaczynał się przyływ. Prom leżał na brzegu w Cogstone. Statki, wykorzystując dobry przybrzeżny wiatr, wpływały na rozlewisko z rozwiniętymi wszystkimi żaglami. Była tam nawet feluga, duży dwu-masztowy, wspomagany wiosłami okręt, pod flagą Troicinetu. Podczas gdy ją obserwowali, skierowała się ku północnemu brzegowi i zacumowała w Slange.

Zjechali we trójkę drogą w dół, do nabrzeża, gdzie prom był gotowy do odpłynięcia, czekając jedynie na najsilniejszą falę przyływu.

Aillas zapłacił cło za przeprawę i wjechali na pokład. Była to ciężka płaskodenna łódź, długa na pięćdziesiąt stóp i szeroka na dwadzieścia, cała załadowana wozami, bydłem, handlarzami i żebrakami, udającymi się na jarmark. Kilkanaście zakonnic z klasztoru na wyspie Whanish pielgrzymowało do Świętego Kamienia, przywiezionego z Irlandii przez świętą Columbę.

W Slang, podczas gdy reszta czekała, Aillas udał się na felugę z Troicinetu, by zasięgnąć informacji. Nadszedł z powrotem zupełnie przygnębiony. Wyciągnął Nigdy-Nie-Zawodzącego i kiedy ząb wskazał na północ, zawołał zdenerwowany:

– Doprawdy – oświadczył – zupełnie nie wiem, co robić. Yane zapytał:

– Jakież są więc te wiadomości z Troicinetu?

– Powiedzieli, że król Ospero leży złożony chorobą. Jeśli umrze, a mnie nie będzie w pobliżu, to Trewan zostanie koronowany, co byłoby zresztą zgodne z jego planami... Powinienem natychmiast wyruszyć na południe i dotrzeć tam jak najszybciej, ale jak mogę, skoro mój syn Dhrun jest gdzieś na północy.

Cargus po chwili zastanowienia, powiedział:

– Nie możesz pojechać na południe, dopóki prom nie przewiezie cię z powrotem do Cogstone. Tymczasem do Avallonu jest tylko godzina jazdy na północ i kto wie, co mógłbyś tam znaleźć.

– Kto wie? Ruszajmy!

Popędzając konie, pojechali aż do końca Drogi Icniel, pomiędzy Slange i Avallonem, i tam wjechali na ścieżkę, która biegła skrajem placu jarmarcznego. Jarmark odbywał się w najlepsze,



choć po trochu ruch zaczynał słabnąć. Przy placu Aillas sprawdził wskazania Nigdy-Nie-Zawodzącego. Ząb skierował się na północ, na miejsce położone gdzieś na placu, a może poza nim. Aillas mruknął zniechęcony.

– On może być tam, na placu, albo sto mil dalej na północ, albo gdziekolwiek po drodze. Wieczorem sprawdzimy na obrzeżach miasta, a potem jutro, chcąc nie chcąc, pojedę do Troicinetu południowym promem.

– Dobra taktyka – powiedział Yane. – Byłaby jeszcze lepsza, gdybyśmy znaleźli jakiś nocleg.

– Ta gospoda „Pod Czarnym Bykiem” sprawia zachęcające wrażenie – powiedział Cargus. – Kufel gorzkiego piwa nie byłby taki najgorszy.

– Niech więc będzie „Czarny Byk”, a jeśli będziemy mieć szczęście, dostaniemy tam również pokój, by w nim złożyć nasze ciała.

Na ich pytanie o kwatery gospodarz rozłożył zdesperowany ręce. Jeden z jego tragarzy trącił go jednak łokciem i podpowiedział:

– Pokój książęcy, sir. Tamci goście nie przyjechali.

– Niech będzie pokój książęcy! Dlaczego nie? Nie mogę czekać przez całą noc i stracić okazję wynajęcia pokoju. – Gospodarz zatarł dłonie. – Nazywamy ten pokój książęcym, gdyż książę Snel z Sneldyke zaszczycił nas swoją obecnością przed dwunastoma laty. Biorę srebro za wynajęcie. W czasie wielkiego jarmarku pobieramy dodatkową opłatę.

Aillas zapłacił mu srebrnym florenem.

– Przynieś nam piwo, tam pod to drzewo.

Usiedli we trzech przy stole i odpoczywali w powiewach łagodnego, chłodnego północno-wschodniego wiatru. Tłumy zmalały do niewielkiego strumienia nowych przybyszów, mających nadzieję jeszcze coś korzystnie utargować. Byli tam także nędzarze żerujący na resztkach. Muzyka przycichła, sprzedawcy pakowali swoje towary, rozeszli się akrobaci, żonglerzy, mimowie i kuglarze. Wielki jarmark oficjalnie kończył się następnego dnia, ale już teraz rozbierano pawilony i stragany.

Wozy i bryki odjeżdżały z turkotem z jarmarcznego placu, kierując się na północ, południe, wschód i zachód. Przed gospodą „Pod Czarnym Bykiem” przejechał barwny wóz doktora Fideliusa, ciągnięty przez parę czarnych dwugłowych koni, a powoził nim dziarski, młody człowiek o uderzającym wyglądzie. Yane, zadziwiony, pokazał na konie.

– Zobaczcie te cuda! Są wybrykami natury czy dziełem magii?

– Jeśli o mnie chodzi – powiedział Cargus – wolałbym coś mniej rzucającego się w oczy.

Aillas zerwał się na równe nogi, spoglądając za odjeżdżającym wozem. Odwrócił się do towarzyszy i rzekł:

– Czy przyjrzelście się woźnicy?

– Oczywiście. Zabawiający się młody paniczek.

– Albo jakiś dziki młody pacholek z pretensjami do szlachectwa. Aillas usiadł z powrotem i zadumał się.

– Widziałem go już kiedyś, w dziwnych okolicznościach – rzekł i uniósł kielich po to, by przekonać się, że jest on pusty. – Chłopcze! Przynieś więcej piwa! Napijemy się, a potem pojedziemy do granic miasta w kierunku wskazywanym przez Nigdy-Nie-Zawodzącego.

Siedzieli w milczeniu, obserwując ruch na ulicy i placu jarmarcznym. Chłopiec z gospody przyniósł im piwo. W tej samej chwili wysoki mężczyzna o płowych włosach i dzikim, nieco niespokojnym spojrzeniu nadszedł ulicą. Zatrzymał się i zapytał chłopca natarczywym głosem:

– Jestem doktor Fidelius, czy przejechał może tędy mój wóz? Taki ciągnięty przez zaprzęg

czarnych dwugłowych koni!

– Nie widziałem pańskiego wozu, sir. Poszedłem właśnie po piwo dla tych jegomościów.

– Sir, pański wóz przejechał tędy zaledwie minutę temu – poinformował Aillas.

– Czy zauważył pan woźnicę? – zapytał Fidelius.

– Zwróciłem na niego szczególną uwagę. Był to mężczyzna mniej więcej w pańskim wieku, miał ciemne włosy, ładne rysy i zachowywał się w sposób dość zuchwały, a nawet lekkomyślny. Mam wrażenie, jakbym go już kiedyś widział, ale nie mogę sobie przypomnieć gdzie.

– Odjechał w tamtą stronę – wskazał Yane. – Drogą Icnield na południe.

– Będzie się musiał wobec tego zatrzymać nad Cambermouth. – Spojrzał ponownie na Aillasa. –

Gdybym użył imienia Faude Carfilhiot, czy to pomogłoby jakoś twojej pamięci?

– W rzeczy samej. – Aillas wrócił myślą do czasu udręki, ucieczki i tułaczki. – Widziałem go raz w jego zamku.

– Potwierdziłeś moje najgorsze przeczucia. Chłopcze, możesz przyprowadzić mi konia?

– Mogę pójść do stajennego, sir. Im lepszy koń, tym więcej zażąda monet.

Shimrod rzucił złotą monetę na stół.

– Przyprowadź najlepszego i pospiesz się.

Chłopiec pognął naprzód. Shimrod usiadł na ławce i czekał. Aillas przyjrzał mu się z boku.

– Co się stanie, kiedy złapiesz go w Slange?

– Zrobię to, co powinno być zrobione.

– Będziesz miał pełne ręce roboty. On jest silny i bez wątpienia dobrze uzbrojony.

– Nie mam wyboru. Porwał dwoje dzieci, które są mi bardzo drogie, i mógłby je skrzywdzić.

– Wierzę, że Carfilhiot mógłby być zdolny do wszystkiego – powiedział Aillas. Przemysłał swoje własne położenie i podjął decyzję. Powstał i rzekł: – Pojadę z tobą do Slange. Moje osobiste poszukiwania mogą poczekać godzinę albo dwie. – Nigdy-Nie-Zawodzący ciągle wisiał na jego ręce. Spojrzał na wskazówkę, potem raz jeszcze i jeszcze raz z niedowierzaniem i zawołał: – Popatrzcie na ząb!

– Wskazuje teraz na południe!

Aillas powoli odwrócił się do Shimroda i powiedział:

– Carfilhiot odjechał na południe z dwójką dzieci, jak one mają na imię?

– Glyneth i Dhrun.

Czterech mężczyzn jechało na południe w świetle zachodzącego słońca. Ludzie na drodze, słysząc tętent kopyt, rozsuwali się na boki, ustępując im miejsca, a potem odwracali się ze zdziwieniem i zadawali sobie pytanie, dlaczego o tej porze dnia jeźdźcy z takim pośpiechem gnają Drogą Icnield.

Jechali przez wrzosowisko w górę na płaskowyż, gdzie na chwilę zatrzymali konie. Cambermouth błyszczała jak wstęga w świetle zachodzącego słońca. Prom już wypłynął, nie czekał na pełen odpływ, chciano bowiem wyruszyć jeszcze w dziennym świetle. Teraz prom znajdował się już w połowie drogi przez rzekę i z daleka widać było na pokładzie wóz doktora Fideliusa. Człowiekiem, który przy nim stał, mógł być Faude Carfilhiot.

Czwórka mężczyzn zjechała do Slange, gdzie dowiedzieli się, że prom popłynie w przeciwnym kierunku dopiero po północy, kiedy ponownie zacznie się przyptyw. Nie przeprawi się też wcześniej do przystani w Cogstone aż o wschodzie słońca.

Aillas zapytał obsługującego przystań:

– Czy nie ma żadnego innego sposobu, żeby przedostać się przez wodę?

– Nie z waszymi końmi, rzeczywiście nie, sir!

– A pieszo i to natychmiast?

– Również nie, sir. Nie ma wiatru do żeglugi, a nikt nie będzie wiosłować w poprzek nurtu przy pełnym odpływie, ani za srebro, ani za złoto. Skończyłyby na wyspie Whanish lub gdzieś za nią. Przyjedźcie z powrotem o wschodzie słońca, przeprawicie się wtedy z wygodą.

Wróciwszy na płaskowyż patrzyli, jak prom przybija do brzegu w Cogstone. Wóz zjechał na brzeg i ruszył drogą, znikając w zapadających ciemnościach.

– Odjechali! – powiedział beznamiętnie Shimrod. – Nie ma nadziei na to, że ich teraz dogonimy, te konie pojedą przez całą noc. Ale wiem, dokąd jadą.

– Tintzin Fyral?

– Zatrzyma się najpierw w Faroli, z odwiedzinami u czarodzieja Tamurello.

– Gdzie jest Faroli?

– W lesie, niezbyt daleko. Mogę porozumieć się z Tamurellem z Avallonu, przez pewnego Triptomologiusa. W ostateczności zadba przynajmniej o bezpieczeństwo Glyneth i Dhruna, jeżeli Carfilhiot zawiezie ich do Faroli.

– Tymczasem więc są zdani na jego łaskę.

– Niestety, tak.

Droga Icnield, pergaminowobiała w świetle księżyca, biegła przez cichą i ciemną okolicę. Ani z jednej, ani z drugiej strony drogi nie było widać nawet odrobiny światła. W południowym kierunku toczył się wóz doktora Fideliusa, ciągnięty przez dwugłowe konie o dzikich oczach i rozdętych chrapach, szalejące z nienawiści do istoty, która powoziła nimi tak, jak nigdy dotąd nie były powożone.

O północy Carfilhiot zjechał z drogi i zatrzymał się przy strumieniu. Podczas gdy konie piły i szczypały przydrożną trawę, podszedł do tyłu wozu i otworzył drzwi.

– Jak tam w środku?

Po chwili Dhrun odezwał się z ciemności:

– Nie najgorzej.

– Jeśli chcecie się napić lub się załatwić, wyjdźcie, ale nie próbujcie żadnych sztuczek, gdyż brak mi cierpliwości.

Glyneth i Dhrun poszeptali między sobą i zgodzili się, że nie ma powodu, by jechali w niewygodzie. Ostrożnie zeszli z tyłu wozu.

Carfilhiot pozwolił im na to, by na dziesięć minut się oddalić, potem rozkazał im wrócić do wozu. Dhrun poszedł pierwszy, cichy i spięty z gniewu. Glyneth zatrzymała się z jedną nogą na pierwszym szczeblu drabiny. Carfilhiot stał tyłem do księżyca. Zapytała:

– Dlaczego nas porwałś?

– Aby Shimrod, którego znacie jako doktora Fideliusa, nie użył magii przeciwko mnie.

Glyneth próbowała opanować drżenie głosu.

– Masz zamiar nas uwolnić?

– Nie tak od razu. Wsiadaj do wozu.

– Dokąd jedziemy?

– Do lasu, a potem na zachód.

– Proszę, wypuść nas!

Carfilhiot przyglądał się jej, gdy stała w pełnym blasku księżyca. Śliczna istotka, pomyślał, świeża jak dziki kwiat.

– Jeśli będziesz się grzecznie zachowywać – powiedział łagodnym tonem – to coś miłego ci się

przydarzy. Teraz zaś wsiadaj do wozu!

Glyneth wspięła się do środka i Carfilhiot zamknął drzwi. Wóz ponownie ruszył Drogą Icnield. Glyneth wyszeptała Dhrunowi do ucha:

– Ten człowiek mnie przeraża. Jestem pewna, że jest wrogiem Shimroda.

– Gdybym widział, przebiłbym go mieczem – zamruczał Dhrun.

– Nie wiem, czy mogłabym to zrobić – powiedziała Glyneth z wahaniem. – Na pewno nie, dopóki nie próbowałby nas skrzywdzić.

– Wtedy byłoby za późno. Przyjmijmy, że stałabyś przy drzwiach. Kiedy by je otworzył, mogłabyś przebić mu szyję?

– Nie.

Dhrun siedział milcząco. Po chwili wziął kobzę i zaczął grać ciche, krótkie melodyjki, aby pomóc sobie w myśleniu. Nagle przestał i powiedział:

– To dziwne. Tutaj jest ciemno, czyż nie?

– Rzeczywiście, jest bardzo ciemno.

– Może nigdy przedtem nie grałem w ciemności. A może nigdy tego nie zauważyłem. Ale kiedy gram, złote pszczoły latają w pętlach i wywijasach, jak gdyby były rozżłoszczone.

– Może nie pozwalasz im spać.

Dhrun z większym zapałem dmuchnął w kobzę. Zagrał kilka skocznych tańców.

Carfilhiot krzyknął przez okno do środka:

– Skończ z tym cholernym piskaniem, chce mi się przez to zgrzytać zębami.

Dhrun powiedział do Glyneth:

– Zdumiewające! Pszczoły rzucają się i wywijają, tak jak on. – Wystawił kciuk. – Nie znają się na muzyce. – Uniósł kobzę do ust, ale Glyneth go powstrzymała.

– Dhrun, nie! Jeszcze nas skrzywdzi!

Konie pędziły przez całą noc, nie czując żadnego zmęczenia, a mimo to rozwścieczone na demona, który powoził nimi tak bezlitośnie. Godzinę po wschodzie słońca Carfilhiot pozwolił im na jeszcze jeden dziesięciominutowy postój. Glyneth ani Dhrun nie chcieli jeść. Carfilhiot znalazł w schowku z tyłu wozu chleb i suszoną rybę. Zjadł parę kęsów i raz jeszcze pogonił konie.

Przez cały dzień wóz toczył się przez przyjemną okolicę w południowym Dahaucie. Były to nie kończące się rozległe równiny z wietrznym niebem ponad głowami.

Później tego dnia wóz przejechał przez rzekę Tam po kamiennym moście wspartym na siedmiu łukach i tak dostali się do Pomperolu. Nie zatrzymał ich ani strażnik graniczny po dahauckiej stronie, ani jego tęgawy odpowiednik z Pomperolu. Obaj zajęci byli grą w szachy, a stół do gry stał ustawiony na samej granicy, pośrodku mostu.

Okolica się zmieniła. Bezkrzesne połacie Dahautu zostały ograniczone do normalnej ludzkiej skali lasami i pojedynczymi łagodnymi wzgórzami, z których każde zwieńczone było zamkiem.

O zachodzie słońca konie zaczęły słabnąć. Carfilhiot wiedział, że nie może jechać przez całą kolejną noc. Skręcił do lasu i zatrzymał się nad strumieniem. Ostrożnie wyprzągnął konie i spętał je tam, gdzie mogły się paść i pić wodę. W tym czasie Glyneth rozpałała ognisko, zawiesiła nad nim żelazny garnek i ugotowała zupę z tego, co miała pod ręką. Wypuściła koty z koszyka i pozwoliła im biegać swobodnie w ściśle wyznaczonym miejscu. Siedząc przy swojej skromnej kolacji, Glyneth i Dhrun rozmawiali ze sobą przyciszonymi głosami. Carfilhiot, siedzący po drugiej stronie ogniska, obserwował ich spod na wpół przymkniętych powiek, ale nic nie powiedział. Glyneth coraz bardziej niepokoił sposób, w jaki Carfilhiot ją obserwował. W końcu, kiedy niebo zrobiło się ciemne o

zmiernych, zawołała koty i wsadziła je do kosza. Carfilhiot, który sprawiał wrażenie, że opanowało go lenistwo i bierność, siedział i kontemplował jej smukłe, a zarazem niespodziewanie pełne kształty, swobodną grację i drobne, eleganckie ruchy, które czyniły z niej wyjątkową i ponętą istotę.

Glyneth opłukała żelazny garnek i schowała go razem z trójnogiem do schowka. Carfilhiot wstał, przeciągnął się. Glyneth spoglądała na niego pytająco, kiedy podszedł do tyłu wozu, sięgnął do środka i wyciągnął siennik, który rozłożył przy ognisku.

Glyneth szepnęła coś Dhrunowi do ucha i razem ruszyli do wozu.

Carfilhiot stanął za nimi i spytał:

– Gdzie idziecie?

– Spać – powiedziała Glyneth. – A gdzieżby indziej?

Carfilhiot złapał Dhruna i podsadził go do wozu, po czym zamknął i zablokował drzwi.

– Dziś w nocy – rzekł do Glyneth – ty i ja będziemy spać przy ogniu, a jutro będziesz miała wiele rzeczy do przemyślenia.

Glyneth próbowała uciec za wóz, ale Carfilhiot złapał ją za ramię.

– Oszczędzaj siły – powiedział jej. – Zobaczysz, że już wkrótce się zmęczysz.

Wewnątrz wozu Dhrun złapał kobzę, przepełniony pasją, furją i bezradnością z powodu tego, co działo się z Glyneth. Złote pszczoły, które jakby właśnie rozpoczynały nocny odpoczynek i jedynie sporadycznymi, ciepłymi bzyknięciami przypominały Dhrunowi o swojej obecności, teraz urażone, zrobiły kilka pętli. A chłopiec grał z jeszcze większym zacięciem.

Carfilhiot zerwał się na nogi i podszedł do wozu.

– Skończ z tą paskudną muzyczką! Działa mi na nerwy! Dhrun grał coraz zwawiej, prawie unosząc się z siedzenia.

Złote pszczoły latały zygzakami, wywijały narwane koziółki i ostatecznie zupełnie zdesperowane wyleciały Dhrunowi z oczu. On zaś grał jeszcze głośniej. Carfilhiot podszedł do drzwi.

– Wejść do środka. Połamie twoją kobzę i tak cię spiorę, że uciszę cię na zawsze.

Dhrun grał, a piskliwe dźwięki tak podniecały pszczoły, że latały w wozie z jednego końca na drugi, odbijając się od ścian. Carfilhiot uniósł sztabę z drzwi. Dhrun odłożył kobzę i rzekł:

– Dassenach, do mnie!

Carfilhiot pchnął drzwi. Pszczoły wyleciały na zewnątrz i uderzyły go w twarz. Odchylił się i tak ocalił swe życie, jako że ostrze miecza świsnęło tuż przy jego szyi. Zaklął przestraszony, potem uchwycił za miecz, wyrwał go Dhrunowi z rąk i rzucił daleko w krzaki. Dhrun kopnął go w twarz. Carfilhiot złapał go za stopę i pchnął go tak, że chłopiec zatoczył się na tył wozu.

– Ani więcej hałasu! – rzucił zadyszany Carfilhiot. – Ani więcej stukania albo świstania, w przeciwnym wypadku cię skrzywdzę!

Zatrzasnął drzwi i spuścił sztabę. Odwrócił się do Glyneth, ale tylko po to, by zobaczyć ją, wspinającą się pomiędzy gałęziami potężnego starego dębu. Przebiegł przez polanę, ale Glyneth była już poza jego zasięgiem. Wspiął się za nią, lecz Glyneth wdrapała się jeszcze wyżej i przykucnęła na samym końcu gałęzi, która aż ugięła się pod jej ciężarem.

Carfilhiot nie ośmielił się wejść tam za nią. Przemawiał, najpierw przymilnie, potem prosząco, wreszcie grożąc, ale ona nie odpowiadała i siedziała cicho pośród liści. Carfilhiot rzucił ostateczną groźbę, która zmroziła jej krew w żyłach, potem zszedł z drzewa. Gdyby miał siekierę, ściałby gałąź, która ją podtrzymywała, albo nawet całe drzewo i pozwolił jej umrzeć.

Przez całą noc Glyneth kuliła się na drzewie, zdrętwiała i nieszczęśliwa. Carfilhiot, na sienniku

przy ognisku, zdawał się spać, od czasu do czasu jednak poruszał się, by dorzucić drewna do ogniska i Glyneth bała się zejść.

W wozie Dhrun leżał na swym własnym pościeliu, przepelniony radością z odzyskanego wzroku, ale chory z przerażenia na myśl o tym, co może się dziać na zewnątrz, przy ognisku.

Świt zaczął powoli rozjaśniać mrok. Carfilhiot wstał z siennika i spojrział w stronę drzewa.

– Zejdź na dół. Czas już ruszać.

– Nie zejdem.

– Rób, co chcesz. Ja w każdym razie wyjeżdżam.

Carfilhiot zaprzął konie do wozu. Parskały, biły kopytami w ziemię, wyrażając w ten sposób nienawiść do swego nowego pana.

Glyneth ze wzrastającym zaniepokojeniem przyglądała się przygotowaniom, a Carfilhiot obserwował ją kątem oka. W końcu zawołał:

– Schodź na dół i wsiadaj do wozu. W przeciwnym wypadku wyciągnę stamtąd Dhruna i uduszę go na twoich oczach. Potem wejdem na drzewo i przerzucę linę przez gałąź, a potem pociągnę za linę i złamię gałąź. Złapię cię, a może nawet nie, i wtedy na pewno coś ci się stanie. W każdym przypadku będę mógł z tobą zrobić to, co będę chciał.

– Jeśli zejdem z drzewa, zrobisz to i tak. Carfilhiot powiedział:

– Prawdę mówiąc, nie jestem już w nastroju i nie pragnę twojego zdrętwiałego, małego ciała, więc zejdź na dół.

– Najpierw wypuść Dhruna z wozu.

– Dlaczego?

– Boję się ciebie.

– A jak on może ci pomóc?

– Już coś wymyśli. Nie znasz Dhruna. Carfilhiot pchnął drzwi.

– Wychodź, ty mały zaskrońcu.

Dhrun podsłuchiwał ich rozmowę z wielką radością. Udając ślepotę, podszedł po omacku do drzwi i wszedł na ziemię, chociaż niezmiernie trudno było mu kontrolować ogarniające go uniesienie. Jakże pięknie wyglądał świat! Jakie zielone drzewa! Jakie szlachetne konie! Nigdy przedtem nie widział wozu doktora Fideliusa, a był on barwny, wysoki i o niecodziennych proporcjach. I stała tam Glyneth, kochana i śliczna jak zawsze, chociaż była obecnie blada i wymęczona, a w jej potarganych blond włosach wisały suche gałązki i dębowe liście.

Dhrun stał przy wozie, spoglądając nie widzącym wzrokiem. Carfilhiot wrzucił siennik do wozu. Dhrun obserwował go ukradkiem. A więc to był ten wróg! Dhrun wyobrażał sobie, że jest on starszy, ma toporne rysy i pryszczaty nos, ale Carfilhiot miał jasne spojrzenie i był wyjątkowo przystojny. – Do wozu – powiedział Carfilhiot. – Szybko, oboje!

– Najpierw moje koty muszą się trochę rozruszać! – krzyknęła Glyneth. – I dostać coś do jedzenia! Dam im trochę sera!

– Jeśli jest jakiś ser, to go tu przynieś – powiedział Carfilhiot. – Koty mogą jeść trawę, a dziś wieczorem my wszyscy możemy zjeść kota.

Glyneth nie zareagowała i dała Carfilhiotowi ser bez żadnego komentarza. Koty pobiegały trochę i chciały, aby im pobyt na wybiegu przedłużono. Glyneth była zmuszona ostro do nich przemówić, zanim zechciały wrócić do kosza. I znowu wóz ruszył na południe.

Gdy już znaleźli się w wozie, Dhrun z przejęciem oznajmił Glyneth:

– Ja widzę! Tej nocy pszczoły wyleciały z moich oczu! Są tak dobre, jak były przedtem! Moje

oczy, nie pszczoły.

– Sza! – powiedziała Glyneth. – To cudowna nowina! Ale Carfilhiot nie może się dowiedzieć! Jest równie przebiegły, jak jest okropny.

– Już nigdy nie będę smutny – powiedział Dhrun. – Bez względu na to, co się stanie. Będę wracał myślami do czasu, kiedy świat był ciemnością.

– Byłabym znacznie szczęśliwsza, gdybyśmy jechali z kimś innym -tęsknie odparła Glyneth. – Całą noc spędziłam na drzewie.

– Jeśli odważy się cię dotknąć, potnę go na kawałki – oświadczył Dhrun. – Nie zapominaj, że teraz już widzę!

– Być może do tego nie dojdzie. Może dziś w nocy będzie myślał o czymś innym... Zastanawiam się, czy Shimrod próbuje nas odnaleźć.

– Nie może być zbyt daleko za nami.

Wóz toczył się na południe i kiedy słońce minęło zenit, dotarł do miasta targowego Honriot, gdzie Carfilhiot kupił chleb, ser, jabłka i dzban wina.

W centrum Honriot Droga Icniel krzyżowała się ze Szlakiem Wschodnio-Zachodnim. Carfilhiot skręcił na zachód, przynaglając konie do jeszcze większej prędkości, tak jak gdyby i on przeczuwał, że Shimrod się zbliża. Parskając, trzęsąc grzywami, z głowami nisko zwieszonymi nad ziemią lub czasami wzniesionymi wysoko, wielkie czarne konie parły na zachód, a spod ich miękko stąpających, tygrysiich łap wypryskiwały grudy piachu. Za nimi turkotał wóz, koła podskakiwały na nierównościach, a całe nadwozie, zawieszzone na giętkich osiach, chwiało się to w jedną, to w drugą stronę. Od czasu do czasu Carfilhiot używał bata, trzaskając nim po błyszczących, czarnych grzbietach i konie podrzucały głowami z wściekłości.

– Uważaj, uważaj! – rzały. – Jesteśmy posłuszne temu, co każą nam lejce, bo tak być musi, ale nie pozwalaj sobie za wiele, gdyż mogłybyśmy odwrócić się i naszymi wielkimi czarnymi kopytami zwalić cię na dół, wrzucić cię w błoto i wdeptać w ziemię! Słuchaj i miej się na baczności!

Carfilhiot nie rozumiał ich mowy i używał bata, kiedy tylko przyszła mu ochota, a konie rzucały głowami w coraz większej furii.

Późnym popołudniem wóz mijał letni pałac króla Deuela. Celem rozrywki król zarządził tego dnia widowisko zatytułowane „Ptaki wyobraźni”. Cały dwór przyozdobił się z niebywałym kunsztem w białe i czarne pióra, co miało przedstawiać fantastyczne ptaki morskie. Damom pozwolono na większą swobodę i paradowały po murawie, prezentując zupełną ptasią ekstrawagancję, używając do tego piór strusich, pawich, i innych ozdobnych ptaków. Niektóre stroje były bladozielone, inne wiśniowe lub jaskraworóżowe, jeszcze inne złocistobrunatne. Wielka ta różnorodność stanowiła obrazek, który sprawiał niebywałą przyjemność szalonemu królowi Deuelowi. Sam król siedział na tronie, przebrany za marabuta, jedynego czerwonego ptaka w całym widowisku. Rozentuzjasmowany rzucał pochwały i komplementy, wskazując na dworzan koniuszkiem swego czerwonego skrzydła.

Carfilhiot przypomniał sobie swoje poprzednie spotkanie z królem Deuelem i zatrzymał teraz gwałtownie wóz. Zastanawiał się przez chwilę, potem zszedł z kozła i zawołał Glyneth.

Udzielił jej instrukcji, nie dopuszczając żadnych argumentów ani nie pozostawiając jej odrobiny swobody. Opuściła więc boczną ścianę wozu, czyniąc z niej platformę, wyciągnęła kosz i kiedy Dhrun zaczął grać na kobzie, wypuściła koty i kazała im tańczyć.

Niespotykani wystrojeni panowie i damy podeszli oglądać pokaz. Śmiali się i klaskali w dłonie, a paru poszło powiadomić króla Deuela o nowej zabawie.

Niedługo trwało i król zszedł ze swojego tronu, przeszedł wolnym krokiem przez trawnik i

zaczął się przyglądać. Uśmiechał się i potakiwał głową, ale nie był zupełnie bezkrytyczny.

– Wielce pomysłowe, nie zaprzeczam, i te sztuczki są dosyć zabawne. Ha! Doskonały skok! Ten czarny kot jest zwinny! Nie wolno jednak zapominać, że ród koci stoi niżej. Ośmielę się zapytać, dlaczego nie mamy tu tańczących ptaków?

– Wasza Królewska Mość – powiedział Carfilhiot – trzymam tańczące ptaki oddzielnie, w wozie. Uważamy je za zbyt znakomite, by wystawiać je na widok pospólstwa.

Szalony król Deuel powiedział wyniośle:

– Oceniasz więc moje władcze spojrzenie jako przeciętne i pospolite lub jakiegokolwiek inne niż majestatyczne?

– Ależ skąd, Wasza Wysokość! Zapraszam cię, i tylko ciebie, na obejrzenie tego niezwykłego przedstawienia wewnątrz wozu.

Ułagodzony król Deuel pomaszerował na tył wozu.

– Chwileczkę, Wasza Królewska Mość! – Carfilhiot zamknął boczną ścianę wozu, koty i wszystko inne zostało załadowane do tyłu. – Gly-neth, do środka! Dhrun, do środka!

Przygotujcie ptaki dla Jego Wysokości. Panie, teraz ty, po tych schodach i do środka!

Zamknął i spuścił sztabę na drzwi, po czym, wspinając się na kozioł, odjechał w szalonym galopie. Upierzone damy spoglądały za nimi zaskoczone. Paru mężczyzn pobiegło kilka kroków drogą, ale białe i czarne pióra ograniczały ich ruchy, tak więc, ciągnąc skrzydła, zawrócili na trawnik przed pałacem letnim, gdzie próbowali sobie jakoś logicznie wyjaśnić to, co się stało.

Wewnątrz wozu król Deuel wykrzykiwał rozkazy:

– Zatrzymaj natychmiast ten pojazd! Nie widzę tu żadnych ptaków! To wybryk zupełnie nie na miejscu!

Carfilhiot krzyknął przez okienko:

– W odpowiednim czasie, Wasza Wysokość, zatrzymam wóz. Potem porozmawiamy sobie o piórach i lotkach, które kazałeś wbić mi w tylną część ciała!

Król Deuel zamilkł i przez resztę dnia wydawał tylko niespokojne kwokanie.

Dzień miał się ku końcowi. Na południu pojawiło się pasmo niskich, szarych wzgórz, a na północy ciemną smugą znaczyła się Puszcza Tantrevalles. Coraz mniej widać było chłopskich chałup i kraina robiła się coraz dziksza i bardziej melancholijna.

O zachodzie słońca Carfilhiot podjechał przez łąkę do zagajnika, w którym rosły wiązy i buki. Tak jak poprzednio wyprzągł konie i puścił je, luźno spętane, by się pasły, a Gly-neth w tym czasie przygotowała kolację. Król Deuel odmówił wyjścia z wozu, a Dhrun, ciągle udając ślepotę, usiadł na zwałonym pniu.

Gly-neth zaniósła zupę królowi Deuelowi, dała mu też chleb i ser. Potem usiadła obok Dhruna. Rozmawiali przyciszonymi głosami.

Dhrun powiedział:

– Udaje, że na ciebie nie patrzy, ale gdziekolwiek się poruszysz, jego oczy wędrują za tobą.

– Dhrunie, nie zrób czegoś nierozważnego. On może nas zabić, ale to najgorsze, co mógłby nam zrobić.

Dhrun wydusił przez zaciśnięte zęby:

– Nie pozwolę, by cię dotknął. Wolę sam umrzeć. Gly-neth wyszeptwała:

– Wymyśliłam coś, więc się nie martw. Pamiętaj, że ciągle jesteś ślepy!

Carfilhiot wstał i zawołał: – Dhrun, do wozu!

– Zamierzam zostać z Gly-neth – odparł Dhrun ponuro. Carfilhiot złapał go, zaniósł



wierzgającego i wyrrywającego się do

wozu, wrzucił go do środka i spuścił sztabę na drzwi. A potem odwrócił się do Glyneth i rzekł:

– Dziś nie ma żadnych drzew, na które mogłabyś uciec.

Glyneth cofnęła się. Carfilhiot ruszył za nią. Glyneth powoli podeszła do koni.

– Przyjaciele – powiedziała. – To kreatura, która tak okrutnie wami powozi i smaga batem wasze gołe grzbiety.

– Tak, widzę.

– Widzę oboma głowami naraz. Carfilhiot zbliżał się powoli z pochyloną głową.

– Glyneth, popatrz na mnie!

– Widzę cię bardzo dobrze – odparła Glyneth. – Odejdź albo konie cię stratuja.

Carfilhiot zatrzymał się i spojrział na konie z nastroszonymi grzywami i spoglądające białymi oczami. Otworzyły pyski, pokazując długie, zakrzywione kły. Jeden z koni uniósł się nagle na tylnych nogach i uderzył pazurami w ziemię, tuż przed Carfilhiotem.

Carfilhiot wycofał się do miejsca, skąd w razie konieczności mógłby wspiać się na wóz, i stał tam, rzucając groźne spojrzenia. Konie położyły płasko grzywy, schowały pazury i na nowo zaczęły się paść.

Glyneth swobodnym krokiem ruszyła do wozu. Carfilhiot rzucił się do przodu. Glyneth stanęła nieruchomo. Konie uniosły głowy i popatrzyły na Carfilhiota. Ich grzywy zaczęły się stroszyć. Carfilhiot gniewnie machnął ręką i wskoczył na przednie siedzenie wozu.

Glyneth otworzyła tylne drzwi. Razem z Dhrunem rozłożyli sobie pośłania pod wozem i spali nie niepokojeni.

O poranku, ponurym od padającego strugami deszczu, wóz przejechał Pomperol i, jadąc dalej na zachód, znalazł się w Puszczy Tan-trevalles na terenie Dahautu. Carfilhiot, skulony na koźle, jechał z szaloną prędkością, sprawując władzę smaganiem bata, a czarne konie biegly spienione przez las. W południe Carfilhiot zjechał z drogi na niewyraźny szlak, wiodący zakolami zboczem skalistego wzgórza, aż dotarł do Faroli – ośmiokątnej, wielopoziomowej rezydencji czarodzieja Tamurello.

Przez trzy pary niewidzialnych rąk Carfilhiot został troskliwie namydlony i wykąpany. Został wyszorowany białą bukszpanową łopatką, opłukany ciepłą wodą o zapachu lawendy, tak że jego zmęczenie dawało się we znaki jedynie jako rozkoszne omdlenie. Ubrał się w czarno-czerwoną koszulę i ciemnozłotą tunikę. Niewidzialna dłoń podała mu kielich wina z granatów, które wypił, po czym jak zwierzę rozciągnął swe rozleniwione kończyny. Parę chwil stał zamyślony, zastanawiając się, jak najlepiej załatwić całą sprawę z Tamurello. Wiele zależało od humoru czarodzieja, od tego, czy był to jego stan aktywności, czy letargu. Carfilhiot musiał kontrolować te nastroje, tak jak muzyk śledzi melodię. W końcu wyszedł z pokoju i przyłączył się do Tamurello w środkowym salonie, gdzie zza wysokich szklanych ścian widać było las.

Tamurello rzadko pokazywał się w swojej naturalnej postaci, zawsze wybierał jakieś przebranie, jedno spośród kilkunastu, jakimi rozporządzał. Carfilhiot widział go w różnorodnych wcieleniach, mniej lub więcej omamiających, ale zawsze pozostających w pamięci. Tym razem przybrał postać starego elfa w zielonozłotej tunice z srebrnymi sierpami księżycowymi. Miał zupełnie białe włosy i srebrnobłądą skórę oraz zielone oczy. Carfilhiot widział go już w tej postaci wcześniej i nie przepadał zbytnio za właściwym temu wcieleniu subtelnym spojrzeniem i precyzją w formułowaniu żądań. Jak zawsze, kiedy stawał przed starym elfem, Carfilhiot przyjął postawę demonstrowania siły poprzez milczenie.

Starzec chciał wiedzieć, czy gościowi jest wygodnie.

– Mam nadzieję, że miałeś możliwość odświeżenia się?

– Przeszedłem wiele ciężkich dni, ale teraz już doznałem wygód. Starzec z uśmiechem spojrzął przez okno.

– Ech, te wszystkie nieszczęścia, które ci się przytrafiły! Jakże to intrygujące i niespodziewane! Carfilhiot odpowiedział obojętnym głosem.

– Za wszystko, co mnie dotknęło, winię Melanthe. Starzec znowu się uśmiechnął.

– I ona to zrobiła tak zupełnie nie sprowokowana?

– Oczywiście! Czy kiedykolwiek ja albo ty zawracaliśmy sobie głowę prowokowaniem kogokolwiek?

– Rzadko. Lecz jakie będą tego konsekwencje?

– Żadne, przynajmniej taką mam nadzieję.

– Nie powzięłeś żadnych decyzji?

– Muszę przemyśleć tę sprawę.

– To fakt. W tego typu przypadkach należy zachować rozsądek.

– Są jeszcze inne rzeczy, które należy wziąć pod uwagę. Doznałem szoku i nieprzyjemnych niespodzianek. Przypominasz sobie zdarzenie w Trudzie?

– Pamiętam je dobrze.

– Shimrod wytropił Rughalta przez jego obrzydliwe kolana. Ru-ghalt natychmiast ujawnił mu moje imię. Shimrod ma teraz zamiar zemścić się na mnie. Ale mam przeciwko niemu zakładników.

Stary elf westchnął i machnął ze zdenerwowaniem ręką.

– Zakładnicy nie są zbyt użyteczni. Jeśli umrą, stają się tylko zawadą. Kim są ci zakładnicy?

– To chłopiec i dziewczynka, którzy podróżowali w towarzystwie Shimroda. Chłopiec cudownie gra na kobzie, a dziewczynka rozmawia ze zwierzętami.

– Chodź – rzekł Tamurello i powstał.

Poszli we dwóch do jego pracowni. Tamurello zdjął z półki czarne pudełko, wlał do środka wody, dodał parę kropli żółtego, błyszczącego płynu, co spowodowało, że w wodzie pojawiły się rozmaite smugi światła. Na skórzaną wadze Tamurello umieścił imię „Shimrod”. Stosując złożoną formułę przygotował ciemny płyn, który dodał do zawartości pudełka, potem całą miksturę wlał do żelaznego cylindra wysokiego na sześć cali, o średnicy dwóch cali. Zamknął go od góry szklaną pokrywką i zbliżył cylinder do oka. Po chwili podał go Carfilhiotowi.

– Co widzisz?

Patrząc przez szkło, Carfilhiot zobaczył czterech mężczyzn, jadących galopem przez las. Jednym z nich był Shimrod. Nie rozpoznał żadnego z pozostałych, mogli być wojownikami albo rycerzami, tak przynajmniej sądził.

Oddał cylinder Tamurello.

– Shimrod pędzi jak szalony przez las w towarzystwie trzech mężczyzn.

Tamurello zgodził się.

– Będą tu w przeciągu godziny.

– A potem?

– Shimrod ma nadzieję, że zastanie cię tu w moim towarzystwie i będzie miał powód, żeby odwołać się do Murgena. Wskutek tego będziesz nieodwołalnie poddany sądowi i zostanie wydany wyrok.

– Muszę więc jechać.

– I to szybko.

Carfilhiot przechadzał się nerwowo po pokoju.

– Bardzo dobrze, jeśli już tak ma być. Mam nadzieję, że udostępnisz mi jakiś wehikuł.

Tamurello uniósł brwi i zapytał:

– Czy zamierzasz zatrzymać te osoby, które są drogie Shimrodowi?

– Dlaczego miałbym postąpić inaczej? Są drogocennymi zakładnikami. Wymienię ich na klucz do magicznego aparatu Shimroda i oddam za odstąpienie od sprawy. Możesz mu to przekazać, jeśli chcesz.

Tamurello zgodził się niechętnie.

– Zrobię, co będę musiał. Chodź! Poszli do wozu.

– Jest jeszcze jedna sprawa – powiedział Tamurello. – Shimrod nalegał na to przed twoim przyjazdem, a ja nie mogłem mu odmówić. W jak najbardziej kategoryczny sposób doradzam ci, a właściwie żądam, byś nie zranił, nie poniżył, nie wykorzystał niecnie, nie molestował, nie traktował źle, nie nękał ani nie dopuścił się żadnego cielesnego kontaktu z twoimi zakładnikami. Nie sprowadź na nich ani umysłowego, ani fizycznego cierpienia. Nie pozwól innym ich źle traktować. Nie dopuść przez niedbałość, by doznali jakiegokolwiek uszczerbku lub niewygody. Nie sugeruj niczego, nawet przez przeoczenie, co mogłoby spowodować, że doświadczą jakichś nieszczęść, krzywd lub molestacji, przypadkowo czy w jakikolwiek inny sposób. Zapewnij im...

– Dość, dość! – wycharczał gniewnie Carfilhiot. – Doskonale rozumiem istotę twych uwag. Mam traktować tę dwójkę dzieci jak honorowych gości.

– Dokładnie. Nie zamierzam odpowiadać za wyrządzone przez ciebie krzywdy, czy to z chęci zabawy, pożądania, omamu czy niechęci. Shimrod zażądał tego ode mnie!

Carfilhiot opanował kłębiące się w nim uczucia. Odezwał się zduszonym głosem:

– Rozumiem twoje instrukcje i zastosuję się do nich.

Tamurello obszedł wóz. Potarł koła i osie talizmanem z niebieskiego nefrytu. Podszedł do koni, uniósł ich nogi i potarł kamieniem pod łapami. Stały całe drżące i spięte pod jego dotykiem, ale akceptując jego potęgę, udawały, że go nie widzą.

Tamurello natarł kamieniem głowy koni, boki, zady i brzuchy, potem potarł boki wozu.

– Teraz! Jesteście gotowi! Odjeżdżajcie! Shimrod zbliża się bardzo szybko. Lećcie nisko, lećcie wysoko, ale lećcie do Tintzin Fyral!

Carfilhiot wskoczył na kozioł, złapał za lejce. Uniósł rękę na pożegnanie i trzasnął batem. Konie rzuciły się do przodu i uniosły się w powietrze.

Wóz doktora Fideliusa leciał na zachód ponad lasem, chwiejąc się na boki, ponad najwyższymi wierzchołkami drzew, a ludzie zamieszkujący las spoglądali w górę z przerażeniem na dwugłowe konie mknące w powietrzu, ciągnące za sobą trzęsący się wehikuł.

Pół godziny później czterech jeźdźców przybyło do Faroli. Zsiedli z koni i słaniali się na nogach ze zmęczenia i zawodu, jako że dzięki Nig-dy-Nie-Zawodzącemu wiedzieli już, że wóz Shimroda odjechał.

Z rezydencji wyszedł szambelan.

– Jakie są wasze życzenia, szanowni panowie?

– Zawiadom Tamurella o naszym przybyciu – powiedział Shimrod.

– Wasze imiona, panowie?

– On nas oczekuje. Szambelan odszedł.

W jednym z okien Shimrod zauważył jakiś ruch.

– On nas obserwuje i słucha – powiedział pozostałym. – Rozważa, jakie przyjąć wcielenie na nasz użytek.

– Życie czarnoksiężnika musi być bardzo dziwne – powiedział Cargus.

Yane zapytał zadziwiony:

– Czy on wstydzi się swojej prawdziwej twarzy?

– Niewielu ją widziało. Nasłuchał się wystarczająco, nadchodzi. Powoli, krok po kroku, z cienia wyłaniał się wysoki mężczyzna. Miał

na sobie srebrną kolczugę o oczkach tak drobnych, że prawie niewidocznych, bluzę z jedwabili w kolorze morskiej zieleni i hełm zwieńczony trzema długimi rogami, przypominającymi kręgi dużej ryby.

Twarz zasłaniały mu wiszące na hełmie srebrne łańcuszki. Zatrzymał się z założonymi rękami w odległości dziesięciu stóp.

– Jestem Tamurello.

– Wiesz, co nas tu sprowadza. Przywołaj Carfilhiota z powrotem, razem z dwójką porwanych przez niego dzieci.

– Carfilhiot przyjechał i odjechał.

– Jesteś wobec tego jego współnikiem i również jesteś winny. Zza łańcuszków dobiegł niski śmiech.

– Ja jestem Tamurello. Nie przyjmuję ani pochwał, ani oskarżeń za moje postęпки. A wy toczycie spór z Carfilhiotem, nie ze mną.

– Tamurello, brakuje mi cierpliwości na wysłuchiwanie pustych słów. Wiesz, czego od ciebie chcę. Sprowadź Carfilhiota z powrotem, razem z moim wozem i dwójką dzieci, które pojmał.

Odpowiedź Tamurella wypowiedziana została jeszcze niższym, bardziej donośnym głosem.

– Jedynie silni powinni stosować groźby.

– Znowu puste słowa. Raz jeszcze powtarzam, rozkaż Carfilhioto-wi, aby tu wrócił.

– To niemożliwe.

– Ty umożliwiłeś mu ucieczkę przede mną, a przez to bierzesz na siebie odpowiedzialność za Glyneth i Dhruna.

Tamurello stał w milczeniu, z założonymi rękoma. Czterej mężczyźni czuli, jak im się bacznie przygląda zza srebrnych łańcuszków. W końcu powiedział:

– Powiedzieliście, co mieliście do powiedzenia. Nie ma powodu, byście opóźniali swój odjazd.

Czterej mężczyźni wsiedli na konie i odjechali. Na skraju polany zatrzymali się i obejrzelni się do tyłu. Tamurello wrócił do swej rezydencji. Shimrod powiedział głuchym głosem:

– No i tak to wygląda. Teraz musimy się zająć Carfilhiotem w Tint-zin Fyral. Przynajmniej na razie Glyneth i Dhrun są bezpieczni, nie może zrobić im krzywdy.

Aillas zapytał:

– A co z Murgenem? Nie będzie interweniował?

– To nie takie łatwe, jak ci się wydaje. Murgen wymaga od czarodziei, by zajmowali się tylko swoimi sprawami i sam wobec tego ma ręce związane.

– Nie mogę dłużej czekać – powiedział Aillas. – Obowiązki wzywają mnie do Troicinetu. Już mogę być spóźniony, jeśli król Ospero nie <sup>żyje</sup>.



Z Faroli czterej mężczyźni pojechali z powrotem na Drogę Icnield, potem na południe przez Pomperol i Lyonesse, aż do Slute Skeme na wybrzeżu Lir.

Rybacy w zatoce byli bardzo ostrożni, gdy chodziło o rozmowę na temat przeprawy do Troicinetu. Kapitan *Łagodnego Wilka* powiedział im:

– Statek wojenny Troicinetu patroluje czasami jedynie wzdłuż wybrzeża, a czasami wypływa daleko w morze i zatapia każdą łódź, którą może dogonić. A to jest szybki statek. Jakby tego było mało, to na dodatek aż roi się tu od szpiegów Casmira. Gdybyśmy się przeprawili, wieść o tym dotarłaby do Casmira, który uznałby mnie za troicineckiego-go agenta i kto wie, co mogłoby się stać. Po śmierci starego króla można oczekiwać, że coś się zmieni. Miejmy nadzieję, że na lepsze.

– To on jeszcze nie umarł?

– Któż to wie? Te wiadomości są sprzed tygodnia. Ja tymczasem muszę żeglować, zwracając baczną uwagę z jednej strony na pogodę, z drugiej na statek z Troicinetu, a do tego muszę wypatrywać ryb i nigdy nie mogę odплыnąć dalej niż milę od brzegu. Potrzebna byłaby fortuna, którą dałbym się skusić na tę przeprawę do Troicinetu.

Shimrod usłyszał w jego głosie coś, co podpowiedziało mu, że postanowienie rybaka dałoby się jeszcze jakoś zmienić.

– Jak długo trwa taka przeprawa?

– Och, gdyby się wypłynęło w nocy, aby uniknąć szpiegów i patroli, dotarłoby się tam następnego wieczora. Wiatr wieje w dobrym kierunku i prądy nie są zbyt silne.

– Jaka jest twoja cena?

– Dziesięć złotych koron mogłoby mnie skusić.

– Dziewięć złotych koron i nasze cztery konie.

– Załatwione. Kiedy wypływamy?

– Teraz.

– To zbyt ryzykowne. I muszę przygotować łódź. Przyjdźcie tu o zachodzie słońca. A konie zostawcie w tamtej stajni.

Przeprawa *Łagodnego Wilka* odbyła się sprawnie, bez żadnych incydentów przepłynął z Lir do Shircliff, pośrodku wybrzeża Troicinetu. Byli na miejscu dwie godziny przed północą, kiedy jeszcze świeciły się światła w portowych tawernach.

Kapitan *Łagodnego Wilka* zacumował przy nabrzeżu bez żadnych obaw. Cargus zapytał:

– Co z tutejszymi władzami? Nie zatrzymają twojej łodzi?

– Ech, burza w szklance wody! Dlaczego mielibyśmy sobie utrudniać życie takimi głupotami? Utrzymujemy dobre stosunki, wyświadczamy sobie wzajemnie różne przysługi i wszystko toczy się tak jak zawsze.

– W takim razie, życzymy ci szczęścia!

Poszli po konie do stajni, obudzili stajennego, wyciągając go z jego łóżka na sianie. Początkowo był dosyć drażliwy.

– Co to za rozbijanie się po nocy, a uczciwi ludzie nie mogą przez to spać!

Cargus burknął jeszcze bardziej rozgniewany:

– Podaruj sobie te narzekania i zaopatrz nas w konie!

– Jeśli muszę, to muszę. Dokąd się udajecie?

– Chcemy dotrzeć jak najprędzej do Domeris.

– Na koronację? Późno wyruszacie na ceremonię, która rozpoczyna się w południe!

– Król Ospero nie żyje?

Stajenny uczynił pełen uszanowania gest.

– Ku naszemu żalowi, jako że był dobrym królem, pozbawionym okrucieństwa i próżności.

– A nowy król?

– Ma nim zostać Trewan. Życzę mu pomyślności i długiego życia.

– Pospiesz się z tymi końmi.

– I tak jesteście spóźnieni. Ochwacicie konie, jeżeli będziecie próbowali zdążyć na koronację.

– Pospiesz się! – krzyknął przepelniony pasją Aillas. – Ruszaj się wreszcie!

Stajenny, mruczając pod nosem, osiodłał konie i wyprowadził je na drogę.

– A teraz moje pieniądze!

Shimrod zapłacił mu tyle, ile żądał, i stajenny odszedł. Aillas powiedział do swoich towarzyszy:

– W chwili obecnej ja jestem królem Troicinetu. Jeżeli dotrzemy do Domeris przed południem, będę nim również jutro.

– A jeśli się spóźnimy?

– Wtedy korona spocznie na głowie Trewana i on zostanie królem. Ruszajmy!

Pojechali na zachód wzdłuż wybrzeża, mijając ciche rybackie wioski i rozległe plaże. O świcie, gdy ich konie drżały ze zmęczenia, dotarli do Slalocu, gdzie zmienili wierzchowce i wczesnym rankiem ruszyli w stronę Domeris.

Słońce zbliżało się do zenitu. Droga przed nimi zbiegała zakolami w dół zbocza, przez park i do świątyni Gai, gdzie tysiące możnych panów uczestniczyło w koronacji. Na granicy terenów świątynnych czterech jeźdźców zostało zatrzymanych przez ośmiu wartowników, kadetów ze Szkoły Książęcej, którzy ubrani byli w niebieskosrebrne ceremonialne zbroje, z długimi, jaskrawoczerwonymi piórami po bokach ich hełmów. Opuścili halabardy, zagrządzając drogę czterem wędrowcom.

– Nie możecie tam wjechać!

Ze środka dobiegło granie rogów, uroczyste fanfary obwieszczały pojawienie się następcy tronu. Aillas popędził konia ostrogami i przedarł się pomiędzy halabardnikami. Jego towarzysze ruszyli za nim. Przed nimi wznosiła się świątynia Gai. Była to budowla w klasycznym stylu, której ciężki strop spoczywał na kolumnach. Wnętrze było otwartą przestrzenią, po której hulały wiatry. Na środkowym ołtarzu płonął dynastyczny ogień. Siedząc na grzbiecie konia, Aillas zobaczył księcia Trewana, wchodzącego po stopniach, z rytualną powagą krocącego przez taras i klękającego na wyścielonej poduszkami ławie. Pomiędzy Aillasem a ołtarzem stali arystokraci Troicinetu w pełnej gali. Ci z tyłu odwrócili się, oburzeni na czterech konnych, pędzących za ich plecami. Aillas krzyknął do nich:

– Z drogi! Z drogi! – Chciał przejechać pomiędzy stojącymi w szeregach mężczyznami, ale gniewne ręce złapały za uzdę i szarpnięciem zatrzymały jego konia. Aillas zeskoczył z wierzchowca i rzucił się do przodu, rozpychając brutalnie zaabsorbowanych ceremonią i pełnych powagi widzów, którzy zaszokowani spoglądali za nim z dezaprobatą.

Najwyższy Kapłan stanął przed klęczącym Trewanem. Uniósł wysoko koronę i dźwięcznym głosem wypowiedział błogosławieństwo w starożytnym języku Danaan.

Rozpychając się, robiąc najróżniejsze uniki, nie zwracając uwagi na tych, których odpychał na boki, strącając arystokratyczne ramiona, które próbowały go powstrzymać, Aillas dotarł do schodów.

Najwyższy Kapłan wy dobył ceremonialny miecz i złożył go przed Trewanem, który, jak nakazywał zwyczaj, położył ręce na rękojeści. Kapłan sztyletem zadrasnął czoło Trewanowi,

upuszczając kroplę krwi. Trewan pochylając głowę, przycisnął ranę do rękoności miecza, co miało symbolizować, że będzie bronił Troicinetu swoją krwią i żelazem.

Kapłan podniósł koronę i trzymał ją właśnie nad głową Trewana, kiedy Aillas wbiegł na schody. Dwóch wartowników rzuciło się, by go schwytać. Aillas ich odepchnął, podbiegł do ołtarza i popchnął ramię kapłana na bok, zanim korona zdążyła dotknąć głowy Trewana.

– Przerwijcie ceremonię! To nie jest wasz król! Zdezorientowany Trewan powstał i, odwróciwszy się, spojrzał na

Aillasa. Twarz mu się wydłużyła, oczy otworzyły się szeroko. Potem, udając wzburzenie, zawołał:

– Co ma znaczyć to przykre wtargnięcie? Straże, zabrać stąd tego szaleńca! Popęłnił świętokradztwo! Zabierzcie go stąd i skróćcie o głowę!

Aillas odepchnął strażników. Krzyknął:

– Popatrzcie na mnie! Czy mnie nie znacie? Jestem księżę Aillas! Trewan stał ze zmarszczonym czołem, nie mogąc podjąć decyzji.

Drżały mu usta, a na policzkach wystąpiły czerwone plamy. W końcu wyrzucił z siebie nosowym głosem:

– Aillas utopił się w morzu! Nie możesz być Aillasem! Straże, do mnie! Ten człowiek to oszust i uzurpator!

– Poczekajcie! – Dostojny, starszy mężczyzna, ubrany w szatę z czarnego aksamitu, powoli wszedł po schodach. Aillas rozpoznał sir Este'a, który był seneszalem na dworze króla Granice'a.

Sir Este wpatrywał się przez chwilę w twarz Aillasa. Odwrócił się i przemówił do zebranych arystokratów, którzy cisnęli się w stronę schodów.

– To nie jest oszust. To jest księżę Aillas. – Odwrócił się do Trewana. – Kto powinien wiedzieć lepiej, jeśli nie ty?

Trewan nie odpowiedział.

Seneszał zwrócił się ponownie do Aillasa.

– Nie mogę w to uwierzyć, że przez cały czas nie było ciebie w Tro-icinecie i że z czystej próżności naraziłeś nas na smutek, nie mogę również uwierzyć w to, że przybyłeś w tej właśnie chwili, aby wzbudzić sensację.

– Sir, w tej właśnie chwili przybyłem do Troicinetu. Jechałem najszybciej, jak mogły temu podołać konie, co poświadczą ci, którzy przyjechali ze mną. Wcześniej byłem więźniem króla Casmira. Udało mi się uciec, ale jedynie po to, by zostać ponownie ujęty przez Skalradów. Mam znacznie więcej do opowiedzenia, ale przybyłem na czas z moimi towarzyszami, nie chcąc dopuścić, by ma korona spoczęła na głowie Trewana, mordercy, który wepchnął mnie do ciemnego morza!

Trewan zawył z wściekłości i zawołał:

– Śmierć temu, kto splami mój honor! – i zamachnął się ceremonialnym mieczem, chcąc odciąć Aillasowi głowę.

W pobliżu stał jednak Cargus, który błyskawicznie wyciągnął rękę. Powietrze przeciął jego szeroki galicyjski sztylet i utkwiał głęboko w gardle Trewana, tak że czubek przebił się na drugą stronę. Miecz spadł z brzękiem na kamienną posadzkę. Trewan przewrócił oczami, osunął się na ugiętych nogach na ziemię, kopał w konwulsjach, aż w końcu zmarł w bezruchu. Seneszał skinął na strażę.

– Usuńcie ciało. – A potem, zwracając się do zebranych, rzekł:

– Szlachetni mieszkańcy Troicinetu! Uznaję księcia Aillasa za prawowitego króla. Czy ktoś podważa lub zaprzecza memu sądowi? Niech wystąpi i głośno wypowie swoje oskarżenie!



Czekał pół minuty.

– Kontynuować ceremonię!



Aillas i Shimrod, opuściwszy pałac Miraldra przed świtem, pojechali na wschód drogą wzdłuż wybrzeża. Późnym popołudniem dotarli do Przesmyku Zielonego Człowieka, gdzie zatrzymali się, by zachwycić się widokiem. Przed nimi rozpościerały się równiny Cealdu zabarwione najróżniejszymi kolorami – matowym czarnozielonym, szarozółtym i przydymionym fioletem. Aillas wskazał na odległe srebrzące się miejsce.

– Tam są rozlewiska Janglin, a przy nich Watershade. Setki razy siadywaliśmy tam z moim ojcem. Zawsze zdawał się szczęśliwszy, wracając do domu, niż z niego wyjeżdżając. Wątpię, czy odpowiadało mu jego królewskie panowanie.

– A tobie?

Aillas zastanowił się i odpowiedział:

– Byłem jeńcem, niewolnikiem, zbiegiem, a teraz jestem królem, i to wolę najbardziej. Nie jest to jednak życie, jakie sam bym dla siebie wybrał.

– W każdym razie – powiedział Shimrod – zobaczyłeś świat od podszewki, co może się okazać przydatne.

Aillas zaśmiał się.

– Te doświadczenia nie wygładziły moich obyczajów, to pewne.

– Ciągłe jesteś młody i energiczny – powiedział Shimrod. – Całe życie przed tobą. Małżeństwo, synowie i córki, kto wie, co jeszcze?

Aillas mruknął.

– Jeśli o to chodzi, to mam raczej niewielkie szanse. Nie ma nikogo, kogo chciałbym poślubić. Poza... – Aillasowi samowolnie nasunął się przed oczy obraz czarnowłosej dziewczyny, smukłej jak brzoza, o oliwkowej cerze i dużych oczach koloru morskiej zieleni.

– Poza kim?

– To bez znaczenia. I tak jej nigdy nie zobaczę... Czas jechać, mamy jeszcze osiem mil przed sobą.

Dwaj mężczyźni zjechali na równiny Cealdu. Mijali senne wioski, przejechali przez las i parę starych mostów. Jechali przez podmokłe łąki poprzecinane setkami strumieni, wzdłuż których rosły baze, wierzby i olchy.

Strumienie stawały się coraz głębsze i szersze, pojawiły się na ich brzegach trzciny. Na krańcu mokradeł dotarli do rozlewiska Janglin i dalej droga powiodła ich przez sad starych grusz do zamku Watershade.

Aillas i Shimrod zsiadli przed wejściem z koni. Wyszedł chłopak stajenny, by zabrać wierzchowce. Kiedy Aillas opuszczał Watershade, udając się na dwór króla Granice'a, chłopcem stajennym był Cern. Powitał on teraz Aillasa szerokim, aczkolwiek nerwowym uśmiechem.

– Witaj w domu, sir Aillasie, chociaż wygląda na to, że powinienem się teraz do ciebie zwracać Wasza Wysokość. Ciężko to przechodzi przez język, kiedy wciąż żywo staje w mojej pamięci to wspólne pływanie w jeziorze i zapasy w stodole.

Aillas zarzucił mu ramiona na szyję.

– Dalej będę z tobą uprawiał zapasy, ale teraz, kiedy jestem królem, musisz dać mi wygrać.

Cern skłonił głowę, zadumał się przez moment i rzekł:

– Pewnie tak być musi, skoro to jedyny sposób, by okazać szacunek tej godności. Tak, czy inaczej więc... Aillasie, sir, Wasza Wysokość, czy jakkolwiek miałbym cię nazywać, miło widzieć cię znowu w domu. Wezmę konie, spodoba im się, jak je porządnie wyszczotkuję i nakarmię.

Pchnięte od środka drzwi frontowe otwarły się gwałtownie. W prześwicie stał wysoki, siwy mężczyzna ubrany na czarno, z pękiem kluczy u boku – Weare, który był szambelanem w Watershade od tak dawna, jak tylko Aillas pamiętał i długo wcześniej.

– Witaj w domu, sir Aillasie!

– Dziękuję Weare. – Aillas objął go. – Przez ostatnie dwa lata często marzyłem o tym, aby się tu znaleźć.

– Zobaczysz, że nic się nie zmieniło, poza tym, że dobrego pana Ospero nie ma już z nami, przez co jest trochę cicho i samotnie. Jakże często tęskniłem do tych dobrych dni, kiedy ty i pan Ospero byliście tutaj. – Weare cofnął się o krok i przyjrzał się twarzy Aillasa. – Wyjechałeś stąd jako chłopiec, beztroski, przystojny i łagodny, bez jednej gwałtownej myśli.

– A zmieniłem się? Tak po prawdzie, Weare, jestem starszy. Weare przyglądał mu się nadal.

– Ciągłe widzę przed sobą przystojnego chłopaka, ale nie brakuje mu stanowczości. Obawiam się, że musiałeś wiele przejść.

– Zgadza się, ale jestem teraz z wami i złe dni minęły.

– Mam taką nadzieję, sir Aillasie! Aillas objął go raz jeszcze.

– To jest mój towarzysz, Shimrod, który, mam nadzieję, będzie naszym gościem długo i często.

– Cieszę się, że pana poznałem. Umieszczę pana w Błękitnym Pokoju z prześlicznym widokiem na jezioro. Sir Aillasie, pomyślałem, że tej nocy wolałbyś skorzystać z Czerwonego Pokoju. Nie czułbyś się dobrze w swoich starych pokojach ani w pokojach pana Ospero, przynajmniej nie tak wcześniej.

– Masz rację, Weare! Jak dobrze wiesz, co czuję! Zawsze byłeś dla mnie taki dobry!

– To ty zawsze byłeś dobrym chłopcem, sir Aillasie.

Godzinę później Aillas i Shimrod wyszli na taras i oglądali słońce, zachodzące za odległymi wzgórzami. Weare podał im wino w kamiennym dzbanie.

– To jest nasze własne, San Sue, które tak bardzo lubiłeś. Tego roku zrobiliśmy osiemdziesiąt sześć beczek. Nie podam ciasteczek orzechowych, bo Flora nie chce, żebyście się objedli przed kolacją.

– Mam nadzieję, że nie przygotowuje nic zbyt wystawnego.

– Zaledwie kilka twoich smakołyków.

Weare odszedł. Aillas rozparł się wygodnie w fotelu.

– Jestem królem od tygodnia. Rozmawiałem i słuchałem ludzi od rana do nocy. Pasowałem Cargusa i Yane'a na rycerzy i nadałem im posiadłości. Wysłałem po Ehirme i jej rodzinę, dożyje końca swoich dni w dostatku. Przeprowadziłem inspekcje stoczni, zbrojowni, koszar. Od najlepszych szpiegów usłyszałem o sekretach i takich rewelacjach, że mam teraz mętlik w głowie. Dowiedziałem się, że król Casmir buduje galery wojenne w stoczniach w głębi lądu. Ma nadzieję wybudować sto galer i najechać na Troicinet. Król Granice zamierzał zaatakować ze swą armią od strony Przylądka Pożegnań i zająć Tremblance aż po Troaghs. Mogło mu się udać. Casmir nie podejrzewał niczego tak oczywistego, ale szpiegzy wypatrzyli flotyllę, przez co Casmir pospieszył z armią na Przylądek Pożegnań i przygotował zasadzkę. Granice został jednak ostrzeżony przez własnych szpiegów i odwołał operację.

– Wojna najwyraźniej jest kontrolowana przez szpiegów. Aillas zgodził się, że właśnie na tym mogła polegać cała sprawa.

– Podsumowując, przewaga jest po naszej stronie. Nasze siły uderzeniowe pozostają nienaruszone, mamy nowe katapulty o sile rażenia do trzystu jardów. Casmir przestępuje więc z nogi na nogę, bo nasze statki są gotowe do podniesienia żagli, a szpiedzy nigdy nie byłoby w stanie ostrzec go w porę.

– Zamierzasz wobec tego prowadzić dalej wojnę? Aillas przebiegł spojrzeniem ponad jeziorem.

– Czasami, na godzinę lub dwie, zapominam o wszystkich krzywdach, jakie wyrządził mi Casmir. Nigdy nie trwa to jednak długo.

– Czy Casmir w dalszym ciągu nie wie, kto jest ojcem dziecka Sul-drun?

– Może znać imię z rejestru kapłana, jeśli zadał sobie trud, by dowiedzieć się choć tyle. Myśli, że gniję na dnie jego lochu. Któregoś dnia dowie się czegoś innego... Idzie Weare, wzywają nas na kolację.

Przy stole Aillas usiadł na krześle swego ojca, a Shimrod zajął miejsce naprzeciwko niego. Weare podał im pstrąga z jeziora i kaczkę upolowaną na mokradłach, z sałatą z przydomowego ogrodu. Gdy siedli przed kominkiem, przy winie i orzechach, Aillas powiedział:

– Wiele rozmyślałem o Carfilhiocie. On nadal nie wie, że Dhrun jest moim synem.

– To skomplikowana sprawa – powiedział Shimrod. – Tamurello niewątpliwie ponosi tutaj winę. Jego zamiarem jest ugodzić przeze mnie w Murgena. Zmusił wiedźmę Melanthe, by mnie omamiła, tak bym zginął lub przepadł bezpowrotnie w Irerly, podczas gdy Carfilhiot skradł moje aparaty magiczne.

– Czy Murgen nie podejmie żadnych kroków, abyś je odzyskał?

– Nie, dopóki Tamurello nie zadziała pierwszy.

– Ale Tamurello zdążył już zadziałać.

– Nie podjął żadnych otwartych kroków.

– Powinniśmy wobec tego sprowokować Tamurello do bardziej demonstracyjnych przedsięwzięć.

– Łatwiej powiedzieć, niż wykonać. Tamurello jest ostrożnym człowiekiem.

– Ale nie dość ostrożnym. Przeoczył sytuację, w której ja będę mógł wymierzyć sprawiedliwość zarówno Casmirowi, jak i Carfilhiotowi.

Shimrod myślał przez chwilę.

– Nie nadążam za twoimi myślami.

– Mój pradziadek Heim był bratem Lafinga, księcia Południowych Ulflandów. Dostałem wiadomość z Oaldes, że król Quilcy nie żyje. Utopił się we własnej wannie. Jestem kolejny w linii do tronu Południowych Ulflandów, z czego Casmir nie zdaje sobie sprawy. Zamierzam potwierdzić me żądania w natychmiastowy i definitywny sposób. Potem, jako prawy król Carfilhiota, zażądam, aby przyjechał z Tintzin Fyral i oddał mi hołd.

– A jeżeli odmówi?

– Zaatakujemy jego zamek.

– Mówi się, że jest nie do zdobycia.

– Tak się tylko mówi. Przegrana Skalradów jedynie potwierdziła to przekonanie.

– Dlaczego miałbyś mieć więcej szczęścia? Aillas wrzucił garść łupin od orzechów do ognia.

– Bo będę działał jako prawowity suweren. Przyjmą mnie rządcy Ys, jak i baronowie. Jedynie Casmir mógłby się przeciwstawić, ale jest on powolny i zaskoczymy go podczas drzemki.

– Jeśli jesteś w stanie mnie zaskoczyć, a to właśnie zrobiłeś, to powinienes również zaskoczyć Casmira.

– Mam taką nadzieję. Nasze statki są załadowane, podajemy szpiegom fałszywe informacje.

Niebawem Casmir odkryje niemiłą niespodziankę.



## Rozdział 30

Król Casmir z Lyonesse, który nigdy nie zadowolalał się półśrodkami, umieścił swoich szpiegów w każdym miejscu w Troiciniecie, również w pałacu Miraldra. Zakładał, zresztą prawdziwie, że szpiedzy z Troicinetu śledzą jego własne poczynania z równie przenikliwą drobiazgowością. Dlatego też rozbudował dokładne procedury, mające zabezpieczyć tożsamość jego tajnych agentów, szczególnie kiedy otrzymywał od nich informacje.

Przybywały one różnymi sposobami. Pewnego ranka podczas śniadania znalazł obok swego talerza mały biały kamień. Bez słowa komentarza schował go do kieszeni. Położył go tam, to wiedział, sir Mungo -seneszał, który otrzymał go od posłańca.

Po śniadaniu Casmir owinał się w zakapturzoną opończę z brązowego barchanu i opuścił Haidion prywatnym przejściem przez Starą Zbrojownię i wyszedł na Sfer Arct. Upewniwszy się, że nikt go nie śledzi, Casmir udał się alejkami i ścieżkami do magazynu sprzedawcy win. Wsadził klucz do zamka w ciężkich dębowych drzwiach i wszedł do małego, zakurzonego pomieszczenia, przesiąkniętego zapachem win. Przysadzisty mężczyzna o siwych włosach, krzywych nogach i złamanym nosie pozdrowił go jowialnie. Casmir znał go jedynie jako Valdeza, sam używał imienia „Sir Eban”.

Valdez mógł, albo i nie, znać go jako Casmira. Zawsze zachowywał się zupełnie bezosobowo, co zresztą bardzo odpowiadało Casmirowi.

Valdez wskazał na jedno z krzeseł, sam usiadł na innym. Nalał wina z glinianego dzbanka do dwóch kubków.

– Mam ważne informacje. Nowy król Troicinetu planuje operację morską. Zebrał swoje statki przy Hob Hook, a na Przylądku Haze wojska przekraczają granicę. Napad może nastąpić w każdej chwili.

– Napad, ale gdzie?

Valdez, człowiek bystry i opanowany, bezwzględny i małomówny, obojętnie wzruszył ramionami.

– Nikt nie zadawał sobie trudu, aby mi o tym powiedzieć. Kapitanowie statków mają być gotowi do odpłynięcia, kiedy tylko pogoda się zmieni i wiatr zacznie wiać z południa, dając im tym samym możliwość żeglowania na zachód, wschód i północ.

– Będą raz jeszcze próbowali na Przylądku Pożegnań, tak podejrzewam.

– Mogliby, gdyby obrona została rozluźniona. Casmir pokiwał z zamyśleniem głową.

– Właśnie tak.

– Jest też inna możliwość. Każdy statek został wyposażony w ciężkie haki i kołowroty.

Casmir odchylił się do tyłu na krześle.

– W jakim celu? Nie mogą oczekiwać bitwy morskiej.

– Mogą mieć nadzieję, że jej zapobiegną. Zabierają ze sobą dzbany do ognia. Pamiętaj, że południowy wiatr doniesie ich w górę rzeki Sime.

– Do portu? – natychmiast poruszyło to Casmira. – Do nowych statków?

Valdez uniósł kubek z winem do krzywej linii swych ust.

– Zdaję ci jedynie relację z faktów. Troicinet przygotowuje się do ataku z setką statków i co najmniej pięćdziesięcioma tysiącami wojowników, dobrze uzbrojonych.

Casmir zamruczał.

– Zatoka Balt jest strzeżona, choć niezbyt dobrze. Mogliby doprowadzić do katastrofy, gdyby nas zaskoczyli. W jaki sposób dowiem się, że ich flota wyruszyła w morze?



– Latarnie to wątpliwy sposób. Jeśli z powodu mgły lub deszczu zawiedzie jedna z nich, zawodzi cały system. W każdym przypadku nie ma czasu na stworzenie łańcucha sygnalizacyjnego. Gołębie nie przelecą stu mil ponad wodą. Nie znam żadnego innego systemu, poza tymi wspomaganymi przez magię.

Casmir zerwał się na równe nogi. Rzucił na stół skórzaną sakiewkę.

– Wracaj do Troicinetu. Przysyłaj mi wiadomości tak często, jak to tylko możliwe.

Valdez uniósł sakiewkę i zdawał się zadowolony z jej ciężaru.

– Tak zrobię.

Casmir wrócił do Haidionu i w przeciągu godziny z miasta Lyonesse wyjechali w pośpiechu kurierzy. Książętom z Jong i Twarsbane rozkazano razem z ich armiami, rycerzami i zbrojną kawalerią stawić się na Przylądku Pożegnań, by wzmocnić garnizon, który już się tam znajdował. Inne oddziały, w liczbie ośmiu tysięcy, zostały odprawione pośpiesznie do stoczni na rzece Sime, a na całej długości wybrzeża rozstawiono obserwatorów. Przystanie zamknięto i żadnej łodzi nie wolno było zwolnić cum (poza tym jednym statkiem, który miał zabrać Val-deza do Troicinetu), a to w celu uniemożliwienia szpiegom powiadomienia wroga, że siły lyonesskie zostały zmobilizowane przeciwko tajnej napaści.

Zaczął wiać południowy wiatr i osiemdziesiąt statków z sześcioma tysiącami żołnierzy wypłynęło w morze. Poddając się halsowi od strony portu, popłynęły na zachód. Płynąc przez cieśninę Palisidra, flota trzymała się południowej strony, poza zasięgiem wzroku czujnych garnizonów Casmira, potem skręciła na północ, z łatwością niesiona przez wiatr w stronę wybrzeża, a błękitna woda bulgotała pod dziobami statków i falowała za bocznymi okienkami.

W tym samym czasie emisariusze z Troicinetu wędrowali wzdłuż i w poprzek Południowych Ulflandów. Do zimnych zamków na odległych wrzosowiskach, do warownych miast i górskich twierdz zanosili wieści o nowym królu i jego rozkazach, których należy teraz słuchać.

Często zdobywali natychmiastową i wdzięczną przychylność, tak samo często jednakże zmuszeni byli radzić sobie z nienawiścią, nawarstwiającą się od stuleci wskutek morderstw, zrad i męczarni. Emocje te były tak gorzkie i głęboko zakorzenione, że dominowały nad wszystkimi innymi. Ich efektem były wojny, podczas których ich uczestnicy czuli się jak ryby w wodzie, oraz krwawe zemsty i planowane zemsty tak słodkie, że stawały się obsesją. W takich przypadkach logika nie zdawała się na nic. („Pokój w Ulflandach? Nie zapanuje dla mnie pokój, dopóki z twierdzy Keghorn nie zostanie kamień na kamieniu, a krew Melidota nie wsiąknie w rumowisko!”) Stąd też wysłannicy stosowali bardziej bezpośrednią taktykę.

– Musicie odłożyć na bok własne bezpieczeństwo, zapomnieć o nienawiści. Ciężka ręka rządzi Ulflandami, a jeżeli nie zastosujecie się do rozkazów, dojdzie do tego, że to wasi wrogowie będą mieć względy na dworze i stać będzie za nimi moc władzy królewskiej, a wy zapłacicie straszną cenę za wasze bezwartościowe dobra.

– Ha, hmmm. I kto to ma rządzić Ulflandami?

– Król Aillas już nimi rządzi, na mocy prawa i własnej potęgi. Minęły stare, złe czasy. Dokonajcie wyboru! Przystańcie do równych sobie i przynieście pokój tej ziemi albo zostaniecie nazwani zdrajcami! Zamki zostaną wam odebrane i spalone, a wy, jeśli przeżyjecie, resztę życia spędzicie jako niewolnicy, razem z waszymi córkami i synami. Przyłączcie się do nas! Możecie jedynie zyskać!

Na skutek tego, osoba, do której się zwrócono w ten sposób, mogła próbować zwlekać z podjęciem decyzji lub uznać się za zainteresowaną jedynie swoją ziemią, bez troski o cały kraj.

Jeżeli tym kimś powodowała ostrożność, mógł oznajmić, że musi poczekać i zobaczyć, jak postąpią inni. W każdym przypadku wysłannicy odpowiadali:

– Wybierz teraz! Jesteś albo z nami, albo przeciwko nam – jako wyjęty spod prawa! Nie ma pośredniej drogi!

Ostatecznie prawie cała szlachta Południowych Ulflandów przychyliła się ku tym żądaniom, czasami tylko z nienawiści do Faude Carfil-hiota. Zakładali swe starożytne zbroje, musztrowali wojska i wyjeżdżali z twierdz z chorągwiami trzepoczącymi ponad głowami. Zbierali się na polach niedaleko zamku Cleadstone.

Faude Carfilhiot w swojej pracowni siedział zaabsorbowany, obserwując figury poruszające się na mapie. Co mogło zwiastować takie zgromadzenie? Zapewne nic ku jego korzyści. Wezwał swych kapitanów i wysłał ich do doliny w celu zmobilizowania armii.

Dwie godziny przed świtem przestał wiać wiatr i morze się uspokoiło. Prawie w zasięgu ręki od Ys zwinięto żagle i wioślarze przygięli karki nad długimi wiosłami. Szczyt Istaia i świątynia Atlanty rysowały się ciemnymi konturami na tle zaczynającego się rozjaśniać nieba. Statki sunęły po gładkiej jak roztopiony ołów powierzchni wody, blisko schodów wiodących od świątyni do morza, potem skręciły ku miejscu, gdzie plaża wyginała się łukiem, od północy tworząc ujście rzeki Evander. Przybiły tam do brzegu i wojsko zostało wysadzone na ląd. Potem zacumowały w dokach w Ys, aby dokonać rozładunku.

Ze swoich ogrodowych tarasów rządcy Ys przyglądali się wyładunkowi z zaledwie ospałym zainteresowaniem, a mieszkańcy miasta zajęli się swymi własnymi sprawami, jak gdyby morskie najazdy były rzeczą codzienną.

Przy balustradzie swego pałacu Melanthe obserwowała przybycie statków. Zaraz potem odwróciła się i zniknęła w mrocznym wnętrzu.

Sir Glide z Fairsted, z jednym tylko towarzyszem, wsiedli na konie i popędzili je w górę doliny, przez pola i sady, mając z lewej i prawej strony piętrzące się stromo góry. Przejechali przez kilkanaście wiosek i małych sadyb, nie zwróciwszy na siebie szczególnego zainteresowania mieszkańców.

Dolina robiła się coraz węższa i ostatecznie kończyła się pod płasko ściętym szczytem znanym jako Tac Tor. Na jego zboczu znajdował się Tintzin Fyral. Smród w powietrzu robił się coraz intensywniejszy i wkrótce dwaj jeźdźcy odkryli jego źródło – sześć pali wysokich na pięćdziesiąt stóp, na których wisiało tyle samo ciał skazańców.

Droga biegła pod palami i przecinała łąkę, na której widać było kolejny dowód na to, jak surowo Carfilhiot traktował swych wrogów. Była to brama wysoka na dwadzieścia stóp, na której wisiało czterech mężczyzn z ciężkimi kamieniami przyczepionymi do nóg. Przy każdym z nich stało coś w rodzaju miary, z podziałką na cale.

Dalszej drogi pilnowała załoga strażnicy. Dwóch żołnierzy w czerni i purpurze, kolorach symbolizujących Tintzin Fyral, wymaszerowało ze strażnicy i skrzyżowało halabardy. Za nimi nadszedł kapitan i zwrócił się do sir Glide'a:

– Sir, dlaczego podążasz w kierunku Tintzin Fyral?

– Jesteśmy wysłannikami na służbie u króla Aillasa – powiedział sir Glide. – Prosimy o spotkanie z sir Faude Carfilhiotem i zwracamy się jednocześnie do niego, żeby swą opieką zapewnił nam bezpieczeństwo przed, podczas i po rozmowie z nim, tak, byśmy zupełnie swobodnie i bez żadnych ograniczeń naszej wolności mogli mu przekazać to, co mamy do powiedzenia.

Kapitan skłonił się trochę niedbale.

– Panowie, natychmiast przekażę waszą wiadomość. – Dosiadł konia i wąską drogą pojechał pod górę i trawersami w górę zbrocza. Dwaj żołnierze dalej blokowali drogę skrzyżowanymi halabardami.

Sir Glide odezwał się do jednego ze strażników:

– Od dawna służysz sir Faude Carfilhiotowi?

– Tylko od roku, sir.

– Jesteś Ulflandczykiem?

– Pochodzę z Północnych Ulflandów. Sir Glide wskazał na bramę.

– Jakie są motywy tego przedsięwzięcia? Strażnik obojętnie wzruszył ramionami.

– Sir Faude jest prześladowany przez szlachtę z tych stron, nie poddającą się jego władzy. Przeczesujemy okolicę, wściekli na nich jak głodne wilki, i kiedy wyjeżdżają poza swoje siedziby na polowanie lub inspekcję swych ziem, bierzemy ich do niewoli. A potem sir Faude czyni z nich przykład, mający zniechęcić i odstraszyć innych.

– Jego kary obrazują jego pomysłowość. Strażnik znowu wzruszył ramionami.

– Nie ma żadnej różnicy. W ten czy inny sposób czeka ich śmierć. A zwykłe wieszanie lub choćby wbijanie na pal zrobiło się w końcu nudne dla wszystkich zainteresowanych.

– Dlaczego ci ludzie są mierzani w ten sposób?

– To wielcy wrogowie. Widzisz, ten to sir Jehan z Femus, jego synowie Waldrop i Hambol oraz jego kuzyn, sir Basil. Zostali pojmani i sir Faude skazał ich na karne wywieszenie na pokaz, ale okazał też łaskawość. Powiedział: „Niech zostaną umieszczone miary, a kiedy ci niegodziwcy rozciągną się do podwójnej swej wysokości, niech będą zdjęci i wypuszczeni, aby mogli wolno odlecieć ponad wzgórzami do zamku Femus.

– I jak im idzie? Strażnik potrząsnął głową.

– Są słabi i cierpią męki. Ciągłe jeszcze mają co najmniej dwie stopy do rozciągnięcia.

Sir Glide powiódł spojrzeniem po dolinie i górach.

– Najechanie doliny z trzydziestoma ludźmi i uwolnienie skazańców nie wydaje się zbyt trudną sprawą.

Strażnik wyszczerzył się w uśmiechu pełnym połamanych zębów.

– Może się tak wydawać. Nigdy nie zapominaj, że sir Faude jest mistrzem zręcznych sztuczek. Nikt nie najeżdża doliny, aby potem uciec z niej niewinnie i swobodnie.

Sir Glide ponownie przyjrzał się górskim stromym zboczom, strzelającym w górę od samego dna doliny. Bez wątpienia były poryte tunelami, kryjówkami i otworami, umożliwiającymi zbrojne wypadki z zamku. Rzekł do strażnika:

– Podejrzewam, że wrogowie sir Carfilhiota zbierają się szybciej, niż nadaża z ich zabijaniem.

– Tak być może – odpowiedział żołnierz. – Mithro, miej nas w swej opiece! – Konwersacja, przynajmniej z jego punktu widzenia, dobiegła końca. Być może już był zbyt gadatliwy.

Sir Glide dołączył do swego towarzysza. Był to wysoki mężczyzna ubrany w czarny płaszcz i czarny kapelusz o szerokim rondzie, zaciągnięty nisko na czoło i ocieniający wąską twarz z długim nosem. Pomimo tego, iż człowiek ten miał przy sobie jedynie miecz i nie był ubrany w zbroję, zachowywał się swobodnie jak ktoś wysokiego stanu, a sir Glide traktował go jak równego sobie.

Tymczasem od strony zamku nadjechał kapitan. Zwrócił się do sir Glide'a:

– Sir, przekazałem wiernie twoją wiadomość sir Faude Carfilhiotowi. Zezwala on na wasz wjazd do Tintzin Fyral i gwarantuje wasze bezpieczeństwo. Jedźcie za mną, może przyjąć was

natychmiast. -Mówiąc to, zawrócił konia i pogalopował w przeciwnym kierunku. Wysłannicy podążyli za nim w bardziej umiarkowanym tempie. Pojechali klifem pod górę, zawracając kilkakrotnie, na każdym kroku odkrywając urządzenia obronne – otwory dla łuczników, zapadnie, kamienie, które w każdej chwili mogły zostać zwalone na przeciwnika, belki na osiach obrotowych do spychania intruzów w przepaść i zamaskowane doły.

Droga wiała się do przodu i do tyłu, niezliczonymi zakolami. Dwaj mężczyźni zsiadli z koni i oddali je chłopcu stajennemu.

Kapitan zabrał ich do niższego halu w Tintzin Fyral, gdzie czekał Carfilhiot.

– Panowie, jesteście dygnitarzami z Troicinetu? Sir Glide przytaknął.

– Zgadza się. Ja jestem sir Glide z Fairsted i przynoszę listy od króla Aillasa z Troicinetu, które niniejszym przekazuję tobie. – Podał mu pergamin, na który Carfilhiot spojrzął i przekazał niskiemu, grubemu szambelanowi.

– Czytaj.

Szambelan przeczytał piskliwym głosem:

*Do Sir Faude Carfilhiota W Tintzin Fyral*

*Na mocy prawa Południowych Ulflandów, siłą i zgodnie z tym prawem, zostałem królem Południowych Ulflandów i wymagam niniejszym uznania tego faktu i dowodu wierności od twojej osoby. Przedstawiam ci sir Glide a z Fairsted i drugiego męża, oboje są moimi zaufanymi doradcami. Sir Glide przedstawi szerzej moje wymagania i przemawiać będzie w moim imieniu. Można mu powierzyć każdą wiadomość, nawet jeśli miałbyś do przekazania sprawę jak najbardziej poufną.*

*Ufam, iż odpowiesz szybko na moje żądania, przedstawione przez sir Glide 'a. Poniżej stawiam mój podpis i pieczęć królestwa.*

*Aillas, Król Południowych Ulflandów*

*i Troicinetu*

Szambelan oddał pergamin Carfilhiotowi, który przeczytał go, marszcząc w zamyśleniu brwi, najwyraźniej porządkując swoje myśli. W końcu przemówił z wielką powagą:

– Interesują mnie, naturalnie, zamysły króla Aillasa. Przeprowadźmy tę rozmowę w moim małym salonie.

Carfilhiot powiódł sir Glide'a i jego towarzysza paroma niskimi schodami, obok ptaszarni wysokiej na trzydzieści stóp i o piętnastu stopach średnicy, wyposażonej w żerdzie, gniazda, karmniki i huśtawki. Ludzcy mieszkańcy ptaszarni obrazowali fanaberie Carfilhiota w najbardziej drastycznej postaci. Wielu więźniom amputował kończyny, zarówno przedstawicielom rodzaju męskiego jak i żeńskiego przyprawione zostały żelazne pazury i haki, przy pomocy których utrzymywali się na żerdziach. Każdy został przystrojony jakimś rodzajem upierzenia. Wszyscy swiergotali, ćwierkali i gwizdali ptasie trele. Najważniejszy spośród całej grupy, wspaniałały w swych jaskrawozielonych piórach, był szalony król Deuel. Kulił się teraz na swej żerdzi z bolesnym wyrazem na twarzy. Na widok Carfilhiota poruszył się i zaczął zwawo podskakiwać na żerdzi.

– Jedną chwilkę, jeśli łaska! Mam poważne zażalenie! Carfilhiot przystanął.

– I cóż, co tym razem? Jesteś ostatnio bardzo marudny.

– A dlaczego miałbym nie marudzić? Obiecano mi, że dostanę dzisiaj robaki. Pomimo tego

dostałem jedynie owies!

– Cierpliwości! – powiedział Carfilhiot. – Jutro dostaniesz swoje robaki.

Szalony król Deuel zamruczał rozdrażniony, przeskoczył na inną grzędę i usiadł na niej zamyślony. Carfilhiot zaprowadził gości do pokoju o ścianach z jasnego drewna, z zielonym dywanem na podłodze i oknami wychodzącymi na dolinę. Wskazał na stół.

– Siadajcie, proszę, jeśli macie ochotę. Jedliście obiad, panowie? Sir Glide usiadł. Jego towarzysz wolał stać i został z tyłu pokoju.

– Jesteśmy już po posiłku – powiedział sir Glide. – Jeśli pozwolisz, przejdziemy od razu do sedna sprawy.

– Bardzo proszę. – Carfilhiot oparł się wygodnie w krzesło i wyciągnął do przodu swoje długie, silne nogi.

– Wiadomość, którą przynoszę, jest prosta. Nowy król Południowych Ulflandów przybył ze swoimi wojskami do Ys. Król Aillas mocną ręką rządzi tą ziemią i wszyscy muszą być mu posłuszni.

Carfilhiot zaśmiał się metalicznie.

– Ja nic o tym nie wiem. Wedle moich najściślejszych informacji Quilcy nie pozostawił spadkobierców. Jego linia wygasa. Z czego wywodzi swoje prawa król Aillas?

– Jest królem Południowych Ulflandów z bocznej linii i na mocy niepodważalnego prawa tej ziemi. Zdążył już wyruszyć do doliny i zaklina, byś wyjechał mu na spotkanie i porzucił wszelkie myśli o oporze. W przypadku, gdybyś próbował się przeciwstawiać zza murów tego zamku – Tintzin Fyral – król Aillas zniszczy go.

– Tego próbowano już wcześniej – powiedział z uśmiechem Carfilhiot. – Napastnicy odeszli, a Tintzin Fyral pozostaje. A tak czy inaczej, król Casmir z Lyonesse nie zezwoli na obecność tutaj wojsk z Troicinetu.

– Nie ma on wyboru. Siły zbrojne zostały już wysłane do Kaul Bo-cach i w ten sposób pozbawiliśmy króla Casmira możliwości interwencji.

Carfilhiot pogrzył się w myślach. Pstryknął pogardliwie palcami.

– Muszę postępować z rozwagą. Nic nie jest jeszcze pewne.

– Pozwolę sobie zaprzeczyć. Aillas rządzi Południowymi Ulflandami. Baronowie poddali się jego władzy z wdzięcznością i wysłali swe wojska do zamku Cleadstone, w przypadku gdyby byli potrzebni przeciwko Tintzin Fyral.

Carfilhiot, zaskoczony i rozdrażniony, zerwał się na równe nogi. To o tym mówiła magiczna mapa!

– Zdążyliście już nastawić ich przeciwko mnie! Na próżno! Ten spisek się nie powiedzie! Mam potężnych przyjaciół!

Po raz pierwszy odezwał się towarzysz sir Glide'a:

– Masz tylko jednego przyjaciela, twego kochanka Tamurella. On ci nie pomoże.

Carfilhiot odwrócił się poruszony.

– Kim jesteś? Podejdź bliżej! Już cię gdzieś widziałem!

– Znasz mnie dobrze, gdyż wyrządziłeś mi wiele złego. Jestem Shimrod.

Carfilhiot spoglądał osłupiały.

– Shimrod!

– Trzymasz dwoje dzieci, Glyneth i Dhruna, które są mi drogie. Oddasz je z powrotem pod moją opiekę. Obrabowałeś mój dom, Trildę, 1zabrałeś to, co należy do mnie. Teraz mi to oddaj.

Carfilhiot ściągnął usta w upiornym grymasie.

– Co proponujesz w zamian?

Shimrod odpowiedział spokojnie, stłumionym głosem:

– Przysięgam, że złoczyńcy, którzy spustoszyli Trildę, umrą doświadczywszy takich męczarni, jakich dopuścili się wobec mego przyjaciela Grofineta. Zbója Rughalta złapałem przez jego chore kolana.

Umarł w wielkich boleściach, ale przedtem wyjawiał imię swego współnika. Oddaj mi moje rzeczy i dwójkę dzieci. Wtedy przysięgnę, co prawda niechętnie, że nie umrzesz z mojej ręki ani nie będziesz cierpiał bólu z mojego powodu. Nic więcej nie mogę ci zaproponować, ale jest to bardzo dużo.

Carfilhiot, z uniesionymi brwiami i do połowy opuszczonymi powiekami, przyjął pozę wyrażającą głęboką niechęć. Gdy się odezwał, w jego głosie słychać było cierpliwość kogoś, kto jest pewny swych racji i przedstawia je osobie pozbawionej takiej przenikliwości umysłu.

– Jesteś dla mnie niczym. Zabrałem twoje rzeczy, bo chciałem je mieć. Bardzo możliwe, że zrobię to raz jeszcze. Strzeż się mnie, Shi-mrodzie!

Na to odezwał się sir Glide:

– Sir, ponownie przedstawiam ci rozkazy twego pana lennego, króla Aillasa. Zaklina cię on, byś opuścił swój pałac i osobiście poddał się jego sprawiedliwemu sądowi. Nie jest on gwałtownym człowiekiem i nie lubi przelewu krwi.

– Ha, ha! Więc tak się sprawy mają! I cóż mi on oferuje za tą litościwą przysługę?

– Korzyści są ogromne. Szlachetny Shimrod przedstawił swoją prośbę. Jeśli go posłuchasz, podejmuje się nie odbierać ci życia. Zastosuj się do jego propozycji! Wynika z tego, że ofiarujemy ci życie samo w sobie – najwartościowsze i najbardziej namacalne dobro, jakie możemy ci zaoferować.

Carfilhiot zakołysał się w swoim krześle. Po chwili zachichotał:

– Sir Glide, to cięte słowa. Ktoś mniej tolerancyjny niż ja mógłby to uznać za bezczelność. Nawet ja sam jestem zaskoczony. Przybyłeś tu, nie mając nic, co mogłoby cię chronić, żądając jedynie ode mnie, dość chwiejnego zresztą, zabezpieczenia na prawie gościnności. Następnie zaś za pomocą obelg i gróźb, które jątrzą moje uszy, próbujesz wymusić na mnie uległość. W mojej ptaszarni szybko nauczyłybyś się o wiele przyjemniej śpiewać.

– Sir, nie miałem zamiaru cię rozdrażnić, chciałem ci jedynie pewne rzeczy wyperswadować. Miałem nadzieję odwołać się raczej do twego rozsądku, niż grać na emocjach.

Carfilhiot znowu zerwał się na równe nogi.

– Sir, tracę cierpliwość na twe gładkie słówka.

– Bardzo dobrze więc. Nie powiem nic więcej. Co dokładnie mam przekazać królowi Aillasowi?

– Możesz mu powiedzieć, że Faude Carfilhiot, księżę Doliny Evan-der, odnosi się negatywnie do jego propozycji. W jego przyszłej wojnie z królem Casmirem zajmuję neutralne stanowisko.

– Przekażę mu to co do słowa.

– A co z moją prośbą? – zapytał Shimrod.

Oczy Carfilhiota zdały się rozblysnąć dziwnym, żółtym światłem.

– Podobnie jak sir Glide nic mi nie oferujesz, a oczekujesz wszystkiego. Nie mogę spełnić twej prośby.

Sir Glide skłonił się nieznacznie, tak tylko, jak tego wymagał rycerski protokół dyplomatyczny.

– Dziękujemy, że zechciałeś nam przynajmniej poświęcić trochę uwagi.

– Jeśli mieliście nadzieję wzbudzić we mnie głęboką antypatię -powiedział Carfilhiot – to udało się wam. W przeciwnym wypadku zmarnowaliście, panowie, okazję. Tędy, proszę. – Wyprowadził

ich korytarzem obok ptaszarni, gdzie szalony król Deuel przyskoczył bliżej z jakimś nowym zażaleniem, i dalej na niższy dziedziniec. Tam Carfilhiot wezwał szambelana.

– Odprowadź tych szlachciców do ich koni. – Odwrócił się do nich. – Żegnam panów. Moje słowo będzie was chronić, dopóki nie opuścicie doliny. W przypadku, gdybyście powrócili, zostaniecie uznani za wrogich intruzów.

Shimrod powiedział:

– Chciałbym zamienić z tobą ostatnie słowo.

– Jak sobie życzysz.

– Wyjdźmy na zewnątrz. To, co mam ci do powiedzenia, może zabrzmieć nienaturalnie pośród tych murów.

Carfilhiot wyprowadził Shimroda na taras.

– Mów więc.

– Jestem czarodziejem jedenastego stopnia wtajemniczenia – rzekł Shimrod. – Rabując moje rzeczy z Trildy, odwiodłeś mnie od studiów. Teraz podejmę je na nowo. W jaki sposób obronisz się przede mną?

– Ośmieliłbyś się drażnić Tamurella?

– On cię nie ochroni. Obawia się Murgena.

– Jestem bezpieczny.

– Niezupełnie. Napadając na Trildę, dopuściłeś się prowokacji. Mam prawo do zemsty. Takie są zasady.

Carfilhiotowi zrzędała mina.

– Nie w tym przypadku.

– Nie? Kto w takim razie bronił Rughalta, kiedy powoli wypalał się od środka? Tamurello? Zapytaj go. Udzieli ci swoich zapewnień, ale ich fałszywość będzie oczywista. Po raz ostatni mówię: oddaj mi to, co do mnie należy, i dwoje dzieci.

– Nie słucham niczyich rozkazów.

Shimrod odwrócił się. Przeszedł przez taras i wsiadł na konia. Dwóch emisariuszy odjechało zygzakowatą drogą, mijając bramę i wiszących na niej wyciągniętych mężczyzn z zamku Femus, potem dalej w kierunku Ys.

Banda piętnastu obdartych żebraków człapała na południe w kierunku Pasażu Ulf. Niektórzy szli o kulach. Inni kuśtykali na koślawych nogach, jeszcze inni mieli bandażę pozawijane na ropiejących ranach. Zbliżając się do fortecy przy Kaul Bocach, zauważyli wartowników i ruszyli jak mogli najszybciej, powłócząc nogami, jęcząc rozpaczliwie i wołając o jałmużnę. Żołnierze cofnęli się z obrzydzeniem i pozwolili przejść żebrakom szybko i bez problemów.

Ci, gdy tylko znaleźli się za fortem, nagle odzyskali siły i zdrowie. Wyprostowali się, zdjęli bandażę i już nie kuśtykali. W lesie, w odległości mili od fortecy wyjęli spod ubrań topory, nacięli długich tyczek i zbudowali drabiny.

Minęło popołudnie. O zmierzchu do Kaul Bocach podeszła inna grupa. Tym razem byli to wagabundzi. Rozbili obóz przed fortem, napoczęli beczułkę z winem i nadziali mięso na rożen, a wkrótce zaczęli grać wesołe melodie. Sześć dziewcząt tańczyło w takt muzyki w świetle księżyca.

Żołnierze z fortecy wyszli, aby przyglądać się zabawie i wykrzykiwać komplementy do dziewcząt. Tymczasem do fortu ukradkiem zbliżyła się pierwsza grupa. Przystawili drabiny i niewidziani i niesłyszani przez nikogo dostali się na gzymsy.

Cicho i szybko zgładzili za pomocą noży dwóch pechowych strażników, których uwaga skupiała

się właśnie na tańcach przy ognisku. Napastnicy zeszli do pokoju straży, gdzie zabili paru śpiących na siennikach żołnierzy, a potem rzucili się na plecy tym, którzy przyglądali się zabawie. Przedstawienie zostało natychmiast przerwane. Waga-bundzi przyłączyli się do walczących i w ciągu paru minut siły Południowych Ulflandów na nowo kontrolowały fortecę przy Kaul Bocach.

Dowódca i czterech ocalałych żołnierzy zostali wysłani na południe z następującą wiadomością:

### *CASMIROWI KRÓLOWI LYONESSE P OD ROZWAGĘ*

*Forteca Kaul Bocach jest znowu nasza, a intruzi z Lyonesse zostali zabici lub wydalenii z naszego terytorium. Nie odbierzesz nam więcej Kaul Bocach ani podstępem, ani przekupstwem. Czeka cię zguba, jeśli wkroczysz do Południowych Ulflandów!*

*Pragniesz zmierzyć swoją armię z ulflandzką potęgą? Próbuje się raczej przedostać przez Poelitetz, będzie to dla ciebie bezpieczniejsze i łatwiejsze.*

*Podpisuję się pod tym osobiście, ja, Goles z zamku Cleadstone, Kapitan armii ulflandzkiej w Kaul Bocach*

Noc była ciemna i bezksiężycowa. Dookoła Tintzin Fyral piętrzyły się czarne w świetle gwiazd góry. Carfilhiot siedział pogrążony w myślach w najwyższej wieży. Był zniecierpliwiony, jakby czekając na jakiś znak lub zjawisko, które wbrew jego oczekiwaniom nie nastąpiło. W końcu zerwał się na równe nogi i poszedł do swej pracowni. Wisiała tam na ścianie okrągła rama, mająca mniej więcej stopę średnicy, w której rozpięta była szara membrana. Carfilhiot uchwycił ją pośrodku i pociągnął za grudkę substancji, która gwałtownie rosła w jego dłoni, aż przybrała postać nosa, początkowo zwyczajnego, potem niesłychanie dużych rozmiarów. Był to wielki, zakrzywiony, czerwony nos, z rozchylającymi się owłosionymi nozdrzami.

Carfilhiot syknął poirytowany, bo sandestin był tego wieczora nieznośny i złośliwy. Złapał za wielki, czerwony nos, wykręcił go i urabiał tak długo, dopóki nie uformował topornego, kluchowatego ucha, to zaś zwinęło się pod jego palcami i stało się chudą, zieloną stopą. Carfilhiot musiał użyć obu rąk, aby zapanować nad dziwnym przedmiotem i raz jeszcze ukształtował ucho, do którego wypowiedział ostry rozkaz:

– Słuchaj! Słuchaj tego, co mówię! Przekaż moje słowa Tamurello-wi w Faroli. Tamurello, słyszysz mnie? Tamurello, odpowiedz!

Ucho zmieniło się i przybrało normalny wygląd. Małżowina obróciła się i skrzyła i uformowały się z niej usta, o dokładnie takim kształcie jak usta Tamurella. Przemówiły głosem Tamurella:

– Faude, jestem tutaj. Sandestinie, pokaż moją twarz. Membrana zwinęła się i powykręcała, by stać się twarzą Tamurella,  
z wyjątkiem nosa, w miejscu którego, przez nieuwagę lub kaprys sandestina, znalazło się ucho, będące tam uprzednio. Carfilhiot przemówił niecierpliwie:

– Wydarzenia toczą się bardzo szybko! Armie z Troicinetu wylądowały w Ys i ich król mieni się teraz królem Południowych Ulflandów. Baronowie nie przeciwstawili się mu i zostałem sam.

Tamurello westchnął z zadumą.

– Interesujące.

– To bardziej niż interesujące! – wrzasnął Carfilhiot. – Przybyło dziś do mnie dwóch emisariuszy. Pierwszy zażądał, abym poddał się nowemu królowi. Nie przedstawił żadnych korzystnych propozycji i nie poczynił żadnych gwarancji, co uznaję za złowieszczy znak. Oczywiście,



odmówiłem.

– Niemądrze! Powinieneś być uznać się za lojalnego wasala. Poważnym błędem było przyjęcie wysłanników, ale poważnym błędem byłoby również opuszczenie zamku. Mogłeś uniknąć pretekstu do podjęcia działań przeciwko tobie.

– Żaden człowiek nie będzie mi rozkazywał – rzucił rozdrażniony Carfilhiot.

Tamurello nie zareagował, a Carfilhiot mówił dalej.

– Drugim emisariuszem był Shimrod.

– Shimrod!

– W rzeczy samej. Przybył razem z tym pierwszym, przemykając pod osłoną cieni jak duch, a potem stając przede mną z żądaniem oddania mu dzieci i magicznej aparatury. Odmówiłem i w tym wypadku.

– Niemądrze! Niemądrze! Musisz nauczyć się wdzięcznej sztuki, jaką jest umiejętność pójścia na ustępstwa, kiedy sytuacja tego wymaga i staje się to użytecznym rozwiązaniem. Dzieci są ci zupełnie nieprzydatne, tak samo jak rzeczy Shimroda. Mogłeś sobie zapewnić jego neutralność!

– Ba! – rzekł Carfilhiot – On jest niczym w porównaniu z tobą, którego zresztą oczernił i wyszydził.

– Wjaki sposób?

– Powiedział, że jesteś nieodpowiedzialny, że twoje słowa są kłamliwe, i że nie mogę polegać na tobie w razie niebezpieczeństwa. Wyśmiałem go.

– Właśnie tak – powiedział Tamurello roztargnionym głosem. -Czym jednak może zagrozić ci Shimrod?

– Może na mnie rzucić jakiś straszny czar.

– I naruszyć w ten sposób edykt? Nigdy. Czyż nie stworzyła cię Desmei? Czyż nie posiadasz magicznej aparatury? Stajesz się przez to czarodziejem.

– Aparaturę chroni jakieś zaklęcie! Jest dla mnie bezużyteczna! Murgena może to nie przekonać. Skradłem ją przecież Shimrodowi, co musi zostać uznane za sprowokowanie jednego czarodzieja przez drugiego.

Tamurello zachichotał.

– Pamiętaj jednak o tym, że wtedy pozbawiony byłeś magicznych umiejętności i byłeś zwykłym człowiekiem.

– Dosyć naciągana argumentacja.

– Ni mniej ni więcej, tylko logika. Carfilhiot miał nadal wątpliwości.

– Porwałem jego dzieci, co mogłoby zostać uznane jako podburzenie.

Odpowiedź Tamurella, nawet przekazana ustami sandestina, wydała się dosyć oschła.

– Wobec tego oddaj Shimrodowi jego dzieci i należące do niego przedmioty.

Carfilhiot odparł oziębło:

– Dzieci są dla mnie obecnie zakładnikami gwarantujący mi moje bezpieczeństwo. Jeśli zaś chodzi o aparaturę magiczną, to wolałbyś, bym używał jej, wspierając ciebie, czy aby Shimrod, mając ją, pomógł Murgenowi? Pamiętaj, że ty to właśnie wymyśliłeś.

Tamurello westchnął.

– Przytoczyłeś najtrudniejsze do zbitcia argumenty – przyznał. – Na tej podstawie, jeśli nie ma żadnej innej, muszę cię wesprzeć. Nadal jednak nie wolno ci w żadnym wypadku skrzywdzić dzieci, jako że następstwa, jakie by to wywołało, z pewnością postawiłyby mnie wobec konieczności przyjęcia na siebie gniewu Murgena.

Carfilhiot odpowiedział swym nonszalanckim tonem:

- Podejrzewam, że wyolbrzymiasz znaczenie tego faktu.
- Tak czy inaczej, musisz się podporządkować! Carfilhiot wzruszył ramionami.
- Dobrze, dobrze, zastosuję się do twojej zachcianki. Sandestin idealnie oddał drżący śmiech Tamurella.
- Nazywaj to, jak chcesz.



Wraz z nadchodzącym dniem armia ulflandzka, ciągle jeszcze będąca zbitkiem wzajemnie wobec siebie podejrzliwych oddziałów, rozbiła obóz na błoniach przed zamkiem Cleadstone. Było tam dwa tysiące rycerzy i zbrojnych. Sir Fentaral z Graycastle, który był najbardziej szanowany przez wszystkich baronów, uformował z nich jednolitą siłę zbrojną. Następnie armia wyruszyła przez wrzosowiska.

Dużo później następnego dnia rozłożyli się na grani górującej nad Tintzin Fyral, z której Skalradzi uprzednio próbowali zdobyć zamek.

Tymczasem armia z Troicinetu wmaszerowała do doliny, śledzona jedynie obojętnymi spojrzeniami tamtejszych mieszkańców. Spokój, panujący w dolinie, sprawiał wręcz niesamowite wrażenie.

Później tego dnia armia przybyła do wioski Sarquin, leżącej w zasięgu wzroku od Tintzin Fyral. Na wezwanie Aillasa starszyzna wioski przybyła na rozmowę. Aillas przedstawił się i powiedział, co zamierza.

– Chcę teraz ustalić fakty. Mówcie szczerze, nie doznacie uszczerbku, mówiąc prawdę. Jesteście przeciwko Carfilhiotowi, nic on was nie obchodzi czy wspieracie go?

Starsi pomamrotali pomiędzy sobą i spojrzeli ponad ramionami w kierunku Tintzin Fyral. Jeden z nich powiedział:

– Carfilhiot to wiedźmin. Lepiej, żebyśmy nie zajmowali stanowiska w tej sprawie. Możecie pozbawić nas głów, jeśli was to nie zadowala, ale Carfilhiot będzie dla nas dużo gorszy, kiedy już odejdziecie.

Aillas zaśmiał się.

– Przeoczyliście powód, dla którego się tu znajdujemy. Kiedy odejdziemy, Carfilhiot będzie martwy.

– Tak, tak. Inni mówili to samo. Odeszli, a Carfilhiot pozostaje. Nawet Skalradom nie udało zrobić się choć tyle, by go zaniepokoić.

– Pamiętam to wydarzenie nazbyt dobrze – powiedział Aillas. – Skalradzi wycofali się przed nadchodzącą armią.

– To prawda. Carfilhiot zmobilizował przeciwko nim całą dolinę. Wolimy Carfilhiota, który jest znany jako zupełny diabeł, niż Skalradów, którzy są jeszcze bardziej przesiąknięci złem.

– Tym razem nie będzie żadnej armii, która wspomogłaby Carfilhiota. Pomoc nie nadejdzie ani z północy, ani z południa, ani ze wschodu czy z zachodu.

Starsi znowu poszeptali pomiędzy sobą.

– Przyjmijmy, że Carfilhiot przegra, co wtedy?

– Doświadczycie sprawiedliwych i silnych rządów, zapewniam was. Najstarszy pogładził się po brodzie.

– Brzmi to całkiem rozsądnie – przyznał. Potem, spojrzawszy na stojących obok niego, rzekł:

– Sytuacja wygląda następująco. Jesteśmy wiernie oddani Carfilhiotowi, ale przeraziliście nas straszliwie i dlatego spełnimy wasze żądania, wbrew naszym upodobaniom, jeżeli Carfilhiot miałby o to kiedykolwiek spytać.

– Niech i tak będzie. W takim razie, co możecie nam powiedzieć o sile Carfilhiota?

– Powiększył ostatnio straż na zamku o bandytów i rzezimieszków. Dadzą się za niego zabić, gdyż nie mogą oczekiwać niczego lepszego nigdzie indziej. Carfilhiot zabrania im prześladować mieszkańców doliny. Mimo to dziewczęta często znikają i słuch o nich przepada. Wolno im brać

kobiety z wrzosowisk, jak również dopuszczają się trudnych do opisanego występku pomiędzy sobą, tak się przynajmniej mówi.

– Ilu ich obecnie jest?

– Podejrzewam, że około dwustu, trzystu ludzi.

– Nie jest to zbyt wiele.

– To nawet lepiej dla Carfilhota. Potrzebnych jest mu zaledwie dziesięciu ludzi do powstrzymania całej armii. Pozostali to dodatkowe gęby do żywienia. Strzeż się też sztuczek Carfilhota! Mówią, że wykorzystuje magię, co daje mu przewagę, i że jest mistrzem, jeśli chodzi o zasadzki.

– Jak to? W jaki sposób?

– Przyjrzyj się tam: urwiska zbiegają się w dolinie i dzieli je zaledwie odległość strzału z łuku. Pełno w nich wydrążonych tuneli. Przymaszerowalibyście pomiędzy nimi, a chmura strzał spadłaby na was z góry i straciłbyś tysiąc wojowników.

– Jeśli bylibyśmy na tyle tępi, by maszerować pomiędzy tymi ścianami. Co jeszcze możesz nam powiedzieć?

– Niewiele więcej jest tu do powiedzenia. Jeśli zostaniesz pojmany, zawieszysz na palu i będziesz tam tkwić, dopóki ciało nie rozpadnie ci się na strzępy. W ten oto sposób Carfilhot odpłaca swoim wrogom.

– Panowie, możecie odejść. Dziękuję za waszą radę.

– Pamiętaj, mówiliśmy tylko dlatego, że byliśmy porażeni strachem! Tak właśnie ma być.

Aillas przemaszerował ze swoją armią kolejne pół mili. Armia ul-flandzka zajmowała wzniesienie na tyłach Tintzin Fyral. Nie nadeszły dotąd żadne wiadomości od oddziałów, które miały zająć Kaul Bocach. Prawdopodobnie odnieśli sukces.

Wszystkie drogi wiodące do i z Tintzin Fyral zostały zablokowane. Carfilhot musi teraz powierzyć życie niezdobytym murom swego zamku.

Rankiem herold z białą flagą wjechał do doliny. Zatrzymał się przed bramą i zawołał:

– Kto mnie wysłucha? Przynoszę wiadomość dla sir Faude Carfilhota!

Na szczycie muru pojawił się kapitan straży ubrany w kolory Carfilhota – czerń i fiolet; masywny mężczyzna z rozwianymi na wietrze siwymi włosami. Odkrzyknął grzmiącym głosem:

– Kto przynosi wiadomość dla sir Faude Carfilhota?

Herold zrobił krok do przodu.

– Armie Troicinetu i Południowych Ulflandów otaczają zamek. Dowodzi nimi Aillas, król Troicinetu i Południowych Ulflandów. Przekażesz wiadomość, którą przynoszę, czy ten nikczemnik zjeździe tu, aby usłyszeć ją na własne uszy i odpowiedzieć osobiście?

– Przekażę twoją wiadomość.

– Powiedz Faude Carfilhotowi, że z rozkazu króla nie jest już dłużej panem na Tintzin Fyral oraz że przebywa w nim jako banita, nie mając na to przywileju królewskiego. Powiedz, że jego nagminne zbrodnie przynoszą wielką hańbę jemu i jego zwolennikom i że nadszedł czas zapłaty za nie. Powiedz mu, że może poprawić swoje położenie, poddając się natychmiast. Powiedz mu również, że oddziały ul-flandzkie opanowały Kaul Bocach i zagroziły drogę do Ulflandów armii z Lyonesse, tak że może nie oczekiwać odsieczy ze strony króla Casmira lub kogokolwiek innego.

– Starczy! – huknął kapitan dudniącym głosem. – Nie zapamiętam nic więcej! – Odwrócił się i zeskoczył z muru. Zaraz potem było widać, jak jedzie drogą w stronę zamku.

Minęło dwadzieścia minut. Kapitan wrócił z zamku i ponownie wszedł na mur. Zawołał:

– Heroldzie, słuchaj uważnie! Sir Faude Carfilhiot, pan Doliny Evander i książę ulflandzki nie wie nic o Aillasie, królu Troicinetu i nie przyjmuje do wiadomości jego zwierzchnictwa. Żąda, aby najeźdźcy opuścili dolinę, która jest dla nich obcym terytorium, pod groźbą okrutnej wojny i straszliwej porażki. Przypomnij królowi Aillasowi, że Tintzin Fyral było oblegane wiele razy i nigdy nie zostało zdobyte.

– Podda się czy się nie podda?

– Nie podda się.

– W takim razie obwieść to, co powiem twoim towarzyszom i wszystkim, którzy wspierają Carfilhiota. Powiedz im, że wszyscy, którzy będą walczyć i przelewać krew w imię Carfilhiota, zostaną uznani jako winni w równym stopniu jak on sam i podzielą jego los.

Ciemna, bezksiężycowa noc zapadła nad Doliną Evander. Carfilhiot wspiął się na płaski dach najwyższej wieży i stał w powiewach wiatru. Dwie mile dalej, w dolinie, tysiące ogni obozowych tworzyło migoczący dywan, przypominający smugę czerwonych gwiazd. Znacznie bliżej kilkanaście innych ogni znaczyło północną grań, sugerując, że również za nią, poza zasięgiem wiatru, znajduje się ich jeszcze więcej. Carfilhiot odwrócił się w kierunku Tac Tor i ku swemu przerażeniu ujrzał tam dalsze trzy ogniska. Mogły równie dobrze zostać tam rozpalone w celu nastraszenia go i spełniły swoje zadanie. Po raz pierwszy czuł strach -dręcząca wizja, gdzieś w zakątku umysłu. Czy to możliwe, by przez jakieś tragiczne zrządzenie losu Tintzin Fyral mogło tym razem ulec napastnikom? Na myśl o tym, co mogłoby się stać, gdyby został pojmany, przeszły mu po plecach zimne ciarki.

Carfilhiot, uspokajając sam siebie, dotknął szorstkiego, kamiennego gzymsu. Był bezpieczny! Jak mógł upaść tak wspaniały zamek? W podziemiach miał zapasy na rok albo dłużej. Miał wystarczającą ilość wody z podziemnej studni. Tysiąc saperów, pracując noc i dzień, mogłoby teoretycznie podkopać podstawę zbocza i zawalić w ten sposób zamek. Praktycznie pomysł był absurdalny. A co spodziewali się osiągnąć jego wrogowie ze szczytu Tac Tor? Zamek był chroniony przepaścią, szeroką na dobry strzał z łuku. Łucznicy na Tac Tor mogli być uciążliwi jedynie do czasu, kiedy nie zostaną umieszczone siatki chroniące przed strzałami, po czym ich wysiłki stałyby się daremne. Tintzin Fyral zdawał się narażony jedynie od północnej strony. Od czasu skalradzkiego oblężenia Carfilhiot umocnił i usprawnił system obronny, przygotowując nową zmyślną strategię przeciwko każdemu, kto chciałby użyć tarana.

Carfilhiot uspokoił więc samego siebie. Co więcej, i nade wszystko, Tamurello zarzekł się, że będzie go wspierał. Gdyby miały mu się skończyć zapasy, Tamurello odnowiłby je przy pomocy magicznych zaklęć. W gruncie rzeczy Tintzin Fyral mogło się wiecznie opierać wszelkim atakom!

Carfilhiot raz jeszcze obejrzał nocną panoramę, po czym zszedł do pracowni, ale Tamurello czy to z powodu nieobecności, zaniedbania, czy też świadomie, nie chciał z nim rozmawiać.

Rankiem Carfilhiot obserwował, jak armia Troicinetu podeszła pod sam Tintzin Fyral, uniknąwszy jego pułapek, maszerując pojedynczym szeregiem pod osłoną tarcz. Zwalili karne słupy, uwolnili rozciągniętych mężczyzn z zamku Femus od ich ciężarów i rozbili obóz na błoniach. Wozy z zapasami toczyły się doliną i wzdłuż górskiego zbocza, a te tak metodyczne i niespieszne przygotowania napęłniły na nowo Carfilhiota niepokojem, wbrew temu co podpowiadała mu logika. Na szczycie Tac Tor miało miejsce osobliwe poruszenie i Carfilhiot ujrzał, jak pojawiają się tam rusztowania do trzech ogromnych katapult. Nie brał pod uwagę Tac Tor jako miejsca możliwego zagrożenia, ze względu na jego strome zbocza, ale jak się okazało, przekłęci Troicinetczycy znaleźli szlak i z mrówczą wytrwałością, kawałek po kawałku, wtasz-czyli na szczyt trzy ogromne katapulty, piętrzące się teraz na tle nieba. Z pewnością była to zbyt duża odległość! Wyrzucane pociski będą się po prostu odbijać od murów zamku i szkodzić jedynie obozowisku Troicinetczyków, znajdującemu

się poniżej. Carfilhiot upewnił więc samego siebie. Na północnej grani konstruowano sześć dalszych maszyn oblężniczych i znowu Carfilhiot poczuł zaniepokojenie, widząc sprawność troicineckich inżynierów. Maszyny były masywne, zaprojektowane z wielką precyzją. W odpowiedniej chwili zostaną przesunięte nad krawędź zbocza, dokładnie tak, jak zrobili to Skalradzi... W miarę jak upływał dzień, Carfilhiota zaczynały ogarniać wątpliwości, a te z czasem przemieniły się we wściekłość. Maszyny zostały umieszczone w bezpiecznej odległości od jego zapadającej się platformy. Skąd dowiedzieli się o tym niebezpieczeństwie? Od Skalradów?

Same przeciwności losu! Nagły huk i szok! Coś uderzyło w wieżę.

Carfilhiot zakręcił się przerażony. Na Tac Tor zobaczył wyginające się ramię katapulty, które zaraz zostało wypuszczone i wyprostowało się nagłym ruchem. Głaz uniósł się wysoko w powietrze, poszybował łagodnym łukiem i zaczął spadać w dół na zamek. Carfilhiot zasłonił głowę rękami i przykucnął. Pocisk minął wieżę o jakieś pięć stóp i zwałił się niedaleko mostu zwodzonego. To jednak nie zadowoliło Carfilhiota. Były to zaledwie próbne strzały.

Zbiegł na dół i rozkazał wyjść na dach oddziałowi łuczników. Skryli się za umocnieniami. Oparli łuki o występy muru, położyli się na plecach i przytrzymywali strzały stopami. Najbardziej jak tylko było można, naciągnęli łuki i wypuścili strzały. Poleciały wysoko, po szerokim zakrzywionym torze, po czym spadły w dół i uderzyły o stoki Tac Tor. Daremna próba.

Carfilhiot zaklął i machnął wyzywająco ręką. Dwie katapulty wystrzeliły jednocześnie. Dwa głazy, wyrzucone wysoko, zatoczyły po pełnym łuku, w ostatniej fazie lotu zaczęły spadać i zwały się na dach. Pierwszy zabił dwóch łuczników i zawałił dach. Drugi spadł zaledwie dziesięć stóp od Carfilhiota, przebił się przez dach i spadł do jego salonu gościnnego.

Pozostali łucznicy zbiegli po schodach, a Carfilhiot za nimi.

Przez godzinę pociski spadały na dach wieży, niszcząc umocnienia obronne, rozwalając dach, łamiąc belki stropowe, tak że sterczały częściowo ku górze, częściowo ku podłodze poniżej.

Inżynierowie zmienili zamiary na cel i zaczęli kruszyć ściany wieży. Stało się jasne, że po pewnym czasie, być może po paru dniach, same katapulty na Tac Tor były w stanie zniszczyć wieżę Tintzin Fyral aż do samych fundamentów.

Carfilhiot pobiegł do ramy wiszącej w pracowni i tym razem udało mu się skontaktować z Tamurellem.

– Armia atakuje mnie z góry za pomocą niespotykanej broni. Pomóż mi albo będę stracony!

– Dobrze więc – rzekł Tamurello ponurym głosem. – Zrobię to, co musi być zrobione.

Aillas stał na Tac Tor, tam gdzie stał poprzednim razem, w innym okresie swojego życia. Przyglądał się, jak wyrzucane pociski przecinają przestrzeń nad przepaścią i grzmocą w Tintzin Fyral, a po chwili powiedział do Shimroda:

– Wojna jest skończona. On nie ma dokąd pójść. Zburzymy jego zamek kamień po kamieniu. Nadszedł czas na kolejną próbę pertraktacji.

– Daj mu tego posmakować jeszcze przez godzinę. Wyczuwam, w jakim jest nastroju. To furia, ale jeszcze nie desperacja.

Przez niebo przemknęła ciemna kula. Osiadła na szczycie Tac Tor i eksplodowała z cichym puknięciem. Tamurello, wyższy o głowę od przeciętnego mężczyzny, stanął przed nimi. Miał na sobie ubranie z błyszczących czarnych łusek i srebrny, w kształcie rybiej głowy, hełm. Pod czarnymi brwiami jego oczy świeciły białymi kręgami, otaczającymi czarne źrenice. Stał na kuli drżącej mocy, która opadła i osadziła go na ziemi. Spojrzał na Aillasa, na Shimroda i ponownie na Aillasa.

– Kiedy spotkaliśmy się w Faroli, nie udało mi się rozpoznać twego wysokiego stanu.

– Wtedy jeszcze się mi nie należał.

– A teraz rozciągasz swe władanie na Południowe Ulflandy!

– Ten kraj należy do mnie zgodnie z prawem dziedziczenia, a teraz również potwierdziłem to podbojem. Oba są wystarczającą podstawą do objęcia władzy.

Tamurello skinął ręką.

– W spokojnej Dolinie Evander sir Faude Carfilhiot sprawuje popularne rządy. Dokonuj podbojów gdzie indziej, a to miejsce zostaw w spokoju. Carfilhiot jest moim przyjacielem i sprzymierzeńcem. Odwołaj swe armie albo przeciwstawię ci się mocą mojej magii.

Odezwał się na to Shimrod:

– Zaniechaj tego, zanim postawisz się w niezręcznej sytuacji. Wystarczy jedno moje słowo, a zjawi się tu Murgen. Zakazano mi tego, chyba że ty pierwszy wmieszalbyś się do tej sprawy. Skoro to uczyniłeś, wzywam Murgena, by zainterweniował.

Błysk niebieskiego płomienia rozświetlił szczyt góry. Podszedł do nich Murgen.

– Tamurello, naruszyłeś mój edykt.

– Staję w obronie bliskiej mi osoby.

– Nie możesz tego zrobić w tym przypadku. Prowadziłeś nikczemną grę i aż palę się do tego, by zniszczyć ciebie, tu i teraz.

Oczy Tamurella zdawały się świecić czarnym blaskiem. Zrobił krok w przód.

– Ośmielasz się grozić mi w ten sposób, Murgenie? Jesteś stary i niedołężny. Płaszczysz się przed strachami twej wyobraźni. W tym samym czasie ja obrastam w siłę!

Murgen wyglądał, jakby się uśmiechał, kiedy mówił:

– Przytoczę tylko kilka faktów, po pierwsze: Pustkowia Falaxu, po drugie: Przylądek Flesh w Miscus, po trzecie: Burzowiska Totness. Zastanów się, a potem odejdź swoją drogą i bądź wdzięczny za me opanowanie.

– A co z Shimrodem? On jest twój!

– Już nie. A jakby nie było, ty przyczyniłeś się do tej zbrodni. On ma prawo do odzyskania swoich przyrządów. Nie skrywałeś się ze swoimi występkami i wobec tego karzę cię następująco: Powrócisz do Faroli. Nie wyjdiesz poza jego granice przez pięć lat, pod groźbą zagłady.

Tamurello dziko zamachał rękami i zniknął w kłębach dymu, który przybrał postać ciemnej kuli, dryfującej szybko na wschód. Aillas zwrócił się do Murgena:

– Czy możesz nam więcej pomóc? Nie chciałbym ryzykować życiem uczciwych ludzi ani tym bardziej mojego syna.

– Twe pobudki dobrze o tobie świadczą. Ale mój własny edykt wiąże również mnie samego. Nie bardziej niż Tamurello mogę się wtrącać w sprawy tych, których kocham. Kroczę wąską ścieżką i kilkadziesiąt par oczu ocenia me postępowanie. – Położył dłoń na głowie Shimroda. – Już zdążyłeś odbiec od tego, co dla ciebie przeznaczałem.

– Jestem w takim samym stopniu szarlatanem, doktorem Fidelium, jak i czarodziejem Shimrodem.

Murgen, uśmiechając się, zrobił parę kroków do tyłu. Niebieski płomień, w którym przybył, ukazał się w powietrzu i otoczył go. Zniknął. Na ziemi, w miejscu gdzie stał, leżał mały przedmiot. Shimrod go podniósł.

Aillas zapytał:

– Co to jest?

– Szpulka. Jest na niej nawinięta dobra nić.

– W jakim celu?

Shimrod sprawdził nić i stwierdził:



– Jest bardzo mocna.

Carfilhiot stał w swojej pracowni, trzęsąc się przy każdym wstrząsie i huku głazu, uderzającego z powietrza. Okrągła rama przybrała wygląd twarzy Tamurella, niewyraźnej i zniekształconej przez emocje.

– Faude, pokrzyżowano mi plany, nie mogę interweniować w twojej obronie.

– Ale oni niszczą mój zamek! A następnie rozedrą mnie na strzępy! Milczenie Tamurella było jeszcze bardziej przygniatające niż słowa. Po chwili Carfilhiot odezwał się, nie mogąc złapać tchu, głosem

miękkim, pełnym emocji:

– Zatem wielka strata i moja śmierć są do przyjęcia dla ciebie, dla kogoś, kto tyle razy wyznawał mi swoją miłość? Nie mogę w to uwierzyć!

– Nie jest to do przyjęcia, ale miłość nie jest w stanie wzruszyć gór. Zrobiłem wszystko, co było dopuszczalne przez rozsądek, a nawet więcej. Teraz zaś, przygotuj się! Przeniosę cię tu, do Faroli.

Carfilhiot zawołał żalonym głosem:

– Mój cudowny zamek! Nigdy go nie opuszczę! Musisz ich przepędzić!

Tamurello odparł ze smutkiem:

– Zgódź się na przeniesienie albo się poddaj, co wybierasz?

– Ani jedno, ani drugie! Ufam ci! W imię łączącej nas miłości, pomóż mi!

Tamurello przyjął praktyczny ton:

– Dla swego dobra, poddaj się teraz. Im bardziej będziesz się im przeciwstawiał, tym gorszy spotka cię los.

Jego twarz rozlała się w szarej membranie, która nagle zniknęła z ramy. Została jedynie, podtrzymująca ją, olchowa deska. Carfilhiot zaklął i zrzucił ramę na podłogę.

Zszedł jedną kondygnację niżej i przechadzał się w tę i z powrotem z rękoma założonymi na plecach. Zawrócił i zawołał służącego:

– Tę dwójkę dzieci przyprowadź tutaj natychmiast!

Kapitan oddziału obsługującego katapulty na szczycie Tac Tor wyskoczył nagle przed maszyny i rozkazał:

– Wstrzymać ogień! Podeszedł Aillas.

– Co się dzieje?

– Popatrz! – wskazał kapitan. – Umieścili kogoś na tym, co pozostało z dachu.

Shimrod powiedział:

– Tych dwoje to Glyneth i Dhrun!

Aillas, spoglądając ponad przepaścią, po raz pierwszy ujrzał swojego syna. Stojący obok niego Shimrod powiedział:

– To przystojny chłopak, silny i również odważny. Będziesz z niego dumny.

– Tylko jak ich uratować? Są zdani na łaskę Carfilhiota. Zablokował nasze katapulty. Tintzin Fyral raz jeszcze stało się nieosiągalne.

Glyneth i Dhrun, brudni, dezorientowani, nieszczęśliwi i przestraszeni, zostali zabrani z pokoju, w którym byli dotychczas zamknięci i poprowadzeni spiralnymi schodami do góry. W miarę jak wchodzili coraz wyżej, zdali sobie sprawę z potężnych, powtarzających się uderzeń, od których

drżały kamienne ściany wieży. Glyneth zatrzymała się, by złapać oddech i służący skinął nagłym gestem.

– Szybciej! Sir Faude bardzo się spieszy!

– Co się dzieje? – zapytała Glyneth.

– Ktoś atakuje zamek, to wszystko, co wiem. Chodźcie już, nie ma czasu do stracenia!

Zostali wepchnięci do salonu. Carfilhiot przestał się przechadzać i przyjrzał im się dokładnie. Brakowało mu jego zwykłej, swobodnej elegancji. Zdawał się roztargniony i rozkojarzony. Nakazał im wejść schodami na wyższe kondygnacje wieży. Ponad nimi gładź zwałił się poprzez zniszczony dach i uderzył w ścianę.

– Szybko, teraz! Wchodźcie do góry! – Carfilhiot wsadził ich na połamane i chwiejące się drewniane schody i wypchnął na popołudniowe słońce, gdzie stanęli, kuląc się ze strachu przed następnym pociskiem.

Dhrun zawołał:

– Popatrz tam, na tę górę!

– Tam jest Shimrod! – krzyknęła Glyneth. – Przybył nam na ratunek! – Pomachała w tamtą stronę.

– Tu jesteśmy! Zabierz nas stąd! – Dach zatrzęszczał, kiedy ciężka belka nie wytrzymała, a schody obsunęły się jeszcze bardziej.

– Pośpiesz się! – krzyczała Glyneth. – Dach się pod nami zawala!

– Chodź tu – powiedział Dhrun i poprowadził Glyneth blisko rozwalonych umocnień obronnych, skąd razem, pełni nadziei, wypatrywali ratunku z drugiej strony przepaści.

Shimrod podszedł na krawędź stoku. W jednej ręce trzymał łuk, w drugiej strzałę. Podał je łucznikowi.

Glyneth i Dhrun przyglądali się temu zaskiwieni.

– Próbuje coś nam przekazać – powiedziała Glyneth. – Zastanawiam się, co on może od nas chcieć.

– Łucznik zaraz wystrzeli strzałę, chce żebyśmy uważali.

– Ale po co będą strzelać z łuku?

Nici ze szpulki od Murgena, która była tak cienka, że swobodnie unosiła się w powietrzu nie dało się przerwać siłą ludzkich rąk. Shimrod uważnie rozciągnął nić na ziemi, rozkładając ją w luźnych, dzie-sięciostopowych pętłach, tak by mogła zostać swobodnie rozwinięta. Uniósł w górę łuk i strzałę, żeby dwie drogie mu postacie, tak bliskie, a jednocześnie tak odległe, mogły domyślić się, co zamierza zrobić. Potem przywiązał nić do strzały i zwrócił się do Cargusa:

– Dasz radę tak strzelić, by doleciała do wieży? Cargus ujął łuk i strzałę.

– Jeśli mi się nie uda, wciągnij nić z powrotem i niech spróbuje lepszy ode mnie!

Naciągnął z całej siły łuk, skierował strzałę ku górze, tak by poszybowała po najlepszym torze, i zwolnił cięciwę. Strzała poleciała w niebo, ponad dachem Tintzin Fyral, ciągnąc za sobą nić. Glyneth i Dhrun podbiegli, by ją złapać. Na znak Shimroda przywiązali ją do pozostałej, nie zniszczonej części muru obronnego na najodleglejszym krańcu dachu. Nić natychmiast zgrubiała i stała się potężną plecioną liną o dwóch calach średnicy. Mężczyźni na Tac Tor objęli mocno linę i naprężyli ją do granic możliwości.

Trzy piętra niżej, w salonie, siedział ponury Carfilhiot, ale jego humor polepszył się od czasu, kiedy wymyślił tak rewelacyjny sposób na powstrzymanie ostrzału. Co dalej? Nic nie było pewne. Coś musi się zmienić. Za pomocą swego przenikliwego umysłu i nieprzeciętnego talentu do zręcznej

improwizacji może wymyśli coś, żeby z tej parszywej sytuacji ocalić, co się da, a przede wszystkim samego siebie. Jednak wbrew temu, ciągle powracało przeświadczenie, jak cień przysłaniające inne myśli, że nic nie da się już zrobić. Miał niewielkie pole do działania. Ten, w którym pokładał największą nadzieję – Tamurello -zawiódł go. Nawet gdyby mógł trzymać Glyneth i Dhruna na dachu w nieskończoność, nie był w stanie opierać się wiecznie oblężeniu. Przybity doszczętnie, wydał rozdrażniony pomruk. Nadszedł czas na kompromis, układne słowa i zmyślne układy. Jakie warunki mogli postawić mu jego wrogowie? Gdyby zwolnił zakładników i oddał rzeczy Shimrodowi, czy mógłby dalej rządzić doliną? Prawdopodobnie nie. Może zostawiono by mu sam zamek? To też nie jest raczej prawdopodobne... Na wyższych kondygnacjach panowała cisza. Co działo się na Tac Tor? Oczyma wyobraźni Carfilhiot ujrzał swoich wrogów na krawędzi klifu, rzucających inwektywami i przekleństwami pod jego adresem. Podeszedł do okna i zerknął ku górze. Gapił się na linę rozciągniętą nad przepaścią i krzyknął przestraszony. Na krawędzi Tac Tor dojrzał mężczyzn, szykujących się już do prześlizgnięcia się po linie. Podbiegł do schodów i ryknął na kapitana straży.

– Robnet! Oddział na dach i to szybko!

Pobiegł do swoich zniszczonych pokoi. Schody osuwały się pod jego ciężarem, chwiejąc się i trzeszcząc. Stawiając kroki najdelikatniej jak tylko mógł, wspiał się do góry. Usłyszał wołanie Glyneth, próbował przyspieszyć i poczuł, jak schody się pod nim zawalają. Rzucił się do przodu i, chwytając za pękniętą belkę stropową, wciągnął się do góry. Nad nim stała pobladła Glyneth. Zamachnęła się złamaną deską i z całej siły uderzyła go w głowę. W oczach mu się zaświeciło, przewrócił się do tyłu i zawisł z jedną ręką zahaczoną o belkę. Drugą ręką sięgnął daleko, złapał Glyneth za kostkę i pociągnął ją ku sobie.

Podbiegł Dhrun. Wzniósł ramię ku górze.

– Dassenach! Mój miecz Dassenach! Przybywaj do mnie!

Z daleka, gdzieś zza Puszczy Tantrevalles, z gąszczu, do którego wrzucił go Carfilhiot, przybył do ręki Dhruna miecz Dassenach. Uniósł go wysoko i ciał rękę Carfilhiota, przybijając ją do belki. Glyneth zaczęła kopać nogami i wyswobodziła się z uścisku. Carfilhiot wrzasnął rozpaczliwie, zsunął się i zawisł na przybitej do belki ręce.

Wtem, ześlizgując się po linie, przybył przysadzisty mężczyzna o szerokich barach i ciemnej, posępnej fizjonomii. Zeskoczył na dach i poszedł spojrzeć na Carfilhiota. Inny mężczyzna prześlizgnął się nad przepaścią. Wciągnęli Carfilhiota na dach i związali mu liną ręce i nogi. Potem odwrócili się do Dhruna i Glyneth. Niższy z nich powiedział, zwracając się do Dhruna:

– Ja jestem Yane, a to jest Cargus. Jesteśmy przyjaciółmi twojego ojca.

– Mojego ojca?

– On tam stoi, obok Shimroda.

Wojownicy ześlizgiwali się po linie jeden za drugim.

Żołnierze Carfilhiota próbowali strzelać z łuków, ale otwory strzelnicze na niższych kondygnacjach nie były do tego przystosowane i strzały leciały w bok.

Tintzin Fyral był pusty. Obrońcy nie żyli, zginawszy czy to od miecza, ognia, podusiwszy się w zatarasowanych tunelach, czy też pod katowskim toporem. Robnet – kapitan straży – wspiał się na samą górę muru otaczającego plac parad. Stał na rozstawionych nogach, wiatr rozwiewał jego siwe loki. Ryczącym, donośnym głosem rzucił wyzwanie:

– No, chodźcie! Kto się ze mną zmierzy z mieczem w dłoni? Gdzież są wasi odważni bohaterowie, wasi szlachetni rycerze? Chodźcie! Niech brzękną nasze miecze!

Wojownicy z Troicinetu stali przez kilka chwil, przyglądając się mu. Sir Cargus zawołał:

– Zejdź na dół, stary człowieku! Topór katowski już na ciebie czeka.

– Chodźcie i weźcie mnie! Stańcie do walki na miecze przeciwko mnie!

Cargus skinął na łuczników. Robnet zmarł trafiony sześcioma strzałami w szyję, pierś i oko.

Szczególnego problemu przysporzyła im ptaszarnia. Niektórzy więźniowie trzepotali skrzydłami, podskakiwali i wśliznęli na najwyższe żerdzie, aby uniknąć tych, którzy przyszli ich wyswobodzić. Szalony król Deuel zdobył się na popisowy lot poprzez klatkę, ale skrzydła go zawiodły i spadł na podłogę, łamiąc sobie kark.

Zawartość lochów miała na zawsze prześladować wspomnienia tych, którzy je badali. Ci, którzy torturowali jeńców, zostali wytaszczeni na dziedziniec. Ulflandczycy domagali się wbicia ich na pale, ale król Aillas, władający Troicinetem i Południowymi Ulflandami, zarządził inną karę i ich głowy zostały ścięte katowskim toporem.

Carfilhiot zajmował klatkę ustawioną pod murami zamku. Wzniesiono wielką szubienicę, której ramię znajdowało się sześćdziesiąt stóp nad ziemią. Pochmurnego, deszczowego dnia, w południe, z wiatrem wiejącym dziwnie od wschodu, Carfilhiot został przyprawiony pod szubienicę. Znowu dały się słyszeć wzburzone głosy:

– Za łatwo mu to uchodzi.

Aillas nie zwracał na to uwagi.

Kat związał Carfilhiotowi ręce na plecach, założył mu pętlę na szyję i wciągnęło go wysoko, gdzie zawisł, kopiąc nogami w konwulsjach, jak groteskowy czarny cień na tle nieba.

Pale dla skazańców połamano i podpalono. Ciało Carfilhiota rzucono w płomienie, gdzie skręcało się i wyginało, jakby umierało po raz drugi. Znad płomieni uniósł się mdlący zielony dym, który został porwany przez wiatr i poniesiony przez całą Dolinę Evander aż do morza. Nie został jednak rozdmuchany przez wiatr. Zawirował i skłębił się, tworząc rzecz przypominającą dużą zieloną perłę. Ta wpadła do oceanu, gdzie połknął ją skarp.

Shimrod spakował do kufrów swoje skradzione rzeczy, jak również i inne przedmioty. Załadował kufry na wóz i z Glyneth, siedzącą koło niego, pojechał doliną do starego Ys. Aillas i Dhrun jechali konno obok wozu. Wszystko zostało załadowane na statek, który miał przewieźć ładunek do Troicinetu.

Godzinę przed wypłynięciem, Shimrod pod wpływem kaprysu wsiadł na konia i pojechał plażą na północ – drogą, którą dawno temu przemierzył w swoich snach. Podjechał do niskiego pałacu nad morzem i zobaczył Melanthe stojącą na tarasie, niemal jakby na niego czekała.

Dwadzieścia stóp od niej Shimrod zatrzymał konia. Siedział w siodle i przyglądał się jej. Ona się nie odezwała, on również nie powiedział ani słowa. Po chwili zawrócił konia i powoli pojechał z powrotem plażą do Ys.



## Rozdział 32

Wczesną wiosną tego samego roku wysłannicy króla Casmira przybyli do Miraldry i poprosili o audiencję u króla Aillasa. Herold obwieścił:

– Wasza Wysokość, racz przyjąć sir Nonusa Romana, bratanka króla Casmira, oraz księcia Aldrudina z Twarsbane, oraz księcia Ru-bartha z Jong, oraz hrabiego Fanishe z zamku Stranlip!

Aillas wstał z tronu i podszedł do nich.

– Panowie, witam was w Miraldrze.

– Wasza Wysokość jest niewymownie łaskawy – powiedział Nonus Roman. – Przynoszę ze sobą zwój, zawierający słowa Jego Wysokości, króla Casmira z Lyonesse. Z waszym pozwoleniem, chciałbym je przeczytać.

– Czytaj, proszę.

Giermek podał sir Nonusowi Romanowi tubę wyrzeźbioną z kości słoniowej. Sir Nonus Roman wydobyl z niej zwój. Giermek z gracją wystąpił do przodu, a sir Nonus Roman przekazał mu zwój, po czym zwrócił się do Aillasa:

– Wasza Wysokość, oto słowa króla Casmira, króla Lyonesse. -Giermek przeczytał donośnym głosem:

*Do Jego Wysokości, Króla Aillasa, Na Jego zamku Miraldrze, w Domeris, Kieruję te oto słowa:*

*Ufam, iż czytając te słowa, cieszysz się dobrym zdrowiem. Doszedłem do przekonania, że godne ubolewania są wydarzenia, które wrogością skaziły tradycyjną przyjaźń pomiędzy naszymi królestwami.*

*Obecne podejrzenia i niezgoda nie przynoszą korzyści żadnej ze stron. Proponuję zatem niezwłoczne zakończenie wrogich poczynań i niech byłby to rozejm zawarty na okres jednego roku, podczas którego żadna ze stron nie podjęłaby działań zbrojnych w jakiegokolwiek formie bez uprzednich konsultacji ze stroną przeciwną, z wyjątkiem wrogiego ataku innego państwa.*

*Po roku rozejm zostanie utrzymany, jeśli żadna ze stron nie powiadomi o odstąpieniu od niego. Żywię nadzieję, iż do tego czasu problemy, które nas dzielą, zostaną rozwiązane i w przyszłości łączyć nas będą braterska miłość i zgoda.*

*Pozdrowienia i wyrazy uszanowania*

*Pański Casmir*

*na Haidionie,*

*w mieście Lyonesse*

A gdy sir Nonus Roman powrócił do Lyonesse, doręczył odpowiedź króla Aillasa.

*Casmirowi, Królowi Lyonesse, te słowa dedykuje Aillas, Król Troicinetu, Dascinetu i Południowych Ulflandów*

*Wasza Wysokość, przychyliam się do twej propozycji rozejmu, jednakże pod następującymi warunkami:*

*My, tu w Troiciniecie, nie pragniemy pokonać, podbić czy zająć Królestwa Lyonesse. Powstrzymuje nas nie tylko przewaga Waszej armii, ale również nasza własna ku temu niechęć.*

*Nie możemy jednak czuć się bezpieczni, jeśli Lyonesse wykorzystaloby rozejm na wybudowanie floty wojennej o sile wystarczającej do przeciwstawienia się naszej.*

*Zatem, zgadzam się na rozejm, jeśli Wasza Wysokość zaniecha budowy floty, która zagrażałaby naszemu bezpieczeństwu. Waszym zabezpieczeniem jest siła Waszej armii, naszym, siła naszej floty.*

*Żaden z nas nie będzie zagrażał drugiemu i niech to wzajemne zabezpieczenie stanie się podstawą naszego rozejmu.*

*Aillas*

Kiedy rozejm wszedł w życie, królowie Troicinetu i Lyonesse wymienili ceremonialne wizyty. Casmir przyjechał pierwszy do Miraldry.

Spotkawszy się z Aillasem twarzą w twarz, uśmiechnął się, ale zaraz zmarszczył brwi, zastanawiając się nad czymś.

– Gdzieś już kiedyś widziałem Waszą Wysokość. Nigdy nie zapomnę twarzy.

Aillas nie poruszony tym, wzruszył jedynie w odpowiedzi ramionami.

– Nie mogę podważyć siły pamięci Waszej Królewskiej Mości. Proszę pamiętać, że odwiedziłem Haidion jako dziecko.

– Tak, to możliwe.

Później, podczas całej wizyty Aillas często widział spoczywające na nim zaintrygowane i podejrzliwe spojrzenie Casmira.

Kiedy płynęli przez Lir, na rewizytę do Lyonesse, Aillas i Dhrun wyszli na dziób statku. Przed nimi Lyonesse widoczne było jako ciemny i nieregularny kontur na horyzoncie.

– Nigdy nie powiedziałem ci o twojej matce – odezwał się Aillas. – Nadszedł czas, byś dowiedział się o wszystkim, co się wtedy wydarzyło. – Spojrzał na zachód, na wschód i ponownie na północ. Wskazał:

– Tam, dziesięć lub dwadzieścia mil stąd, nie jestem teraz pewien odległości, zostałem wepchnięty w wody zatoki przez mojego zbrodniczego kuzyna. Prąd doniósł mnie do brzegu, byłem o włos od śmierci. Kiedy się ocknąłem, myślałem, że rzeczywiście umarłem i że moja dusza powędrowała do rajów. Trafiłem do ogrodu, gdzie okrutnym wyrokiem swego ojca została uwięziona piękna dziewczyna. Ojcem tym był król Casmir, a dziewczyną księżniczka Suldrun. Zakochaliśmy się w sobie i planowaliśmy uciec z ogrodu. Zdradzono nas. Na rozkaz Casmira wrzucono mnie do głębokiego lochu i zapewne wierzy on nadal, że tam umarłem. Twoja matka urodziła ciebie i zostałeś stamtąd zabrany do miejsca, gdzie byłeś bezpieczny przed Casmirem. Z okrutnej bólesci twoja matka odebrała sobie życie, a ja za całą udękę, jaką spotkała istotę tak niewinną jak blask księżyca, będę do końca życia w głębi duszy chować nienawiść do Casmira. Oto i cała historia. Dhrun spojrzał ponad wodą.

– Jaka była moja matka?

– Trudno ją opisać. Nie była nieszczęśliwa w swej samotności. Powiedziałbym, że nie należała jakby do tego świata. Dla mnie była najpiękniejszą istotą, jaką kiedykolwiek widziałem...

Aillas przemierzał komnaty Haidionu i na każdym kroku towarzyszyły mu wizje z przeszłości, przedstawiające jego z Suldrun, i to tak wyraziście, że wydawało mu się, iż słyszy szept własnych głosów i szelest ubrań. Zdawało mu się, że dwoje kochanków zerka na niego i uśmiecha się tajemniczo, jak gdyby w swej niewinności chcieli go wtajemniczyć w jakąś niebezpieczną grę.

Trzeciego dnia po południu Aillas i Dhrun wyszli z Haidionu na zewnątrz przez oranżerię. Poszli w górę pod arkadami, przez chylące się drewniane wrota, w dół pomiędzy skałami, aż do starego ogrodu.

Tam powoli wędrowali ścieżką wśród otaczającej ich ciszy, która przynależała do tego miejsca. Zatrzymali się przy ruinach, gdzie Dhrun rozglądał się dookoła w zachwycie i zdumieniu. Zapach heliotropu nasycił powietrze. I odtąd już na zawsze będzie się kojarzył Dhrunowi ze wzruszeniem i przyływym uczuciem.

Słońce chowało się za złotymi chmurami, kiedy dwaj mężczyźni zeszli nad brzeg morza i przyglądali się falom baraszkującym wśród kamieni. Nadchodził zmierzch, zawrócili więc pod górę. Obok drzewa cytrusowego Aillas zwolnił kroku i zatrzymał się. Wyszeptał cicho, tak by Dhrun go nie usłyszał:

– Suldrun! Jesteś tu? Suldrun?

Nasłuchiwał i zdało mu się, że słyszy szept, a może był to tylko wiatr szemrzący pośród liści. Aillas powiedział głośno:

– Suldrun?

Dhrun podszedł do niego i wziął go pod ramię. Zdążył gorąco pokochać swego ojca.

– Rozmawiasz z matką?

– Mówiłem do niej, ale ona nie odpowiada.

Dhrun spojrzał na niego, potem w dół na zimne morze.

– Chodźmy stąd. Nie podoba mi się to miejsce.

– Mnie również.

Aillas i Dhrun wyszli z ogrodu. Stanowili dwie istoty należące do świata żywych i jeśli nawet coś przedtem szeptało pod starym cytrusem, to się już więcej nie odezwało i ogród spoczywał w objęciach nocy.

Statki z Troicinetu odplynęły. Casmir, stojąc na tarasie przed Ha-idionem, obserwował, jak żagle znikają za horyzontem. Brat Umphred podszedł do niego i rzekł:

– Sir, mogę tylko słówko?

Casmir nie odnosił się do niego przychylnie. Sollace, coraz bardziej oddana nowej wierze, zasugerowała budowę chrześcijańskiej katedry, ku chwale trzech istnień, które nazywała Świętą Trójcą. Casmir podejrzewał w tym wpływ brata Umphreda, którego nie cierpiał. Zapytał:

– Czego chcesz?

– Zeszłego wieczoru miałem okazję widzieć na bankiecie króla Aillasa.

– I cóż?

– Czy jego twarz nie wydała ci się znajoma? – Na ustach brata Umphreda pojawił się znaczący uśmiech.

Casmir spojrzał na niego.

– W rzeczy samej, tak było. I co z tego?

– Czy przypominasz sobie, panie, tego młodego człowieka, który nalegał, bym udzielił mu ślubu z księżniczką Suldrun?

Casmir rozdziawił usta. Spoglądał jak rażony piorunem to na brata Umphreda, to na morze.

– Wrzuciłem go do lochu. On nie żyje.

– On uciekł. I pamięta. Casmir prychnął.

– To niemożliwe. Księżę Dhrun ma co najmniej dziesięć lat.

– A ile lat, wydaje ci się, ma król Aillas?



– Sądzę, że ma dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy, nie więcej.

– I został ojcem w wieku dwunastu lub trzynastu lat? Casmir spacerował z rękami założonymi na plecach.

– To możliwe. W tym jest jakaś tajemnica. – Przystanął i spojrzał na morze, gdzie statki z Troicinetu zniknęły już prawie z pola widzenia.

Skinął na sir Mungo, swego seneszala, i zapytał:

– Czy przypominasz sobie kobietę, która była przesłuchiwana w sprawie księżniczki Suldrun?

– Pamiętam ją, panie.

– Sprowadź ją tutaj.

Po pewnym czasie sir Mungo doniósł Casmirowi.

– Panie, próbowałem spełnić twą wolę, lecz na próżno. Ehirme, jej małżonek, jej rodzina, wszyscy co do jednego opuścili swe domostwa i mówi się, że przenieśli się do Troicinetu, gdzie posiadają teraz ziemię i godności.

Casmir nie odpowiedział. Oparł się wygodnie w fotelu, uniósł kielich i przyglądał się odbiciom płomieni z ognia na kominku, które tańczyły w czerwonym winie. Mruknął do samego siebie:

– Jest w tym jakaś tajemnica.

A jak wyglądają dalsze dzieje?

Król Casmir chwilowo zaniechał realizacji swoich planów i ambicji. Przyczynił się do tego niewątpliwie Aillas, którego Casmir próbował kiedyś zabić, i od dawna darzy głęboką niechęcią. Casmir jednak dalej snuje swe intrygi. Tamurello, w obawie przed Murgenem, odsyła Casmira do czarnoksiężnika z Shan Farway. W spisku wymieniają imię „Joald”, po czym oboje milkną na dłuższy czas.

Księżniczka Madouc, będąca częściowo elfem, jest długonogim urwisem o ciemnych kręconych włosach i twarzą o fascynującej mimice. Jest istotą, której zwyczajnie odbiegają od ogólnie przyjętych reguł. Na co wyrośnie? Kto jest jej ojcem? Na jej życzenie, żądny przygód chłopiec, Traven, wyrusza w poszukiwaniu odpowiedzi. Jeżeli mu się uda, będzie musiała ona spełnić każde jego życzenie. Traven zostaje złapany przez ogra Osmina, ale ratuje swe życie, ucząc go grać w szachy.

A Glyneth, która kocha Watershade i Miraldrę, lecz tęskni za tuła-czym życiem z doktorem Fidelusem? Kto będzie się starać o jej uczucia i kto je zdobędzie?

Aillas jest królem Południowego Ulflandu i musi teraz zwracać baczną uwagę na Skalradów, którzy prowadzą wojnę z całym światem. Kiedy myśli o Ska, przypomina mu się Tatzel, która mieszka w zamku Sank. Zna on również tajne przejście do twierdzy Poelitetz. Czy ta wiedza do czegoś mu się przyda?

Kto złapie w sieć skarpia, który połknął zieloną perłę? Która dama będzie dumnie nosić perłę w swoim medalionie?

Wiele spraw pozostaje nie rozwiązanych. Dhrun nigdy nie będzie mógł zapomnieć krzywd, jakie wyrządził mu Falael z Thripsey Shee, nawet pomimo tego, że chochlik został surowo ukarany przez króla Throbiusa. Z czystej perwersji Falael prowokuje wojnę z trollami z Komin Beg, do której prowadzi je złośliwy, okrutny elf o imieniu Dar-delloy.

A Shimrod? W jaki sposób postąpi z Melancthe?

A król Pustego Hełmu, jak urządzi się na zamku Rhack?

W Swer Smod Murgen pracuje nad wyjaśnieniem tajemnic Doomu, ale każde nowe rozwiązanie stawia przed nim kolejną zagadkę, na którą nie zna odpowiedzi. Tymczasem jego wróg ukrywa się w cieniu, uśmiechając się pod nosem. Zbiera siły, a Murgen chyba wkrótce się zmęczy i z wielkim

żalem przyzna się do porażki.

## IRLANDIA I WYSPY ELDER

O rebelianckim księciu Partholonie z Dahautu, który, zabiwszy swego ojca, zbiegł do Leinsteru, przekazy mówią niewiele. Fomoire oddzieliło się od Północnego Ulflandu i znane było później jako Fomo-iry. Król Nemed, przybywszy ze swymi ludźmi z Norwegii, walczył przeciwko Fomoire w trzech wielkich bitwach niedaleko Donegalu. Skalradzi, jak nazywali samych siebie Nemedianie, byli zawziętymi wojownikami. Fomoire zostało pokonane dwa razy i zwyciężyło w ostatniej bitwie tylko dzięki magii trzech jednonogich wiedźm – Cuch, Gadish i Fehor. W bitwie tej poległ Nemed.

Skalradzi walczyli odważnie i z honorem. Nawet pokonani wzbudzali szacunek zwycięzców, tak że dano im rok i jeden dzień na zbudowanie sobie czarnych statków, na których mogliby wrócić tam, skąd przyплыли. W końcu, po trzech tygodniach uczt, zabaw, pieśni i picia miodu, pożeglowali z Irlandii prowadzeni przez Sterna – najstarszego syna Nameda – który został ich królem. Wszyscy Skalradzi, którzy przetrwali, udali się za Sternem na południe do Skaghane, na najbardziej wysunięty na północ kraniec Hesperiansu, na zachodnich rubieżach wysp Elder.

Drugi syn Nameda – Fergus – popłynął do Amorii i zwerbował tam do armii mężczyzn z celtyckiego rodu, znanych jako Firbolgowie. Poprowadził tę armię do Irlandii. Po drodze Firbolgowie najechali Fflaw na krańcu Wysrodu, ale przeciwko nim wyruszyła tak potężna armia, że opuścili wyspę bez walki i podążali dalej do Irlandii, gdzie zostali, najznamienitszymi w całym kraju.

Sto lat później lud Tuatha de Danaan, po wielkiej wędrówce z centralnej Europy przez Azję Mniejszą, Sycylię i Hiszpanię, przeprawiwszy się przez Zatokę Kantabryjską na wyspy Elder, osiedlili się w Dascine-cie, Troicinecie i Lyonesse. Sześćdziesiąt lat później nastąpił rozłam wśród ludu Tuatha. Część z nich przeniosła się do Irlandii i walczyła tam z Firbolgami w Pierwszej i Drugiej Bitwie pod Mag Tuired.

Druga fala migrujących Celtów, która pchnęła Milesian do Irlandii i Brytów do Brytanii, przeszła przez wyspy Elder. Celtowie poza tym migrowali na Hybrydy i w małych grupach do wielu innych miejsc, o czym świadczą celtyckie nazwy miejscowości, rozsiane po całych wyspach. Plemiona, uciekające z Brytanii po porażce Boudicaa, siłą opanowały ziemie na skalistym północnym wybrzeżu Hybryd i utworzyły tam celtyckie królestwo – Godelię.

## ELFY

Elfy należą do grupy istot najstarszych, jak trolle, falloje, ogry i go-bliny. Nie należą jednak do tej rodziny co merrihewy, sandestiny, qu-isty i darklingi. Merrihewy i sandestiny mogą przybierać ludzką postać, ale zwykle pod wpływem kaprysu i bardzo przelotnie. Quisty są zawsze takie, jakie są, a darklingi wolą być raczej niewidoczne.

Elfy, podobnie jak inne im podobne istoty, są praktycznie hybrydami o zmiennych proporcjach substancji materialnych, pochodzących z ziemi. Wraz z upływem czasu substancji tych przybywało, czasem nawet tylko poprzez wchłanianą wodę i powietrze, jednak okazyjne związki z ludźmi przyspieszyły ten proces. W miarę jak elf stawał się „ciężki” od tychże substancji materialnych, przybierał coraz więcej ludzkich cech i tracił część lub wszystkie swe magiczne zdolności.

„Ciężki” elf przepędzany był z shee, jako uznany za prostaka i gbura. Błąkał się potem po okolicy i zazwyczaj ostatecznie wstępował do społeczności ludzkiej, gdzie niepokieszony wiódł

smętne życie, bardzo rzadko czyniąc użytek ze swych coraz słabszych magicznych mocy. Dzieci tych istot były szczególnie czułe na magię i często zostawały magami lub czarownicami. Takie było zresztą pochodzenie wszystkich czarodziei na wyspach Elder.

Powoli, powoli elfy i podobne im istoty zaczęły zanikać. Wiele shee opanowały ciemności, a pewne cechy elfowych nieśmiertelnych istnień wtapiały się w rasę ludzką. Każdy żyjący człowiek dziedziczy mniej lub

więcej tych pradawnych cech, nabywając je na tysiące niepozornych sposobów. W związkach międzyludzkich objawia się to głęboką wiedzą, odczuwaną jednakże tylko powierzchownie i rzadko odpowiednio rozpoznawaną.

Elfy, zamieszkujące shee, wydawały się raczej dziecinne z powodu swego niezrównoważonego zachowania. Charakter takich poczynań był bardzo rozmaity, różny dla poszczególnych elfów, zawsze jednak ich przyczyną był kaprys lub fanaberia, a często okrucieństwo. Skądinąd jednak łatwo było zdobyć sympatię elfów, a wtedy bywały zazwyczaj nad wyraz hojne i szczodroblive. Elfy miały tendencję do samochwalstwa, często lubiły dramatyzować sytuację i łatwo wpadały w posępny nastrój. Były bardzo czułe na swoim punkcie i nie tolerowały kpin pod własnym adresem, co doprowadzało je do zadziornej furii. W takim samym stopniu podziwiałały piękno, co groteskową dziwaczność, jedno i drugie stanowiło dla nich równoważne pojęcia.

Elfy były istotami zaskakującymi, jeśli chodzi o erotykę, i często wchodziły w rozmaite związki. Wdzięk, młodość, piękno nie zawsze były wystarczająco przekonujące, jako że ponad wszystko elfy ceniły oryginalność. Związki rzadko bywały długotrwałe, wszystko zależało od humorów i nastroju, które je w danym momencie opanował. Radość łatwo zamieniała się w przygnębienie. Nastrój elfa szybko przechodził od załamania, przez histerię do śmiechu lub mnóstwa innych emocji, nie znanych bardziej opanowanej rasie ludzkiej.

Elfy kochały sztuczki. Ciężki los czekał olbrzyma czy ogra, którego postanowiły dręczyć! Nie dawały mu spokoju, a jego bardziej prymitywna magia łatwo się wyczerpywała. Elfy maltretowały go z okrutną wesołością, dopóki nie schronił się w swojej jaskini lub zamku.

Elfy były wspaniałymi muzykami i grały na wielu osobliwych instrumentach, a niektóre z nich, jak chociażby skrzypki, kobzy i piszczałki zostały przejęte przez ludzi. Czasami grały tak radosne i skoczne melodie, że nogi same ruszały w tany.

Czasami były to żałosne tony w świetle księżyca, które raz usłyszane nie dały się nigdy zapomnieć. Podczas parad i ceremonii muzycy grali dostojne kompozycje o wielkiej złożoności, wplatając w nie motywy, które ludzie nie byli w stanie pojąć.

Elfy były zazdrosne i niecierplive, a również nietolerancyjne dla intruzów. Chłopiec czy dziewczynka, niewinnie przechodzący przez elfo-wą łąkę, mogli zastać boleśnie wychłostani leszczynowymi witkami. Z drugiej strony, jeśli elfy były akurat leniwe i ospałe, dziecko mogło być po prostu zignorowane, a nawet obsypane złotymi monetami, ponieważ taką samą przyjemność sprawiało im obdarowywanie ludzi nagłymi fortunami, jak i zsyłanie na nich nagłych nieszczęść.

## SKALRADZI

Od tysiąca lub może więcej lat Skalradzi utrzymywali czystość rasy i ciągłość tradycji. Używali tego samego języka w tak nie zmienionej formie, że najstarsze kroniki, zarówno pisane, jak i przekazywane ustnie, były zrozumiałe przez wszystkie te czasy, nie sprawiając wrażenia archaiczności. Ich mity opowiadały o migracjach na północy, za lodowcami Wiirm. Pośród ich najstarszych trofeów myśliwskich znajdowały się mastodonty, niedźwiedzie jaskiniowe i wilki

szablozębne. Ich sagi opowiadały o *bitwach* z neandertalskimi kanibalami, które zakończyły się zwycięstwem i totalnym wyniszczeniem wroga, aż czerwona krew zabarwiła głębiny lodowcowego jeziora Ko (w Danii). Podążali za lodowcem na północ i tak dotarli na dziewicze, dzikie pustkowie Skandynawii, które uznali za swoją ojczyznę. Tam nauczyli się topić żelazo, kuć z niego narzędzia, broń i rozmaite konstrukcje. Zbudowali łodzie, w których mogli podróżować po morzach, kierując się podczas podróży kompasem.

Około 2500 p.n.e. Aryjska horda – Ur-Gotowie – powędrowała na północ do Skandynawii, spychając bardziej cywilizowanych od siebie Skalradów na zachód, na końce Norwegii i ostatecznie zmuszając do ucieczki w morze.

Ci Skalradzi, którzy przetrwali, przenieśli się do Irlandii, i znaleźli swe miejsce w irlandzkich mitach jako „Nemedianie” – synowie Nameda. Ur-Gotowie przejęli skalradzki styl życia i stali się w ten sposób przodkami różnych plemion gockich, spośród których wyróżniali się Germanie i Wikingowie.

Z Fomoiry (Północnego Ulflandu) przybyli do Irlandii Fo-moirczycy i walczyli ze Skalradami w trzech bitwach, zmuszając ich do opuszczenia Irlandii. Tym razem Skalradzi przenieśli się na południe do Skaghane, której przysięgli nigdy nie opuścić. Ukształtowani przez zawziętą wrogość, stali się rasą wojowników arystokratów i zaczęli prowadzić aktywną wojnę przeciwko całemu światu. Wszystkie inne plemiona uznali za podludzi, nieznacznie tylko wyżej stojących od zwierząt. Pomędzy sobą byli uczciwi, łagodni i rozsądni. W stosunku do obcych byli niewzruszenie pozbawieni litości. Filozofia ta stała się ich drogą do przetrwania.

Ich kultura była wyjątkowa, niepodobna do żadnej innej w Europie. W wielu aspektach skromna, a nawet surowa, w innych niezwykle bogata i dekoracyjna. Każda osoba uczona była tego, iż jest potencjalnie zdolna do jakiegoś osiągnięcia. Nikt, nawet przed samym sobą, nie przyznałby się, iż jest tępy czy niezdolny, by osiągnąć jakąkolwiek, możliwą do opanowania, umiejętność. Dla Skalrada jego wszechstronna znajomość rzeczy była czymś oczywistym. Słowa takie jak „artysta” albo „twórczość” były nieznane, bo każdy mężczyzna czy kobieta potrafili tworzyć piękne rzeczy, nie sądząc bynajmniej, że jest to coś niezwykłego.

Na polu bitwy Skalradzi byli nieustraszeni, w pełnym tego słowa znaczeniu, a to z wielu powodów. „Zwykły wojownik” mógł zostać „rycerzem”, jedynie uśmiercając trzech wrogów. Żaden Skalrad nie przeżyłby pogardy swoich towarzyszy. Rozchorowałby się z udręki i zmarł z nienawiści do samego siebie.

Pomimo skalradzkiego przekonania o podstawowej równości, społeczność skalradzka była wysoce zróżnicowana. Skalradzki król miał przywilej mianowania swego następcy, którym bywał zazwyczaj, choć nie zawsze, jego najstarszy syn. Po roku, nowy król musiał uzyskać aprobatę najwyższej arystokracji, a następnie raz jeszcze po trzech kolejnych latach panowania.

Prawo skalradzkie według współczesnych standardów było sensowne i przejrzyste. Skalradzi nigdy nie stosowali tortur, a niewolnicy traktowani byli z tolerancyjną, choć bezosobową, grzecznością, podobnie jak zwierzęta hodowlane. Niesforni karani byli chłostą, raczej bez zbytej surowości, więzieniem o chlebie i wodzie lub szybką śmiercią. Pomędzy sobą Skalradzi byli otwarci, szczodrobliwi i nad wyraz uczciwi. Pojedynki były zabronione. Gwałt, cudzołóstwo i perwersje seksualne uznane były za dziwaczne zbrodnie, a dopuszczającym się tych występków groziła śmierć. Skalradzi przekonani byli, że są jedynym światłym ludem tamtych czasów. W oczach innych byli bezlitosnymi bandytami, złodziejami i mordercami. Skalradzi nie wyznawali żadnej szczególnej religii, chociaż znali wiele bóstw, uosabiających siły natury.

# Spis treści

<a href="#">Strona tytułowa.</a>	1
<a href="#">W...</a>	3
<a href="#">Rozdział 1.</a>	4
<a href="#">Rozdział 2.</a>	8
<a href="#">Rozdział 3.</a>	10
<a href="#">Rozdział 4.</a>	14
<a href="#">Rozdział 5.</a>	17
<a href="#">Rozdział 6.</a>	21
<a href="#">Rozdział 7.</a>	24
<a href="#">Rozdział 8.</a>	29
<a href="#">Rozdział 9.</a>	32
<a href="#">Rozdział 10.</a>	37
<a href="#">Rozdział 11.</a>	39
<a href="#">Rozdział 12.</a>	46
<a href="#">Rozdział 13.</a>	49
<a href="#">Rozdział 14.</a>	55
<a href="#">Rozdział 15.</a>	56
<a href="#">Rozdział 16.</a>	59
<a href="#">Rozdział 17.</a>	62
<a href="#">Rozdział 18.</a>	66
<a href="#">Rozdział 19.</a>	72
<a href="#">Rozdział 20.</a>	81
<a href="#">Rozdział 21.</a>	84
<a href="#">Rozdział 22.</a>	90
<a href="#">Rozdział 23.</a>	93
<a href="#">Rozdział 24.</a>	95
<a href="#">Rozdział 25.</a>	105
<a href="#">Rozdział 26.</a>	109
<a href="#">Rozdział 27.</a>	116
<a href="#">Rozdział 28.</a>	122
<a href="#">Rozdział 29.</a>	124
<a href="#">Rozdział 30.</a>	126
<a href="#">Rozdział 31.</a>	131
<a href="#">Rozdział 32.</a>	135